

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO,
Ps. 113.

ROK SIÓDMY. — TOM XXV.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1890.

KRAKÓW.

DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

pod zarządkiem Jana Gadłowskiego.

1890.

Sprostowania.

- Str. 182 wiersz 2 od góry, zamiast: „konstytucyą“ czytaj: „kontynuacyą“
Str. 183 wiersz 5 od dołu, zamiast: „zapytrywania“ czytaj: „zapaltrywania“
Str. 185 wiersz 12 od góry, zamiast: „konstytycyi“ czytaj: „konstytucyi“
Str. 188 wiersz 2 od góry, po słowach: „znajdował się“ dodać: „— według ogłoszenia
w *Wiener Zeitung*, prawda, że w części nieurzędowej — i minister dla spraw zagranicznych, mający...
Str. 308 wiersz ostatni w przypisku, zamiast: *Przegląd* IV, czytaj: *Przegląd* III.
Str. 393 wiersz 17 od góry, zamiast: „zbrojni“ czytaj: „zbrodni“.
-

PRAWDA O KWESTYI RZYMSKIEJ.

(La verità intorno alla questione Romana, per B. O. S. Roma. Tipografia Vaticana. 1889. f. 140).

Kwestya rzymska tak dawno już z porządku dziennego nie schodzi, w tylu książkach, broszurach, artykułach, na tylu zgromadzeniach i kongresach była i jest omawiana, że budzi nieraz mimowoli pewnego rodzaju przesyt, znudzenie. Pomimo tego — jak nietrudno przekonać się z prywatnych rozmów, z korespondencyj i wzmianek, umieszczanych po katolickich nawet dziennikach, — bardzo wielu, nie tylko ludzi Kościołowi wrogich lub obojętnych, ale bardzo dobrych katolików nie rozumie dostatecznie i nie zdaje sobie dość jasno sprawy z całej tej kwestyi. Pochodzi to po części właśnie może z owego przesytu; po części z tego, że wiele wprawdzie o kwestyi rzymskiej mówi się i pisze, ale zazwyczaj ogólnikami, jako o rzeczy znanej, gdy rzadko kto bliżej i głębiej jej się przypatrzył; rzadko kto wytworzył sobie jakkolwiek dokładny obraz różlicznych kierunków, najróżniejszych zwłaszcza włoskich stronictw, które chciałyby tę kwestyę to siłą słłumić, to wolnym głodem umorzyć, to wreszcie chwilowo przynajmniej załatwić, lub wedle zasad sprawiedliwości stanowczo rozwiązać. Urzędowe dokumenty papieskie: encykliki, przemowy dają bezwątpienia jasną i stanowczą odpowiedź na wszystkie zasadnicze pytania, odnoszące się do kwestyi rzymskiej; ale dokumenty

te z natury rzeczy w szczegóły się nie zapuszczają, z wszystkimi sofizmatami i trudnościami walczyć nie mogą, i nie dostają się częstokroć właśnie do kół, które potrzebowałyby najbardziej nauki w nich zawartej. Stąd nie od dziś już odczuta potrzeba jędrnego, a autentycznego omówienia i wytłómaczenia kwestyi rzymskiej, nie tylko teoretycznie, ale jak się dzisiaj praktycznie przedstawia.

Potrzebom tym i brakom zaradza broszura, której tytuł w nagłówku podaliśmy. Obejmuje ona całą sprawę, i nie w ogólnych tylko wyrazach ją określa, ale schodzi do szczegółów, wszystkim trudnościom oko w oko patrzy, najmniejszej sobie nie pozwala illuzyi, z siłą rzeczy i okoliczności najszkрупatniej się liczy. Tem zaś broszura ta jest cenniejszą i ważniejszą, że wyszła ona — jak zapewnić jesteśmy w stanie — z natchnienia najwyższej w Kościele powagi i jest wiernem odbiciem jej myśli. Dla zapewnienia programowej tej broszurze należytego wpływu i nadania jej odpowiedniego rozgłosu, wydano ją jednocześnie w trzech językach: włoskim, francuskim i niemieckim; katolickie dzienniki rzymskie zwróciły na nią uwagę z szczególnym, w innych razach niepraktykowanym przyciskiem, a zagraniczna prasa równie katolicka, jak i niekatolicka, poświęciła jej długie artykuły. My tutaj główne myśli jędrnej tej rozprawy będziemy się starali streścić.

Wszyscy, wyjawwszy jawnych wrogów Kościoła, chcą i domagają się zawarcia pokoju między duchowną, a świecką władzą we Włoszech, między Papieżem, a rządem włoskim. Nawet włoscy liberali rozumieją wybornie, choć nie wszyscy z równą śmiałością wyznawają, że dzisiejszy stan wojenny przynosi nieocenione szkody włoskiemu królestwu, osłabia kraj wewnątrz, oddaje go na zewnątrz w zależność zagranicznych mocarstw. Kto najlepiej niebezpieczeństwa walki tej widzi i nad nią boleje nie tylko jako ojciec całego chrześcijaństwa, ale jako dobry syn włoskiej ojczyzny — to sam Papież. Słyszysz on jęki tych, którzy nie wiedzą, jak pogodzić w obec dzisiejszego stanu rzeczy obowiązki dobrych katolików i wiernych

poddanych; widzi, na jakie pokusy narażone są zwłaszcza umysły słabsze, olśnione złudnym blaskiem powodzenia, w burzy przeciwności zbyt łatwo uginające się. Chce więc Papież zgody, chce pokoju, jak nikt może inny; ale pragnąc zawarcia pokoju, nie chce i nie może dopuścić się zdrady poruczonych sobie z ręki Bożej obowiązków; nie może swej godności się zaprzeć i oddać się na łaskę i niełaskę w ręce zaborców Rzymu. Do rządu z każdego punktu widzenia, i sprawiedliwości i własnego interesu należało wystąpić z propozycjami, jeżeli nie stałego pokoju, to przynajmniej rozejmu. Wszystko do tego go skłaniało; czemuż stronnictwo, które od lat czterdziestu kieruje losami Włoch, nie tylko o pokój ten lub rozejm się nie postarało, lecz owszem uczyniło wszystko, co mogło, aby jego zawarciu przeszkodzić? Ilekroć pojawiły się, obracające się nawet wyłącznie w kole teoretycznych pragnień i życzeń, projekty zawarcia zgody z Papieżem, rząd okazywał się zawsze w dziennikach swych, przemowach, instrukcyach, wrogo dla projektów tych usposobionym. Gdy tętnąca miłością Włoch i miłością pokoju allokucya papieżka z 23 maja 1887 r. poruszyła do żywego umysł; gdy w całych Włoszech podpisywać zaczęto petycję do parlamentu, w której domagano się zapewnienia Głowie Kościoła katolickiego niezbędnej wolności i niezależności; natenczas rząd, który z początku na tę petycję z lekceważeniem się zapatrywał, widząc, że przeszło 550,000 wyborców położyło już na niej swe podpisy, a liczba ich wzrosła z pewnością do dwóch miljonów, przeląkł się, dalszego zbierania podpisów najsurowiej zakazał, znacznej liczbie syndyków, nauczycielów, urzędników, którzy ruch ten popierali, wręczył dymisję. Czy nie dość oczywisty to dowód, że nie Papież, nie naród włoski, ale stronnictwo dziś rządzące nie chce pojednania? A dlaczego nie chce? Bo dla niego tak szumnie głoszona jedność Włoch i wrzekomo w imię tej jedności dopełniony zabór Rzymu, nie był nigdy celem, ale tylko środkiem: mówiono o odebraniu Papieżowi władzy doczesnej, a myślano o władzy duchownej; godzono pozornie

w Papieża — króla, a w rzeczywistości w Papieża — Głowę Kościoła.

Czyż Ojciec św. w obec takiego postępowania rządu i takich, jawnie ze wszystkich jego kroków wyglądających zamiarów, w obec brutalnego odrzucenia wszelkich projektów zgody, może zaprzestać dalszych protestów; czy może przyjąć ma w milczeniu dzisiejsze swe położenie, czekając rychłoli zbieg pomyślniejszych okoliczności z położenia tego go wyprowadzi, lub nie wyprowadzi, polepszy je, lub pogorszy? Znaleźli się istotnie doradcy, którzy głównie w pismach i broszurach starali się przekonać Papieża, że zrobiłby najwłaściwiej, zaprzestając dalszych protestów i zgadzając się w milczeniu na dzisiejszy stan rzeczy. Wszak i tak, pisali, ani Pius IX, ani Leon XIII nie spodziewali się i spodziewać nie mogą, aby protesty ich, zwłaszcza w obecnej konstellacyi dyplomacyi europejskiej, osiągnęły jaki praktyczny skutek; pocóż więc rozdrażniać tylko przeciwnika, pocóż pałac za sobą wszystkie mosty, odejmować sobie możność hamowania choć w pewnej mierze szkodliwych dla Kościoła zamysłów? Czy np. Papież, gdyby nie stał w otwartej wojnie z rządem włoskim, nie byłby mógł przeszkodzić uchwaleniu niektórych przynajmniej, najszkodliwszych praw, jak o „Rozwodach“ lub o „Dziłach Pobożnych“; a w takim razie, czy nie praktyczniej i lepiej byłoby znosić w milczeniu dzisiejsze zło dla przeszkodzenia większemu złemu?

Tak rozumują oportunistyczni doradcy, nie pytając, czy Papieżowi, choćby nawet — co bardzo wątpliwe — dały się przez to chwilowo osiągnąć jakie praktyczne, uboczne rezultaty, wolno jednak, mniej lub bardziej wyraźnie zrzec się władzy doczesnej; czy wolno mu nie wprost nawet, ale samem tylko milczeniem zgodzić się na dokonane fakty, na odebranie Głowie Kościoła warunków niezbędnych do zupełnej w każdym kierunku niezależności? Leon XIII zbyt bystrym jest politykiem — czego mu i nieprzyjaciele nie odmawiają — aby miał się łudzić, że usiłowania jego w najbliższym czasie odniosą skutek, że wskutek jednej jego mowy, jednej encykliki Rzym

i państwo kościelne wróci jutro lub pojutrze pod panowanie Papieżów. Ale czyż dlatego, że bezpośredniego i pełnego skutku się nie spodziewa, ma broń złożyć, obrony zdeptanej prawdy i sprawiedliwości zaniechać? Ten tylko tak sądzić może, kto nie dość rozumnie, jak władza doczesna, nie luźnymi i przypadkowymi, ale najściślejszymi węzłami z Papieństwem jest złączoną; jak nie tylko pożyteczną, ale rzeczywiście konieczną ona jest Papieżowi do należytego sprawowania rządów Kościoła.

Konieczność ta, oto samo jądro kwestyi, na które, gdyby wszyscy, którzy mówią i rozprawiają o sprawie rzymskiej, zechcieli zwrócić odpowiednią uwagę, nie schodziliby tak często na manowce. Dla wierzących wypływa ta konieczność z samej już nauki Kościoła. Nauka kościelna o ścisłym związku, zachodzącym między władzą doczesną Papieżów, a niezależnością ich w sprawowaniu władzy duchownej, nie dziś dopiero, pod wpływem smutnych okoliczności zrodzona, w tak wyraźnych wystąpiła kształtach, lecz przeciwnie, sięga najodleglejszej starożytności; od niepamiętnych czasów była przez Kościół głoszoną, przez wiernych uznawaną. Tak np. ustanowienie cesarstwa i patrycyatu rzymskiego miało przedewszystkiem na celu zabezpieczenie świeckiej władzy Papieżów, z początku przed napadami Longobardów, później przed innymi wrogami. „Stolica Chrześcijaństwa — pisze w tej mierze i o tych czasach protestant *Gregorovius*¹ — będąc przedstawicielką zasady na świat cały się rozciągającej, musiała mieć sobie zapewnioną wolność, wszystkim ludom, chcącym ją opanować, musiała wzbronąć przystępu, a rezydujący w niej Najwyższy Kapłan nie mógł być poddanym żadnego króla... Te są przyczyny, dla których Papież zachował po dziś dzień rządy kościelnego państewka“. „Kościelne państwo rzymskie — czytamy u tego samego pisarza na innem miejscu² — było istotnym warunkiem duchownej niezależności Papieża“.

¹ *Gregorovius*. Historia miasta Rzymu w wiekach średnich. T. III, str. 5. (Tłóm. włoskie).

² Tamże. T. IV, str. 386.

Protestancki historyk powtarza tu zresztą tylko, podpisując się na nie w zupełności, zdania i nauki samychże ówczesnych i późniejszych Papieży. Konstytucya Mikołaja III, *Fundamenta militantis Ecclesiae*, tak jasno całą tę sprawę wyłącza, że ktoś nieświadomy łatwo mógłby się omylić i sądzić, że wydana została nie w r. 1278, ale w r. 1878. Celem konstytucyi jest przeszkodzić, aby „żaden cesarz lub król, margrabia, książę, hrabia lub baron... nie był wybranym na senatora, dowódcę, patrycyusza lub zarządcę, — aby im nie poruczano tego rodzaju władzy lub urzędu¹”. Jaka przyczyna tego wykluczenia? Niezbędna konieczność — odpowiada Papież Mikołaj III — zabezpieczenia Głowie Kościoła i jej doradcom zupełnej wolności we wszystkich czynnościach; dlatego bowiem Rzym oddany został Papieżom, aby stolica Piotrowa w Rzymie, na własnym swym gruncie pozostając, we wszystkich swych czynach i w całym działaniu niczem i w niczem nie była skrepowana. Należy się przecież, aby Papież Rzymski słyszeć mógł wolne sądy i zdanie od braci swych, świętego Kościoła Kardynałów. Należy się, aby własne jego zdanie na różne wpływy narażone, nie chwiało się na wszystkie strony. Należy się, aby bracia jego nie potrzebowali się w niczem obawiać władzy świeckiej, aby ich nadzieja ziemskich korzyści ku sobie nie wabiła i nie odciągnąć nie mogło od raz powziętego, silnie ugruntowanego zdania². W pięćset lat po wydaniu tej konstytucyi, Pius VII odpowiadał z więzienia na propozycyę Napoleona: „Oddajcie mi Rzym, a dopiero gdy mi w ten sposób zabezpieczycie niezależność, będę się mógł z wami układać”. I znowu, gdy w pół wieku potem wojska piemonckie zajęły Romanię, Pius IX w encyklice do wszystkich biskupów całego świata, powtórzył z naciskiem tę samą zasadę²: „Zatwierdzamy i głośno oznajmiamy, że świeckie panowanie niezbędnie jest Apostolskiej tej Stolicy potrzebnem, aby poruczoną sobie świętą władzę mogła dla dobra religii wykonywać

¹ *Sent. Decr. L. I. tit. VI. De electione et electi potestate.*

² *Epistola encycl. Pii IX die 18 Iunii 1859.*

bez wszelkiej przeszkody“. Wielokrotne późniejsze oświadczenia Piusa IX i Leona XIII, zbyt żywo jeszcze stoją w pamięci, aby potrzeba je tu przypominać. Z oświadczeń tych okazuje się wszakże najlepiej, że jeżeli dawniej, to szczególnie — jak z pryncypem wyraziło się przeszło 300 arcybiskupów i biskupów w adresie przedłożonym Piusowi IX dnia 9 czerwca 1862 r.: — „w obecnym stanie rzeczy władza doczesna niezbędną jest dla należytego i wolnego sprawowania rządów Kościoła i dusz“.

Zgodna nauka Kościoła, nauka tyłokrotnie i tak silnie potwierdzona, a z coraz większą jasnością w miarę okoliczności i potrzeby występująca, wystarcza aż nazbyt dla przekonania ludzi wierzących, że Papieżowi władza doczesna jest konieczną; prawdę tę stwierdza zresztą oczywiście sam rozum, zmuszając do jej uznania już nie tylko wiernych katolików, ale wszystkich, którzy kierują się światłem rozumu, a nie uprzedzeniem, lub namiętnością.

Każde odrębne społeczeństwo, do odrębnych zmierzające celów, mające i broniące odrębnych swych interesów, musi też mieć odrębny swój, w sferze tych celów i interesów zupełnie niezależny rząd. Czy Włochy np. mogłyby być należycie rządzone przez króla, rezydującego w Berlinie, przez parlament obradujący we Wiedniu? Każdy Włoch uważałby taki stan rzeczy, i to z wszelką słusnością, za potworny, niemożliwy; bolałby nad niewolą, w jaką ojczyzna jego popadła. A jakież społeczeństwo, i z nadprzyrodzonego i z przyrodzonego nawet punktu widzenia, wykazać się może wyższemi i bardziej sobie tylko właściwemi prawami i interesami, od Kościoła katolickiego? Wszak odrębność tę przyznawali mu nie w dawnych tylko, ale i w najnowszych czasach najwięksi jego wrogowie. Włoski minister spraw zagranicznych, *Visconti Venosta*, pracując usilnie nad zaborem Rzymu, oświadczał jednocześnie, że Włochy poczuwają się do obowiązku „uregulowania z całym katolickim światem“ rękojmi, zapewniających niezależność Stolicy Apostolskiej. Ambasador włoski w Londynie *Cadorna*, zaręczał lordowi *Granville*: „Niezależność papieską

zabezpieczymy wszystkimi gwarancyami, których wymagają religijne interesa innych katolickich narodów europejskich⁴. Podobne zapewnienia otrzymały dwory: paryski, madrycki, brukselski, a *Visconti Venosta* nie wahał się nawet ostatecznie oświadczyć: „Rządy spełnią zaszczytny obowiązek, ustanawiając zgodnie na korzyść Głowy Kościoła gwarancye, któreby wystarczyły do uspokojenia i zadowolenia sumień⁴.”

Sami zatem ministrowie i dyplomaci włoscy wyznają, że Kościół katolicki mieć musi odrębny, niezawisły rząd, że zatem — rzecz prosta — głowa tego rządu nie może od żadnego innego, obcego rządu być zależną. „Oczywistem jest — mówił Pius IX w allokucyi z 20 kwietnia 1849: *Quibus quantisque* — że ludy, królowie i narody nigdy z pełną miłością i ufnością zwracać się nie będą do Biskupa Rzymskiego, gdyby tenże, będąc poddanym jakiego rządu lub monarchy, nie miał zupełnej w każdym kierunku wolności. Rodziłoby się w nich zawsze silne podejrzenie, ulegaliby bezustannej bojaźni, czy Papież w czynach swych nie ulega wpływowi rządu lub króla, na którego terytoryum pozostaje. I pod tym pozorem odmawianoby nieraz posłuszeństwa papieskim rozkazom⁴. Historia przyznaje tym słowom najzupełniejszą rację. „Kiedy Papież — pisze protestant *Green*¹ — osiedli w Awinionie, uważano ich powszechnie za kreatury królów francuskich; Anglicy słyszeć nie chcieli o francuskim Papieżu i grozili ukamienowaniem jego legatom, jeźliby się poważyli wylądować w Anglii⁴. Niechętny rządowi papieskiemu *de la Guéronnière* przyznać musiał w słynnej w swym czasie broszurze²: „Nauka katolicka i racya polityczna występują wspólnie w obronie świeckiego panowania Papieżów... Ze względów politycznych niezbędnem jest, aby Głowa 200 milionów katolików nikomu nie była podległa, nie zostawała pod żadną obcą władzą... Gdyby Papież nie był niezależnym monarchą, stałby się Francuzem, Austryakiem, Hiszpanem lub Włochem, a narodowa ta

¹ *Histoire abrégée du peuple anglais*. p. 229.

² *Le Pape et le Congrès*. Paris 1860.

cecha przyćmiłaby w nim charakter powszechnego kapłaństwa. Stolica św. zeszlaby wówczas do roli podpory tronu w Paryżu, Wiedniu, Madrycie. Równie Rosyi, Anglii i Prusom, jak Francyi i Austryi, zależeć na tem musi, aby dostoyny Przedstawiciel jedności katolickiej nie był nieczym poddanym“.

Cóż dopiero, jeśliby ów rząd, od którego Papież zostawałby w zależności, był wrogo usposobionym przeciw Kościołowi, jak dziś rzeczywiście rząd włoski i w teoretycznych swych zasadach i w praktycznem ich zastosowaniu wrogo jest usposobionym!? Czyż Papież może oddać się ze związanymi rękami takiemu rządowi na jego łaskę i niełaskę? Naturalnie Kościół bądź co bądź nie zginie, jak nie zginął w pierwszych trzech wiekach chrześcijaństwa: wtedy go prześladowano, i dziś, choć innego rodzaju, prześladowaniu ulega, wtedy Opatrzność Boża nad nim czuwała, i dziś ezuwa; — lecz czyż dlatego, że Kościół ostatecznie przetrwa tę burzę, nie jest ona niebezpieczną i szkodliwą; czyż katolicy patrzeć mogą spokojnem okiem na więzienie, prześladowanie, uniżenie swej matki dlatego tylko, że o życie jej są spokojni?

Niektórzy znów, nawet z pomiędzy katolików, przyznają, że Papieżowi niezależność jest niezbędną; przyznają, że dzisiejszy stan rzeczy jest nieznośnym, ale nie chcą z tych wyznań wyciągnąć ostatecznych wniosków i bronić się przed niemi usiłując następnymi sofizmatami: Dajmy na to, że Papież odyskuje dziś Rzym; czyż małe to państewko, nieznaczną wysepką oblana dokoła morzem niechętnych sobie Włoch, nie byłaby ciągle wystawiana na zalanie; czyż Papież ledwie co uzyskawszy wolność, nie musiałby ciągle lękać się o jej utratę; czyż więc nie lepiej natomiast, jeśli dzisiejsze gwarancye nie wystarczają, rozszerzyć je i wzmocnić?

Trudno brać na seryo te zarzuty, choć znajdują się we Włoszech i po za niemi ludzie, którzy nie tylko w prywatnych rozmowach, ale w gazetach i pismach na seryo je stawiają. Być może, że za lat kilkadziesiąt lub kilkaset zle żywioly wzięłyby znowu górę; być może, że kiedyś nie tylko, jak dziś, Włosi, ale Niemcy, a może Kozacy lub Chińczycy opanują

Rzym i wtrąca ówczesnego Papieża do więzienia, ale dziś przecież nie można się liczyć z tymi hipotezami. Co innego być w więzieniu, jak dziś jest Papież; co innego móc się do niego dostać, jak może się jeszcze dostać i *Crispi* i sam nawet król *Humbert*. A jakaż z drugiej strony gwarancya, że owe nowe, choćby najbardziej rozszerzone, z łaski parlamentu i króla dane i od pańskiej tej ich łaski zawisłe prawa gwarancyjne, nie staną się niebawem, jak dzisiejsze, martwą literą, w cześć formę się nie zmieniają? Dziś mimo praw gwarancyjnych Papież narażony jest w Rzymie na ciągle obelgi; rząd posunął się aż do przejmowania i otwierania listów wysłanych do Papieża; i co świadczy najwyraźniej o właściwym, bardzo małym, a mówiąc bez ogródek, o żadnym znaczeniu tych praw, to głosy domagające się w ostatnich czasach ich zniesienia przez uchwałę parlamentu, jak przez uchwałę parlamentu powstały. Jakże katolicy, jakże Papież zgodzić się mogą, aby na tak kruchych podstawach opierać się miała niezbędna do należytego sprawowania rządów Kościoła, przez wiarę i rozum wymagana niezależność?

Dlatego Papież nie przestaje domagać się jedynie wartości mającej gwarancyi: zwrotu Rzymu; dlatego nie przestaje i niewolno mu, jeśli zdradzić nie chce swego obowiązku, przestać protestować przeciw zaborowi wiecznego miasta. Protestami swymi stwierdza Papież raz po raz święte swe prawo do niesłusznie wydartej sobie własności; nie pozwala, aby prawo to uległo przedawnieniu lub zapomnieniu. Wszak i król włoski mianuje się po dziś dzień we wszystkich publicznych dokumentach królem Cypru i Jerozolimy, choć Papiestwo może bez wątpienia o wiele łatwiej odzyskać władzę doczesną, niż Włochy azyatyckie te posiadłości. Prawda, że Humberta papieskie protesty srodze gniewają, a sułtan śmieje się z włoskich tytułów; ale to stwierdza tylko, że Humbert się boi, a sułtan żadnej racji z tej strony do bojaźni nie widzi. Lecz choćby nawet Papież sądził, że protesty jego nie mają ściśle praktycznego znaczenia i nie torują drogi do pomyślnego w bliższej lub dalszej przyszłości rozwiązania kwestyi rzymskiej; to zawsze jeszcze protestowaćby musiał, jako nauczyciel prawdy, obrońca

sprawiedliwości, władzca duchowny, mający poddanych nie w jednych Włoszech, ale na całym świecie. Protestując, daje tem samem Papież całemu światu zapewnienie, że chociaż znajduje się pod przemocą rządu włoskiego, jednak wpływom jego nie ulega; zaprzestając tych protestów łatwo podaćby się mógł w podejrzenie, że dla chwilowych, doczesnych względów poświęca swe obowiązki, lub że przynajmniej nie występuje i występować nie może z dostateczną energią tam, gdzie większe dobro Kościoła zostawałoby w pewnej sprzeczności ze specjalnymi interesami polityki włoskiej.

Tych interesów Kościoła całego nie można nigdy z oka spuszczać, mówiąc o kwestyi rzymskiej, która jest kwestyą katolicką w najściślejszem słowa tego znaczeniu. Spuszczają je z oka niektórzy Włosi, szczerze skądinąd do pojednania z Papieżem dążący, i wołają na wszystkie tony: „Niech Papież zapomni o tem, co mu się należy, a pamięta, że jest synem Włoch, i z miłości dla ojczyzny własnych swych praw się zrzecze!“ — Tutaj nie rozchodzi się tylko o dobro Włoch, ale o dobro całego Kościoła. „W Rzymie — wyznawał bez ogródek hr. *Carour*¹ — władza doczesna Papieża tak ściśle się łączy z jego władzą duchowną, że ktoby chciał oddzielić jedną od drugiej, ten obydwie narażałby na zagubę“. Fryderyk W. wyraził sto lat przedtem tę samą myśl w liście do *Voltaire'a*²: „Żaden z pewnością europejski monarcha nie zechce uznać kogoś, coby był poddanym obcego króla, namiestnikiem Chrystusowym; jeśliby więc Papież utracił świeckie panowanie, natenczas każdy król zamianuje sobie osobnego swego patryjarchę, a tak zwolna jedność kościelna rozleci się w kawały i każde państwo, jak ma dzisiaj osobny swój język, tak mieć będzie osobną religię“. — Tak samo, ponieważ dobro religii w grę wchodziło, nie pozwolili Papieżowi cesarzom niemieckim na prawo inwestytury; znosili przez lat pięćdziesiąt prześladowania, wygnanie, czasem i więzienie, a zwyciężyli ostatecznie, bo nie

¹ *Documenti diplom. presentati alla Camera* p. 95. Torino 1858.

² *Correspond.* II. 99.

zważali na tych, którzy wytłumaczyć im usiłowali: „Tutaj o dobro Kościoła chodzi, o uratowanie Niemiec od schyzmy; tutaj walka niepodobna, bo przeciwko nam stoi najpotężniejszy monarcha w Europie, książęta, szlachta, nawet biskupi i kler niemiecki, a inne państwa: Francya, Anglia, Włochy południowe, Hiszpania, jeśli z Niemcami nie sympatyzują, to i nam z czynną pomocą ani myślą pospieszyć, ograniczając się, co najwięcej na jałowym współluczniu!”

Choćby zatem Papież nie mógł się — mówiąc po ludzku — spodziewać odzyskania władzy świeckiej, będącej gwarancją duchownej niezależności; to przecież jest jego obowiązkiem, jako głowy Kościoła, nie zaniechać obrony istotnych interesów całego Kościoła, nie zrzekać się przez milczenie swoje tego, co nie jego, lecz całego Kościoła jest własnością; protestować przeciw złodziejom, a odsłaniając właściwe ich cele, przeszkadzać im w ich spełnieniu. — Lecz czyż istotnie — jak z szyderstwem zapewniają nieprzyjaciele Kościoła, i jak między samymi katolikami słyszeć się dają zniechęcone głosy — wszystkie te protesty i nadzieje Papieża i katolików nie mają, praktycznie rzecz biorąc, najmniejszej wartości; czy ludzie trzeźwi, zajmujący się rzeczywistą, nie idealną polityką, a mało, w ogóle mówiąc, w obec faktów dokonanych na prawo się oglądający, muszą, ramionami wzruszając, przechodzić nad tymi protestami do porządku dziennego? Innemi słowy, na czem katolicy i Papież opierają nadzieję pomyślnego rozwiązania kwestyi rzymskiej?

Nadzieja ta ugruntowana przedewszystkiem na pobudkach nadprzyrodzonych, z wiary, z obietnic Bożych zaczerpniętych; bo jeśli nigdy i w niezem, to na pierwszym miejscu we wszystkim, co się odnosi do istnienia i życia Kościoła, pobudek tych z oczu spuszczać nie można. Jeżeli władza doczesna Kościołowi jest potrzebną, a że jest potrzebną, o tem i nauka Kościoła i sam rozum ją przekonują; natenczas każdy katolik pewnym być może, że Opatrzność Boża w sposób i w czasie

sobie wiadomym, potrzebie tej zaradzi. Pierwsi chrześcijanie czekali z ufnością przez lat trzysta, wbrew wszelkim pozorom i trudnościom, na tryumf Kościoła, i doczekali się go wtedy właśnie, gdy po ludzku zdawało się, że straszne prześladowanie Dyoklecjana wygładzi z powierzchni ziemi nie tylko cześć, ale i pamięć imienia Chrystusowego. Papieże sami pozbawieni już byli 171 razy panowania doczesnego, i tyleż razy Opatrzność panowanie to im wróciła; czyż ten fakt, jedyny w swoim rodzaju w dziejach świata całego, nie jest sam ze siebie dostatecznym znakiem, że w historii państwa papieskiego grają rolę inne, potężniejsze i wyższe czynniki, niż w historii wszelkich innych państw; że rachować się tu trzeba z szczególną Opatrznością Bożą, rządzącą Kościołem? W pierwszych latach po zaborze Rzymu rodziły się i rozchodziły liczne a rozmaite, z mniejszą lub większą dobrą wiarą puszczane w obieg prorocstwa o prędkim wypędzeniu Włochów z miasta wiecznego. Wszystkie te prorocstwa okazały się ułudami; ale znający swą wiarę katolicy, jak do prorocstw tych bardzo tylko małą i względną przywiązywali wagę, tak też, chociaż się nie spełniły, bynajmniej nie stracili nadziei, na silniejszej oparciu podstawie, bo na obietnicy niezawodnej samego Boga, że Kościoła swego nie opuści. Zapewne, władza doczesna nie należy tak do istoty Kościoła, aby tenże bez niej istnieć nie mógł; ale czy tylko w takich, samą istotę tworzących rzeczach, może Kościół rachować na opiekę Boskiego swego Założyciela? Środek to, ale taki, jakim jest chleb dla utrzymania życia. Ani wątpić też nie można, że dzisiejsze prześladowanie, smutna niewola Papieża, to próba, która nie wiemy kiedy się skończy, ale ufamy w opiece Bożej nad Kościołem, że się skończy niebawem.

Ufność tę nakazuje wiara, a wzmacnia ją cała historia Kościoła, która wykazuje jakby jakieś szczególne prawo Opatrzności Bożej, chroniące i zasłaniające w najtrudniejszych okolicznościach władzę doczesną Papieżów. A najprzód, czy przywrócenie tej władzy, jak niektórzy śmiało utrzymują, wchodzi w sferę niemożliwości? Mówić o „niemożliwości“, o „niepodobieństwie“, to zapominać o nauce, którą historia daje na ka-

źdej niemal swej karcie, ostrzegając przed zbyt pospiesznem użyciem tego wyrazu. Kto np. na rok lub dwa przed rewolucją francuską mógł przewidzieć pojawienie się Napoleona, który państwo kościelne obalił; kto w r. 1811 przewidzieć mógł wyprawę pod Moskwę, która państwo to wskrzesiła? A zjednoczenie Włoch przez jakąż to drogę najeżoną niespodziankami, zdawało się niemożliwościami, doszło wreszcie do skutku? W iluż książkach i broszurach z przed lat kilkudziesięciu czytamy uśmiech dziś wywołujące zdania: „Absolutnem jest niepodobieństwem, aby Prusy osiągnąć mogły kiedykolwiek hegemonię w Niemczech“, lub: „Nikt chyba nie jest tak szalonym, aby mógł utrzymywać, że Włochy sprzęgna się kiedy z Austryą“. Tymczasem dzisaj patrzymy na owe „szaleństwa“ i „niepodobieństwa“ i nie im się dziwimy, ale raczej naiwności tych, którzy tak śmiało i bezwzględnie o przyszłości wyrokowali.

Nieroztropną więc co najmniej jest rzeczą, mówić o niemożebności przywrócenia państwa kościelnego. Nieraz już rozumowanie ludzkie stawiało wniosek: „Panowanie Papieskie stanowszo zakończone“, a rozumujący tak zazwyczaj za życia jeszcze swego przekonać się mogli, że zawiódł ich ten wniosek wyciągnięty zbyt pospiesznie, bez względu na Opatrzność Bożą i na naukę, którą dają dzieje samegoż Papiestwa. Kto za Stefana II myślał o pomocy Pipina i Franków przeciw potężnemu Astolfowi, pragnącemu założyć swą stolicę w Rzymie? Kto przewidzieć mógł za Leona IX, że zwycięzcy Normandczycy zmieniają się w jego wasalów?; za Aleksandra II, że własni wasalowie cesarza Henryka IV, przeciw niemu powstaną? A nie są to odosobnione przykłady; historia Papiestwa wylicza ich przeszło 150. Na kongresie wiedeńskim właśnie państwa schyzmatyckie: Rosya i Anglia najżarliwiej wystąpiły za utrzymaniem władzy doczesnej, jak gdyby Bóg okazać chciał, że szczególne prawo Opatrzności Jego władzą tą opiekuje się nie tylko pośrednio, ale nieraz wprost i to najnieodpowiedniejszymi, zdawałoby się wbrew wszelkim ludzkim przewidywaniom i rachubom, środkami się posługując.

W obec tak ważnych, dla świata całego niezmiernie doniosłych interesów, które w grę tu wchodzi; w obec woli Bożej, która równie przez światło rozumu, jak przez usta Kościola i historyi tak wymownie przemawia, ustąpić muszą — rzecz prosta — wszystkie inne racje i względy, choćby racje te i względy domagały się rzeczywiście, a nie pozornie i sofistycznie zachowania dzisiejszego stanu rzeczy. Jakież to racje? Przeciwnicy Papiestwa napisali o nich grube tomy i do znużenia pod najrozmaitszemi nazwiskami, we wszelkich formach, wciąż je powtarzają. Ostatecznie, odrzuciwszy na bok retoryczne formułki i gazeciarskie bajania, racje te streścić się dadzą w następny sposób: „Nie możemy zwrócić Papieżowi władzy doczesnej, ponieważ sprzeciwia się temu jedność Włoch, woła ludu włoskiego, niemożliwość przeniesienia stolicy włoskiej ze Rzymu, niemożliwość zezwolenia w samym środku konstytucyjnej Europy na rządy absolutne, teokratyczne“.

Czy są to rzeczywiście i tak wielkie trudności, czy usunąć ich nie można, jaka ich istotna wartość?

W ustach wielu, skądinąd nieraz dobrze usposobionych, najgłówniejszą przeszkodą, jest jedność Włoch, których rozrywać lub uszczuplać, choćby na rzecz Papieża, nie wolno żadnemu prawdziwemu patryjocie. Miłość ojczyzny, nienaruszalność jej granic, — magiczny to wpływ wywierające wyrazy; lecz czy ci, którzy do tych frazesów je wkładają, dobrze ojczyźnie służą, czy i skąd mają prawo przywłaszczać sobie monopol zrozumienia interesów Włoch i należytego ich prowadzenia? Wszak nie tylko szczerzy katolicy, ale i republikanie — a liczba tych ostatnich równie niemała — oskarżają stojących u steru rządu monarchistów, że prowadzą ojczyznę do ruiny i materyjalnej i moralnej. Monarchiści ze swej strony nie tają, że zdaniem ich brak republikanom prawdziwej miłości ojczyzny, którą wypędziła z ich serc niezdrowa ambicja, z umysłów rewolucjonistyczne i socjalistyczne mrzonki. Bądź co bądź stronnictwa, które mają na sumieniu tyle włoskiej krwi, wylanej przy wzięciu Ankony, Gaety, przy bombardacyi Palerma, rzezi turyńskiej i spełnieniu 11,000 wyroków

śmierci w prowincjach południowych z powodów politycznych, miałyby wszelką rację do większej nieco skromności i nieprzechwalania się z wyłącznej swej miłości, wyłącznego zrozumienia, na czem zależy miłość ojczyzny.

Lecz zgodziwszy się nawet na zasadę jedności Włoch, czyż istotnie świeckie panowanie Papieża jedność tę by zniszczyło? Tak mała byłaby to oaza, że śmiesznie o tem i mówić. Zresztą, jeźliby tylko o jedność się rozchodziło, to dla czegóż, jak się tego domagali najznakomitsi patryoci, Włochy nie związały się w konfederację, nakształt Niemiec lub amerykańskich Stanów Zjednoczonych? Odpowiedź prosta: zaborcom Rzymu nie rozchodziło się bynajmniej o jedność Włoch, ale o prześladowanie i zgnębienie religii; sławiona przez łożę jedność służyła tylko za pozór przed światem, za przynętę dla naiwnych. Właściwy cel dążeń swych i czynów odkryli nieraz jawnie, rzecby można, bezwstydnie: przewodzczy włoskiej rewolucyi, ministrowie, deputowani, poeci „Zjednoczonych Włoch“. *Desanctis* oświadczył w r. 1867 z ławy poselskiej: „Stronnictwo liberalne powstało w Europie głównie w celu zwalczenia wolności Kościoła“. *Andreotti* wołał w parlamencie: „Wszystkie kultury powinny ogłosić rewolucyę wymierzoną przeciw kultowi katolickiemu“. *Crispi* napominał w r. 1865: „Należy nastraszyć katolicyzm“. *Piccolomini*: „Katolicyzm, to negacya ludzkości“. Minister *Cairolì*: „Katechizm jest książką niemoralną, którą z domów trzeba wyrzucić“. Wreszcie *Diritto*, organ jednego z rewolucyjnych stronnictw, rządzących Włochami, oświadczał bez ogródki pod datą 7 sierpnia 1863: „*Civiltà Cattolica* mówi, że ostatecznym celem rewolucyi włoskiej jest zburzenie Kościoła, a mówiąc tak *Civiltà Cattolica* bynajmniej się nie myli“. — Czyż w obec takich oświadczeń uwierzyć można, że zabór Rzymu zrodził się z idealnej miłości dla Włoch Zjednoczonych; czy ludziom stawiającym takie programy, wyznającym takie zasady, organizującym olbrzymie manifestacye na cześć *Giordana Bruno*, wierzyć można, gdy w miarę potrzeby rolę zmieniając, z niewinną miną zapewniają: „My nie prze-

śladujemy, ale bronimy się przed zamachami na całość włoskiej ojczyzny“ ?!

Bronienie się względami na jedność włoską nie wytrzymuje krytyki; powoływanie się na wolę ludu włoskiego wprost na żart zakrawa. Dzisiejszy rząd i dzisiejszy stan rzeczy zadawalnia zaledwie bardzo szczupłą garstkę sekciarzów, którzy chwycili władzę lub w najbliższym czasie spodziewają się ją pochwycić; wszyscy, którym nie własne, lecz ojczyzny dobro na sercu leży, czują, że zstępują w przepaść i pytają tylko ze strachem: Jak ta przepaść głęboka? Trzynaście miliardów długu; straszna, z roku na rok rosnąca, oszukaństwami prowadzonemi na wielką skalę podtrzymywana nędza klas roboczych; w bardziej jeszcze przerażającym stosunku rosnąca niemoralność; wyczerpujące z kraju wszelkie siły żywotne, a dla utrzymania dzisiejszego stanu rzeczy zawarte przymierza: oto w paru słowach, do czego doszły w imię wolnomularskiej polityki kwitnące niegdyś i szczęśliwe Włochy. Wyzyskiwani, upadający pod ciężarem podatków, zagrożeni przez wciskającą się wszędzie, a niejako urzędownie protegowaną niemoralność w domowych swych zagrodach, przypominają sobie z boleścią dawne i materyalnie i moralnie lepsze czasy i wróciliby do nich z radością. Nie mówiąc już o szczerych katolikach, przynajmniej połowa liberałów — jak utrzymują ludzie gruntownie z włoskimi stosunkami obeznani — przełożyłaby federacyę państw włoskich nad dzisiejszą, ani najważniejszym interesom, ani historycznym tradycyom nie odpowiadającą centralizacyę. Jak zresztą doczesna władza Papieża jest popularną między ludnością włoską, tego bijącym w oczy dowodem wyżej wspomniana petycja do parlamentu, z którą rząd nie umiał sobie poradzić, jak przeszkadzając przymusowymi środkami wolnej manifestacyi opinii kraju.

Bez wątpienia, na zmianie dzisiejszych rządów i stosunków ucierpiałoby, przynajmniej chwilowo, pewne prywatne interesy; lecz tego rodzaju trudności nie brano nigdy i brać nie można w ruchbę, a niezadowolenie pewnej ograniczonej liczby awanturników, spekulantów, dorobkowiczów, ciągnących

korzyści z dzisiejszego stanu rzeczy, przeciwważyć nie może istotnej woli włoskiego ludu. Wszak więcej od tego niezadowolonia ważą tak smutne ekonomiczne stosunki włoskie, tak smutne głównie z powodu przymierzy, zawartych na pierwszym miejscu ze względu na kwestyę rzymską. Rok rocznie płacą obecnie Włochy 600 milionów procentu zagranicznym bankierom; same repressalie francuskie w roku bieżącym kosztują Włochy do 500 milionów. To też wielu powtarza po cichu, co jeden śmielszej natury wypowiedział głośno: „Przeklęty to dzień, w którym weszliśmy do Rzymu!“; i co wręcz przyznał wolnomularz Józef *Ferrari*: „Tysiąc razy lepiejby było wrócić do Turynu, niż w takich, jak dziś warunkach pozostawać w Rzymie. Wystarczy rzucić raz okiem dokoła, aby się przekonać, że jesteśmy tu gośćmi. My jesteśmy chwilowymi gośćmi, a wy prowizorycznym rządem i niczem więcej“¹.

I dla czegoż to nie możnaby przenieść stolicy Włoch ze Rzymu do innego jakiego miasta? Wszak przeznaczeniem Rzymu, a jedną z największych, jeśli nie największą chwałą Włoch — jak wyraził się minister *Visconti Venosta* — jest to właśnie, że „miasto wieczne jest stolicą świata, a nie jednego kraju“. Do Konstantyna W. był Rzym stolicą ziemską, odtąd jest du-

¹ Paryski korespondent *Times'a* ogłosił następnę charakterystyczne słowa pewnego włoskiego dyplomaty, który uchodzi w swem stronnictwie za jednego z najzdolniejszych: „Wszystkim nam niemiło w Rzymie. O bardziej niewygodnej, nieprzyjemnej, niepraktycznej stolicy pomyśleć trudno. Używaliśmy najróżniejszych środków, żeby ją uczynić nie tak niezdrową; wszystko na próżno! Niepodobna ją upiększać bez wywołania burzy skarg o profanację. Nie możemy zrobić kroku w nieszczęśliwem tem mieście, nie spotykając się z jakąś zawadą. Król bardziej jeszcze od innych Rzymu nie cierpi. Myśl o tym starcu (Papieżu), który zawsze niejako oko w oko nań patrzy, niemożliwą jest do zniesienia. Śmiejemy się z kościelnego interdyktu rzuconego na Kwirynał, ale każdy radby nie mieszkać w kwirynalskich pokojach... Mamy miasto, które jest jakby stworzone na najpiękniejszą stolicę w świecie: Florencję... A przecież zostajemy w Rzymie, gdzie każdy dzień naszego pobytu jest nowem rzucaeniem rękawicy sumieniu całego świata i fundamentalnym prawom, wedle których wszystko powinno się układać“. (*La Question romaine, internationale et anglaise* par Mgr. *Vaughan*. Paris 1889. p. 81).

chowną stolicą świata. Z Rzymu szła na całą kulę ziemską cywilizacja prawdziwa; ztąd wysłani zostali z posłannictwem zaszczerpienia chrześcijańskiej wiary, oświaty, cywilizacji: *Dionizyusz* do Francyi, *Augustyn* do Anglii, *Patrycjusz* do Irlandyi, *Bonifacy* do Niemiec, *Cyryl* i *Metody* do krajów słowiańskich. Dzisiaj znowu z Rzymu otrzymuje świat ostrzeżenia i środki zaradcze przeciw grożącym sobie niebezpieczeństwom: socjalizmowi, wolnomularstwu, materialistycznym teoryom. Przeciw barbarzyńcom, niszczącym starożytne rzymskie pomniki, zaprotestowali zgodnie uczeni wszystkich krajów i przekonali, bo Rzym, jak w protestach swych wyrażali się, „do całego świata należy“. Tembardziej katolicy rzymscy protestować muszą przeciw zabraniu przez jeden kraj własności całego świata, przeciw straceniu Rzymu do rzędu stolicy jednego państwa. A nadomiar państwo to żywi się groszem skradzionym Kościołowi; utrzymuje swe ministerya w klasztorach zbudowanych za pieniądze bynajmniej nie wyłącznie włoskie, ale katolickie; królowi, przedstawicielowi porządku i sprawiedliwości przeznacza na mieszkanie szablą zdobyty, witychem otworzony prywatny pałac papieski! Smutnym był to dzień w historii miasta wiecznego, w którym dostało się ono pod panowanie prawdziwych barbarzyńców; sromotnym był w szczególności dla Rzymu dzień, w którym starożytny gród Cezarów i Papieży, rozkazujący całemu światu, przemienić pokuszono się we włoskie miasto, siedzibę królów z łaski rewolucyi!...

Ostatni zarzut u jednych, obawa u innych, z którą choć nie występując jawnie, to w głębi serca się niepokoi wielu bardzo nawet dobrych katolików, zawiera się w pytaniu: „Czy w obecnych czasach i stosunkach możliwe są rządy kierujące się ściśle zasadami katolickiej religii; czy dawna rzymska „teokracja“, która nigdy nie była podobno ideałem rządów, nie jest dzisiaj niemożliwym anachronizmem; czy w obec rozwijającego się wszędzie konstytucyjnego życia, istnieć może państwo absolutne, jakim byłoby bez wątpienia państwo papieskie; państwo nie używające w każdym razie swym podda-

nym wielu praw i wolności, które, choćby nawet w sobie nie najlepsze, zbyt się zrosły ze zwyczajami i obyczajami, aby ludność pozwoliła je odebrać bez szemrania, a kto wie, czy bez buntu?*

Frazesy o smutnych czasach „rzymskiej teokracji“, o „osławionych papieskich rządach“ puszczane w obieg przez wrogich Kościołowi pisarzy, roznoszone skwapliwie przez złe lub lekomyślne dzienniki, nie zasługują, zdawałoby się powinno, aby na seryo nimi się zajmować. Poważni badacze dziejów, bynajmniej nie wyłącznie katolicy, lecz wspólnie z katolikami: protestanci i jawni niedowiarkowie oddawna oddali należną sprawiedliwość tym frazesom i niejednokrotnie wyznali i wyznają, że „rzymska teokracja“, choć bez wątpienia, jak każdy rząd na świecie, wielu błędów mogła się dopuścić i w rzeczywistości niejednego błędu się dopuściła, to przecież stokroć była lepszą, o wiele bardziej miała na oku istotne dobro poddanych, o wiele praktyczniej im zaradzała, niż wszystkie, wedle wrzekomo najidealniejszych systematów zbudowane dzisiejsze rządy. „Żadna dynastia — przyznaje protestant *Ranke* — poszczycić się nie może takim szeregiem królów mądrych i cnotliwych, chcących i umiejących dobrze rządzić, jaki przedstawia dynastia królów-Papieżów“. Po dziś dzień słyszeć można nieraz w dawnym państwie kościelnym poważnych starców, powtarzających z ubolewaniem: „Inaczej to było, lepiej było za Papieżów! Podatków prawie nie znaliśmy; uczeiwie zarobione pieniądze nie szły do kas bankierskich lub wojskowych, ale do naszych własnych; Papieże stawiali na własny swój koszt pomniki, szpitale, wodociągi; spokojniśmy byli o bezpieczeństwo naszych rodzin, o cnotę naszych dzieci“.

Przynosząc ze sobą wszystkie te i wiele innych korzyści, rząd papieski nie potrzebowałby wcale odbierać poddanym swym konstytucji; nadał ją raz już Pius IX i istotnie nie ma najmniejszej racji, dla której zasadniczo rząd państwa kościelnego nie mógłby być rządem konstytucyjnym, parlamentarnym. Jeżeli w czem leży w tym względzie rzeczywista trudność, to w dzisiejszym upadku parlamentaryzmu; w obej-

mującym coraz szersze koła braku ufności, nie tak może do samej zasady parlamentaryzmu, jak do formy, w której dziś się rozwinął; do szczerego, niekierowanego ubocznymi względami postępowania wyborców, wybranych i całych stronnictw. Rzecz prosta zatem, że Papież nie potrzebowałby naśladować niewolniczo chylącego się wszędzie do zgonu dzisiejszego parlamentaryzmu; mógłby np. natomiast wprowadzić w życie konstytucję, opartą z pewnymi zmianami na wzorach, wziętych z historii wieków średnich. Konstytucja taka zabezpieczałaby w daleko wyższym stopniu, niż dzisiejsze europejskie konstytucje, prawdziwą wolność i najróżnorodniejsze interesa wszystkich warstw; przedstawiałaby rzeczywistą wolę ludu, a nie zachcianki kilkudziesięciu polityków, dziennikarzy, agitatorów.

Papież dając taką, czy innego rodzaju konstytucję; zaręczając aż do pewnego, oznaczonego punktu wolność słowa i druku, nie mogliby naturalnie przyjąć zasady, — jak w gruncie żaden człowiek zdrowymi zmysłami obdarzony, przyjąć jej nie może — że złe i dobre mają te same prawa, że religia prawdziwa i fałszywa zasługuje na tę samą cześć i względy. Praktycznie rzecz biorąc, ciężłyby na nich nie inne, ale te same obowiązki, które ciążyą na każdym królu i państwie chrześcijańskim. Mogliby zatem Papież, stosownie do okoliczności i w pewnych granicach tolerować dyskusye o kwestiach powiązanych z religią, moralnością, polityką. Państwo papieskie nie potrzebowałoby odrzucać żadnej nowej zdobyczy wolności i postępu; chyba, że w imię wrzekomej jakiej zdobyczy, kazanoby mu się wyrzec zasad chrześcijańskich. Tak przy bliższem zbadaniu rzeczy, upiór średniowiecznego państwa, straszący pod koniec XIX wieku nie tylko dzieci, ale co dziwne i wielu dorosłych, niknie bez śladu, a natomiast pozostaje stara prawda, że Papież byli zawsze ludźmi swego wieku, i że zatem nie ma żadnego powodu, aby miał od starej tej tradycyi odstąpić Król-Papież, panujący na schyłku XIX w.

Lecz dziś podrzędnego to znaczenia kwestya, jakby się w pewnych szczegółach ukształtowało państwo kościelne; gło-

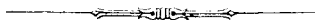
wną, kardynalną rzeczą jest zapewnienie Głowie Kościoła niezbędnej niezależności, a zapewnienie takie jedynie władza doczesna dać i zagwarantować jest w stanie. Jakiego niejako stopnia i rodzaju byłaby ta władza, jakie granice miećby musiało przyszłe państwo kościelne, w jakim stosunku znajdowałoby się ono mogło do państwa włoskiego: o tem słowo i decyzya należy wyłącznie do samego Ojca św. To też wszyscy biskupi, wszyscy rozumiejący swe obowiązki katolicy tą jedną normą, słowem Papieża się kierują; i wspólnie z Papieżem protestują przeciw dzisiejszemu stanowi rzeczy. Mała jedynie garstka ludzi, którzy choć nieraz zowią się katolikami, nie wiele z katolicyzmem mają wspólnego, porywa się do krytyki postępowania Papieża, a dla lepszego zamaskowania się przedstawia wszystkich wiernie przy Papieżu stojących, jako nieznaczące stronnictwo wyegzaltowanych katolików; nazywa ich z zasady nie tem, czem są, tj. poprostu: „katolikami“, ale „klerykałami“, „ultramontanami“, „nieprzejednanymi“, „watykanistami“ i t. d.¹ Nieomyślności papieskiej nie ma tu racyi w grę wciągać; o herezyach, formalnych schyzmach nie ma co mówić; ale słusznie mówić można o nieposłuszeństwie i nie-subordynacyi dla najwyższego zwierzchnika Kościoła. Chrystus nie założył przecież Kościoła na zasadach dzisiejszej demokracji, aby każdy mógł do rządów jego się mieszać, sądzić je i starać się zreformować wedle własnego widzimisię; zresztą wszak i w państwach konstytucyjnych pewne najwyższego znaczenia kwestye, jak wypowiedzenie wojny, zawarcie pokoju, należą wyłącznie do króla.

Czysto po ludzku mówiąc, Papież najlepiej jest w stanie wiedzieć, co mu czynić wypada; cóż dopiero mówiąc po

¹ Nazwy te z żydowskich i masońskich dzienników zagranicznych i z telegramów przesyłanych przez tego rodzaju agencye, przeszły dzięki zbytnej wierności tłómaczów i uzyskały prawo obywatelstwa, i w naszych, przez przeciwników „ultramontańskimi“ nazywanych dziennikach. Czasby zwrócić uwagę na niestosowne te wyrażenia i stanowczo ze słownika porządných dzienników je wykreślić.

katolicku, wiedząc i wierząc, że Chrystus szczególną swą opieką założony przez siebie Kościół otacza, że niepodobna przypuścić, aby w tak ważnej, wzrostu i życia Kościoła wprost dotykającej sprawie, dozwolił swym namiestnikom kroczyć manowcami!

Ks. Jan Badeni.



UBIORY PROFESORÓW I UCZNIÓW

W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM

W ZWIĄZKU Z WSPÓŁCZESNYMI ZWYCZAJAMI (1364—1889).

(Ciąg dalszy).

5. Dziekan, prodziekan i eksdziekan wydziału filozoficznego.

Dziekan od samego początku istnienia uniwersytetu dwa razy do roku wybierany był głową fakultetu, przewodniczył na wszystkich zgromadzeniach, doglądał porządku i karności, kontrolował wykłady magistrów. Te i tym podobne jego atrybucye pozostały prawie niezmienione przez całe wieki.

O ubiorze dziekana filozofii bardzo szczupłe posiadamy wiadomości. Z XV wieku mamy do zapisania kilka ledwie mało znaczących szczegółów. W r. 1415 uchwalił uniwersytet, aby dziekan wydziału filozoficznego na zgromadzenia wydziałowe przychodził w odpowiednim stroju ¹. W ustawie z r. 1449 wyrażono żądanie, aby na dziekana wybierać tylko takiego magistra, który ma przepisany i dobrze utrzymany tabard. Magister wybrany na dziekana a nie posiadający takiego tabardu, składał przed ustępującym dziekanem przysięgę, że sobie tabard w przeciągu jednego miesiąca sprawi. W razie niewykonania przysięgi nie wolno mu było spełniać obowiązków i korzystać z praw dziekańskich ². Z osnowy ustawy nie można żadną

¹ Zob. *Muczkowski*, Statuta, pag. XXIV.

² Tamże, str. XXVIII.

miarą wywnioskować, czy wymagany tabard czyli inaczej toga jest zwykłą profesorską togą, czy też odrębną dziekańską. Wszystko zdaje się przemawiać za tem, że tu rozchodzi się o zwykłą togę profesorską. Dziekan postawiony na czele wydziału i mający między innymi czuwać, aby magistrzy przepisanego ubioru tam gdzie należy używali, pierwszy musiał posiadać odpowiedni ubiór, aby dobrym przyświecać przykładem z góry. To jeden wzgląd. Musimy nadto zważyć, że wybory dziekańskie odbywały się co pół roku. Trudno było wymagać od magistrów, aby na tak krótki czas urzędowania sprawiali sobie togę dziekańską, zwłaszcza od magistrów ubogich, jakimi byli dawniejsi magistrzy, którym jak np. w XV wieku uniwersytet sprawiał togi.

Z XVI wieku o ubiorze dziekana współczesnych wiadomości nie mamy żadnych, jednak znana nam już kompilacya Gilewskiego z r. 1601, gromadząca i w tym kierunku dawniejsze obyczaje, wypełnia lukę.

Dowiadujemy się, że przy inauguracyi ubierano nowego dziekana w togę św. Jana Kantego, którą w procesyi sprowadzano ze skarbcza kościoła św. Anny i odnoszono napowrót. Chciano przez to uprosić św. patrona uniwersytetu, aby nowemu dziekanowi udzielił sił do sprawowania obowiązków, jakie na siebie przyjmuje. Około połowy XVII wieku ubierano dziekana przy tej samej sposobności już nie w togę ale w pelerynkę tegoż świętego; toga widać podarła się. Około roku 1778 tradycyjny ów obrządek zatarł się całkiem ¹.

Z tejże samej kompilacyi Gilewskiego z r. 1601 okazuje się już stanowczo, że dziekan filozofii miał swój urzędowy ubiór i że takowy przechodził z dziekana na dziekana ². W ubiorze tym winien był występować na zgromadzeniach copółrocznych, na których rozdzielał magistróm przedmioty mające się wykładać w rozpoczynającym się kursie ³, dalej przy wizytowaniu

¹ Tamże, str. LXXVII i LXXVIII.

² Tamże, str. LXXVIII.

³ Tamże, str. LXXX.

kolegiów w celu sprawdzania pilności profesorów i uczniów ¹, wreszcie w czasie nabożeństw, w których profesorowie uniwersytetu z obowiązku brali udział ².

Przy innych okolicznościach jawił się w zwyczajnym ubiorze profesorskim bądź w pełnym tj. w tabardzie czyli todze i pelerynce, np. przy egzaminie kandydatów pierwszego uniwersyteckiego stopnia ³, bądź też tylko w todze bez pelerynki, jak np. na posiedzeniach, na których kandydaci drugiego stopnia przedstawiali się profesorom ⁴.

Ubranie dziekańskie w XVII i XVIII wieku, o którego istnieniu najpewniejsze zgromadziliśmy dowody, możemy dokładnie opisać. W r. 1660 podarował magister filozofii Michał Mikołaj Wierzbicki wydziałowi filozoficznemu nową togę purpurową z kosztownego sukna dla użytku dziekana ⁵. Ilustracje potwierdzają tę współczesną zapiskę. W rękopisie archiwum Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego ⁶ pod rokiem 1712 przedstawiona jest w kolorowej ilustracji scena otwarcia nowego kursu w wydziale filozoficznym. W katedrze zasiadł dziekan wydziału w ubiorze urzędowym, w todze paśowej, w pelerynce tegoż koloru oblamowanej złotym galonem; na głowie ma birret czarny, pod brodą pefki. Rękawy togi są szerokie z podszewką różową. Toga dziekańska z r. 1712 ma więc tę samą barwę co toga, którą w r. 1660 podarował dziekanowi wydziału filozoficznego magister Wierzbicki. Świadcstwo piśmienne z r. 1765 stwierdza stanowczo, że i pelerynka dziekana filozofii paśową była. W tym bowiem roku uchwalił uniwersytet, aby magister zastępujący dziekana podczas dysput odbywających się

¹ Tamże, str. LXXIV i LXXV.

² Tamże, str. CII.

³ Tamże, str. XCVII.

⁴ Tamże, str. CXXIV. — Zob. też tamże str. C.

⁵ Zob. Arch. Sen. akad. rkps. l. 90, str. 14: *„novam togam purpuream panni pretiosi obtulerit et donaverit eademque suum dnum decanum decenter exornaverit“*.

⁶ Liczba 90, str. 249.

w poszczególnych klasach ubierał się w purpurową dziekańską pelerynkę ¹.

Dotychczasowe nasze wyniki stwierdza też wiadomość podana przez Jana Śniadeckiego, który pisze, że „dziekan filozoficzny miał purpurę z cienkiego sukna, obwiedzioną galonem złotym“.

Prócz wymienionych części ubioru dziekańskiego tj. biretu, togi i pelerynki, znajdziemy jeszcze niewyraźne bardzo wzmianki o sygnecie dziekańskim. Stwierdzamy tedy, że dziekan wydziału filozoficznego nie używał ani łańcucha ani berła, które wchodziły w skład dzisiejszego ubioru dziekańskiego.

Prodziekan. Już w ustawie z r. 1404 wspomnianych jest dwóch asystentów dziekana filozofii, mających go wspierać ale zarazem kontrolować w jego czynnościach ². Są ślady, że takich asystentów wybierano jeszcze w XVII wieku ³. W r. 1765 postanowiono wybierać w przyszłości prodziekana, mającego zdaje się zastąpić dawniejszych asystentów. Wybierano go zaś jednocześnie z dziekanem, a więc dwa razy do roku. Urząd prodziekana mógł piastować każdy magister togatus. Prodziekana jedynym zadaniem było zastępować dziekana w przewodniczeniu dysputom bakałarzy. Jako odznaczenie przyznał wydział prodziekanowi prawo używania fioletowej pelerynki podczas owych dysput ⁴.

Eksdziekan. W r. 1765 postanowił wydział odznaczyć odrębnym ubiorem wszystkich byłych dziekanów, dla odróżnienia ich od innych magistrów i bakałarzy fakultetu. Odznaką ową miały być czarne atlasowe pelerynki obszyte srebrnym galonem a podszyte purpurowym multanem(?) ⁵.

¹ Zob. *Muczkowski*, Statuta, str. CCI.

² Tamże, str. IV.

³ Tamże, str. 78 i 79.

⁴ Tamże, str. CCI.

⁵ Tamże, str. CCI.

6. Wydział lekarski.

Od kandydatów zawodu lekarskiego wymagano ukończenia kursów w wydziale filozoficznym. O owych wymaganiach, wynikających zresztą z organizacyi ówczesnych szkół, wspominają ustawy z XV wieku ¹. W XV stuleciu studia medyczne rozłożone były na pięć lat ²; w następnych wiekach ograniczono je do czterech lat.

Po dwóch latach prawidłowych studyów nabywał scholarz prawa ubiegania się o stopień bakałarza medycyny. Egzamin zgłaszających się kandydatów jako i promocya tych, którzy go zdali, odbywała się pod przewodnictwem dziekana. Po dwóch dalszych latach zgłaszał się bakałarz medycyny do egzaminu licencyackiego, któremu przewodniczył wicekanclerz uniwersytetu, mianowany z grona profesorów uniwersytetu przez biskupa. Pod okiem wicekanclerza odbywała się też promocya. Licencyatura torowała drogę do doktoratu. W sam dzień promocyi licencyackiej, dokonywanej publicznie w auli uniwersytetu, sprawiał kandydat a względnie kandydaci ucztę dla wicekanclerza i promotorów, przy której nie obeszło się bez cukierków i małmazyi ³.

Przy promocyi wykonywał kandydat na ewangelią św. Łukasza, roz. XI, w. 27 przysięgę, że w wszystkich dozwolonych i uczciwych rzeczach będzie powolny Almae Matri, że w niczem innem nie będzie smakował, niczego innego uczył, przy niczem innem obstawał, tylko przy tem, w czem smakuje, czego uczy, przy czem obstaje uniwersytet Jagielloński. Przysięgał dalej, że wszystkim doktorom tegoż uniwersytetu a przede wszystkim profesorom wydziału medycznego będzie okazywał uszanowanie, uległość i cześć w słowach i czynach, zawsze i wszędzie. Przysięgał, że nie naruszy ustaw fakultetu lekarskiego, że zapłaci wszystko, co się należy uniwersytetowi.

¹ Zob. Ustawy wydz. lek. z r. 1433 w Roczn. wydz. lek., Kraków 1838, tom I, str. 57.

² Tamże, str. 58.

³ Ust. wydz. lek. z r. 1525 w Roczn. wydz. lek. tom VII, str. 42.

egzaminatorom, promotorom i wszelkim innym osobom w myśl ustawy o zapłatach promocyjnych. Przysięgał wreszcie, że stopnia doktorskiego nie przyjmie w innym uniwersytecie ¹.

Licencyatowi medycyny wolno było wykonywać praktykę lekarską. Pozwolenie to wydane było w tej myśli, aby kandydatowi dać sposobność zgromadzenia sobie pieniędzy, których potrzebował na opędzenie wielkich kosztów przy promocyi doktorskiej.

Promocye doktorskie w wydziale medycznym odbywały się zazwyczaj w auli kolegium większego, wobec zgromadzonych profesorów i uczniów, z współudziałem zaproszonej publiczności. Przebieg ich był mniej więcej ten sam, co w wydziale filozoficznym. Pierwsza promocya medyczna w naszym uniwersytecie odbyła się w r. 1527 ². Była z tego powodu wielka radość. Kandydatów zwolniono od obowiązku sprawienia uczty i rozdawania rękawiczek ³.

Zwyczaję odnoszące się do promocyj a określone ustawami z r. 1433, 1525, 1536 i innymi, przechowały się prawie w nieodmiennej formie. Ustawa z r. 1727 jest poniekąd tylko rekapitulacją dawnych zwyczajów.

O ubiorach profesorów wydziału lekarskiego mało co wiemy. W wieku XV znalazła się w aktach rektorskich ⁴ wiadomość, z której nic pewnego wysnuć nie można. Z w. XVI (r. 1502) pozostał nam testament Wojciecha z Szamotuł, obejmujący między innymi i wykaz jego ubiorów ⁵. Znajdujemy tu obok innych zdaje się świeckich ubiorów wzmiankę o tabar-

¹ Tamże, str. 47.

² Zob. Roczn. wydz. lek, IV, str. 33.

³ Rękawiczki dawali kandydaci profesorom swego wydziału w XVI i następnych wiekach. W XV wieku był inny zwyczaj. Ustawa z r. 1433 żąda od doktoranda, aby każdemu z profesorów swego fakultetu podarował przy promocyi po 12 łokci sukna w najlepszym gatunku lub zamiast tego po 6 grzywien (marcas). Zob. Roczniki, I, str. 59. — Por. *Kinł* l. c. II, 163 i 164.

⁴ Rok 1481, str. 289.

⁵ Zob. Cod. dipl. Univ. cr. IV, str. 10.

dzie i o trzech kapucyach. Trudno z tych kilku szczegółów wysnuć pewne wnioski.

Pewnych danych dostarcza nam wiek XVII. Mamy kilka współczesnych portretów doktorów medycyny ¹. Najstarszym zdaje się być portret Sebastyana Petrycego († 1626), przemalowany przez Antoniego Gizińskiego w r. 1838. Petrycy ubrany jest w purpurową delutkę podszytą i wykładaną futrem, pod którą widać żupan czerwony, zapięty na czarne guziki, z wąskimi rękawami; na biodrach ma pas a w prawej ręce trzyma rękawiczki.

Syn Sebastyana, Jan Innocenty Petrycy ma taki sam ubiór z tą tylko różnicą, że jego delutka i żupan są czarne. Jednakże z Innocentym Petrycym ubiory mają Krzysztof Najmanowicz († 1651) i Piotr Mucharski († 1659).

Z przytoczonych wyżej przykładów wynikałoby, że profesorowie medycyny ubierali się w XVII wieku po świecku. Czy mieli ubrania urzędowe? W XVI wieku znalazł się niewyraźny ślad togi i biretu. I w XVII wieku ledwie ogólnikowe znajdujemy wiadomości. Z sprawozdania z procesu kanonizacji św. Jana Kantego z r. 1676 ² dowiadujemy się o obrazie sprawionym w r. 1647 przez Stanisława Ossędowskiego, profesora prawa, na którym klęczy dwóch braci przed wizerunkiem św. Jana Kantego, z których jeden ubrany jest w stroju doktora filozofii, medycyny i prawa, a drugi w stroju duchownym. Wiadomość ta wskazywałaby, że profesorowie medycyny używali przy czynnościach urzędowych tog, pelerynek i biretów oraz że ten ich ubiór podobny był do ubioru profesorów filozofii i prawa. Jest w tem zdaje się zupełna prawda. Na znanym nam obrazie przedstawiającym procesyą urządzoną w rocznicę kanonizacji św. Jana Kantego w r. 1775, dwaj profesorowie medycyny ubrani są w togi, pelerynki i birety czwororożne i mają pod brodą pefki. Ubranie medyków podobne tu jest do

¹ Są w uniwersytecie Jagiellońskim.

² *Positio super dubio an sententia Illmi Episc. Laodicens. etc.*, Rzym 1675, Kraków 1678, str. 21.

ubrania filozofów i prawników. Co do barw poszczególnych części nie znajdujemy w obrazie naszym objaśnienia. Obraz wykonany jest tuszem czarnym czy atramentem. Pozytywne pod wszelkim względem wiadomości czerpiemy znów z Jana Śniadeckiego. Togi medyków były za czasów Śniadeckiego całkiem podobne do tog profesorów innych wydziałów, a więc były czarne z szerokimi rękawami, kitajką lub atłasem karmazynowym podszyte. Mucety czyli pelerynki medyków były czarne z gronostajami. Śniadeckiego świadectwo znajduje poparcie w współczesnych pomnikach doktorów medycyny. Rafał Józef Czerwiakowski († 1816), którego popiersie oglądać można na nagrobku w kościele św. Anny w Krakowie, ubrany jest w togę czarną z szerokimi rękawami podszytą karmazynową materią i w pelerynkę gronostajową z kołnierzem wywijanym.

Dziekan wydziału lekarskiego. Pierwotnie zdaje się wybierano dziekana w wydziale medycznym na przeciąg jednego półroczu, po r. 1536 na wzór wydziału teologicznego na cały rok. Na tę zmianę wpłynęły niezgody, jakie przy często powtarzających się wyborach zachodziły. Wybór miał się dokonywać w dzień św. Jadwigi. Prawo biernego wyboru rozszerzono i na profesorów nie należących do fakultetu. Ten zwyczaj utrzymał się długo, ustawa z r. 1724 utwierdza go na nowo.

O ubiorze dziekana medycyny z dawnych czasów nie wiemy. Dopiero w r. 1780 pierwszą o nim znajdujemy wzmiankę. Wydział medyczny sprawił w tym roku ubiór dziekański; złożyli się na niego profesorowie fakultetu¹. Ubiór ów wyglądał prawdopodobnie tak jak go opisuje Jan Śniadecki. Według jego świadectwa dziekan medycyny miał jedwabną pasową togę podszytą kitajką zieloną. O pelerynce nie ma u Śniadeckiego wzmianki. Zdaje się, że pelerynka dziekańska nie różniła się od zwyczajnej profesorskiej. Pozwala nam się tego domyślać portret Wincentego Fereryusza Szastra († 1816) znajdujący się na nagrobku w kościele św. Anny w Krakowie.

¹ Arch. Sen. akad. L. 298, str. 131.

Szaster ubrany jest w togę pasową, której kołnierz obszyty jest złotym galonem, na todze ma mucet czyli pelerynkę gro-nostajową.

7. Wydział prawniczy.

W r. 1719 dnia 26 lipca spaliło się kolegium prawnicze a z niem wszystkie dokumenta odnoszące się do historii wydziału prawniczego, który pomny zasady, że ciało nie może istnieć bez duszy a rzeczpospolita i wszelka społeczność bez ustaw i praw, przystąpił w tym samym jeszcze roku do redakcyi nowych dla siebie statutów. Dokonali jej na podstawie własnego doświadczenia i tradycyi żyjącej w uniwersytecie dziekan i profesorowie prawa. To poszanowanie tradycyi przy redagowaniu ustaw wyrażone w wstępie daje naszym ustawom szersze znaczenie, pozwala bowiem na ich podstawie snuć wnioski o przeszłości¹.

Studya w fakultecie prawniczym rozłożone były na cztery lata. Kto chciał zostać uczniem zwyczajnym, ten musiał mieć stopień magistra filozofii. Po dwóch latach studyów można było zostać bakałarzem, po dwóch następnych licencyatem prawa. Dla osiągnięcia doktoratu licencyat prawa musiał położyć pewne zasługi około fakultetu. Przebieg egzaminów i promocyj jest taki sam jak na innych wydziałach prócz małych różnic zachodzących zwłaszcza przy promocyi doktorskiej, której się też nieco bliżej przypatrzymy, zwłaszcza, że przebieg jej ściśle się łączy z kwestyą ubiorów.

Rozpoczynamy nasz opis od definicyj licencyata i doktora, które znajdujemy w ustawach z r. 1719. Doktor jest już „in gradu docendi“, licencyat zaś tylko „in gradu doctoratum assequendi“, dlatego też licencyat profesor, aby być „in gradu docendi et in actu doctor“ musi się po otrzymaniu licencyatury starać o doktorat².

¹ Ustawy te publikowane są przez prof. dr. *P. Burzyńskiego* w czasopiśmie poświęconem prawu i umiejętnościom politycznym, tom II, rok 1864, p. t. „Statuta facultatis iuridicae“ etc.

² Statuta XLV.

Pragnący doktoryzować się zgłaszał się w tym celu ubrany w tabard do rektora z prośbą o wyznaczenie terminu dla promocyi i zaproszenie na nią publiczności, uczniów i profesorów uniwersytetu. Ci ostatni, o ile w promocyi brali udział, musieli być ubrani „in docenti habitu academico“.

Promocye odbywały się albo w auli Collegium iuridicum albo w kościele Wszystkich Świętych. Gdziekolwiek one były, zawsze ustawiano dla celów promocyi trzy katedry pięknie w kobierce przybrane a mianowicie jedną większą dla promotora a po bokach tejże dwie mniejsze dla pomocników promotora. Jeden z owych pomocników przeznaczony był do roztrząsania kwestyi prawniczej, opracowanej przez kandydata a drugi do wygłoszenia mowy na pochwałę kandydata.

Kandydat ubrany w tabard zajmował osobne sobie przygotowane miejsce.

Po wezwaniu Ducha świętego zagajał promotor promocyą krótkiem przemówieniem i dawał z porządku programu promocyjnego kwestyą prawniczą do roztrząsania swemu pomocnikowi, po której omówieniu wzywał drugiego swego pomocnika do wygłoszenia mowy pochwalnej a następnie kandydata do złożenia wyznania wiary, poczem tenże prosił promotora o udzielenie sobie stopnia. Promotor zchodził z katedry robiąc na niej miejsce kandydatowi, który przez ten akt wchodził faktycznie w jej posiadanie.

Po tym akcie promotor wręczał kandydatowi insignia doktorskie¹. Najprzód dawał mu biret, przyczem miewał takie przemówienie: Purpurą (purpurową pelerynką) ozdobiony zajmęś wyniosłe miejsce. Obyś na niem jaśniał zasługami i cnotami. Daję ci biret ową uprzywilejowaną ozdobę głów uczonych. Barwa jego jest czarna, podobna do ciemności nocnych; niechaj ci ona przypomina, abyś, zagadniony o jaką kwestyą prawniczą na wzór Baldusa nie prędzej dawał odpowiedź, aż jedną i drugą noc strawisz przy świecy Kleanta nad roztrząsaniem kwestyi. Górna część biretu ma kształt kwadratu, dolna

¹ Stat. fac. iur., XLVII.

jest okrągła. Ma to swoje symboliczne znaczenie. Kwadrat przypomina kandydatowi, aby był zawsze w sądzie bezstronny i nie dał się powodować prośbami lub nagrodami, przyjaźnią lub nienawiścią do stron zwaśnionych. Zaokrąglenie zaś jest symbolem doskonałości. Doktor prawa winien przy badaniu spraw unikać nagłości, gdyż ta jest macochą sprawiedliwości. Sędzia winien przed wydaniem wyroku rzecz jak najdokładniej zbadać. Takie oto było symboliczne znaczenie biretu doktora prawa.

Drugim z rzędu insygnium wręczanem doktorandowi prawa przy promocyi była księga. Promotor podawał ją najprzód zamkniętą i otwierał ją następnie. Zamknięta księga była symbolem dojrzałości kandydata, który tyle wiadomości posiada, że bez uciekania się do ksiąg zdolnym jest do załatwiania spraw wchodzących w zakres przyszłego jego zawodu.

Otwarta księga dawała kandydatowi wskazówkę, że nie powinien poprzestawać na tem, co obecnie umie, owszem powinien pomnażać swą wiedzę dalszymi studjami, wczytywaniem się w księgi, z których wszystkiego, co potrzeba, można się nauczyć. Przedewszystkiem prawnikowi zaleca się pilne wertowanie ksiąg, gdyż w praktyce nie wolno mu jest opierać swego sądu na wykombinowanych teoriach, owszem musi się kierować dekretemi swoich przodków i ustawami świętych kanonów.

Pierścionelek, wręczany kandydatowi przy promocyi, nie był li-tylko symbolem zaślubin jego z nauką, której się poświęcił, ale miał zarazem być rodzajem symbolicznego napomnienia dla kandydata. Zaokrąglenie pierścionka było symbolem nieba, a kamień w pierścionku symbolem słońca. Jak słońce na niebie wszystkich zarówno ogrzewa, tak i doktor praw dla wszystkich również powinien być sprawiedliwy.

Doktor praw winien nadto z wszystkimi żyć w zgodzie i miłości. I to napomnienie dawał mu przy promocyi promotor, kładąc na czole jego pocałunek pokoju. Przykładem dla doktora praw winien być Doktor doktorów tj. Chrystus, który przyszedł na ten świat po to, aby głosić pokój, aby pokojem darzyć, aby pozostawić pokój.

Po dokonaniu powyższych ceremonij następowała uroczysta nominacya kandydata doktorem obojga praw.

Promocye prawnicze jak w ogóle promocye w wszystkich wydziałach były bardzo kosztowne. Prócz wysokich taks egzaminacyjnych, prócz wydatków na uczty, trzeba było dawać profesorom prezenta. Jestto stary obyczaj i praktykowany w wszystkich uniwersytetach. Prezenta owe dla profesorów kosztowały nie mało. Z ustawy wiedeńskiego uniwersytetu z r. 1389 dowiadujemy się, że każdy doktorand tegoż uniwersytetu zobowiązany był dać swemu promotorowi 14 łokci sukna wiedeńskiej miary, łokieć po 2 floreny, bedelowi zaś 6 łokci po 1 florenie łokieć ¹.

O ubiorach profesorów prawa nader szczupłe posiadamy wiadomości zwłaszcza z dawniejszych wieków. I tak w XV, XVI i XVII stóleciu możemy wskazać ledwie na kilka szczegółów, które nawet nie wiele światła na kwestyą naszą rzucają. Zapisujemy je tu jednak jako materyał. W r. 1478 zastawił niejakiś doktor praw Jerzy u pewnego doktora teologii płaszcz i tunikę dobrą o świeżej jeszcze barwie ². Z tej zapiski trudno wysnuć jakiś wniosek. Podobną wartość ma zapiska z r. 1479. Jerzy Laudamus z Krakowa, doktor obojga praw, bodaj czy nie ten sam, o którym co dopiero była mowa, kupił razem z magistrem Walentym, plebanem z Olkusza, również doktorem prawa, w sklepie u niejakejś pani Małgorzaty postaw sukna florenckiego za 26½ florena. Magister Walenty zakupił nadto 8 łokci „panni schytaviensis“ za 1 floren i 4 łokcie sukna białego za 14 groszy ³.

Ci sami doktorowie kupili w r. 1481 u pewnego krawca mitry czyli birety ⁴. Doktor Walenty był wtedy seniorem bursy prawników. W w. XVI znalazła się wzmianka ledwie o jednej

¹ *Kink*, l. c. II, str. 152.

² *Acta rect.*, r. 1478, str. 244.

³ Tamże, r. 1479, str. 255.

⁴ Tamże, r. 1481, str. 289.

szubie¹, a w w. XVII ledwie jeden wykaz rzeczy po zmarłym doktorze praw, między którymi znajdujemy i togę².

Ten brak materyału tłumaczy się tem, że księgi urzędowe wydziału prawniczego z owych czasów spaliły się razem z Collegium iuridicum w początku XVIII wieku.

W ustawach wydziału prawniczego spisanych w r. 1719 znajdujemy już osobny paragraf³, poświęcony ubiorom profesorów prawa a oprócz tego wiele szczegółów rozrzuconych po innych paragrafach. Wychodząc ze zasady, że każdy powinien być ubrany stosownie do swej rangi i godności przepisali prawodawcy dla profesorów i doktorów prawa odrębny strój wydziałowy akademicki mający się nosić nie tylko podczas prelekcji ale przy wszystkich urzędowych czynnościach. Ubiór ów był inny dla profesorów zwyczajnych, inny dla profesorów licencyatów. Profesor zwyczajny ubierał się na prelekcya w togę albo w mantolet, który nosił i poza uniwersytetem, zaś do promocyj musiał zawdziwiać pelerynkę bez względu na to czy miał na sobie togę czy też mantolet. Profesor licencyat ubierał się i do prelekcji i do innych aktów w tabard tj. w togę mniejszą.

Śniadecki wreszcie w cytowanym już dziele pisze, że togi profesorów prawa są takie same jak w innych wydziałach, a więc czarne z szerokimi rękawami podszyte karmazynową podszewką. Pelerynki zaś czyli mucety były atłasowe karmazynowe, z prawej strony tylko rękę zakrywające a z lewej na ukos niżej spadające.

Wiadomości piśmienne możemy uzupełnić szczegółami zaczerpniętymi z portretów profesorów prawa mianowicie Sebastjana Piskorskiego († 1712)⁴, Andrzeja Krupeckiego († 1725)⁴, Kazimirza Jarmundowicza († 1761)⁵ i innych. Pelerynki na wszystkich tych portretach są karmazynowe, w kształcie jednak

¹ Tamże, r. 1523, str. 1018.

² Zob. Arch. Sen. akad., rkps., I. 36.

³ Stat. fac. iur., XXI.

⁴ Portret w kośc. św. Anny.

⁵ Portret w uniw. Jagiellońskim.

rozmaite: to owalne zwieszane na piersiach, to znów okrągłe jak u profesorów filozofii, to wreszcie takie, o jakich Śniadecki wspomina ¹. Kształt biretów, o ile je na owych portretach znajdujemy, jest całkiem taki, o jakim wspomina ustawa z r. 1719. Biret Piskorskiego podszyty jest karmazynową materyą.

Dziekan wydziału prawniczego urzędował według ustaw z r. 1719 rok cały. O ubraniu jego wiemy tylko tyle, co o niem Śniadecki wspomina. Według tego świadectwa dziekan prawa miał togę lamową złotą ².

8. Wydział teologiczny.

W rękopisie z XVII wieku, zachowanym w Archiwum Senatu akademickiego ³, znajdujemy współczesne wiadomości, odnoszące się do święceń na niższe i wyższe stopnie duchowne.

Kandydat, pragnący uzyskać niższe stopnie święcenia, jakoto: odźwiernego, egzorcysty i poddyakona, zgłaszał się do kancelaryi biskupiej. Kandydaci, pochodzący z obcych dyecezyj, musieli przy wpisie przedłożyć dokument z podpisem biskupa swojej dyecezyi, zawierający pozwolenie na przyjęcie niższych i wyższych święceń w tej właśnie dyecezyi, do której się zgłaszają.

Kandydat wyższych święceń zgłaszał się do archidyakona w towarzystwie wiarogodnej osoby, która go polecić i przedstawić miała; w braku takiego polecenia musiał przedłożyć świadectwo prowadzenia się bądź od magistratu miasta, bądź też od najbliższych swoich przełożonych. Musiał się nadto wylegitymować, że pochodzi z rodziców prawego łoża, musiał przedłożyć metrykę chrztu i wykazać się, jakie dochody pobiera. Wynagano, aby kandydat wyższych święceń był conaj-

¹ I w dawniejszych wiekach, tj. w XVII i XVI pelerynki doktorów prawa były karmazynowe. Mikołaj Dobrocieski, dr. fil. i pr. († 1608), którego portret znajduje się w katedrze na Wawelu, ma na sobie pelerynkę karmazynową.

² W todzie takiej przedstawiony jest pewien święty, którego obraz znajduje się na wschodniej ścianie północnej nawy kościoła św. Floryana.

³ Liczba 265.

mniej wikaryuszem i prócz tego miał 12 marek rocznej pensyi. Wreszcie żądano jeszcze od tegoż kandydata świadectwa niższych święceń.

Ubiegający się o wyższe stopnie zgłaszali się do egzaminu w togach, powszechnie rewerendami zwanych, i z tonzurą, inaczej — czytamy w ustawie — wyrzucano ich z kancelaryi. Z książek przynosili brewiarz i katechizm soboru trydenckiego.

Z tymi stopniami duchownymi nie trzeba pomieszać stopni uniwersyteckich, udzielanych przez wydział teologiczny.

Studia teologiczne — o ile nam wiadomo — rozłożone były podobnie, jak na innych wydziałach, na cztery lata, tak, że po dwóch latach prawidłowo spędzonych studyów zwyczajny uczeń tego wydziału mógł się ubiegać o stopień bakałarza teologii, a po dwu następnych o stopień licencyata i wreszcie doktora teologii.

Promocye odbywały się w podobny, jak w innych wydziałach sposób, z większą jednak okazałością, i miały miejsce zazwyczaj tylko w kościele i to w kościele św. Anny. Przebieg takiej promocyi kreślimy na podstawie źródeł XVI w.¹ Każda promocya trwała dwa dni. Orszak wyruszał z kolegium większego. Na jego czele szli bedele z berłami, za nimi postępował rektor, za rektorem profesorowie i wreszcie doktorand. W oknach lektoryum teologicznego w kolegium większem (dziś biblioteka Jagiellońska) przygrywała muzyka.

Akt promocyi rozpoczynał się od odśpiewania *Veni creator Spiritus* przed wielkim ołtarzem z towarzyszeniem organów. Promotor i jego pomocnik zajmowali następnie ustawione naprzeciwko siebie katedry. Starszy promotor odczytywał program promocyi. Z porządku programu następowała najprzód dysputa, rozpoczynająca się od krótkiego przemówienia rektora. Drukowane egzemplarze tej rozprawy rozdawał bedel jednocześnie pomiędzy biorących udział w promocyi. Pomocnik

¹ Statuta facultatis theologiae, ed. *Szujski*, zob. Archiwum do dziejów lit. i oświaty w Polsce, tom I, wyd. Akad. Um. w Krakowie.

promotora bywał zazwyczaj oponentem kandydata. Po skończonej dyspacie wygłaszał dla wypoczynku bedel lub chłopezyk pięknie przybrany wiersz na cześć Akademii i prosił promotora o prędkie zakończenie aktu promocyi. Promotor zamykał pierwszy dzień promocyi mową pochwalną dla kandydata, dziękując przy tem Bogu za udzieloną do promocyi łaskę, a publiczności za udział w akcie promocyi i oznaczał wreszcie godzinę, o której miał się odbyć dnia następnego ciąg dalszy rozpoczętej uroczystości.

Orszak promocyjny wracał procesjonalnie do kolegium i przychodził tak samo dnia następnego do kościoła. Po odśpiewaniu *Veni creator* składał kandydat wyznanie wiary i odbierał następnie znane insygnia doktorskie. Po tej ceremonii wzywał promotor nowo kreowanego doktora do wstąpienia na katedrę, sam zaś ustąpiwszy z katedry, zajął miejsce między doktorami. Nowy doktor, uzyskawszy w ten sposób prawo do katedry, wygłaszał mowę na cześć teologii, dalej brał jaką kwestyą teologiczną, roztrząsał ją i dawał do skonkludowania któremu z obecnych bakałarzy, oponując mu w czasie rozwijania i konkludowania. W ten sam sposób odbywała się druga jeszcze dysputa na inny temat. Drukowane egzemplarze jednej z tych dysput rozdawał znów tymczasem bedel publiczności. Ten sam bedel wręczał promotorowi jako t. zw. *donum sophisticum* od nowego doktora postaw sukna i rękawiczki, zaś innym doktorom teologii tylko rękawiczki.

Po rozdaniu tych darów i skończonej dyspacie oraz po mowie dziękczynnej nowego doktora udawał się cały promocyjny orszak przed wielki ołtarz, zkąd po odśpiewaniu *Te Deum* wracał wśród odgłosu muzyki ¹ do kolegium, gdzie na doktorów czekała uczta, urządzona na koszt najmłodszego ich kolegi.

O ubraniach kandydatów, promotorów i doktorów, biorą-

¹ Może się nie omylę, gdy powiem, że bęben i trąby, znajdujące się w bibl. Jagiellońskiej, to instrumenta muzyczne, jakich w dawnych czasach przy tego rodzaju okolicznościach używano.

cych udział w promocyi, źródło nasze nie daje żadnych wiadomości.

W ubraniach profesorów teologii trzeba odróżnić dwa rodzaje, a mianowicie ubranie zwykle codzienne i ubiór oficjalny uniwersytecki. Pierwsze było zwykłym ubiorem duchownym. O stroju oficjalnym mamy wprawdzie, zwłaszcza w XVI wieku, nieliczne, ale za to pewne wiadomości.

Profesorowie. Nie pozostała nam wprawdzie ani toga, ani załoga po świętym Janie Kantym, posiadamy jednak cały szereg portretów, przedstawiających nam tego świętego w stroju doktorskim, mamy nadto cały szereg opisów, dokładnych, wiarogodnych, poświęconych charakterystyce jego ubranii¹. Te wszystkie źródła zgadzają się ze sobą w najdrobniejszych szczegółach. Znając posłuszeństwo św. Jana Kantego, śmiało twierdzić możemy, że ubranie jego jest ściśle takim, jakie ustawy przepisywały. Widzimy więc tego świętego wszędzie na portretach w todze czarnej, mającej lekki niebieski odcień. To samo czytamy w źródłach piśmiennych. Barwa togi św. Jana Kantego w kolorze swoim do tego stopnia była niezdecydowana, że raz czytamy, jako toga jest *caerulei coloris*, to znów *nigri coloris*. Rękawy togi są szerokie, podszyte karmazynową materią, fałdy rzęsiste, zapięcia niema, prócz pod brodą. Na todze zwiesza się pod szyją na piersiach pelerynka lub raczej t. zw. załoga, tej samej co toga barwy, wewnątrz białą wykładaną materią; na niektórych obrazach widać tylko białą materią, a reszta pelerynki czyli załogi jest niewidzialna.

¹ Ocalała tylko według tradycyi suknia pielgrzymka i pelerynka do niej z podróży do Rzymu. Zob. Krótki opis kościoła akademickiego kolegiaty świętej Anny w Krakowie, wydał ks. Marcin Tytkowski. Kraków 1863, str. 57. „Do pozostałości św. Jana Kantego należą jeszcze: suknia pielgrzymka i peleryna do niej z sukna niebieskiego grubego. Część z niej wyjęta, zaszyta w zwinięciu w materyi, używana bywa do chorych, którzy się opiece św. Jana Kantego oddają. Na wierzchu tego zwinięcia jest wizerunek św. Jana Kantego. Suknia i peleryna zachowana w skarbcu w osobnej skrzyneczce, z powodu wyjętego kawałka, noszonego do chorych, jak wspomniałem, i zepsucia od czasu i moli, pokryta jest kitajką szarą jedwabną“.

Ta okoliczność dała późniejszym powód, że załogi teologiczne robili tylko białe. Na niektórych portretach ma nasz święty Patron na głowie biret czarny z czterema rogami.

O ubiorze tym wyraźnie źródła wspominają, że jest ubiorem doktorskim, który ten święty nosił w czasie prelekcji, dysput i wszelkich czynności uniwersyteckich.

Stwierdzamy więc, że ubiór św. Jana Kantego daje nam dokładne wyobrażenie o stroju profesorów teologii w XV w.

Z XVI wieku nie mamy wprawdzie żadnych wiadomości, jednak stanowczo twierdzimy, że ubiór oficjalny profesorów teologii się nie zmienił. Występuje on bowiem w tym samym kształcie i tym samym składzie i w następnych wiekach. Kult św. Jana Kantego wpłynął stanowczo na utrwalenie tradycji.

Na samym wstępie do wieku XVII spotykamy się ze szczegółowszym przepisem strojów teologicznych, kościelnych i uniwersyteckich. Podczas urzędowych, co kwartalnych nabożeństw (*in mandatis quartalibus*) bez względu na to, w którym się one kościołe odbywały, teolodzy musieli wystąpić w płaszczach i kapach. Na nabożeństwach uniwersyteckich u św. Floryana obowiązani byli prałaci i kanonicy tego kościoła ubierać się w dalmatyki, tak samo, jak bakałarze teologii, którzy tu kazania miewali. To samo dotyczyło i kanoników św. Anny w ich własnym kościele.

W pełnym oficjalnym uniwersyteckim stroju występował profesor w czasie dysput teologicznych, przy pierwszej prelekcji bakałarza teologii czyli lektora sentencji, przy promocyi licencyackiej i doktorskiej, w czasie prelekcji własnej lub gdy przysłuchiwał się prelekcjom innych doktorów, i wreszcie gdy się zgłaszał do dziekana wydziału teologicznego *pro inscribenda ditigentia* na początku i końcu każdego półroczu po skończeniu pierwszej i ostatniej prelekcji. Natomiast ubierał się tylko w rewerendę i pelerynkę czyli kapucyum magisterskie do aktów podrzędniejszych, a mianowicie zawdzięczał takie ubranie, gdy miał wziąć udział w nabożeństwach w kościołach pozacyrkulowych, w promocyach bakałarzy lub magistrów, w dysputach magistrów lub medyków, w zgromadzeniu zwołanem

dla wybrania lub potwierdzenia wyboru rektora, w licencyaturze magistra (Arch. Sen. akad. nr. 265, str. 267).

Z roku 1618 posiadamy wykaz sukien pewnego doktora teologii, w którym, prócz innych, znajdujemy wszystkie w powyższej ustawie przepisane ubrania. Jest tam „ornat kitancany brunatny z stułą i z manipularzem, dwie sutanny kanawacowe czarne, płaszcz kapiczielowy czarny, sutanna falandissowa brunatna podwójna, nastółka falandyszowa czarna, sutanna adamaszkowa czarna, toga teologiczna z wyłogami atlasowymi, kabały cztery, ubranie bawełniane czerwone, sukienka bawełniana czerwona, chusty, koszul dwie“ (Act. rect. str. 607). Z wyliczonych ubrań tylko toga teologiczna należy do stroju oficjalnego wydziałowego. Nie ma tu biretu i załogi; nie należy jednak z tego wysnuwać fałszywych wniosków. Nie wyszczególniono ich w testamencie, nie wiadomo dla jakich przyczyn. Że one były wtedy integralną częścią stroju oficjalnego, liczne na to mamy dowody.

Posiadamy mianowicie cały szereg portretów doktorów i profesorów teologii, niewątpliwie współcześnie robionych, ciągnący się od początku XVII wieku aż do końca XVIII. Kilku tylko ubranych jest w zwyczajny strój duchowny, jak np. profesor Wadowita, który na czarnej sutannie ma szubę. Przeważna część zaś ma ubiór oficjalny, jakoto: Szymon Halicy († 1624)¹, Marcin z Przesiońska († 1635)¹, Adam Opatowicz († 1647)¹, Szymon Makowski († 1683)², Wigilancyusz Samborezyk († 1672)¹, Wojciech Papenkowski († 1681)², Jan Michalski († 1695)³, Marcin Ośliński († 1720)¹, Marcin Waleczyński († 1742)¹, Maciej Federowicz († 1744)¹, Stanisław Filipowicz († 1760)², Józef Grzegorz Popiołek († 1758)², Kazimierz Stęplowski († 1772)², Józef Rygański († 1779)¹ i inni. Wszyscy ubrani są w togi czarne lub czarno-niebieskawe z szerokimi rękawami i karmazynowymi podszewkami i wyłogami u rękawów, na piersiach mają załogi, mankiety białizny

¹ Portret w kościele św. Anny w Krakowie.

² Portret w kościele św. Floryana w Krakowie.

³ Portret w uniw. Jagiellońskim.

zazwyczaj z przeźroczystej tkaniny wywinięte są na wąskie rękawy rewerendy, zamiast wywijanych białych kołnierzyków, począwszy mniej więcej od połowy XVII wieku, spotykamy tak zwane pefki (Bäffchen), birety, które u niektórych tylko widzimy, są czarne, czwororożne. Pelerynki czyli załogi są niejednostajne. Większa część ma kształt owalny, mniejsza podłużny pięcioboczny, jedne mają tylko wkładki białe, inne są na stronie widzialnej całkiem białe, niektóre są z białej materii, czasem są i gronostajowe wkładki, niekiedy, jak np. u Opętowicza, załoga owinięta jest około szyi i spięta na lewem ramieniu czerwonym guzikiem.

Jan Śniadecki powiada, że profesorowie teologii mieli podobnie jak profesorowie innych fakultetów togi czarne długie z szerokimi rękawami, kitajką lub atłasem karmazynowym podszyte, zaś mucety czyli załogi aksamitne granatowe, wyłożone gronostajami. Widać, że za czasów Śniadeckiego wykładano załogi teologiczne tylko gronostajami.

Dziekan teologii. O stroju dziekana teologii znów tylko to wiemy, co o nim Jan Śniadecki pisze. Miał on togę aksamitną granatową, białym atłasem podszytą. O pelerynce Śniadecki żadnej nie czyni wzmianki. Śniadeckiemu nie chodziło o szczegółowe opisanie ubiorów profesorskich, mówi on o nich tylko mimochodem, a więc nie wyczerpuje poruszonej przez się materii, czasem jest nawet niejasny, zwraca często uwagę na rzecz podrzędną a zapomina o ważniejszej. Nigdzie jednak nie można zarzucić mu nieprawdy. Wiadomości Śniadeckiego, odnoszące się do ubioru dziekana teologii, znajdują potwierdzenie w portrecie ks. Dominika Jana Kantego Markiewicza¹. Jest on ubrały w togę granatową, od której na popiersiu widać tylko kołnierz wywinięty, złotym galonem obsyty, na todze ma pelerynkę granatową, obszytą podobnym co toga galonem, wykładaną gronostajami, pod brodą pefki, na szyi łańcuch z orłem.

(C. d. n.)

Dr. A. Karbowiak.

¹ Portret w kościele św. Anny. Ks. Markiewicz był dziekanem teologii w r. 1806/7 i 1807/8. Zob. Arch. do dziejów lit. i oświaty, t. I, str. 254.

SKORUPA ZIEMI.

Jeżeli ciekawą jest rzeczą dla mieszkańca ziemi jej wnętrze, to nierównie ciekawszą i ważniejszą stanowi jej skorupa; na podstawie dotychczasowych dochodzeń podamy tu treściwie jej skład i genezę.

Największe szyby w kopalniach sięgają zaledwie półtora kilometra w głąb pod powierzchnię. Głębsze warstwy są znane tylko o tyle, o ile są odsłonięte w głębokich naturalnych jarach, albo wśród gór, gdzie wskutek pewnych geologicznych przewrotów zostały wyżej ponad swój zwykły poziom wzniesione.

Więcej niż pięć ósmych powierzchni ziemi zajmują wody mórz; niemałą przestrzeń pokrywają podbiegunowe lody. Mała więc stosunkowo część powierzchni ziemi jest dostępna bezpośrednim geologicznym badaniom. Wszakże różnorodność pokładów zawartych w tej ograniczonej przestrzeni jest bardzo wielka. Przez długie lata nowe szczegóły i osobliwości będą wciąż jeszcze podnoszone. Jeżeli atoli zechcemy pominąć te drobne szczegóły, to materiał badań geologicznych daje się łatwo ułożyć w pewne naturalne, nawet niebardzo liczne grupy. Stosownie do celu badań można dokonać podziału wedle wieku pokładów, lub też wedle pochodzenia i pewnych zewnętrznych cech. W niniejszym artykule będziemy się trzymać podziału wedle pochodzenia.

Niestety, kwestya pochodzenia niezawsze może być stanowczo rozstrzygniętą; przeważna część pokładów utworzyła się w czasach przedhistorycznych i żadnego podania o ich genezie mieć nie możemy. Nie posiadamy też żadnej ogólnej metody, któraby pozwoliła na podstawie pewnych obecnie istniejących zewnętrznych cech, ściśle o pochodzeniu danego pokładu wyprowadzać wnioski. Co najwięcej wolno tuszyć, że taka metoda wyłoni się kiedyś z prac Daubrée'go i jego naśladowców nad tak zwaną geologią doświadczalną. Dotychczas posługiwano się prostą analogią. Pokłady niewątpliwie bardzo stare posiadają częstokroć cechy zewnętrzne zupełnie takie same, jak pokłady tworzące się w naszych oczach. W takich razach możemy zupełnie słusznie wnioskować, że jedne i drugie utworzyły się w podobnych warunkach; a w dalszym ciągu poznanie owych dzisiejszych warunków daje odrazu wytłómaczenie genezy starych pokładów. Atoli gdy natrafimy na cechy odrębne, u dziś tworzących się pokładów nieznane, pole dla domysłów pozostaje otwarte. Musimy zadowolnić się mniej lub więcej prawdopodobną hipotezą. Tak np. gneisy i inne pokłady podobne do gneisów, a pospolicie jedną ogólną nazwą pokładów metamorficznych objęte, okazują wyraźne uwarstwowanie, a wskutek tego musimy je uważać za pokłady pierwotnie osadzone z wody. Ale z drugiej strony te skały przedstawiają pewne cechy u współczesnych osadów morskich zupełnie nieznane, mianowicie: znaczną twardość i spójność, a także, co najważniejsze, krystaliczną budowę. Przypuszczano więc początkowo, że samo osiadanie tych warstw odbywało się w pewnych odrębnych warunkach; potem rozpowszechniło się mniemanie, że późniejsze chemiczne i termiczne reakcje przemieniły pierwotną budowę tych skał; wreszcie dziś najbardziej rozpowszechnioną jest hipoteza, poparta zresztą przez bardzo poważne argumenty, że głównym czynnikiem w tem przekształceniu wewnętrznej budowy było ciśnienie przy fałdowaniu się zewnętrznej powłoki ziemskiej, spowodowanem przez stygnięcie ziemi.

Zasadnicze czynniki, biorące udział w wytwarzaniu po-

kładów, są bardzo nieliczne. Zdaje się, że nie pominiemy nawet najmniej ważnych, gdy powiemy, że tymi czynnikami są: działanie wód, lodu, opadów atmosferycznych, wiatrów i słońca, dalej praca zwierząt, roślin i człowieka, wreszcie reakcje wulkaniczne i kosmiczne opady.

Pokłady, noszące na sobie ślady działalności ludzkiej, tak zwane pokłady kulturowe (*Culturschichten*) zajmują bardzo małe miejsce. Można tu zaliczyć rumowiska starych miast, namuły rzek i strumieni, zawierające szczątki dzieł ręki ludzkiej. Tak np. w Persyi, w pobliżu ruin Persepolis znaleziono złotodajny piasek w łóżysku strumienia. Złoto, zawarte w tym piasku, nie jest rodzime, ale obrobione; są to okruchy rozmaitych ozdób i sprzętów, jako to: szpinek, łańcuchów i t. p.

Opady kosmiczne również odgrywają skromną rolę. Meteoryty spadają w tak znacznych odstępach czasu i odległości, że gdyby nie osobliwość samego zjawiska, niebyśmy o nich nie wiedzieli. Atoli kamień spadający z nieba z hukiem i blaskiem jest czemś nadzwyczajnem, i ściąga na siebie uwagę ogółu. Wszakże samo zjawisko jest taką rzadkością, że jeszcze w przeszłym stuleciu uczeni nie wierzyli w istnienie meteorytów, a opowiadania o spadaniu tych ostatnich uważali za baśnie, wymyślane w celu obalamucenia pospólstwa, lub za halucynacye osób, cierpiących na choroby nerwowe. Prócz większych meteorytów spadają na ziemię drobniotkie pyłki i ziarenka, których wcale nawet nie spostrzegamy. Dopiero badania głębin morskich dowiodły, że ten opad kosmiczny odgrywa nawet pewną rolę w tworzeniu się pokładów w środkowych okolicach Oceanu Spokojnego, a mianowicie jest ważnym składnikiem czerwonego ilu (*Red-Clay*), o którym będziemy mieli sposobność dalej trochę więcej powiedzieć.

Przeważna część geologicznych pokładów powstała przez osadzenie się z wody. Pokłady innego pochodzenia mniejsze zajmują przestrzenie, bądź dlatego, że rzeczywiście wytwarzają się w mniejszych ilościach, bądź dlatego, że niektóre z nich, jak np. pokłady nawiane przez wiatry, są za mało spójne, aby mogły się oprzeć przydłuższemu rozmywaniu przez strumienie

i rzeki. Tylko to, co było najtrwalsze, albo co przez szczęśliwy zbieg okoliczności zostało ocalone, przedstawia się dziś naszemu oku. Pokłady mniej trwałe, albo dłużej wystawione na działanie niszczących czynników, znikły zupełnie. Niejedna cząsteczka dziś osiadająca w morzu, już niejednokrotnie była przeniesiona z miejsca na miejsce. Może we wszystkich formacjach po kolei figurowała; po kilka razy była zniesiona przez wody i osadzona na dnie jeziora, rzeki lub morza, po kilka razy była wzniesiona wraz z innemi nad poziom wód jako część stałego lądu. I dziś jeszcze przed naszymi oczami odbywa się dalszy ciąg tej pracy, która przygotowała materiał dla całych kontynentów. Wody rzek wciąż rozmywają sąsiednie skały i ziemię. Każdy deszcz tworzy tysiące strumyków, z których każdy bodaj odrobinę ziemi przenosi z wyższego miejsca na niższe. Każda rzeka przenosi rozmyty materiał coraz dalej od źródeł w kierunku ujścia. Grubsze kamyki toczy po dnie, wygładza i zaokrągla przez tarcie, i póty, póki starczy siła pędu rzeki, posuwa je naprzód. Piaski niesie dalej, osadza je pod postacią ławic w tych miejscach, gdzie prąd jest słabszy, np. na zakrętach, ale przy każdym wiosennym wylewie, zabiera masę wprzód osadzonego materiału i razem z nowo rozmytym przenosi w kierunku ujścia. W ten sposób każdy kamyk, każde ziarnko piasku wciąż dalej wędruje, tracąc jednocześnie na objętości, wskutek ciągłego tarcia.

Każda rzeka, choćby jej wody zdawały się przeźroczystyni jak kryształ, niesie pewną ilość drobniotkich cząsteczek ziemi, aby je oddać morzu. Mieszając się z wodą morską, fale rzeki tracą swój pęd i cząsteczki wody tracą swój pierwotny kierunek, a przybierają kierunki prądów panujących w danej okolicy morza w danej porze roku. Cząsteczki rzecznego namułu idą z tymi ogólnymi prądami. Jednocześnie powoli spadają na dno i osiadają czy to w pobliżu brzegów, jeżeli prądy są skierowane wzdłuż wybrzeża, czy to dalej wśród morza, jeżeli prądy są skierowane od brzegów ku głębinom.

Wraz z tą mechaniczną przymieszką, rzeki przynoszą chemiczne roztwory, które idą na zaprawienie wód morskich. Zna-

czna część wapna, znajdującego się jako roztwór w morskiej wodzie, została tam przyniesiona przez rzeki.

Jeszcze więcej materiału osadowego dostarcza praca morza u brzegów. Wszędzie wzdłuż wybrzeży kipi nieustanna robota. Jeżeli brzeg jest skalisty, fale, nieustannie uderzając o ściany urwiska, rozmywają najtwardsze skały, tłuką je i kruszą podrzucanymi kamykami, ścierają piaskiem miotanym przez silniejsze fale, i w ten sposób wciąż niszczą od dołu póty, póki kawał skały nie zawali się i nie upadnie. Zmiany temperatury i procesy chemiczne pomagają w tej niszczącej pracy. Wskutek zmian temperatury skały pękają i kruszą się, zaś obfitość wilgoci przyspiesza wietrzenie skał, które również pociąga za sobą większą kruchość. Większe złomki padają u podnóża skał, ale tutaj wciąż miotane na wszystkie strony i wzajemnie przez siebie ścierane, zamieniają się na wygładzone otoczaki (*galets*). Mniejsze okruchy tworzą żwiry. Drobne ziarnka kwarcu, który dzięki swej twardości najskuteczniej opiera się wysiłkom fal i nie daje się zetrzeć, tworzą piaski. Wreszcie najdelikatniejsze okruchy, uniesione przez prądy i odpływy daleko od brzegów, osiadają wśród głębin morskich w postaci glin.

Te wszystkie osady wodne można widzieć wpośród pokładów, składających kontynenty; ławice otoczków odnajdujemy pod postacią konglomeratów czyli zlepieńców. Gdy otoczaki układały się na dnie morskiem, w przestrzenie pomiędzy kamykami wcisnęły się mniejsze okruchy, szlam, muszle wapienne i t. d. Te wszystkie materiały, a głównie wapno z muszli, wytworzyły cement, wiążący oddzielne kamyki w jedną całość. Tak samo piaski morskie odnajdujemy albo pod pierwotną postacią, albo, dzięki obecności przymieszek służących za cement, zamienione na piaskowce. Wreszcie gliny, jeżeli nabierają większej wytrzymałości i spójności, otrzymują nazwę łupku. Zamiana miękkiej gliny na łupkę jest dziełem ciśnienia. Już na dnie morskiem glina znajduje się pod ciśnieniem wysokiego słupa wody, a także wierzchnich warstw samego pokładu. Jako składnik kontynentu częstokroć spoczywa pod

grubą warstwą wyżej położonych skał i ziem, i wskutek tego wieloletniego prasowania zgęszcza się, ubija i twardnieje. Zresztą nie samo tylko ciśnienie może nadać większą spójność danemu pokładowi. Lyell np. przytacza pewne margle z nad brzegów jeziora Erie, które zanurzone w wodzie są zupełnie miękkie, ale na powietrzu wysychają bardzo prędko i po kilku godzinach tak twardnieją, że zaledwie silnemi uderzeniami młota można rozbić bryłę takiego marglu na kawałki.

Praca morza odbywa się na wielką skalę. Mniejsze, ale podobne rezultaty daje praca rzek i jezior. Ale wszystkie rozliczne piaskowce, gliny, łupki i t. p. skały powstały z materiału pierwotnie oderwanego od ładu, a potem znów osadzonego z wody. Przy pomocy skamieniałości, zawartych w danym pokładzie, można oznaczyć, czy to jest pokład słonowodny czy słodkowodny. Jednakże nie są to jedyne pokłady powstające na dnie morza. Przeciwnie, dary morza są rozliczne, tak jak rozlicznymi są procesa mechaniczne i życiowe, rozgrywające się w jego toniach.

Bardzo ważne, choć małą zajmujące przestrzeń, są pokłady soli. Jest to chemiczny osad nadmiaru materiałów w wodzie morskiej zawartych. Każdy mniejszy lub większy basen, tracący więcej wody przez parowanie, aniżeli otrzymuje przez pośrednictwo rzek albo przez opad deszczów, musi po pewnym czasie dojść do takiego stanu skoncentrowania roztworu soli, że pocznie je po kolei wydzielać. Najpierw wydzielają się trudno rozpuszczalne sole, a więc siarczany (gips), potem sól kuchenna, wreszcie sole potasowe. Morze Śródziemne więcej traci wody przez parowanie, aniżeli rzeki i deszcze corocznie dostarczają. Tylko ciągły dopływ wód od Atlantyku utrzymuje słoność wód jego *in statu quo*. Jednak woda morza Śródziemnego jest bardziej słona, niż woda Atlantyku. Temu wielkiemu procentowi soli morze Śródziemne zawdzięcza swą wspaniałą lazuruwą barwę. Gdyby cieśnina Gibraltarska została w jakiś sposób zamknięta, morze Śródziemne musiałoby powoli wyparować i zostawiłoby znaczne pokłady soli. W naszych czasach zatoka Kara-Boghaz w morzu Kaspijskiem wciąż osa-

duża sole, a liczne jeziora w gubernii Astrachańskiej, pozostałe po cofnięciu się Kaspijskiego morza, są właściwie jeziorami słonej ropy, ich dno jest wyścielone grubą warstwą soli. Łatwo objaśnić sobie ten stan zatoki Kara-Boghaz; jest to płytki basen, nie mający prawie żadnych dopływów słodkowodnych, a od morza Kaspijskiego oddzielony piaszczystymi półwyspami i podwodną ławicą. Cięższa, więcej słona woda zbiera się na dnie basenu i nie może odpłynąć do Kaspijskiego morza z powodu owej podwodnej ławicy. Z drugiej strony parowanie wierzchnich warstw jest bardzo silne. Lato w tych stepach jest długie, bardzo sucho i nadzwyczaj gorące, upały po 40° C. wynoszące trafiają się tu dość często.

Wapienie także powstają w morzu, ale już nie przez bezpośrednią jego pracę, a przez pracę zwierząt, żyjących w morzu, — należą więc już do innego działu. Zanim o nich poczniemy mówić, przytoczymy jeszcze parę uwag nad powyżej wymienionymi pokładami.

Do niedawna dno morza było mało znane. Nie wiadano, w jakich okolicach morza i jakie pokłady się tworzą. Dopiero w ostatnich czasach rządu angielski i Stanów Zjednoczonych urządziły kilka wielkich wypraw naukowych. Wysyłano okręt z całą falangą uczonych i z mnóstwem przyrządów, przeznaczonych do badania morza, jako to: termometrów, sond, sieci podwodnych i t. d. Rezultaty tych wypraw były znakomite, dostarczyły masę nowego materiału naukowego, wyświeśliły niejedną ciemną kwestyę. Między innemi poznano pokłady dziś osadzające się na dnie morza. Przedewszystkiem pokazało się, że osady centralnych okolic wielkich Oceanów są zgoła odmienne od tych, które tworzą się w pobliżu wybrzeży. Podczas gdy te ostatnie widocznie okazują wpływ bliskiego sąsiedztwa z lądem, pierwsze tworzą się prawie wyłącznie z materiałów dostarczonych przez zwierzątka, żyjące wśród otwartego Oceanu.

U samych wybrzeży, oprócz otoczków i zwirów, zalegają ławice ostryg i innych muszli, posiadających grube i twarde skorupy, dalej ciągną się piaski i gliny, ale na odległości 200

do 300 kilometrów przechodzą już w inne, specjalnie morskie osady.

Są to szlamy wapienne i krzemionkowe, utworzone prawie wyłącznie z resztek szkieletów zwierząt i roślin. A mianowicie foraminifery, żyjące w wapiennych skorupkach, dostarczają materiału dla pierwszego rodzaju szlamu, a drobne algi (Diatomee) dla drugiego. Te zwierzątka i roślinki żyją w górnych warstwach wody, — ale po śmierci ich skorupki opadają na dno. W ciągu długiej drogi, pod chemicznem działaniem wody morskiej i kwasu węglowego ¹, skorupki ulegają rozkładowi, i spadają na dno napóły przetrawione i rozmięczone. Potężne ciśnienie ogromnego słupa wody zbija te skorupki w jedną szlamowatą masę.

Na bardzo wielkich głębokościach w środkowych okolicach Spokojnego oceanu, skorupki, zanim osiągną dna, ulegają zupełnemu rozтворzeniu w wodzie morskiej; to też w tych okolicach nie osadza się już szlam, lecz tak zwany czerwony il (Red-Clay), składający się z pyłków kosmicznych i drobnociśnionych wulkanicznych okruchów, zanieśionych przez wiatry aż do tych odległych od lądu okolic. Prócz tego czerwony il zawiera mnóstwo kostek usznych wielorybów i zębów rekinów. Te kostki i zęby są nadzwyczaj twarde i bardzo trudno rozpuszczalne, — dlatego też zdołały się uchronić. Atoli jednocześnie ta nadzwyczajna obfitość tylko co wspomnianych szczątków zwierzęcych, świadczy o nadzwyczaj powolnem osiadaniu czerwonego ilu. Wiele wieków potrzeba było, aby tak usiać dno morza drobnymi kostkami, można wnosić z tego, że sieć podwodna (druga) wraz z zębami nowoczesnych rekinów wydobywa zęby dawno wygasłych gatunków, jak *Carcharodon megalodon*, który żył w trzeciorzędowej epoce.

Wyspy koralowe są otoczone specjalnym podwodnym osadem, mianowicie szlamem, utworzonym z drobnych okru-

¹ Woda morska, osoliwie w głębszych warstwach, zawiera dość dużo kwasu węglowego.

chów koralu. Murray, geolog wyprawy Challenger'a, twierdzi, że ten szlam koralowy jest zupełnie podobny do kredy, i sądzi, że ten tak pospolity i dobrze znany pokład jest niczem innem, jak koralowym szlamem dawnych mórz. Jednakże to zdanie Murrraya nie zdaje się być słusznem. Istnieje drugie objaśnienie pochodzenia białej kredy, oparte na dokładniejszych badaniach. Mianowicie paleontologowie niemieccy Neumayr i Zittel utrzymują, że biała kreda przedstawia największe podobieństwo ze szlamem globigerinów (*Foraminifera*), obecnie osiadającym w dalekich od ładu okolicach oceanów. Gdyby tak było rzeczywiście, to i inne zdanie Murrraya okazałoby się niezupełnie słusznem. A mianowicie Murray zauważył, że wszystkie pokłady, składające obecne kontynenty, mają cechy osadów, tworzących się w owym na kilkaset metrów szerokim pasie przybrzeżnym, natomiast osady, powstające na dnie dalszych okolic oceanów, nie dają się odszukać wśród kontynentalnych formacyj. Ponieważ szlam globigerinów nie należy do przybrzeżnych osadów, więc biała kreda stanowiłaby wyjątek od twierdzenia Murrraya. Argumenty na korzyść hipotezy Neumayra i Zittla są bardzo poważne. Biała kreda składa się przeważnie z przetrawionych skorupki teksturali i rotalii, dwóch gatunków zwierzątek należących do tego samego działu, co globigerina ¹, i blisko z nią spokrewnionych. Bardzo być może, że w epoce kredowej tamte zwierzątka żyły w ogromnych ilościach i odgrywały rolę dziś tak rozpowszechnionych globigerinów. Biała kreda tak samo jak szlam, zawiera owe tajemnicze rhabdo i coccolity, drobnutkie ziarenka, których pochodzenia nie znamy, ba, nawet nie wiemy, czy należą do produktów organicznych; stwierdzić tylko możemy, że rozsiane są w wielkich ilościach wśród obu pokładów. Wreszcie należy przyznać, że i zewnętrzny wygląd porównywanych materyałów bardzo małe przedstawia różnice. Bardzo być może, że biała kreda jest starym szlamem wapiennym z oceanów kredowej epoki, — w takim razie mielibyśmy o jeden pokład więcej, którego pochodzenie już jest objaśnione.

¹ Do *Foraminiferów*.

Wszystkie pokłady, o których dotąd mówiliśmy, mają jedną wspólną charakterystyczną cechę, po której łatwo mogą być wyróżnione. Tą cechą jest uwarstwowanie. Częstotki osiadające na dnie morza muszą oczywiście układać się w horyzontalne warstwy; jednakże sam fakt osiadania jeszcze nie tłumaczy istnienia granicznych płaszczyzn pomiędzy warstwami. Te ostatnie powstają wskutek nierównomierności w prędkości osiadania i w materiale osadowym. Np. po długich burzach woda jeziora lub morza, przynajmniej w okolicach przybrzeżnych, zawiera więcej materiału osadowego. Na wiosnę w pobliżu ujścia wielkich rzek przymieszka rzecznych namulów jest o wiele znaczniejsza.

W jesieni obumiera mnóstwo organizmów, ich gnijące ciała i skorupki spadają na dno wraz z innym materiałem. Te i t. p. przyczyny, zmieniając naturę osadu, wywołują zmiany w spójności, sprężystości i innych fizycznych własnościach kolejnych warstewek. Poddajmy teraz taki różnorodny pokład wielkiemu ciśnieniu: różnice w fizycznych własnościach dopiero wtedy nabędą zupełnej doniosłości, i utworzą się graniczne powierzchnie, tem wybitniejsze, im znaczniejszą była rzeczywista różnica w sprężystości i spójności danych warstewek. A przecież każdy pokład osadzony z wody, podlega ciśnieniu najpierw tejże samej wody, a potem tych osadów, które go z wierzchu przykryły.

Niektóre pokłady, powstające na innej drodze, także okazują uwarstwowanie, ale nie jestto już ogólna charakterystyczna cecha. Tak np. wapienie, które powstały z ławie ostrzyg i muszli, są uwarstwowane, zaś koralowe właściwego uwarstwowania nie okazują. Pochodzenie wapieni daje się bardzo łatwo zbadać: jestto produkt pracy zwierząt, niekiedy wyłącznie złożony ze skorupiek. Nietrudno więc powiedzieć, gdzie i w jakim czasie mógł się dany pokład utworzyć, bylebyśmy tylko znali sposób życia zwierzątek, których szczątki znajdujemy, i bylebyśmy wiedzieli, z jakiej epoki pochodzą dane gatunki. Liczba gatunków żyjących w wapiennych skorupach jest nadzwyczaj wielką; ztąd ogromna różnorodność w gatunkach wapieni. Roz-

różniamy więc wapienie nummulitowe, składające się ze szkieletów wygasłego już gatunku foraminiferów — wapienie cenne, jako materiał budowlany; z nich to budowali egipcycy faraonowie swoje piramidy. Dalej mamy rozliczne wapienie muszlowe, wapienie składające się ze szkieletów głowonogów, dalej alg wapiennych i wiele innych gatunków. Wapień, skrzystalizowany pod wpływem ciśnienia, zamienia się w marmur, przyczem naturalnie nikną ślady zwierząt, które pracowały nad stworzeniem wapienia. Marmur więc należałoby zaliczać do skał metamorficznych.

Znaczna część wapieni jest rezultatem pracy koralów. We wszystkich formacjach zalegają koralowe wapienie, już to w postaci obszernych ławic, już to w kształcie pagórków. Za naszych czasów tworzą się nowe w oceanie Spokojnym. W tropikalnych okolicach tego oceanu znajdują się liczne grupy drobnych wysepek, wyróżniających się osobliwym kształtem. Są to podkowiaste lub koliste skrawki lądu, wąskie i niskie, porośłe zazwyczaj grupami palm kokosowych. Środek takiej podkowy zajmuje jezioro stojącej wody morskiej, coś w rodzaju naturalnego portu wśród oceanu. Wygląd tych wysepek, czyli atollów — taką bowiem jest ich specjalna nazwa — ma być oryginalny i piękny. Drobny okruch lądu i trochę zieloności pomiędzy niezmierzonymi falami oceanu i lazurów podzwrotnikowym niebem. (Rzeczywiście byłby to widok ciekawy, osobiście dla tych, co przywykli wśród obszernego lądu, pod szarem niebem oglądać małe kilkumorgowe jeziora). Te wysepki są dziełem niektórych gatunków koralów, powstały przez wiekową pracę drobnych zwierzątek, aby kiedyś figurować na jakimś nowym kontynencie, jako potężne góry. Wszak wśród Alp południowego Tyrolu znajduje się kilka wspaniałych dolomitowych szczytów. Badania Mojsisovicsa dowiodły, że te olbrzymie góry są nieczem innem, jak starymi koralowymi ryfami. Mniejsze koralowe ryfy ciągną się wzdłuż północnego stoku Karpat; bywają też podobne pagórki w Niemczech i Belgii. Pod Kamieńcem Podolskim są także ryfy, aczkolwiek zbudowane nie przez koral, ale przez

inny gatunek zwierzątek, przez mszanki ¹. Te stare atolle lud okoliczny nazywa „toltrami“. Łańcuch atollów jest dość długi, tak, że przez niektórych był uważany za jakąś odrośl Karpat, i bodaj nawet w geografiach pod imieniem Miodoborskiego łańcucha figurował. Rzeczywiście te toltry noszą też nazwę Miodoborów, ale żadnej styczności z Karpatami nie mają.

Współczesne gatunki koralów, budujących ryfy, mogą żyć tylko w nieznacznych głębokościach. Wciąż potrzebują świeżej wody i dowozu wapna, dlatego żyją tylko w tych warstwach, w których ruch fal jest jeszcze bardzo silny tj. nie dalej jak do 56 metrów głębokości. Nie znoszą wody o temperaturze niższej jak 20° C., mogą więc żyć tylko w podzwrotnikowych morzach. Rzeczywiście współczesne atolle tworzą się tylko w bardzo ciepłych wodach, ale pomimo tego, że korale nie mogą żyć w znacznych głębokościach, nowoczesne atolle, wznoszące się wśród głębokich wód oceanów, częstokroć aż do samego dna składają się z materyału, wytworzonego przez korale. Aby tę trudność objaśnić, Darwin przyjął hipotezę, że dno Spokojnego oceanu w tych okolicach, w których znajdują się atolle, było kiedyś o wiele wyższe i prawdopodobnie usiane drobnymi wysepkami. Później to dno poczęło powoli opadać. Naokoło tonących pagórków korale rozpoczęły swoje budowy, i w miarę tego, jak postępowało obniżenie dna, wznosiły się coraz wyżej. Tak zwolna powstały budowle wysokie na setki i tysiące metrów. Podczas gdy u dołu wciąż obumierały stare pokolenia zwierząt, nowe tem szybszą prowadziły robotę w ruchliwych podpowierzchniowych warstwach wody. Atoli nowsze badania wykazały, że korale mogą żyć nawet w trochę większych głębokościach, aniżeli Darwin przypuszczał, a również, że większa część atollów stoi na podstawie złożonej z innego materyału: na podwodnych ławicach, podwodnych wulkanicznych wysepkach i t. d.

Budowle koralów nie składają się wyłącznie ze szkieletów zwierzątek, przeciwnie — morze przynosi różne skorupki, sześcą-

¹ Mszanki (Bryozoa) budują ryfy jak korale, ale pospolicie mniejsze i nie tak rozpowszechnione. Ryfy bryozoów znajdują się np. na półwyspie Kerczeńskim na Krymie.

tki skoruppek, odłamki piasku, i wyrzuca na niski brzeg atollu. Powierzchnia wysepki składa się głównie z takich, przez morze wyrzuconych szczątków. Sam mur koralowy zawiera mnóstwo okruchów z własnych szkieletów i domieszek, przyniesionych przez morze, które wciskają się pomiędzy szkielety, i tak wypełniają te przerwy, że ostatecznie tworzy się jedna zbita ściana. Obumarłe korale są nadzwyczaj kruche, ścierają się na drobny pył, który po części służy jako cement budowlı, po części, zanieiony przez fale na morze, opada na dno i tworzy koralowy szlam, otaczający wszystkie atolle. Wapień koralowy szybko zatracą swoją wewnętrzną budowę: jest osobliwie skłonny do krystalizacyi. Niekiedy kawał muru, który przed kilku laty składał się z żyjących organizmów, zaledwie słabe okazuje ślady dawnej organicznej budowy.

Atolle nie są jedyną formą koralowych budowli. Wzdłuż wybrzeży Australii ciągnie się długa łańcuch ryfów, wielce niebezpieczna dla okrętów. Podobne ryfy znajdują się u wybrzeży Florydy i we wielu innych miejscach. W dawniejszych formacyach, osobliwie w paleozoicznych, koralowe wapienie mają zupełnie inny pozór; zalegają rozległymi ławicami. Ale gatunki owoczesnych budujących koralów były inne, dziś już wygasłe; nie znamy więc ich sposobu życia i warunków, w których żyły; ale zdaje się, że ówczesne korale mieszkaly w wielkich głębinach i mogły znosić o wiele niższą temperaturę wody, aniżeli współczesne. Jednakże i w tych starych formacyach przytrafiają się ryfy podobne do dzisiejszych. Dana podaje przykłady takich budowli w Siluryjskiej formacyi w Stanach Zjednoczonych.

Skorupa ziemi składa się jeszcze z innych pokładów, które tworzą się bez współudziału wód rzecznych, jeziorowych czy morskich, li tylko przez połączone działanie czynników atmosferycznych, słońca i wiatru.

Dla mieszkańców stref umiarkowanych te przyczyny nie wydają się doniosłymi. Co najwięcej skłonni jesteśmy przyznać, że deszcze corocznie rozmywają znaczną ilość miękkich pokładów, a strumyczki powstające po deszczach, a także na wiosnę po tajaniu śniegów, przenoszą nawet znaczną ilość materiału

z wyższych miejsc na niższe. Wiemy także, że w wilgotnym klimacie skały prędzej wietrzeją. Ostre mrozy zimowe, ścinając na lód wodę zawartą w drobnych porach i kanalikach, przenikających każdą skałę, rozsadzają zewnętrzną powłokę i przyczyniają się do powolnego zniszczenia najtwardszych kamieni. Wiadomo przecież, jak szybko psują się granitowe budowle Petersburga, pod działaniem ostrego i wilgotnego klimatu tej stolicy. Atoli w gorących i suchych klimatach tę samą rolę niszczyciela odgrywają słońce i wiatr; przypatrzmy się Saharze.

Wnętrze Sahary nie jest bynajmniej jednolitą piaszczystą pustynią; przeciwnie, znaczną część przestrzeni, oznaczonej na kartach tem nazwiskiem, zajmują płaskowzgórza, terasy, skaliste łańcuchy. Podnóża i boki tych wyżyn i grzbietów toną w olbrzymich rumowiskach. Głazy, złomki, okruchy i piaski tworzą rozległe usypiska, dzikie, jałowe i pozbawione wszelkiej roślinności. Nie masz rzek, któreby mogły uprzętnąć ten masywny, nagromadzony głównie przez działanie słońca; słońce bowiem usypało te kupy gruzów. Nagie skały, rozpalone przez promienie słoneczne, pękają i kruszą się, a spadające odłamy i okruchy przez wiele setek lat utworzyły te zaspę. Livingstone przytacza, że w swych podróżach po południowej Afryce niejednokrotnie widział skały, syjące deszcz okruchów pod działaniem słonecznego upału. Nietrzeba nawet tak daleko jechać, aby widzieć podobne zjawisko. Autor niniejszego artykułu widział je na Riwierze, w pobliżu Cannes, w dniu nawet nie bardzo gorącym (w kwietniu przy 20° C. w cieniu). Nadmorskie Alpy oprócz innych pokładów mają pewien miękki gatunek wapienia, znany pod nazwą: „Macigno“. Siedząc u podnóża skały, złożonej z takiego wapienia, zauważyłem jakiś nieustanny szmer. Po chwili przekonałem się, że ten szmer pochodził od mnóstwa drobnych kamyków, odpadających od nagiej skały, wystawionej na żar słoneczny. W tem miejscu, gdzie siedziałem, kilka sosen parasolowych rzucało cień na skałę; tam ani jeden kamyk nie spadał, pomimo że pochyłość góry była w obu miejscach jednakowa.

Drugim niszczycielem skał w gorących, a suchych krajach

jest wiatr, podnoszący tumany pyłu i piasku. Twarde ziarnka kwarcu, miotane o skały, działają jak pilnik; ścierają skały i szlifują. To też skały w pustyni są częstokroć zupełnie wygładzone od strony, z kądem częstsze i silniejsze dmą wiatry. A wiatry, wiejące w pustyni, są zazwyczaj bardzo silne. Któż nie zna zgubnej działalności straszego Simun'u, który piaskiem zasypuje całe karawany ludzi i wielbłądów, wędrujące przez pustynię.

Wiatr wynosi drobne pyły w dalekie okolice, przesuwając ławice piasku, ale nie może utrwalić swego osadu, tak jak woda. Brak tu wielkiego ciśnienia, brak roztworów, służących za cement. Pokłady tworzące się w pustyni są nadzwyczaj sypkie i nietrwałe. To też nie znajdujemy takich warstw w starych formacjach, natomiast w nowoczesnych odgrywają dość ważną rolę. Najgodniejszym uwagi jest *löss* chiński.

Löss jestto rodzaj żółtej ziemi, nie posiadającej uwarstwiania, silnie porowatej, która w całych północnych Chinach stanowi zewnętrzną powłokę pokładów i odznacza się wielką urodzajnością. Ale nie tylko ze względu na swoje znaczenie dla dobrobytu krajowego, chiński *löss* narzuca się uwadze podróżnika. Zadziwia go rozległością pokładów, grubością, dochodzącą niekiedy do setek metrów, a wreszcie oryginalnością swoich zewnętrznych pozorów. Kraina *lössu* jest pocięta niesłychanie skomplikowanym labiryntem głębokich jarów o prostopadłych ścianach, i tylko gdzieniegdzie znajdują się miejsca, gdzie można z równiny zejść do jaru. Mieszkańcy żyją jak troglodyci, w jamach wykopanych w ziemi w taki sposób, aby boczne okna i drzwi wychodziły do jaru. Częstokroć w prostopadłej, żółtej ścianie parowu widnieje kilka pięter takich podziemnych mieszkań. Wedle Richthofena te jary tworzą się w następujący sposób: ponieważ *löss* jest bardzo dziurkowatym, więc woda deszczowa, nigdzie się nie zatrzymując, przenika aż do pokładów, na których *löss* spoczywa; tu dopiero tworzy strumień lub rzekę i od dołu podmywa *löss*. Tworzy się więc najpierw tunel, a potem przez zapadanie sklepienia otwarty jar o prostopadłych ścianach.

Richthofen uważa ten chiński löss za pokład nawiany, i chociaż to mniemanie licznych posiada przeciwników, zdaje się, że było rzeczywiście bardzo trafnem, albowiem poważne argumenty za niem przemawiają. Löss jest najnowszą z chińskich formacyj; gdyby był osadzony z morza lub jezior, to musiałby okazywać uwarstwowanie, i sięgałby tylko do pewnej pionowej wysokości, określonej przez dawne wybrzeże jeziora czy morza. Tymczasem ten pokład nie jest uwarstwowany, a zalega stoki gór do najrozmaitszych wysokości. Dalej, wszelkie wodne osady zawierają jakieś ślady zwierząt żyjących w wodzie. Tymczasem w lössie trafiają się tylko skorupki lądowych ślimaków. Gdyby był pokładem, pochodzącym z lodowej epoki, toby przedstawiał cechy lodowcowych osadów, tj. fałszywe uwarstwowanie, erratyczne głazy i t. p.; tego wszystkiego w lössie znaleźć nie można. Wreszcie nie może być pokładem utworzonym przez wietrzenie skał, na których spoczywa, albowiem nie masz żadnych różnic między lössem, zalegającym na granicie, a na wapieniu. Pozostaje więc tylko teoria nawiania lössu, tembardziej prawdopodobna, że i dziś na stepach Centralnej Azji w pozbawionych odpływu basenach, wiatr układa ogromne zasy pyłów i piasków. Richthofen sądzi, że w epoce tworzenia się lössu, północne Chiny miały także charakter stepu, pozbawionego odpływu. Przypuszcza nawet, że jakiś nieistniejący łańcuch gór zamykał dostęp wschodniom, wilgotnym wiatrom, wiejącym od oceanu Spokojnego, a zarazem nie pozwalał na odpływ nielicznych rzeczek stepowych ku temuż oceanowi.

Gdyby nawet löss chiński nie był jego dziełem, jeszcze byśmy nie mogli wykluczyć wiatru ze szeregu czynników, współzawodniczących przy tworzeniu się pokładów. Wszak samo przenoszenie drobnych pyłów, przesuwanie piaszczystych wydym, ma pewne znaczenie, którego nie można lekceważyć.

Löss istnieje nie tylko w Chinach. Przewalski znalazł ogromne pokłady lössu w Tybecie. W zachodniej Europie, o ile się zdaje, löss nie przytrafia się w swej pierwotnej formie, ale już rozmyty i na inne miejsce przez wody przeniesiony. Takim jest np. löss nadreński. z wyjątkiem zasp, znajdujących

się w pobliżu Bazylei, które nie posiadają uwarstwowania. Natomiast w południowo-wschodniej Europie, której klimat jest więcej suchym, löss mógł się tworzyć i rzeczywiście istnieje. Richthofen przypuszczał, że löss znajduje się w Karpatach, ale J. Bąkowski, który szczegółowo badał wskazane przez Richthofena miejscowości, znalazł, że są to raczej gliny, utworzone przez rozkład wietrzejących skał na miejscu. Tylko koło Tekuczej, w pobliżu Kołomyi, znalazł gliny zupełnie podobne do chińskiego nawianego lössu. Na samej granicy Podola i Wołynia, na tak zwanem Awratyńskim płaskowzgórzu, pod czarnoziemem znajduje się pewien rodzaj żółtej, nieuwarstwowanej gliny, zupełnie do chińskiego lössu podobnej. Ta glina łatwo rozpada się w pionowym kierunku i często zawiera małe wapienne konkrety. W ogóle na Podolu i Wołyniu we wielu miejscowościach można znaleźć pod czarnoziemem grube pokłady lössu.

Przechodzimy obecnie do działalności lodowców. Kontrast między działaniem słońca i gorących wiatrów pustyni z jednej strony, a lodów i lodowców z drugiej, jest pozornie bardzo wielki. Wszakże w rezultacie tych działań okazuje się jedno i to samo: zniszczenie dawnego pokładu dla utworzenia nowego; zniesienie wyniosłości dla zapelnienia doliny. Wszystkie z zewnątrz na powłokę ziemi działające czynniki pracują z pewną określoną tendencją, z pewnym celem. Tym celem jest zniesienie wszelkich topograficznych nierówności.

Wytwory lodowców mają dwie charakterystyczne cechy: brak prawdziwego uwarstwowania i obecność większych i mniejszych erratycznych głazów. Przytrafia się w nich niekiedy tak zwane fałszywe uwarstwowanie, zgoła nieporządne i spowodowane przez przypadkowy zbieg okoliczności. Działanie lodowców na otaczające skały jest dość skomplikowane. Wchodzi tu w grę jednocześnie tarcie i rozmywanie: tarcie samej masy lodowej powoli na dół zjeżdżającej, tarcie kamyków i żwirów, które lodowiec za sobą pociąga. Z drugiej strony przez to tarcie wywiązuje się pewna ilość ciepła, która roztopia trochę lodu na granicy między skałą, a lodowcem. Woda w ten sposób

otrzymana rozmywa podścielisko lodowca. Składanie materiału odbywa się u podnóża tj. w tem miejscu, gdzie temperatura, panująca w dolinie, sprawia tak znaczne tajanie, że równoważy przyrost z góry napływającego lodu. Tu opadają różne złomki, które z okolicznych skał stoczyły się na lodowiec i przez spływający lód aż do tego miejsca były przyniesione; tu wylażą drobniejsze okruchy i błoto z podścieliska, a wszystko razem składa się na utworzenie półkolistego wału czyli mówiąc technicznie: „moreny“. W swoim własnem łożysku lodowiec pozostawia bardzo wyraźne i charakterystyczne ślady. Są to kragławo wygładzone skały (*roches montonnées*) i głębokie rowy, jakby rylcem wyżłobione. Gdy jakiś kanciasty, a twardy kamień wmarznie w lód, i wraz z nim zjeżdża, wtedy zostawia na okolicznych skałach taki głęboko wryty ślad swego przejścia. W naszym kraju i innych okolicach północnej półkuli lodowcowe pokłady zajmują tak znaczne przestrzenie, że musimy przypuścić jakieś nadzwyczajne rozpowszechnienie lodowców w jakiejś niebardzo od dzisiejszych czasów odległej epoce. Na tem miejscu nie będziemy się zastanawiać nad przyczynami, ani też nad domniemaną historią epoki lodowej. Wolimy coś powiedzieć o glinie lodowcowej. Brak w niej skamieniałości zwierzęcych i roślinnych, brak uwarstwowania, ale pełno piasku i kamieni większych i mniejszych. Ławice piasku, gliny piaszczystej i czystej leżą pokłębione, poprzerywane i pomieszczone. Każdy kamyk z innej pochodzi skały. Obok kawałka gneisu leży granit lub syenit, dalej azoiczny piaskowiec, to znowu kawał wapienia ze siluryjskiej epoki. Te ostatnie częstokroć zawierają skamieniałości. Nasze erratyczne głazy pochodzą ze Skandynawii, Finlandyi i nadbałtyckich prowincyj. Lodowcowe pokłady są ogromnie w naszym kraju rozpowszechnione. Poczynając od Bałtyckiego morza sięgają daleko w głąb kraju. Galicya, południowy skrawek Kongresówki, południowa część Wołynia, Podole i Ukraina nie mają lodowcowych pokładów; zresztą są one najpospolitszym składnikiem zewnętrznych warstw, o ile nie zostały pokryte przez późniejsze nanosy rzek i jezior. W Królestwie i na Litwie erratyczne

kamyki są prawdziwem utrapieniem dla rolników, niszcząc pługi i brony, a małą natomiast przynoszą korzyść, przyczyniając się do łatwiejszego ogrzania gruntu.

Z kolei powiemy parę słów o utworach wulkanicznej działalności, które co do rozległości i rozpowszechnienia bezsprzecznie drugie po wodnych osadach zajmują miejsce. We wszystkich formacjach, poczynając od najdawniejszych, znajdują się wulkaniczne pokłady. Nawet w dawniejszych formacjach może stosunkowo ważniejszą grają rolę. Wytwory wulkanów przedstawiają się pod trzema postaciami. Pierwszą z nich jest sam wulkan, drugą potoki lawy przezeń wyrzuconej, trzecią pokłady wulkanicznych popiołów. Podczas, gdy lawy odpływają w najbliższe od wulkanu okolice, drobne popioły, niesione przez wiatr, spadają o setki mil, grubsze zaś okruchy: lapilli, bomby wulkaniczne opadają napowrót w pobliżu krateru i tworzą rodzaj wału naokoło wulkanicznego otworu. Każdy wybuch dodaje nowe warstwy na obu stokach, zewnętrznym i wewnętrznym. Jeżeli wulkan często wyrzuca lawę, to nasyp będzie przekładany warstwami, a częściej poprzerywany ścianami zastygłej lawy. Albowiem, skoro stożek wulkaniczny jest dość wysoki, wówczas podnoszący się słup lawy, zamiast sięgać jego wierzchołka, rozpiera, a w końcu rozrywa boczne ściany krateru i wypływa przez utworzoną szczelinę. Część potoku zastygła w szczelinie i tworzy mur, idący w kierunku promienia od środka krateru. W starych formacjach trafiają się szczątki oddawna wygasłych wulkanów. Podczas gdy okruczowy materiał stożka został przez późniejsze działanie wód rozmyty, twarda lawa oparła się zniszczeniu. Dlatego też takie ruiny wulkanów składają się zazwyczaj z jądra lawy zastygłej w głębi krateru i promienistych murów. Ciekawym przykładem takiej ruiny są pagórki Euganejskie w pobliżu Padwy (Monte Venda). Lawa wulkanów tworzy rozległe ławice, potoki, a niekiedy kopy i bochny. Nowsze lawy, zwłaszcza bazaltowe, są bardzo płynne, łatwo rozlewają się w obszerne przestrzenie; przeciwnie lawy trachytowe są gęste i lepkie, nie odpływają daleko

od wulkanu, ale najczęściej sterczą ze szerokiego krateru na podobieństwo bańki, bochna, czy też kopuły.

Wulkaniczne pokłady częstokroć pokrywają znaczne okolicę; wprawdzie jeden wulkan, choćby największy, nie może dostarczyć materiału na pokrycie setek mil kwadratowych, ale natomiast wulkaniczne okolice posiadają więcej kraterów. Połączona działalność wielu wulkanów okryła Kampanię rzymską i neapolitańską wulkanicznymi utworami. Grunt większej części Islandyi albo francuskiej Auvergne składa się ze skał wybuchowych, ale w Islandyi liczą około siedmdziesięciu wulkanów, z których kilka jest czynnych, Auvergne zaś jest usiana wulkanicznymi stożkami. Największe jednak nagromadzenie wybuchowych skał na jednym miejscu widzimy w Dekhanie. Tam zajmują one tysiące kwadratowych mil powierzchni.

Wedle składniczych części i ugrupowania minerałów różniamy wiele gatunków wybuchowych skał, ale najważniejszą jest bezsprzecznie granit. Dziś nie ulega wątpliwości, że granit jest wybuchową skałą. Znajduje się on i w nowszych formacjach, ale przeważna część granitowych skał pochodzi z dawnych geologicznych formacji, a właściwie z najstarszej azoicznej¹. Zapewne wybuchowa działalność była wówczas o wiele silniejszą. Jeżeli zaś ziemia jest zwolna stygnącą kulą, to oczywiście jest rzeczą, że w dawnych geologicznych epokach, gdy średnia temperatura była wyższą, a grubość ostygłej skorupy mniejszą, wszelkie wulkaniczne objawy musiały być o wiele potężniejsze, niż za dni dzisiejszych. Z drugiej strony mogły się one odbywać w sposób wielce odmienny od tych procesów, na które patrzymy obecnie. Inaczej objaśnienie pochodzenia ogromnych mas granitu, zalegających u podstawy pokładów lub wśród samych warstw i to we wszystkich częściach świata, staje się bardzo trudnem, jeżeli nie zgoła niemożliwem. U nas granit znajduje się na Podolu, gdzie tworzy potężną ławicę, pojawiającą się w korytach rzek Bohu i Dniestru. Na tym ostatnim dopiero w okolicach Mohylewa i Jampola. Karpaty nie posia-

¹ tj. tej, która nie zawiera śladów życia.

dają wybuchowych skał na polskim stoku. Tylko w Tatrach sterczą potężne granitowe masy.

Pominiemy wiele interesujących i ważnych pokładów, a przejdziemy do niektórych wytworów życia roślinnego i zwierzęcego, które przedstawiają specjalne korzyści dla ludzkiego dobrobytu. Mamy tu na myśli najpierw czarnoziem, a potem węgiel i naftę.

Humus znajduje się prawie wszędzie, gdzie klimat nie jest zbyt suchym, ale rzadko gdzie tworzy tak rozległe, grube i jednostajne warstwy, jak czarnoziemy we wschodniej Galicyi, na Podolu, Ukrainie i wielu guberniach południowej Rosyi. Spotykamy czarnoziem również w Stanach Zjednoczonych, na prerach Missisipi i w południowej Syberyi. Należy przypuszczać, że na utworzenie tak rozległych i jednostajnych pokładów złożyły się specjalne okoliczności. Kraje czarnoziemne mają swój odrębny charakter. Musiały tam istnieć niegdyś gaje liściastych drzew i trawiaste stepy; rozłożone liście tych drzew i roślin gromadziły powoli materiał czarnoziemowi. Z drugiej strony erozya wodna była tu prawdopodobnie słaba, bo kraje czarnoziemne są równe, a przytem, wskutek stepowego suchego klimatu, niezbyt silnie zroszone przez rzeki, a jezior prawie wcale nie posiadają.

Węgiel kamienny składa się ze szczątków roślin. Włókna drzewne, gnijące bez dostępu powietrza, tracą tlen i wodór, a zatrzymują węgiel. Im dłużej trwa ten proces, tem większy stosunkowo procent czystego węgla pozostaje w szczątkach. Jednocześnie atoli ztraca się coraz więcej pierwotna budowa włókien i komórek. Że węgiel kamienny pochodzi od roślin i to wielkich drzewiastych, o tem wątpić nie można. Nietylko możemy pod mikroskopem rozróżnić komórki i włókna, ale nawet znajdujemy odciski liści, ślady owoców i ziarn, wreszcie całe zwęglone pnie. Dzięki tym szczątkom, flora epoki, w której utworzył się węgiel kamienny, jest nam bardzo dobrze znana.

Pozostaje więc tylko kwestya, w jaki sposób gnijące szczątki roślinne dostały się w takie warunki, że były od przy-

stępu powietrza ochronione. Odpowiedź na to pytanie jest bardzo łatwa, albowiem oczywistą jest rzeczą, że gliny i piaski, które dziś w kopalniach węgla rozdzielają jeden pokład od drugiego, kiedyś były przez fale morza na szczątkach lasów osadzone, i utworzyły właśnie ową pokrywę, broniącą dostępu powietrza. W ten sposób atoli okazuje się, że węgiel kamienny mógł się tworzyć tylko w pewnych specjalnych warunkach, a mianowicie w lasach, rosnących na niskich bagnistych wybrzeżach morskich, które mogły być łatwo zalewane przez fale. Roślinność owych lasów była bardzo bujna, pozorami swymi przypomina trochę współczesną florę tropikalnych okolic, — mogła więc dostarczyć materiału do tych zapasów węgla, z których dziś człowiek korzysta. Coś, co przypomina lasy epoki węglowej, istnieje i za dni naszych w tropikalnych okolicach Afryki. Na bagnistych niskich wybrzeżach rosną lasy Mangrorii. To drzewo nie obawia się słonej wody i rośnie nawet w miejscach, stale przez wodę zalanych. Korzenie Mangrorii częstokroć kapią się w wodzie. Wyobraźmy sobie, że morze zalewa takie bagno. Morskie osady przykryją gnijące ostatki lasu, a pod ich powłoką może się utworzyć pokład węgla.

Północna półkula naszej ziemi posiada ogromne zapasy węgla. Chiny, Stany Zjednoczone i Anglia są najbogatsze w węgiel. Natomiast kraje dawnej Rzeczypospolitej są bardzo skapo w węgiel uposażone. Tylko południowo-zachodnia część Kongresówki posiada znaczniejsze kopalnie. Pokłady tameczne stanowią jedną geologiczną całość z górnio-szląskiem. I Lignitów kraj nasz posiada mało. Krzemienieckie, acz zajmują rozległą przestrzeń, tem niemniej małą przedstawiają wartość z powodu lichego gatunku.

Bogatszym natomiast jest nasz kraj w naftę, choć także na pierwszym miejscu postawionym być nie może. Galicyjskie źródła naftowe znajdują się w najwyższych piętrach kredowej formacji i w Eocenie, ale wszystkie te pokłady są pogięte i połamane. Wskutek tego wiercenie studzien często sprawia niespodzianki. Przypadkowo można natrafić na zgięcie pokła-

dów, w którym spłynęła nafta, i tryśnie obfity źródł, podczas gdy o pół kilometra dalej inny przedsiębiorca napróżno przebijają pokłady, i natrafiając wciąż na warstwy, z których nafta odpłynęła na inne miejsca, nie może doszukać się źródła.

Pochodzenie nafty nie jest dotąd wytłómaczone, aczkolwiek istnieją dwie prawdopodobne hipotezy. Jedna, której zwolennikami są geolodzy, wyprowadza pochodzenie nafty od szczątków roślin morskich, które przez proces, podobny do sposobu powstawania węgla kamiennego, przetworzyły się na mieszaninę węglowodorów, t. j. na naftę. Niektóre poważne argumenty przemawiają za tą teorią. W warstwach naftonośnych przytrafiają się odciski morskich wodorostów, — we Flyschu zaś, który przez geologów jest uważany za równoważnik karpackich naftonośnych pokładów, prócz odcisków *Fucoidae*, prawie żadnych innych skamieniałości nie znajdujemy. Dalej należy zauważyć, że z węgla brunatnego przez suchą destylację można otrzymać parafiny, t. j. te same węglowodory, co z oleju skalnego.

Przeciw tej geologicznej hipotezie, znakomity współczesny rosyjski chemik, Mendelejew, postawił inną: chemiczną. Przedewszystkiem Mendelejew twierdzi, że nafta tworzy się nie w naftonośnych pokładach, ale znacznie głębiej, będąc atoli lżejszą od wody, spływa po wodzie, zawartej w pokładach, pod postacią wilgoci skalnej i podchodzi w górę. Gdyby nafta tworzyła się w naftonośnych pokładach, to jednocześnie musiałby się utworzyć węgiel. Węgla zaś nigdzie w tych pokładach nie ma. Mendelejew przypuszcza więc, że nafta jest chemicznym wytworem, powstającym w głębokich warstwach ziemi. Ponieważ żelazo należy do najpospolitszych metalów, więc zapewne ciężkie wnętrze ziemi przeważnie składa się z żelaza i żelaznych połączeń. Jeżeli wśród tych połączeń są i węglowe, to przy dopływie wody pod wysokiem ciśnieniem powinien nastąpić podwójny rozkład. Tlen wody łączy się z żelazem na tlenki, a wodór z węglem wytwarza węglowodory, a w następstwie po skropleniu i naftę.

Najprzychylniejsze warunki do takiego procesu oczywi-

ście znajdują się w okolicach górzystych, gdzie warstwy są połamane i popękane. Przez szczeliny woda łatwiej dostaje się do głębszych warstw, a z drugiej strony nafta przez te same szczeliny łatwiej wydobywa się na wierzch. Dlatego też nafta znajduje się pospolicie w górach.

Na tem kończymy zwięzły opis skorupy ziemskiej i jej prawdopodobną genezę. Ta skorupa kryje w swem łonie różne skarby, które umiejętna ręka ludzka potrafiła wydobyć, przerobić i do swego użytku zastosować; — pomówimy o tem kiedyindziej.

Maurycy Rudzki.



ODYSSEA Z ROKU 1889¹.

Parturiunt montes, nascitur... ridiculus mus.

..... Opiszę podróż pewnego księdza z Warszawy do Częstochowy we wrześniu r. 1889. Ostrzegam, że podróż jest fikcyjna; przygody zaś, czyli *casus practici*, są zastosowaniem istniejących wyłącznie dla księży przepisów, o których szczegółowo była mowa.

1. Przygotowanie do podróży.

Ksiądz A., wikaryusz czy proboszcz jednego z kościołów parafialnych i stały mieszkaniec Warszawy, zamierzył w czasie wakacyj dla odpoczynku wyjechać do Częstochowy. Może ma tam krewnych, lub przyjaciół, którzy go zapraszają, a może tylko z pobożności wybrał to miejsce; bo Częstochowa słynie na całą Słowiańszczyznę cudownym obrazem Matki Boskiej. Od Warszawy dzieli ją przestrzeń 36 mil, którą można przebyć koleją w ciągu 6 godzin.

Wszędzie za granicą, nawet i w Królestwie Polskiem, każdy człowiek świecki, chociażby był złodziejem, lub innego rodzaju notorycznym przestępcą, powziąwszy taki zamiar, bez żadnych zachodów wsiaǳby do wagonu i pojechał. Ksiądz A. musi do tej podróży ǳużej się przygotowywać, niż na drogę wieczności. Postanowił np. wyjechać 1 września; musi starania o paszport rozpocząć przynajmniej na dwa dni pierwaj.

Jednego dnia poszedł do konsystorza po tak zw. „urlop“; z urlopem potem do „rządcy domu“, żeby otrzymać świadc-

¹ Fragment z gotowej do druku książki p. t.: *Opowiadania z rosyjskiego „prawa“ państwowo-kościelnego. Wydział paszportowy.*

two, iż dom nie ma nic przeciw jego wyjazdowi. Konsystorz funkcjonuje stale w oznaczonych godzinach, w jednym miejscu: łatwo go znaleźć; rządca domu (i on też jest pewnego rodzaju władzą, urzędnikiem, mianowanym przez właściciela domu, za wiedzą i pozwoleniem władzy policyjnej) nie ma swojej kancelaryi i nie zawsze można go u siebie zastać. Zdarzyło się przeto księdzu A., że pierwszego dnia, otrzymawszy urlop konsystorski, nie mógł otrzymać świadectwa rządu. Musiał pójść (lub posłać) do niego nazajutrz. Otrzymał świadectwo rządu, poszedł z nim osobiście do komisarza policyjnego cyrkulowego. Ten księdza wyegzaminował: do kogo, po co jedzie? co będzie robił w Częstochowie? i t. p. (ob. wyżej); kazał przykleić markę stęplową za 10 kopiejek i zaświadczył, że również nie ma nic przeciw wyjazdowi. Dodał jednakże uwagę, iż ksiądz A. był notowanym politycznie dnia 1869 r. (tj. przed 20 laty) lub później.

Nota istniała w czarnej księdze, za kazanie, w którym o polityce tyle było mowy, ile w Dziejach Apostolskich; podciągnięto je jednak pod kategorię przestępstwa politycznego, na zasadzie słów ces. Mikołaja I do pewnego biskupa: „Durniu! u mnie polityka religią!“

W biurze komisarza cyrkulowego nie obeszło się bez pewnych wydatków. Nie mówię, broń Boże, że komisarze są łapownicy; ale . . . przecież . . . trzeba sobie zjednać przychylność i życzliwość tych, od których wygotowanie i przyspieszenie dokumentu zależy; bo jeżeli sprawa będzie szła obiektywnie, można się narazić na długie czekanie. To rzecz zupełnie naturalna i nikogo gorszyć nie powinna. Ksiądz chętnie dałby i kilka rubli, byle nie potrzebował wyczekiwać u komisarza razem z nierządnicami, z pijanymi, z awanturnikami ulicznymi, z obszarpańcami, żydami, lub z innymi podobnych gatunków ludźmi, którzy najczęściej są przyjmowani w biurze policyjnym.

Wyszedszy od komisarza, ksiądz A. napisał prośbę do oberpolicmajstra i nakleił na niej markę stęplową. Komisarz kontentował się marką kilku kopiejek; oberpolicmajster więcej jest wymagającym; nie można do niego taniej pisać, jak za

80 kop.; nadto trzeba dodać drugą markę tańszą na odpowiedź. Musiał tedy mój ksiądz wydać 80 kop., aby mógł p. oberpolicmajstra prosić o paszport — i dołożyć jeszcze kilkanaście kopiejek na to, żeby oberpolicmajster mógł ewentualnie odpowiedzieć, że nie da paszportu.

Oberpolicmajster raczył księdza wyegzaminować, podobnie jak komisarz; potem kazał podpisać deklarację, że ksiądz nie będzie ani kazań miewać, ani spowiedzi słuchać — wreszcie polecił wygotować w kancelaryi paszport. Na tym dokumencie u góry jest pięknie wylitografowany orzeł rosyjski z obwódką i napisem: „cena 15 kop. sreb.“; drugi taki sam orzeł bez obwódki i bez ceny; ale ten jest droższy od poprzedniego, bo obok niego drukowany napis oznajmia: „Opłata na korzyść kasy w ilości 30 kop. otrzymana“.

Ksiądz A. przeto musiał, oprócz marki 80 kop. na prośbę, + 30 kop. na odpowiedź, dodać jeszcze kop. 15 + 30, nie licząc marki do podpisu u komisarza cyrkulowego.

Tak muszą płacić wszyscy obywatele Warszawy, tak musiał i ksiądz A.; z tą jednak różnicą, że obywatel-laik otrzymuje paszport (oberpolicmajster nie ma prawa odmówić) na cały rok przynajmniej i na całe Królestwo; ksiądz zaś otrzymał, w drodze szczególniejszej łaski, na 29 dni i do jednej tylko Częstochowy, a mógł nie otrzymać wcale. Prosił, żeby w paszporcie wymieniono i Piotrków, gdzie chciał się zatrzymać kilka dni; lecz oberpolicmajster oświadczył, że to się nie godzi. Piotrków nie ma takich przywilejów, jak Warszawa i Lublin, że naczelnik powiatu może pozwolić zatrzymać się w nich na nocleg (ob. wyżej . . .) ¹.

Zanim ksiądz A. wyjednał sobie świadectwo rządcy domu, potem świadectwo komisarza, wreszcie paszport u oberpolicmajstra, upłynął dzień drugi. Wielkiej sztuki dokazał; — w zwykłym porządku trzeba trzy dni z górą, żeby przejść te wszystkie instancje.

¹ Odsyłacz ten i następne odnoszą się do samej książki, w przypisku na początku tego artykułu wspomnianej.

2. Podróż.

Trzeciego dnia pojechał ksiądz A. koleją warszawsko-wiedeńską. Przygoda nie spotkała go żadna. Tylko gdy w Skierniewicach pociąg zatrzymał się przez 20 minut, a księdzu zachciało się przejść po peronie, przystąpił do niego żandarm i zapytał o paszport. Domyślił się ksiądz, że Miasojedow wrócił na posadę naczelnika powiatu do Skierniewic; bo na innych stacyach nie ma takiego zwyczaju, i w samych Skierniewicach nie było, póki nie było Miasojedowa (cf. wyżej...). Postawił też sobie zaraz hipotezę, że musiał wyjść nowy rozkaz o jen.-gubernatora, aby na każdej stacyi policyant (żandarm) księży o paszport zapytywał. Dlatego za Skierniewicami, ile razy usłyszał świst, znak zbliżania się do stacyi, chował się głęboko, żeby z peronu kolejowego nie był widzianym. Lecz głód go zmusił do opuszczenia wagonu w Piotrkowie (g. 3 m. 40 po południu), gdzie jest dłuższy przystanek. Gdy zasiadł w bufecie i spożywa, co można było dostać na poczekaniu, żandarm przystępuje do niego ze stereotypowem pytaniem:

„Passport u was jest’?”

Paszport został się w wagonie przy bagażu; ksiądz przeżywa smaczną operację, idzie po niego, przynosi i składa w ręce żandarma. Żandarm odchodzi, zabrawszy z sobą dokument. Zapewne dla położenia wizy, — ksiądz pomyślał sobie. Skończył jedzenie, zapłacił i czeka spokojnie, pewnym będąc, że żandarm z paszportem nadejdzie zaraz. Tymczasem dzwonek się odzywa, że czas wsiadać do wagonu, a żandarma nie widać. Dzwonią drugi raz: ksiądz poszukuje żandarma, a w trakcie tego dzwonią trzeci raz, rozlega się świst i pociąg odszedł, razem z kufereczkiem księdza.

Po odejściu pociągu jest czas zbadać spokojnie i dokładnie: co się stało z żandarmem? Nikt nie umie dobrze objaśnić; widziano tylko, że poszedł ku miastu. Ksiądz tedy idzie także do miasta i melduje w biurze policyjnym, że na stacyi przystąpił ktoś do niego w uniformie żandarma, paszport ode-

brał i przepadł bez wieści. Czy to czasem nie był bezpaszportowiec jaki, albo spiskowiec?

Gdyby tak było, *casus* byłby rzeczywiście dla księdza fatalny. Musiałby policmajster zatrzymać go, telegrafować do Warszawy, aby sprawdzić tożsamość osoby i nowy paszport wyjednać. Na szczęście jednak podstęp nie było żadnego. Żandarm, autentyczny żandarm obowiązek swój spełnił, jak mu przykazano: paszport od księdza odebrał i złożył w policyi do wizowania. Względy państwowe wymagały zapewne, aby ksiądz się nie spieszył. Policmajster zaawizował paszport i oddał. Była wtedy już godzina 5 po południu. Ksiądz musi teraz zatrzymać się na stacyi do następnego pociągu, który przybędzie o godz. 12 m. 48 w nocy. Przychodzi wprawdzie jeden o godz. 10 m. 25 wieczorem, ale ten zostaje w Piotrkowie na nocleg i dalej nie idzie. Ksiądz więc będzie czekał prawie do godz. 1 po północy. Przez ten czas niechże poczyni starania, żeby багаż, który został w wagonie, nie zginął i nie był zawieszony gdzieś za granicę. Telegrafuje do Częstochowy z zastrzeżeniem, aby tłómczek z wagonu N. wyjęto i na stacyi zostawiono. Za telegram, ma się rozumieć, zapłaci; nowy bilet do Częstochowy sobie kupi. Po północy wreszcie wyjechał do cudownego miejsca, pociągiem kurierskim... z szykiem... (poprzednio jechał tylko osobowym) — i u celu podróży stanął o godz. 2 m. 43 w nocy¹.

3. Na miejscu nie może ksiądz usiedzieć.

Mimo tak spóźnionej pory na dworcu kolejowym w Częstochowie oczekiwał żandarm, czy policyant, telegrafem zawi-

¹ W czerwcu 1889 r. ks. Żmijewski z Warszawy jechał koleją do Kutna. W Łowiczu (druga stacya przed Kutnem) wysiadł z wagonu i wstąpił do bufetu na kawę. Żandarm do niego przystąpił, odebrał paszport, i poszedł z tymże do ratusza. Pociąg odszedł, a ksiądz musiał iść do miasta, żeby paszport odebrać. Taki był fakt. Ja pozwoliłem sobie przenieść go do Piotrkowa, na miesiąc wrzesień, i dodać konsekwencye nieodbicie za nim idące.

domiony przez oberpolicmajstra warszawskiego o wyjeździe księdza; poprosił o paszport, zatrzymał go przy sobie, księdzu wydał kwitek bez żadnych szykan i pozwolił zamieszkać, gdzie się podoba. Stał ksiądz u krewnych swoich; kwitek im oddał, żeby w biurze policyjnym zameldowali jego przyjazd. Odtąd policyja nie turbowała go, nie wezwwała, żeby się osobiście zameldował. Była to z jej strony wielka grzeczność.

Przed 5 laty, ten sam ksiądz A. mieszkał w Petersburgu i wyjechawszy na wakacje, wstąpił do Połagi, nad morzem Bałtyckiem. Paszport swój posłał zaraz do policyi, dla zameldowania. W godzinę potem przychodzi doń policyant i oświadcza, że policmajster wzywa go do siebie.

— Co to znaczy? — pyta ksiądz kuzyna swego, do którego zajechał.

— To nie innego, tylko policmajster chce każdego przyjeżdżającego księdza oglądać; innych pasażerów nie wzywa, nie ciekawy ich.

Ksiądz, drogą zmęczony, nie spieszył zadosyćuczynić wezwaniu; poszedł dopiero nazajutrz. Policmajster, wyniosłe go przyjmując, mówi: „Skoro władza wzywa, należy zaraz się stawić“.

— Nie wiedziałem — odpowiada ksiądz — że to wezwanie urzędowe; byłem bowiem w Petersburgu, w Wilnie, w Warszawie, a nie zdarzyło mi się otrzymać wezwania do policyi...

— Kiedy pan wyjeżdżasz?

— Dziś wieczorem i proszę o oddanie paszportu.

— Idź pan pierwszej do kancelaryi, żeby zapisali przyjazd i wyjazd pana.

W Częstochowie nie podobnego zaraz po przyjeździe nie spotkało księdza A. Dopiero dnia 7 września przyszedł do niego policyant, oddał paszport i polecił wyjechać natychmiast.

— Dla czego? — czy co złego zbroiłem?

— Nie; lecz tu jutro jest wielki odpust, a ksiądz nie ma w swym paszporcie wyrażonego pozwolenia na odpust (cf. wyżej....)

— Więc nie wolno mi zostać, chociaż mam paszport na 29 dni?

— Nie wolno.

Żadne dysputy, żadne perswazyje nie nie pomagają. „Istniejącym przepisom“ musi się stać zadość; ksiądz, chociaż nie ma czasu spakować swych rzeczy, musi dziś wyjechać i wyjeżdża. Żeby nie wracać do Warszawy i znów do Częstochowy, coby znaczny koszt pociągało, umyślił na cały czas odpustu (przez oktawę) pojechać do swego kolegi i przyjaciela, proboszcza w N. o milę od Częstochowy.

Zaledwie zajechał do N., zjawia się, nie wiedzieć z kąd, na plebanii policyant i pyta o paszport. Przeczytawszy, oddał go księdzu napowrót i kazał wyjechać do Częstochowy, ponieważ to miejsce w paszporcie wyrażone.

Ksiądz ze szczerością opowiada, że właśnie był w Częstochowie, że ztamtąd kazano mu wyjechać z powodu odpustu, że postanowił przeczekać tutaj całą oktawę, a po oktawie wróci do Częstochowy. Nie pomogło tłumaczenie; policyant oznajmiał, że ksiądz nie ma prawa przebywać w N., skoro ma paszport do Częstochowy. Paszport służy tylko do jednego miejsca (ob. wyżej...); jeżeli w Częstochowie księdzu nie pozwolili przebywać, trzeba wracać do Warszawy. Wprawdzie już jest późno; jutro wielkie święto (8 września); jeżeli ksiądz wyjedzie, będzie musiał całą noc jechać, nie będzie zdolny Mszy odprawić; lecz te względy są za słabe, żeby policyant od „istniejących przepisów“ odstąpił; dyspensować nie ma prawa, jak hr. Kotzebue.

Pojechał ksiądz mój w nocy.

Wróciwszy do Warszawy, dopuścił się jednej wielkiej *irregularitas*: nie oddał paszportu do policyi!... żeby potem nie mieć kłopotu z wydostaniem go napowrót. Na razie uszło mu to bezkarnie; wnet jednakże doznał pomsty „istniejących przepisów“ za pogwałcenie, którego się względem nich dopuścił.

16 września, po odpuscie, po oktawie, zajechał powtórnie do Częstochowy. Poznał go policjant i zdziwił się, czemu od

oberpolicmajstra warszawskiego telegramu o nim nie otrzymał? Ksiądz myśli, że jest w porządku; oddaje policyantowi paszport; policyant zaś, przejrzawszy go, nie zatrzymuje u siebie, nie daje kwitka, lecz paszport zwraca, objaśniając, że on nie ma waloru żadnego i nie daje prawa do przebywania w Częstochowie.

— Przecież wydany 31 sierpnia, na 29 dni!...

— Tak jest; ale ksiądz tu byłeś raz i wyjechałeś; teraz nie masz prawa wracać, bo paszport księdzu wydaje się na jeden tylko przejazd (ob. wyżej...)

— Mam odjechać napowrót do Warszawy i o drugi paszport starać się?

— Tak jest — innej rady nie ma; takie są „istniejące przepisy“.

Ksiądz nie wiedział o powyższym przepisie, bo duchowieństwo wcale o niem zawiadomione nie było; w danym wypadku wszakże byłby się dowiedział, gdyby — przyjechawszy z Częstochowy do Warszawy — złożył policyjny dokument w policyi i nie przechowywał go bezprawnie u siebie. Zamierzając jechać do Częstochowy drugi raz, po oktawie odpustowej, prosiłby komisarza o zwrot paszportu, jak dawniej bywało (przed r. 1885), a komisarz wtedy objaśniłby go, że trzeba na drugi wyjazd mieć drugi paszport, bo pierwszy już poszedł do archiwum i utracił swoją wartość.

Według probabilistów ksiądz nie był winien; według rygorystów zaś (a ci są teraz górą, bo jen. Hurko do tej zarzuconej szkoły należy) — winien: *scire potuit*, wiedziałby, gdyby złożył u komisarza paszport; *culpam posuit*, że nie złożył. Należała mu się przeto kara po drugim z Częstochowy powrocie za wyjazd samowolny. Być może, iż ją zapłaci później; dotychczas jeszcze nie zapłacił.

Postanowił wyrobić sobie nowy paszport i pojechać trzeci raz do Częstochowy na resztki wakacyj. Czytelnik już wie, przez jakie instancje ksiądz musi przechodzić, aby paszport otrzymać. Ksiądz A. przechodzi je drugi raz. Łatwo mu po-

szło wszystko poprzednio, więc teraz pełen otuchy zaczyna śmiało pielgrzymkę po stacyach biurowych. Lecz wnet rozczarował się. W konsystorzu obawiają się dać drugiego urlopu, gdy po pierwszym ledwo dwa tygodnie upłynęły; dają dopiero na usilną prośbę. Rządca domu nie ma żadnej obawy i wydaje świadectwo potrzebne. Komisarz cyrkulowy niezmiernie dziwi się, że ksiądz, wyjechawszy 1 września, chce jechać drugi raz 18 t. m. Coś w tem musi być podejrzanego, — pomyślał sobie, — że tak często (?) w jedno miejsce jeździ; egzaminuje go tedy ściślej, a najprzód pyta o przyczynę terażniejszego wyjazdu. Ksiądz opowiada ze szczerością swoje przygody. Komisarz się śmieje i, jako człowiek pocziwy (czystej krwi Rosyanin), nie nadużywa zaufania księdza; radzi mu owszem nie przyznawać się u oberpolicmajstra do wszystkiego, a przede-wszystkiem nie mówić, że drugi raz jeździł za tym samym paszportem, bo za to może karę zapłacić i drugiego paszportu nie dostać. Sam zaś podpisuje mu świadectwo i do oberpolicmajstra wyprawia osobno poufną opinię, że ksiądz ma słuszne powody do powtórnego wyjazdu.

Opinia już leżała w biurze oberpolicmajstra, zanim ksiądz tam nadszedł. Oberpolicmajster wszakże nie ufa komisarzowi; podejrzewa go o „spolaczenie się“; księdza przyjmuje z nieufnością, bada ściślej niż poprzednio; po długich dopiero perswazyach poleca wydać paszport na 14 dni.

Trudności co do drugiego paszportu miał ksiądz A. większe, niż pierwszej; koszta jednak te same.

Do Częstochowy zajechał 19 września. Nie będę powtarzał o telegrafowaniu, o policyancie, o odebraniu paszportu, o wydaniu kwitka, o zameldowaniu, chociaż to wszystko powtórzyło się. Muszę tylko powtórzyć jedną okoliczność: że 23 września, podobnie jak 7 t. m., policyant znów przyszedł do mieszkania księdza A. w Częstochowie, oddał paszport i kazał wyjechać. Dlaczego? — Bo przyjechał do Częstochowy biskup dyecezyi Włocławskiej (do tej dyecezyi należy Częstochowa), a ksiądz A. nie miał w paszporcie pozwolenia być tam, gdzie biskup odbywa wizytę pasterską

(ob. wyżej). Wrócił więc do Warszawy i oczekuje naznaczenia kontrybucyi za nieprawny wyjazd drugi, 16 września.

Innych przygód nie miał.

Oto jest obecny stan prawodawstwa kościelno-państwowego o paszportach wewnątrz kraju specyalnie dla księży. Należy dodać: o paszportach na wyjazd za granicę i t. d.



SPOŁECZEŃSTWO W OBEC ROZUMU I WIARY.

IV.

Lekarstwo społeczeństwa.

Jakiż jest, zapytacie, środek ratunku rozprzegającego się społeczeństwa od grożącej mu zaguby? Powiedzieliśmy już na początku niniejszych studyów, że przyczyną zboczeń w cywilizacyjnym rozwoju ludzkości częściej bywa jednostronność poglądów, niż całkiem fałszywe zapatrywanie się na bieżące kwestye; otóż i źródłem zrozpaczonego stanu obecnego niektórych wykształconych społeczeństw jest wyłączenie zaprzatnienia się pewnymi, naglącymi nawet potrzebami, z całkowitem pominięciem przy ich zaspokojeniu najważniejszych towarzyskiego życia warunków. Patrząc na godne pożałowania nadużycia, jakich przewodniczące i uprzywilejowane klasy, nie wyłączając najwyższą piastujących władzę, dopuszczały się bezkarnie w chrześcijańskich z imienia państwach; patrząc z drugiej strony na nieludzkie wyzyskiwanie pracowitych ramion zgłodniałego wyrobnika na korzyść zbytkujących kapitalistów; patrząc, powiadam, na to wyuzdanie siły i bogactwa, szlachetne lecz jednostronne umysły stanęły śmiało, namiętnie nawet, w obronie sponiewieranej godności człowieka i pogwałconej sprawiedliwości.

Godzi się przypuszczać, iż pierwiastkowo intencye tych obrońców upośledzonych warstw społeczeństwa były czyste, że z dobrą wiarą głosili oni swe humanitarne zasady, nie wątpiąc, iż skoro się im uda wyrwać ster społecznej nawy z rąk, co ją na zgubę wiodą,

wnet uciśniony i pokrzywdzony naród wejdzie na drogę normalnego rozwoju, a wolni i zrównani w prawach obywatele, ujawszy wodze rządu, ukążą zdumionemu światu nieznane dotąd postępu wiedzy i powszechnej pomyślności wyżyny. Dopatrzwszy nadto w szeregach ministrów Kościoła zepsute niektóre i samolubne osobistości, zysków jedynie i własnego szukające wyniesienia, nie wahali się niegodziwości ich życia złożyć na karb religii, którą owi niegodni jej służy postępowaniem swoim znieważali, a mięszając Boską instytucję z ludzką ułomnością czasowych jej przedstawicieli, pod pręgierzem nienawiści i wzgardy postavili sam Kościół, co krwawymi łzami niewierność sług swoich oplakiwał. Nie poprzestając zaś na tem, miotać też poczęli potępienia gromy i na chrześcijańską naukę, głosząc, iż zalecana przez nią cierpliwość i gotowość do przebaczenia krzywd osobistych, wytrącając miecz pomsty z milionowej dłoni pokrzywdzonych, uzuchwala tylko występnych i do nowych ośmiela nadużyć. Usunąwszy przeto całkowicie wpływ religii objawionej, liberalni reformatorowie na rozumie tylko i prawie przyrodzonym oprzeć postanowili nowy porządek społeczny, ufając, iż dobra wola i rozsądek ludu dostateczną rękojmnią publicznej pomyślności się staną. Nie przypadkiem przeto ani z obojętności nawet, ale z wrogiej dla religii zasady zapoznali oni przedwieczne prawa Stworzyciela do rządzenia ludzkim społeczeństwem, a obaliwszy w sumieniu ludów święty Jego zakon, co stanowił przez długie wieki węgielny kamień wszelkiego prawodawstwa, usunęli przez to samo ze społeczeństwa miłość, bez której nie masz ani życia duchowego, ani rozwoju wewnętrznej siły, ani zewnętrznego nawet ład; ów zaś jednostronny pogląd na dwie najważniejsze kwestye społecznego bytu nie mógł nie wywołać w praktycznem zastosowaniu owych groźnych następstw, które tak nas przerażają obecnie.

Odkrycie wszakże źródła i natury trawiącej społeczny organizm niemocy jest już przez to samo niezmiernie cennym nabytkiem, że poznawszy chorobę i lekarstwo na nią nie trudno też znaleźć będzie. Jakoż: skoro istotną przyczyną złego jest usunięcie ze społecznych instytucyj Boga i zapoznanie w prawodawstwie i administracyi czynnika miłości, to jedynem lekarstwem, zdolnem skutecznie uleczyć tę niemoc, może być szczere uznanie rządów

Stwórcy nad narodami i oparcie przeważnie na miłości całej organizacji państwowej.

Obaczmyż, w jaki sposób podwójne to przekształcenie dałoby się w praktyce dokonać. Co do pierwszego, niedość jest przyznać w zasadzie, iż Bóg, wywoławszy z nicstwa świat cały, jest niezaprzeczenie jego panem, a więc przysługuje mu bezwarunkowe prawo urządzania go wedle własnego upodobania, stanowiąc dlań bądź fizyczny, bądź moralny zakon, którego nie godzi się rozumnym tworem ani zapoznawać, ani tem bardziej z nim walczyć. Niedość jest nawet zgodzić się na to, że społeczeństwa niemniej są dziełem Stwórcy, jak i pojedynczy człowiek, a więc że równie jak indywidua, juryzdykeyi Jego podlegają; ale trzeba nadto starać się poznać, jaka mianowicie myśl przewodniczyła Mu, kiedy przeznaczał rodzaj ludzki do uspołecznienia, obdarzając go odpowiednią do celu tego naturą: gdyż wówczas pojąć też zdołamy, czego mianowicie wymaga On od nas pod tym względem. Uznawszy zaś rządy Boże w zasadzie i wyrozumiawszy należyte zamiary Najwyższego Monarchy w życiu społecznem, musimy określić, w jaki sposób należy poznaną wolę Bożą wprowadzić w życie, przez zastosowanie jej praktyczne? Pragnąc jak najgruntowniej dać odpowiedź na powyższe pytania, zaczniemy od określenia, co mianowicie rozumieć chcemy przez społeczeństwo, będące bezpośredniem dziełem Bożem, boć przecie ani stowarzyszeń dobroczynnych lub naukowych, ani też handlowych lub przemysłowych spółek za utwór mądrości i wszechmocy samego Stwórcy podawać nie myślimy. Otóż, przez wyszłe z rąk Bożych społeczeństwo rozumiemy przedewszystkiem naród, co jest tak odrębną i charakterystyczną zbiorową jednostką w łonie ludzkości, iż żadne ludzkie usiłowania, chociażby najpotężniejszych monarchów i genialnych mężów stanu, nie są w stanie ani nowego narodu utworzyć, ani istniejącego już zniszczyć, chyba zgładziwszy wszystkich jego przedstawicieli. Widzimy w dziejach narody powstające, inne niknące z powierzchni ziemi, ale dzieje się to zawsze w ciągu długich wieków i wielu pokoleń; ludzie są w tem czynni, ale bezwiednie, nie inaczej, jak te nieprzeliczone wymoczki, co wśród oceanu całymi wiekami układają nowe wyspy. Narody więc nie zawdzięczają swego bytu i swych charakterystycznych typów pomysłowi ludzkiemu, tem mniej przypadkowi, ślepemu zbiegowi

okoliczności, ale tym najwyższym prawom, które władają światem od atomu aż do całości rodu ludzkiego, które działają przez mnóstwo drobnych przyczyn i nieświadomych czynników, a zawsze w końcu do racjonalnych i mądrych doprowadzają rezultatów, a które oczywiście niczem innym nie są, tylko wyrazem myśli Stwórcy i Pana świata. Wszystko więc, co podług tych praw powstaje, czy kwiatek, czy naród, czy język narodowy, to wszystko jest myślą Bożą i wprost z Jego woli pochodzi. Toż samo powiedzieć też można i o publicznem życiu każdego narodu, którego odrębne właściwości w rozwoju dziejowym najwybitniej się wykazują. Każdy naród ma z przyrodzenia pewne społeczne i polityczne aspiracye, pewne ideały, do których każde pokolenie wzdycha, niezależnie nawet od możebności ich urzeczywistnienia. Ztąd nawet utarły się w mowie wyrazy: narodowy charakter angielski, włoski, niemiecki — i wszyscy rozumiemy, co te wyrażenia znaczą. Wobec tych samoistnych i od ludzkich usiłowań niezależnych właściwości, niepodobna nie przyznać, iż naród jest bezpośredniem dziełem Bożem.

Już w stanie koczowniczym wyrabiają się te odrębne cechy i właściwości, stanowiące naród. Ale po osiedleniu się plemienia w pewnej miejscowości i zajęciu przezeń odpowiedniej przestrzeni ziemi, narodową tę posiadłość zwać poczynają krajem własnym lub ojczyzną; wskutek zaś wrodzonego człowiekowi uczucia patryotyzmu przywiązuje się on nietylko do swych współrodaków, ale też i do kraju, co stanowi wspólną całego narodu ojczyznę. Jeśli osiedlony już stale w kraju swoim naród posiada nadto rząd własny i od żadnego innego nie zależy narodu, to przybiera wówczas miano państwa i stanowi w zwykłym znaczeniu społeczeństwo, które w języku naukowym zowie się doskonałem, gdyż samo sobie we wszystkich potrzebach wystarcza. Jakkolwiek zatem w mowie potocznej wyrazy: naród, kraj, państwo a nawet społeczeństwo używane bywają jako jednoznaczące, ściśle jednak biorąc, każdy z nich co innego oznacza. Przez społeczeństwo rozumiemy też niekiedy ludzkość całą, a wówczas narody stanowią składowe żywioły społeczeństwa, jak indywidua rodziny; jako zaś rodzina do prawidłowego rozwoju i zapewnienia sobie przyszłości potrzebuje posiadać dostateczne do jej wyżywienia mienie i broniący ją od rozprzężenia wewnętrzny zarząd, w osobie rodziców; tak też i naród wówczas

tylko w normalnem znajduje się położeniu, kiedy posiada kraj własny i rząd niezależny, t. j. kiedy stanowi niepodległe państwo. Naród wprawdzie jest tak żywotną jednostką, iż istnieć może nawet po odjęciu mu ojczystej ziemi, jak istnieją np. Żydzi, po wszystkich krajach od tylu wieków rozproszeni, a jednak narodowy swój charakter przechowujący. Tem bardziej istnieć może naród bez własnego rządu, jak istnieje nawet obecnie tyle ujarzmionych narodów, które ulegając obcej przemocy, przechowują wszakże w głębi serca nietylko swe odrębne narodowe cechy, lecz i swe umiłowane ideały. Takie wszakże bądź tułaczce, bądź niewolnicze istnienie, gwałt zadające przyrodzonym skłonnościom narodu i niedozwalające mu zaspokoić najsluszniejszych nieraz, a nawet niezbędnych narodowych potrzeb, istotną, a niekiedy niepowetowaną stanowi klęskę nietylko dla pokrzywdzonego narodu, lecz i dla ludzkości całej, która nie może nie odczuwać wciąż krwawiącej się rany jednego z żywotnych organizmu swego członków. Odjęcie narodowi posiadanej przezeń ziemi jest równym występkiem w stosunku do ludzkości, jak byłoby w stosunku do rodziny wydziedziczenie jednego z synów z należytnej mu ojcowizny i skazanie go przez to na dożgonne tułactwo; ujarznienie zaś niepodległego narodu za przyzwoleniem państw innych, dałoby się porównać do zaprzędania w niewolę Józefa przez nietościwych jego braci, co ludzkość nie mniej boleśnie odczuć musi, jak odczuł Jakób krzywdę umiłowanego syna swego.

Nie wynika ztąd wszakże, by każda narodowość stanowić koniecznie miała niepodległe państwo; utrzymanie bowiem niezależności wymaga pewnych geograficznych i militarych warunków, które nie w każdym znaleźć się mogą narodie, tak iż zaledwie przez sprzymierzenie się dwóch lub kilku samoistnych ludów pod wspólnym zarządem można zaradzić tej potrzebie. Jak więc pojedyncze rodziny, nie wyzuwając się ze swej indywidualności i nie poświęcając żywotnych interesów swoich, mogą najcisłejszymi kojarzyć się z sobą węzłami przez małżeńskie związki, z których wyradza się nietylko wspólność interesów, ale i wspólność zarządu; tak i narody mogą się też łączyć zapomocą dobrowolnej unii w jedno państwo, nie tracąc przez to ani narodowego swego charakteru, ani swych dziejowych dążeń. Jedynym wszakże godziwym w po-

dobnym sojuszu cementem może być tylko braterska miłość, połączona z przekonaniem, iż to zjednoczenie, dając rękojmię bezpieczeństwa skonfederowanym narodom, nie przeszkodzi żadnemu z nich do wiernego spełniania swego dziejowego posłannictwa.

Po tych wstępnych objaśnieniach jawnem się już staje, że przez jednostkę społeczną, która jest bezpośredniem Stwórcy dziełem, rozumiemy naród w etnograficznem znaczeniu; twierdzenie zaś to nasze opieramy nietylko na biblijnem podaniu o pomieszaniu języków, lecz przedewszystkiem na niezaprzeczonych, bo tak łatwych do sprawdzenia właściwościach każdej bez różnicy narodowości, tak wyraźnie charakter Boskiej działalności na sobie noszących. Jeżeli przeto prawdą jest, że każdy pojedynczy człowiek ma osobiste przeznaczenie swoje, wolą Stwórcy sobie nadane, i to tak, iż wszystkie udzielone mu, bądź przyrodzone, bądź nadprzyrodzone dary, przeznaczeniu temu odpowiadają; to równie prawdą też być musi, że i naród każdy posłannictwo jakieś od Boga otrzymał, zastosowane do narodowego charakteru swego, boć Mądrość Przedwieczna ma cel zawczasu obmyślany w każdej sprawie swojej. Na poparcie tego wniosku mamy zresztą otwartą księgę dziejów, z której, kto w niej czytać umie, przekona się, iż szlaki, po których narody w ciągu wieków kroczą, nie są ani dowolne, ani przypadkowe, lecz nakreślone są wszechmogącą prawicą Tego, co umieściwszy cel właściwy na każdym torze i zatknąwszy dla pielgrzymujących pewne drogowskazy, pomoce też niezbędne przygotował dla tych, co za Jego przewodnictwem wiernie postępować usiłują. Komu zaś nici powszechnych wypadków dziejowych zbyt zwickłane się wydają, ten niech spojrzy na losy Ludu Wybranego, którego wyłącznem przeznaczeniem było przechowanie prawdziwej wiary aż do przyjścia Messyasza. A tu już najwyraźniej cała historia tego ludu nieprzerwane pasmo dowodów tej prawdy stanowi, iż nietylko Opatrzność narody do spełnienia pewnych zadań powołuje, lecz także czuwa nad spełnieniem tych zadań, nie szczędzi pomocy i opieki wiernym, upomnienia zaś i chłosty przeniewiercom.

To ściśle związanie losów każdego narodu z zamiarami Opatrzności doprowadza nas do tego niezmiernej doniosłości wniosku, że skoro Pan nieba i ziemi ukształtował charakter każdego narodu i dał każdemu właściwe powołanie, to każdy naród, niezależnie od

jego leczebnej siły i obszaru posiadanego kraju, winien być dla całej ludzkości nietykalnym i świętym, jako dzieło Stwórcy, w które On jedną z idei wszechmądrości swej wcielił. Chcieć zniszczyć lub ubezwładnić naród jaki przemocą, jest to targnąć się na zgaszenie jednego z promieni tej Światłości, która wówczas tylko w całym jaśnieje blasku, kiedy ani jedna iskierka uroniona z niej nie będzie. Ze względu przeto na uznanie panowania Stwórcy nad społeczeństwem, pierwszym obowiązkiem ludzkości jest uszanować prawa każdego narodu, tak samo, jak poszanowanie praw rodziny jest pierwszym obowiązkiem państwa. Obowiązek zaś ten stosuje się nie tylko do języka, charakteru i posłannictwa narodowego, ale też do jego kraju i nagromadzonych w nim nabytków cywilizacji; tak ziemia bowiem, jak i owoce wspólnej pracy jej mieszkańców stanowią świętą i nienaruszalną własność narodu. Państwo przeto sięgające zbrojną ręką po te nabytki ciężkiego trudu wielu pokoleń, ażeby przemocą wydrzeć je narodowi, bądź w całości, bądź nawet w części, państwo takie, powiadam, popełnia w oczach Bożych taką samą zbrodnię, jak brat wyrodny, wyzuwający słabszego brata z należnej mu ojcowizny. Jako więc cała rodzina obowiązana jest stanąć solidarnie w obronie praw każdego ze swych członków, tak również wszystkie państwa, wchodzące w skład ludzkości, mają obowiązek nie dopuścić pokrzywdzenia któregośbądź narodu. Taż sama zasada solidarności przewodniczyć też winna we wszystkich międzynarodowych stosunkach, zwłaszcza zaś przy zawieraniu przymierzy, gdzie węzłem łączącym sprzymierzone narody powinna być tylko wzajemna życzliwość i chęć dopomagania sobie nawzajem na drodze pokojowego rozwoju lub zabezpieczenia się od niesłusznych napaści, z bezwarunkowem wyłączeniem wszelkich ambitnych dążeń, zmierzających do pokrzywdzenia słabszych. Stąd ani federacyjne unie, ani międzynarodowe sojusze nie powinny nigdy zagrażać istotnym interesom narodów nie przyjmujących udziału w tych związkach, t. j. nie powinny stawiać im na zawadzie do normalnego rozwoju swych przyrodzonych zasobów lub do spełnienia dziejowego posłannictwa swego.

Przyjęcie tej zasady, iż narody są urzeczywistnieniem myśli Bożej, którą przejawiać powinno w publicznym życiu swoim, kładzie niewzruszoną podwalinę nie tylko dla stosunków międzynarodo-

wych, ale też i dla wewnętrznego państwowego ustroju. Skoro bowiem Stwórca jest najwyższym wszystkich narodów Panem, i skoro każdemu nadał w zamiarach swoich pewne przeznaczenie, to każdy też obowiązany jest zastosować się w postępowaniu swoim do woli Bożej, jako do nieodwołalnego zakonu, wyższego nad wszelkie ludzkie zachcianki. Jakabykolwiek przeto była forma rządu, skoro Bóg uznany jest za najwyższego Monarchę, a wola Jego za najwyższe prawo, to każdy dzierżący ster władzy winien się uznawać za odpowiedzialnego przed Nim namiestnika, a każde prawodawstwo winno się zamknąć w szrankach, dozwolonych Jego zakonem. W tak pojętem państwie rząd odpowiedzialny jest właściwiej przed Bogiem, niż przed narodem; bo jeśli nawet ustawa krajowa stanowi pewien trybunał, upoważniony do powoływania osób piastujących władzę do odpowiedzialności, to i sam ów trybunał jest tylko urzędem namiestniczym, wydającym wyrok nie wedle własnego upodobania, lecz wedle prawa przyrodzonego, które Bóg w sercach wypisał, i wedle konstytucyi, która otrzymała sankcję religijną, przez zaprzysiężenie jej przez cały naród i przez to samo w sumieniu obowiązuje, wszystkich zarówno do odpowiedzialności przed trybunał Przedwiecznego powołując. Wyrok wreszcie tego trybunału, chociażby był najsurowszy, piętnuje tylko rządzące osoby, a nie samą władzę, której powaga pozostaje nietknięta, równie jak i powaga konstytucyi, która umacnia się tylko surowem karceniem przestawców, bez względu na to, czy nadużycia z dołu czy też z góry pochodzą.

I tak, przebiegłszy myślą uczynione powyżej spostrzeżenia, wszelkie już mamy prawo wywnioskować, iż przyznanie Boga za Najwyższego Monarchę, woli zaś Jego za nieodwołalne prawo, najlepiej tak zewnętrzne jak i wewnętrzne interesa państw wszystkich zabezpiecza; wówczas bowiem prawo międzynarodowe zastosowaniem tylko będzie niezmiennych zasad moralności chrześcijańskiej do wzajemnego stosunku narodów, tak iż każde państwo winno będzie czynić drugiemu to, co chciałoby, iżby drugie w podobnym wypadku jemu uczyniło. Że zaś żadne nie zadowolniłoby się tem, iż sąsiad krzywdyby mu nie uczynił, lecz pragnęłoby nadto, aby je od niesłusznej napaści obronił, i względem drugich przeto winno też być gotowe do bratniej pomocy. Taka solidarność międzynaro-

dowa stanowić będzie najwyższą chwałę cywilizacji chrześcijańskiej. jeżeli zdoła kiedykolwiek w polityce międzypaństwowej zapanować. Co do wewnętrznego znowu urzędu państwa, oparcie całego prawodawstwa na Pańskim zakonie i umocnienie powagi konstytucyi przez religijną sankcję zaprzysiężonej wobec Boga przez cały naród wierności, najskuteczniej usuwa błędy ludzkiej samowoli, tak ze strony ludu jak i sprawujących rządy; każda bowiem czynność publiczna ma już tu wyraźnie przez wolę Bożą wytknięty kierunek, każde zaś nadużycie karcone jest nie tylko przez stróżów krajowego prawa, ale też i w trybunale własnego sumienia.

Lecz kto i w jaki sposób, zapyta może czytelnik, urządzić ma w państwie tę niezbędną a tak trudną kontrolę, mającą wyrokować o zgodności krajowych instytucyj i międzynarodowych stosunków z wolą Bożą? Na to odpowiadamy bez wahania, iż prawo to nie komu innemu przysługiwać może, jeno temu, kogo sam Pan do tego upoważnił, zostawiając mu klucze Królestwa Niebieskiego z namiestniczą władzą na ziemi. Tak, zaiste: Kościół tylko nauczający, uwidomiony w osobie Najwyższego Pasterza swego, może być kompetentnym sędzią w tej sprawie, gdyż on jeden otrzymał całkowity depozyt objawionej nauki, z prawem wykładania prawdziwego jej znaczenia i stosowania jej do pojedynczych wypadków. Ukazemy na właściwem miejscu, w jaki sposób Kościół wywiązuje się z tego ważnego posłannictwa, z całkowitem zastrzeżeniem udzielonej mu przez Zbawiciela władzy, a nie wkraczając jednak w atrybuta przynależne świeckiej władzy. Obecnie zaś zwrócimy jedynie uwagę na to, że z owej misyi pośredniczenia między Niebem a ziemią, między Monarchą Najwyższym a rządzonymi z ramienia Jego narodami, nikt wywiązać się nie zdoła lepiej od Kościoła, nie tylko dlatego, że z Nieba otrzymał odpowiednią ku temu jurysdykcję, ale też i z powodu macierzyńskiego stosunku swego do wszystkich narodów, które bez różnicy radby pociągnąć na swe miłujące łono, żadnego nie wyłączając i żadnemu wyłącznych nie udzielając przywilejów, jak prawdziwa matka, co dobro jedynie swych dzieci ma na względzie. Gdyby więc wszystkie narody weszły do Kościoła i gdyby przejawszy się nawskróś duchem Ewangelii oparły na nim tak państwowe jak i międzynarodowe stosunki, jakżeby łatwo było wówczas wspólnemu wszystkim wiernych Pa-

sterzowi załatwiać swem ojcowskiem pośrednictwem wszelkie nieporozumienia i niesnaski, jakie z powodu skażenia ludzkiej natury, przy najlepszej nawet woli powstać mogą. Jeśli zaś całkowite urzeczywistnienie tego ideału jest niemożliwe, to czyż samo dążenie do niego nie stanowi już nieopisanej dla chrześcijańskiego serca pociechy?

(C. d. n.)

Ks. Z. Szczęsny.



KATOLICKIE UROCZYSTOŚCI ZAATLANTYCKIE.

Stuletni jubileusz zaprowadzenia katolickiej hierarchii w Stanach Zjednoczonych. — Pierwszy kongres katolików amerykańskich. — Otwarcie katolickiego uniwersytetu w Waszyngtonie.

Wielki chrześcijański myśliciel, *Józef de Maistre*, w dniach bezpośrednio następujących po rewolucyi francuskiej, przepowiadał, iż w setną rocznicę dziejowego przełomu, w miejsce praw człowieka, na nowo prawo Boże zapanuje nad światem i święcie będzie zwycięstwo. Nie spełniła się jego wróżba dla starej Europy, która mimo postępów oświaty i wiedzy, coraz bardziej zda się chylić do upadku. Wprawdzie przebrzmiały marnie hasła wielkiej rewolucyi, ale w stuletnią jej rocznicę daleko się bardziej ludzkość troska o doskonałość broni i celność armat, aniżeli o równość i braterstwo. Urządzona na cześć jubileuszowego rewolucyi obchodu wystawa, zatraciła najzupełniej swój charakter urzędowo-pamiątkowy. Zwinęła czerwone sztandary, aby się zmienić po prostu w olbrzymie targowisko, w wesoły jarmark, dostarczający przelotnie znękaney ciągłym strachem wiszącej nad nią wojny Europie, kilku przyjemnych chwil wytchnienia. A tymczasem po drugiej stronie Atlantyku całkiem różne święcono uroczystości: tu upamiętniano dzieło szalu i zburzenia, tam rozumnej budowy, — tu źle zrozumianego prawa człowieka, tam uznanego prawa Bożego, — tu obchodzono przewagę tyraństwa, tam wolności tryumf.

Z grozą przychodziło nam patrzeć na ten widok tak odmienny i wspominać niezbadane drogi Opatrzności, przerzucającej niekiedy zasiew Prawdy i Królestwo Boże na ziemi z jednych krain w drugie, z jednych kresów do innych: kara za niewdzięczną obojętność i winy niektórych społeczeństw, którym odjętym bywa skarb, na którym się poznać nie umiały, lub którym wzgardziły w zaślepieniu swoim. Czy zapadający się stary świat ustąpi Nowemu wspaniałego ciągu swej chrześcijańskiej tradycji?—czy rzeczywiście Ameryka ma podjąć hegemonię wśród narodów ziemi i pierwsze zająć stanowisko? Doprawdy, zachwytyjąc odgłosy uroczystości jubileuszowych, które w listopadzie minionego roku odbyły się z taką świeżością na przeciwnych Oceanu wybrzeżach, zazdrosne nasuwało się porównanie, niepokojące przypuszczenie, ażali przeszłość nie będzie wyłącznie należała do tego młodego społeczeństwa, które w tej chwili tak wspaniale urzeczywistnia najpełniejsze marzenia wolności, nikomu jej nie skąpiąc ani odmawiając. W tem słońcu swobody rozwijają się pomyślnie wszystkie instytucye, a i Zakon Boży i Kościół katolicki bujnie się szerzy i rozrasta.

Jakiż to jubileusz zamorskie święciły krainy?—Dwie daty, dwie pamiątki drogie sercom katolickim zeszły się w tym roku stoletnią rocznicą. Jednocześnie z próbami zburzenia Kościoła we Francyi, nastąpiło w 1789 r. ustanowienie pierwszego katolickiego biskupstwa w Stanach Zjednoczonych, a zarazem i założenie tamże pierwszej wyższej szkoły katolickiej. Postanowiono świetnie te drogie obchodzić pamiątki, skupić uroczystości jubileuszowe w *Baltimore*, metropolii amerykańskiego episkopatu, a uświetnić je otworzeniem katolickiego uniwersytetu w *Washingtonie*, oraz pierwszym kongresem katolickim w Nowym świecie. Oczywiście, pora jak wraz się nadawała do spojrzenia wstecz i obliczenia się z położeniem i postępem, dokonany od lat stu, a doprawdy, pocieszający stał obraz. Podczas gdy nam zbyt często przychodzi zapisywać ubytki tylko i ruiny, ciosy i klęski, kulturkampfy i prześladowania różne, tam zmierzyć przychodzi wspaniały rozkwit Ko-

ściola i katolicyzmu. Kilka szczegółów, kilka cyfr najlepiej nam objaśnia doniosłość dokonanego w jednym wieku postępu.

Zależna od Anglii Ameryka północna, przed stu laty żadnej nie posiadała hierarchii, a bardzo mało liczyła katolików w swem łonie. Na olbrzymim obszarze rozproszonych, mogło być dwadzieścia kilka tysięcy wiernych, ci zaś nie mieli regularnej obsługi duchownej. Dwudziestu do trzydziestu kapłanów, przeważnie zakonników z Towarzystwa Jezusowego, obiegało wprawdzie po apostołsku te olbrzymie dzierżawy, ale niepodobna było wszędzie dotrzeć i nieść wszystkim umocnienie; wiele też dusz ginęło i odpadało z braku Sakramentów śś. i pomocy religijnej. W tej to chwili Opatrzność zesłała młodej Ameryce męża, do którego zastosowano słowa Ewangelii o przesłańcu Zbawiciela: *Fuit homo missus a Deo, cui nomen erat Joannes. Jan Carroll* urodził się w r. 1735, a pochodził z majątnej katolickiej rodziny Marylandu. Otrzymawszy pierwsze nauki z rąk jezuickich misjonarzy, uzupełnił je w Flandryjskiem kolegium St. Omes i w 1753 r. wstąpił do Towarzystwa Jezusowego. Po złożeniu profesyi towarzyszył młodemu Lordowi *Stourton* do Rzymu, a następnie osiadł w Bruges, gdzie go zastał wyrok kasaty Zakonu. Pierwsze chwile po tym ciosie spędził wśród katolickich swych w Anglii przyjaciół, ale już w r. 1774 wrócił do ojczyzny, aby tamże osiąść przy matce, zamieszkałej opodal od dzisiejszego Waszyngtonu, i z prywatnej kaplicy, znajdującej się w rodzicielskim majątku, zrobić ognisko życia katolickiego, promieniejące na całą okolicę. I Carroll i jego bracia zakonnicy nie ustawali w pracy i poświęceniu dla dobra dusz, atoli trudnem nad wyraz było ich zadanie, przy niedostatku robotników, a niezmiernych przeszczeniach tej części winnicy Pańskiej.

Wtem wybuchła wojna o niepodległość. Ksiądz Jan Carroll — podobnie jak wszyscy katolicy północnych Stanów — całą duszą popierał sprawę wyzwolenia ojczyzny, upatrując w wolności przymiot doskonalszy człowieka i rękojmnię swobodnego rozszerzania Prawdy. Wtem, wygnani z Francyi pra-

wowierni kapłani zawinęli do portów północnej Ameryki. Z wikaryuszem apostolskim, rezydującym w Londynie, trudno się było znosić wśród zamieszek wojennych. Okazała się gwałtowna potrzeba ustanowienia miejscowego zarządu hierarchicznego; duchowieństwo zamorskie podało prośbę do Rzymu o utworzenie nowej diecezji i naznaczenie pierwszego jej biskupa. Wniosek ten odebrał Pius VI w najsmutniejszych dla Papiestwa okolicznościach. Wszędzie bezbożny racjonalizm podnosił głowę, usiłując zadać cios ostateczny Piotrowej budowie, która tymczasem, acz wstrząśniona naciskiem tak zawziętych nienawiści, składała nowy dowód swej nieśmiertelnej niewzruszoności, silniejsze zapuszczając korzenie na nowym gruncie zaatlantyckich wybrzeży.

Sklaniając się do życzeń kleru amerykańskiego, a słuchając nadto gorących poleceń Benjamina Franklina, Pius VI bullą z dnia 6 listopada 1789 r. powołał *Jana Carrolla* na nową stolicę biskupią w Baltimore. W tym samym roku Jerzy Waszyngton, dokonawszy dzieła wyswobodzenia ojczyzny, za którą i polska się krew lała, a Kościuszko i Puławski waleczyli, stał jako Prezydent na czele wolnych Zjednoczonych Stanów. Posłuszny woli Ojca świętego, ks. *Jan Carroll* popłynął tymczasem do Anglii, aby tamże odebrać święcenia biskupie w prywatnej kaplicy zamku *Lulworth*, siedzibie znakomitego rodu *Weldów*, którego syn został kardynałem świętego rzymskiego Kościoła, a córka, poślubiona p. *Bodenhamowi* z Rotherwas, przekazała pobożność i cnoty przodków synowi swemu, Karolowi, całą duszą oddanemu naszej ojczyźnie. Wróciwszy biskupem do Stanów Zjednoczonych, ks. *Carroll* w niczem nie zmienił dotychczasowego rodzaju życia. Po dawnemu obiegał obszary diecezji, obejmującej do 10,000 mil kwadratowych, najdalsze zwiedzał zakątki, docierał do biednych Indyan, niosąc im światło wiary, jako prawdziwy misjonarz. A zarazem nie tracił z oczu potrzeb swej ojczyzny, wymagań młodego społeczeństwa i własnych powinności obywatelskich. Słusznie o nim powiedział jego następca na metropolitalnej stolicy Stanów Zjednoczonych, kardynał *Gibbons*, iż pierwszy biskup

z Baltimore łączył w sobie przedziwnie podwójne cechy: pobożnego kapłana i wielkiego patryoty. Był to mąż zdumiewającej roztropności, iście Bożej mądrości, bystrych poglądów i niezrównanej pobożności. A wszystkie te przymioty wieńczyła dobroć prawdziwie anielska. Przytaczają słowo świętobliwej *Elżbiety Seton*, opatrności dziatwy amerykańskiej, która zapytana raz przez jedną z swych wychowanek, na czem właściwie dobroć się zasadza, odpowiedziała bez wahania: „Spojrzyj na arcybiskupa *Carrolla*, a zobaczysz żywy jej wyraz“.

Ludzkie to odbicie Bożego przymiotu nadawało pracy niezmordowanego duszpasterza osobną rodzajność. Już w roku 1808 rozrost Kościoła katolickiego w Ameryce wskazał potrzebę utworzenia czterech nowych dyecezyj, a podniesienia stolicy Baltimore do znaczenia arcybiskupiej metropolii. Aż do roku 1815 ks. *Jan Carroll* z jednaką żarliwością i poświęceniem sprawował rządy Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych, on też prawdziwie założył podwaliny dzisiejszej wspaniałej budowy, on rzucił zasiew obfitego po stu latach żniwa. W miejsce niecałych trzydziestu tysięcy katolików, rozproszonych ongi w zakresie czterech misyj, obejmujących Nowy Jork, Maryland, Pensylwanię i Wirginię, obecnie Stany Zjednoczone, których narodowy sztandar liczy dziś czterdzieści dwie gwiazdy, odpowiadające tyluż stanom, posiadają do dziesięciu milionów katolików, na sześćdziesiąt kilka milionów ogólnej ludności. Zamiast szczupłego zastępu dwudziestu kilku współpracowników ks. *Jana Carrolla*, widzimy poważny zastęp ośmiu tysięcy kapłanów, pozostających w najściślejszym zjednoczeniu z Rzymem i Głową Kościoła. Tam, gdzie w r. 1789 jeden tylko, pierwszy biskup pasterzował małej trzodzie, dziś rozwija się wspaniała poczet hierarchiczny 12 arcybiskupów i 75 biskupów z kardynałem *Gibbons* na czele.

Kiedy Jerzy Waszyngton przed stu laty uczestniczył w katolickim dziękczynnym nabożeństwie za wywalczoną ojczyźnie niepodległość, Msza św. odprawiała się w ubożym, z desek zbitym kościółku. Dziś Stany Zjednoczone liczą około

10,500 kościołów i kaplic katolickich, a w samym Nowym Jorku, okrom wspaniałej katedry św. Patrycego, znajduje się do 74 katolickich kościołów, 35 kaplic i 29 zakładów dobroczynnych. Dwadzieścia trzy z pośród dyecezyj Stanów Zjednoczonych posiadają własne seminaria duchowne, w których się kształci około półtora tysiąca przyszłych kapłanów. Dyecezyje te zachowały nieraz iście amerykańskie rozmiary, stolica zaś biskupia w Nowym Jorku liczy do 800,000 dusz w samymże obrębie miasta. Katolickie szkółki parafialne, których jest przeszło 3000, zapewniają chrześcijańskie wychowanie blisko 600,000 dzieciom; ale i wyższych zakładów naukowych tam nie brak, i doliczyć się można 700 kolegów i akademij, z których Franciszkanie posiadają 40, Jezuita zaś 53. Towarzystwo Jezusowe liczy tam 1256 czynnych członków, zajętych bądź na misjach, bądź w zakładach naukowych. Benedyktyni założyli już z kolei dziewięć opactw na tej wolnej ziemi, posiadającej nadto pełno klasztorów Dominikanów, Franciszkanów, Kapucynów i Redemptorystów. Niema prawie nowego zgromadzenia zakonnego, któreby tam nie puściło odrośli. Na tysiące liczyćby trzeba zastępy różnorodnych żeńskich zakonnic: wystarczy powiedzieć, iż 500 zakładów dobroczynnych i tyleż szkół dla dziewcząt przeważnie pod ich zostają kierownictwem.

I znowu imponujące cyfry przedstawiają dzieła miłosierne, w Nowym Jorku skupione—a więc zakład podrzutków, pod zarządem Sióstr miłosierdzia, liczący 2701 dzieci oraz 201 matek, wyrwanych nędzy; przytułek dla sierót mieści 1363 dziatek; zakład Dobrego Pasterza z mnóstwem pokutnic; katolicka Opieka nad dziećmi, która przygarnia 1530 chłopców i 725 dziewcząt, i t. d. Miłosierdzie jest tu w stosunku do rozmiarów olbrzymiej stolicy, a rozwija się swobodnie, nie znając podejrzliwej nieufności rządów, śledzących każdy jej krok i ofiarę na starym gruncie Europy. Kraina ta łatwych zysków i spotęgowanej walki o życie, nie zasklepia się w materialnym dobrobycie. Skrajność stosunków oczywiście wyradza skrajne też ostateczności dostatków i nędzy. Ale litościwa dobroczynność głę-

bokie wśród świeżego społeczeństwa zapuściła korzenie. Wszystkie te kościoły, wszystkie instytucje, powstają przeważnie z datków ubogich, z jałmużn ludu, pojedynczymi ofiarami, rosnącymi w olbrzymie nieraz sumy. Baczność o zabezpieczenie dzieciom chrześcijańskiego wychowania, hojne wciąż wywołuje składki, mnożąc szkoły katolickie, do których nie rzadko protestanci własnych posyłają synów i córki, aby ich uchronić przed duchową zarazą szkół bezwyznaniowych.

Słusznie tedy w stuletnią rocznicę wieku, który tak wielkich spraw dokonał, katolicy Stanów Zjednoczonych mogli zanucić radosne *Magnificat*, i z korną chlubą spojrzeć wstecz na skromne początki, na ziarno gorzyczne, które dziś w tak olbrzymie wyrosło drzewo. „Z pobożnem zaufaniem mogą oni rozpoczynać drugi wiek swego kościelnego istnienia — pisze znakomity pisarz, Ojciec *Baumgartner* T. J. — albowiem dzielnie przez tych lat sto pracowali i walczyli, i zdobyli sobie stanowisko, które w samychże przeciwnikach budzi cześć i szacunek“. Dokazali rzadkiej, iście katolickiej sztuki zespolenia najróżniejszych narodowości w jednolitej służbie Kościoła. „Urodzeni Amerykanie i Anglicy — dodaje wyż wspomniany publicysta — Irlandczyki i Niemcy, Włochy i Francuzi, Holendry, Hiszpanie i Polacy, wspólnie tu pracowali około podniesienia Kościoła“.

Jedyna to wzmianka, jaką znajdujemy o Polakach, wśród odgłosów jubileuszowych, z których niniejszą próbujemy uwić wiązanek szczegółów i odgłosów. A jednak wiadomo, jak poczesne miejsce zajmują polskie zakłady i świątynie, polskie gminy i parafie, w ustroju katolickiego Stanów Zjednoczonych Kościoła. Żywił polski szczery też brał udział w uroczystościach *Centenaria*, niknąc wszelako w obec liczniejszych, czynniejszych i widomszych zabiegów niemieckiej i irlandzkiej ludności. W czasopismach polsko-amerykańskich znalazło się gorące odzwierciedlenie tryumfalnych obrzędów, których przebieg pragniemy po krótkce naszym czytelnikom przedstawić. Sprawiedliwy wybór skupił uroczystości jubileuszowe w Baltimore,

stolicy arcybiskupa *Carrolla* i kolebce katolickiego w Stanach Zjednoczonych życia.

Na dniu 10 listopada ubiegłego roku, od rana rozpoczęły się w katedrze Baltimorskiej nabożeństwa pamiątkowe, któremi katolicka hierarchia święciła stuletnią swego istnienia rocznicę. Katedra ta, zbudowana w stylu bizantyńskim, jest jedną z rzadkich na tym młodym gruncie świątyń, posiadających artystyczne znaczenie i historyczne wspomnienia. Nieco krzycząca dekoracya wewnętrzna stłumioną została mnóstwem wieńców i festonów z zieleni, oraz prawdziwych snopów nieśmiertelników, które nadawały przybytkowi Bożemu świąteczną cechę. Duchowieństwo zgromadziło się opodal od katedry, w skromnym gmachu, który w pierwszych latach rządów arcybiskupa *Carrolla*, służył mu za metropolitalną świątynię. O naznaczonym czasie wyruszył wspaniały pochód, złożony z nieprzeliczonych zastępów duchowieństwa, prałatów, dalej biskupów, arcybiskupów i różnych dostojników Kościoła. Wspaniałą procesyę zamykali obaj kardynałowie *Gibbons* i *Taschercan*, oraz legat papieski, arcybiskup *Satolli*. Podczas uroczystego nabożeństwa, arcybiskup *Ryan* z Filadelfii, w przydłuższej przemowie przypomniał wielką postać *Jana Carrolla* i zestawił skromne początki katolickiego w Stanach Zjednoczonych Kościoła z obecnym onego rozwojem. Ale zawodząc *Te Deum*, pełne uwielbienia i wdzięczności, przyszła pora i na rachunek sumienia, na akty skruchy i dobrego postanowienia. Są bowiem, znane Bogu jednemu, statystyki poniesionych strat, odstępstw i upadków. Nie dość się dotąd zrobiło dla Murzynów i dla Indyan, a niewolnictwo pierwszych i złe obchodzenie się z drugimi, stanowi dwie plamy na dziejach cywilizacyi amerykańskiej, za które należy uderzyć się w piersi i zadosyćuczynienie ślubować. „Wspaniała przyszłość rozwija się przed Kościołem w tych krainach, byłbyśmy pozostali mu wierni, i wiernymi też byli ojczyźnie i sobie. Kościół tu udowodnił, że może istnieć i rozwijać się niezależnie od Państwa, że atmosfera swobody najlepiej odpowiada jego wewnętrznemu ustrojowi, i najpewniejszy też zapewnia postęp. Bądźmyż prawdziwymi Amerykaninami w uczu-

ciach i myślach, a nadewszystko niech każdy z nas w życiu i czynie świadczy swym katolickim przekonaniom“.

Po ukończeniu nabożeństwa około czterechset członków wyższego i niższego duchowieństwa zajęło miejsce przy trzech stołach, ustawionych wzdłuż świątecznie przybranej sali Seminarium Najśw. Panny, i rozpoczął się szereg toastów, które—oby- czajem angielskim—dopiero po skończonym obiedzie się rozpoczęły. Prezydujący tam i wszędzie kardynał *Gibbons*, udzieliwszy zgromadzonym świeżo otrzymaną podmorskim telegrafem depeszę od Jego Świątobliwości, wniósł zdrowie Papieża, na które w łacińskiej przemowie odpowiedział rzymski legat, tłumacząc się, dlaczego nie w innym odzywa się języku: raz, że łacina jest mową wszechświata, a powtórę, że ją mamy w spu- ściznie po starożytnym Rzymie, którego instytucje naród ame- rykański nie tylko naśladował, ale im nadto dorównać potrafił. Wspomniawszy osobną, a życzliwą troskliwość Ojca św. dla amerykańskiego Kościoła, legat zakończył ciekawymi słowami, które rokowaćby się zdały ponowienie apostolskich pielgrzy- mek początków chrześcijaństwa: „Jeśli pomyślniejsze nadejdą warunki, Leon XIII lub który jego następcą kiedyś z rozko- szą osobiście nawiedzić gotowi wielkie amerykańskie plemię, aby was rozradować swą obecnością, a swem błogosławień- stwem ukrzepić“. Mnogie oklaski towarzyszyły przemowie le- gata, zwłaszcza ilekroć wzmiankował życzliwość Leona XIII dla Ameryki.

Następnie kardynał *Gibbons* pokrótce wyraził główne, jego zdaniem, przyczyny wzrostu katolickiego Kościoła w Ameryce. Dwa mianowicie powody ku temu się złożyły: najprzód dziel- ność pierwszych w tych stronach misjonarzy, następnie jedność i miłość braterska, cechująca wzajemne stosunki amerykań- skiego episkopatu, a nareszcie i napływ emigracyjny z Irlan- dyi i Niemiec. Niepodobna tu przywołać wszystkich toastów i adresów, listów i telegramów, które uświetniły owe chrześci- jańskie amerykańskiego duchowieństwa agapy. Trudno atoli przemilczeć o adresie irlandzkich biskupów i liście kardynała *Manninga*. Arcybiskup Westminsteru, jak zwykle, podniosłym

przemawia głosem: „Kiedy część starego świata odpadła od katolickiej jedności, wówczas nowy świat zjawiał się na widnokręsie. Świat ten dziś liczy około 140 biskupich stolic. Św. Augustyn z Kantorbery uczestniczy w waszym obecnym jubileuszu. Św. Patrycy tak znaczny w nim ma udział, że wasze stulecie słusznie doliczać może, jako piętnasty z kolei wiek swego nieprzerwanego następstwa. W największej Rzpltej i państwie świata, rzymsko-katolicki Kościół głęboko wkorzeniony, a coraz szersze puszczający konary, powołuje najswobodniejsze plemiona ludzkie do wolności wiary, jedynej, prawdziwej wolności człowieka. Podobnie, jak w początkach chrześcijaństwa, Boski nasz Mistrz przechadza się wśród ludu, a lud głos Jego zna, albowiem lituje się nad tłumami, które za Nim postępują“.

Biskupi irlandzcy upomnieli się o udział w amerykańskim święcie. „Po matce wszystkich Kościołów, Rzymie, któryż Kościół w całym chrześcijaństwie może mieć większe prawa do uczestniczenia w waszym obchodzie, jeśli nie Kościół irlandzki? Na jego to łonie wykarmieni zostaliście. Jego to rodzajna płodność dostarczyła wam mnogich dzieci, pasterzy, książąt Kościoła, ludzi, których wychodował, aby ich wam ustąpić. Gdyby głos Irlandyi nie zabrzmiał pospół z waszem *Te Deum*, sami odczulibyście niewysłowioną próżnię, a świat słusznieby się dziwił jej milczeniu... Niestety! przerzedzały się szeregi naszej trzódki skutkiem cywilnych i politycznych ustaw tej ziemi, i niejednokrotnie wśród pełnego powodzeń stulecia, usłyszeliście z za morza jęk zebrzącej chleba dla swych dzieci Irlandyi. Wspominamy owe smutki na to tylko, ażeby wyrazić wdzięczność ludu naszego za hojność, z jaką zawsze Ameryka odpowiedziała na nasze prośby, oraz za chrześcijańskie współczucie, które nam w nieszczęściu stale okazywała. Niechże Bóg setnem błogosławieństwem odplaci biskupom, kapłanom i ludom Ameryki, oraz wszystkim tym, którzy, aczkolwiek innego wyznania, współzawodniczyli z katolikami w dobroczynności dla Irlandyi. Prócz wielkiego dziękczynienia za minione stulecie, chcecie czeigodni bracia niemniej świetnym aktem zagaić nowy wiek istnienia amerykańskiego Kościoła. Zapisujecie na pier-

wszych kartach tego rocznika, ustanowienie katolickiego w Waszyngtonie uniwersytetu. Jestto owoc statecznego rozwoju katolickiego wychowania w Stanach Zjednoczonych, a zawiera zadatek szerszego jeszcze na przyszłość wzrostu. My najlepiej w Irlandyi wiemy, co to jest nie posiadać katolickiego uniwersytetu, zastosowanego do potrzeb własnych. Rok po roku opłakiwaliśmy przeszkody, które bądź pozbawiały katolicką młodzież naszą wyższych stopni naukowych, bądź też wiodły ich tam, gdzie nasze błogosławieństwo nie mogło im towarzyszyć“.

Oczywiście nie obyło się i bez toastu na cześć Irlandyi, i bez ostatniego kielicha, wychylonego na cześć ojczyzny „*Our country*“. Wieczorem znaczniejsze jeszcze ciżby wiernych zappełniły nawy bazyliki, wspaniale zewnątrz i wewnątrz oświetlonej światłem elektrycznem. Z tysiąca kapłanów, z 90 biskupów, uczestniczących w jubileuszu, mało który brakował, a po nieszpórach, odprawionych przez arcybiskupa z Milwaukee, dał się słyszeć grzmiący głos najwymowniejszego i najenergiczniejszego w swych wystąpieniach z pasterzy Stanów Zjednoczonych, dzielnego arcybiskupa nowo utworzonej dyecezyi św. Pawła, Mgra *Ireland*. Pełna ta ognia i żarliwego patryotyzmu przemowa głównie wskazywała, iż zadaniem przyszłości jest pozyskanie całej Ameryki prawdziwie katolickiej.

„Świat cały cierpi męki konania, przyglądamy się wyłonienu nowej epoki dziejowej. Jeśli Kościół w Ameryce odniesie zwycięstwo, katolicka Prawda na skrzydłach wpływów amerykańskich całą ogarnie ziemię. Zadaniem naszych katolików jest wywalczyć to zwycięstwo. Herkulesowa to praca dla garstki dziesięciu milionów w obec sześćdziesięciu pięciu. Ale są to rycerzcy szermierze, ukrzepieni burzami, wśród których wzrosli, do wyznawstwa skorzy, do swych hetmanów przywiązani, a nie mający nic z tej cieplarnianej słabości charakteru, która nie rzadko cechuje katolików, zamieszkałych wśród łatwiejszych warunków“. Dalej Mgr. *Ireland* wskazał na rozstrój i rozpadanie się protestantyzmu, na próżnię, którą musi wypełnić prawda katolicka w kraju z gruntu chrześcijańskim. „Kościół katolicki najlepiej też ubezpieczyć potrafi swobody Rzpltej, a nawzajem

gdzież większej zażywa on wolności, jak w tym kraju, darzącym swych obywateli zupełną niepodległością? Jeśli nasi katolicy wielkich nie dopełnią rzeczy, winą stąd zaiste na nich spadnie, nie na Rzpltą. Największa epoka dziejów, z wyjątkiem tej, którą zaznaczyło przyjście Zbawiciela, obecnie nastała, a byleśmy posiadli odpowiednią mądrość i energię, Kościół może wszechwładnie nad tym zapanować okresem. Żarliwość jest enotą dzisiejszej chwili: cechuje ona Amerykanów w rzeczach świeckich, niechże będzie ich cechą i w religijnych! Niech katolicy gdzie indziej, jeśli im się tak podoba, wydeptanych trzymają się torów, niech się trwożą, azali przyspieszonym krokiem nie zamącą swego spokoju ducha, lub swych szat nie zemną. Naszem hasłem być musi światłość czynu... Ale tu koniecznem postanowienie otwartego wyznawstwa i zdobywania wszędy katolikom prawnego uznania. Nieraz małoduszność osłaniamy pozorami roztropności i pokory, jak gdyby Zbawiciel nam był zalecił chować światło pod korzec. Jeśli Kościół doznaje ucisku, pierwsi wybuchamy w głośne narzekanie, ale się ani ruszymy, by zapobiec dalszym niesprawiedliwościom. Brak wszędzie nadzwyczajny uczuć się daje katolickiego ducha publicznego. Religię znamy od święta, od rannego czy wieczornego pacierza. Ale w walkach życia gotowi jesteśmy zrzucić z siebie katolicką szatę. Według naszej zaś amerykańskiej mowy, powinniśmy iść śmiało naprzód, *go ahead*... Patryotyzm katolicką jest enotą, chciałbym widzieć katolików pierwszymi w kraju patryotami. Najprzywiązanszymi obrońcami narodowych instytucyj, najgorętszymi miłośnikami jej sztandarów, powinni się okazać ci właśnie, którzy katolicką wyznają enotę i w katolickich modlą się świątyniach. Niechby oni byli wzorami obywatelskiej enoty, niechby czynny brali udział w sprawach publicznych i ochotnie dźwigali na swych barkach publiczne ciężary, niechby zachowali czystość ducha i nieskazitelnność ręki w zażywaniu swych obywatelskich przywilejów“.

Przytoczyliśmy dłuższe ustępy z tej wspaniałej przemowy, ponieważ płomienne te słowa nie do samych katolików Ameryki znaleźć mogą zastosowanie, owszem, powinnyby sięgnąć

za morza i wykrzesać z dusz polskich ogień czynu, iskrę męźnej woli.

Dnia następnego w sali Operowej rozpoczęły się obrady pierwszego kongresu katolików Stanów Zjednoczonych. Liczne się tu już poprzednio gromadziły synody biskupie i zjazdy duchowieństwa, z wyłączeniem atoli świeckiego żywiołu, który tym razem w ścieśnionych wystąpił szeregach, wysyłając na wiec katolicki 1500 delegatów. Prócz tego, mnóstwo widzów i ciekawych zalegało galerye. Najznakomitsi mężowie uczestniczyli w obradach. Sala ubrana była zielenią, oraz sztandarami Stanów i barwami Papieża. Kardynał *Gibbons* powitał zgromadzonych w swej arcybiskupiej siedzibie; na przewodniczącego wezwano imiennika i zapewne krewnego pierwszego tych stron apostoła, p. *Lee Carrolla*. Niepodobna tu wymienić wszystkich kwestyj, w dwudniowych omówionych naradach, wszystkich odczytanych rozpraw, wniosków, adresów i rezolucyj. Między innymi, potomek cesarskiej rodziny, zamerykanizowany *Bonaparte*, miał odczyt o koniecznej niezawisłości Stolicy św., Arcybiskup *Ireland* ze zwykłym zapalem zamknął prace i obrady kongresu:

„Odniescie do waszych domów święty zapal, który was tutaj zagrzewał, rozszerzajcie wszędy i powtarzajcie, iż punkt to wytyczny dla katolików Zjednoczonych Stanów. Nowe się pole działania przed świeckimi otwiera. Nadszedł dzień oddawna wzywany, w którym katolicy biskupi, kapłani i świeccy popospołu wstaną, mówiąc: Odtąd działać będziemy, jako jeden mąż, zgodnie z prawidłami naszej wiary. Daremnie wmawiać będziemy w naszych współobywateli, iż mamy wiarę w sercu, jeśli życie nasze będzie z tą wiarą w niezgodzie. Każdy rok powinien naznaczyć nowy postęp katolicyzmu w tej krainie. Idźcie do domu, nie aby tam zasypiać, lecz aby pracować, a błogosławieństwo Boże niechaj będzie z wami“.

Program rezolucyj obejmował wszechstronne potrzeby chwili, stwierdzając na początku, iż nie zachodzi żadna sprzeczność ani niezgoda między Kościołem katolickim, a konstytucją państwa. „Gdyby ta ostatnia miała się kiedykolwiek zna-

leść w niebezpieczeństwie, wszyscy katolicy powstałiby, jako jeden mąż, w jej obronie. Obok religii, uznajemy doniosłość wychowania w ukształceniu istoty człowieka. Zaczem oświadcza się za szkolnictwem, opartem na religijnych zasadach. Rodzinne życie jest korzeniem ogólnego dobra: upatrujemy też w mormonizmie i skłonności do rozwodów poważną groźbę dla cywilizacyi i poniżenie niewieściej godności. Nie wystarcza katolikom unikać złych towarzystw, należy jeszcze szukać dobrych i takowe na religijnej podstawie organizować, a więc konferencye ks. Wincentego i inne stowarzyszenia, zajmujące się wdowami i sierotami, ubogimi i chorymi. Spór między pracą, a kapitałem inną z sobą niesie groźbę. Wraz z Kościołem, potępiamy nihilizm, socyalizm i komunizm, a jednocześnie i chciwość kapitalizmu. Pośrednictwo Kościoła jest tu koniecznem. Naród / wzmacnia poparciem, udzielonem pracy. Nie pochwalamy używania małoletnich w fabrykach, i ślubujemy popierać usiłowania duchowieństwa w rozwiązywaniu licznych socyalnych i ekonomicznych zagadnień. Protestujemy przeciw wszelkim zmianom administracyjnym, któreby pozbauiły Indyan chrześcijańskiej nauki. Polecamy Murzynów troskliwości i opiece ogółu. Powinniśmy zawiązać przymierze z innowiercami, celem święcenia niedzieli“. Dalsze rezolucye dotyczą rozszerzania wstrzeźliwości, oraz popierania katolickiej prasy, „nie wszystkie atoli pisma, wydawane przez katolików. nazwać można katolickimi dziennikami“. Reforma muzyki kościelnej, ubezpieczenie katolickiej opieki i posługi dla szpitali i więzień, protest przeciwko uciemienieniu Stolicy św.: oto pokrótce treść tych wszechstronnych rezolucyj. Pierwszy kongres katolicki odroczył swe najbliższe zgromadzenie do roku 1892.

Były w owych dniach chwile niezapomniane i wyjątkowe, których darmo by szukać przy innych wiecach, zamkniętych w utarte formy starego świata. I tak jednego dnia zebranie ujrzało wchodzących dwóch indyńskich wodzów, w pełnym stroju: haftowanych bogato, a zarzuconych na ramionach kocach, oraz jaskrawem ubraniu głowy różnobarwnymi piórami.

Przeciskali się oni przez tłum dostojników, aby dotrzeć do kardynała *Gibbonsa*. Stanąwszy przed nim kornie i w milczeniu, ucałowali jego pierścień biskupi, podczas gdy wszyscy zebrani głośne podnieśli okrzyki. Ci Indianie byli katolikami: jeden jest wodzem Indian Płaskogłowych w Montanie, imieniem Józef. Drugi, znany pod nazwiskiem Białego Ptaka, dzierżył dowództwo plemienia Indian Siusów w Dakocie. Podano im krzesła w pobliżu kardynała, dodając trzecie dla ich towarzysza podróży, Ojca *Van Gorp* z Towarzystwa Jezusowego.

Cale miasto uczestniczyło w jubileuszowym święcie. Go-rzały iluminacją domy, zamieszkałe przez katolików, katedra cała stała w ogniu światła elektrycznego, rezydencya kardynała mnóstwem zabłysła lampek. Płonęły i wzgórza okoliczne dalekimi ogniami. A cóż dopiero powiedzieć o korowodzie z pochodniami, który po zamknięciu kongresu przeciągał przed pałacem arcybiskupim? Wszystko w Ameryce olbrzymieje, potęguje się młodością i siłą tej świeżej ziemi. Czterdzieści tysięcy ludzi z zapalonymi w rękę pochodniami, w różnych mundurach, z najróżniejszymi transparentami i sztandarami, zwolna kroczyło ulicami Baltimore, a o wpół do dwunastej pochód jeszcze trwał w najlepsze, aczkolwiek rozpoczął się był o trzy godziny wcześniej. Wszystkie Stowarzyszenia dobroczynne i związki, bractwa wstrzemięźliwości i parafialne sodalisów towarzystwa, postępowały zwartym szeregiem, składając się w najwspanialszą katolicką i ludową manifestację naszego stulecia. Kardynał *Gibbons* stał w progu swego pałacu współ z legatem papieskim, któremu tłumaczył znaczenie haseł na sztandarach, oraz cele poszczególnych, a niezliczonych stowarzyszeń, które z kolei witał uchyleniem biretu. Kiedy o północy skończył się nareszcie tak imponujący korowód, legat papieski odwrócił się, aby złożyć gorące kardynałowi powinszowanie.

Otwarcie katolickiego uniwersytetu w Waszyngtonie nastąpiło w środę tegoż pamiętnego tygodnia, czyli na dniu 13 listopada 1889 r. Już od lat wielu założenie podobnego ogniska wiary i wiedzy najdroższem było życzeniem katolików

amerykańskich. Niejednokrotnie już biskupi Stanów Zjednoczonych na synodach, zwołanych do Baltimore, poruszali tę kwestyę, brak atoli funduszków wiecznie odraczał jej urzeczywistnienie. Nareszcie pewnego dnia biskup *Spalding* wygłosił tak płomienne kazanie o potrzebie wychowania chrześcijańskiego i konieczności katolickiego uniwersytetu, że obecna wśród słuchaczy bogata Stanów Zjednoczonych dziedziczka, złożyła na razie trzykroć sto tysięcy funtów szterlingów, za czem ukonstytuował się komitet fundacyjny. Niebawem ze składek publicznych, do których się odwołali biskupi Stanów Zjednoczonych, uzupełniła się pierwsza hojna ofiara panny *Maryi Gwendoliny Caldwell*, i rozporządzając poważną sumą 800,000 funtów, zabrano się do dzieła. Dwaj dostojnicy Kościoła amerykańskiego pospieszyli do Rzymu dla przedłożenia Ojcu św. projektów i planów nowej szkoły, którą też Leon XIII osobnem Brewe z dnia 10 kwietnia 1887 r. zatwierdził. Biskup *Keane* z Richmondu został mianowany rektorem przyszłego uniwersytetu, który tyle jego osobistym zabiegom zawdzięczał. Nareszcie na dniu 24 maja 1888 r. z wielką uroczystością położono kamień węgielny pod nową budowę, a kardynał *Gibbons* przyjął kanclerstwo powstającej w Waszyngtonie wszechnicy katolickiej.

Olbrzymi ten gmach obejmować będzie cały szereg kolegiów, z których dotąd zaledwie jedno — przeznaczone dla wydziału teologicznego — zostało wykonane. Olbrzymie mury imponującej budowy widnieją z pośród drzew wspaniałego parku. Środkowa część liczy do pięciu pięter, reszta ma ich cztery. Niebieski piaskowiec krajowy, z ozdobami kamiennymi, użyty został wyłącznie na materiał budowlany. Gmach uniwersytecki wzniesiony jest w t. zw. nowoczesnym stylu romańskim, z nader wstrzemięźliwą dekoracją murów. Nad środkowemi drzwiami napis łaciński przypomina dar panny *Caldwell*. Kiedy całość zamierzonej budowy zostanie wykonaną, rozwinię się tu piękna architektoniczna grupa siedmiu poszczególnych gmachów. Wielka hala tworzyć ma środkową oś rozchodzących się wkoło kolegiów; biblioteka znajdzie się u wstępu,

laboratorya po obu stronach, w głębi na malowniczym pagórku stanie obserwatorium astronomiczne. Między wydziałem teologicznym a parkiem, projektowanym jest jeszcze piękny kościół, który ma być połączony kryptoportykiem z gmachami uniwersyteckimi. Amerykanie wszystko na wielką skalę budują. Wykończona część olbrzymiej całości uderza zastosowaniem wszystkich nowoczesnych wymysłów komfortu i praktyczności. A więc są tam: elewatory, kotły parowe, ogrzewające całą budowę, dwadzieścia zegarów, wszelkie możliwe ubezpieczenia od pożaru, sale gimnastyczne i t. p. Kaplica jest klejnotem smaku, a piękność okien, malowanych w Monachium, główną stanowi jej ozdobę.

Na dzień inauguracji przybrano wykończoną część gmachów uniwersyteckich t. zw. *Divinity building*, czyli gmach przeznaczony dla wydziału teologicznego, w zieleni i różnokolorowe flagi, podczas gdy u wyższych pięter zawieszono tarcze herbowe poszczególnych stanów Ameryki. Z tych pięter piękny widok rozciąga się na stolicę Waszyngtona, z kapitołem amerykańskiej Rzpltej i srebrną wstęgą płynącej ku morzu rzeki Potomak. Nadzwyczajne pociągi nie mogły wystarczyć ciżbie śpieszących z Baltimore do Waszyngtonu pątników. Słota nie powstrzymywała napływu ciekawych. Osobny pociąg, z dziesięciu złożony wagonów, ruszył z Baltimore o wpół do dziesiątej. Zajęli w nim miejsce wszyscy duchowni i dostojnicy Kościoła, uczestniczący w uroczystościach jubileuszowych. W ostatnim przedziale znajdowali się obaj kardynałowie: *Gibbons* i *Taschereau*, legat papieski *Satolli*, oraz kilku najznakomitszych członków amerykańskiego episkopatu. O wpół do dwunastej kardynał *Gibbons* rozpoczął ceremonię poświęcenia nowego kolegium, podczas gdy 250 studentów śpiewało hymn: *Veni creator Spiritus*. Ponieważ — z powodu niepogody — zwykła procesya w około gmachu nie mogła się odbyć, kardynał przeciskał się zwolna korytarzami, kropiąc wodą święconą nowe ściany, podczas gdy chór śpiewał z kolei psalm 50, litanie do Wszystkich Świętych, oraz psalmy 119, 120 i 121. Nareszcie wrócono do kaplicy, gdzie legat. Jego Świątobliwości,

Mgr. *Satolli* odprawił uroczystą Mszę do Ducha św., po której biskup *Gilmour* z *Clevelandu* odezwał się do zgromadzenia.

Niepodobna nam nie powtórzyć głównych ustępów tej głębokiej przemowy. Kaznodzieja na wstępie wskazał, iż tak dostojne zgromadzenie nie zeszło się w tem miejscu dla erekcyi przystani dla klasycznych tylko studyów, jakkolwiek cen-nemi być one mogą. Wyższą tu znaleźli podniętę: „ten bo-wiem gmach poświęconym został najwyższej z nauk — znajomości Boga! Dobrze, że zaczęliśmy od teologicznego fakultetu, choćby dlatego samego, ażeby wskazać, iż każde prawdziwe wykształcenie musi się w Bogu poczynać i do Boga odnosić... Istnieje dziś szeroko upowszechniony błąd społeczno-polityczny, usiłujący dowieść, iż Państwo jest wyłącznie świeckie, a Kościół wyłącznie ma być duchownym. A nie tylko doktrynalna w tem twierdzeniu tkwi herezya, lecz jeszcze sofizmat ten grozi zagładą tak świeckiemu jak i duchownemu porządkowi rzeczy. Podobnie, jak ciało nie może żyć bez duszy, i państwo bez religii ostać się nie zdoła, a znów religia obywać się nie może bez państwa, tak samo jak dusza bez ciała nie zdołałaby wypełnić swych ziemskich przeznaczeń. W tym kraju postanowiliśmy, iż religia i państwo odrębne będą dzierżyć wydziały, osobne też posiadając prawa i obowiązki, ale to bynajmniej nie znaczy, iżby państwo miało być niezawisłe od religii lub religia od państwa. Boga tak samo potrzeba państwu jak i religii. Żadne państwo się nie ostoi, któreby nie uznało Boga za najwyższą nad sobą władzę. W przeszłych wiekach wszystkie państwa, tak dobrze chrześcijańskie jak i pogańskie, o tyle były silne, o ile silnem w nich było pojęcie Bóstwa, o ile hartownem moralne ich prawodawstwo. Społeczność amerykańska dlatego jest potężną i czerstwą, bo jesteśmy religijnem plemieniem. Silni jesteśmy, bo wiara nasza w Boga jest silną, a rośniemy w moc, w miarę jak się dajemy Jego prawem kierować“. Tu mówca wskazał na znaczenie uniwersytetów, kształtujących późniejszych kierowników społeczeństwa: „Ani nauka nie ma być wyłącznem jednego człowieka posiadaniem, ani też geniusz indywidualnym zostać skarbem. Wiel-

kim to błędem mniemać, iż szkoła czy student dla siebie tylko zdobywają wiedzę. Wiedza czy geniusz są to dary Boże, ku ogólnemu przeznaczone dobru. Prądem wieku jest wszystko niwelować, wytwarzać półmędrków w miejsce myślicieli. Bodaj nigdy, od dni Platona i Cyserona, nie było mniej głębokości myślenia, aniżeli w dzisiejszych czasach. Wykształcenie zyskało na ilości, straciło natomiast na jakości. Nowoczesne kierunki wychowania nie troszczą się o rozwijanie myśli i prowadzenie ludzi do Boga. Zerwanie z przeszłością stało się monomanią, a kto śmieiej się do tego zabiera, ten uchodzi za wschodzącą gwiazdę. A wśród tej ogólnej niwelacji i burzenia, jakżeż mało głosów ujmuje się za prawdą lub uderza taranem w fałszywą naukę!“ Tu mówca z chlubą wspominał istniejące już ogniska katolickiego nauczania w Stanach Zjednoczonych, zaznaczając, iż do tylu kolegiów, seminariów, szkół i szkółek, przybywa obecnie ten uniwersytet, „którego zadaniem jest skrzętnie chwycić wszystko, co jest dobrego w ludzkiej nauce, oczyszczać ją w alembiku Bożego Objawienia i zwracać napowrót ludziom ubłogosławioną, spotęgowaną i wzmocnioną światłem prawdy Bożej“.

Obiad był zastawiony w komnacie, która ma służyć później za salę rekreacyjną i czytelną. Niejeden szczegół odmiennie nosi cechy w Nowym świecie. Kaznodzieja np. nie nazywa wiernych synami ani braćmi, lecz „łaskawymi przyjaciółmi“ (*Kind friends*). W porządku toastów jest zawsze obrany *toast-master*, proponujący poszczególne zdrowia, na które dopiero odpowiadają naznaczeni ku temu mówcy. Tym razem gospodarz domu, czyli rektor przyszłego uniwersytetu, Mgr. *Keane*, miał sobie powierzonym rozkład kielichów, wnosząc oczywiście w pierwszym rzędzie zdrowie Ojca św., na co odpowiedział legat papieski. Następnie Mgr. *Keane* wezwał błogosławieństwa Bożego na ojczyznę i jej Prezydenta, w ręce Sekretarza Stanu p. *James Blaine*, który powstawszy, w kilku podniósł słowach dobrodziejstwo swobody religijnej, panującej w Stanach Zjednoczonych. Na toast siostrzyc uniwersyteckich, innych wszechnic amerykańskich, odpowiadał se-

dziwy kardynał *Taschereau* z Kanady. Zdrowie dziennikarstwa wywołało udatną wierszowaną odpowiedź. Toast na cześć hierarchii Stanów Zjednoczonych złożono w ręce kardynała *Gibbonsa*, podczas gdy arcybiskup *Ryan* z Filadelfii odpowiadał na zdrowie arcybiskupów i biskupów Stanów Zjednoczonych. Wśród odczytanych adresów i depeesz, osobne wrażenie sprawił telegram, nadesłany z Paryża przez pannę *Maryę Gwendolinę Caldwell*, wyrażający żal, iż jej nie było danem osobiście uczestniczyć w uroczystości, którą zdala całem śledziła sercem.

W ciągu biesiady, nagle muzyka uderzyła w narodową nutę: *Hail to the Chief*, i ukazał się Prezydent Rzpltej *Harrison*. Zajął on miejsce obok kardynała *Gibbonsa* i w prostych wyrazach podziękował za życzliwe powitanie. Jednocześnie przybył i wiceprezydent Stanów *Morton* wraz z małżonką. Po obiedzie nastąpiło wręczenie popiersia św. Tomasza z Akwinu, daru angielskiej w Rzymie kolonii, przesłanego nowemu uniwersytetowi.

Na tem zamknął się szereg uroczystości jubileuszowych, a choć jeszcze nazajutrz znaczna część zgromadzonych pozostała w Baltimore dla zwiedzenia miasta i okolicy, przerzedzały się już szeregi duchowieństwa i delegatów kongresowych. Każdy śpieszył do domu, w własnem kółku zaszczipiać i rozszerzać hasła owych dni niezapomnianych, z których należało się i nam naczelne zebrać odgłosy. Dodatnie to, ale smucące zarazem echa: Ameryce przynoszą chlubę, nam głębokie zasmętnienie porównaniem stosunków nowego i starego świata. Ilekroć się w Europie katolicki zbierze kongres, spotykać się zwykł na wstępie z nieufnością władz miejscowych, a dalej przedstawia nam głównie piekące kwestye i zagadnienia, groźby przyszłości, spotęgowane niechęcią rządów, nienawiścią indywiduów do Kościoła, spętanego tysiącem ustaw, podejrzliwości, zazdrosnego podstrzegania. Brak wolności sumień, brak swobody osobistej, wszystko krępuje, a niejedno łamie. To też roczniki naszych europejskich wieców i jubileuszów bodaj nigdy nie zawodzą tryumfalnych hymnów, pokutne raczej nucąc gorzkie żale. W amerykańskich natomiast uroczystościach ude-

rza kipiąca odwaga życia i bujność społecznej młodości, niczem nie zwarzona ani zniechęcona, a zwłaszcza niczem nie związana. Ta to zupełna wolność osobnym bije czarem i tłómaczy wspaniałe objawy, których tętna staraliśmy się pochwycić. Wśród rozterki bieżącej, słusznych narzekań na rządy i prawodawstwa, jakże wyjątkowo brzmią ciągle wyrazy zadowolenia z własnego ustroju państwowego i rządowego, z władz i ustaw swoich, powtarzające się tam przy każdej sposobności. Jak pięknie dźwięczą zaklęcia patryotyczne tych biskupów, kapłanów i świeckich, którzy dlatego właśnie są tak dobrymi i gorącymi Amerykaninami, tak dzielnymi obywatelami ojczyzny, że są dobrymi i wiernymi katolikami.

W skali obowiązków wszystko się trzyma, rozerwanie jednego ogniwa wierności wystarcza, aby całość zniweczyć, dlatego miłość ojczyzny tak ścisłą podstawą innych cnót, tak silnym klejem innych powinności. A znów przywilej od samego Boga człowiekowi przyznany, gdy stworzeniu swemu wolną zostawił wolę, wskazuje, jaką rękojmię postępu i rozwoju dla krajów i ludzi, bywa zawsze i wszędzie swoboda myśli, czynu, a nadewszystko sumienia.

M.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Dziennik spraw domu zakonnego OO. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie od r. 1609 do 1619 włącznie przez *ks. Jana Wielewickiego T. J.* Wydanie Akademii Umiejętności w Krakowie, z rękopisu p. Stefana Muczkowskiego. Kraków. Czcionkami drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1889.

Trzeci ten tom, podobnie jak drugi, wychodzi za staraniem ks. Dra Władysława Chotkowskiego. Obejmuje on jedynaście tylko lat dziejów domu św. Barbary, a mimo to tworzy spory tom w druku. Pochodzi to stąd, że w poprzednich dwu tomach wszystko, co się tyczyło ściśle dziejów zakonu, podano drukiem drobnym, a tylko sprawy i wypadki większej doniosłości w kraju odznaczano *cicerem*. Tymczasem wiele rzeczy w tym trzecim tomie, odnoszących się do Towarzystwa, jak np. cały spór Jezuitów z akademią krakowską, wbrew której usiłowali Jezuici otworzyć swe szkoły w Poznaniu i Krakowie, rzuca niemałe światło na ówczesny stan szkół i poziom naukowy w kraju — stąd, jako rzeczy zasługujące na odróżnienie, zostały wydrukowane *cicerem*.

Wartość dyaryusza ks. Wielewickiego polega głównie na tem, że jestto najdokładniejszy obraz owych czasów. Na pierwszym planie jest tam oczywiście historia domu św. Barbary, a w niej zawarta przede-wszystkiem działalność osób, w nim przebywających; dalej wszystkie ważniejsze sprawy: czynności zakonu w Polsce, fundacye kolegiów i domów, prace apostołskie zakonu i utarczki z heretykami, dzieła przez Jezuitów wydane i t. d. Opowiadanie przeplatają liczne życiorysy

znakomitszych Ojców, którzy się zasłużyli albo w Polsce, albo też w Towarzystwie. I tak znajdujemy tu nekrologi OO.: Possewina, Raba, Piotra Skargi, Grodzickiego, Łaskiego, Smigleckiego, Rościszewskiego; z drugiej znów kategorii: Ribadeneiry, Klaudyusza Aquawiwy, Franciszka Suareza, św. Alfonsa Rodriguesa i innych.

Obok tego nie pomija autor żadnego ważniejszego wypadku w kraju. I tak, w trzecim tomie mamy opisane wyprawy Zygmunta III do Moskwy, szturm do Smoleńska, zdobycie Moskwy, pojmanie carów, konfederacye wojskowe i niecną ich gospodarkę po kraju, bezskuteczne zabiegi Zygmunta III o tron carski dla Władysława IV, dalej wspomniony po dwakroć mór w Krakowie, rozwiązanie konfederacyi wojskowych, stłumienie rokoszu kozackiego pod Rohatynem, napady tatarskie i t. d. Nawet mniejsze wypadki, które miały jednak rozgłos w całym kraju, notuje Wielewicki, jak: zabicie „dyabła“ Stadnickiego przez Opalińskiego, porwanie panien Dembińskich z klasztoru św. Agnieszki przez Aleksandra Koniecpolskiego, elekcyę i ingres nowych biskupów i t. d. Wszystko to wprawdzie przechodziło zakres pracy Wielewickiego, skoro jego zadaniem było kreślić tylko dzieje domu św. Barbary, ale Wielewicki nie rozumiał historyi zakonu bez dziejów ojczystych. A postępowanie jego, to najlepszy dowód przeciwko tym, co posadzają niesłusznie zakon jezuicki, że dąży do zatarcia wszelkich uczuć narodowych w swoich członkach. Wielewicki pozostał Polakiem, gorąco kochającym swój kraj, mimo, że przywdział znieawidzoną sukienkę Lojoli, interesuje się wszystkim, co się tylko stało w jego miłej Ojczyźnie, cieszy się jej szczęściem i powodzeniem, a każdą klęskę odczuwa on żywo. Długie nawet lata pobytu w zakonie nie oziębiły bynajmniej tego serca polskiego. Jakież doskonały dowód tego złożył, mówiąc o profesorach retoryki, których sprowadzano z Belgii. „Niektórzy z naszych — pisze on — sądzili, że nie masz w naszej prowincyi sił dostatecznych do uczenia humaniorów, że przeto potrzeba ich sprowadzić skądinąd, choćby z wielkim nakładem. Przybyli z Belgii do Krakowa 2 sierpnia: O. N. Saufius i O. K. Malapertiusz i uczyli naszych przez dwa lub trzy lata, ale ta nauka szła bardzo tępo. Sami bowiem Belgowie powiadali, że takiej pracy, jaką nasi podejmują, ucząc humaniorów, a zarazem poprawiając zadania uczniów obok wielu lekcyj, oni bynajmniej nie są w stanie podolać, przytem wikt im nasz nie służył, a wreszcie sami spostrzegli, że wśród nas nie brak poetów i mowców znakomitych. Po kilku więc latach — dodaje nasz Wielewicki — potrzeba ich było odesłać do ich prowincyi i naderemno poszły koszta na ich sprowadzenie i odesłanie“ (str. 109).

Raz nawet, na wiadomość, że O. Jenerał przeznaczył Włocha, O. Argentego, na prowincyała (str. 231—238), całą dysertację przeprowadza nasz autor, dowodząc, że polska prowincya ma ludzi zdatnych do rządzenia i nie potrzebuje przybyszów. A z całej tej rozprawy przegląda rogata dusza szlachcica polskiego, z której posłuszeństwo zakonne nie starło narodowej dumy.

W opowiadaniu swojem posługuje się O. Wielewicki nie tylko tem, co sam słyszał, lub czego był świadkiem naoczny, ale czerpie z wielu dzieł, które w owych czasach wyszły w Polsce lub za granicą. Z polskich mianowicie cytuje on: Kronikę Bielskiego, Neugebauera, Opis rokoszu przez Stanisława Łubieńskiego; z innych: Historię Towarzystwa przez OO. Orlandina i Sachina, dzieła O. Argentego, Ribadeneiry, Gordona, Gretsera i t. d. Przytem posługiwał się rękopisami, z których wiele bezpowrotnie zginęło, jak: dyaryusze i historie pojedynczych domów Towarzystwa w Polsce. Miał nadto widocznie pod ręką archiwum prowincyi małopolskiej, w której przechowywały się duplikaty historyj pojedynczych domów, dalej tak zwane „littere annuae“, kopie fundacyj kolegiów, kontraktów i t. d.

Co do dyaryuszów pojedynczych osób, ośmielę się zrobić jedną uwagę. W domach Towarzystwa od początku — zwyczajem dawnych zakonników — spisywano rodzaj dyaryusza. Zwyczaj ten nadto usankcjonował swoim jeszcze rozkazem O. Klaudyusz Akwawiwa w 1608 r. Dyaryusz taki, jak dawniej tak i teraz, prowadzi zwykle po kolegiach minister domu, po rezydencyach najczęściej sam superior, chociaż mógł to zlecić komu innemu. Prawdopodobnie więc cytowane przez Wielewickiego dyaryusze O. Rozdrażewskiego, Sawickiego, Skargi, Krzywokolskiego, Szembeka i t. d. były dyaryuszem właściwie domu św. Barbary, tylko Wielewicki, powołując się na nie, ponieważ jako współczesny im, znał charakter ich pisma, rozróżnia autorów; a zresztą może mu to wygodniej było zacytować autora, niż powoływać się na stronę, a może i volumen dyaryusza. Prawdopodobieństwo takiego twierdzenia pokazuje już to samo, że zacytowani przez niego autorowie dyaryuszów bywali superiorowie domu św. Barbary lub mieszkający w nim księża, jak ks. Skarga lub ks. Fryderyk Szembek, w tym właśnie czasie cytowani są jako autorzy dyaryuszów, kiedy byli superiorami lub kiedy przebywali w domu św. Barbary. I słówko *in diario suo*, które w takim razie dodaje ks. Wielewicki, nie osłabia tego twierdzenia, gdyż niekiedy używa on dodatku *in anno diarii*, a za parę wierszy kładzie *in diario suo*.

Co do dyaryusza ks. Sawickiego, nie ma wątpliwości, że istniał.

Kilku Jezuitów było w obozie Dymitra, ks. Sawicki jako superior całej tej ruchomej rezydencji prowadził dyaryusz.

Zasługą wreszcie niemalą szanownego wydawcy jest, że w przedmowie obszerniej, pomieścił po raz pierwszy bliższe wiadomości o autorze dyaryusza i podał dokładny — o ile źródła pozwalały — rys jego życia, zajęć i urzędów, jakie sprawował, a nadto dzieł, które wyszły zpod jego pióra.

Na końcu trzeciego tomu podał też szanowny wydawca dokładny spis osób i rzeczy, które zachodzą w trzech dotąd wydanych tomach, przez co podniósł niezmiernie wartość dzieła i ułatwił poszukiwania chcącym zeń korzystać.

Z.

Wspomnienia o polskiej pielgrzymce do Rzymu w r. 1888 na jubileusz J. Św. Leona XIII, Papieża. Napisał *ks. dr. Wincenty Smoczyński*, kanonik honorowy, członek akademii rzymskiej „degli Arcadi“, proboszcz w Tenczynku. Kraków. Drukarnia Czasu 1889, str. 826.

Wnet po powrocie polskich pielgrzymów z Rzymu, pojawiło się w dziennikach kilka dłuższych i krótszych opisów chwil tych uroczych, niezapomnianych; Redaktor *Dzwonka*, O. *Czesław Bogdalski* w osobnej broszurze wdzięcznie pielgrzymkę opisał; obecnie sam organizator i kierownik tej, z tylu trudami, ale z taką też zasługą w obec Boga i ludzi, w obec Kościoła i Polski połączonej wyprawy, daje nam z niej wyczerpujące sprawozdanie. Choć nie sprawozdanie to tylko, nie „wspomnienie“, — jak autor zbyt skromnie się wyraża — lecz raczej na tle pielgrzymki osnuty, obfity, a o niejednym pouczający przewodnik do Rzymu i po Rzymie, a zarazem również niejednego ucząca historia dawniejszych i nowszych stosunków Polski z Papieństwem, historia wielu pamiątek i zabytków, rozsypanych na całej drodze do wiecznego miasta. Na ten plan zasłużonego Autora względ mając, dziwić się nie będziemy, że dopiero teraz, ale raczej że już teraz zdążył wydać swą książkę; straciła ona w ten sposób na pewnej aktualności, ale zyskała sobie natomiast nie chwilową, lecz trwałą wartość.

Autor bawił w roku jubileuszowym dwa razy w Rzymie; pierwszy raz przybył tam w ostatnich dniach grudnia 1887, aby wszystko z góry dla pielgrzymów przysposobić i ułożyć; drugi raz prowadząc polską pielgrzymkę. W ten sposób mógł opisać jako naoczny świadek papieską Mszę jubileuszową; mógł za pierwszą swą bytnością, gdy miał nieco przynajmniej wolnego czasu, zwiedzić wystawę watykańską.

Pielgrzymi podążali do Rzymu z Krakowa przez Wiedeń, Poncebłę, Padwę, Loret, Assyż; a ówczesny ich przewodnik, jak zatrzymy-

wał się w drodze, tak obecnie w swej książce zatrzymuje się dłużej na każdej z tych stacyj, przypomina i rozwija przed oczami drogie polskiemu i katolickiemu sercu pamiątki, przywołuje na pamięć wielkie postacie katolickich świętych i bohaterów. A ileż dopiero takich drogich pamiątek, wzniosłych postaci w samym Rzymie; ile tu nauczyć się można, ile praktycznych urządzeń i zwyczajów można i należałoby na naszą ziemię przesadzić! Między innemi zwraca Autor szczególną uwagę na „Stowarzyszenie Zjazdów i Kół katolickich“, które tyle dobrego we Włoszech działa, a które i u nas miałyby bardzo szerokie pole do pracy; jak szerokie, o tem łatwo się przekonać choćby z wyliczonych w samejże książce *ks. Smoczyńskiego*, (str. 503 np.) najbardziej u nas pięknych, szybkiego załatwienia domagających się spraw.

Gdyby koła takie przyczyniły się tylko do wyrobienia u nas prawdziwie, a konsekwentnie katolickiej opinii, do lepszego zrozumienia, czem jest Kościół i Papiestwo; to już niezmiernieby się naszemu społeczeństwu przysłużyły. Brak takiego zrozumienia w obec umyślnie przed i w czasie pielgrzymki rozszerzanych, niepokojących, a ubliżających Papieżowi wieści o wydaniu nas na pastwę schyzmie, stał się przyczyną niejednej ciężkiej chwili dla polskich pielgrzymów. Sam Ojciec św. gorzko się żalił przed biskupami polskimi, że dzieci nie mają zaufania do ojca i równie na niego się skarżą, gdy próbuje, jak gdy nie próbuje zawiązać rokowań z rosyjskim rządem. Nadesłane umyślnie do Rzymu, prawdopodobnie za pośrednictwem jakiegoś wrogiego Polakom ajenta, szydzące z Papieża karykatury krakowskiego *Dyabła*, jak w ogóle cały smutny ten organ — którego istnienie upokarzającym jest dla nas świadectwem — nawet w redakcyi organu *Crispiego*, masonskiej *Riforma*, wywołał tylko wstręt i niesmak. Słowem, jeśli już dawniej o tem dobrze wiedzieliśmy, to z opowiadania *ks. Smoczyńskiego* dowiadujemy się, z wielu ważnymi, a ciekawymi szczegółami na nowo, jak nam szkodzili i szkodzą ci, co starają się zasiać między nami nieufność do Ojca św.; do jakiego właściwie obozu, świadomie, czy bezwiednie, siewcy ci należą.

Niepodobna nam naturalnie w krótkiem sprawozdaniu wyczerpnąć materiału całej tej, 826 stronnic liczącej książki; zwróciliśmy za ledwie uwagę na parę szczegółów, które same już sądzimy, zachęciwszy powinny do zapoznania się z całością. Co Autor mówi ze zbyt wielką skromnością o urządzeniu pielgrzymki, to i do opisu pielgrzymki da się zastosować: „Wszystko się odbyło pomyślnie, dobrze i z godnością. Być może, żeby kto inny lepiej odemnie urządził pielgrzymkę; ale żeby z większą miłością i poświęceniem dla sprawy, to chyba nie“.

Istotnie z każdej karty opisu przebija niejako *motto* Autora: *Roma — amor me fecit parlar.*

Na końcu drobna uwaga do drukarni odnosząca się. Szkoda, że książka, tak zresztą starannie wydana, nie została przedzieloną na dwa tomy, co i czytanieby ułatwiło i lepiejby dostroiło zewnętrzną formę do wewnętrznej treści. — Cena, jak na nasze wydawnicze i księgarskie stosunki, jest bardzo niska. (3 złr. 50 ent.)

Ks. J. B.

Rozmyślanla o tajemnicach życia Najśw. Panny. Napisał ks. *Józef Sowiński*. Lwów. Nakładem autora 1889. str. 231.

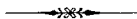
Kilka uwag o rozpoznawaniu w nas ducha Bożego, szatańskiego i ludzkiego. Napisał ks. *Józef Sowiński*. Osobna odbitka z *Echa* III zakonu św. O. Franciszka. Kraków. Nakładem księgarni katolickiej dr. Wł. Miłkowskiego. 1889.

Wszędzie, ale u nas zwłaszcza, gdzie literatura ascetyczna tak jeszcze uboga, każda nowa, dobra ascetyczna praca jest miłym, upragnionym gościem. Z prawdziwą też radością witamy dwa w nagłówku wymienione dziełka; z radością tem większą, że w autorze ich poznajemy kapłana, obznajomionego doskonale i ze zwykłymi drogami Bożymi i z tymi drózkami, którymi Bóg wybrane swoje służby prowadzi; poznajemy pisarza, który dobrze widocznie zna nauki najznakomitszych duchownych mistrzów, opiera się wszędzie na ściśle teologicznej wiedzy, włada poprawnym i pięknym językiem. W „Rozmyślaniach“ odslania się przed nami całe życie Najśw. Panny, od przejrzenia od wieków w myśli Bożej, aż do obecnej chwili, w której za nami w niebie pośredniczy, jak je Pismo św., tradycja, pobożność późniejszych czcicieli Maryi maluje. Każde rozmyślanie w dwóch punktach zawarte, służyć może równie do pobożnego, prywatnego zgłębiania cnót i przywilejów Maryi, jak i za jędrny temat do nauczek i kazań.

Drugie z kolei dziełko ważnem jest szczególnie dla przewodników duchownych, dla wszystkich, wiodących, lub pragnących przynajmniej wieść życie doskonałe, a którzy tak często ustrzechy się mogli tyłu błędnych kroków, a może i upadków, gdyby lepiej umieli rozpoznawać różne namowy, różne działanie w swem sercu ducha Bożego, a ducha ludzkiego i szatańskiego. Autor pisze skromnie: „Jestto zapewne szkic tylko, lecz może on będzie zachętą, by ktoś głębiej i lepiej te rzeczy znający, obszerniejsze w tym względzie napisał dzieło, które szczególnie dla przewodników dusz byłoby wielce pożądane“. Z na-

szej strony prosić go tylko możemy, aby jak dał nam „drobne to ziarnko na chwałę Bożą“, tak i całego kłosu również na chwałę Bożą nie poskąpił.

Ks. J. B.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Joseph Wilpert. Principienfragen der christlichen Archäologie, mit besonderer Berücksichtigung der Forschungen von Schultze, Hasenclever und Achelis. Freiburg im Breisgau. 1889. in 8°, str. 104.

Jaki jest charakter staro-kościelnej sztuki? Punkt to kardynalny w archeologii chrześcijańskiej, który dawno już rozwiązał *De Rossi*, wykazawszy, że malowidła i rzeźby pierwszych czterech wieków Kościoła są prawie wyłącznie natury symbolicznej. Znaczy to, że Kościół katakumbowy, pomny słów Chrystusa: „*Nie dajcie psom świętego, ani miećcie perł waszych przed wieprze, by ich snadź nie podeptali nogami swymi, i obróciwszy się, aby was nie roztargali*“, wyrażał swe idee porządku nadprzyrodzonego przez figury, których mu dostarczały królestwo roślinne, zwierzęce i przedmioty życia codziennego. I tak rzeźbiąc kotwicę na grobie zmarłego, nie rzeźbił jej w tym celu, aby żyjącym przypominała kotwicę z żelaza, ale żeby obrazem była nadziei chrześcijańskiej, którą zmarły w życiu i przy śmierci pokładał w Bogu. Gołąbek z gałązką oliwną był obrazem duszy chrześcijańskiej, spieszącej po odniesieniu zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi zbawienia do przybytków niebieskich, gdzie czeka na nią pokój wieczny.

Owieczka symbolizowała chrześcijanina i Chrystusa, również Ryba na pierwszym miejscu oznaczała Zbawiciela świata, a na drugim chrześcijanina. Inne figury, jużto pojedyncze, jużto pokombinowane, wyrażały inne prawdy chrześcijańskie.

Oprócz tego posługiwała się jeszcze stara sztuka, dla oddania i uzmysłowienia dogmatów kościelnych, scenami z życia codziennego i faktami historycznymi Starego Zakonu. Rybołostwo symbolizuje opowiadanie Ewangelii i chrzest. Noe w arce jest figurą chrześcijanina, co w korabiu Kościoła znalazł ocalenie i płynie bezpiecznie do portu zbawienia. Mojżesz wyprowadzający wodę ze skały na puszcy spragnionym Żydom, jest obrazem przewodcy Nowego Izraela, św. Piotra, którego zadaniem jest zaopatrywać wiernych we wodę łask bożych.

W tem tłumaczeniu i przyznaniu starej sztuce charakteru symbolicznego, widzą protestanci największe dla siebie niebezpieczeństwo. Aby zatem raz na zawsze uczynić nową umiejętność archeologii chrześcijańskiej nieszkodliwą, a zarazem jednym zamachem obalić wszystkie konkluzye, jakie ze studyów katakumbowych wyprowadzają dla historii początków chrześcijaństwa, pierwotnego ustroju i wiary Kościoła, historycy i teologowie katoliccy, ogłosili oni, że sztuka pierwszych trzech wieków jest — z bardzo nielicznymi wyjątkami — tylko echem klasycznej, a pierwotni artyści Kościoła zwykłymi rzemieślnikami, którzy bezmyślnie reprodukowali na ścianach cmentarzy chrześcijańskich strój grobu pogańskiego. Pod hasłem: „niech najstarsza sztuka Kościoła będzie raczej pogańską, niżby się pokazać miało, że jest katolicką“, wystąpili w Niemczech do walki głównie trzej protestanci: *Schultze*, *Hasenclever* i *Achelis*. Mamy ich prace pod ręką. *Schultze* wykreślił pierwszy, nie siląc się wcale na uzasadnienie tego czynu, znaczną liczbę malowideł z listy obrazów symbolicznych, sprowadzając je do rzędu częstej dekoracyi. Dwaj następni poszli jeszcze dalej w tej destrukcyjnej pracy, choć — jak sam *Achelis* przyznaje — nigdy dzieł *Rossi*'ego nie czytał i monumentów zbliżka nie oglądał. O dowody żaden się nie stara. Ostatni argumnet brzmi u obu zazwyczaj: *Schultze locutus est*. A gdy *Achelis* ma jeszcze wątpliwość, czy w istocie przeciwnika pokonał, to dodaje: i *Hasenclever* tak twierdzi; zresztą *system Rossi*'ego jest i musi być fałszywy, bo gdyby okazał się prawdziwym, zostałaby wtedy przezeń potwierdzona dogmatyka rzymska. Oto kwintessencya ich rozumowania!

Gruntowną odprawę tym pseudo-archeologom dał w wymienionem wyżej dziełku, znany już z kilku prac samodzielnych, znakomity uczeń *De Rossi*'ego, *Monsignor Wilpert*. Wyręczył on tu Mistrza, a uczynił to w sposób tak gruntowny, że zyskał poklask ogólny. Przyszło mu to zaś tem łatwiej, że nawet poważniejsi protestanci, jak *Pohl* i inni, wypierają się swych obrońców i piętnują jawnie ich napuszyłość i płytkość. Pracę swą podzielił autor na dwie części. W pierwszej wykazał całą nędzę argumentów, którymi *Hasenclever* chciał odmówić znaczenia symbolicznego figurze Orfeusza, delfina, owieczki, gołębia, ryby i innym, i wskazać na pogański początek obrazów dobrego Pasterza i cyklu malowideł z historii Jonasza.

Część druga jest skierowana przeciw *Achelisowi* i *Schultzemu*. Ci z niesłychaną lekkomyślnością i powiedzmy śmiało, nieuczciwością, obeszli się z malowidłami, rzeźbami i nagrobkami, na których mieści się najważniejszy z wszystkich znaków ideograficznych starej sztuki tj.:

symbol Ryby, jużto sam, jużto w kombinacyi z chlebem, winem, kowicą, gołębiem. W całej tej polemice *Wilperta* przegląda pewność siebie i znajomość monumentów aż do najdrobniejszych ich szczegółów. Nie powiemy za wiele, twierdząc, że zniszczył na zawsze kredyt naukowy swych przeciwników, stawiając ich w rzędzie zwyczajnych pamphletistów. Żeby zaś nas nikt nie posądził, że podnosząc pracę *Wilperta*, a poddając krytyce jego przeciwników, czynimy to w ślepej gorliwości *pro domo sua*, wracamy raz jeszcze do dzieł *Hasenclevera* i *Achelisa* i przytoczymy z nich choć kilka krótkich ustępów. Będą one wymownem świadectwem, jak obaj obchodzą się z monumentami.

Na trzech malowidłach na szkle znajduje się obok osoby, wyprowadzającej wodę ze skały na puszczy dla spragnionego ludu, napis *Petrus*. Zdaniem katolickich archeologów chciał tem artysta powiedzieć, że chrześcijanie pierwszych wieków uważali św. Piotra za Mojżesza N. Zakonu. Za prawdziwością tego tłumaczenia przemawiają jeszcze inne monumenta, niemniej Pismo św. i Ojcowie. Nie trafia ono jednak *Hasencleverowi* do przekonania. Według niego bowiem, nie wiedział autor obrazu, co malował i pisał; a jeżeli wiedział, to chciał chyba zaszydzić z biskupa rzymskiego, który nie zawahał się przywłaszczyć sobie nieprawnie imienia i przywilejów Mojżesza.

Idźmy dalej. Istnieje w krypcie Lucyny, w najstarszej części katakumb św. Kaliksta, fresk, który przedstawia rybę, niosącą kosz na grzbiecie. W koszu tym widzą wszyscy kilka chlebów i flaszeczkę z czerwonym winem. Co czyni Achelis? Oto, by zniszczyć zdanie katolików i kilku protestantów, którzy w tym chlebie i winie widzą postacie eucharystyczne, oświadcza spokojnie, że tam flasieczki nie ma, i naznacza następnie temu obrazowi, pełnemu głębokiej symboliki, miejsce między figurami czysto dekoracyjnymi.

Gorzej jeszcze obchodzi się tenże *Achelis* z malowidłem, mieszczącym się w tych samych katakumbach w jednej z krypt, znanych powszechnie pod imieniem „kaplic Sakramentów“. Stoi tam kapłan obok trójnoga i wyciąga błogosławiącą rękę nad chlebem i rybą. Każdy, choć trochę obznajomiony ze staro-chrześcijańską symboliką, dopatry się w tej scenie aktu konsekracyi. Prócz gestu kapłana, mówi leżąca obok chleba ryba, że mamy tu przed sobą nie chleb zwyczajny, ale Ciało i Krew mistycznej Ryby, Jezusa Chrystusa. Przy trójnogu stoi jeszcze z podniesionymi rękami niewiasta i symbolizuje cały Kościół, uczestniczący w najśw. ofierze. A co *Achelis* widzi w tym obrazie? Jego zdaniem pożywa tu stadło małżeńskie swój obiad familijny. Mąż sięga już po potrawę: żona jeszcze się modli. Pytanie, czemu chleb

jedzą i rybę, a nie inne potrawy? *Achelis* wnet odkrył powód tego postnego obiadu: mianowicie, że malarz wymalował przed naszym freskiem ucztę, przy której liczniejsi biesiadnicy zajądają chleb i ryby. „Chleb i ryby — tłumaczymy dosłownie odnośny ustęp — siedzieli jeszcze niejako w pendzlu rzemieślnika, który je też dlatego, bez wszelkiej głębszej myśli, zastawił przy uczcie rodzinnej małżonków“. Więc nie rozum i talent artysty decydował przy tworzeniu fresków, ale pendzel i farby. I gdyby nasz malarz był bezpośrednio przed tą ucztą wymalował lwa, byłoby nasze małżeństwo, chcąc nie chcąc, musiało chyba zjeść tego drapieżnego czworonoga.

Na zakończenie powiemy jeszcze słów kilka o pracy *ks. Wilperta*. Na wyróżniającą wzmiankę zasługują w niej szczególnie dwa paragrafy. Jeden (str. 23 — 32) omawia obszernie i gruntownie monumenta, na których występuje Mojżesz, jako figura św. Piotra i jego następców. Drugi (str. 50—61) jest znakomitym komentarzem do dwóch najcenniejszych, staro-chrześcijańskich nagrobków: Biskupa *Abercysusa* z Hieropolis we Frygii i *Pektoryusza* w Autun, w południowej Gallii. Cała rzecz jest w ogóle napisana żywo i gładko. Nie wątpimy ani chwili, że niemniej świetnie wypadnie i niemniej przychylnie znajdzie przyjęcie, już zapowiedziane, większe dzieło dzielnego archeologa, w którym rozświeci, na podstawie kilku, dotąd nie znanych lub źle zrozumianych fresków katakumbowych, stanowisko dziewięć w pierwotnym Kościele. Szczęście mu Boże do wykończenia tej cennej pracy!

Ks. Bilczewski.

Hummelauer S. J. Commentarius in libros Judicum et Ruth. Paryż. Le-thiellieur 1888.

Mówiliśmy już dawniej w *Przeglądzie powszechnym* o jednym tomie wielkiego biblijnego dzieła, skreślonym przez Jezuitę, *O. Hummelauera*. W księdze, którą obecnie mamy pod ręką, autor wywiązał się doskonale ze swego zadania. Wielkie trudności, jakie napotykamy w księdze Sędziów, powiększone jeszcze przez najnowszą krytykę, jak również brak komentarza katolickiego, rachującego się z potrzebami ostatnich czasów, i mogącego dostarczyć odpowiednich wskazówek, utrudniają znacznie komentarz do tej książki Pisma.

Hummelauer, ściśle trzymając się tekstu Pisma św., dzieli epokę Sędziów na trzy okresy po sobie następujące (II. 1; V. 32; VI. 1—10; V.; X. 6; XVI. 31)¹. Obraz ówczesnych stosunków i przeprowadzenie

¹ Rozdz. XVII do XXI stanowi osobny peryod: Czas bezkrólewia.

dowodu, że prawo Mojżeszowe znanem było Izraelitom, są bardzo dobrze opracowane; zamiar autora księgi Sędziów i źródła przezeń użyte również jasno i dokładnie zostały przedstawione. Szczegóły biograficzne zaczerpnął autor księgi z pism ówczesnych, albo o niewiele późniejszych, i z pewnemi zmianami przytoczył je w swoim dziele, uzupełniając ustnem podaniem. Autorem — według O. *Hummelauera* — jest Samuel, uznany także przez Żydów, jak również *Corneliusa a Lapide*, *Calmeta*, *Bronfreriusa*, *Welta*, *Kaulena*, *Vigouroux*, *Zschokke'a*, *Clair'a*, *Cornely'a*. Niektóre ustępy traktuje O. *Hummelauer* ze szczególniejszem upodobaniem. Tak np. *Pieśń Debory* (ks. Sędz. V), zajmuje 17 stronic (od 349); Gedeon (Rozdz. VI—VIII) 46 str.; Jefte (10, 6; 12, 7) 34 str.; Samson wreszcie (13—16) 48 str.

Zaznaczmy tu dwa charakterystyczne szczegóły niemałego znaczenia. *Kaulen* wraz z wielu nowszymi uczonymi twierdzi, że ofiarowanie córki Jeftego było czysto duchowem, że „sędzia musiał poświęcić swą córkę Bogu na wieczną Jego własność“. Przeciwnie Ojciec *Hummelauer* utrzymuje z dawnymi komentatorami, że była to ofiara nie tylko duchowna, lecz rzeczywista, choć nie krwawa. To, co twierdzi Clericus (1733) w swoim komentarzu, mówiąc: „*Ne in huius historiae explicatione a vero aberremus, ante omnia statuendum est votum hoc fuisse hominis Hebraei, cui integrum non fuit Deo vovere victimas, quas lege ei mactari nefas erat*“ — jest i pozostaje prawdą, uznaną także przez Schäfera i innych. Rzeczywiście, w III księdze Mojżesza 20, 2, a szczególnie w V. 12—31, powiedziano, iż Bóg odrzuca wszelką ludzką ofiarę. Słowa O. *Hummelauera* na str. 222 zwracają się zatem przeciw niemu samemu. Naturalnie autor dowodzi następnie, że głosząc swoją hipotezę, nie utrzymywał wcale, aby ślub taki przez Boga był nakazany. Pomimo jednak tego wszystkiego, zdaje mi się, że rozumieć tu należy ofiarę niekrwawą. Wiersz 37 wyraźnie taką ofiarę wskazuje, inne okoliczności również ją popierają. W 37, 38, 39 mówią ciągle o jej dziewictwie, a tekst Pisma św. zamyka się słowami (39): *Et fecit ei sicut voverat. Quae ignorabat virum*. Córka Jeftego została zatem chyba przyłączoną do osób, odbywających służbę w świątyni (II. Mojż. 38, 8, I. Król. 2, 22), służbę, połączoną z dożywotniem panieństwem (IV. Mojż. 6, 2 i następne). Jeżeli więc — podług O. *Hummelauera* — Jefte w chwili uczynienia ślubu o ludzkiej myślał ofierze, ślub zaś ten został złożonym dla otrzymania zwycięstwa, to Bóg nie mógłby go wysłuchać, gdyby oznaczał ofiarę krwawą. A gdyby nawet Jefte, fałszywą wiedziony gorliwością, chciał rzeczywiście zabić człowieka na ofiarę P. Bogu, cóż wtedy na-

stąpićby musiało? Czyż Bóg nie przeszkodziłby mu do złożenia tej ofiary, jak niegdyś przeszkodził Abrahamowi?

Sąd na słabości i upadki Samsona wypadł bez żadnego pobłażania. Tymczasem świętość życia nie była wcale warunkiem, przez Boga mu położonym (255), z drugiej zaś strony Bóg mógł w każdej chwili ukarać go za grzechy, odbierając mu swą łaskę. Samson był obrazem ówczesnego izraelskiego ludu, o czym świadczy wyraźnie jego związek małżeński (porów. Oz. 1, 3). Ale czy ten bohater nie był także typem, stanowiącym jakby cień Chrystusa? Obok wykazania prawdy historycznej i obok sensu literalnego należało więcej i szerzej, niż to uczynił *Hummelauer*, podnieść znaczenie mistyczne, które Duch święty także miał na celu. Autor nie zaniedbał tego całkowicie, np. 16, 30: *Sepulerunt in sepulcro patris sui... sepultus est Christus in sepulcro Josephi superstitis*, lecz szkoda, że bardziej tego jeszcze nie zaznaczył. Zaslugują na uwagę wywody o prawdzie historycznej czynów Samsona 14, 6, o Duchu Pańskim 15, 15, o czeluści osła i wreszcie o śmierci Samsona 16, 27 i następne.

Z księgą Sędziów łączy się wyjaśnienie księgi *Ruth*. Celem autora tej księgi — podług O. *Hummelauera* — jest pochwała pobożności, jak to sam nawet układ opowiadania wskazuje (I. 1—6 osoby, 1, 7—22 pochwała pobożnego uczynku Ruth, Rozdz. 2—4 Booz. W Rozdz. 3 pobożny zamiar, w 4 jego wykonanie i nagroda, którą stanowi Obed, przodek Dawida). Chociaż i innych celów można się w księdze tej domyślać, ten jednak jest najgłówniejszym. Księga *Ruth* pochodzi — zdaje się — z epoki Dawida, może przez Samuela została napisaną. Komentarz, który zresztą w tej księdze żadnych szczególnych nie napotkał trudności, wypadł ze wszech miar zadawalniająco.

Augustyn Arndt.

La vie et les mœurs à La Plata, par *Emile Daireaux*. Paris. Librairie Hachette.

Podczas, gdy w starej Europie modyfikacje polityczne ustawicznie zmieniają granice dawnych państw i kształty poszczególnych krajów, w młodej Ameryce wewnętrzne przekształcenia z niebywałym pośpiechem odmieniają ustrój całych przestrzeni ziemi i odrębnych państw. Najświeższym tego przykładem jest Rzplta Argentyńska, gdzie wystarcza kilka zaledwie miesięcy, aby wsie zamienić w miasta, aby wytknąć drogi żelazne na pustyniach, gdzie przed sześcioma laty noga ludzka nie dotarła, a bezkresne stepy przeorać lemieszem i stworzyć

poła dostarczające już dziś setnego plonu. Warsztaty starego świata zaledwie mogą sprostać obstalunkom machin rolniczych dla tych dalekich stref, wartość ziemi coraz to hyżej się tam wzmacnia, a kapitały i ludzie europejscy zarówno emigrują ku wybrzeżom, nad którymi — jak dotąd — przełom rolniczy nie zawisnął.

Przoduje w tej emigracyi Hiszpania, oraz Włochy, cisnące się gwałtownie za morze, jakby dając dowód, iż zjednoczenie półwyspu Włoskiego nie zagaiło ery złotej dla poddanych króla Humberta. Jeśli zaś w Hiszpanii coraz częściej znachodzić przychodzi tak zwanych *dispoblados*, czyli miejscowości z czasem do szczętu wyludnione, już i we Francyi, z kąd emigracya dopiero zaczyna się ruszać, przytaczają złowrogi przykład osady, liczącej do 426 mieszkańców, z której ani jeden nie pozostał na ojczystym zagonie. Opodal od Paryża widnieją już całe dzierżawy odbieżane przez rolników i leżące dziś odlogiem. W Anglii corocznie orne grunta zmniejszają się o milion akrów. A tymczasem stepy Argentyny coraz liczniejszych przynęcają kolonistów, rozszerzając obszary uprawionych łąnów.

Wyjątkowe powodzenie tej uprzywilejowanej krainy wytworzyło całą osobną literaturę, nie zawsze wiarogodną; dla tego tem cenniejszą jest bezstronna, dwutomowa publikacya, którą mamy przed sobą. Tom pierwszy poświęcony miejskiej społeczności i stosunkom, maluje nam stolicę La Platy, Buenos Ayres, przedstawiając z kolei rodzinne i domowe życie, interesa i sprawy finansowe, nareszcie ulicę i snujące się po niej barwne tłumy. Z pośród licznych, a jaskrawych wizerunków, wymieńmy charakterystyczno-malowniczy typ żebraka konnego. Do szczegółowego opisu gmachów, autor dodaje ciekawe wiadomości, dotyczące ceny mieszkań i artykułów spożywczych, które dotąd są prawie zadarmo. W ustroju społecznym kobieta zajmuje stanowisko cześć niosące i znaczące. Wszystkie miłosierne zakłady i instytucye opierają się o jej serce i roztropność. Wychowanie młodzieży oczywiście ulega pewnym odmianom, zastosowanym do potrzeb młodej kolonii. Humanistyczne studia zupełnie prawie nie istnieją, a natomiast matematyka, rachunkowość i ekonomia polityczna wysunięte są na pierwszy plan w programatach szkolnych. Ciekawe statystyki pouczają nas o finansowych i handlowych stosunkach Argentyny. Byt polityczny chyba nie zupełnie się dotąd ustalił, pojawiające się bowiem zawieruchy raz po raz z okazji wyborów zamęczają spokój publiczny.

Tom drugi wyczerpująco traktuje kwestyą emigracyi. Autor odejmuje jej legendowe blaski, powtarzając, iż ryzykowne to przedsięwzięcie wieńczy tylko cierpliwych, mężnych, mocnych, podczas gdy

słabi, bezsilni i próżniaki giną tam, jak gdzieindziej, a nawet prędeej, niż gdzieindziej. Żywiol wieśniaczy, rolniczy, z pewnością znaleźć może w Argentynie pomyślne warunki opłacającej się pracy i zarobku. Kto jednak nie ma siły na pioniera i zdąża do miast zamorskich, ten rychło się w nich bezpowrotnie zmarnuje.

Dziejowy pogląd na pampasy argentyńskie, od hiszpańskiego podboju aż po dni nasze, nadzwyczaj zajmujących dostarcza kartek. Poznajemy te zielone stepy, po których nieprzeliczone pasą się trzody. Dowiadujemy się o cenach mięsa i wełny, o kosztach utrzymania bydła i koni, nareszcie zgłębiamy rolne stosunki tyle im sprzyjającej krainy. W r. 1856 istniała tu jedna zaledwie kolonia, licząca do tysiąca mieszkańców, osiadłych na tysiącu zaledwie hektarów. W minionym roku było już 190 osad, na przestrzeni 780,000 hektarów, a 250,000 mieszkańców. Kolonie rolne skupione wokół *Santa Fe* wydały 6,250.000 hektolitrow zbóża. Obok zbóża hodują tu len, kukurydzę i jęczmień. Gospodarstwo postępowe w lot chwytą wszystkie maszyny angielskie i ulepszone wynalazki. Żniwiarki mechanicznie uwijają się po przestrzeniach, młockarnie od rana do nocy dymią i świszczą, opalane wzgardzoną słomą, której tu zaledwie używają w cegielniach dla nadania spoistości glinie.

Ale nie samo zboże stanowi bogactwo Argentyny, nie sam step bujny przymnaża krajowi dostatków. Są tu i kruszcowe pokłady, uczynają dziś na wielką skalę zakładać winnice, rozszerzają się plantacje trzciny cukrowej. Wśród mnóstwa produktów tej strefie właściwych, na osobną wzmiankę zasługuje *yerba mate*, narodowy Argentyńców napój. Cenna ta roślina korzystnie zastępuje herbatę i kawę, podnieca i pokrzepia, nie drażniąc nerwów, ani też rozpajając szkoldliwie. Taniością swą i znakomitymi przymiotami higienicznymi góruje nad innemi wyskokami lub herbatami.

Mnóstwo ciekawych i pouczających szcegółów znajdujemy w tej książce, malującej nam dosadnie okolice, ku którym dziś głównie fala emigracyjna się zwraca. Autor, acz nie szczędzi barw dodatnich i zachęcających cyfr i obrazów, miarkuje gorączkę zamorskiego wychodźstwa ustawicznem powtarzaniem odwiecznej prawdy, iż, jakkolwiek zewnętrzne warunki na ogólną składają się pomyślność, indywidualne powodzenie zależy wyłącznie, podobnie jak w starej Europie, od trudu i znoju, i ochoty do pracy, i osobistych krwawych usiłowań. M.

Rozmaitości.

Drugi zjazd historyków polskich

zapowiedziany został następującą odezwą od Komitetu :

Dziesięć blisko lat ubiega od chwili, kiedy się zgromadził w Krakowie Pierwszy Kongres historyczny polski imienia Długosza.

Jak obfitą w następstwa była działalność tego Zjazdu, o tem ledwo przypominać potrzeba. Jego obrady i uchwały wyjaśniły sprawę organizacyi pracy naukowej nad dziejami Polski, zakresliły pracy tej odpowiednie kierunki, wytknęły jej program, który dzisiaj w części już spełniony, niemały przyniósł dla nauki pożytek.

Po upływie lat dziesięcin, w ciągu których praca ta znacznie postąpiła naprzód i wobec nowych znalazła się pytań, a w części i odmiennych warunków, użyteczność ponownego Zjazdu historycznego, któryby program dawniejszy uzupełnił i rozszerzył, nie powinna ulegać wątpliwości.

W przewidywaniu tej rzeczywistej potrzeby powziął też już Zjazd Długoszowy uchwałę, „ażeby za kilka lat odbył się ponowny Zjazd historyków w najszerszem tego słowa pojęciu“.

Tej uchwale stało się dotąd tylko częściowo zadość. Zgromadził się w Krakowie w r. 1884 Kongres imienia Kochanowskiego, który zajął się jedną tylko stroną przeszłości dziejowej Polski, t. j. historią literatury i oświaty polskiej.

Czyniąc zadość powszechnie odczuwać się dającej potrzebie, a zarazem wypełniając mandat Długoszowego Zjazdu, postanowiło tedy Towarzystwo Historyczne we Lwowie zwołać Drugi Zjazd historyków polskich do Lwowa w pierwszych dniach drugiej połowy lipca 1890 r. i poruczyło przeprowadzenie tej uchwały niżej podpisanemu Komitetowi.

Przedmiot obrad Zjazdu stanowić będą nauki historyczne w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, dotyczące jakiegokolwiek bądź strony przeszłości dziejowej Polski, odnoszące się zarówno do jej historii ogólnej, jako też historii prowincjonalnej, przedewszystkiem zaś Litwy i Rusi.

Ponieważ nauka historii polskiej w ciągu ostatnich lat dziesięciu znacznie postąpiła naprzód, zarówno przez ogłoszenie wielu ważnych wydawnictw źródłowych, jako też dokonanie badań przygotowawczej natury, przeto w pierwszej linii będzie zadaniem Zjazdu przedsięwziąć próbę zgromadzenia i ujęcia w jedną całość owych

licznych, ale dotąd porozrzucanych i w przeważnej części luźnie stojących zdobyczy naukowych ostatnich czasów, a zatem zwrócić uwagę na syntezę dziejów Polski przez szereg wykładów, przedstawiających na ściśle naukowej podstawie ogólniejsze poglądy bądź to na całość historii polskiej, bądź też na znaczniejsze epoki jej rozwoju, bądź też wreszcie na ważniejsze instytucje i stosunki dziejowego życia narodu polskiego.

Obok tego Zjazd nie będzie mógł zapomnieć o innej jeszcze ważnem zadaniu, które go czeka. Jakkolwiek Zjazd Długoszowy załatwił już wiele pytań, dotyczących metody badania historycznego i sposobu wydawnictwa źródeł dziejowych, to jednak nie wyczerpnął ich wszystkich; nadto zaś wobec postępu nauki i coraz dalej sięgających odkryć źródłowych, nasunęły się w ostatnich czasach nowe kwestye wydawniczo-metodyczne, które wymagają szczegółowego omówienia. Tymi kwestyami, wstępując w ślady Długoszowego Kongresu, zajmie się także Zjazd Drugi.

Podjmując się włożonego na siebie zadania, podpisany Komitet Drugiego Zjazdu wyraża przekonanie, iż w sprawie pierwszorzędnej dla nauki doniosłości dozna chętnego i życzliwego poparcia ze strony ogółu społeczeństwa polskiego, a przede wszystkim ze strony wszystkich zawodowych pracowników na niwie historii polskiej. Wzajemne zetknięcie, wymiana zapatrywań, dokładne omówienie wątpliwych pytań, staną się bodźcem i zachętą do dalszej pracy, a zapewne nie przejdą bez pożytku dla nauki i społeczeństwa.

Bliższe szczegóły Zjazdu zostaną w swoim czasie ogłoszone.

We Lwowie, w październiku 1889 r.

Komitet Drugiego Zjazdu historyków polskich:

Sekretarz: Dr. Oswald Balzer.

Prezes: Dr. Ksawery Liske.

Członkowie Komitetu: Dr. Władysław Abraham, Dr. Bronisław Czarnik, Ludwik Dziedzicki, Dr. Ludwik Finkel, Dr. Zdzisław Hordyński, Dr. Wojciech Kętrzyński, Dr. Ludwik Kubala, Saturnin Kwiatkowski, Władysław Łoziński, Dr. Antoni Małecki, Dr. Fryderyk Papée, Dr. Franciszek Piekosiński, Dr. Roman Pilat, Dr. Antoni Prochaska, Karol Rawer, Dr. Henryk Sawczyński, Dr. Aleksander Semkowicz, Dr. Tadeusz Wojciechowski.

Zapowiadają się szczęśliwie nowe przyczynki do literatury zdrowotnej, słabo dotąd u nas przedstawionej, a przecież tak pożądanej.

Księgarnia Orgelbranda w Warszawie ogłasza prospekt **Encyklopedyi illustrowanej Medycyny i higieny**.

Przeważną i, rzec można, wyczerpującą część tej *Encyklopedyi* stanowią będą wskazówki, jak dawać pierwszą pomoc chorym i ranionym: za mało w podobnych razach jest wiedzieć, kiedy zastosować kataplazm, kompres lub bandaż, podać środek przeczyszczający lub wymioty; należy jeszcze ów kataplazm czy kompres umieć przyrządzić, wybrać najodpowiedniejszy środek lekarski (aloes czy rabarbar, emetyk czy ipekakuanę) i podać go w dawce zastosowanej do rodzaju cierpienia, wieku, płci i usposobienia chorego. W *Encyklopedyi* też znajdzie czytelnik racjonalne wskazania co do główniejszych środków lekarskich roślinnych i mineralnych, opatrunków chirurgicznych, elektryczności, masażu, kąpieli kuracyjnych, odrutek i t. p. w granicach nieprzekraczających kompetencji niespecjalistów.

Celem przeto *Encyklopedyi* nie jest zastąpienie lekarza, lecz podanie sposobów, jak żyć higienicznie i jak poradzić sobie i drugim w nagłych przypadkach lub braku lekarza.

Znaczna ilość dokładnie wykonanych rycin ułatwi zrozumienie treści.

Encyklopedya wychodzić będzie zeszytami, mniej więcej w odstępach dwutygodniowych, zawierającymi od 3 do 4 arkuszy t. j. od 24 do 32 stron, w formacie i drukiem załączonej próby. Zeszytów wszystkich będzie trzydzieści. Cena zeszytu 45 cent. (75 fen.).

Ta sama księgarnia Maurycego Orgelbranda w Warszawie, wydała w dalszym ciągu swych cennych i praktycznych książek pod ogólnem mianem: **Leczenie Domowe** następujące zeszyty:

XI Choroby zębów Dra. Guirarda — 70 kop., z przesyłką pocztą kop. 80.

XII Ucho, jego pielęgnowanie i leczenie, Dr. Loewe — kop. 70, z przesyłką pocztą kop. 80.

XIII Choroby kobiece, ich zapobieganie i leczenie. Poradnik dla kobiet. Napisał Dr. J. Herm. Baas. Tłóm. Dr. J. St. — kop. 60, z przesyłką pocztą kop. 70.

XIV Skóra i jej choroby, jakoteż leczenie, zapobieganie i pielęgnowanie. Dr. Józef Starekman — kop. 60 z przesyłką pocztą kop. 70.

XV Skrofuty (Zolzy) przyczyny, zapobieganie i leczenie. Dr. P. Niemeyer — kop. 60, z przesyłką pocztą kop. 70.

XVI Choroby serca. Poradnik higieniczny. Dr. A. Lange — kop. 50, z przesyłką pocztą kop. 60.

XVII Choroby oczu, leczenie i zapobieganie. Dr. Herm. Baas — kop. 70, z przesyłką pocztową kop. 80.

XVIII Gimnastyka, jej znaczenie i sposoby zastosowania, Dr. med. Grünfeld — kop. 60, z przesyłką 70.

Starożytne rękopisy serbskie.

Pod takim tytułem czytamy w *Słowiańskiej Korespondencji* z 30 listopada ciekawą wiadomość o świeżo znalezionym starym Trebniku czyli rytuale sławiańskim, który zdaje się świadczyć o znaczeniu katolicyzmu w Bośni w XV wieku:

„Komisya wysłana przez madziarską akademię do Konstantynopola — mówi *Korespondencya Słow.* — aby w tamtejszem archiwum zbadać dokumenta, odnoszące się do historii węgierskiej, wróciła do Pesztu i zdała już akademii szczegółowe sprawozdanie ze swej czynności. W sprawozdaniu tem bardzo zajmujące dla nas jest miejsce następujące: Na szczególną uwagę zasługuje rękopiśmienny „trebnik“ z początku XV wieku, pisany literami gładoliczki, dla bana bośniackiego Chrwoja, jak świadczą znakomicie malowane na dwóch ostatnich stronicach książki wizerunki Chrwoja na koniu i jego herbu. Trebnik ten jest napisany podług formy Kościoła rzymskiego, i z tego powodu szczególnie interesujący, że inny trebnik tegoż Hrwoja, ale pisany według obrządku (*sic p. red.*) „bogumilskiego“, cyrylicą, przechowuje się w bibliotece uniwersytetu Bolońskiego. — Drugi i jedyny rękopism odnosi się do historii Serbii. Jest to dyplom króla Urosza II, w którym są wymienione majątności, które król darowuje monasterowi Bańskiemu, koło Mitrowicy. Dyplom ten pisany jest w końcu XIII albo w początku XIV wieku, starą cyrylicą, bardzo obszerny: zajmuje 96 arkuszy i wygląda jak książka. Jestto cenny nabytek dla geografii Serbii“.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Konfiskata funduszków pobożnych we Włoszech. — Program francuskich prześladowców. — Księża w koszarach. — Wzrost i wpływ religijnych uczuć. — Nowohusytyzm czeski. — Rozprawy husyckie w sejmie pragskim. — List pasterski kardynała Schoenborna.

Wolnomularska klika, rządząca wszechwładnie we Włoszech nie ustaje w połowie drogi w dziele prześladowania Kościoła: zaledwie król Humbert podpisał dnia pierwszego grudnia osławiony kodeks karny, którego głównym celem odebranie Papiestwu i duchowieństwu nawet możliwości obrony, a już parlament otrzymał nakaz jak najszybszego uregulowania funduszków, przeznaczonych na cele pobożne. „Uregulowanie“ to — jak eufemicznie wyraża się rządowy projekt — jest, mówiąc po prostu, zupełnem „skonfiskowaniem“ tych funduszków na rzecz rządu.

Istotnie projekt ministeryalny da się streścić w następny sposób: Rząd bierze wyłącznie na siebie administrację dzieł pobożnych, znosząc te, które nie odpowiadają „dzisiejszym wymaganiom“, przekształcając inne, w sposób wymaganiom tym odpowiadający. W szczególności mają być zniesione fundacje: zapewniające posagi ubogim osobom, poświęcającym się stanowi zakonnemu, niosące pomoc więźniom, pielgrzymom, kate-

chumenom, przeznaczone dla bractw, kongregacyj, pobożnych instytutów, z wyjątkiem zakładów wychowawczych. Wszystkim zakładom tym odjęta zostaje zagwarantowana im w fundacjach autonomia, lub sprowadzoną jest do śmiesznie drobnych rozmiarów. Aby zresztą nie pozostało najmniejszej wątpliwości o właściwym celu „uregulowania“ i o rodzaju owych „dzisiejszych wymagań“, artykuł 11 orzeka wyraźnie, że żaden biskup, proboszcz, słowem żaden ksiądz, zajmujący się dusz pasterstwem, nie może odtąd, wbrew wyraźnej woli fundatorów, wywierać najmniejszego wpływu na zarząd funduszów pobożnych i w radach, nimi zawiadujących, zasiadać mu nie wolno.

A czyż była przynajmniej pozorna jaka racya, domagająca się tak radykalnej, przeciw prawom fundatorów, Kościoła i ubogich podjętej reformy, racya, którą możnaby podać światu na usprawiedliwienie zamierzonego bezprawia. Rządowe dzienniki wystąpiły z oskarżeniem złej administracyi i zbytnich kosztów na administracyę łożonych; ale zarzuty te odparł stanowczo samże sprawodawca osobno dla tej sprawy wyznaczonej komisyi parlamentarnej, poseł *Constantini*. Warto przytoczyć ciekawe te wywody, które z niepodważanego pochodząc źródła, najlepiej nas mogą z całą rzeczą zapoznać:

„Niektórzy mniemają, że w administracyi funduszów pobożnych we Włoszech, szło wszystko bez składu i ładu; że dochody trwoniono i nie starano się o urzeczywistnienie właściwych celów tych instytucyj, że wreszcie instytucye te, rdzą innych czasów okryte a złością czasów naszych podkopane, nie odpowiadają potrzebom dzisiejszego społeczeństwa. Dlatego nie brak ludzi, którzy pod pretekstem oczyszczenia drzewa i uwolnienia go z wyciągających dla siebie soki pasożytów, chcieliby przyłożyć śmiało siekiere do korzenia“:

„Na szczęście wyniki bardzo ściśle i sumiennie przeprowadzonego śledztwa, sprowadzają niesłuszne te i kłamliwe zarzuty równie pod względem statystycznym jak i administracyjnym, do właściwej miary“.

„Istotnie ze śledztwa tego wynika, że koszta zarządu majątku fundacyjnego, nie przenoszą, w ogóle mówiąc, 12·85%”

wszystkich razem dochodów, a 19·71% dochodów z majątku stałego“.

„Dowiadujemy się dalej, że ponoszone przez Dzieła pobożne koszta kościelne, licząc już tutaj koszta obowiązkowe i koszta długoletnim zwyczajem wprowadzone, nie przenoszą, w ogóle mówiąc, 4·40% wszystkich razem dochodów, a 6·81% dochodów z majątku stałego. Co prawda, jedna okolica różni się nieraz w tej mierze od drugiej, i tak koszta te schodzą do 2·96 franków w Piemoncie, a wzrastają aż do 20·84 fr. w Kampanii“.

„Dowiadujemy się nadto, że nieruchomy majątek „Dzieł pobożnych“, oznaczonych na sumę 724.221,482, przynosi roczną rentę 45.776,528, obliczając tę rentę wedle stopy, która o wiele przewyższa zwyczajną stopę procentową“.

„Dowiadujemy się nakoniec, że począwszy od r. 1864, fundacyjny stały majątek „Dzieł pobożnych“ wzrósł o 46% a ogólne dochody wszelkiego rodzaju wzrosły o 60%“ ...

W dalszym ciągu ciekawego swego sprawozdania, deputowany *Constantini* przywodzi przyczyny, dla których większość komisji oświadczyła się stanowczo przeciw wszelkiego rodzaju likwidacyi majątków fundacyjnych:

„Państwo młode, a które w przeciągu lat kilku pochłonęło, publicznym potrzebom zaradzając, dwa bardzo znaczne kompleksy majątków, nie mogłoby, mimo wszelkich starań, uniknąć podejrzeń. gdyby obecnie znowu ściągnęło rękę na fundusze ubogich, że ma na oku cele niezupełnie czyste a niezgodne z rzeczywistym interesem dobroczynności publicznej. Nie potrzeba mówić, jak bardzo takie przekonanie zaszkodziłoby opinii młodego królestwa, zwłaszcza wśród warstw uboższych“.

„Własność „Dzieł pobożnych“, choć przeznaczona na publiczne cele dobroczynne i pod zarząd władzy poddana, w równym przeciw stopniu świętą jest i nienaruszalną, jak własność prywatna. Rozrządzać tą własnością przez prawo, jawnie sprzeciwiające się oczywistej woli dawców, byłoby prostym le-

galnym gwałtem, a niebezpiecznie to w obecnych, niespokojnych i groźnych czasach do takiego gwałtu się uciekać“.

„Nadto związanie „Dzieł pobożnych“ nierozzerwalnym węzłem ze zmiennymi losami państwa, wystawia te dzieła na nie-małe niebezpieczeństwo, nie tyle ze względu na gwałtowne polityczne zmiany, które mogą ostatecznie znieść nawet wielką księgę publicznego długu, jak raczej skutkiem zwykłych a dość częstych następstw konwersyj lub redukcji renty“ ...

Trudno o bardziej surową krytykę ministeryalnego projektu. Wszędzie gdzieindziej rząd po takiej krytyce cofnąłby swój projekt, lub starał się zwalczyć przywiedzione argumenty w dziennikach i parlamencie. We Włoszech dzienniki rządowe odpowiedziały krótko i beczelnie współ z *Riforma*: „Prawo to musi być przyjęte, bo zupełna sekularyzacya dóbr kościelnych musi być bądź co bądź za wszelką cenę przeprowadzoną“, i współ z *Tribuna*: „Nowe prawo może za sobą pociągnąć pewne praktyczne niedogodności, ale z drugiej strony przyczyni się ono do ostatecznego pogrzebienia kwestyi rzymskiej i rozluźnienia węzłów, łączących duchowieństwo z Watykanem. Nie wypędzilibyśmy księdza, gdyby nie był od Watykanu zależnym“. W parlamencie nie kusił się również rząd o jakkolwiek wyczerpujące udowodnienie potrzeby nowego prawa, lub zbicie wytoczonych mu zarzutów, wiedząc doskonale z góry, że parlament zgodzi się na wszystko, jak dotychczas na wszystko się zgadzał, z zamkniętymi oczami i niewolniczym ukłonem. Istotnie rozprawy nad prawem tak ważnem, obejmującym kilkadziesiąt paragrafów, a dotyczącym tyle zasadniczych kwestyj, toczą się z niesłychaną chyżością, jakby już nawet nie dla ceremonii, ale wprost dla żartu. Crispi zażądał, aby dla przyspieszenia sprawy, zaniechać rozprawy ogólnej, dodając żartobliwie, że przecież przy debatach o każdym w szczególności artykule, będzie można wystąpić z zarzutami i poprawkami, a izba na wniosek ten się zgodziła. Ale i do szczegółowych rozpraw nikt się nie kwapił; odczytywano jeden po drugim z kolei artykuł, czasem jaki poseł wystąpił z banalną uwagą, na którą *Crispi* w paru słowach odpowiadał i — kome-

dy skończona. Jednego tylko dnia zatatwiono się z przykładową zgodą i w najgłębszym milczeniu ze strony deputowanych z jedenastu paragrafami. Proskrypcyjny artykuł 11., przyjęty przez pięćdziesięciu, zewsząd do głosowania spędzonych posłów. „Czyżby już parlamentaryzm upadał — skarży się nawet *Riforma* — czy deputowani nie znają, czy zapomnieli o swych obowiązkach?!“ „Parlament włoski — czytamy w rzymskiej korespondencji do liberalnej, medyolańskiej gazety *Corriere della Sera* — kona w uroczystej apatii. Przed oczami naszemi rozwija się wspaniałe widowisko: wielki sejm wielkiego narodu ulatnia się, niknie, jakby był sejmem upiórów. Wdzięczny to przedmiot dla niemieckiego baladysty..., lecz nie zdolny chyba zaentuzjazmować tłumów dla parlamentarnego systemu!“

We Francyi nie brak ludzi, którzy Crispiemu laurów zazdroszczą i wręcz, na smutne doświadczenia lat ostatnich nie zważając, wzywają do dalszego prowadzenia walki z Kościołem. Jako program fanatycznych tych prześladowców służyć mogą słowa, wygłoszone w pierwszych dniach grudnia przez przewodcę lewicy *Clemenceau*: „Wrogiem Rzeczypospolitej to ta stara teokracja, która żyje jeszcze, a która zdążała zawsze do ujarzmnienia ducha ludzkiego. Mówią dziś niektórzy: Trzeba się z Kościołem pogodzić; ja na to zupełnie się nie piszę“. Skrajna lewica o zwolnieniu nawet prześladowania myśleć nie chce, a gabinet *Tirarda* dla sprawienia jej od czasu do czasu przyjemności i dla zapewnienia sobie popularności w wolnomularskich kołach, to wydaje groźne okólniki do duchowieństwa, to za jednym zamachem, dla powodów więcej niż błahych, odbiera pensję kilkudziesięciu księżom, lub zmusza do dźwigania karabina sześćdziesięciu młodych Marystów, a zatem zakonników, należących do kongregacyi legalnie we Francyi uznanej, zaopatrzonych w nauczycielskie dyplomy, a pracujących w szkołach tak pilnie i z tak dobrym skutkiem, że najbardziej nawet wrogie rządy nie mogły dotąd znaleźć przyczyny dla odebrania im prawa nauczania. Protestanckie Niemcy

uwolniły świeżo księży od wojskowej służby; francuscy liberali słyszeć nie chcą o takim „przywileju“.

Obok jednak tych prześladowczych prądów czuć się daje z dnia na dzień potężniejszy, do rządowych nawet sfer sięgający prąd pojednawczy. W ostatnim właśnie czasie bardzo znów silne i poważne odezwały się głosy: „Kiedy wolność, to dla wszystkich, a jeśli już nie chcecie, czy nie możecie dać zupełnej wolności katolikom, nie wydzierajcie im przynajmniej ostatniej jej odrobiny“. W ten sposób mówił w parlamencie weteran dawnego, wierzącego jeszcze w nazwę swą i ideały liberalizmu, *Leon Say*, domagając się mniej przynajmniej brutalnego wykonywania praw szkolnych, kiedy już o zniesieniu ich mowy być dzisiaj nie może, i złagodzenia w praktyce, jeśli nie w teorii barbarzyńskich dekrétów, które pędzą seminarzystów do koszar. Ministeryalny *Temps* poparł energicznie te żądania, a z szczególnym przyciskiem ostatnie: „Jeżeli seminarzyści — rozumuje organ rządowy — nie mają w czasie wojny stać w szyku bojowym, lecz pełnić mają służbę w szpitalach, jak na to i skrajna lewica się zgodziła; cóż za sens miałoby, ćwiczyć w czasie pokoju w strzelaniu i wywijaniu szablą tych, którzy na seryo nie z karabinem i szablą, ale z szarpianami i maściami mieć będą wyłącznie do czynienia!? Cóż za sens trzymać w szeregach i wydawać pieniądze na tych, którzy wedle litery prawa w chwili wypowiedzenia wojny szeregi opuszczają, a jednocześnie skarżyć się, że dla braku dostatecznych funduszy nie można wszystkich — służących prawdę, nie od parady — żołnierzyów należycie wyćwiczyć, nie można dość często i na większą skalę manewrów urządzać? Prawo zatem, zdrowy rozsądek, dobro armii wymaga, aby seminarzyści odbywali służbę wojskową w szpitalach; w czem zresztą o jakimś przywileju mowy być nie może, bo jeśli jaka, to właśnie służba w szpitalach jest z jednej strony konieczną, z drugiej niebezpieczną i wstrętną. Z jakiejże więc racji takie krzyki i gniewy w radykalnej prasie? Dlatego, ponieważ kierując się rozsądkiem i zastosowując prawo rozumnie i korzystnie dla państwa, mniej ciężki cios zadalibyśmy Kościołowi,

mniej utrudnilibyśmy zaciąganie się w szeregi duchowieństwa. Oto, z jak wysokiego stanowiska spoglądają, jaką tolerancją się powodują ci mężowie stanu! Prawo wojskowe nie ma dla nich znaczenia, złe dla nich i niepraktyczne, jeśli przekuć go się nie da w broń przeciw Kościołowi“...

Z większą jeszcze energią wystąpił przeciw dalszemu prześladowaniu Kościoła *Journal des Débats* w imię interesów narodowych, a republikański organ *Parti national* w imię interesów już nie tylko narodowych, ale i własnego swego stronnictwa. Republikanie — pisze ten dziennik — stracili przy wyborach od r. 1881 około półtora miliona głosów, a stratę tę zawdzięczają jedynie religijnej nietolerancji, nie wiedzieć, bardziej złych czy głupich, ale w każdym razie nader szkodliwych fanatyków. Czas się nam opatrzyć i pomyśleć, że mamy już tylko od trzystu do czterystu tysięcy głosów większości, i że jeżeli przy następnych wyborach nie chcemy ponieść stanowczej klęski, nie wolno nam się dłużej bawić w propagowanie urzędowego ateizmu. Francja ateizmu nie chce, owszem — zapewnia głośny liberalny pisarz *M. de Vogüé* w świeżo ogłoszonych studyach o wystawie paryskiej — duch religijny budzi się we Francji, zyskuje na sile, coraz widoczniej się objawia i szersze obejmuje pola. W wielu szkołach, uniwersytetach, w których przez długie lata słowa „religia“, „Kościół“ słyszeć się tylko dawały wmięszane do niesmacznych konceptów, dziś liczne grupy młodzieńców jawnie wyznają swą wiarę, z zapałem ją propagują. Wolteryanizm należy do przeszłości. Religia jest przedmiotem studyów i dysput; ale nikt nie śmie z niej żartować, nikt roszczący sobie prawo do nazwy człowieka wykształconego nie odważy się na nią rzucić pogardliwego słowa. Rozum ludzki przeszedłby niebezpieczną kryzys, pozbył się zbytnej ufności do siebie samego i nie uważa za rzecz śmieszną lub niemożliwą ustąpić przed interwencją nadprzyrodzonej potęgi... Zjawisko to uderza zwłaszcza w dziedzinie sztuki i literatury. Dwie powieści, które w roku ubiegłym zainteresowały najsilniej opinię publiczną, to bezwątpienia *le Disciple* przez Bourget'a i *le Sens de la vie*

przez Rod'a. Otóż obie te powieści kończą się w absolutnie ten sam sposób: odmówieniem pierwszych wyrazów modlitwy Pańskiej. Czy to tylko prosty przypadek? Na wystawie obrazów największy zachwyt obudziły: obraz Dagnan-Bouveret'a *Les Bretonnes au pardon* i obraz *l'Angelus* Millet'a. Znamcy nie mogli tego entuzjazmu tłumów dostatecznie zrozumieć; widzieli i tłómaczyli, że wiele innych obrazów posiada te same, jeśli jeszcze nie wyższe zalety. Bo też na tłumy nie tyle działały zewnętrzne przymioty, koloryt, harmonia barw i tonów, ile religijna myśl, przebijająca z tych obrazów; ile wierne odzwierciedlenie religijnego wzruszenia w duszach prostych...

„Ale i wszędzie gdzieindziej na podobne napotykamy objawy. Jeśli zstąpimy w głąb narodu, spotkamy się wszędzie z tą samą, jasną wolą ludu: Nie chcemy antyreligijnej kampanii... Doświadczenie okazało, że lud nie chce, aby mu zmieniano niejako duszę, która go ożywia, stawiając w każdej wiosce szkołę na miejscu kościoła. Ponieważ zaś naród cały w próżni pozostać nie może i ponieważ prawodawstwo zdążające jedynie do zgwałcenia i stłumienia pewnej moralnej zasady jest nonsensem i chimera, jeżeli nie jest w stanie zapewnić zwycięstwa zasadzie przeciwnej, przeto o środkach polowicznych, o kompromisach nie ma tu co myśleć. Środki te upokarzają państwo, bo je ośmieszają. Przemawia ono, wszystko razem streszczając, do duchowieństwa w następujący, błazeński sposób: „Ustanawiam was i płacę, abyście wykładali pewne nauki, uznane za korzystne dla całego kraju. Ponieważ jednak czuję niewypowiedziany wstręt do tych nauk; ponieważ pragnę podkopywać je i zwalczać, przeto zabiorę wam pensję, jeśli poważycie się wystąpić choćby z jednym słowem w chwilach decydujących, t. j. wtedy właśnie, kiedy chcąc sobie uczciwie na dawane wam pieniądze zarobić, powinniście z całym naciskiem owieczkom waszym przypomnieć, że wyznawanie pewnej nauki pociąga za sobą praktyczny obowiązek kierowania się w życiu tą nauką“. — Nauka religii postawiona w jednym rzędzie z nauką na fortepianie, którą wolno pobierać jeśli kto sobie tego życzy, i od innych zajęć trochę mu czasu

zostaje; wymierzanie dziecku paru kropelek ze źródła moralnego wychowania, jak się wymierza truciznę, gdy niezbędnie trzeba ją choremu zapisać: zbyt to jest wszystko sztucznem, nienaturalnem, aby długo mogło potrwać. Rzecz daremna! gdy władza publiczna staje w obec zasady, na której opiera się cała teoria życia, natenczas musi uznać lub nie uznać jej za swoją, popierać ją lub prześladować. Środka tu nie ma — być nie może!“

Nie od dzisiaj psuć się coś zaczęło w królestwie czeskim; zgubne i dla państwa i dla religii prądy dawno już tu nurtowały, ale w ostatnim czasie, od chwili zwycięstwa Młodoczechów w wyborach sejmowych, kryjąca się dotąd, a przynajmniej jakkolwiek z okolicznościami licząca się agitacya, wystąpiła na jaw w całej grozie, a co najsmutniejsza, nawet w obozie staroczeskim niejednokrotnie i nie w jeden sposób znajduje poparcie, Młodoczesi chcąc dla swych zamiarów i projektów wyzyskać podstępnie patryotyczne uczucia, pragnąc zaprząć w swą służbę uczucia religijne, nie zawahali się rzucić kraj w odmet najstraszniejszej ze wszystkich religijnej walki. Zażądali oni wprost apoteozy *Husa*, a husytyzm ogłosił publicznie religią narodową, którą każdy patryotyczny Czech czcić i wyznawać powinien. Pierwsze strzały w tej, jak się okazało, dobrze z góry obmyślanej i przygotowanej kampanii, padły w sejmie pragskim w czasie obrad nad budżetem, przy pozycyi „Muzeum pragskie“. Komisya postawiła wniosek, a Młodoczech *Schil* poparł go energicznie, aby na tablicach pamiątkowych, mających zdobić ściany muzeum, umieszczono i nazwisko *Husa*, jako wielkiego męża, któremu Czechy sławę i życie zawdzięczają. „Nawet duchowieństwo i szlachta — ciągnął mówca — nie powinnyby się sprzeciwiać temu uczczeniu czeskiego reformatora, którego przymioty i zacność charakteru głośne są w historii. Gdyby wniosek ten przejść nie miał, zwątpićby trzeba o postępie i oświacie czeskiego narodu“.

Następne rozprawy, które wywiązały się wskutek wniosku komisji i mowy *Schila*, tak są charakterystyczne, takie

rzucają światło na niewesołe stosunki religijne, usposobienie różnych stronnictw w tak bardzo i z tyłu względów obchodzących nas Czechach, że w głównych przynajmniej zarysach streścić je tu wypada.

Profesor teologii książd *Borovy*, któremu Młodocześi wciąż przerywali głośnymi protestami i sarkazmami; przyznał chętnie Husowi pewne zasługi dla czeskiego języka, a nawet dla teologicznej wiedzy (*sic!*); przyznał nienaganne moralne życie; ale zresztą, dodał, smutnie on zaznaczył swe imię na karcie czeskiej historii. Gdyby Hus był tylko protestantem, nie sprzeciwiałbym się zamierzonemu uczczeniu jego imienia; ale był on sprawcą rewolucyi przeciw Kościołowi, był wcieleniem oporu przeciw Kościołowi katolickiemu. Największa część katolików sprzeciwia się i sprzeciwiać się będzie uczczeniu Husa.

Vasaty. Jesteśmy przecież katolikami, a chcemy go uczyć!

Ks. Borovy. Hus zapalił pochodnię, która nietylko do Czech, ale i do innych krajów wniosła spustoszenie, zniszczyła klasztory i pomniki sztuki.

Vasaty. Słusznie ci się to należało!

Ks. Borovy. Ależ ja wtedy jeszcze nie żyłem! Gdyby nie wystąpienie Husa, Czechy postępowałyby i rozwijały się dalej jak rozwijać się zaczęły pod Karolem IV. Jakże daleko dziś byłibyśmy już zaszli.

Vasaty i Gregr. Stalibyśmy się byli Niemcami. Wstyd i hańba tak mówiącym.

Perner. Nie wolno tu narodu obrażać. Poczekajcie na odpowiedź narodu!

Vasaty. Złe sumienie z ciebie przemawia.

Ks. Borovy. Nie jesteście moimi spowiednikami!

Vasaty. Chętnieby oni jeszcze dziś Husa spalili!

Perner. A *Borovy* by dopomagał!

Rieger do Młodoczechów: Brzydko się sprawujecie!

Gregr i Tilser. Naród was nauczy, co brzydko, a co ładnie!...

Profesor historii Tomek. Nie można wszystkiego złego w Czechach zwać na Husa; lwia część spada równie na jego przyjaciół, jak i na przeciwników. Od chwili rozszerzenia się nauki Husa, Czechy zaczęły moralnie upadać, aż stoczyły się do bitwy na Białejgórze, którą uważamy za największą narodową klęskę. Katolicka walka z reformacją więcej nam zabrała ofiar, niż innym ludom i krajom; wszakże odzyskanie jedności religijnej posłużyło do obudzenia się narodu. Pozyskaliśmy wierne krajowi duchowieństwo. Żaden inny naród poszczy-

cić się nie może wydobyć się z tak głębokiego upadku, a katolicki nasz kler dzielnie nam w tem dopomagał. Obrazilibyśmy uczucia nie tylko duchowieństwa i historycznej szlachty, ale i katolickiego ludu (obozy: *Oho!*). To „oho“ nie jest protestem ludu czeskiego.

Stupan. Nie jesteś pan tłumaczem woli ludu.

Tomek. Jestem tłumaczem i obrońcą religijnej wolności.

Ks. Lenz udowadnia, że Kościół Husa nie potępił, ale oddał go jedynie w ręce władzy świeckiej. Mówca wskazuje i poleca do odczytania napisaną przez siebie samego książkę, z której wynika, że Hus został sprawiedliwie skazanym. Nauka Husa groziła wprost zgubą katolickiemu Kościołowi; groziła rozprężeniem społecznemu porządkowi. Rehabilitacya Husa, to potępienie katolickiego Kościoła.

Kvicala usprawiedliwia postępowanie wydziału krajowego. Wydział uważał za stosowne ze względu na duchowieństwo i jego zasługi dla narodu¹⁾, usunąć Husa na bok. Komisya jednakowoż odmiennego była zdania.

Edward Gregr wyraża nadzieję, że słowa przeciw Husowi wymierzone, znajdą należyty, smutny dla mówców, oddźwięk w narodzie.

Gdyby nie Hus, to Czechy leżałyby dziś w grobie. Wojnom Husyckim zawdzięczają Czechy, że oddychają dziś zdrowem, czystem, słowiańskim powietrzem. Kto najstraszniejszych zbrodni na Czechach się dopuścił, o tem nie czas z rzymskimi klerykałami się sprzeczać... W każdym razie dzisiejsze rozprawy witamy, Młodoczesi, z radością; bo odsłoniły one w zupełności zamysły stronnictwa, które radeby wzięć szkołę pod swe panowanie. Wam nigdy naród szkoły nie powierzy, bo naród wie już teraz, kto rzeczywistym obrońcom jego czci i sławy... Dogmata dziś nas nie grzeją, ani nie ziębią. Gdyby Hus żył dzisiaj, to obwołałby mię pewnie gorszym heretykiem, niż sędziowie ówczesni jego samego obwołali. Przykładu Husa potrzebujemy dla naszej szkoły. Musimy ludowi stawiać Husa jako wzór silnego charakteru, zwłaszcza w czasie, w którym najnędzniejszy oportunizm tryumfy swe święci, zapieranie się własnych swych przekonań jest na porządku dziennym... Przyjdzie czas, który zmyje dzisiejszą hańbę, a lud wspominać będzie o dniu dzisiejszym, jako o dniu sromotą napiętnowanym...

Książę Karol Schwarzenberg młodszy wyraża żal, że po dzisiejszych rozprawach i myśleć już niepodobna o pogodzeniu się z Mło-

¹ A więc ze względów ubocznych, a nie zasadniczych; ze względów nie religijnych, lecz pewnej towarzyskiej przyzwyczajności.

doczeczami. Ogłosiliście Husa bohaterem i świętym, a tem samem ogłosiliście się husytami. (Kilku posłów krzyczy z całych sił: „I jesteśmy husytami!“) Wicie zapewne, że jesteśmy wrogo względem Husa usposobieni, nie z powodu osobistych jego wad, ale z powodu jego teologicznej, a w pewnej mierze i politycznej działalności; z powodu wyników jego nauki i czynów. Wojny husyckie i wojna trzydziestoletnia, rodzone to jego dzieci. Nauka jego była poprostu komunizmem XV wieku. Husyci liczyli między sobą nie wielu uczciwych ludzi; wnet przekształcili się w zgrają rozbójników i podpalaczy...

(Straszne zamieszanie. Ze wszech stron krzyżują się rozliczne i coraz głośniejsze zniewagi.)

Perner wzywa marszałka, aby przywołał mówcę do porządku, gdyż tenże znieważa „naszych przodków“.

Ks. K. Schwarzenberg. Jeśli p. *Perner* mi dowiedzie, że pochodzi od Prokopa lub Zyzki, natenczas wyznam chętnie, żem zasłużył na napomnienie... Jeśli imię Husa dostanie się w muzeum na tablicę pamiątkową, to będzie ono tam oznaczać nie tylko stos rozpalony w Konstancyi, ale i Pożogę, którą Husyci kraj nasz zniszczyli. Nie chcemy tego imienia, bo chcemy uszanować religijne uczucia czeskiego ludu... Dla tego wnoszę następną rezolucję: Poleca się wydziałowi krajowemu, aby nazwiska, mające być umieszczone w muzeum na tablicach pamiątkowych nie obrażały religijnych uczuć.

Rieger przypomina dawniejsze swoje oświadczenie: Właściwa wielkość Husa zależy na tem, że miał on przekonania silne i potrafił za nie umrzeć. Wewnętrznej wartości tych przekonań mowca krytyce nie poddaje. Czego sobie życzy, to, aby wszyscy synowie czeskiego ludu, wzięli sobie przykład z charakteru Husa. Gdyby tutaj Hus stał dziś między nami, nie pochlebiłoby mu pewnie, że tam na lewicy siedzą ludzie, którzy dla politycznych celów nadużywają jego imienia.

Na takie tylko słowa, w imię oportunistu i umiarkowania, zdobył się przewodca Staroczechów; bardziej to niemal smutne, niż żadnymi względami nie hamujące się, szydzące w twarz z tego oportunistu wywody Nowohusytów. Nawet *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* zrozumieć nie może tej taktyki Staroczechów i ze zdziwieniem pyta, czy myślą przed bitwą broń złożyć i ustąpić placu rewolucyjnej demokracji? Czyżby może Staroczesi nie rozumieli, dokąd ostatecznie, nie mówiąc już o wierze i sumieniu, ten husytyzm prowadzi? Dość jasną

odповідź daje następny ustęp petersburskiego dziennika *Don*, zacytowany z uznaniem przez urzędowy organ Młodoczechów *Narodni Listy*:

„Wszystkie narody słowiańskie powinnyby się połączyć z Czechami w celu uczczenia pamięci Husa. Nauka Husa jest, rzecz można, identyczną z nauką prawosławnej cerkwi rosyjskiej. Prawosławni Słowianie czcząc Husa, przyczyniliby się do złączenia ze sobą we wierze ludu czeskiego“.

Niemniej się cieszą i nie małe w ruchu husyckim pokładają nadzieje wszelkiej barwy i kroju ateusze, liberali, protestanci. Zażarty centralista, a zatem nieprzyjaciół Słowian, profesor *Suess* wygłosił w *Donaclub*, nagłą miłością dla Czech przejęty, wspaniałą panegiryk na cześć Husa, „wielkie światło swego kraju, najlepszego syna swego narodu“. Protestantki związek pragski ogłosił w *Narodnich Listach* oświadczenie, że protestanci, mieszkający w Pradze, łączą się całym sercem z sejmową manifestacją na cześć Husa. Pochwały te, z takich ust płynące, dość chyba wyraźnie odpowiadają, na śmieszną wymówkę Staroczechów, że w Husie uczcić chcą tylko i wyłącznie patryotę, Czecha, a nie herezjarchę. „Tem samem prawem — pisze słusznie katolicki *Czech* — mogliby katolicy Niemiec stawiać w Niemczech pomniki Lutrowi, wmawiając w siebie, że składają hold reformatorowi języka, a nie fundatorowi protestantyzmu. Niemąło trzeba użyć sofistyki, aby udowodnić, że można Lutra, Husa, G. Bruno podzielić na dwóch różnych ludzi: uczonego i wroga Kościoła. Staroczesi starają się tylko takimi rozróżnieniami jakkolwiek zakryć i wytłumaczyć, że się Nowohusytom w niewolę oddali... *Finis Altczechiac!*“

Niebezpieczeństwo doszło do najwyższego stopnia; może widok roztwierającej się pod nogami przepaści, może te urągające okrzyki weselne rozlicznych nieprzyjaciół, przebudzą konserwatywnych Czechów, i przekonają ich, że półśrodkami i koncesjami nie czas już walczyć, że złą obrali drogę, chcąc zjednać sobie rewolucję oddaniem jej na pastwę najsilniejszej obrony i samej podstawy społecznego porządku — religii.

Dla oświecenia zbałamuconych umysłów, i zachęcenia do niezbędnego a stanowczego oporu przeciw husyckiej zarazie, wydał książkę arcybiskup pragski, kardynał *Schoenborn* w święto Niepokalanego Poczęcia N. Panny, list pasterski, w którym bez ogródek i zastrzeżeń wręcz potępia kult Husa i wskazuje, że celem i przedmiotem tego kultu jest nie miłość ojczyzny, ale nienawiść katolickiego Kościoła! „Wina strasznych wojen — czytamy w wspaniałej tej odezwie — zamieszek, spustoszeń, moralnej i materyjalnej nędzy, z której Czechy przez tyle wieków podźwignąć się nie mogły, spada na człowieka, którego imię w ostatnim czasie coraz częściej, z coraz większą czcią zaczęto powtarzać, na Magistra Husa. Niesnaski, nienawiść, prześladowanie, oto owoce, które przynosi błąd wszędzie, gdzie głowę podniesie, które przyniósł ze sobą husytyzm. Nauczał on między innemi, że kto znajduje się w grzechu ciężkim, nie może piastować żadnego, ani świeckiego, ani duchownego urzędu, że w Kościele Głowy widomej nie potrzeba, że nikt Kościoła nie powinien słuchać. Nauki takie — jak każdy widzi — zagrażają w najwyższym stopniu samemu istnieniu Kościoła i państwa, bo bez posłuszeństwa, żadne społeczeństwo, ani rodzina, ani Kościół, ani państwo ostać się nie może. Hus podkopywał same podwaliny Kościoła i państwa, nauka jego musiała koniecznie sprowadzić i sprowadziła straszne burze... Wielokrotnie, z cierpliwością bez granic, zwracano uwagę Husa na głoszone przezeń niebezpieczne błędy, domagano się, aby je odwołał. Hus trwał w uporze i zginął, jako ofiara rewolucyjnego zaślepienia, nieszczęsnego fanatyzmu“.

Złe i smutno z Czechami, jeśli pasterskie te słowa nie zdołają ocucić tamtejszych katolików, jeśli nie wywołają potężnej krucjaty katolickiej przeciw nadużywającym religijnych haseł w samolubnych, politycznych celach, nowohusyckim agitatorom.

Ks. Jan Badeni.

Międzynarodowy Kongres katolicki naukowy.

Pod tym tytułem otrzymujemy z Paryża od inicjatorów naukowego Kongresu katolickiego, mającego się odbyć w r. 1891, następną, równie ważną jak ciekawą odezwę, podpisaną przez prezesa komisji kongresowej, *Mgr. d'Hulst*. Z odezwą tą śpieszymy się podzielić z naszymi czytelnikami.

Pierwszy międzynarodowy, naukowy Kongres katolicki odbył się w r. 1888. Powodzenie Kongresu tego, zachęciło jego twórców do powtórzenia go w r. 1891. W chwili zabrania się do niezbędnych przygotowań, zwracając się po raz drugi do tych, którzy przed dwoma laty byli ich współpracownikami, zamierzają oni nadto zyskać nową klientelę i rozwinąć działalność, uznaną przez sędziów bardzo kompetentnych za poważną i rozsądną.

Celem niniejszej odezwy jest wezwanie w szranki tych, którzy w pierwszym kongresie nie wzięli udziału. Aby dojść do tego celu, musimy wyrazić to, czegośmy chcieli, cośmy zrobili, i co nam pozostaje do zrobienia.

I.

Zamiarem naszym było zwołać kongres międzynarodowy, który zajmowałby się nauką, a w którego obradach brałoby udział sami katolicy. Z początku zamiar ten napotkał trzy rodzaje przeciwników.

Nieprzyjaciele naszej wiary oświadczyli, iż dwa postawione powyżej warunki wykluczają się wzajemnie, ponieważ bezstronne badanie naukowe nie da się pogodzić z uległością umysłu względem dogmatów.

Trwożliwi katolicy widzieli w zgromadzeniu tego rodzaju niebezpieczeństwo dla zdrowej nauki. Zajmowanoby się w niem niewątpliwie zaznaczeniem granic, w których wiedza ludzka śmiała i ruchliwa styka się z objawionymi prawdami; w pracy tej główną rolę odegrałyby zuchwałe opinie, które władza kościelna musiałaby potępić ku wielkiej radości tych, co ją uważają za nieprzejednanego wroga umysłowego postępu.

Wreszcie pomiędzy ludźmi nauce się oddającym, kilku uważało ten zamysł za bezcelowy a niebezpieczny. Wiedza godna tej nazwy trzyma się zdala od wszelkiego sekciarskiego ducha; żąda ona poszanowania pewników, zdobytych zapomocą prawdziwie naukowej metody, ze swej strony zaś szanuje twierdzenia religijne, znajdujące w zdrowej

filozofii naturalną swą podstawę, a w bezstronnej historii przyczyny swej wiarogodności. Na co się więc zda odosobnienie katolickich uczonych? Wszak niema dwóch rodzajów wiedzy dla prawowiernych i niedowiarków. Owszem katolicy mogą zdobyć zaszczytne stanowisko w szeregu pracowników samej tylko prawdy szukających. Łącząc się w tej falandze z ludźmi niepodzielającymi ich wierzeń, przyniosą tym ostatnim chlubę wartością prac swoich. Odosobniając się zaś od swych przeciwników i w dziedzinie religijnych przekonań i zawiązując stosunki jedynie ze współwynawcami, nasunęliby wątpliwość co do bezstronności i szczerości swoich wywodów.

Te zarzuty nie zniechęciły nas wcale.

Pierwszy zasługuje tylko na pogardę i faktami daje się odeprzeć. We wszystkich czasach istnieli niepospolici uczeni, będący zarazem wiernymi chrześcijanami. Wiek dziewiętnasty także nie stanowi wyjątku. *Ampère, Biot, Dumas* i tylu innych znakomitych zmarłych, nie mówiąc o żyjących, których znaczną ilość możnaby przytoczyć, dowiedli swym przykładem, że wiara prosta i stała nie krępuje wcale polotu najwznioślejszego naukowego geniuszu. Jeżeli tacy ludzie zdołali pogodzić w swym umyśle wymagania ortodoksji ze swobodą wysokiej wiedzy, czemuż podobni do nich uczeni nie mogliby tego osiągnąć dlatego jedynie, iż utworzyliby zgromadzenie czysto katolickie, mające się podjąć naukowej pracy.

Druga trudność polega na fałszywym zrozumieniu zamierzonego dzieła. Nie chodziło tu wcale o roztrząsanie dogmatów, lub nakreślenia prawideł egzegezy, ale poprostu o wykonanie wspólne w zgromadzeniu, złożonem z samych tylko wierzących tego, co ci sami wierzący czynią zwykle samodzielnie, oddając się naukowym poszukiwaniom.

Trzeci zarzut był trudniejszy do obalenia, nie zaprzeczając bowiem możliwości tego przedsięwzięcia, odmawiał mu racji bytu. Gdyby był on słusznym, projekt nasz musiałby upaść. Poco utrudzać uczonych katolickich, jeśli ich zebranie na nic przydać się niema? Poco poruszać opinię i ogłaszać wielki wysiłek, skoro spodziewany zeń wynik dałby się innymi osiągnąć środkami. W takich rzeczach nieużyteczność jest zawsze szkodliwą, skompromitowanie się bowiem w chybionem przedsięwzięciu nie może dla ważnej kwestji pozostać obojętnem. Lecz nie, sprawa ta bezużyteczną nie była. Istnieją poważne przyczyny skupienia katolików na gruncie naukowym, jak to na gruncie praktycznym tak pomyślnie uczyniono. Najprzód ci z nas, którzy się poświęcili pracom wznioślejszej natury, potrzebują zachęty. Stano-

wisko wierzących jest źródłem najrozmaitszych trudności w stosunkach naukowych. Nieufność, nieprzyjazne uprzedzenie, systematyczne oczernianie, spotyka ich jeżeli nie od wszystkich uczonych, to przynajmniej od niektórych i to bardzo często. Wprawdzie skoro dowiodą oni swej wyższości, wówczas zawady upadają, lecz częstokroć zatrzymują ich one na początku drogi. Łącząc się razem, uczeni katolicycy nabierają odwagi, wspierają się wzajemnie, braterska solidarność zastępuje miejsce nieprzyjaznej rywalizacji i zawiązują się stosunki intelektualne, wielką korzyść przynoszące ich pracom.

Ale przede wszystkim należy pocieszyć i uspokoić tłumy wierzących, wskazując im znaczną ilość ludzi nauki, podzielających ich *Credo*, którzy rozproszeni wśród wolnomysłnych, przesłibły niepostrzeżenie, jako nieznacząca garstka. Dopiero kiedy się skupią, okaże się, iż zajmują oni znaczne miejsce w szeregach naukowych szermierzy. Kongres jest jakby przeglądem sił chrześcijańskich w dziedzinie wiedzy, co dla słabych we wierze nie małą stanowi pomoc.

Nakoniec apolożyści dla bronięcia prawdy objawionej, potrzebują ocenić dokładnie wartość twierdzeń, głoszonych w imieniu nauki. Bezbożni uczeni, oskarżający nas o stronniczość, sami są dalekimi od zupełnej bezstronności. Częstokroć wystarcza im znaleźć lub przeczuć w jakiej nowej hipotezie broń przeciw naszym dogmatom, aby podnieść jej znaczenie i przyznać jej wartość prawdy, przez wiedzę zdobytej. Krytyka uczonych katolickich wielką apologetyce odda usługę, nie wkraczając bowiem w zakres wywodów teologicznych, uzbroi teologów przeciw podwójnemu niebezpieczeństwu, polegającemu na przyjmowaniu wątpliwych za dowiedzione, lub niezręcznem bronienu pojęć zacofanych i ostatecznie potępionych przez naukę.

Te trzy korzyści wydały się nam zupełnie wystarczającymi dla uzasadnienia naszego zamiaru i obalenia zarzutu jego bezowocności.

Pierwszy kongres dowiódł, żeśmy mieli słuszność za sobą. Lecz powody działania w tym kierunku nie straciły swej doniosłości, rozpoczęte zaś dzieło należy do takich, których pomyślnie skutki za jednym wysiłkiem osiągnąć się nie dadzą.

II.

Aby zdać sobie ściśłą sprawę z tego, co dokonano w r. 1888, należy rzucić okiem na dwa tomy sprawozdania, które się ukazały w sierpniu roku bieżącego. Powiedzmy tu tylko w kilku słowach, że myśl zwołania naukowego kongresu powstała na zgromadzeniu katoli-

ków normandzkich, zebranych w *Rouen*, r. 1885. Komisya organizacyjna została tam wybraną, sprawa przybrała od samego początku charakter międzynarodowy i syntetyczny, przez wezwanie katolików wszystkich krajów, nie wyłączając żadnej gałęzi wiedzy, że jednocześnie proszono o udział uczonych w całym znaczeniu tego słowa, zdolnych opracowywać samodzielnie naukowe kwestye, jak również przyjąć wiedzy, mogących się zainteresować poważnemi pracami i uczestniczyć w rozprawach, a wreszcie wierzących obu płci, pragnących poprzeć svojem współczuciem i materyalną pomocą przedsięwzięcie trudne i kosztowne. Od samego początku komisya usuwała starannie wszelkie kwestye w ścisłym znaczeniu tego słowa teologiczne, a posiedzenia kongresu dowiodły, iż ta rozsądna ostrożność mogła praktycznie być zastosowaną, nie przynosząc żadnego uszczerbku swobodzie dyskusyj.

Ojciec św. zawiadomiony przez ks. arcybiskupa paryskiego, którego opiekę najpierw staraliśmy się zjednać, poddał nasz zamiar poważnej krytyce i opierając się na jej korzystnym zdaniu, zachęcił do jego spełnienia w Brewe z d. 20 maja, r. 1887. W tem Brewe określono przedziwnie charakter naszego przedsięwzięcia, wskazano dokładnie drogę ku niemu wiodącą i udzielono twórcom kongresu najgorętszej zachęty, jaką dzieło katolickie może otrzymać.

Dobroć Ojca św. na tem się jednak nie ograniczyła. W dniu otwarcia zgromadzenia mgr. *Richard*, arcybiskup Paryża, odczytał list otrzymany od Leona XIII, a z którego wyjmujemy następujące słowa: „Rzeczą wyborną i doskonale zastosowaną do potrzeb i ducha naszego wieku jestto porozumienie się ludzi uczonych i wierzących, którzy służąc prawdzie Bożej swym geniuszem i nauką podwójnej godni są pochwałą¹⁴.”

Święte kolegium i episkopat także nie dały się wyprzedzić. W kongresie wzięło udział 18 kardynałów i 94 arcybiskupów i biskupów tak z Francji, jak z zagranicy.

Mgr. *Perraud*, biskup z Autun, członek Akademii francuskiej, raczył przyjąć rzeczywistą prezydenturę zgromadzenia, którego prezesem honorowym był ks. arcybiskup paryski. Nuncyusz papieski i inni pralaci zaszczytili swą obecnością posiedzenie wieczorne, otwarte dla publiczności.

Ogólna liczba uczestników Kongresu wynosiła 1630 osób, z których 1028 pochodziło z Francji, a 602 z innych krajów, z Niemiec,

¹ List z d. 13 marca 1888 r.

Ameryki, Austro-Węgier, Belgii, Danii, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Holandii, Włoch, Portugalii, Szwajcaryi i mocarstw wschodnich.

1 Liczba rzeczywistych członków Kongresu doszła do 500, z których niekiedy zasiadało jednocześnie 300, biorąc udział w rozprawach rozmaitych sekcji.

Sekcji było sześć, zajmujących się: naukami religijnymi, filozoficznymi, prawnymi, historycznymi, przyrodniczymi i antropologicznymi. Klasyfikacja ta wynikała nie tyle z planu, z góry nakreślonego, jak raczej z natury prac nadesłanych do komisji i przez nią przyjętych. Ilość tych prac doszła do 70, oprócz wielu krótszych rozpraw, na posiedzeniu odczytanych.

Na ogólnem zebraniu wszystkich sekcji postanowiono, aby nowy Kongres został zwołanym do Paryża w kwietniu r. 1891 i utworzono stałą komisję, mającą zająć się potrzebnymi przygotowaniem.

W pierwszej tej próbie wiele bezwątpienia czuć się dało braków, wypływających z nowości przedsięwzięcia, do którego wielu katolickich uczonych wahało się przystąpić. Dlatego też niektóre nauki, jak fizyka, chemia, filologia i t. d. nie miały wcale przedstawicieli, inne zaś, jak np. etnografia, astronomia w bardzo szczupłym zakresie omówionemi zostały. Pomimo tych stron ujemnych, Kongres z r. 1888 usunął wszelkie obawy, a nawet przeszedł nadzieje, jakie w nim pokładano. Sprawozdanie z niego świadczy o pracy poważnej i znakomitej, ściągając zarazem uwagę i szacunek chrześcijańskich przyjaciół wiedzy.

III.

To pierwsze powodzenie, zachęcając nas do trwania w naszym przedsięwzięciu, zmusza jednocześnie do gorliwszej jeszcze działalności. W tym celu niezbędnem jest poparcie wszystkich, których obchodzi obrona wiary na gruncie naukowym.

Czego potrzeba dla zapewnienia powodzenia Kongresu w r. 1891?

Potrzeba pracowników, uczestników i dobroczyńców.

Przedewszystkiem pracowników. Wszystko inne zresztą do nich się odnosi. Mogą oni przyczynić się do Kongresu, przesyłając niezbyt obszernie memoriały (zawsze obawiać się trzeba zbytecznej ich długości), lub krótkie zawiadomienia w formie notatek, które na posiedzeniach odczytanemi i omówionemi zostaną.

Wszystkie artykuły (memoriały lub notatki) poddane będą pod rozstrząśnięcie komisji organizacyjnej, która w tym celu pozyskała sobie sędziów kompetentnych we wszystkich gałęziach wiedzy.

Prace mogą dotyczyć jakiegokolwiek przedmiotu, z wyjątkiem kwestyj ściśle teologicznych, nie wchodzących w zakres naszych rozpraw. Większość naszych współpracowników wybierze bezwątpienia kwestye, mające pośredni lub bezpośredni związek z obroną prawdy religijnej. Inni jednak, mniemając słusznie, że każdy cenny pewnik naukowy, dostarczony przez katolika, jest zasługą względem religii, nie cofną się przed badaniem zagadnień naukowych, których rozwiązanie samo w sobie obojętnem jest dla wiary. Jeżeli nasze kongresy, złożone wyjątkowo z wierzących, przyczynią się do postępu wiedzy, któż będzie mógł zaprzeczyć, że przynoszą one naszej sprawie prawdziwą chlubę i korzyść. Dlatego też prace z dziedziny matematyki, fizyki i chemii, niemal zupełnie pominięte w r. 1888 mogą z pożytkiem wystąpić na widownię w r. 1891.

Dla przygotowania pierwszego Kongresu komisya zredagowała programy kwestyj, zaznaczając, iż są one tylko wskazówkami, w niczem pracowników nie krępującymi. Tym razem nie uznaliśmy za potrzebne uciec się do tego środka. Jeżeli takie wskazówki były z początku koniecznymi dla wywołania prac, to dzisiaj lody są przełamane i zamiast nasuwać kwestye pracownikom, zwracamy się do nich z prośbą, aby oni właśnie podobne przesłali nam wskazówki. Kilku już odpowiedziało na nasze wezwanie i przedmioty przez nich wybrane zostały wymienionymi w *Bulletin trimestriel*, wydawanym przez komisję stałą i przesyłanym wszystkim uczestnikom Kongresu ¹.

Nie byłoby to wcale przedwczesnem, gdyby pracownicy zabrali się już teraz do wybrania przedmiotu, którym zająć się pragną. Po dokonanym wyborze prosimy o niezwłoczne doniesienie nam o tem. Memoryały należałoby przesłać przed 1 stycznia r. 1891, aby udzielić komisji czasu do ich rozpatrzenia. Z innego jeszcze punktu widzenia ten pośpiech jest potrzebny. Ponieważ Kongres jest otwartym dla wiadomości ze wszystkich gałęzi wiedzy, komisya więc może dokonać podziału na sekcye, gdy otrzyma wszystkie prace, mające stanowić treść przyszłych dyskusyj. Program Kongresu nie jest stale oznaczonym, ale utworzy się z ogółu nadesłanych tematów. Trzymiesięczny przeciąg czasu nie jest bezwątpienia zbyt długim dla uorganizowania sekcyj. Krótkie notatki nadsyłać można i po 1 stycznia.

Obok pracowników niezbędnymi są jeszcze uczestnicy. Tytuł ten przeznaczony jest wyłącznie dla mężczyzn. Zdobywa się on opłatą 10 franków, nadającą prawo do udziału w Kongresie i do jednego

¹ Buletyn komisji stałej za styczeń i kwiecień r. 1889.

egzemplarza sprawozdania. Od liczby uczestników zależy w znacznej części powodzenie Kongresu. Oni to swą obecnością ożywiają rozprawy, a swymi datkami dostarczają środków. Nie mogący się udać na posiedzenie Kongresu, przyczyniają się do niego swą opłatą i zbierają zeń owoce, otrzymując sprawozdanie.

Znaczne wydatki, jakie Kongres pociąga za sobą¹, wymagają jeszcze trzeciego rodzaju poparcia, to jest pomocy członków dobroczyńców. Panie znajdą tu środek okazania swej sympatyj dla naszego przedsięwzięcia. Wszelkie datki, równie duże jak małe, z wdzięcznością zostaną przyjęte.

W chwili obecnej ci, których sprawa nasza obchodzi, mogą się już do niej przyczynić. Pracownicy mogą już wybrać przedmiot i przesłać go prezesowi komisji stałej²; uczestnicy zaś i dobroczyńcy nadesłać swoją opłatę dziesięciofrankową lub dobrowolną ofiarę wraz ze swym adresem do skarbnika Kongresu³.

Sojusz polskiej prasy przeciw teatralnemu bałwochwalstwu.

Zajęcie się teatrem, bicie pokłonów przed kapłanami i kapłankami sztuki przeszło już u nas od dawna wszelką możliwą miarę; przyszedł historyk naszego dziennikarstwa nazwie prawdopodobnie dzisiejszą jego erę „panegiryczno-teatralną“. Panegiryzm ten dosięgnął zenitu, „przewyższył sam siebie“ — aby wyrazić się stylem teatralnych recenzentów — w wspomnieniach pośmiertnych poświęconych wyjątkowo bezwątpienia zdolnemu, a bardzo zacnemu aktorowi *Żółkowskiemu*, ale którego panegirysci takimi obsypali pochwałami, na tak wielkiego, opatrnościowego męża go pasowali, że pierwszego naszego komika zrobili po śmierci — komicznym. Niema jednak nic złego, coby na dobre nie wyszło. Dytyramby te wywołały reakcję i w paru gazetach odezwały się poważne słowa napomnienia, z którymi zresztą *Żółkowski*, jako człowiek roztropny, nie wolny zapewne od pewnej dozy próżności, ale na mistrza i wybawcę ludzkości przez sztukę zgola nie pozujący, zgodziłby się najpierwszy.

Panegiryczny nietakt prasy i wrażenie, jakie nietakt ten wywołał, tak opisuje warszawski korespondent do petersburskiego *Kraju* :

¹ Wydatki Kongresu z r. 1888 wraz z drukiem i wysłaniem franco sprawozdania wyniosły prawie 16,000 fr.; koszt przyszłego Kongresu będą jeszcze znaczniejsze.

² *Mgr. d'Hulst*, ulica Vaugirard, 74.

³ *M. J. Chobert*, tamże.

„Warszawiacy, jak powszechnie wiadomo, mają słabość do teatru. Prasa nasza znowu mało dba o moralny i społeczny skutek swego głosu, albo też jest może jak dziecko źle wychowane, któremu brak doświadczenia, ścisłego pojęcia o rzeczach i stosunkach, oraz taktu. Dzięki tym dwu okolicznościom zrobiliśmy ze śmierci Żółkowskiego prawdziwą szopkę. Dziennikarze, publicyści, poeci, stracili zupełnie miarę. Splatano wieniec z samych superlatywów. Wykrzykniki: geniusz, kataklizm, arcytwór natury — krzyżowały się jak błyskawice. Jeden z krytyków wołał: wielkie ciosy spadają jak gromy; pewien poeta upewniał, iż naród krwawymi łzami płacze po tym starcu z duszą junaczą. Rozumie się, wielką rolę odegrała konkurencya, ścigały się dzienniki, ścigali się krytycy, chodziło o to, kto więcej napisze i kto wyrzuci z siebie więcej brzmiących frazesów, no i naturalnie kto prędzej; nie było więc czasu do zastanowienia¹. Takie naiwne pojmo-
wanie współzawodnictwa oczywiście szkodę przynosi, bałamuci pojęcia ogółu o zasługach, a więc i obowiązkach społecznych. Po śmierci Waszyngtona w Ameryce lub Garibaldiiego we Włoszech, tamtejsze dzienniki nie zdołałyby nie więcej napisać nad to, cośmy nadeklamowali po śmierci komika teatralnego. Równouprawienie zasług i geniuszów będzie może dopiero dziełem demokracji przyszłości, tymczasem obowiązkowo należy zachowywać jakąś różnicę pomiędzy doskonałymi w swoim zawodzie, genialnymi: kucharzem, aktorem, poetą, mężem stanu, obywatelem. Frazes ma też w życiu swoje znaczenie i bywa bardzo potrzebny, nadużywać go i czynić przez to bezsilnym nie należy. Trzeba jednak dodać, że nietakt prasy wywołał powszechny niemal protest. Jedni się oburzają drudzy drwią poprostu“.

„Niektóre artykuły dziennikarskie — pisze *I. Kenig* w warszawskim *Słowie* — nazwały śmierć Żółkowskiego „kataklizmem strasznym dla naszej sceny“; jego zaś samego „geniuszem“, „wielkim człowiekiem“ i t. p. Że też nigdy nie możemy nawet w żalach naszych zachować miary, chociaż przesadą boleści naszej szkodzimy tylko tym, których oplakujemy. Czytanina dzienników przepełnionych artykułami i korespondencyami o Żółkowskim, oraz owym słynnym jego pamiętniku, który wielbiciele jego, jakby na urągowisko pamięci jego podają... struła nas swemi deklamacyami... przesadnymi płaczami i niedorze-

¹ Tak np. jakiś aktor rozpoczął w *Kuryerze Warszawskim* artykuł o zmarłym w następujący sposób: „Przedewszystkiem cześć grobom! Przed nami leży pół wieku — olbrzymie zwłoki...“ Jakaś aktorka ogłasza światu w tymże *Kuryerze*, że Żółkowski powiedział raz do niej: „Ślicznie mi dziś wyglądasz“ i t. d. i t. d.

cznemi rozpaczeniami. Struła nas tem bardziej, że dniem wprzód w historyku weneckim, Molmenti, czytaliśmy opis ostatnich lat istnienia Rzeczypospolitej św. Marka (1785), a w nim znaleźliśmy taki ustęp: „Śpiewaczka Banti unosiła publiczność do szaleństwa. Todi, inna śpiewaczka, rozbudziła taki zapal, że drukowano sztychy z jej portretem, otoczonym wieńcem i geniuszami z podpisem: *Venetii anno Todi* (w Wenecyi roku Todi — niby pierwszego roku ery Todi). Przed dwustu laty, rok zwycięstwa odniesionego nad flotą turecką w zatoce Lepante, nazwany został *annus victoriae navalis* (rok zwycięstwa morskiego)“, a dalej zdanie: „Podobne (jak z Todi i Banti) uwielbienia publiczne dla aktorów i aktorek zdarzają się zwykle w epokach upadku i rozkładu społeczeństw“.

W grudniowym zeszycie *Przeglądu* umieściliśmy, zgadzając się na nie najzupełniej, słowa *Nowej Reformy*, protestujące przeciw niemyślącemu się skończyć „królestwu śpiewaków i aktorów“. Do tego protestu przyłączył się obecnie w paru ogólnych słowach *Czas* w feletonie *Panem et Circenses*¹: „Dziś więcej prawie nadają wagi sprawozdaniu z nowej komedyi, niż sprawozdaniu z posiedzenia parlamentu; dobry aktor tyle znaczy, co minister, a *prima donna* sto razy więcej, niż najlepsza matka rodziny... Ostatnie dziesięć lat ubiegłych wykazują nam smutną statystykę teatrów, które padły pastwą płomieni, grzebiąc pod zgłiszczami setki widzów. Nie jestżeto palec Boży, wskazujący — nie na szkodliwość sztuki dramatycznej, ale na przesadną rolę, którą obecnie odgrywa w świecie“?

Dziwna to, a rzadka harmonia: dzienniki podejrzywane o semityzm i o antisemityzm, postępowe i zachowawcze, warszawskie, krakowskie, petersburskie; *Kraj*, *Słowo*, *Przegląd Katolicki*, który z uznaniem parę ustępów ze *Słowa* powtórzył, *Rola*, *Czas*, *Nowa Reforma*, wreszcie *Przegląd Powszechny* na jedno się godzą i cechują dzisiejsze królowanie teatrów i aktorów, jako smutny symptom upadku; wyznają wprost lub między wierszami, że więcej mamy stosunkowo igrzysk niż chleba, chleba równie dla duszy jak i dla ciała, więcej nieraz igrzyskami niż chlebem się zajmujemy. — Ciekawa tylko rzecz, na jak długo obowiązywać będzie sojusz ten przeciw fanatyzmowi teatralnemu zawarty; czy wszystkie przytoczone i nie przytoczone tu dzienniki, które tak otwarcie i odważnie postawiły zasadę: „Teatr nie jest najważniejszą rzeczą dla naszego społeczeństwa, nie jest pierwszym i najistotniejszym warunkiem narodowego bytu i dobrobytu, szczęścia na

¹ Z 13 grudnia 1889.

ziemi i zbawienia w niebie“ — zasadę tę w łamach swych praktycznie zastosują?

Ostatnie wiadomości o misjach w Afryce równikowej.

Wielki ruch, jaki powstał od kilku lat, ku moralnemu, politycznemu i materyalnemu rozwojowi tego wielkiego obszaru, który rozciąga się od wschodnich brzegów Afryki aż do głębi jej środka, staje się tem ważniejszy, i rokuje tem trwalsze owoce, iż tą razą użyto skutecznego środka, mianowicie zaś opowiadania Ewangelii.

Przed konferencyami geograficznymi w r. 1876, które dały początek temu wielkiemu ruchowi, misye chrześcijańskie pracowały tylko na pograniczach tego ogromnego kontynentu, który z taką zazdrością ukrywa swoje tajemnice. Od tego zaś czasu nowe wikaryaty apostołskie w Tanganika, Nianzie, Unyanyembi, w belgijskim i francuskim Kongo, prefektury w Cimbebazyi, Zambezje i prefektura środkowa w Zanzibarze, weszły w życie i zajęły teraz obszar większy od całej Europy, rozszerzając wiarę i cywilizując narody.

Kolej żelazna, którą zakładają między dwoma porohami, połączy Wyższe i Niższe Kongo, a tym sposobem zapewni przewóz niezmiernych bogactw ze środka kraju. To ułatwienie komunikacji, zapewniając wzrost handlowi i dobrobyt ludności miejscowej, odda niezmierne usługi misyonarzom i misyom. Kongres międzynarodowy, który obecnie zasiada w Brukseli, a ma na celu położenie tamy szerzeniu się niewolnictwa w Afryce, jest w toku rozpraw: nie można przewidzieć, jaki będzie praktyczny jego wynik, w każdym razie dobrze jest, że kwestya ta została publicznie poruszona przez rządy.

Kardynał Lavigerie prowadzi dalej rozpoczęte dziesiątek lat temu, chwalebne dzieło. Misyonarze algierscy posiadają kilka stacyi w okolicach jeziora Wiktoryi i Tanganiki; wprawdzie — jak donosiły *Misyje Katolickie* — wypędzeni zostali z Ugandy wraz z Mwangą, lecz doszły już wiadomości do Europy, że ten ostatni powrócił jako zwycięzca do swej stolicy, dokąd pospieszają za nim i nasi misyonarze.

Jak wiadomo, kardynał Lavigerie zamierza wysłać w okolice jezior równikowych zbrojne poczty rycerzy chrześcijańskich, którzyby tam, jako podczas wypraw krzyżowych, stawiali czoło tłumom mahometańskim, pustoszącym te kraje. Zamysły te rokują nadzieję opartą na doświadczeniu. Dotychczasowa garstka zbrojnych, którą wysłał był tam kardynał kilka lat temu, zostająca pod dowództwem Joubert'a, byłego

kapitana Żuawów papieskich, zdołała po wielokroć odeprzeć napady Arabów na ludność zamieszkałą w okolicach Tanganiki; gęstsze i lepiej uzbrojone oddziały mogą tedy stanowić doskonałą tamę. Potrzeba na to środków materyalnych, i o takowe właśnie kołaczę kardynał.

Ze sprawą misyj afrykańskich łączy się słynna wyprawa Stanley'a, która tak szczęśliwie temu znakomitemu podróżnikowi się powiodła.

Wyprawa miała na celu niesienie pomocy generałowi egipskiemu, Eminowi Baszy. Emin jest rodem ze Szlązka, nazywał się Edward Schnitzer, z urodzenia był żydem, przeszedł następnie na protestantyzm, a wreszcie jako lekarz służył w armii tureckiej, potem w egipskiej i przyjął mahometanizm. Wysłany przez Gordona do południowych prowincyj Sudanu egipskiego w r. 1883 jako rządca kraju, utrzymał się tamże aż do zeszłego roku. Odcięty przez Mahdistów od Egiptu, nie był zdolny ani im zagrozić dalszego pochodu na południe, ani też przedostać się do wschodnich wybrzeży. Kilkakrotnie Europejczycy urządzali wyprawy, chcąc przyjść Eminowi w pomoc; usiłowania ich spełzły na niczem. Lenz i Fischer nie dotarli do Wadelaj. Stanley jedynie, który niegdyś odszukał był Liwingstona w Afryce, pierwszy przeszedł wszczę cały „czarny kontynent“, mógł dokonać i dokonał tego dzieła: sprowadził Emina do Bagamojo.

Stanley obiecał opisać tę podróż; opis będzie zajmujący pewnie, skoro jedna z firm księgarskich w Londynie ofiarowała już 40,000 funtów szterlingów za dzieło mające być napisane. Tymczasem posiadamy tylko wyjątki z listów znakomych podróżnika. Podróż trwała ośm miesięcy po krajach całkiem nieznanym; busola i ścieżki, wydeptane słoniami, służyły za przewodników. Bory odwieczne, „wielkie jak cała Francya“, rozciągają się w okolicach jeziora Alberta. Ludy, jakie czasami napotymano, są całkiem dziczące, niektóre z nich wzrostem mało się różnią od liliputów Guliwera. Jakich niewygód doznała wyprawa, można wnosić z tego, iż orszak, liczący 1500 ludzi, zredukowany został do połowy. W drodze już ku wybrzeżom, jednego dnia ujrano siedziby ludzkie, na jednej z tych chat zatknięty był krzyż; w nieopisanej radości Stanley woła: „Nakoniec! spotykamy się z cywilizacją! O błogosławiona cywilizacyo!“

W liście, jaki Stanley zamieścił w *New-York-Herald*, taki czytamy ostatni ustęp: „Wreszcie przybyliśmy cało i zdrowo. Ogół przypisze to zapewne przypadkowi; ci, którzy w nic nie wierzą, powiedzą, iż miał szczęście, lecz w głębi duszy mojej wyrobiło się przekonanie, mówiąc

ze Szekspirem, iż w niebie i na ziemi dzieją się rzeczy, o których nowożytnej filozofii ani się śniło“.

Fryne w Eleusis. Pod tym tytułem zamieścił *Kurjer Polski* w Nrze 87 z d. 27 grudnia następujące sprawozdanie:

„Pomysł wystawienia po raz pierwszy wesołej panny Fryny w najuroczystsze święto chrześcijaństwa, należy do tych pomysłów, którym nie można odmówić oryginalności. Sekretaryat Towarzystwa Sztuk pięknych, może się śmiało spodziewać, że przyszły kongres ateistów nie tylko go zamianuje honorowym członkiem, ale pozwoli mu na używanie wszelkich tytułów i orderów, jakich jeszcze z woli ludu nie posiada.

„Już w dzień wigilijny zapowiadały olbrzymie, tylko z cyrkowemi dające się porównać plakaty, że nazajutrz jako w dzień skupienia ducha i rozpamiętywania tajemnic Chrystusowych, wystawioną będzie zapewne na pogardę, jako kontrast, *grecka hetera*, biorąca tak przyjemny dla oka udział w religijnych uroczystościach helleńskich. To też nazajutrz przed godziną 11-stą, Sukiennice były niezwykle ożywione. Zapał do sztuki rósł straszliwie; stąd mimo brzydkiej pogody, roily się podsienia zagorzałymi przeciwnikami obrazu, chcącymi pokazać światu, że niewinnych ich serc żadna brzydota moralna nie zmaże...“

Podzielamy najzupełniej na tym punkcie zdanie *Kurjera*. Tem więcej żałujemy, że inne dzienniki krakowskie zamieściły komunikaty bardzo pochlebne, które się przyczyniły do tego niewłaściwego zbiegowiska. Przypuszczamy, że w czasie feryj świątecznych, te komunikaty przez nieuwagę dostały się do łam. Ale bądź co bądź, każda redakcyja czuwać powinna nad tem, czem swoich czytelników częstuje.



ARYOWIE I ICH SIEDZIBY.

Wiek XIX słusznie zwać się będzie wiekiem odkryć i wy-
nalazków, i to w każdej niemal gałęzi wiedzy ludzkiej. Pod-
nosiliśmy niedawno znakomite odkrycia, jakich dokonali ar-
cheolodzy na Wschodzie, jak filolodzy, uzbrojeni żelazną wy-
trwałością, wlałi życie w zawile i bezmyślne napozór znaki,
wskrzesili zamarłe języki. Drogocenne zapiski, odnalezione
z mozołem i genialną odczytane pracą, dozwoliły nam poznać
Faraonów i Sarów znad Nilu, Eufratu i Tygru, dozwoliły roz-
glądać się w życiu tych ludów, które na kilkadziesiąt wie-
ków przed naszą erą wznosiły piramidy, świątynie i pałace;
wiemy dziś dobrze, co oni robili, jak żyli i w co wierzyli. Za-
piski potomków Chama i Sema oddały wielką przysługę egze-
gezie biblijnej, historycznie stwierdziły prawdomówność Pisma
św., zaznaczyły ślady pierwotnego objawienia, a nadto potrzebę
powtórnego. Przychodzi teraz kolej na inne ludy.

Na tymże Wschodzie mieszkaly narody do innego nale-
żące szczepu: liczne były i potężne, władały nieraz światem.
O tych ludach bardzo skąpe posiadaliśmy wieści. Dzięki pisa-
rzom klasycznym znaleźliśmy wprowadzić dość dokładnie Persów,
lecz o Indach i Indyach nie prawie nie wiedzieliśmy. Zwycię-
ski oręż Aleksandra sięgnął był do ujścia Indusu, Megasthe-
nes, poseł Seleukusa, przebywał jakiś czas w Indyach, dalszych
jednak stosunków Grecy z Indami nie mieli; sami nawet Rzy-
mianie nie przekroczyli Hindu-Kuszu.

Droga lądem do Indyj, zagrodzona barbarzyńskimi plemionami, była niemożliwą, a jeszcze niemożliwiejszą się stała, skoro w VIII w. zajęły ją zbrojne hordy Arabów. Z końcem XV w. Portugalczycy, opłynawszy Afrykę, odkryli nową drogę, i odtąd Indye zaczynają być znane Europie.

W pierwszych zaraz latach XVI w. Vasco de Gama znalazł niektóre miejscowości na zachodnich wybrzeżach Indyj; w ślad za nim Francuzi, Holendrzy, Anglicy zakładają tu kantory, prowadzą ożywiony handel, usiłują ustalić swe panowanie w nowo odkrytym a bogatym kraju. Europejczycy jednakże trzymali się przeważnie wybrzeży, wpływ ich nie sięgał do wnętrza, środkowe Indye nie były im nawet znane. Państwa niezależne, na jakie podzielony był wielki półwysep, prowadziły z sobą nieustanne wojny, które tamowały drogę do wnętrza. Niebawem jednak sama przeszkoda stała się środkiem. Kompania wschodnio-indyjska, działając rozjemczo, sprzymierzała się z udzielnymi książętami, zjednywała ich sobie, obejmowała powoli nad nimi zwierzchnictwo, a działając roztropnie i wytrwale, doprowadziła do tego, iż w niespełna trzy wieki królowa angielska uznana została cesarzową Indyj.

Wraz z postępem zaborów angielskich nastawał spokój, który dał możność poznania kraju i jego przeszłości. Podróże uczonych zaznajamiały ze wspaniałymi zabytkami starożytnej cywilizacji indyjskiej, dozwoliły rozpatrzyć się w tych dwustukilkudziesięciu milionowych tłumach, mówiących różnymi językami i wyznających różne religie; wreszcie przyszła kolej na zaznajomienie się z ich pomnikami piśmiennymi. Rękopis perski, odnoszący się do piśmiennictwa staro-perskiego i staro-indyjskiego, wydany przez Anquetil-Duperron'a z końcem XVIII w. w łacińskim przekładzie, był niezwykłym bodźcem do badań w tym kierunku. Liczny zastęp uczonych oddał się nauce starych a nieznanych dotąd języków persko-indyjskich. W miarę wzrostu badań odkrywano coraz to nowe księgi, a w tych księgach podziwiano wiedzę i rozwój umysłowy, sięgający bardzo oddalonych czasów. Co więcej, badania porównawcze ksiąg persko-indyjskich wskazywały pokrewność

tak co do języka, jak i co do pochodzenia tych ludów; niebawem pokrewność ta rozciągniętą została i do ludów europejskich. Te zdobycze naukowe osiągnięte zostały w pięciu ostatnich dziesiątkach naszego wieku. Przebiedz treściwie prace dokonane w tym przedmiocie, zapoznać się ze starem piśmiennictwem tych ludów, a przedewszystkiem odnaleźć w niem ślady ich najdawniejszych pojęć religijnych, jest celem niniejszej pracy.

Musimy jednak pierwszej pomówić o rodowodzie tych ludów.

Do niedawna nie znaliśmy jeszcze stosunku pokrewieństwa ludów, na jakie w ciągu wieków rozdzieliło się potomstwo Adamowe. Zapiski, jakie pozostawili nam starzy pisarze, niczego nas nie nauczyły: albo nie wspominają o rodowodzie ludzkim, albo bajeczne widocznie przywodzą podania. Jedyne wyjątek w tym względzie stanowi pisarz „Księgi Rodzaju“, który w X rozdziale rzucił szkic rodowodu i zamieścił wykaz ówczesnych ludów. Lecz od tego czasu wielkie nastąpiły zmiany, wiele ludów wyginęło, a raczej zatraciło swe nazwy, inne zmieniły siedziby, wytworzyły nowe społeczeństwa, zlały się z obcemi rasami; zresztą pisarz natchniony miał głównie na oku ludy, które sąsiadowały z narodem wybranym, o wielu innych, o rasie czerwonej, żółtej, a nawet o murzynach, których znał dobrze w Egipcie, nie wspomina.

W obec braku danych historycznych potrzeba było niepospolitych badań, ażeby wśród mnogich, a tak różnorodnych ludów odnaleźć cechy, wskazujące bliższe pokrewieństwo.

Ród ludzki nadzwyczajną przedstawia różnaitość w swych jednostkach; rozpada się on na tyle ras, szczepów i pokoleń, a wszystkie różnią się tak jaskrawemi cechami, iż wahano się niejednokrotnie w uznaniu jedności jego pochodzenia. Na pierwszy rzut oka trudno przypuścić, iż taki Apollo Belwederski i jakiś Weddah z Cejlon są odroślami jednego i tego samego pnia; taki Newton i jakiś Papuas obdarzeni są temi samemi

władzami umysłowemi. A jednakże tak jest; po długich, mierzalnych badaniach umiejętność ludzka zgodziła się z prawdą objawioną, jedność rodu ludzkiego została uznana, szkoła poligenetyczna, broniona przez pierwszorzędne powagi naukowe, upadła bezpowrotnie. „Z punktu widzenia historii naturalnej — pisze Maury ¹ — człowiek stanowi jeden gatunek zoologiczny, lecz ten gatunek zawiera w sobie wielką liczbę odmian“.

Odmiany, jakie spotykamy dziś między ludami, wyrobiły się w pierwotnej dobie, kiedy plastyczność natury ludzkiej była wrażliwszą; warunki klimatologiczne, rodzaj życia, zatrudnienia i inne czynniki tak fizyczne jak i moralne urobiły i skryształizowały znamiona odrębności, które następnie dziedziczością przekazane zostały potomstwu. W tych przedhistorycznych czasach utworzyły się rasy ludzkie. Skoro rasowość została raz ustaloną, zmiany klimatu i rodzaju życia nader słabo oddziaływały na organizm. Anglo-Saksonowie, przesiedleni do Ameryki, przerobili się wprawdzie na Yankesów, zbliżonych nieco do typu indyjskiego, w Australii wyrabia się dziś odrębna typowość wśród osiadłych tam kolonistów angielskich, lecz te odrębności są tylko odmianami typowości angielskiej. Żydzi od 20 wieków rozproszeni, zdala od swej ojczyzny, zachowują stary swój typ semicki. Co więcej, w Egipcie typowość pierwotna przechowuje się od 40 i więcej wieków. Maspero pisze: „Rysy wspólne większej części posągów tak Starego jak i Nowego Państwa, odnajdują się w epokach późniejszych. Pomniki XVIII dynastji, rzeźby z czasów sajskich i greckich, jakkolwiek stoją o wiele niżej pod względem piękna artystycznego od pomników starych dynastji, zachowują prawie niezmiennie typ pierwotny. Dziś nawet, jakkolwiek warstwy wyższe straciły swą typowość z powodu pomieszania się z innemi rasami, wieśniacy egipscy zachowują prawie wszędzie podobieństwo do swych przodków; niejeden

¹ *La terre et l'homme*, p. Alfred Maury, Membre de l'Institut. Paris, 1869, p. 388.

Felah ze zdumieniem odnajduje swój portret w posągach *Chafra* lub *Olbrzymach z Usortesen*, które przedstawiają rysy Faraonów, jacy panowali lat temu cztery tysiące“.

Skoro monogenizm uznany został za prawdę naukową, poczęli antropologowie grupować rasy i odmiany ludów, szukając bliższego ich pokrewieństwa. Znamiona, jakimi różnią się ludy między sobą, służą zarazem do ich wzajemnego zbliżenia; są one dwojakiego rodzaju: fizyczne i duchowe. Do pierwszych należy: wzrost, kształt i proporcye członków, barwa skóry, właściwości włosów, rysy twarzy, tutaj zaliczają się również objawy fizyologiczne i patologiczne; do drugich: język, rozwój umysłowy, zatrudnienie, przemysł i sztuka, stosunki społeczne, pojęcia moralne i religijne. Im więcej cech wspólnych posiadają ludy, tem więcej zbliżone są do siebie w podobieństwie, a wskutek prawa dziedziczenia, słusznie są poczytywani, jako pochodzący od wspólnej gałęzi. Tej zasady trzymali się badacze, grupujący plemiona i narody we wielkie rodziny.

Cechy te jednak w wielu wypadkach nie są wystarczającami. Były i są ludy, które zatraciły swój własny język, a przyjęły język rasy obcej, inne znowu ludy wskutek małżeństw z obcemi rasami odziedziczyły znamiona fizyczne tych ostatnich. I tak: Bułgarzy mówią po słowiańsku, Guanszowie, tubyley wysp Kanaryjskich, po hiszpańsku; ani jedni jednak ani drudzy nie należą do szczepu Indo-europejskiego; przeciwnie zaś ludy kaukaskie mówią językami aglutynacyjnymi, zaliczane są jednak do rodziny europejskiej. Dzieje się też coś podobnego ze znamionami fizycznymi. Kasty wyższe w Indjach niezaprzeczenie należą do szczepu Indo-europejskiego, a jednakże pleć tych ludów w znacznej części jest ciemna; Biszarowie, z okolic Suakimu, należą do szczepu semickiego, pleć ich jednak jest bardziej czarna, aniżeli pleć wielu pokoleń czysto murzyńskich. Z tego to powodu do grupowania ludów, oprócz cech fizycznych i duchowych, należało wprowadzić czynnik historyczny. W przykładach wyżej przytoczonych ce-

chy fizyczne i duchowe były wprawdzie podstawą klasyfikacji, lecz ostateczne wnioski oparte zostały na historii.

Od bardzo dawna poczęto ustawiać ludzi i ludy w oddzielne grupy; starzy już Egipcyanie upatrywali w ludach cztery główne rasy¹. Etnografowie różnych czasów dzielili ludy na kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt rodzin charakterystycznych. Przyczyna tej niezgodności leżała w tem, iż każdy badacz wychodził z innego założenia, każdy brał inne cechy za podstawę do swego podziału; ten niezgodny wynik badań pochodził przedewszystkiem z braku odpowiednich danych, jakie były potrzebne do ocenienia podobieństw i różnic, istniejących między ludami. Tegoczesne odkrycia archeologiczne, liczne podróże i znakomity rozwój filologii, nagromadziły dopiero niezbędne materyały, które posłużyły do sprostowania dawniejszych błędnych twierdzeń i do ustalenia ugrupowań; filologia największe tu oddała usługi.

Mowa ludzka jest darem Bożym, lecz zarazem jest dziełem człowieka, wyrabia się w rozumie, a wyraża na zewnątrz stosownym organem. Języki rozwijały się i przekształcały z czasem: zdolności umysłowe, ukształtowanie fizyczne narządów mowy były tu bezpośrednimi czynnikami. Jakkolwiek wszystkie języki mają istotne elementa podobne, różnią się jednak wybitnymi znamionami; porównyując języki etymologicznie i gramatycznie można w nich rozeznąć elementa wspólne wszystkim, a równie elementa, będące własnością wyłączną pewnej tylko grupy lub nawet pojedynczego języka; ztąd można je klasyfikować.

Badania porównawcze mowy ludzkiej wykazały, iż wszystkie języki, tak żyjące, jako i zmarłe, dadzą się podzielić na trzy główne grupy, mianowicie na języki: jednosylabowe, aglu-

¹ W grobowcu Seti I w Biban el Muluk, z r. 1400 albo 1500 przed Chr., przedstawione są cztery rasy znane Egipcyanom. *Tamhu* albo *Tahennu*, t. j. Libijczycy mają skórę białą; *Aamu*, t. j. pokolenia Syro-arabskie mają skórę żółtą; Egipcyanie skórę czerwoną; wreszcie *Nahasin* czyli murzyni skórę czarną.

tynacyjne i fleksyjne; każda z tych grup składa się z pewnej ilości działów, zawierających poszczególne języki.

Udało się również antropologom pochwycić wydatniejsze cechy zewnętrzne ludów i zamknąć je w odpowiednich działach. Maury, streszczając badania etnograficzne, podaje ich wynik: „Biorąc na uwagę wszystkie odmiany gatunkowe i szeregując rasy ludzkie jedne obok drugich ze względu na powinowactwo, przychodzimy do wniosku, iż można je zestawić w trzy odrębne i główne grupy, obejmujące: typ biały, typ żółty i typ czarny. Z jednego typu do drugiego przechodzi się przez szereg typów pośrednich, które je wiążą“.

Zestawiając te dwa wyniki badań, z różnych źródeł pochodzące, okazało się, że typ biały odpowiada językom fleksyjnym, typ żółty językom jednozgłoskowym, typ zaś czarny, po większej części, językom aglutynacyjnym¹; tym sposobem uproszczono pole dalszych badań i zamknięto je w ściślejszych granicach.

Ludy, należące do typu pierwszego, były mnogie i nader różnorodne; mówiły wprawdzie językiem, którego głównem znamieniem była fleksyjność, jednakże różnice ich językowe były jeszcze zbyt wybitne. Badania porównawcze tych języków wykazały, iż dadzą się one ugrupować w trzy działy, należące do trzech oddzielnych szczepów: aryjskiego, semickiego i chamickiego.

W r. 1767 O. Coeurdoux T. J., przebywający na misyi w Indyach, przesłał był do Akademii francuskiej rozprawę o języku sanskryckim, w której wykazuje na przykładach wielkie podobieństwo sanskrytu z językami mu znanymi: greckim, łacińskim, niemieckim i słoweńskim. Rozprawa została złożoną do archiwum; na razie zawczasie było zajmować się tym przedmiotem. Sanskryt nie był znany w Europie, język zendzki był niezrozumiałym, a staro-perski jeszcze nie odkryty. Niebawem jednak Anquetil-Duperron przetłumaczył Awestę, Wiliam

¹ Oprócz Murzynów języka aglutynacyjnego używają Drawidzi i pokolenia Ugro-alfajskie.

Jones założył Towarzystwo literackie w Kalkucie, Colebrooke Towarzystwo azyatyckie w Londynie, Schlegelowie wydawali studia indyjskie w Niemczech, — wszędzie obudzała się dążność do badań piśmiennictwa wschodniego. W tym czasie rozpoczął swój zawód naukowy Franciszek Bopp. Pierwsze zaraz prace filologiczne, które wyszły zpod jego pióra, zwróciły już nań oczy uczonego świata, a Gramatyka porównawcza, którą wydał w Berlinie (1833—1849) zjednała mu niespożyta sławę. Bopp na mocy gruntownych badań wykazał, że języki, jakimi mówili lub mówią Grecy i Rzymianie, Germanowie, Celtowie, ludy Skandynawskie, Słowianie i Litwini w Europie, w Azji zaś Persowie, Baktryanowie, wyższe warstwy społeczne w Medyi i wyższe kasty w Indyach, pochodzą od wspólnego, ztraconego oddawna języka, któremu później dano nazwę aryackiego; samym zaś ludom dano nazwę Aryów. Liczne badania późniejsze w niczem nie zmieniły zapatrywań uczonego Moguntezyka.

Ten ważny nabytek filologiczny dozwalał wnioskować o bliskim pokrewieństwie tych ludów; należało jednak zbadać i inne cechy.

Ludy aryjskie wyróżniają się pod względem cech zewnętrznych od ludów semickich i chamickich. Starzy Egipcjanie z nadzwyczajnym talentem umieli pochwycić wybitne rysy ludów, jakie przedstawiali na swych pomnikach; otóż istnieje w Karnaku wyobrażenie jeńca wojennego, w którym Mariette na pierwszy rzut oka uznał typ semicki, co stwierdził i napisał tamże się znajdujący¹. Zresztą typowość semicka jest tak uderzająca, iż na pierwsze wejrzenie można ją rozpoznać; o typowości chamickiej dawnych Egipcjan mówiliśmy poprzednio, większe trudności przedstawia sam typ aryjski.

Pierwowzorem typu aryjskiego jest Apollo Belwederski; pomniki greckie i rzymskie przedstawiają nam podobne typy, a jak zapewniają badacze², nierzadko spotkać można na zie-

¹ *Źródła historyczne Wschodu*, str. 79.

² A en juger par les monuments antiques, le type latin s'est assez purement conservé à Rome et dans la Campagne romaine, de même que

miach klasycznych zupełnie podobne typy żyjące. Nie wszyscy wprawdzie Europejczycy mogą się pochlubić, iż są podobni do swego pierwowzoru, jednakże typ europejski, zestawiony z typem semickim i chamickim, ma swe odrębne znamiona. Typ europejski jest typem aryjskim; Persowie i Indowie mają również typy aryjskie. „Indowie — pisze Maury ¹ — mają typ głowy zupełnie europejski, pięknego układu, mianowicie: wysokie czoło, mało wystające kości licowe, wydatne zagłębienie między czołem, a korzeniem chrząstki nosowej. Rysy są powabne, nos prosty, nieco orli; usta małe, wargi cienkie; podbródek zaokrąglony, zwyczajnie z małym zagłębieniem w środku; oczy wielkie, brwi łukowe, powieki o długich rzęsach. Brahmani, to jest Indowie najczystszej krwi, szczególnie w górach Himalajskich, mają cerę białą, włosy jasne, zwyczajnie blond, jak ludy europejskie“. Pomimo wielkich różnic klimatologicznych krajów, które od kilkudziesięciu wieków zamieszkują, ludy Indo-europejskie przechowały swą typowość. W cechach zewnętrznych dwie tu wyróżniają się odmiany, mianowicie szatyni krótkogłowi (brachycephali) i blondyni długogłowi (dolichocephali). Typy inne, jakie się spotykają wśród ludów aryjskich, tak w Europie, jak w Azji, powstały wskutek przymieszki krwi obcej rasy.

Historya, ubocznie wprawdzie, lecz niewątpliwie potwierdza ten wynik badań antropologicznych.

le type hellénique a persisté chez les Grecs modernes. On retrouve chez ceux-ci presque sans altération la beauté et la noblesse de formes que nous admirons dans les statues des anciens: front élevé, espace interoculaire assez grand, offrant à peine une légère inflexion à la rainure du nez, qui est droit ou faiblement aquilin; yeux grands et largement ouverts, surmontés d'un sourcil très-arqué; lèvre supérieure courte; bouche petite ou médiocre et d'un gracieux contour; menton saillant et bien arrondi. Sous le rapport intellectuel et moral, l'Hellène a aussi peu changé; c'est toujours la même souplesse d'esprit, la même facilité à apprendre, le même caractère artificieux et turbulent... Le type romain fourni par les médailles et les statues s'est conservé dans la classe inférieure qui habite le *Trastevere* à Rome et la campagne de cette ville. Maury, *our. cit.* p. 468.

¹ *La terre et l'homme*, p. 460.

Jedyny dokument historyczny, który zaznajamia nas dokładnie z rodowodem człowieka, jest Biblia. Piśmo św. wymienia różne pokolenia Jafeckie, z których etnografowie wyprowadzają znane historycznie ludy aryjskie. Nazwy ludów przywiezione w Biblii nie są wprawdzie jednobrzmiące z nazwami ludów aryjskich, jakie dziś posiadają, jakie przybrały w ciągu wieków, lecz niektóre z nich przechowały się jeszcze po dziś dzień. Jawanowie czyli Jończycy, Madajowie czyli Medowie noszą dziś jeszcze nazwy synów Jafetowych¹.

Dokumenta asyryjskie, które sięgają XII w. przed Chr., przechowały daleko więcej nazwisk identycznie brzmiących z nazwami biblijnymi: *Gimirrai*, *Madai*, *Jawani*, *Tabal*, *Muski*, są identycznymi z pokoleniami Jafeta, opisanymi w Biblii: *Gomer*, *Madai*, *Jawan*, *Tubal*, *Mosoch* albo *Meszech*².

Fr. Lenormant zestawia dane biblijne z wynikami badań dziejowych, a stwierdziwszy zupełną ich zgodę, tak kończy swój wykład³:

„Co się tyczy ludów aryjskich, pisarz ksiąg świętych uchwycił doskonale ich pokrewność i wskazał wspólny ich pień; rzecz ta jest godną zastanowienia, albowiem u żadnego ze starożytnych pisarzy nie napotykamy tak głębokiego i prawdziwego poglądu etnograficznego. Pisarz ksiąg świętych przedstawił w głównych zarysach pochodzenie ludów aryjskich

¹ Nazwa czwartege syna Jafetowego, *Jawana*, spotyka się w hieroglifach egipskich (Junan), w klinowych napisach asyryjskich i perskich (Jawan, Jawanu), w indyjskich Manu i Ramajana (Jawana), a oznacza plemię greckie Jonów czyli Jończyków. Pod tym względem zgoda jest ogólna; czytamy w klasycznym Słowniku, wydanym przez Dowson'a:

„Yavanas: Greeks, *Ἰάβας*, the Yavans of the Hebrew. The term is found in Panini, who speaks of the writing of the Yavanas. The Puranas represent them to be descendants of Turvasu, but they are always associated with the tribes of the north-west frontier, and there can be no doubt that the Macedonian or Bactrian Greeks are the people most usually intended by the term“. *Classical dict.* by J. Dowson, p. 376. Ob. rów. *Gram. Egypt.* p. Champollion, I, p. 151. Obszerna rozprawa w *Indische Alterthum* von Lassen, I, S. 722 i dal.

² Ob. KAT², t. j. *Die Keilinschriften und das Alte Testament*, wyd. 2, przez Eberharda Schradera, str. 80 i nastp.

³ *Hist. anc. de l'Orient*, 9 edit., I, p. 301.

od wspólnego ich przodka Jafeta; dzisiejsza nauka rozwinęła i rozszerzyła ten pogląd, lecz w niczem go nie zmieniła. Ludy aryjskie stanowią najszlachetniejszą i najbardziej uprzywilejowaną rasę, której, opatrnościowem posłannictwem, powierzone było wyniesienie sztuki, umiejętności i filozofii do najwyższej potęgi. *Niech rozszerzy Bóg Jafeta* — mówi Noe — *i niech mieszka w namiotach Semowych, a Chanaan niech będzie niewolnikiem jego*. Błogosławieństwo i przepowiednia spełniły się: potomkowie Jafeta nie tylko są najliczniejsi i najwięcej zajmują przestrzeni ziemi, lecz są rasą panującą i dążącą z każdym dniem do zawładnięcia kulą ziemską⁴.

Wspomnieliśmy wyżej, iż potomkom Jafeta, mówiącym językami spokrewnionymi z aryackim, dano nazwę *Aryów*. Wyraz „Arya“ jest pochodzenia erańsko-indyjskiego; jako przymiotnik używany jest w znaczeniu „szlachetny“, jako rzeczownik oznacza „lud panujący“, w przeciwstawieniu do *Mlecz*a „ludu barbarzyńskiego“. Tę nazwę dawały sobie ludy Baktryjczy, Medyi, Persyi i Indyj; spotykamy się z tą nazwą w napisach staroperskich, w zendzkiej Aweście i w indyjskich Wedach. Pisarze klasyczni nazywają Aryami mieszkańców Medyi i Persyi; Irlandya nosiła niegdyś nazwę Erinu¹.

Nasuwało się następnie pytanie, gdzie leżała pierwotna siedziba Aryów. Odpowiedź zdawała się prostą dla wszystkich,

¹ Wyraz „Arya“ albo „Ajrya“ w narzeczu staro-indyjskim znaczy „szlachetni, wielebni“. Źródłostów tego wyrazu wyprowadzają od „ar“, z kąd pochodzi łacińskie „aratrum“, plug, sanskr. „aritra“ i polski wyraz „orać“. A. Kacgi daje następujące objaśnienia tej nazwy w *Der Rigveda*, str. 144: „Skt. *arja*, altbaktrisch (ostiranisch, Sprache des Avesta): *airja*, altpersisch (westiranisch, Sprache der Inschriften des Darius und Xerxes): *arija*, eigentl. die *treu ergebenen*, bezeichnet zunächst die *Leute des eigenen Stammes*, hernach die herrschenden Classen, die *Gebieten*: vergl. Hdt. 7, 62: οἱ δὲ Μῆδοι... ἐξυλέοντο πάλα: πρὸς πάντων Ἀρίων. Das Wort findet sich oft als *Ἀρια*, *Ἀριο*, in gräcisirten, iranischen Eigennamen, z. B. *Ἀριζαράνης* = altpers. Arijaramna. Dass übrigens auch die Kelten, die *Iren* in alter Zeit sich *Arja* nannten, dass die Wortsippe im Keltischen noch lebendig ist (*Airem* = *Arjaman*, *Eriu* = *Arjana*, *aire* = *arjaka*: princeps, primus)... erhärtet eingehend H. Zimmer in *Bezenberger's Beiträgen*“.

którzy przyjmowali wiarogodność biblijną: ponieważ Zachodnia Azja była kolebką rodu ludzkiego, zatem i pierwotne siedziby Aryów prawdopodobnie w tych stronach były położone. Za tem przypuszczeniem zresztą przemawiały i inne dowody.

Nie ulega wątpliwości, że ludy erańsko-indyjskie w odległej przeszłości przebywały w Azji. Awesta wywodzi lud swój z kraju *Aryanem-Waedžo*, który, jak się domyślają, znajdował się w okolicach Pamiru; w „prawach Manu“ kraj, leżący między Himalają a Windhia, zowie się *Aryawarta*, „siedzibą Aryów“. Jakkolwiek chronologia indyjska nie jest dobrze ustaloną, uczeni Indyaniści uważają wiek XV, a nawet XX przed Chr., jako epokę wkroczenia Aryów do Indyj.

Dokładniejszych wiadomości dostarczają nam dokumenta asyryjskie. Eberhard Schrader zestawiając w swem klasycznem dziele nazwy biblijne ludów Jafeckich z nazwami ludów, jakie przekazały nam zapiski klinowe asyryjskie, stwierdza ich tożsamość, nadto oparty na tychże dokumentach, wskazuje ich siedziby. Ludy te zamieszkiwały Małą Azję, mianowicie późniejszą Cylicyę, Kapadocyę i Małą Armenię w IX i XII w. przed Chr.¹

Co więcej, posiadamy dokumenta, które stwierdzają pobyt pokoleń aryjskich w Azji w XVII w. Pentaur w słynnym poemacie epicznym wymienia różne narody Azji Mniejszej: Leka, Akerit, Masa, Padasa, Dardana, które sprzymierzone z Hetejami, stoczyły bój z Ramsesem II pod Kadesz². Otóż

¹ Die Aufzählung der sechs „Söhne“ Japhets von Gômer bis Meschech (über Tiräs lässt sich irgend Sicheres nicht aussagen) verläuft augenscheinlich in zwei Reihen von je drei Völkern, von denen die erste mit Gômer, die zweite mit Jávân beginnt. Unverkennbar repräsentirt die erste Reihe die entfernteren Völker, die zweite die den Hebräern näher wohnenden. Im Uebrigen wird innerhalb einer jeden Reihe sichtlich die Richtung von West nach Ost festgehalten. So gelangen wir in der ersten, äusseren Reihe von den taurischen Kimmeriera über Mâgôg zu den östlichen Medern; ebenso bei der inneren Reihe von den westlichen kleinasiatischen Joniern über Tabal-Cappadocien zu den östlicheren Moschern in Klein-Armenien. KAT², S. 80.

² Ob. *Źródła historyczne Wschodu*, str. 50 i następ.

niektóre z tych ludów były niezawodnie aryjskie ¹. Tym sposobem dochodzimy do najdalszej granicy wiadomości pozytywnych, jakie mamy o ludach aryjskich; co się działo poza tą granicą czasu, wiemy tylko z podań. Brünhofer ² przytacza z Diodora wyjątki, które wskazują, iż, według wiadomości, jakie zebrał w swych podróżach, ludy greckie, italskie i celtyckie przez Pont wkroczyły do Europy, ludy zaś germańskie i słowiańskie osobnym szlakiem zajęły lewy brzeg Dunaju.

Filologia porównawcza przychodzi w pomoc historyi. Bopp ³, badając języki aryjskie, doszedł do przekonania, że dźwięki drugorzędne, jakie istnieją w oddzielnych grupach tych języków, mogą być miarą chronologiczną odrywania się tych grup od wspólnego pnia. I tak, ponieważ dźwięk *s* znajduje się w języku sanskryckim, zendzkim i słowiańskich, a brak go w innych językach europejskich, należy ztąd wnosić, iż on wyrobił się dopiero po oderwaniu się tych ostatnich od wspólnego pnia. Wynika zatem, że ludy celtyckie, italskie i germańskie oddzieliły się najprzód i wyruszyły, by szukać nowych siedzib. Ten wynik filologiczny zgadza się doskonale z geograficznem położeniem tych ludów w Europie. Podczas gdy Celtowie zajmowali zachodnie wybrzeża Europy, Grecy i Rzymianie południowe, a Germanowie środkową i północno-zachodnią Europę, dla Słowian i Litwinów został tylko wolny Wschód Europy, gdzie ich też historia zastała. Ugrupowanie obecne ludów azjatyckich około domniemywanych siedzib Aryów w Azji dowodzi również azjatyckiego pochodzenia tych ludów.

¹ Lenormant, *Hist. anc. de l'or.* 9 edit., v. V, pp. 453 i następ.

² *Ueber den Ursitz der Indogermanen*, Basel, 1884.

³ Il est très important d'observer, que la formation de certains sons secondaires nous fournit comme une échelle chronologique, d'après laquelle nous pouvons éstimer l'époque plus ou moins reculée où les peuples de l'Europe se sont séparés de leurs frères de l'Asie... Les langues lettes et slaves, qui sont restées unies au sanscrit plus longtemps que les langues classiques, germaniques et celtiques, ont apporté avec elles la palatale *s*... Toutes les langues de l'Europe, même le lette et le slave, se sont détachées du sanscrit avant les langues iraniennes ou médo-perses. *Gram. comp.* de Bopp, traduit p. Bréal, 2 edit., v. I, p. 62.

W miejscowościach uznawanych za kolebkę rodu ludzkiego, około wyżyn Pamiru, grupują się obecnie ludy różnych ras: białej, żółtej, czarnej, które należą do trzech głównych typów językowych: fleksyjnego, jednosylabowego i aglutynacyjnego. Nie można żadną miarą przypuścić, żeby te ludy, urobiwszy gdzieś swą rasowość i swój język, zeszyli się tu przypadkiem i osiadli obok siebie. Przypuszczenie przeciwne, mianowicie, że tu było ognisko ludzkości, że te ludy są resztkami ras, które ztąd rozeszły się po kuli ziemskiej, jest jedynie racjonalne, i na tem głównie opiera swe zdanie znakomity antropolog de Quatrefages ¹.

Badania archeologii przedhistorycznej wykazały również, że napływały do Europy coraz to nowe ludy, różniące się cechami fizycznymi i stopniem cywilizacyi; ludy te pochodziły z Azyi, o czem świadczą tak szczątki zwierząt, które ztamtąd tylko przyjść mogły, jak również jaspisowe toporki i perłowe ozdoby azyatyckiego pochodzenia ². Jeden z uczonych niemie-

¹ L'étude des populations actuelles et de leurs langues conduirait à placez le berceau de l'espèce humaine en Asie, non loin du grand massif central de ce continent et dans le voisinage de la région où prennent naissance tous les principaux fleuves qui le sillonnent au nord, à l'est et au sud. Les trois types physiques fondamentaux humains, le Blanc, le Jaune et le Noir, sont représentés autour de ce massif par des populations tantôt pures, tantôt métissées à des degrés très divers. Les trois types linguistiques, ainsi qu'une foule de langues dérivées qui les relient l'un à l'autre, sont représentés dans les mêmes régions... Aucune autre partie du monde ne présente rien de pareil... Il est bien difficile de supposer qu'après s'être constituées dans les contrées les plus diverses et les plus éloignées, après s'y être créées un langage, un certain nombre de races humaines soient revenues sur leurs pas pour se grouper autour d'un même point relativement peu étendu. L'histoire des langues et la manière dont elles s'altèrent et se modifient en s'éloignant de cette région centrale, sont d'ailleurs en contradiction absolue avec l'hypothèse des migrations régressives... Ainsi tout concourt à faire admettre que les vieilles populations ont pris naissance dans le voisinage du grand massif asiatique et ont ensuite irradié en tout sens, emportant chacune avec elle la forme de langage qu'elle avait atteinte. *Hist. gén. des races hum.* Paris, 1887, p. 132.

² Sous les dolmens de l'Armorique, on a trouvé des haches en jadéite et des perles de callaïs. Or ces deux minéraux ont une provenance

ekich, R. Cruel¹, na mocy tak badań archeologicznych, jak i wniosków z filologii porównawczej, dowodzi, że trzy głównie rasy zamieszkiwały kolejno Europę w czasach przedhistorycznych, mianowicie ludy rasy czerwonej, następnie Turyowie², a wreszcie Aryowie, a wszystkie te ludy przyciągnęły z Azji.

orientale. M. Damour a établi que les hachettes des dolmens sont en jade Sibérien, et M. Cazalis de Fondorce, qui a fait une étude consciencieuse de la callaïs, n'en a retrouvé aucun gisement dans les régions à monuments mégalitiques: la callaïs vient du Caucase, de la Scythie et de la Caramanie. Enfin la domestication des animaux, qui s'opère à l'époque que nous étudions, prouve une provenance orientale. En effet, à côté des espèces indigènes tardivement domestiquées, on rencontre en Europe des races asiatiques de chevaux et des boeufs dont les restes se retrouvent encore aujourd'hui associés aux monuments mégalitiques sur les landes de Bretagne, en Limusin, en Auvergne et en Morvan. Ob. *La Gaule avant les Gaulois* p. A. Bertrand, membre de l'Institut. Paris 1884: nadto ocenę tego dzieła w *Rev. des quest. scient.* t. XVI, p. 598 i następ. p. O. Van den Gheyn. — We Wschodniej Syberji znaleziono niedawno szczątki mamuta wraz z narzędziami przemysłu ludzkiego; odkrycie to usprawiedliwia przypuszczenie archeologów odnośnie do toporków sybirskich.

¹ *Die Sprachen und Völker Europa's vor der arischen Einwanderung.* Detmold, 1883.

² Turami nazywają się ludy mówiące językiem aglutynacyjnym; niektórzy z uczonych, jak Max Müller, zaliczają do jednej rasy ludy ugroałałjskie, drawidyjskie, polineskie i dawne ludy medo-szańskie; zapamiętywanie to nie jest przez wszystkich podzielane. Mówimy *Turowie*, a nie *Turanie*, gdyż nazwa ta, wzięta z języka aryjskiego, pochodzi od wyrazu zendckiego *tur*, który w sanskryckim brzmi *twar*, a znaczy „pośpiech, szybkość“. W Aweście częste są wzmianki o Turach, którzy, prawdopodobnie konno, wpadali niespodzianie do ziemi Aryów, zabierali ludzi i dobytek i szybko z łupem uchodzili, jak to podziśdzieć dzieje się jeszcze w Turkestanie. — Wyraz *Tur* i jego pochodne znane są we wszystkich językach słowiańskich; jego pochodzenie i znaczenie nie jest dobrze znane. Jeden z Waregów — czytamy w Nestorze — zwał się Tur, od niego wzięła początek nazwa miasta i plemienia. Czy wyraz ten oznaczał bożka wojny, jak chcą niektórzy autorowie, rzeczą nie jest dowiedzioną; pewniejszem jest, iż oznaczał byka, żubra, lub inne podobne zwierzę. Nie jest również wykluczonem, że, podobnie jak w Aweście, oznaczał jakiegoś strasznego wroga. Podziśdzieć zachował się na ziemiach polskich starodawny zwyczaj oprowadzania w zapusty „Tura“, który kłapiąc wielkimi szczękami, niemało strachu nabawia dzieci. Taki sam zwyczaj panuje w Dalmacyi, mianowicie w okolicach Dubrownika, jak zapewnia Appendini w *Notizie ist. crit.*, Ragusae, 1802.

Nakoniec, tyle razy przytaczany przez nas znakomity uczony francuski przywodzi jeszcze wzgląd estetyczny na poparcie azyatyckiego pochodzenia Aryów. „Wszystkie podania — pisze Maury — godzą się na to, że kolebka rasy białej, t. j. rasy, która stoi najwyżej pod względem rozwoju umysłowego, która posiada w najwyższym stopniu odpowiedność, proporcją, doskonałą równowagę sił i układ fizyczny, znajduje się w strefach umiarkowanych starego świata, w równej odległości od kończyn północnych i południowych. Dociekania pochodzenia ludów, studia porównawcze języków, świadectwa historyczne, jednogłośnie stwierdzają, że ognisko rasy białej położone było u stóp Kaukazu, między morzem Śródziemnem, Czerwonem, oceanem Indyjskim, puszciami Azji Środkowej i górami Himalaja. Im więcej oddalamy się od tego środowiska, tem więcej typy tej rasy przeobrażają się i tracą swą piękność. W jednej tylko Europie typ pierwotny przechowuje się lepiej. Jednakże nawet wśród Europejczyków nie spotyka się takich typów regularnych, tej pięknej symetrii i harmonii rysów, jaką się odznaczają mieszkańcy Wschodu, Ormianie, Persowie, jaką posiadają niewiasty z Georgii i słynne Czerkieski“.

Dowody te były tak przekonywające, iż powszechnie godzono się na azyatyckie pochodzenie Aryów; w ostatnich dopiero latach podano je w wątpliwość.

Na kongresie niemieckich geografów w Halli w r. 1882 starano się udowodnić, że Baktryana nie mogła być kolebką Aryów, gdyż nie była w stanie wyżywić tego ludu, prowadzącego życie pasterskie. Otóż liczby, które tam przedłożono, były naciągane. Baktryana liczy 25 tys. mil kwadr. franc.; według badań Wood'a, jedna mila kwadr. może wyżywić 1800 sztuk bydła, kraj tedy Aryów mógł wyżywić 45 milionów sztuk; a że 20 sztuk bydła wystarczy dla jednej rodziny, ztąd mogło żyć w Baktryanie 2.250,000 rodzin. Wszystkie ówczesne plemiona Aryów nie mogły być liczniejsze.

Pisarze klasyczni nie wspominają o żadnych wtargnięciach ludów azyatyckich do Europy, natomiast przywodzą, że

ludy Trackie i Frygijskie przechodziły z Grecyi do Azji mniejszej, Galowie osiedlali się na wybrzeżach azyatyckich morza Śródziemnego, stąd analogicznie wnoszą przeciwnicy, że Aryowie nie w Azji, lecz w Europie mieli swą siedzibę. Ten wniosek nie jest logicznym wynikiem, opartym na danych przesłankach. Stąd, że ludy aryjskie na jaki dziesiątek wieków przed naszą erą przesiedlały się z Europy do Azji, nie wynika całkiem, że w czasach przedhistorycznych, na kilkanaście wieków przedtem, wychodźstwo w kierunku przeciwnym nie miało miejsca. Zresztą, jeżeli analogia może służyć za dowód przekonywujący, to wiemy dobrze, że Pieczyngowie, Awarowie, Bułgarzy, Hunowie i Mongołowie z Azji właśnie do Europy tłumnie się przesiedlili.

Zarzucano wreszcie nadużywanie filologii porównawczej, naciąganie jej do udowodnienia z góry postawionego twierdzenia. Nie przeczymy, że niektóre dowody, przytaczane przez obrońców azyatyckiego pochodzenia Aryów, mogły przekroczyć granice ścisłości naukowej, lecz nie idzie zatem, że wszystkie tego rodzaju dowody są bezpodstawne. Sam O. Schrader¹, który z niezwykłą zręcznością, a przytem, należy przyznać, z gruntowną znajomością przedmiotu, prowadził tu główną szermierkę, właśnie zapomocą filologii porównawczej usiłował dowieść twierdzenia wprost przeciwnego. Uczony etnograf opierając się na jednobrzmiących wyrazach języków aryjskich dowodzi, że pierwotne siedziby tych ludów mogły leżeć jedynie w krajach zimnych, a zatem nie w Aryi. Otóż domyślna przesłanka w tem rozumowaniu jest błędną: okolice Amu-Daria odpowiadają właśnie wnioskowi wyciągniętemu z filologii porównawczej, tak co do fauny, jak i co do flory. De Ujfalvy, który zwiedzał te miejscowości, pisze²: „Płaskowzgórza, sąsiadujące z Pamirem, Darwazem, Karateginem i Kohistanem, odpowiadają doskonale wszystkim wnioskom filologii porównawczej. Kraj

¹ *Sprachvergleichung und Urgeschichte. Linguistisch-historische Beiträge zur Erforschung des indo-germanischen Alterthums.* Jena. 1883.

² *Bulletin de la Société d'Anthropologie de Paris.* 1884.

jest zimny, w czasie zimy pełen śniegu i lodu; lato jest krótkie. Rośliny służące na pokarm i zwierzęta domowe są właśnie te, jakie podaje język aryacki. Znajduje się tam brzoza, sosna i dąb. Nie przebywają tu wielkie drapieżne zwierzęta. Górale z nad Oksusu wprawieni są do podróży pieszej; od niepamiętnych czasów wyznają mazdeizm. Mieszkańcy oddają się hodowli bydła i rolnictwu, a sochy używają nader pierwotnej“.

Zarzuty przeciw azyatyckiemu pochodzeniu Aryów były tylko wstępem do hipotezy nader doniosłego znaczenia. Nie Azja, lecz Europa jest kolebką Aryów, Germania północna i Skandynawia były tem miejscem uprzywilejowanym. Aryowie byli blondyni o czaszce długogłowej; ten czysty typ przechował się jedynie wśród Niemców, Niemcy tedy tylko są właściwymi Aryami, inne ludy europejskie należą do rasy mieszanej z turejską. Pojawiły się liczne rozprawy i obszernie nawet dzieła, usiłujące dowieść tej hipotezy¹. Powołano na świadectwo wszystkie możliwe umiejętności. Edda skandynawska, opiewająca błękitne oczy złotowłosych młodzieńców i dzieci, Jornandes, nazywający Skandynawią „*officina gentium et vagina nationum*“, wykopaliska szwedzkie i duńskie, dostarczające przeważnie czaszek długogłowych, miały tworzyć szereg przekonywujących dowodów. Przypomniano sobie, że według

¹ Cuno w *Forschungen* (1871) i Gutschmied w *Lit. Centralblt.* (1871) przeznaczają Aryom za siedlisko północne Niemcy i północną Francją. Podobnie L. Geiger i Goesche. Dr. O. Schrader w dziele już wymienionym przyznaje Słowianom pochodzenie aryjskie, lecz profesor wiedeński Penka w dziele: *Ling.-ethnol. Untersuchungen zur ältesten Geschichte der arischen Völker und Sprachen*, Wien, 1883, stanowczo temu przeczy. Uczony lingwista Tomaszek nie zgadza się wprowadzić z Penką, nazywa jego wywody mrzonkami, należy jednak do tegoż obozu. Wszyscy prawie pisarze niemieccy zarzucili dawne wyrażenie „ludy indo-europejskie“ i rozprawiają tylko o ludach „Indo-germańskich“. Niektórzy uczeni angielscy przystąpili do ligi. A. H. Sayce w odczycie mianym d. 20 maja 1887 r. na posiedzeniu londyńskiego Stowarzyszenia antropologicznego, Izaak Taylor na kongresie Stowarzyszenia brytańskiego w Manchester, we wrześniu tegoż roku, wypowiedzieli swe przekonania co do kolebki Aryów i zgodzili się zupełnie z zapatrywaniami uczonych niemieckich.

świadczenia Tacyty, Germanowie byli blondynami¹, przytaczano innych pisarzy, którzy świadczyli, iż panowała jakiś czas moda w Rzymie farbowania włosów i noszenia przyprawianych spłotów, zapożyczonych od dziewic germańskich². Filologia porównawcza dostarczyła naturalnie swego kontyngesu. Wyraz „Arya“ może być wzięty w znaczeniu „blondyn“, wyrazy zaś „Germani, Galli, Galatai“ odpowiadają temu samemu znaczeniu, gdyż można wywieść ich źródłosłów od „ghar, ghal“, co znaczy „świecić, błyszczeć“.

Nie waga dowodów, lecz powaga pisarzy, którzy postawili nową hipotezę lub jej bronili, wymagała odprawy.

Hipoteza europejskiego pochodzenia Aryów niema za sobą żadnych pozytywnych, historycznych dowodów, a przeciw niej stoją bardzo poważne zarzuty.

Widzieliśmy wyżej, że w XVII w. przed Chr. niektóre pokolenia Aryów zamieszkiwały już Azyą, na tę epokę również, jeżeli nie wcześniej, przypada zajęcie Indyj przez Aryów; wynika stąd, że wychodźstwo Aryów z Europy należałoby odnieść do czasów odleglejszych. „Pomniki egipskie wskazują, — pisze Maury³, — że na 1500 albo 1600 lat przed naszą erą, Libia, a zapewne i część Maurytanii była osiedloną przez ludność białą, o błękitnych oczach; Egipcyanie nazywali ten lud *Tahenu* albo *Tamchu*. Znamiona te odpowiadają rasie indoeuropejskiej, a ludy te w tej odległej dobie stały już na pewnem szczeblu oświaty“. Lecz w tej epoce, o ile wiemy z archeologii przedhistorycznej, Europa nie była gęsto zaludnioną, a jej mieszkańcy stali na niskim stopniu oświaty. O Helladzie nie było jeszcze słyhu, Roma nie była jeszcze założona,

¹ *Habitus corporum idem omnibus; truces et caerulei oculi, rutilae comae.*

² Pisze wprawdzie Valerius lib. II, cap. I: *Postiores magis auide, que capillitium ipsum emebant a Germanis et pro comis suis supponebant*; lecz z tego jeszcze nie wynika, jak chcą niektórzy pisarze niemieccy, żeby włosy blond stanowiły cechę arystokratyczną. Wirgiliusz mówi wyraźnie: *Matronis virgam comam meretricibus flacam probatam fuisse*, co dowodzi, że włosy blond nie były zaszczytnem wyróżnieniem.

³ *Ouvr. cité*, p. 409.

a w kilka wieków potem legiony rzymskie dobrze musiały przeszukiwać bory Germanii, by w nich odnaleźć pół-barbarzyńskich mieszkańców. Jak tedy można przypuszczać, żeby w tej epoce, jedno z pokoleń, oderwawszy się od innych, było dosyć potężne do utorowania sobie drogi do Azji, a w tej Azji, gęsto już osiedlonej ludem zbrojnym i wojowniczym¹, przedostać się przez Hindukusz i zająć zwycięsko półwysep! Jako można przypuścić, żeby to pokolenie wśród ciągłych pochodów i walk mogło się wznieść do tak wysokiej kultury umysłowej, iż w tym czasie wydało Weddy i znakomite epiczne utwory, podczas kiedy inne pokolenia tejże samej rasy, pozostałe w Europie, potrzebowały jeszcze długich wieków, żeby mu w tym względzie dorównać².

Sędziwy antropolog francuski, który długie i pracowite swe życie poświęcił specjalnym badaniom tego przedmiotu, zabiera tu głos. „Żaden z przywiedzionych dotąd faktów, — pisze de Quatrefages, — nie upoważnia nas do umieszczania kolebki rodu ludzkiego poza Azją. Żaden z nich nie zmusza

¹ W bitwie pod Kadesz jeden ze sprzymierzonych z Hetejami królów, mianowicie Chilbu, wystawił do boju zbrojny hufiec, który liczył 18.000 wojowników. Egipt, najpotężniejsze wówczas państwo w świecie, nie zdołał pokonać tych ludów Małej Azji. A działo się to w XVII w. przed Chr.

² Tacyt pozostawił pouczający obraz kultury germańskiej z I-go w. naszej ery. Nie mieli oni miast, mieszkali po lasach, domy ich były nader pierwotne, w których wraz z bydłem przebywali; żywili się bardzo prostymi potrawami, zamożniejsi jedynie nosili przyzwoitszą odzież: pisma nie znali. „Nullus Germanorum populus urbes habitari, satis notum est; ne pati quidem inter se junctas sedes. Colunt discreti ac diversi, ut fons, ut campus, ut nemus placuit. Vicos locant, non in nostrum morem, connexis et cohaerentibus aedificiis: suam quisque domum spatio circumdat, sive adversus casus ignis remedium, sive incititia aedificandi. Ne cementorum quidem apud illos aut tegularum usus. Materia ad omnia utuntur informi, et citra speciem aut delectationem... Tegumen omnibus sagum, fibula, aut si desit, spina consortum. Cetera intecti, totus dies iuxta focum atque ignem agunt. Locupletissimi veste distinguuntur, non fluitante, sicut Sarmatae ac Parthi, sed stricta et singulos artus exprimente... (Liberi) in omni domo nudi ac sordidi... inter eadem pecora, in eadem humo degunt... Litterarum secreta viri pariter ac feminae ignorant“. Tacyt. *De Mor. Germ.*

do szukania tejże kolebki w strefach krajów cieplejszych, bądź istniejących obecnie, bądź też zaginionych. Mniemanie, że kula ziemską od czasu ukazania się człowieka na ziemi, nie zmieniła się pod względem warunków klimatologicznych, było przyczyną tych poszukiwań. Umiejętności przyrodnicze wykazały, że przypuszczenie było błędnem. Heer i de Saporta dowiedli, że w epoce trzeciorzędowej Syberya i Szpicberg pokryte były roślinami, które wskazywały, iż podówczas panował tam klimat umiarkowany. W tejże samej epoce, jak zgodnie świadczy Murchison, Keyserlink, de Verneuil, d'Archiac, *bärenlandy* dostarczały żywności mamutowi, renowi, i ryneocerysowi. Otóż te zwierzęta ukazują się u nas zaraz w początkach epoki czwartorzędnej... Jest rzeczą prawdopodobną, że te zwierzęta, ze zmianą warunków klimatologicznych, opuściły swe dawne siedziby i przybyły do nas... Z Azji również pochodzą właśnie nasze bydła domowe. Izydor Geoffroy Saint-Hillaire zgadza się zupełnie w tem z Dureau de la Malle... Nie ma żadnego niepodobieństwa, żeby nasi przodkowie nie mogli znaleźć w północnej Azji warunków odpowiednich do swego tam pobytu, na co wreszcie zgadzają się wszystkie dane, jakie wysnuć możemy z historii człowieka, a również z historii zwierząt i roślin“.

Jeśli hipoteza europejskiego pochodzenia Aryów wydaje się nieprawdopodobną, to przypuszczenie, jakoby Germanowie byli jedynymi w Europie przedstawicielami Aryów, jest całkowicie urojonem; mianowicie nie jest prawdą, żeby Germanowie byli przeważnie blondynami, a wśród Aryów jedynymi blondynami; nie jest prawdą, żeby Aryowie byli jedynymi przedstawicielami typu blond; wreszcie nie jest prawdą, żeby Germanowie byli pierwszymi i jedynymi mieszkańcami ziemi, w której obecnie zamieszkują. Sami uczeni niemieccy dostarczyli na to dowodów.

Skoro poruszoną została kwestya pochodzenia Aryów, szczególnie zaś, skoro postawiono hipotezę, że Germanowie są jedynymi ich przedstawicielami, okazała się potrzeba dokładnych dociekań na tem polu. W r. 1871 niemieckie Stowa-

rzenie antropologiczne zajęło się w Państwie niemieckiem zbieraniem odnośnych danych, mianowicie wymiarem czaszek i wzrostu, a przedewszystkiem barwą włosów. Virchow, który przewodniczył komisji wysadzonej w tym celu, zdawał sprawozdanie z prac dokonanych na posiedzeniu antropologów w Karlsruh, w r. 1885.

Na 100 dzieci uczęszczających do szkół w Państwie niemieckiem, 31 należy do typu czysto blond, t. j. jedna trzecia część dzieci ma cerę białą, oczy niebieskie i włosy blond; 14 liczy się do typu śniadego, o czarnej barwie oczu i włosów; 55 zaś do typów mieszanych. Te liczby są przeciętne dla całego Państwa; kraje poszczególne inne przedstawiają dane. W okolicach północnych liczy się 4 na 100 typów śniadych, w Badeńskim 21, a w Bawaryi 24. Typ tedy blond nie przeważa dzisiaj między ludnością germańską.

Virchow, zastanawiając się nad tym wynikiem, pyta: jeżeli przypuścimy, że dawniejsi Germanowie byli blondynami, skąd się wziął typ śniady? Nie można przypuścić, iż powstał ze zlania się rasy germańskiej ze słowiańską, gdyż wśród Słowian typ biały nader jest zwykłym, nie można również powiedzieć, że przymieszka krwi Celtów wprowadziła typ śniady do rasy germańskiej, albowiem wśród Celtów byli niezawodnie blondyni¹: należy tedy zawnioskować, iż obok typu blond musiał istnieć pierwotnie między Germanami typ śniady również. Zaznacza wreszcie sędziwy antropolog niemiecki, iż typ blond nie stanowi całkiem odrębności Aryów, gdyż Finlandczycy, jakkolwiek należą do rasy mongolskiej, są blondynami, jak o tem sam dowodnie przekonał się na miejscu.

Wynik, do którego doszedł Virchow, zastanawiając się nad typowością germańską, należy zogolnić i przyjąć, że pomiędzy ludami Indo-europejskimi istniały od dawna i aż po dziś dzień istnieją obydwie typy. Typ śniady rozpowszechnił się i ustalił wśród Aryów, zamieszkujących strefy południowe,

¹ Strabon, Herodian i Marcellin podają, że Gallowie byli wzrostu wysokiego i mieli włosy blond.

typ zaś biały rozwinął się bardziej i ostatecznie ustalił u tych, którzy objęli w posiadanie strefy zimniejsze. Wniosek ten sprawdza się w Europie, a w samej Azji najnowsze badania dosadnie go stwierdziły.

W lodowatych dolinach Pamiru przemieszkują wiele drobnych pokoleń aryjskich, z których jedne mówią językiem podobnym więcej do języków indyjskich, inne do erańskich. Między tymi ostatnimi wyróżnia się szczególniej plemię, zwane *Galcza*, językiem zbliżone do tak zwanego zendekiego, a wyznaniem do mazdeizmu. Otóż ci Galczowie posiadają przeważnie cerę białą, włosy blond i oczy błękitne; widział ich w r. 1602 misjonarz O. B. Goez T. J., potwierdzili to dzisiejsi podróżnicy, między nimi Ujfalvy.

Wyższe kasty w Indjach należą niezaprzeczenie do Aryów. Otóż wśród tych Indów napotykają się wprawdzie blondyni, lecz typ śniady przeważa. Nie można utrzymywać, że śniady typ Indów powstał skutkiem przymieszki innej krwi, kastowość bowiem zabezpieczała czystość rasy.

Surowe prawa, nadzwyczaj ściśle przestrzegane, wzbraśniały i wzbraniają małżeństw nie tylko między Aryami, a Kuszytami i innymi tubylcami Indyi, lecz nawet między różnymi czysto-aryjskimi kastami. Obydwa te typy istniały w Indjach od bardzo dawnych czasów, znajdujemy o nich wzmiankę w starzych księgach indyjskich, z których pokazuje się nadto, że typ blond uważany był za najniższy szczebel typowości aryjskiej ¹.

¹ W Upaniszadzie indyjskiej (mianowicie w *Brihadaranyaka-Upaniszad*, VI Adhyaya, 4 Brahmana) znajdujemy różne przepisy urządzenia pokarmu, od którego ma zależeć tak cera, jak i wiedza mającego przyjąć na świat dziecka: otóż w tych przepisach cera biała złączona jest z najniższą wiedzą, mianowicie ze znajomością „jednej Wedy“, cera czerwona ze znajomością „dwóch“, a cera śniada ze znajomością „trzech Wedów“. Dosłowne tłumaczenie Maxa Müllera jest następujące:

And if a man wishes that a white son should be born to him, and thatt he should know one Veda... And if a man wishes that a reddish son with tawny eyes should be born to him, and that he should know two Vedas... And if a man wishes that a dark son should be born to him with red eyes, and that he should know three Vedas... Ob. *The Sacred books of the East*, vol. XV, 1884, str. 219.

Wreszcie, rzeczą jest znana, że Portugalczycy, przemieszkujący w Goa od kilku wieków, chociaż nie mieszały się zupełnie z tubylcami, przejęli ich typ i barwę skóry.

Pozostawało jeszcze oporać się z uroszczeniem szowinistów niemieckich, którzy utrzymywali, że Germanowie są pierwszymi i rzeczywistymi tubylcami na swej ziemi; podjął się tego zdania sam Virchow.

Na posiedzeniu antropologów w Karlsruhe, o którym wyżej mówiliśmy, niejaki Wilser wystąpił z rozprawą, która miała udowodnić, że Germanowie są jedynymi przedstawicielami Aryów. W długiej przemowie powtarzał argumenta znane już skądinąd, i którym dawno dano już dobrą odprawę, szczególnie zaś kładł nacisk na wykopaliska skandynawskie, na *tumuli* w Halstadt, wreszcie odwołał się do patryotyzmu, zaznaczając, iż ta hipoteza najlepiej odpowiada chwale i potędze Niemiec.

Virchow, pośpiesznym krokiem — jak mówi sprawozdanie — podążył na trybunę, i w świetnej, a ironią zaprawionej mowie dał odprawę poprzedniemu mowcy. Wykazał nietylko bezpodstawność dowodów Wilsera, ale nadto jego herezye naukowe. Hildebrand, który znał doskonale Skandynawię, dowiódł, że przeobrażenia, jakie się tam dokonały, nie były rozwojem cywilizacyjnym jednego ludu, lecz powstały wskutek wtargnięcia różnych ludów z Zachodu i ze Wschodu. W Skandynawii gościły w epoce kamiennej ludy krótko-głowe, prawdopodobnie mongolskie; w późniejszej dopiero epoce przybyły tam ludy długo-głowe. Jeżeli p. Wilser — jak sam utrzymuje — jest uczniem Ecker'a, powinienby wiedzieć, iż największą zasługą jego mistrza jest wykazanie, że w południowych Niemczech dwa różne ludy przedhistoryczne zajmowały kolejno te kraje; najdawniejszy z tych ludów, który grzebał swych zmarłych w *tumuli*, nie ma nic wspólnego z czystym typem germańskim. Wreszcie — kończy Virchow — patryotyzm nie jest żadnym argumentem.

Zapewne, Virchow nie przekonał wszystkich, lecz przynajmniej odtąd nie poruszano tej kwestyi na zebraniach naukowych, na kongresie przyrodników w Wisbaden wykluczony

został dział etnograficzny; pokutuje jeszcze od czasu do czasu w pismach niemieckich wyrażenie „ludy Indo-germańskie“ zamiast „Indo-europejskich“, lecz ogół uczonych, co do pochodzenia Aryów, trzyma się dawniejszego mniemania¹.

Jakie kraje zajmowały w Azji ludy aryjskie dokładnie wiedzieć nie można; według wszelkiego prawdopodobieństwa były to obszary, położone wśród dorzeczy Oksusu (Amu-Daria) i Jaksartesu (Syr-Daria). W dalekiej przeszłości, 25 albo 30 wieków przed naszą erą, zachodnie pokolenia pociągnęły ku Zachodowi i Północy, zajęły Małą Azję, podążyły do Europy. Wschodnie pokolenia nie zostały również na miejscu, bądź wskutek rozmnożenia się ludności, bądź też parte przez inne ludy, opuściły swe dawne siedziby, posunęły się na Zachód i Południe. Jedne z nich zajęły kraje, zwane potem Medyą i Persyą, inne, przeszedłszy góry Hindukusz, rozlały się po dorzeczach Indusu i Gangesu, a następnie opanowały cały wielki półwysep.

Warunki klimatologiczne krajów, które zajęli Aryowie, pojęcia, obyczaje i stopień wykształcenia ludów, wśród których osiedli, wywarły swój wpływ na dalszy ich rozwój; z czasem wyrobiły się tu dwie indywidualności narodowe, Erańska i Indyjska, mówiące dwoma odrębnymi, choć pokrewnymi językami.

Odłam ludów aryjskich, które osiadły w Medyi i Persyi, używał języka staro-perskiego i tak zwanego zendckiego; języki te stanowią grupę erańską. Język staro-perski, używany za dynastyi Achemenidów, zamarł wraz z tą dynastyą; język nowo-perski jest narzeczem staro-perskiego z domieszką wyrazów arabskich. Język, zwany zendcki, zamarł jeszcze dawniej; mówili nim Aryowie w Medyi i Baktryanie.

¹ Po stronie azjatyckiego pochodzenia Aryów, oprócz już wymienionych, stoją tacy mężowie jak Kiepert, von Roth, de Harlez, Orterer, Wil. Geiger, Wik. Hehn, Brünnpofer, Reinach, Sir Monier Monier-Williams i inni. Max Müller w dziele *Biographies of words and the Home of the Aryas* (1888) dał dobrą odprawę Sayce'owi i Taylor'owi. — Whitney-Leskien, w *Leben und Wachstum der Sprache*, S. 204: „Möglicher Weise findet man noch Zeugnisse von wirklicher Beweisskraft in Betreff dieser Frage, aber bis jetzt sind sicherlich keine zu Tage gefördert“.

Język sanskrycki, *sanskṛta*, co znaczy „doskonały, klasyczny“, był językiem Aryów, którzy zajęli Indye. Z biegiem czasu i okoliczności język ten przekształcił się; urobiły się języki miejscowe, jakimi dziś mówią potomkowie Aryów, osiedli w Indyach: Sanskryt pozostał językiem uczonych, podobnie jak łaciński u nas.

Charakterystyczną różnicę tych dwóch grup językowych stanowi zamiana *h* na *s*: i tak dzisiejszy Pendżab w sanskrycie zowie się *Sapta-Sindhu*, w narzeczach zaś erańskich nosi nazwę *Hapta-Hindu*.

W tych trzech językach: staro-perskim, zendckim i sanskryckim zostawili nam Wschodni Aryowie swe zapiski. Te pomniki piśmienne, ze względu na swe rozmiary, nie mają jednokowej doniosłości. Kilka czy kilkanaście napisów rytych na skałach przez następców Cyrusa, stanowią cały materiał, jaki pozostał po Persach. Ludy Baktryany przekazały nam księgę, zwaną *Awesta*, która, aczkolwiek w okrucach tylko doszła rąk naszych, treścią swą jednak odsłoniła rąbek z ówczesnego społeczeństwa. Najbogatszem jest piśmiennictwo indyjskie; formą, treścią i wielkością dorównywa prawie klasycznemu, nieznane jeszcze z końcem zeszłego wieku, obecnie w większej części zostało przyswojone językom europejskim. Angielscy Indyaniści lepiej dziś znają literaturę sanskrycką i lepiej władają tym językiem, aniżeli uczeni Pandyci indyjscy.

Zapiski Wschodnich Aryów są cennym nabytkiem dla różnych gałęzi wiedzy ludzkiej, przedewszystkiem jednak przedstawiają obfity materiał do badania ich pojęć religijnych. Tak Erańczycy, jako i Indowie byli głęboko religijni, pierwsi wyłącznie, drudzy przeważnie w tym przedmiocie zostawili nam swe utwory umysłowe. Ponieważ te zapiski pochodzą z różnych epok, rozpatrując je, będzie można uchwycić przekształcanie się pojęć religijnych tych ludów; ponieważ sięgają one odległej przeszłości, będzie można zdać sobie sprawę z najdawniejszych pojęć, które są już bliskie czasów pierwotnych, co jest właśnie naszym zadaniem.

(C. d. n.)

Ks. W. Zaborski.

PIERWSZA KONSTYTUCYA AUSTRYACKA,

JEJ GENEZA I OCENA.

Powszechna dziś już panuje w tym kierunku zgoda, że konstytucyjno-reprezentacyjna forma rządu jest ostatnim wyrazem osiągniętego po dziś dzień rozwoju i postępu w wykształcaniu się zasad ustroju państwowego. Dowodem tego, że stała się ona własnością wszystkich państw Europy, z wyjątkiem Rosyi i Turcyi, która jednak już ma do zapisania nieudaną próbę z r. 1876¹; a w najnowszych czasach słyszymy o próbach konstytucyjnych nawet w Japonii. Dziś, jeżeli jaki spór się toczy, to już nie o zasadę konstytucyjno-reprezentacyjnej formy rządu, lecz o rozległość podstawy, na jakiej ją w danem państwie oprzeć należy, i o szerokość zakresu i stopień mocy praw, jakie przysługiwać mają ciałom reprezentacyjnym. Społeczeństwa zaś strzegą zazdrośnie tej zdobyczy, jaką słusznie widzą w konstytucyjnej formie rządu; strzegą jej tak w całości, jak i w szczegółach, bojąc się mimowoli każdej, nawet drobnej zmiany. I nie dziw, bo dopiero ta forma nadała poddanemu władzy państwowej godność obywatela, który nietylko ma dla państwa obowiązki, ale ma wobec niego i pewne nie-naruszalne prawa, i otoczyła jego indywidualne, moralne i ma-

¹ Okolski, Antoni Dr. Ustrój państw europejskich, str. 491.

teryalne interesa pewnymi gwarancyami. Ponieważ zaś i ta forma rządu, pomimo znakomitych swych zalet, ma, jak każda rzecz ludzka, także i wewnętrzne usterki, a usterki te, gdyby wybuchały i wzięły górę, mogłyby albo uczynić ją w zastosowaniu przeciwieństwem tego, co stanowi istotę jej ducha, — przypominam despotyzm partii parlamentarnych; oddawanie się ich za narzędzie skrycie absolutnym rządowi, — albo unieemożebnić przeprowadzenie przez nią i przy niej wielkich zadań i problemów państwowych, — przypominam rozbitcie się parlamentu na drobne frakcyje lub atomy, rozpląnięcie się jego działalności w drobiazgowych sporach i rasowych walkach, a zupełna bierność lub wieczna negacya wobec zagadnień pierwszorzędnych, — przeto czujność społeczeństwa zwracać się winna nie tylko przeciw niebezpieczeństwom, mogącym grozić tej formie rządu z zewnątrz, ale i przeciw wewnętrznemu wrogowi, przeciw tym naleciałościom, z których nieprzyjaciele konstytucjonalizmu skwapliwie zawsze korzystają.

My w Austrii, którzy w całej pełni używamy korzyści systemu konstytucyjnego, dziś już utrwalonego, mamy również wszelkie powody przywiązywać wielkie znaczenie do tej formy ustroju — i dlatego może nie będzie od rzeczy poznać się bliżej z pierwszą próbą przekształcenia Austrii w państwo politycznie wolne, z pierwszą konstytucją nadaną przez śp. cesarza Ferdynanda w r. 1848.

Gdy aktem związkowym z d. 8/6 1815 (*Deutsche Bundesacte*) utworzonym został Związek niemiecki (*der deutsche Bund*), orzekł art. 13 tegoż aktu, że we wszystkich państwach, należących do związku, mają być wprowadzone konstytucye Stanowe (*Landständische Verfassung*), t. j. że system rządu niema być absolutny, lecz ograniczony współdziałaniem stanowych ciał reprezentacyjnych. Zaś t. zw. Akt końcowy konferencyj wiedeńskich (*Wiener Schlussacte*) z 15 maja 1820 orzeka, że Zgromadzenie związkowe (*Bundes-Versammlung*), mające swą siedzibę we Frankfurcie nad Menem, ma czuwać nad dopełnieniem tego postanowienia we wszystkich państwach związkowych, (art. 54); tudzież oświadcza, że ponieważ niemiecki

związek składa się, z wyjątkiem wolnych miast, z samych udzielnych władców, przeto ze względu na pojęcie udzielnosci, cała pełnia władzy państwowej pozostać ma niepodzielnie skupiona w osobie naczelnika państwa, i tenże może być przez ustrój stanowy tylko ograniczonym w wykonywaniu pewnych praw, w ten sposób, iż do ich wykonywania potrzebuje koniecznie współdziałania stanów (art. 57). Było to wyraźnem, jakkolwiek pod względem jurydycznym nie całkiem poprawnem, zastrzeżeniem się przeciwko bardzo rozpowszechnionej podówczas teorii podziału władz, stworzonej, jak wiadomo, przez Montesquie'go ¹, która zawładnęła była podówczas nietylko umysłami ogółu, ale nadała kierunek myśli pisarzom prawnopolitycznym i filozofom-myślicielom, a która nie tylko, ma się rozumieć, znalazła namacalny wyraz w republikańskich konstytucjach francuskich z 1793, i 1795, i konsularnej konstytucyi Napoleona r. 1799, ale mieści się i w monarchicznej konstytucyi francuskiej z 1791, a umiała się dostać później i do monarchicznej konstytucyi królestwa Portugalii z r. 1826, gdzie czytamy (art. 10), że konstytucya ta uznaje cztery władze polityczne (*pouvoirs politiques*), i że tylko jedna z nich władza wyrównująca czy miarkująca, (*le pouvoir modérateur*), wprowadzona za wzorem B. Constant'a (*Esquisse de Constitution; Principes de Politique*), spoczywa w całej pełni w rękach króla (art. 74), a która co do pojmowania państwa stoi całkowicie na gruncie kontraktu społecznego Rousseau'a ² Było to zarazem zastrzeżeniem się przeciw objawiającym się, a w literaturze głównie przez Rottecka ³ reprezentowanym żądaniom, aby suma władzy państwowej spoczywała, według nadać się mających konstytucyj, w rękach stanów, a naczelnicy państw byli tylko stanowymi pełnomocnikami i wykonawcami ⁴.

¹ *De l'esprit des lois*, 1 wydanie 1748; do półtora roku 22 wydań: w Austrii poprzednio zakazane. Vide: Bluntschli. *Geschichte des allgem. Staatsrechtes u. der Politik*, str. 262.

² *Du Contrat social*, 1762.

³ *Ideen über die Landstände*, 1819. — *Lehrbuch des Vernunftsrechtes und der Staatswissenschaften*, 1 i 2 tom wydane 1829 r.

⁴ Otto Mejer. *Einleitung in das deutsche Staatsrecht*, str. 217. Znako-

Zapowiedziane konstytucye stanowe nie miały być jednak prostą konstytucją stanowych organizacyj minionych czasów i wieków. Sam akt końcowy mówi (art. 55), że tę sprawę należy uporządkować nietylko z uwzględnieniem dawniejszych praw stanowych, ale i z uwzględnieniem zachodzących obecnie stosunków. Przez organizację stanową rozumiano już mniej albo więcej wydoskonalony system reprezentacyjny. Stany, w mowie będące, nie miały być korporacyami, posiadającymi część władzy państwowej, jak to było w państwie patrymonialnem, jako swoje własne prawo, korporacyami reprezentującymi tylko siebie i swoje interesa, i zajmującymi na przeciwko naczelnika kraju samoistne stanowisko,—lecz miały być wyzwolonymi z więzów korporacyjności i przedstawiać całą ludność państwa, miały reprezentować naród w sprawach interesów ogólnych, jako obywatelskie organa państwa, i współdziałać ze stanowiska tego ogólnego interesu i w imieniu ogółu, a nie własnem, przy pełnieniu ustawodawstwa, oraz kontrolować administrację. Dowodem tego wyraźne postanowienia np. konstytucyi bawarskiej z r. 1818; saskiej z r. 1831, §. 78, gdzie powiedziano, że stany są legalnym organem ogółu obywateli państwa i poddanych; brunszwickiej z r. 1832, §§. 57, 58, 96; ks. sasko-Meiningenskiego z r. 1829, §. 49; ks. sasko-Altenburgskiego z r. 1831 §. 199, a nawet królestwa Württembergskiego z r. 1819, jakkolwiek ta ostatnia знаła jeszcze także i sprawy poszczególnych stanów w przeciwstawieniu do ich całości, i stanowy porządek zasiadania i obradowania w Izbach. Że jednak zatrzymano nazwę konstytucyj stanowych, pochodzi to ztąd, że sposób powstania tych ciał reprezentacyjnych, ugrupowanie ich członków, i ordynacye wyborcze oparte były jeszcze na różnicy urodzenia i stanu, z przeważnem uwzględnieniem stanu szlacheckiego. Reprezentacya była więc jednolitą dla całego narodu, i miała bronić tylko

mitu szkic historyczny teoryi podziału władz i reakcyj przeciw niej podaje R. Mohl w *Geschichte und Litteratur der Staatswissenschaften*, tom I, rozdział V (*Geschichte und Litteratur des allgemeinen constitutionellen Staatsrechtes*).

jego interesu, ale w sposobie powstania i składu jej tkwiła jeszcze zasada reprezentancyi według pochodzenia lub sposobu zatrudnienia. Dowodem tego postanowienia ówczesnych konstytucyj, określające prawo wyborcze (np. saskiej, württembergskiej, ks. Lippe i t. p.). Dlatego też niemożna jeszcze tym ciałom dawać miana reprezentacyj ludowych (*Volksvertretung*).

Do końca r. 1820 powstały podobne konstytucye w 13 państwach; pomiędzy temi cztery: Bawarya, Badenia, Hessia-Darmstadt i Württembergia, wydały obszerne kodyfikacye konstytucyjne, obejmujące całe prawo polityczne kraju; później przybyło ich więcej, a i Prusy powołały r. 1847 Zjednoczony sejm, mający uchwalić konstytucyę, tak, że do r. 1848 pozostały w zaległości ze spełnieniem obowiązku nadania konstytucyi tylko Oldenburg, Anhalt, część Meklemburgu i Austrya¹, która nietylko że należała do związku z wszystkimi tymi krajami, niegdyś wchodzącymi w skład Imperium², ale nadto przewodniczyła w nim, a nawet miała w Zgromadzeniu związkowem cztery głosy, gdy chodziło o zasadnicze ustawy i organiczne urządzenia Związku. Austrya zatrzymała tylko swoje dawne prowincjonalne korporacyjne stany, częścią przywracając je na nowo do życia, jak w Tyrolu, Krainie, częścią reorganizując, jak w Galicyi r. 1817; a ponieważ pomiędzy stanami państwa patrymonialnego, które stanowiły potęgę pertraktującą z panującym, a ustrojem centralistyczno-absolutnym państwa, jaki wówczas już ustalił się był w Austrii, niewyrównana zachodzi przepaść, zostały stany te, z wyjątkiem prawa repartycyi nakładanego bez zapytrywania ich podatku gruntowego, ograniczone tylko do roli ciała, stawiającego prośby i wynurzającego opinie i życzenia, tudzież obowiązanego przyzwolić zawsze na postulat podatku gruntowego w pewnej wysokości; ztąd zebrania ich zwały się Sejmami postulatowymi:

¹ Otto Mejer, j. w., 214, 225 sq. — Georg Meyer. *Lehrbuch des deutschen Staatsrechtes*. Leipzig 1878, str. 108 sq.

² t. j. wszystkie dzisiejsze prowincye przedlitawskie z wyjątkiem Galicyi (jednak bez Oświęcimia i Zatora) z Bukowiną; Dalmacyi i Lombardo-Wenecyi.

W takim stanie rzeczy zastał Austryę rok 1848, zainaugurowany rewolucją lutową w Paryżu, która sprowadziła nie tylko upadek ministerstwa Guizota, ale pozbawiła Ludwika Filipa orleańskiego tronu, a Francyi nadała republikańską formę rządu. Prądy wolnościowe, które wyszły podówczas z Francyi, przebiegły jakby iskrą elektryczną, i jak iskra elektryczna wstrząsnęły całą Europę; objawiły się one dążeniem do uzyskania najszerszych praw wolnościowych i swobód obywatelskich przez stworzenie urządzeń konstytucyjnych, a równocześnie rozbudziło się silnie poczucie narodowościowe, i dążność do państwowej formacyi na zasadzie narodowości¹. Jedno i drugie z tych dążeń wystąpiło, jak każdy prąd długo tamowany, gdy raz tamę przerwie i wybuchnie, z całą siłą elementarną i gorączkowem dążeniem do celu, a bez zbytniego zastanawiania się nad właściwością obieranych dróg. W Berlinie nawet nie obeszło się bez przelewu krwi, spowodowanego jedynie nieporozumieniem; to samo w W. ks. Badeńskim; w Bawaryi widział się król Ludwik spowodowanym zrezygnować na rzecz swego syna Maksymiliana II. Ofiarą ruchu, który żadnego niemieckiego państwa nie ominął, padły prawie wszędzie dawne gabinety, a do steru powołani zostali naczelnicy opozycyi w Izbach lub poza Izbami; czy dlatego, że myślano tę jedną koncesyą zaspokoić umysły, czy też, że dawni mężowie stanu ulegli tej ironii losu, która im niedozwolila niczego zapomnieć i niczego się nauczyć.

Po milionach przeszedł wtedy, — jak mówi prof. Tarnowski² — jakby rozkoszny jakiś dreszcz odrodzenia; całe Niemcy wywiesiły sztandar wolności prasy, sądów przysięgłych, uzbro-

¹ Ulbrich. *Lehrbuch des Oesterreichischen Staatsrechtes*, Berlin 1883, str. 43 sq. Fr. Krones. *Handbuch der Geschichte Oesterreichs, von der ältesten bis zur neuesten Zeit*, Berlin 1881, tom IV, str. 633 sq. — Fr. Krones. *Geschichte der Neuzeit Oesterreichs vom 18. Jahrhundert bis auf die Gegenwart*. Berlin 1878, str. 628—674. — Fr. Kasperek. *Prawo polityczne ogólne i t. d.* Kraków 1881, tom II, str. 366 sq.

² Siedm projektów konstytucyj austriackich (*Przegląd polski* 1867).

jenia ludności, i centralnego niemieckiego parlamentu¹. Wolność prasy uzyskała zaraz sankcyę Zgromadzenia związkowego, które uchwałą z 3 marca pozwoliło każdemu z państw związku wprowadzić ją u siebie, uchylając cenzurę². Niemiecki parlament miał przekształcić ustawy zasadnicze Związku w taki sposób, by ze Związku państw samoistnych (*Staatenbund*) powstało ile możności scentralizowane Państwo związkowe (*Bundesstaat*), z ciałem reprezentacyjnem w duchu ściśle nowożytnym, o szerokim zakresie działania, opartem na jak najszerszej podstawie wyborczej, a któreby zawarowało prawa i swobody niemieckiego ludu, w formie t. zw. praw fundamentalnych. Konieczność „rewizyi konstytucyi Związku na podstawie prawdziwie narodowej i odpowiedniej wymogom czasu“ uznało Zgromadzenie związkowe uchwałą z 19 marca, i wezwało rządy związkowe, by wysłały do Frankfurtu mężów ogólnego zaufania w liczbie 17, tj. po jednym za każdy głos związkowy, dla pomagania Zgromadzeniu związkowemu w tem dziele.

Mężowie ci, (z Austrii Ant. Schmerling) wypracowali istotnie d. 27 kwietnia projekt konstytucyi dla Niemiec, zredagowany przez Dahlmanna, i przedłożyli go radzie związkowej³. Równocześnie rozbiły się rokowania, prowadzone o formę Związku pomiędzy Austrią i Prusami przez generała Radowitza⁴, a we Frankfurcie zebrał się t. zw. przedwstępny parlament (*Vorparlament*) zwołany przez komisję siedmiu, wysadzoną przez odbyte w Heidelbergu 5 marca, zgromadzenie 51 mężów⁵, które się zajmowało przedwstępną naradą nad pod-

¹ Szczegóły prawno-polityczne patrz w dziełach: H. Schulze. *Einführung in das deutsche Staatsrecht*. Leipzig 1867, str. 314 sq. — Otto Mejer j. w. str. 133 sq.

² Georg Meyer. *Lehrbuch des deutschen Staatsrechtes*, str. 123.

³ Przedrukowany u K. Weil'a. *Quellen und Aktenstücke zur deutschen Verfassungsgeschichte*. Berlin 1850, — i w Roth und Merck. *Quellensammlung zum deutschen öffentlichen Recht seit 1848*.

⁴ Zapomocą kongresu ministrów w Dreźnie, któryby miał przeprowadzić pomiędzy innemi także obszerniejszą reprezentacyę Związku, złożoną z deputowanych niemieckich Izb stanowych.

⁵ Reprezentantów dotychczasowej opozycyi.

stawami niemieckiego parlamentarnego ustroju. Ten przedwstępny parlament obradował od 31 marca do 4 kwietnia¹ i orzekł, że przyszłe ukształtowanie się Niemiec zależeć ma jedynie od wybrać się mającego przez lud Zgromadzenia narodowego, które lud ma wybrać, a do którego ma wejść na każdych 50.000 mieszkańców jeden reprezentant, i to bez ograniczenia prawa wyboru i wybieralności przez jakikolwiek cenzus, przez różnice religii lub stanu. Dla czuwania nad wykonywaniem powyższych uchwał, wyznaczył parlament przedwstępny Nieustającą Komisję Pięćdziesięciu, która miała stać przy boku Zgromadzenia związkowego. Wobec tej paralelnej akcji, Zgromadzenie, widząc, że wypadki wyprzedzają jego działalność, nie pozostało w tyle, i uchwaliło 30 marca wezwać rządy związkowe, aby zarządziły wybory reprezentantów ludu, którzyby w siedzibie Zgromadzenia związkowego ułożyli konstytucję niemiecką; a dalszą uchwałę z 7 kwietnia Zgromadzenie zastosowało się pod względem określenia prawa wyborczego do uchwał przedwstępnego parlamentu, tj. oparło je na zasadzie powszechnego głosowania. Tę konstytuante niemiecką zwołano na 18 maja do Frankfurtu, i Austria miała naturalnie brać w niej także udział².

¹ Składał się ze wszystkich dawniejszych i obecnych członków niemieckich stanów i innych „mężów, odznaczonych zaufaniem niemieckiego ludu“, publicystów południowo-niemieckich, etc., razem około 600 członków, pomiędzy którymi tylko 2 reprezentantów Austrii. Było to zebranie, pozbawione oficjalnego mandatu i charakteru.

² Wybory rozpoczęły się w krajach austriackich d. 29 kwietnia; żadna ordynacya wyborcza nie została zamieszczoną w *Kaiser Ferdinands I. Politische Gesetze und Verordnungen*; tylko w III tomie wydawanej przez prof. Kudlera, Stubenraucha i Edw. Tomaschka *Oesterr. Zeitschrift für Rechts- und Staatswissenschaft*, zawierającym kronikę ustaw z r. 1848, znajdujemy (Nr. 99, str. 101) ogłoszenie Niższo-austriackiego krajowego Prezydium z 18 kwietnia 1848, z którego się dowiadujemy, że cesarz polecił zastosować się z wyborami do zasad, przyjętych przez frankfurcki *Vorparlament*, i Zgromadzenie Związkowe; że wyborcą jest każdy pełnoletni i własnowolny obywatel austriacki, a wybieralnym każdy Niemiec, choćby nawet do austriackich części Związku Niemieckiego nie należał; że jednak wybory odbędą się pośrednio, tj. przez alembik wyborców, wybranych przez prawyborców; że na austriackie kraje

Łatwo wyobrazić sobie, jak powyższe wypadki oddziaływać musiały na monarchię austryacką, w której dotychczas ster rządów spoczywał w ręku ks. Metternicha, wszechpotężnego nawet i poza granicami Austrii kanclerza, reprezentanta systemu, który nie miał dla skreślonych tu dążeń żadnego wyrozumienia, a w swych zasadach żadnego z niemi punktu łącznego. Zastępcą zaś znękanego chorobą cesarza, w którego charakterze łagodność i dobroć przeważały nad siłą woli i energią, był arcyksiążę Ludwik, od którego cesarz Franciszek umierając wymógł był przysięgę, że będzie zawsze wpływał na rządy tylko w kierunku dotychczasowym, tj. t. zw. oświeconego absolutyzmu. Dążenia do wolności obywatelskiej i do państwowego zjednoczenia narodowości odbiły się na Austrii silniejszym jeszcze tętmem; w ich imię toczył z nią król Sardynii Karol Albert w tymże czasie wojnę o Lombardję i Wenecję; Węgry zbuntowane od miesięcy, a ledwo uratowane dla monarchii najwyższym wysiłkiem armii pod Radeckim, dobijały się zupełnej samodzielności państwowej tak daleko posuniętej, by tylko osobą panującego połączone były z dzisiejszą Przedlitawią. Uzyskali też Węgrzy sankcję królewską dla sławnych XXXI artykułów ustawy sejmu Preszburzskiego, 11 kwietnia r. 1848, między którymi był i taki, że gdy król bawi poza terytoryum Węgier, rządzi w Węgrzech Palatyn, jako wicekról, zupełnie niezależnie od króla, i mając nawet prawo mianowania i oddalania ministrów węgierskich. W końcu doprowadzili do osobnego zastępcy króla dla Węgier w osobie Palatyna węgierskiego arcyksięcia Stefana, i do samoistnego węgierskiego ministerstwa, mianowanego 11 kwietnia pod pre-

Związku przypada 190 posłów, a z tego na Austryę dolną 24. — W *Wiener Zeitung* Nr. 107 ogłosiło Ministerstwo państwowe, że szefowie krajów otrzymali już polecenie przeprowadzenia wyborów, i że się wzywa kandydatów do zgłaszania się. Czeski Wydział Narodowy (*National-Ausschuss*) protestował przeciw wyborom z Czech, a do protestu przyłączyły się i Stany Morawskie. Wszystkie wyżej wspomniane akta i dokumenta przedrukowane w Roth u. Merck *Quellensammlung* j. w. I tom, Nr. 94-101. Ludność słowiańska w Czechach wstrzymała się od wyborów; patrz Adolf Beer: *Oesterreich* w Bluntschli-Brater *Staatswörterbuch*, tom VII.

zydencyą hr. Ludwika Batthyany'ego, a w którego gronie znajdował się i minister, mający rezydować w Wiedniu dla spraw zagranicznych przy rządzie austriackim w osobie ks. Pawła Esterhazego¹.

Obawa więc zupełnego odpadnięcia Węgier, wojna włoska, niebezpieczeństwo utraty zwierzchniczego stanowiska w Niemczech wskutek postawionej tam na seryo, a popieranej oficjalnie przez króla pruskiego kwestyi Państwa związkowego², a może i zupełnego wykluczenia Austrii z Niemiec, komplikowały jeszcze więcej położenie, i tak już dość groźne i trudne, na wewnątrz tem groźniejsze i trudniejsze, że zarówno ożywcze, jak i burzące fale ówczesnego prądu europejskiego znaleźć tu musiały dla siebie grunt wdzięczniejszy, ponieważ nie uczyniono tu jeszcze zadość zobowiązaniu nadania konstytucyi, przyjętemu wiadomym artykułem 13 akt. związk. r. 1815, a stary system policyjno-absolutny utrzymywał się w niezaprzeczanem panowaniu, i wierzył we własną wiecznotrwałość. System ten, którego esencją było rządzić na zewnątrz zapomocą sztuczek dyplomatycznych, a na wewnątrz na podstawie teoryi o „ograniczonym rozumie poddanych“ był tak zakorzeniony, że gdy nawet ks. Metternich poznał konieczność zmiany i proponował reformy, to nie zdołał pozyskać dla tej myśli żadnego poparcia u innych kierowników państwa. Z drugiej strony nie zdobył się nawet ten system na wytworzenie jednolitego rządu, któryby rzeczywiście kon-

¹ „*In Wien für äussere Angelegenheiten*“; w ustawie samej jednak (art. III, § 13) powiedziano skromniej: „*Einer der Minister wird ununterbrochen um die Person Sr. Majestät sein, und bei allen jenen Beziehungen, welche das Vaterland mit den Erbländern gemeinschaftlich betreffen, Einfluss nehmend, in diesen Beziehungen das Land unter Verantwortlichkeit vertreten*“.

² Fiequelmont zastrzegł się, że polityczne zjednoczenie Austrii z Niemcami nie może alterować stosunku cesarza do jego własnego państwa. Opinia rządu austriackiego co do kwestyi, czy Niemcy mają pozostać związkiem państw, czy też przekształcić się w państwo związkowe, bez żadnej konkluzyi — ogłoszono w *Wiener Zeitung* z d. 21 kwiet. 1848. Roth u. Merck j. w. I tom, Nr. 85.

centrował w sobie całą władzę wykonawczą w najwyższej instancji.

Odróżniano wtedy naczelne urzędy dworskie (*Hofstellen*), które były niejako sekretaryatami panującego, rządzącego osobście, — ministerstwo państwowe i konferencyjne (*Staats- und Conferenz-Ministerium*), t. j. grono osobistych zaufanych doradców korony, — konferencyę państwową, złożoną z 4 członków stałych, a rozszerzaną dowolnie, stosownie do każdorazowej potrzeby, przez powołanie *ad hoc* członków ministerstwa i innych osobistości, — dalej nieokreśloną kategorię ministrów państwowych, których podówczas było sześciu, — wreszcie radę stanu i konferencyjną dla spraw krajowych, czyli dawną radę stanu, założoną jeszcze przez Maryę Teresę¹. Naczelne urzędy dworskie, z których jedne były dla całej monarchii, inne dla pewnych tylko krajów, stały luźnie obok siebie, bez organicznego połączenia, a nadto nie były ogniskiem władzy wykonawczej i nie były doradcami korony². Doradcy korony zaś nie stali znów na czele administracji i władzy wykonawczej nie mieli. Naczelne urzędy dworskie, mające pod sobą poszczególne działy administracji, z wyjątkiem urzędu spraw zagranicznych (kancelaryi państwowej j. w.) i urzędu policyjnego i cenzuralnego, zorganizowane były kolegialnie, na wewnątrz, a ich prezydenci, powoływani także od czasu do czasu do obszerniejszej konferencyi państwowej, przedkładali uchwały kolegium cesarzowi pisemnie. Cesarz zaś zasięgał przed położeniem swego podpisu albo zdania konferencyi państwowej, albo zdania tych ministrów państwowych i konferencyjnych, do których rady miał w danym wypadku najwięcej zaufania, albo też zdania rady stanu, rozpadającej się podówczas na 4 sekeye, a będącej jego przyboczną bezpośrednią radą dla wszystkich spraw, w których ją chciał zapytać o opinię; albo

¹ Patrz *Hof- und Staats-Handbuch des oesterreichischen Kaiserthums* 1848.

² Istniały nadto: Nadworna kamera, czyli Izba skarbową; najwyższy urząd sprawiedliwości; nadworny urząd policyjny i cenzuralny; generalne dyrektoryum rachunkowe i nadworna komisya naukowa (jako osobny oddział w zjednoczonej kancelaryi nadwornej).

wreszcie zdanie jednego z tych ciał przedkładano jeszcze ciału drugiemu, poczem albo rzecz została rozstrzygniętą przez cesarza na podstawie jednej z udzielonych mu rad, albo zwracano ją przedkładającej władzy naczelnej do samoistnego rozstrzygnięcia. W takim ustroju więc ¹ niewiadomo było, gdzie się koncentruje władza wykonawcza państwowa, i kto dźwiga odpowiedzialność za tok państwowych spraw; bo doradcy korony nie rządili, a naczelne urzęda dworskie nie doradzały, nie miały bezpośredniego wpływu na cesarską decyzję, więc i nie mogły być obarczone odpowiedzialnością. Inicytywa, skuteczna kontrola, jednolitość kierunku postępowania, energia i sprężystość działania musiały w takim składzie rzeczy ustąpić miejsca chaosowi.

Ten ustrój rządowy, działający niejako za kurtyną, szczególniejszą otaczał tajemniczością budżet państwowy, który wykazywał około 50 milionów deficytu za r. 1847, a o którym żadnych nie podawano do wiadomości publicznej ani najogólniejszych wzmianek. Nic dziwnego, że powstały ztąd najbardziej pesymistyczne sądy, poparte jeszcze autentycznym faktem, iż rząd widział jedyne źródło ratunku w sprzedaniu bardzo znacznej ilości renty państwowej rządowi rosyjskiemu i drżał na samą myśl nieudania się tego projektu. Powstało ztąd przekonanie, jeszcze wzmocnione ówczesnym kursem tej renty ²,

¹ O organizacyi i zakresie działania wszystkich tych organów patrz: Fr. Kasperek. O Radzie stanu, str. 35. Tenże. Prawo polityczne ogólne, II. 357. Hock. *Der oesterreichische Staatsrath*, str. 651/2, 654, 682, 683, 666. H. Sybel. *Die oesterreichische Staats-Conferenz 1836* (Sybel's *Historische Zeitschrift* 1877). Hartig. *Genesis der Revolution in Oesterreich im Jahre 1848*; str. 21, 35—38.

² Obligacye państwowe pięcioprocentowe stały z początkiem stycznia 1848 po 104 fl. monety konwencyjnej, a obligacye czteroprocentowe po 90 fl. Z początkiem marca spadły pierwsze na 81 fl., drugie na 70 fl. Gdy zaś rząd ogłosił z końcem marca (patrz *Wiener Zeitung* z 28 marca) preliminarz dochodów i wydatków na rok 1848, według którego w normalnym budżecie państwa nie miało być prawie żadnego deficytu, wiadomość tę przyjęto słusznie z ogólnem niedowierzaniem; a wkrótce wykazano, że ogłoszony preliminarz był fałszywym. Szczegóły budżetu patrz u Ad. Beera *Die Finanzen Oesterreichs im XIX. Jahrhundert*. Prag 1877, na str. 174, 202, 203. Springer j. n., str. 248 sq., str. 163 sq.

że państwo stoi nad brzegiem bankructwa, i że w ślad za katastrofą finansową, pójdzie też, w obec węgierskich, włoskich i niemieckich ruchów, rozbić całą monarchii. Najpoważniejsze koła żywiły największe obawy co do egzystencji państwa. Stary system przeżył się zupełnie. Nie dziw więc, że pod wpływem wypadków wyżej skreślonych, długo tajone niezadowolenie, obawy i niepokój gorączkowy jasnym wybuchały płomieniem. Ze wstrząśnieniami, przez które przeszła stolica państwa Wiedeń i kraje koronne, nie mogą się nawet mierzyć podobne, wspomniane już, objawy w Niemczech. Po dniu 13 marca przyszedł i rząd do przeświadczenia, że Austria nie może być nadal rządzoną inaczej, jak inne państwa Europy, a zwłaszcza Niemiec, osobista chęć i wola cesarza uczynienia zadość wszystkim uprawnionym życzeniom i potrzebom objawiła się stanowczo — i nastąpił jeszcze na czas zwrot, będący już podówczas nie cierpiącą zwłoki koniecznością¹.

Byłoby jednak zupełną przesadą twierdzić, że rząd wykonał ten zwrot chętnie i odrazu poszedł tak daleko, jak nakazywał rozum stanu i sytuacja. Przeciwnie, grał on rolę targującego się, i dopiero krok za krokiem dawał się spychać z zajmowanego stanowiska. Pierwszy krok był najdonioślejszy; książę Metternich runął d. 13 marca w nocy i zmuszonym był uciekać z Wiednia. W swych Pamiętnikach pisze on, że „uważa obalenie istniejącego porządku rzeczy za nieuniknione, a nie byłby zdołał mu zapobiec ani przeszkodzić, ponieważ znalazł się już izolowanym“². Nazajutrz *Wiener Zeitung* (Nr. 74) ogło-

¹ Porównaj: Helfert. *Geschichte Oesterreichs vom Ausgange des Wiener October-Aufstandes 1848*, tom I (*die Belagerung und Einnahme Wiens October 1848*): na str. 1: „Es wird heute Wenige geben, die sich nicht mit der Behauptung einverstanden erklärten, dass die grossartige Umwälzung des J. 1848 ein wahres Glück für Oesterreich war. Allein ein Anderes ist es, was das Jahr 1848 in seinen weiteren Folgen und Entwicklungen gebracht hat, und wie uns dies, durch welche Mittel und auf welchen Wegen gebracht wurde“.

² *Aus Metternich's nachgelassenen Papieren. Herausgegeben von dem Sohne des Staatskanzlers, Fürsten Richard Metternich*. Wien 1883, VII. Bd., str. 543.

siła manifest cesarski, w którym monarcha oznajmia, że „dla rozważenia rzeczy, będących na czasie“¹, ustanowił już komitet, do którego należą nietylko członkowie stanów, lecz i reprezentanci mieszczaństwa; że więc należy czekać spokojnie, pod groźbą surowej represyi, na wypadek niepokojów. Tylko jaskrawość takiego faktu, jak upadek Metternicha, zdołała rozjaśnić nieco bladość tego manifestu, który pełna niedecyzyi konferencya państwowa cesarzowi doradziła.

Dnia 15 marca rano ogłoszono, że „Stany niemieckich i słowiańskich krajów i centralne kongregacye lombardzko-weneckiego królestwa mają wysłać najdalej do 3 lipca swych posłów do Wiednia, gdyż cesarz ma zamiar zapewnić sobie ich radę (*Beirath*) w kwestyach ustawodawczych i administracyjnych“. Gdy się rząd spostrzegł, że ta proklamacya nie zrobiła oczekiwanego wrażenia i nie oddziaływała bynajmniej na uspokojenie wzburzonych umysłów, zrobiono nowy krok naprzód i ogłoszono wieczorem manifest cesarski, w którym cesarz, odwołując się do dokonanego pod dn. 14 marca zatwierdzenia gwardyi narodowej dla utrzymania spokoju i porządku w rezydencyi i dla ochrony osób i mienia, oświadcza, iż uznał za potrzebne, dla spełnienia życzeń wiernych swych ludów, zarządzić zniesienie cenzury i zagwarantować przez to wolność prasy, oraz że zarządził co potrzeba dla zwołania posłów wszystkich stanów prowincjonalnych ze wzmocnioną reprezentacją stanu mieszczańskiego i z uwzględnieniem istniejących konstytucyj prowincjonalnych, celem przeprowadzenia postanowionego przezeń ukonstytuowania ojczyzny (*behufs der von Uns beschlossenen Constitution des Vaterlandes*). Z tego patentu wy-

¹ Przez „Zeitgemässes“ zaś, na które można się było zgodzić, rozumiano w sferach rządowych: zniesienie cenzury, wydanie odpowiedniej duchowi czasu ordynacyi gminnej i municypalnej, przeprowadzenie zasady jawności w sądownictwie i administracyi, ustanowienie gwardyi narodowej, nadanie mieszczaństwu i ludności wiejskiej reprezentacyi w Zgromadzeniach stanowych, powołanie stanów z całej monarchii (z wyjątkiem Węgier), złączonych w jedno ciało, jako stany państwowe (*Reichsstände*), jako reprezentacya całego państwa.

nika najpierw, że pierwotnie zamierzoną była droga uchwalenia projektu konstytucji przez konstytuante, a nie miano na myśli oktrojowania jej. Powtóre, że przyszły system repren-tacyjny państwa miał, o ile możliwości, wziąć za punkt wyjścia dawną organizację stanową, która miała tworzyć jego zawiązek. Działo się to w chwili, w której, jak już wiemy, Zgromadzenie związkowe ogłosiło dla przyszłego parlamentu niemieckiego prawo powszechnego głosowania. Po trzecie, że i teraz jeszcze nie chciano wypowiedzieć otwarcie słowa „konstytucya“, widząc w niem, pomimo znanego zastrzeżenia, zawartego w art. 57 akt. zw., zawsze tylko podział władz w myśl dawnych teoryj i wszechwładztwo ludowe. Że zaś w oczach rządzonych znowu tylko słowo „konstytucya“ przedstawiało się jako identyczne z gwarancją ich praw obywatelskich i politycznych, przeto — jak opowiada Springer w swej Historji — dużo strawiono czasu w łonie konferencji na znalezienie wyrazu i zwrotu, któryby i rządzonych zaspokoił i rządzących nie zobowiązywał do utraty części władzy na rzecz rządzonych — i po odrzuceniu licznych proponowanych stylizacyj zgodzono się dopiero na powyższą, jako mogącą ulegać rozmaitemu tłumaczeniu ¹⁾.

Zapowiedziane zebranie wszystkich posłów stanowych, któremu — wedle ces. patentu z 18 marca — przedłożonym być miał także preliminarz dochodów i wydatków państwa, nie przyszło do skutku; natomiast utworzył cesarz postanowieniem z dnia 17 marca pierwsze austriackie ministerstwo w konstytucyjnem tego słowa znaczeniu, t. j. gremium naczelnych wykonawczych organów, będących oraz doradcami monarchy i odpowiedzialnych za działanie własne i swych podwładnych — i nałożył na nie odpowiedzialność za przeprowadzenie i wykonanie zawartych w powyższym patencie zasad, t. j. za przeprowadzenie wolności prasy i ukonstytuowanie ojczyzny. Rada ministrów składać się miała z ministra spraw

¹ *Geschichte Oesterreichs seit dem Wiener Frieden 1809.* Leipzig 1865, tom II, str. 193.

zagranicznych i domu cesarskiego, z ministra spraw wewnętrznych, ministra sprawiedliwości, ministra finansów, ministra wojny, a przewodniczyć miał w niej minister, którego cesarz do tego przeznaczy. Najw. post. z 23 marca dołączono jeszcze ministerstwo publicznego nauczania czyli oświaty, a 11 maja przybyły ministerstwa: handlu, rolnictwa i przemysłu, oraz komunikacji. Prezydentem gabinetu mianował cesarz członka konferencji, hr. Franc. Kolowrata, ministrem spraw zagranicznych hr. Ficquelmonta, a ministrem spraw wewnętrznych nadwornego kancлера, br. Franciszka Pillersdorffa¹. W kilka tygodni jednak (4 kwietnia) ustąpił już Kolowrat, a Ludwik Ficquelmont objął przewodnictwo gabinetu, którego istnienie uczyniło teraz radę stanu z jej ówczesnym zakresem działania niemożliwą, dla kolizyi doradców odpowiedzialnych korony z doradcami nieodpowiedzialnymi — dlatego też rozwiązał ją cesarz 4 kwietnia, a równocześnie arcyksiążę Ludwik, przeciwny nowatorstwu, uwolniony został na własną prośbę od zastępstwa cesarskiego, które przeszło (7 kwietnia) w ręce arcyksięcia Franciszka Karola, z wyraźnem zastrzeżeniem, iż ma być sprawowanem „w obrębie granic, zakreslonych konstytucyjnymi urządzeniami“². Rozwiązano także nadworny urząd policyjny i cenzuralny — kamień wielu obraz — a jego agendy przeszły do ministerstwa spraw wewnętrznych, które zajęło miejsce zjednoczonej kancelaryi nadwornej.

Tak utorowała się powoli droga i uprzątnięte zostały przeszkody. Ministerstwo odpowiedzialne wydało najpierw prowizoryczną ustawę prasową (31 marca), opartą na wypowiedzianej już zasadzie wolności prasy³, a pod wpływem nacisku

¹ Ministrem sprawiedliwości został dotychczasowy naczelnik najwyższego urzędu sprawiedliwości, hr. Ludwik Taaffe, ministrem finansów prezes dotychczasowej kamery nadwornej, hr. Kübeck; ministrem wojny został później Zanini, ministrem oświaty hr. Sommaruga.

Od 3 czerwca zaś został mianowany zastępcą cesarza arcyksiążę Jan, wuj cesarski, ten sam, który 29 czerwca został przez Frankfurckie Zgromadzenie Narodowe obrany zarządcą Państwa niemieckiego (*Reichsverweser*), a potem d. 22 lipca otwierał austriacki Sejm konstytuujący.

³ W ślad za nią poszły: prow. rozp. o postępowaniu w sprawach prasowych, i prow. rozp. przeciwko nadużyciu prasy z 18 maja 1848.

z Czech dało się skłonić do specjalnej akcyi konstytucyjnej w kwestyi politycznego stanowiska Czech w obrębie monarchii, w kierunku, który, jak to zaraz zobaczymy, nie licował bynajmniej z ogólnemi dążeniami gabinetu, i ze sposobem, w jaki on zamierzał przeprowadzić ukonstytuowanie ojczyzny. Wydanem zostało cesarskie pismo gabinetowe z 8 kwietnia, w którym przyrzeczono przekształcenie Sejmu czeskiego w reprezentacyę ludową, opartą na jak najszerszem zakreślonym czynnem i biernem prawie wyboru i posiadającą nader rozległą kompetencyę ustawodawczą ¹ — uczyniono nadzieję połączenia Czech, Morawy i Śląska w trójjedne królestwo i zezwolono na ustanowienie w Pradze centralnych odpowiedzialnych władz dla królestwa czeskiego ². Nie przyszło jednak ani do ustanowienia wówczas tych władz, ani do zebrania się Sejmu, jakkolwiek już po części przeprowadzono do niego wybory.

(Dok. nast.)

Dr. St. Starzyński.

¹ Sejm czeski miał być reprezentacyą ludu, obejmującą wszystkie interesa, opartą, co do wyborów w miastach, na powszechnem prawie głosowania (po wsiach wymagano cenzusu podatkowego), a posiadającą prawo uchwalania we wszystkich sprawach krajowych (*mit dem Rechte, über alle Landesangelegenheiten zu berathen und zu beschliessen*). Specjalnie zaś przekazano nowemu Sejmowi: zniesienie sądów uprzywilejowanych i patrymonialnych, wprowadzenie sądów powiatowych, jawnego i ustnego postępowania, zniesienie stosunków poddańczych, określenie społecznego stanowiska żydów, szczegółowe ustawodawstwo w sprawach gminnych. Zarazem (punkt 9) wszystkie publiczne urzędy i sądy mają być odtąd obsadzone tylko przez osobistości władające oboma językami krajowymi. Patrz w *Gesetzeschronik* (*Zeitschrift etc.* Tomaschka j. w.) nr. 86.

² „*Mit ausgedehnterem Wirkungskreise* (punkt 3)“. Jednakowoż, gdy przez hr. E. Thuna, ówczesnego gubernatora Czech, ustanowioną została 29 maja taka rada rządowa, ministerstwo uznało ją, w obec konstytucyi, za nielegalnie istniejącą, a cesarz najw. post. z 11 czerwca utrzymał to orzeczenie ministeryalne w mocy. Ta rada uznana była w chwili jej założenia za niezależną od rady ministrów, za „prowizoryczny rząd“, albowiem kontakt z ministerstwem był wtedy, po barykadach wiedeńskich, utrudniony, a Thun odmawiał rządowi swobody działania.

ZADANIE APOLOGETYKI

W NASZYCH CZASACH.

Najważniejszym zagadnieniem, zajmującym ludzi wszystkich stanów i epok, to rozwiązanie pytania, z kąd się człowiek wziął i dokąd dąży. Nietylko prawdziwi geniusze i ludzie wyłącznie wiedzy oddani życie całe trawiają nad rozwiązaniem tej zagadki, ale i prosty człowiek, wprzężony w jarzmo pracy, gdy mu czasu nieco wolnego zostanie od trosk o chleb codzienny, lub młodzieniec, burzą namiętności miotany, gdy przychodzą w nim zamieszanie wewnętrzne, nie zadawalniając się odłamkami wiedzy, która życie ich wypełnia, stawiają sobie mimowoli to pytanie, które albo jest dla nich ich aniołem pociechy, albo staje przed nimi, jako straszne widmo: Z kąd jesteś i dokąd dążysz?

Dla człowieka wierzącego, który z radością poddał się prawdzie objawionej, to pytanie żadnej nie zawiera trudności. Wiara nie tylko wyczerpującą daje mu odpowiedź na to: „z kąd się wziął i dokąd dąży“, i wskazuje mu drogę, jakiej się trzymając, do swego ostatecznego dojdzie znaczenia, ale zarazem rozwiązuje tę zagadkę z taką jasnością, że ją każde dziecko zrozumie, — i z taką pewnością, że wyklucza wszelkie powątpiewanie.

Zupełnie inaczej rzecz się ma z przeciwnikami. Choćby całą swą uczoność i wiedzę wyczerpnęli, póki nie wrócą do

chrześcijańskiego katechizmu, nie znajdują rozwiązania tej zagadki. Odpowiedź, którą wiara objawiona daje na te kardynalne kwestye życia ludzkiego, w zanadto jaskrawej stoi sprzeczności z ich życiem, dlatego raczej wolą błędzić po omacku, jak życie swe naprawić na tyle, by się zgadzało z prawdą objawioną.

Ażeby zaś to rozwiązanie zagadnienia, jakie wiara podaje, tem śmieiej odrzucić mogli, nie tylko przeczą objawieniu, ale podkopują same podwaliny, na których możliwość i rzeczywistość objawienia się opiera. A ponieważ fundamenty objawienia w najistotniejszym stoją związku z kwestyami, o których rozstrzygnięcie się rozchodzi, dlatego wysilają całą swą uczoność, by te prawdy ze słownika wiedzy ludzkiej zupełnie wykreślić.

I rzeczywiście, jeżeli istnieje objawienie, jak je pojmuje wiara chrześcijańska, to istnieje Bóg i stworzenie, to Bóg zajmuje się kształceniem swego stworzenia, to dla stworzenia musi być przystępnem objawienie, to stworzenie zobowiązaniem jest poddać się temu kształceniu, jakie mu Bóg przez objawienie podaje, to musi być i cel, do którego ono zmierza.

Jakaż jest zaś odpowiedź na to „zkaż i dokąd“ człowieka, jaką nam wiara objawiona podaje? Człowiek jest od Boga ręką Bożą stworzonym. Człowiek dąży do Boga, do ostatecznego swego celu, na który jest stworzonym. Ażeby człowiekowi dać możność do dopięcia tego celu, Bóg sam przez objawienie wskazuje mu drogę i podaje środki, których się trzymając, doń dojdzie, jednym słowem Bóg go kształci.

Odpowiedź na te dwa zasadnicze pytania życia ludzkiego zawiera się w tych słowach: Bóg i stworzenie. Możliwość zaś i rzeczywistość objawienia równie około tych dwóch obraca się pojęcie: Bóg i stworzenie. Ztąd dualizm, według teologii, jest streszczeniem zapatrywania chrześcijańskiego na życie ludzkie, głównym dogmatem wiary.

Ażeby chrześcijańskie rozwiązanie tego podwójnego pytania uniemożliwić, a z niem wszelkiemu objawieniu i wierze zaprzeczyć, przedstawia nam dzisiejsza myśl bezwyznaniowa

monizm jako główny dogmat, streszczający zapatrywania dzisiejszego postępu.

Nie ma dwu odrębnych istot, Boga i człowieka, jest tylko jedna istota, która jest wszystkim. Albo wszystko jest Bogiem, i to nawet, co my wierzący w ograniczeniu naszym nazywamy stworzeniem, człowiekiem i naturą, jak chce monizm panteistyczny; albo też wszystko jest naturą, materią, a ztąd nie ma Boga ponadmateryalnego, jak chce monizm materyalistyczny. Wszelkie więc objawienie i wszelki porządek nadprzyrodzony w ogóle ustaje zupełnie, jeżeli wszystko jest wyłącznie Bogiem, albo jeżeli wszystko jest wyłącznie materią. Pierwszy przeżył się już prawie zupełnie, nie istnieje, chyba może pokutuje jeszcze w głowie jakiego uczonego, nie idącego z prądem czasu. Materyalistyczny zaś monizm stał się dziś panem sytuacji. Chociaż materyalizm ten różne nazwy przybiera, jednak jeden jest zasadniczy dogmat wszelkich jego odcieni. Jedno tylko istnieje — natura materyalna — prócz niej i ponad nią nie ma nic.

Jakimkolwiek odłamkiem wiedzy dzisiejsi uczeni tego pokroju się zajmują, czy to fizyką, czy fizyologią, biologią czy kosmologią, kosmogonią czy astronomią, geologią czy paleontologią, czy historią z assyriologią i egiptologią, wszystko zmierza do tego, by udowodnić, że wszystko jest naturą tylko, że nie ma Boga, co by stał ponad naturą, a ztąd, że objawienie jest absurdem, a wiara zboczeniem umysłu.

Taką to wiedzę głoszą nie tylko z katedr uniwersyteckich, ale trują nią zarówno i chłopców szkół średnich. I panienki otrzymują te prawdy, jako część wiana im należnego, a szkodliwa zaraza tej doktryny rozszerza się i na warstwy uboższe, karmione gazetami, schlebiającymi po większej części tym zgubnym teoryom, wylęglą w głowach tych pseudomyślicieli. Ztąd nic dziwnego, że już w wielu kołach towarzyskich usłyszeć można podobne zdania: Nie ma Boga, nie ma nieba ani piekła, — to wszystko już dawno naukowo udowodnionem zostało. Ta nauka, jednym słowem, zaprowadziła nas nad przepaść religijnego nihilizmu, który logicznem następ-

ptstwem wiedzy do nihilizmu socyalnego. Jedno tylko pehnięcie, a tłumy całe zdobywszy do praktyki zastosują, której ostatnim słowem: socyalizm.

Zadaniem jednak niniejszego artykułu nie jest bynajmniej moralizowanie; nawiasowo tylko wspomniałem o tych nieszczęściach, jakie bezwyznaniowa nauka przynosi. Pytanie, które rozwiązać zamierzam, jest: co nauka wiary ze swej strony czynić winna w celu obrony tego skarbu, jaki Bóg Kościołowi swemu powierzył? Nie rozchodzi się tu bynajmniej o ocalenie wiary — Kościół nigdy istnieć nie przestanie, a z nim i wiara Jezusa Chrystusa, choćby wiedza i przemoc całą swą siłę wyteżyły na ich zniszczenie; pomoc w tym kierunku zkaładną jest Kościołowi zapewnioną, jak mówi św. Ireneusz. Ale o to idzie, jak nauka wiary okazać ma, że wszelkie zamachy świeckiej wiedzy przeciw wierze, nie są w stanie zasad prawdy wiary zachwiać, choć słabo wierzących i zachwiać i od Kościoła oderwać mogą. Idzie więc tu o to, aby tym, którzy nas o dowody wiary pytają, wykazać, że nasza wiara rozumną jest (*rationabile obsequium*) i na niewzruszonych opiera się podstawach, wszelkie zaś zamiary, dążące do wstrząśnienia wiary, są nierozumnymi, niemądrymi.

To jest zadanie apologetyki najnowszej gałęzi, wyrosłej na drzewie wiedzy katolickiej wiary. Apologia wprawdzie była w każdym czasie uprawianą przez przedstawicieli nauki wiary, nigdy bowiem nie schodziło na wrogach przeciw pojedynczym występujących dogmatom lub całym grupom dogmatów wiary, te zaś zawsze miały dzielnych szermierzy, występujących w ich obronie. Apologetyka jednak w ścisłym tego słowa znaczeniu jest płodem nowszych czasów, powołanym do życia najnowszymi zamachami przeciw wierze. Ostatnimi bowiem czasy wrogo dla wiary usposobione umysły nie zadawałniały się przeczeniem pojedynczych prawd wiary lub zaczepianiem całych grup dogmatów ściśle ze sobą związanych, ale ostrze swej negacyi obróciły przeciw samym podwalinom, na których cała wiara się opiera. Nie istnieje żaden porządek nadprzyrodzony i objawienie: bo Bóg nie istnieje, jako istota od czło-

wieka odrębna, któraby ponad nim stała — nie ma żadnego dowodu, przemawiającego za objawieniem, jako Boskiem kształceniem człowieka, wróceniu bowiem do nicości wyklucza wszelką potrzebę Boskiej nauki, Boskiego zajmowania się ludzkością. Choćby nawet i objawienie możliwem było, to nie ma środka żadnego na jego rozeznanie. Tak zwane bowiem od teologów kryteria są absurdami, kojarzącymi niemożliwe rzeczy. To zaś, co Kościół ludzkości jako objawienie podaje, jakoto: stworzenie świata i człowieka, grzech jako dobrowolne przestąpienie prawa, odkupienie ze Zbawicielem zrodzonym z Dziewicy — to wszystko czezą jest nedorzecznoscia, w którą w ciemnościach pogrążony umysł uwierzyć może, ale co w mgłę się rozplywa przed światłem dzisiejszego postępu.

Takich napaści przeciw zasadniczym prawdom nie może nauka wiary milczeniem pomijać; trzeba było podstawy, na których wiara się opiera, i zasadnicze warunki, umożliwiające rozumną wiarę, przedstawić i udowodnić przeciw wrogim zarzutom, w imię wiedzy podnoszonym. Krytyczny rozbiór podstaw wiary, nauka o zasadach wiary, oto cel apologetyki.

Dlatego to apologetyka w organizmie wiedzy teologicznej tak ważną odgrywa rolę, iż stała się fundamentem nauki wiary, jak to sama jej nazwa stwierdza: *theologia fundamentalis*.

Chociaż ta gałąź wiedzy teologicznej, jako samoistna i wszystkie zasady obejmująca nauka, zawdzięcza swe istnienie nowszemu czasom, nie można jednak ztąd sądzić, że jestto nauka jeszcze niewyrobiona. Apologetyka wyszła już z lat niemowlęcych i stoi przed nami tryskająca całą pełnią życia. Stwierdza to rozległa, a gruntowna literatura apologetyczna, która we wszystkich językach i kwestyach, mianowicie w ostatnim stuleciu niemal we wszystkich pojawiła się krajach ¹.

Jakie jest zadanie tej gałęzi wiedzy za dni naszych, oto treść niniejszej pracy. Czy odpowiedź na to pytanie ma jakie

¹ C. Werner. *Geschichte der apologetischen und polemischen Literatur der christlichen Theologie* — idem: *Geschichte der katholischen Theologie seit dem Trienter Concil. 3. Buch.*

znaczenie i jakiej ono jest doniosłości, sąd o tem pozostawiam czcigodnym czytelnikom, którym nie mniej o prawdziwą wiedzę się rozchodzi, jak i o wierne trzymanie się wiary Chrystusowej.

Apologetyka jest wiedzą odporną, że zaś wszelka obrona przeciw pewnym wymierzona jest przeciwnikom, dla tego też jej charakter powinien się stosować do odpowiednich nieprzyjaciół, z jakimi walczy. Wprawdzie zawsze wszelkie napaści skierowane są przeciw tym samym zasadniczym prawdom wiary, sam jednak sposób zaczepiania wiary w różnych występuje odcieniach. Jeżeli więc chce sprostać swemu zadaniu, to musi się zmierzyć oko w oko z odpowiednimi przeciwnikami, poznać sposób, rodzaj ich zaczepkę, zbadać ich doniosłość, ażeby mogła przeciw nim wystąpić z taką bronią, którąby ich pokonać mogła.

Jacy to są ci wrogowie, którzy za dni naszych godzą w same zasady i podwaliny wiary. Bliżej się przypatrzwszy dzisiejszej wiedzy, wyznać musimy, że monizm panteistyczny prawie ustąpił już z areny świata. Schelling, Hegel i inni wyznawcy panteizmu dla braku ścisłości i sprzeczności wewnętrznych, jak nie mniej dla rokoszu podniesionego przeciw zasadniczym prawom rozumu, utracili wszelki mir. Chyba tylko gdzieś tam podeszły w lata profesor, na starość nowego nie chce chwycić się systemu, albo młody jaki filozof, który z czasem nie postępował, hołduje jeszcze panteizmowi. Panteizm ten idealistyczny, wogóle mówiąc, już nie należy do systemów wierze przeciwnych, któreby na ściślejszy zasługiwały rozbiór.

Czy może Hartmannowska Filozofia nieświadomego jest tą przeciwniczką wiary, z którą dzisiejsza apologetyka ścierać się musi? Przecież ona to w pierwszym zaraniu swego istnienia tyle zdobyła umysłów, i tak się rozszerzyła, czem się żaden inny system w swych początkach poszczycić nie może. Czy to tak świetne zwycięstwo przypisać mamy głębiom wiedzy, jakie w sobie zawiera? Czy też tryumfy swe zawdzięcza sile przekonywującej swej metody nauki historyi przyrodniczej?

Broń Boże! Filozofia nieświadomego jest tylko symbolem wiary tych, którzy mimo ubóstwa i lenistwa myśli, na wykształconych pozują. Cały aparat uczoności, w jaką „nieświadome“ się przybrało, tak zaślepił umysły tych biednych ludzi, że się ślepo poddali, i to arcykomiczne nieświadome na gwałt do głowy wpakowali.

Dwie są tylko prawdy, jakie rzeczywiście Hartmann dowodzi t. j. że w całej naturze uderza nas dziwna, nieświadoma celowość, która obejmuje wszystko i zarówno przejawia się w wielkich, jak i małych rzeczach; i po drugie, że człowiek każdy szukający szczęścia w rzeczach doczesnych, znajduje tylko gorzkie rozezarrowanie. Te dwie prawdy w najlepszy sposób pogodzić się dadzą ze starą katolicką filozofią, i zdają się jakby żywcem ze skarbu wiary wyjęte. Czego tedy Hartmann dobrze dowodzi, to nie stoi w żadnej kolizyi z wiarą chrześcijańską.

Pierwiastkowa istota nieświadoma, która jest wszystkim w jedni, a którą za pozwoleniem Hartmanna bogiem nazwać wolno, od której wszelkie istniejące konkretne rzeczy i zjawiska, władze i czynności pochodzą, z prawdziwą hartmannowską wiedzą natury, i z indukcyjnymi dowodami z niej czerpniętymi żadnego nie ma związku; ta nieświadoma istota jest czezą tylko fikcyą, którą przedstawia czytelnikom, nie starając się nawet konieczności jej istnienia udowodnić, chociaż ona tyle absurdów zawiera. Dziwić się trzeba śmiałości Hartmanna, że podobną niedorzeczność mógł rozumnym przedstawić czytelnikom.

Jeden tylko przytoczymy przykład na stwierdzenie, że nauka wiary od takiej filozofii nie ma się czego obawiać. Co mówi Hartmann o początku świata? Przed istnieniem świata ta *pierwiastkowa istota była aktualną nicością*, istotą nieczynną, w sobie zamkniętą, obraną z wszelkiego istnienia. To więc pierwszy dogmat filozofii Hartmanna? Istota pierwiastkowa, a więc istniejąca, choć nieczynna, która jest zarazem zaprzeczeniem wszelkiego istnienia, w ścisłym tego słowa znaczeniu nicością! Jakiż na to dowód? Ani jeden!

Dodajmy do tego, że ta nicość jest duchem absolutnym, posiadającym wolę i pojęcie, a nie mającym żadnej świadomości. To drugi dogmat! Nicość jest zarazem duchem, wolą i pojęciem obdarzonym. Cóż przytacza na stwierdzenie tego zdania? Nie znajdziemy nic, prócz gołosłownego twierdzenia berlińskiego filozofa.

Następuje trzeci dogmat, tragikomiczne powstanie świata. Ta istota pierwiastkowa, która zarazem nie istnieje, jest wolą i jako taka zdobywa się na początki chcenia. Ale to chcenie jest jeszcze czczem, bez treści, bez przedmiotu, do którego skierowanemby było, samem tylko łaknieniem bytu. (Co za banalna niedorzeczność, chcenie czyli pragnienie nie skierowane do żadnego przedmiotu, a jednak chcenie bytu! Czy byt żadnym nie jest przedmiotem?).

Wreszcie temu łaknieniu i pragnieniu przychodzi w pomoc pojęcie, którego przedmiotem jest nasz świat. Wola łączy się z pojęciem, i wynikiem tego skojarzenia jest istniejący świat. Pragnienie jest ojcem świata, któremu świat istnienie swe zawdzięcza, pojęcie jest jego matką, od niej ma swój ustrój, swą formę.

Jaki sąd wydaje zdrowy rozum ludzki o tego rodzaju powstaniu świata? Zkąd przychodzi ta nieświadoma istota pierwiastkowa, będącą negacją bytu, do idei świata? Czyż taka teoria nie jest tysiąc razy trudniejszą do uwierzenia, aniżeli to proste, jasne słowo, które czytamy na pierwszej stronnicy objawienia: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię“?

Lecz nie na tem koniec. Biedne to nieświadome, łącząc w swym uścisku wolę i pojęcie, z czego świat ten powstał, zdobyło się na największą niedorzeczność. Ten świat jest początkiem wszelkiego nieszczęścia, źródłem największej rozpacz, która wgryzła się w nieświadome. Świat ten bowiem jest czemś tylko skończonem, i dlatego nie może nieskończonej próżni chcenia wypełnić. Obok tego cząstkowego spełnienia woli, pozostaje jeszcze nieskończona otchłań nie spełnionej, a dającej się spełnić woli. Ztąd wynika wszelkie nieszczęście w świecie, któremu nic innego nie jest w stanie zapobiec

jak to tylko, że wola trawiona gorączką szczęścia, a nigdzie go nie znajdująca, rzuci się znowu w ochłah nicości, z której powstała. To smutne zadanie wyzwolenia woli z pod jarzma tylu rozczarowań, prowadząc wolę wstecznym pochodem do nicości¹.

Któż może uwierzyć tej komedii, jaką nieświadom odgrywa, nie mając żadnego innego dowodu na stwierdzenie tych nonsensów prócz Hartmannowskiego *αὐτός ἐφη*. Cała nauka, jaką w swem dziele nagromadził, postępuje obok tej głównej jego idei dla parady tylko, aby olśnić rozum prostego czytelnika, i zmusić go do oddania czci Boskiej nieświadomemu.

Może kto zarzucić, że to niepodobna, aby Filozofia nieświadomego, która w zasadniczej swej myśli tyle skupia niedorzeczności, mogła tak wielu zyskać wyznawców przedewszystkiem z warstwy ludzi uczonych, którzy przecież wszystkie te absurda, a przynajmniej głównejsze poznali! Może raczej wyznać trzeba, że tak prędkie rozszerzenie się Filozofii nieświadomego najlepszą jest gwarancją, że ukrywa ona w sobie rzeczywiste skarby prawdy, zgodne z wymaganiami rozumu?

Posłuchajmy, co mówią na ten rozumny kierunek filozofii Hartmanna, ludzie, nie należący wcale do szkoły katolickiej. Materyalista H. Fischer mówi, że cała filozofia berlińskiego uczonego, zdawała się mu być chórem, w którego skład 100 tysięcy obłąkanych wchodzi². R. Hayn nazywa ją umysłową chorobą na metafizyczną (?) wielkość³. Henne am Rhym orzeka, że ten kierunek, usuwający się z pod wszelkiej krytyki w sferze rozumnej wiedzy, dłużej cierpianym być nie powinien⁴.

Zkąd więc pochodzi tak wielki jej mir? Pierwszej przyczyny nie trzeba nam w rozumie, lecz w życiu wielu jej wyznawców szukać. Wrosła w ich umysły pycha sprawia, że ro-

¹ *Philosophie des Unbewussten* od str. 724—795. Porównaj Stöckla *Historyą filozofii*, str. 906 i następ. Pesch. *Welträthsel* tom II str. 51 i następ.

² *Filozofia Hartmanna*, str. 137.

³ *Roczniki pruskie* 1873, tom 31, str. 290.

⁴ *Deutsche Warte* tom 4, str. 68.

dzaj czei bałwochwalczej, jaką im system panteistyczny przyznaje, przystępnymi i miłymi im czyni jej dogmata. Gonitwa za szczęściem wciąż zawodząca, popycha żądę używania do pesymistycznego zwątpienia o wszystkim. W tem tkwi sekret dziwnego powodzenia panteizmu pesymistycznego, dawniej Schoppenhauera, dzisiaj Hartmanna. Czyż to nie schlebia całym tłumom usłyszeć z ust uczonego człowieka, że obowiązek starania się o sprawiedliwość i moralność w swem życiu, teologiczną jest niedorzecznością?¹

Jakżeż więc zabrać się winna apologetyka do dzieła, aby obronić prawdy wiary przeciw temu wrogowi?

Jakeśny wyżej wspomnieli, dowodu, zaczerpniętego z dziedziny nauki przyrodniczej, który na całości filozofii Hartmanna wyciska piętno głębokiej uczoności, użyć można znakomicie do udowodnienia, że jest jeden Bóg nieskończenie mądry i dobry, który świat wszechmocą swą z nicości wyprowadził, i według praw nakreślonych swą mądrością i dobrocią prowadzi go do jego celu. Cała bowiem ta nieświadoma celowość, którą prawdziwie po mistrzowsku w całej naturze uwiłdocił, wskazuje myślącemu umysłowi tego Mistrza, który każdemu stworzeniu, choćby najmniejsze było, nadał pewien cel, i wyposażył je odpowiednią siłą, by do celu swego doszło.

Co ma filozof chrześcijański powiedzieć na nieszczęście dominujące, na to niezadowolenie natury ludzkiej, goniącej tylko za szczęściem ziemskim i rozkoszą zmysłową? Zdaje się, że i to, opuszczając przesadę, można zużytkować dla wiary, wykazując podwójną tego przyczynę: że źródłem wszelkiego nieszczęścia jest grzech, i że szczęście i zaspokojenie swego serca znajdzie ten tylko, kto je w Bogu szuka. „Niespokojnem jest serce nasze póki nie spocznie w Tobie, Boże“. Aug. św.

Główną myślą dzieła Hartmanna, przedstawiającą nieświadomą, jako istotę absolutną — jako Boga, nie ma się co zbytecznie apologeta zajmować. Wystarcza tu zupełnie przedstawić historią życia nieświadomego, tak jak ją sam jego autor przed-

¹ *Phil. des Unbewussten*, str. 641.

stawia, w kilku zarysach, uwydatniających jego braki. Okaże się z tego, że cała ta praca jest czczym tylko płodem wyobraźni, łączącym w sobie największy nierozum z brakiem wszelkiej logiki. Zdrowy rozum ludzki ze wstrętem się odwróci od tego rodzaju zlepku niedorzeczności, który tak dla autora, jak i jego czcicieli jest krzyżującym *testimonium paupertatis*. Na tego rodzaju dzieło nie potrzebuje apologetyka zwracać uwagi, tem mniej, nie ma się go co lękać; jest ono tylko dodatkiem do historyi ludzkiego obłądzenia, i ztąd może tylko służyć do udowodnienia, w jak wielką otchłań głupoty wpada rozum ludzki, który od tej objawionej prawdy się oderwał, i z prawdziwą nienawiścią ją prześladowuje. I tu da się zastosować słowo apostoła: *Revelatur ira Dei de coelo super omnem impietatem et injustitiam hominum eorum, qui veritatem Dei in injustitia detinent... Dicentes enim, se esse sapientes, stulti facti sunt*¹.

Największym wrogiem, przynajmniej według własnego mniemania, który zagraża wierze naszej zupełnem zniszczeniem, jest dzisiejszy materialistyczny empiryzm. Rożnorodne są wprawdzie systemy, które gruntowne a sumienne badanie wywiesza jako godło swej nauki, a w każdym z nich tyle znowu jest nowych systemów, ile głów, występujących nieraz z całą nienawiścią przeciw sobie, lecz w jednej rzeczy dziwnie zgodnych, w walce przeciw starej wierze Chrystusowej. Spotykamy się tu z agnostycyzmem angielskim, z nowomodną filozofią pozytywizmu, z mechanicznym monizmem, jako filozofią materializmu, dynamizmu, psychizmu, z hylozoizmem albo filozofią żyjącej materii — i wieloma podobnymi „izmami“.

Jakie jest zadanie apologety w stosunku do tej nauki? Czy ma poprostu wszystko, z czem występuje, ignorować? Nie! Musi on tu spełnić zadanie, jakie spełnili nasi przodkowie, ci wielcy filozofowie katolickiej szkoły, gdy filozofia arystotelesowska, przybrana w szaty arabskich badaczy, zaczęła wiarę podkopywać, dążąc do jej zniszczenia. Nie oddzielali się od tej wiedzy murem chińskim, lecz zabrali się do jej zbada-

¹ Rzym. I, 18—22.

nia. Wszystko, cokolwiek tylko w niej dobrego i pięknego znaleźli, użyli do objaśnienia i obrony wiary, co w niej było niedostatecznem, uzupełnili według prawd objawienia, zadaleko idące wnioski wykazali, cześć domysły odrzucili, — i tak postęp ogromny w głębszem poznaniu prawd naszej wiary datuje się od napaści arystotelesowskiej nauki na prawdy wiary.

Podobne zupełnie zadanie ma dziś chrześcijański filozof do spełnienia. Niech przedewszystkiem zbada zasadnicze prawdy, na których się te systemy opierają, które wiaręby podkopały, gdyby były za prawdziwe uznanymi. Powtóre niech wykaże wszelkie fikcje i zmyślane fakta, wszelkie niezgadzające się z prawdą przypuszczenia, które nie są płodem ścisłego badania, a jednak pod tem hasłem przeciw wierze występują. Po trzecie, niech zestawii fakta, które wiedza za udowodnione uważa, z prawdami wiary i objawienia, aby wykazać, że sprzeczność między wiedzą a wiarą, którą uczeni tak się popisują, jest tylko pozorną.

Po czwarte, wyznawcy czystej wiedzy czasami odczuwają, że świat ostatecznie bez religii obejść się nie może, dlatego starają się odpowiedzieć tej potrzebie przez wymyślanie nowych systemów religijnych, aby nimi zastąpić wiarę Chrystusową. Czy są jednak te systemy w stanie zastąpić starą historyczną wiarę Chrystusa?

Takie zdaje mi się stanowisko winien zająć apologeta w obec zdobyczy empirycznej wiedzy. Nie potrzebuje on śledzić wszystkich błędów, które, mimo całej ścisłości, popełniają koryfeusze wiedzy dzisiejszej; to może śmiało zostawić jej autorom, którzy nawzajem je sobie z nieubłagany wytykają krytycyzmem. Wystarczy mu na te zwrócić li tylko uwagę, które w jakikolwiek bądź sposób występują przeciw wierze objawionej.

Niektóre objaśnienia, dotyczące punktów wyżej wspomnianych, całe zadanie apologetyki obejmujących, wystarczą do wykazania, jak wielka jest ważność tej nauki, tak dla wiary, jak i dla prawdziwej wiedzy.

I) Zbadanie samych principów czyli prawd, na których przeciwnicy swe zdania budują.

Pozytywizm, który nam jako nauka XIX wieku i wszystkich następnych stóleci przedstawianym bywa, uważa następne aksjomy za podstawę wszystkich sobie pokrewnych systemów. 1) Metoda pozytywna, czyli metoda oparta na bezpośrednim doświadczeniu tak w wiedzy wogóle, jak we filozofii w szczególności, jedynie zastosowaną być winna. 2) Wszystko, co wykracza poza sferę zmysłów, wszelki absolut, wszelka metafizyka, jak np. istota rzeczy, substancja, dusza, Bóg jest czezą chimera, fantazją, mrzonką — i dlatego z dziedziny wiedzy kategorycznie wykluczonem być winno. 3) Miejsce Boga, jako punktu środkowego, łączącego pozytywistyczne poglądy na świat z porządkiem świata, zajmuje ludzkość. To jest idea Augusta Comte'a, z którą angielscy agnostycy zupełnie się zgadzają, chociaż nie chcą w nim uznać swego rodzica, jak Stuart Mill, Herbert Spencer; Fr. Harriison otwarcie wyznaje, „że agnostyczna wiedza, jako odpowiedź na system teologiczny, zupełnie stoi na stanowisku pozytywizmu Comte'a“¹.

Czyż więc może chrześcijański filozof, który sobie obrał za zadanie obronę wiedzy katolickiej, przyjąć te principia bez zdrady swojej wiary. Z pewnością, że nie!

„Pozytywna wiedza nie bada pierwszych przyczyn i ostatnich celów rzeczy — mówi Barthelot — wcale nie podejrzany świadek. Polega ona na zestawianiu zjawisk, na wzajemnem ich połączeniu, w którym bezpośrednie zjawiska są punktem wyjścia, prowadzącem do wyświecenia danego przedmiotu. Badacz skreśla fakta, oparty na spostrzeżeniu i doświadczeniu, zestawia je ze sobą, i wysnuwa ztąd wzajemne relacje, tj. ze sumy pojedynczych zjawisk dochodzi do faktów ogólnych. Łańcuch tych wzajemnych relacyj stanowi przedmiot i treść pozytywnej wiedzy“². Doskonale! Ale czy tem samem wyczerpnięty jest zakres wiedzy możliwej? Historia naturalna i wszelka

¹ Ninetieth Century, 1884 p. 496; porównaj: Spór Harrisona ze Spencerem w *Revue occidentale* 1885, str. 88.

² Barthelot. *La science idéale et la science positive* (Lettre à Renan Pragm. Philosoph. str. 193).

nauka pomocnicza, nie mają rzeczywiście żadnego innego zadania, jak zestawiać grupy zjawisk przyrody, które przez pilne badania dostatecznie poznali, to, co w nich jest wspólnego, podnieść, i wskutek tego dojść do poznania jednozgodności zjawisk i do tożsamości ich następstw, a ztąd orzec ich prawa. Ale czy nad tę nie ma już żadnej innej? Czyż wszelka myśl, wychodząca poza te ciasne granice, jest czezą tylko uludą? Rozum ludzki, trawiony żądzą wiedzy, nie zaspokajający się zewnętrzną skorupą zjawisk, pyta zkąd te zjawiska i na co? I nie miałby na te pytania żadnej prawdziwej znaleźć odpowiedzi? Przyczyna sprawcza i cel widomych zjawisk, to te dwa wielkie pytania, które ustawicznie zajmują ducha ludzkiego, i tylko skarłowaciały umysł niektórych badaczy, właśnie w tej sferze pracujących, miałby znaleźć swe zaspokojenie w zewnętrznem badaniu zjawisk, jakby one żadnej przyczyny sprawczej, żadnego celu nie miały? Czy ten obraz badacza przyrody zgadza się z prawdą? Pięknie opisuje ktoś pozytywnego badacza: „Zajęty pracą, siedzi w obszernym pokoju. Okna zamknięte. Poza temi oknami leży prawdziwa istota materji i ostatnie przyczyny zjawisk przyrody. Badacz to wszystko poznaje, jako poza oknem będące. Gdyby to wszystko chciał zbadać, musiałby przedtem o zamknięte okno głowę sobie rozbić“¹. Czyż więc koniecznem głowę rozbić, chcąc dojść do zbadania ostatnich przyczyn i celów?

„Zakres ludzkiej wiedzy nie sięga poza sferę zmysłowego poznania“. W tych słowach prof. Nägeliego zawarty jest główny dogmat całego empiryzmu². Ztąd jawny wynik. Wszystko, co jest nadzmysłowem, jest dla wiedzy nieprzystępnem, a ztąd cała metafizyka niczem innem nie jest, jak poezją i złudzeniem. „Metafizyka Platona, Kartesiusza i innych, tylko nowicjuszków jeszcze uwodzić zdoła; dlatego straciła już prawo do nazwy wiedzy poważnej“³. „Religia i metafizyka nie mają

¹ Alb. Wigand. *Darvinismus* II, 363 i na innych miejscach.

² Nägeli cf. Du Bois-Reymond. *Rede über die Grenzen des Naturerkennens* 1872 i *Rede über die Sieben Welträthsels* 1880.

³ Ludwik Büchner. *Kraft u. Stoff*.

żadnego przedmiotowego znaczenia“¹. W metafizyce wszystko jest chmurą ciemności zakryte i pełne sprzeczności: to jest zarzut główny, jaki zbić musi filozof chrześcijański, wykazując przedmiotową konieczność metafizyki.

Pod pewnym względem słuszną przynależność musimy przyznać pozytywistom, przeciw metafizyce szkoły kantowskiej, lecz oni się tem nie zadawalniają, i uderzają głównie na metafizykę średnich wieków. Vogt nazywa średniowiecznych metafizyków *speculierende Struwpeter*. T. A. Lange rozpisuje się o ich „wyższem obłąkaniu“. Łatwo nam pojąć przyczynę tych niechęci: panowie ci nie znają wcale scholastyki, jak chyba z nazwy tylko, wątpimy nawet, czy z alfabetem jej się zapoznali. Dawna filozofia jest dla nich zanadto twardym pokarmem, wolą więc raczej złorzeczyć jej mistrzom, jak te malcy, co gdy lekcji się nie nauczą, przyczynę tego zwalają na profesora, że za ciemno im pensum wyłożył.

Jest byt ponadzmysłowy, to oni sami zeznają² żądzą zdarcia zasłony zakrywającej go, nie znam bowiem żadnego empiryka, któryby nie chciał swe badania przybrać w szaty uczoności, któryby ze sfery doświadczeń nie zbaczał do dziedziny przyczyn i celów — a przecież to jest zadaniem metafizyki. Wspaniały tego przykład mamy w Tyndallu. Szuka on przyczyny konieczności i tożsamości praw w przyrodzie „Wstępujemy — mówi on — parci wyższem natchnieniem, z zakresu doświadczeń do samych przyczyn (pryncypiów), od których one zawisły... To przejście od pojedynczych zjawisk do ich przyczyn nazywamy indukcją, która w najwyższym swym rozwoju jest inspiracją, natchnieniem“³. Czyż takie przejście od pojedynczych faktów do praw ogólnych i ich przyczyn nie jest zadaniem metafizyki?

¹ August Comte. *Cours de la philosophie positive*.

² *Die Sieben Welträthsel*: 1. Materie u. Kraft; 2. Ursprung der Bewegung; 3. Entstehung des Lebens; 4. Zweckmässige Einrichtung der Natur; 5. Entstehung der einfachen Sinnesempfindung; 6. Das vernünftige Denken; 7. Die Willensfreiheit. Du Bois.

³ Tyndall. *Fragmenta*, wydanie niemieckie, str. 68.

Najważniejszą dla jednych przyczyną, dla której tak się metafizyki lękają, jest ta, że ona wiedzie mimowoli do Boga, do prawdziwie czystej etyki, oni zaś ani jednego, ani drugiego sobie nie życzą. Inni zaś na oślep idą za swymi mistrzami. Rozwiązanie zagadki świata od tysięcy lat przedmiotem było wiedzy i celem prac najwyższych geniuszów ludzkości. Czy wszystko, co o tem pisano, jest tylko „obiędem wyższego stopnia“? Tego rodzaju zdania o starej metafizyce są tylko płaszczykiem grubej niewiedomości. Przykład ten dostatecznie nas poucza, jak konieczną jest rzeczą, by chrześcijański apologeta gruntownie zbadał principia, na których wroga wierze nauka się opiera.

A więc ta główna zasada pozytywizmu, że niema nadzmysłowej wiedzy, ani metafizycznej prawdy, oto jest fałszem, absurdem, występującym przeciw zdrowemu rozumowi ludzkiemu, potępionym przez powszechny zdrowy rozsądek (*le sens commun*), z którym Aug. Comte tak się liczy. Tak samo w pozytywizmie w ogóle, jak we wszystkich gałęziach nauki po szczególe, hołdujących tym samym zasadom, napotkać można całą masę zdań, bynajmniej z prawdą nie licujących. Np. prawo natury bez Boga, jako prawodawcy; dążność celowa w przyrodzie, bez najwyższej i najmędrzej przyczyny, cel zakreślającej; niezgodność między niezmiennymi prawami mechaniki, a dążnością celową; każda dążność celowa jest wolą, a jako taka opiera się na poznaniu choćby nieświadomem siebie; Bóg i świat jedną są istotą, tworzącą nierozzerwalną całość; rozwój stopniowy świata bez początku itp. nonsensa, na których buduje dzisiejsza psychologia, biologia, geologia, kosmologia. Ileż tych gołosłownych twierdzeń wymierza swe ostrze przeciw wierze i przeciw zasadniczemu jej prawdom, w obec których może się obejść świat bez osobowego ponadświatowego Boga, a człowiek jako istota bezduszna, nie może być podniesionym do porządku nadprzyrodzonego. Takie aksjomy apologeta zwalczać powinien i cześć ich wykazywać. (Dok. nast.)

Ks. A. Langer.

UBIORY PROFESORÓW I UCZNIÓW

W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM

W ZWIĄZKU Z WSPÓŁCZESNYMI ZWYCZAJAMI (1364—1889).

(Ciąg dalszy).

9. Rektor i prorektor.

Wiadomość o rektorach naszego uniwersytetu podałem już w Kronice uniwersytetu Jagiellońskiego¹. Mówiłem tam o stanowisku rektora, o zewnętrznych oznakach jego władzy i dostojenstwa, o berłach i o stroju rektorskim.

Do szczegółów w Kronice zestawionych, mało co mam do dodania.

Powiedziałem, że nasz uniwersytet odziedziczył z przeszłości trzy berła, z których najstarsze tylko jest berłem rektorskim, zaś dwa młodsze, a mianowicie berła darowane uniwersytetowi przez biskupów Oleśnickiego i Maciejowskiego, są berłami kanclerskimi. Do dowodów podanych przezemnie mogę dodać inny jeszcze. Na znanym nam obrazie przedstawiającym procesyą w uroczystość św. Jana Kantego z r. 1775, niesie bedel przed rektorem jedno tylko berło, zaś dwa inne idą przed całym orszakiem uniwersyteckim.

Bedel. Do oznak zewnętrznych władzy i powagi rektorskiej zaliczano w średnich wiekach i bedeli. Chodzili oni

¹ O rektorach uniw. Kazimierzowskiego i Jagiellońskiego w Krakowie wraz ze spisem wszystkich rektorów od roku 1400 aż do obecnej chwili. 1887.

bowiem przed rektorami, urzędownie występującymi nawet i w tych uniwersytetach, w których nie było bereł do noszenia. Jest tedy usprawiedliwienie na to, że tutaj, gdzie mowa o zewnętrznych oznakach władzy rektorskiej, — mówimy i o bedelach.

W naszym uniwersytecie nazywano tych, że tak powiem, liktorów rektora, po łacinie sapientia, bidellus czyli bedellus, servitor lub servus universitatis, famulus, nuntius communis. W XV i początkach XVI w. najczęściej spotykamy się z nazwą sapientia.

Bedeli przyjmował w służbę rektor, a potwierdzało zgromadzenie wszystkich profesorów zwyczajnych uniwersytetu. Przyjęty bedel składał odpowiednią przysięgę¹.

Zakres czynności bedela średniowiecznego był o wiele większy i poważniejszy, aniżeli dziś. Nie podobno tu wyliczać wszystkich jego zajęć; poprzestaniemy na ważniejszych. W Niemczech w niektórych uniwersytetach bedele byli jednocześnie notaryuszami, u nas jednak nie przyjął się ten zwyczaj². Bedele kontrolowali pilność profesorów i uczniów, byli instygatorami urzędu rektorskiego, udzielali z polecenia rektora ustnych napomnień profesorom³ i uczniom, bywali niekiedy wydelegowani do odebrania od nich przysięgi⁴, odgrywali rolę świadków w sprawach urzędowych.

To też chcący zostać bedelem musiał mieć pewne wykształcenie, musiał co najmniej umieć czytać i pisać po łacinie. Między bedelami XVI wieku występuje niejakiś Jan bakałarz filozofii, inny znów zrezygnował z altaryi u św. Anny, by pozostać bedelem.

Bedeli w średnich a nawet i w późniejszych wiekach poważano bardzo, rektor brał ich w opiekę i obronę przed

¹ W r. 1751 „... super servandis secretis universitatis, quorum erant conscii, bono eiusdem universitatis promovendo et, quae demandata fuerint, fideliter exequendis“. Act. rect. str. 422.

² Zob. Conclus. univ. r. 1501, pag. 66.

³ Zob. Act. rect. 1533, str. 1216.

⁴ Tamże, r. 1538, str. 61.

napaściami ze strony profesorów i uczniów; nieraz wywiązywał się między nimi a scholarzami, jeżeli nie serdeczny, to bardzo czuły stosunek.

W naszym uniwersytecie w czasach, o których tu mowa, nie zdarzyło mi się jednocześnie więcej spotkać bedeli w czynnej służbie nad dwóch.

Bedele pobierali stałą pensją, a oprócz tego mieli pewne dochody z opłat promocyjnych i bursalnych. Los bedeli, którzy dla jakiej słabości z służby wystąpić musieli, był zdaje się nie do pozazdroszczenia. W r. 1515 usunięto bedela z powodu sparaliżowania od służby i przyznano mu aż do śmierci połowę tego dochodu, który dla bedeli wpływa tytułem opłat promocyjnych i bursalnych. Uchwalono jednocześnie, że w przyszłości w takich wypadkach bedel niezdatny do służby będzie tylko jedną trzecią tych dochodów pobierał. Bedele czynni sprzeciwili się tej ustawie, którą też z powodu tego zmieniono w ten sposób, że bedel odsunięty od czynnej służby, będzie kwartalnie pobierał pół marki tytułem jałmużny, zaś po dniu Arystoteles, tj. po każdorazowej promocyi magistrów, dostanie jedną markę, gdy liczba promowanych będzie znaczna, w przeciwnym razie według liczby magistrów¹.

Ile w XV i XVI wieku stała pensja bedeli wynosiła, nie udało nam się zbadać. Dochody z opłat bursalnych objaśnia nam zatarg wynikły w r. 1594 pomiędzy bedelami a scholarzami, zamieszkałymi w bursach i szkołach. Dowiadujemy się, że statut uniwersytecki zobowiązywał każdego ucznia akademii do płacenia co kwartał po $\frac{1}{2}$ grosza na rzecz bedeli. Tych opłat odmówiły w tym właśnie roku wszystkie bursy i szkoły prócz bursy Jeruzalem i szkoły przy kościele Panny Maryi. Rektor rozstrzygnął spór na korzyść bedeli.

W XVIII w. pobierał każdy bedel 16 złotych rocznej pensji, a oprócz tego po 20 złotych dodatku rocznego na mieszkanie².

¹ Zob. Arch. Senatu akadem., p. l. 32, str. 331, 332 i 342.

² Zob. Arch. Sen. akad., p. l. 40, str. 25, r. 1768: „Bedellis salarium pro quatuor quartalibus à fl. 8 = fl. 32“. Tamże: „Bedellis a mansione 40 fl.“ Tamże, str. 58, r. 1769: „Bedello Zastawski salarium annuum 16 fl.“.

Ubranie bedela. Prócz gotówki dostawał bedel ubranie. W r. 1697 sprawiono bedelom nowe togi i zapłacono za sukno, potrzeby i robotę 99 złotych i 15 groszy, za birety 8 złotych¹. W r. 1768 wydano za sukno francuskie na suknie dla bedelów z potrzebami, barchanem i krawcem 310 złotych². Z powyższych szczegółów dowiadujemy się, że bedel miał odrębny strój, składający się z togi i biretu. W togach i biretach występują bedele w ilustracji z początku XVIII wieku. Dwaj bedele stoją tam po bokach tronu, na którym zasiadł kanclerz uniwersytetu biskup Łubieński, jako przewodniczący aktowi promocyi; obaj ubrani są w błękitne togi z wyłogami i podszewkami fioletowanymi; rękawy tog są szerokie; birety na głowie mają podobną co toga barwę³. W togach występują też bedele na znanym nam już obrazie z r. 1775, przedstawiającym procesyą na cześć św. Jana Kantego.

Strój rektora. Nie ulega wątpliwości, że rektorowie uniwersytetów w najdawniejszych już czasach nosili w pewnych okolicznościach i przy pewnych czynnościach strój, którym się wyróżniali z pośród profesorów uniwersytetu, i który w swej jakości i składzie był również odznaką ich władzy i preemineney. W Padwie w XIV wieku pozwolił senat wenecki rektorowi nosić suknię purpurową, oraz złotą stulę, a ustępującemu wręczał złoty łańcuch z orderem św. Marka. Historyograf uniwersytetu paryskiego Bulaeus, żyjący w XVII wieku, pisze, że i za jego czasów i w dawnych wiekach rektorowie tamtejszego uniwersytetu nosili suknię purpurową, wpadającą w kolor fioletowy (*vestis purpurea violacei coloris*). Odrębny strój rektorski dałby się we wszystkich uniwersytetach wykazać, lecz toby nas za daleko zaprowadziło.

Historyograf naszego uniwersytetu z XVII wieku Radyński, opisując otwarcie zreorganizowanego uniwersytetu w r. 1400, powiada, że rektor ubrany był podczas tego aktu w togę

¹ Zob. Arch. Sen. ak., p. l. 38, str. 309: „Pro panno, materia, sartori a togis novis comparatis pro bedellis fl. 99 gr. 15, pro biretis fl. 8“.

² Zob. Arch. Sen. Akad., p. l. 40, str. 26.

³ Zob. Ilustracje polskie. Napisał Dr. A. Karbowiak. 1887, str. 15.

i kołnierz szkarłatny aksamitny. Radymiński często wprowadzają się z prawdą, tym jednak razem nie ma powodu nie wierzyć mu, zwłaszcza, że i w późniejszych wiekach rektorowie naszego uniwersytetu ten sam strój nosili. Przypuściwszy jednak, że Radymiński nie miał pewnych danych, gdy zapisywał tę wiadomość, świadectwo jego mimo to ma dla nas wartość. Jeżeli wiadomości jego nie przyznamy znaczenia historycznego co do r. 1400, to musimy ją odnieść do czasów naszego historyografa, który na podstawie współczesnych danych snuł wniosek o przeszłości, czyli innymi słowy, musimy przyznać, że w XVII wieku tak toga jak i pelerynka rektora naszego uniwersytetu była aksamitna szkarłatna.

W r. 1719 spaliło się Collegium iuridicum, a razem z niem wszystkie prawie ruchomości profesorskie, a między nimi „nawet toga rektorska aksamitna nowa z galonem obszernym, od JO Xcia Imci Radziwiłła sprawiona“¹.

W Dyaryuszu podróży Stanisława Augusta² czytamy, że na audyencji w zamku krakowskim w dniu 17 czerwca „Wszyscy profesorowie ubrani byli w togi udziałem kolegów swoich przyzwoite, poprzedzając porządkiem w parach Rektora w togę aksamitną karmazynową ubranego“. To samo pisze współcześnie żyjący Jan Śniadecki: „Rektor miał purpurę aksamitną złotym galonem obwiedzioną“³. Do tych danych przychodzą dwa nowe silne świadectwa w dwóch rozmaitych obrazach. Z końcem XVIII wieku z powodu różnorodnych okoliczności przerwało się pasmo tradycji wiekowych, jednak nie zatarło się całkowicie. Za rektorstwa ks. Sebastjana hr. Sierakowskiego (1809/10—1813/14) wymalował malarz Stachowicz na ścianach Collegium majus kilka obrazów, przedstawiających sceny z dziejów uniwersytetu, a między innymi rzekomy fakt złożenia beret uniwersyteckich przez rektora uniwersytetu przed tronem Zygmunta III. Obraz ten wraz z innymi zburzony przy

¹ Starożytnicze wiadomości o Krakowie przez Ambrożego Grabowskiego, Kraków, 1852. str. 78 i 79.

² Wydany w Warszawie w r. 1787, str. 217.

³ Żywot literacki Hugona Kollątaja, wyd. Turowskiego.

restauracyi kolegium ocalał w kopii, dokonanej z polecenia Brodowicza przez Wojciecha Eljasza, umieszczonej dziś w bibliotece Jagiellońskiej. Rektor na tym obrazie ubrany jest w togę i pelerynkę purpurową, które obszyte są złotym galonem.

Całkiem podobną togę i kołnierz ma rektor Girtler (1826/27—1830/31), którego portret, zrobiony w r. 1830 przez Brodowskiego posiada nasz uniwersytet. Widać w zasadzie zaniechano dawny zwyczaj, w praktyce zaś trzymano go się, a mianowicie zdaje się, że rektor Magnificus wdziawał do urzędowych spraw strój swych dawnych poprzedników. Tak samo działo się w tych samych czasach w Monachium. Profesoremie ubierali się do uroczystych aktów w nowo zaprowadzony uniform, rektor zaś w dawne tradycyjne ubranie urzędowe ¹. Toga Girtlera, tak samo jak toga w obrazie Stachowicza są i w kroju i w dodatkach podobne do dawnych. Obie mają szerokie rękawy, są fałdzone, spadają aż po kostki i obszyte są złotym galonem, podobnie jak pelerynki.

Idąc wślad za dawnym strojem rektorskim, wkroczyliśmy w XIX wiek i doszliśmy aż do Girtlera, a mianowicie do roku 1830/31. Z rokiem tym niknie pierwotny zwyczaj. Przedtem już w pierwszych dekadach XIX wieku niejednokrotnie od niego odstępowano. Powrócimy do tej kwestyi w następnej części naszej pracy, tu jeden tylko musimy poruszyć szczegół.

Rektor Walenty Litwiński, którego rektorstwo kończy się w r. 1820/21, a więc o całe dziesięć lat przed końcem rektoryi Girtlera, pierwszy, o ile wiemy, odstąpił dobrowolnie i rozmyślnie od dawnego zwyczaju.

Mamy portret jego w Akademii Umiejętności w Krakowie, datujący z r. 1823 pędzla Józefa Brodowskiego. Litwiński ubrany jest w mundur granatowy z czerwonym, stojącym kołnierzem i takimiż wyłogami u rękawów. Kołnierz i wyłogi wykładane są srebrnymi liśćmi. Na mundurze ma płaszcz, czy ornat purpurowy z gronostajami. Przed nim na stole leżą dwa

¹ Zob. Prantl, l. c. I, 700.

berła skrzyżowane; na odwrotnej stronie obrazu napis: Walenty Litwiński, rektor Akademii etc. Tu więc poraz pierwszy występują w stroju rektora gronostaje. Staralem się dotrzeć do źródła, któreby wyjaśniło okoliczności i warunki i powody wprowadzenia tej nowości do stroju rektorskiego. Usiłowania moje były nadaremne. Współczesnych piśmiennych źródeł nie znalazłem. Ustna tylko tradycja, którą, pominawszy innych świadków, słyszałem z ust PP. Prezesa Majera, Dyrektora Estreichera i profesora Karlińskiego, niesie, że nowość ta jest dowolnym wymysłem rektora Litwińskiego.

Kongres wiedeński ogłosił Kraków wolnem miastem. Uniwersytet otrzymał nową organizację. Statut uniwersytetu, przy którego redakcyi Litwiński najczynniejszym był członkiem, podniósł rektora na taki stopień, na jakim nigdy przedtem nie był i zapewne nigdy już więcej nie będzie. Rektor Litwiński korzystał pełną ręką z przysługujących mu przywilejów i niejednokrotnie nie troszczył się o Senat rządzący, od którego zależał. Tym swoim rozległym prawom dał też wyraz i w stroju rektorskim, który reformuje. Zamiast togi, zaprowadza płaszcz, jakiego używali królowie, płaszcz purpurowy, do którego dodaje i gronostaje.

Za wzór posłużył tu z pewnością płaszcz purpurowy z gronostajami, który dziś jeszcze oglądać można w skarbcu katedry karkowskiej, a który za rektorstwa Litwińskiego już był w Krakowie.

Stwierdziliśmy tedy, że ubranie naszych rektorów, jeżeli już nie w XV, to z pewnością w XVII i XVIII, a poniekąd i w początku XIX wieku, było purpurowe aksamitne.

Na podstawie tych danych możemy wskazać na kilka obrazów z rektorami w stroju urzędowym, które nie tylko utwierdzą wyniki naszych dotychczasowych poszukiwań, ale jednocześnie do nowych doprowadzą spostrzeżeń.

W jednym z cyklu obrazów Hansa Suesa von Kulmbach, przedstawiającym św. Katarzynę Aleksandryjską w dyspacie z uczonymi, a datującym z XVI wieku, uczony, siedzący na pierwszym planie w samym rogu prawej strony, ubrany jest

w długą i szeroką szatę karmazynowej barwy, mającej blade i przejrzyste odcienia i w tegoż koloru czworokątny na głowie biret¹. Naszem zdaniem ten uczony jest w stroju rektora.

Znamy inną jeszcze dysputę uczonych, którą nam przedstawia obraz z XV wieku znajdujący się w oryginale w katedrze wawelskiej, zaś w chromolitograficznej reprodukcji we Wzorach Sztuki średniowiecznej. Jeden z dysputujących znów na pierwszy wysunięty plan ubrany jest w purpurową togę aksamitną ze złotym obszyciem u rękawów i u dołu fałd, i w purpurowy biret pierwotnego jeszcze kształtu z XV wieku. Ten uczony to znów rektor. Że nie widzimy na nim pelerynki, to ta okoliczność wcale naszego przypuszczenia nie podkopuje, wiemy bowiem, iż rektor i profesorowie nie przy wszystkich czynnościach ubierali się w pelerynki.

Złoto, purpura i aksamit, oto cechy ubrania rektorskiego, które go stawiają pod tym względem na równi z królem. Bo też rektor i rex to pojęcia jednego i tego samego pochodzenia, podobnych zakresów. Rektor i król obaj mają berła, obaj jak u nas są władzami wychodzącymi z wyboru sobie równych, król rządzi krajem i jego ludnością, rektor jest udzielnym w tym kraju panem, jest królem w państwie uczonych. Rektorom więc, podobnie jak królom, przyznano słusznie purpurę i złoto, berła i trabantów.

Prócz tych głównych części ubrania, tj. togi, pelerynki i biretu, wchodziły w skład stroju rektorskiego podrzędniejsze części, jako to rękawiczki i pierścień. Że rektorzy nasi nosili purpurowe rękawiczki, na to znajdujemy dowód w ilustracji z r. 1710, znajdującej się w jednym z rękopisów Archiwum senatu akademickiego.

Sygnet używany przez dawnych rektorów, zachował się do dzisiejszego dnia. Jest on ulany z złota dukatowego, i waży 24 $\frac{1}{4}$ gr. Średnica jego wynosi 20 mm., a w stronę tłoku 21 mm. Obrączka w przekroju czworokątna, ma ślady konturu ostrołukowego. Tłok sygnetu ośmioboczny nieco wydłużony,

¹ Zob. M. Sokołowski, Hans Sues von Kulmbach, str. 58.

ze zwierzchnią płytką przylutowaną do sygnetu, jak tego bielejszy pasek biegnący naokoło dowodzi. Kształt pierścienia przypomina wiek XV, rytowanie herbu wiek XVIII lub najwyżej wiek XVII.

Prócz tych części stroju rektorskiego, nie było innych. Łańcucha rektorowie nasi dawniej nie używali. Nie widzimy go na portretach¹; nie znajdujemy też żadnej o nim wzmianki w źródłach piśmiennych. Zkąd hr. Przezdziecki zaczerpnął wiadomość o łańcuchu złotym, który aż do końca XVIII wieku miał być własnością uniwersytetu, a dziś jest w posiadaniu prywatnem, nie wiemy. Zdaje się, że hr. Przezdziecki poszedł tu za mylną tradycją, która niesie, że Anna Jagiellonka podarowała akademii w r. 1584 łańcuch złoty. Tradycję tę obalił Józef Muczkowski i udowodnił, że darem Anny Jagiellonki był nie łańcuch, ale kubek złoty.

Prorektor. O prorektorach w dawnych czasach szczuple mamy wiadomości, redukujące się do kilku ledwie szczegółów. W XV wieku vicerektora mianował każdorazowy rektor, i to niekoniecznie swego bezpośredniego poprzednika, ale któregośkolwiekby z starszych profesorów. W wieku XVIII, według świadectwa Jana Śniadeckiego, rektor, skończywszy urząd, gdy obranemu następcy zdawał rządy i odbierał od niego przysięgę, brał togę fioletową jedwabną.

10. Ogólne uwagi nad ubiorami uniwersyteckimi do końca XVIII wieku.

Wyniki naszych dotychczasowych dochodzeń przedstawiają się tedy tak. Uczniowie uniwersytetu naszego zobowiązani byli ustawami do noszenia stroju duchownego w XV i większej połowie XVI wieku; o wieku XIV nie mamy żadnej wiadomości. Strój ten składał się z czapki, z tuniki długiej, sięgającej mniej więcej po kostki, przepasywanej przez biodra pasem, i obuwia skromnego. Barwa tych wszystkich

¹ Nie ma też łańcucha rektor w znanym obrazie u św. Anny, przedstawiającym procesję w rocznicę kanonizacji św. Jana Kantego w r. 1775.

części ubrania była czarna, tuniki mogły być też brunatne. Broni nie wolno było nosić ani u siebie przechowywać. Scholarzy poddawali się tym ustawom w XV wieku bez większego oporu, w XVI wieku zaczęli się z pod nich wyłamywać, aż pod koniec XVI wieku wywalczyli sobie wolność noszenia ubrań według upodobania, byle nie zbyt rażących swoją oryginalnością. Młodzież, mieszkająca w zakładach uniwersyteckich pod dozorem władz z ramienia uniwersytetu mianowanych, zmuszona była widocznie do sumienniejszego przestrzegania ustaw, gdy tymczasem młodzież zamożniejsza, pozostająca poza tymi zakładami w domach prywatnych, niejednokrotnie omijała ustawy, co jej też zwłaszcza za rządów pobłażliwych rektorów często uchodziło. Bakałarz filozofii zamiast czapki ma biret.

I profesorowie zobowiązani byli poza służbą nosić strój duchowny nawet i ci, którzy księżmi nie byli, a wymagano od nich, jako od tych, którzy scholarzom mieli dobrym przyświecać przykładem, jak najściślej przestrzegania ustaw. Pozasłużbowy strój profesorów różnił się od ubioru scholarckiego. Profesorowie nosili bowiem strój odpowiedni swemu stanowisku, jakie w hierarchii kościelnej lub uniwersyteckiej zajmowali. Profesorowie teologii, a w znacznej części prawa, medycyny i filozofii byli księżmi, kanonikami, i stosowne też nosili stroje. Profesorowie świeccy musieli nosić podobnie jak scholarzy tuniki, mieli tylko odrębne nakrycie głowy, a mianowicie biret czarny, który im przysługiwał, jako graduowanym. Medycyny profesorowie tylko, gdy byli świeckimi osobami, po największej części nosili strój świecki. Stanowisko ich w uniwerstecie było też wyjątkowe. Katedry medyczne nie mające uposażenia, nie wiązały do siebie zajmujących je profesorów, ztąd poszło, że stosunek medyków do uniwersytetu był bardzo luźny. Medycy niewiele troszczyli się o sprawy uniwersytetu, bytność ich na posiedzeniach uniwersytetu należy do wyjątków.

Obok ubrań prywatnych, istniały dla profesorów i kandydatów stopni filozoficznych stroje oficjalne. Kandydaci zawdzwiali je tylko przy egzaminach i promocyach, profesoro-

wie przy wszystkich czynnościach urzędowych i uroczystych uniwersyteckich.

Ubranie to składało się pod koniec XVIII w. najprzód z biretu, który był czarny, z wyjątkiem u rektora, który nosił bilet purpurowy, dalej z togi czarnej lub czarnoniebieskiej. Togi kandydatów różniły się od tog profesorских materją i krojem. Robiono je mianowicie albo z pośledniejszego gatunku sukna lub z innej materji np. barakanu; rękawy ich były wąskie, a nazywano je togami mniejszymi. Togi profesorów zrobione ze sukna miały szerokie rękawy i nosiły nazwę tog wielkich. Profesorowie wszystkich wydziałów mieli jednakowe togi. Podszewka i potrzeby tog były atlasowe karmazynowe. Dziekani wydziałów i rektor mieli togi odrębne od profesorów, i pod względem barwy i materji. Dziekan wydziału filozoficznego miał togę sukienną purpurową, złotym obwiedzioną galonem, dziekan medycyny jedwabną pasową, podszytą kitajką zieloną, dziekan prawa togę lamową złotą, dziekan teologii togę aksamitną granatową, białym atlasem podszytą, prorektor togę fioletową jedwabną, rektor togę purpurową aksamitną, złotym obwiedzioną galonem.

Różnicę w ubraniach poszczególnych wydziałów, które, jak widzieliśmy, jednakowe mieli togi, stanowiły pelerynki. Pelerynki czyli mucety filozofów były okrągłe z czarnego atlasu, galonem srebrnym obwiedzione, pelerynki medyczne czarne z gronostajami, pelerynki prawnicze z atlasu karmazynowego, pelerynki teologów aksamitne granatowe, wyłożone atlasem białym, a niekiedy nawet gronostajami. Rektor miał pelerynkę złotym galonem obwiedzioną, dziekani wydziałów pelerynki podobnej co togi barwy, exdziekan filozofii pelerynkę fioletową.

Co do rękawiczek, które przy promocyach kandydaci profesorom wręczali, i które ci z pewnością nosili, nie mamy pewnych danych, jednak możemy przypuścić, że barwa ich zastosowaną była do barwy tog, jakkolwiek niejednokrotnie na portretach można się spotkać z jasnymi skórkowymi rękawiczkami. Rektor miał purpurowe rękawiczki.

Kandydatom wszystkich wydziałów wręczano przy pro-

mocyi pierścionki, zdaje się, że i te były integralną częścią ubrania doktorów wszystkich wydziałów. Tego jednak nie udało nam się sprawdzić. Sprawdziliśmy tylko, że rektor, występując w ubraniu oficjalnym, wdziewał sygnet na palec.

Wyłączną rektora odznaką było berło. Dziekani berel nie mieli.

Z powyższego przeglądu powzięliśmy przekonanie, iż zasada: „*quilibet honoretur secundum dignitatem status sui*“, której uniwersytet zawsze i wszędzie ściśle przestrzegał, znalazła swój wyraz i w ubiorach uniwersyteckich. Im wyższe kto zajmował miejsce, tem okazalsze były jego stroje, bądź pod względem materyi, bądź pod względem barwy, bądź wreszcie pod względem liczby części składowych.

Z względu estetycznego ocenione przedstawiały się stroje uniwersyteckie najprzód bardzo poważnie. O to też przedewszystkiem przy ich zaprowadzaniu chodziło. Stan uczących się uważano w przeszłości za jeden z najpoważniejszych, a tej wewnętrznej powagi wyrazem zewnętrznym miały być ubiory poważne. W średnich wiekach zajmowali się nauką przeważnie duchowni, nie więc dziwnego, że i dla nieduchownych, a zajmujących się nauką, przeznaczono stroje duchowne, gdyż te z pośród wszystkich, podówczas w modzie będących, były najpoważniejsze, a nawet jedynie poważne. Ta powaga strojów objawiła się najprzód w barwie. Czarny kolor uchodził i uchodzi dziś jeszcze ze wszystkich za najpoważniejszy. Dalej uwydatniła się powaga strojów i w ich formie, tj. w owych długich, po kostki spadających rzęsistych, jak u tog fałdach, w owych szerokich rękawach.

W tej powadze strojów z jednej, a prostocie z drugiej strony było naszym zdaniem więcej piękna, jak we wszystkich współczesnych strojach świeckich XV i XVI w., które w owych czasach dobrego smaku i stylu, objawiającego się w sztuce, same jedne nie zawsze zalecały się zbyt wielkim gustem.

Czy słusznie zrobiono, przepisując dla scholarzów odrębny strój, za tem i przeciw temu dałoby się wiele powiedzieć. Jestto kwestya, która umysły pedagogów po wszystkie zajmo-

wała czasy i którą się dziś znów żywo zajmujemy. Naszem zdaniem odrębne umundurowanie, jakiekolwiek ono jest, nie przynosi tych korzyści, o jakich rozprawiają zwolennicy umundurowania. Okazało się to i przy strojach dawnych naszych scholarzów. Stroje jednolite w niczem nie przyczyniały się do wyrobienia stosunków przyjaznych, do utrzymania rygoru i do podniesienia moralności wśród młodzieży, a nabawiały ją tylko niepotrzebnych wydatków, na które się niejednokrotnie skarżyła. Zniesienie ustaw o stroju, dokonane pod koniec XVI wieku, jest najlepszym dowodem, iż one nie miały większego praktycznego znaczenia.

UBIORY UNIWERSYTECKIE W XIX WIEKU.

11. Koniec dawnego zwyczaju oraz przepisy o ubiorach uniwersyteckich, wydane przez Senat rządzący w r. 1827.

Koniec wieku XVIII i początek XIX to są chwile, gdzie dawne zwyczaje uniwersyteckie przekształcają się na nowożytnie. W tym ogólnym procesie zmian przeistoczyły się i stroje w wielu uniwersytetach jak np. w Paryżu ¹, w Wiedniu i in-

¹ List następujący otrzymałem w odpowiedzi na moje zapytanie, jaki strój tamtejszy rektor obecnie nosi:

Costume des Recteurs de l'Université de France.

Paris, le 28 Mars 1887.

Monsieur,

En réponse à votre lettre du 20 Mars courant, j'ai l'honneur de vous informer que les Recteurs de l'Université de France portent dans les cérémonies publiques le costume suivant:

Robe de soie noire avec revers de soie violette.

Ceinture de soie violette avec glands.

Chausse ou épitoge en soie violette avec trois rangs d'hermine.

Palmes d'or sur la poitrine, du côté gauche.

Toque de velours noir avec deux galons d'argent.

Cravate de dentelle.

Gants blancs.

Ce costume a été fixé en 1808 lors de la réorganisation de l'Université de France par Napoléon I.

nych. Ten sam proces odbył się i u nas. Na przygnębienie i zatarcie dawnych zwyczajów obowiązujących w uniwersytecie Jagiellońskim wpłynęły rozmaite okoliczności. Najprzód reforma Kollątajowska zniosła wiele prastarych urządzeń, obrzędów i przepisów. Potem przyszły wojny i ciągle zmiany rządów. Trzeci rozbiór Polski oddał nasz uniwersytet pod panowanie austriackie w r. 1795, wojny Napoleońskie wcieliły go 1809 do księstwa warszawskiego, kongres wiedeński osadził w r. 1815 w pośrodku państwa niepodległego niby, o małych rozmiarach, w Rzeczypospolitej krakowskiej, po roku 1846 przechodzi znów pod rządy austriackie.

Wśród tych ciągłych zmian rządów, tych rozmaitych przejść i wstrząśnień, tradycja dawnych ubiorów i obyczajów poszła w części całkiem w zapomnienie. Nowy obyczaj, wprowadzony w miejsce starego, ledwie że ślady po sobie pozostawił. Tyle wiemy z pewnością, że za czasów Rzeczypospolitej zarzucono togi, zastępując je powszechnie obywatelskimi uniformami. Odnosnych przepisów, które razem z całym archiwum Senatu rządzącego gdzieś się zapodziały, nie udało nam się niestety odszukać. Znaleźliśmy natomiast przepisy, odnoszące się do noszenia sukien ze znakami szkolnymi, wydane dla audytorów uniwersytetu i uczniów szkół licealnych, przez Senat rządzący Wolnego m. Krakowa i jego okręgu dnia 6 czerwca r. 1828, które tu w dosłownem brzmieniu przytaczamy ¹.

Uczniowie uniwersytetu, którzy, po ukończeniu liceów, otrzymawszy świadectwo maturitatis, uczęszczają na lekcye publiczne na którykolwiek wydział, czyli to jako ordinarii, czyli jako *benevoli auditores*, używać będą fraków granatowych,

Il ne comprend ni sceptre, ni chaîne, ni bague.

Il n'existe malheureusement aucune gravure ou aucun journal illustré que je puisse vous envoyer pour vous en donner la représentation.

Recevez, Monsieur, l'assurance de ma considération distinguée,

Le Vice-Recteur de l'Académie de Paris

(podp.) *Gréard*.

¹ Wydrukowane są pokilkakroć we współczesnych programach. Cytujemy je według „Programma popisów rocznych uczniów obydwóch liceów krakowskich św. Anny i św. Barbary“. Kraków 1829.

a surdutów granatowych lub ciemno-szaraczkowych; podszywka zaś u sukien ma być koloru sukni, a nie innego.

Jak frak tak i surduty będą z kołnierzem stojącym, opatrzone karmazynową wypustką, zapinane na jeden rząd dziwięciu guzików dla dorosłych, a w proporcji mniej dla młodych; na kołnierzu będą podwójne gałązki oliwne z sukna lub kaszemirku białego wycinane, jako tańsze, do przyszycia łatwe i zabrukaniu mniej podległe: w żadnym zaś razie nie będą mogły być haftowanymi. Kamizelka do fraka tego samego koloru co suknia, gładka, bez wyłogów i wypustek, na jeden rząd zapinana. Pantalony stosowne do fraka lub surduta. Do wszystkich ubiorów swoich używać będą guzików białych z herbem Akademii, czapek koloru granatowego, w kształcie furażerek, z obwódką gałązki podwójnej jak u kołnierzów, albo kapeluszków zwyczajnych, okrągłych.

Dla uczniów nieposiadających świadectwa maturitatis, przypuszczonych jednak na wydziały, używanie znaków szkolnych objęte jest szczegółowym przepisem, znajdującym się do odczytania w inspektoracie instytutów naukowych, do którego w tym wypadku będący uczniowie stosować się niezawodnie muszą.

Zaszczytzeni stopniami akademickimi będą mogli używać kapeluszków stosowanych i szpad przy powyższym ubiorze.

Uczniowie licealni używać będą fraków i surdutów w kolorze i kroju takim, jak audytorowie uniwersytetu, z tą różnicą, że najprzód na kołnierzu będzie gałązka oliwna pojedyncza, powtórę, na guzikach do wszystkich ubiorów używane będą litery, odznaczające liceum i oddział, a przeto dla liceum św. Anny: L. I. O., dla liceum zaś św. Barbary: L. II. O. Czapek będą używać takich, jak uczniowie uniwersytetu, lecz z jedną tylko obwódką gałązki oliwnej lub takichże, jak pierwsi kapeluszków okrągłych.

Uczniowie wszyscy, czyli to uniwersytetu, czyli licealni, uwolnieni zostają od używania gałązek na kołnierzach u płaszczów i futer zupełnie, zaś u czapek używać powinni gałązek przez miesiące: listopad, grudzień, styczeń, luty i marzec.

W żadnym razie nikt z uczniów, czyli to uniwersyteckich, czyli licealnych, w używaniu ubioru szkolnego lub jego nieużywaniu, póki zostaje w szkołach akademickich, i ustawa, ubiór szkolny przepisująca uchyloną nie zostałaby, samowolnie postępować sobie nie będzie władnym, ile gdy ten ubiór przystojny i skromny znamionuje szlachetne powołanie naukowe młodzieży. Ostrzega się przeto wyraźnie panów audytorów uniwersytetu i uczniów licealnych, iż używanie wszelkie ubioru z przepisami niezgodne, jak np. fraków kusych nakształt kurtek, zamiast fraków przyzwoitych, surdutów i kamizelek na podwójny rząd guzików zapinanych, z wyłogami karmazynowymi zamiast pojedynczego rzędu guzików i wypustek itp., uważane będzie za niesforność naganną i odpowiedzialną. Co ma służyć także za ostrzeżenie rodzicom i opiekunom, ażeby, mając oddawać młodzież do szkół krakowskich, inakszego ubioru dla niej prócz niniejszego, przepisem wskazanego, nie sprawiali i sprawić nie pozwalali.

Od obowiązku noszenia ubioru szkolnego, znakami stosownie do powyżej wyszczególnionych warunków opatrzonego, tylko audytorowie chodzący w sukniach stanu duchownego, świeckiego lub zakonnego, są uwolnieni. Czas wakacyjny uwalnia każdego ucznia, będącego za granicą Wolnego m. Krakowa i jego okręgu, od obowiązku używania ubioru ze znakami szkolnymi, ale go nie uwalnia w żadnym kraju i miejscu od skromnego i przyzwoitego zachowania się.

(Dok. nast.)

Dr. A. Karbowski.

WSPOMNIENIA

Z AMERYKAŃSKIEJ WOJNY DOMOWEJ.

Zmarły przed kilkoma miesiącami angielski publicysta, Wawrzyniec Oliphant, w wspomnieniach swych wędrowczych zapisywał odniesione wrażenia na dwóch kresowych placach ludzkich zapasów. Zwiedził bowiem z kolei Stany Zjednoczone i Francję, bezpośrednio po dwóch najkrwawszych naszego wieku wojnach. We Francyi nie zoczył prawie śladów minionej klęski, tak się wszystko na razie dźwigało. W Ameryce natomiast, ryży koń zniszczenia ogólnego nie darmo przebiegł kwitnące do niedawna okolice. Całe miasta uległy zagładzie, popalone siola, rozwalone domy, opuszczone zagrody świadczyły o strasznej nienawiści, która tu swój ostatni akt rozegrała krwawo. Kilka się czynników i powodów złożyło na tę różnicę. Najprzód domowa, bratobójcza walka zawsze zacieklejszą bywa; powtóre, sam grunt amerykański potęguje wypadki, uczucia i czyny do niezwyklej miary i gwałtowności; nareszcie wojny europejskie, w ostatnich mianowicie czasach, przeważnie siłą artylerji były prowadzone. Nieraz nieprzyjacielskie szyki wcale się nie widziały, siejąc zniszczenie zapomocą dalekonośnych pocisków, trafnie wycelowanych w stronę znikających w oddali przeciwników. Natomiast w amerykańskiej wojnie domowej, zawziętość obustronna do tego urosła stopnia, iż niecierpliwi zapaśnicy gardzili poniekąd działami, unikali ryku

armat, zdradzającego zbliżanie się nieprzyjaciela, i do tego tylko zmierzali, aby czempredziej osobistem spotkaniem rozstrzygnąć o losie bitwy, niemal siłą pięści walcząc do upadłego. Odżył ztąd dawny charakter wojny, pole do popisu dla osobistej waleczności, którą dziś zastępuje udoskonalony rynsztunek artylerji nowoczesnej.

Ten to charakter strasznej walki północy z południem w Stanach Zjednoczonych Ameryki, osobną budzi grozę, odświeżaną mnóstwem pamiętników, rozjaśniających tę krwawą epokę. Do pamiętników wodzów, zdających sprawę z obrotów armii i rokowań pokoju, przybywa nieraz plon skromniejszy, a niemniej ciekawy, zapisków pomniejszych uczestników onych tytanicznych zapasów. Świeżo wpadł nam w rękę szereg listów kapelana wojskowego, Jezuitę, Ojca Michała Nash, przydzielonego do pułku wolontaryuszów Północy. Kilka rysów i szczegółów, zaczerpniętych z tej korespondencji, Grottgerowskie przed nami odsłania obrazy, a zarazem rzuca ciekawe światło na ten świat młody i nowy, na wojska tak odmienne od wyćwiczonych europejskich szeregów, na tolerancję, właściwą wolnej republice, która tam nie na żarty przestrzega religijnej swobody, nareszcie na pobożność tych żołnierzyków zamorskich, w znacznej części synów katolickiej Irlandyi, przechowujących w duszy skarb wiary i tradycyi ojcowskiej mimo przygód obozowego życia, niedostatku religijnego wykształcenia i ułomności ludzkiej.

Czytelnicy nam wybaczą, jeśli całemi ustępami czerpać będziemy w listach Ojca Michała Nash, mniej dla historycznych o wojnie domowej danych, jak dla obrazów życia wojskowego i wojennego na drugiej świata półkuli. Militarizm, przemagający w naszej epoce, musi swe piętno i na literaturze wycisnąć, i do pokojowych przystani, chwytających tętno chwili Przeglądów, nieproszonym zawitać gościem.

W czerwcu 1861 r., ks. Nash dodanym został do 6 pułku wolontaryuszów, zostającego pod komendą pułkownika Wilsona. Z wyjątkiem kilku Anglików, cały ten oddział składał się niemal wyłącznie z ludzi urodzonych z rodziców katoli-

ckich; brak zupełny religijnego wykształcenia ogólną tych biedaków cechą, aczkolwiek serce zachowało rodzimą pocziwość i przywiązanie do ojców wiary. Należeli oni po większej części do t. zw. złotej nowojorskiej młodzieży, ale mimo zaniedbanego wychowania i burzliwej przeszłości, gotowi byli krew wylać w obronie ojczyzny, i bardziej ukochanego, aniżeli poznanego, katolickiego Kościoła. Gdy pułkownik przedstawił owego kapelana swoim „chłopcom“, ci spytali tylko: „A jakiegoż on koloru?“ Pułkownik natychmiast pochwycił słów tych znaczenie. „Jestto ksiądz, rzymsko-katolicki kapłan“ — odpowiedział pośpiesznie. — Na to oświadczenie grzmiące oklaski nowego powitały pasterza.

W obozie pod Nowym Jorkiem oczekiwano dalszych rozporządzeń, a tymczasem ks. Nash zapoznawał się z swą nową parafią. Pierwsze próby poznajomienia nie najświetniej wypadły. Żołnierze, odkomenderowani od Spowiedzi, rozbiegli się po okolicy, i żaden się u konfesyonału nie stawiał. Niebawem pojawili się i protestanczy duchowni, próbujący prozelityzmu w szeregach armii zapomocą najgrubszych obelg, miotanych na Kościół katolicki. Charakterystycznym był mianowicie występ jednego z nich, który po szumnej do żołnierzy przemowie, naszpikowanej komunałami przeciw romanizmowi, Papieżowi i t. p., postawił słuchaczom w końcu konieczność wyboru. „Albo pójdziecie do piekła, albo znieńdawić wam trzeba Papieża. Czy postanawiacie go nienawidzić?“ Na to jednogłośnie podniósł się okrzyk: „Wolelibyśmyw przódypójść do piekła!“ — i nieludzkie wydając głosy, nasi ochotnicy pozbyli się nieproszonego apostoła z obozu. Doświadczenie wskazuje, iż owi duchowni protestanczy całą swą akcyę zasadzają na wycieczkach przeciw katolickiemu Kościołowi, zresztą nie świecą ani dołktryną, ani wysoką moralnością. To też dowódcy bynajmniej się nie ubiegali o ich przydzielenie do poszczególnych pułków.

Idącemu w war boju kapelanowi prowincyał powiedział, iż musi być gotowym na iście żołnierskie trudy i niewygody. Wkrótce też miał ks. Nash poznać prawdę tej zapowiedzi. Szósty pułk został odkomenderowany do udania się na wyspę

Santa Rosa, będącą jedynym punktem południowym, gdzie dotąd powiewał sztandar północnych Stanów. Wyspa ta, oddzielająca zatokę Pensakoli od Meksykańskiej, wysokie miała w ówczesnych sporach znaczenie. Fort Pickens bowiem, panujący nad wyspą i morzem, stanowił główny punkt obronny i środek dalszych operacyj marynarki i wojska. Przeznaczenie to oczywiście bynajmniej się nie mogło uśmiechać wolontaryuszom 6 pułku. Niewyćwiczony, a rozpuszczony żołnierz upominał się o zaległy żołd, domagał jednodniowego przed odpłynięciem urlopu. Wynikły ztąd sceny nie do opisania, do których nasze europejskie zasady porządku wojskowego i karności nie przyzwyczaiły nas wcale. Pijany motłoch cisnął się na pokład, lub bronił się od przymusowej podróży. Bójki na wybrzeżu, na łodziach, na okręcie, mnożyły krwawe rany; niektórzy żołnierze w szale pijaństwa rzucali się do morza. Tak ich zgięło kilku. Zajścia te chyba nie musiały być czemś nadzwyczajnem, bo ani wielkiego zdumienia nie wywołują, ani też nie pociągają za sobą następstw, ni kar żadnych. Wytrzewiawszy na pokładzie wspaniałego parowca *Vanderbilt*, rozszalałe chwilowo żołnierstwo, odzyskało rodzimą poczciwość i do pewnego rodzaju karności wróciło. Rozpacz ich tylko ogarniała na wieść o przeznaczeniu 6 pułku. Nikt nie wiedział, gdzie się właściwie fort Pickens znajduje.

Oto w jakich słowach czcigodny kapelan opisuje nam początek żeglugi:

„15 czerwca: Gwałtowna burza się zbiera, wiatr huczy ponuro, ciemne gromadzą się chmury. Wypływamy z wspaniałej nowojorskiej zatoki, zmierzając ku pełnemu morzu. Ludzie nasi zanadto są jeszcze chorzy i zmarnowani, aby odpowiadać na salwy fortów i statków. Kapitan *Vanderbilt*'a odzywa się do mnie: „Rząd dobrze się poznał na waleczności tych rozpuszczonych ochotników i zawierzył im w sprawach, którymby inny żołnierz nie sprostał. Owszem — tak armia, jak marynarka, spodziewa się po nich chwalebnych czynów“. Wpływając na ocean, bardzo w tej chwili wzburzone, ludzie załogi odczuli zapowiedź idących niebezpieczeństw: „Bywaj nam zdrów,

Nowy Jorku, bądźcie zdrowi przyjaciele! Jeśli ujdziemy wściekłości gotującej się nawałnicy, inna na polu bitwy czeka nas nawałność!“ W oznaczonym czasie pułkownik otworzył rozkazy jeneraliczy i oświadczył nam, dokąd jesteśmy przeznaczeni... Niespodziewana ta wiadomość spadła ołowiem na wszystkie serca, przyczyniając się niemało do skruszenia ich i przygotowania na przyjęcie śś. Sakramentów. Ludzie ci ochotnie byliby poszli do Waszyngtonu, Baltimore lub fortecy Monroe. Atoli nieznana wysepka meksykańskiej zatoki odejmowała im wszelką otuchę powrotu do Nowego Jorku. Przekonałem się wtedy, jak roztropnie rząd działał, odrywając swe postanowienie aż po odpłynięciu parowca“.

Pierwsze dni żeglugi tak były przykre, że zwalczony morską chorobą, ks. Nash nie mógł się zabrać do żadnej misyonarskiej czynności. Zaledwie się nieco otrząsnął z początkowej słabości, otworzył swą kajutę żołnierzom, którzy teraz korni i karni jęli się cisnąć do Spowiedzi św. A tymczasem kapelan zapoznawał się odrazu z twardym swym losem, dzieląc skromne pożywienie i twarde pomieszczenie wojska na pokładzie statku. Kajuty nie były zaopatrzone w żadne łóżka, ni poślanie; słone mięso, suchary i kawa bez mleka: oto stół żołnierski, do którego i oficerowie zasiadali — a tylko uprzejmość szafarza okrętowego łagodziła nieco twarde początki zaprawiającemu się do nich kapłanowi. Pierwszej zaraz niedzieli nie mógł odprawić Mszy św. z powodu trapiącej go jeszcze morskiej choroby, na usilne atoli żądanie pułkownika zarządzono rodzaj nabożeństwa. Obębniono tedy pobudkę, załoga stawiała się na pokładzie i Ojciec Nash przemówił o posłuszeństwie. Wszyscy zdawali się być zadowolnieni, marynarze cieszyli się niewymownie, iż posiadają wśród siebie księdza, uprawnionego do kazania na okręcie. Niejeden z majtków, który bodaj od czterdziestu lat błakał się po morzach, ze łzami odzywał się do kaznodziei: „Chwała Bogu, żeśmy tego dnia dożyli! Iluż to z nas od małości tłucze się po oceanach, a wszyscy po raz pierwszy słyszą słowo Boże po naszymu na pokładzie okrętowym wygłoszone. Nie możemy się ruszyć, żeby nie

nadybać protestanckich kaznodziei. Dzięki Bogu, nareszcie doczekaliśmy się własnego!"

W dalszym toku swej korespondencji, ks. Nash tak się odzywa:

„17 czerwca. Wstałem żwawo i wcześnie, gotów do pracy, której tu nie brak. Pomimo swego niesformego co dopiero postępowania, biedni żołnierze zgromadzili się w bliskości mej kajuty, gotując się do Spowiedzi, po sprawdzeniu faktu, że idą rzeczywiście na wojnę, i że co chwila spodziewać się mogą bitwy. Jesteśmy na nieprzyjacielskim brzegu. Straszliwa, nieszcześliwa, a jak można się obawiać, nieprzygotowana śmierć kilku z naszych ludzi, i to od czasu, jak puściliśmy się na morze, sprawiła zbawienny na umysłach skutek: cisnęli się do spowiedzi aż do wieczora; przyszedł nareszcie pułkownik i rzekł do czekających penitentów: „Chłopcy! to dosyć na jeden dzień pracy. Pozwólcie Ojcu odetchnąć świeżem morskiem powietrzem i przypatrzeć się cudownemu zachodowi słońca“. A ten rzeczywiście był godnym widzenia. Chłopcy byli bardzo ożywieni, śpiewając, tańcząc i oddając się zabawie. Zapomniano o Nowym Jorku“.

„18 czerwca. Cudowny czas! Żołnierze i majtkowie przedłużyli moją wczorajszą robotę. Trochę wcześniej skończyłem dzisiaj spowiadać. Czas był przepyszny tak przed zachodem, jak po zachodzie słońca; szczególnie, gdyśmy płynęli w bliskości Charlestown'u i wzdłuż całego południowego wybrzeża Karoliny. Ciemno-zielonkowate chmury, wznoszące się przy zachodzie, z horyzontu ku zenitowi, układały się w fantastyczne i dziwne kształty. Milcząc, z zadziwieniem patrzyłem jakby na dwa wojska, stojące naprzeciw siebie — wszystko tam było: artylerya, kawalerya, piechota; zdawały się przygotowywać do jakiejś śmiertelnej walki, to znów zdało nam się oglądać nagromadzone skały, o które uderzały wzdęte bałwany morskie. Tam liczna flota wojennych okrętów, a tu niby pyszne fortece, trzęsące się na swoich podwalinach i grożące upadkiem. Sam nawet *Vanderbilt* posuwał się wolno, dziwiąc się tym wszystkim cudom natury, które wspaniale roztaczały

się przed nim. Czyż te zjawiska ukrywały naszą przyszłość? Ciemność nocy powoli rozproszyła chmury — niebo zajaśniało gwiazdami; jakież to dla dobrze usposobionych przedmiot do medytacyi o tem niebieskiem mieszkaniu, które po trudach i znojach tego życia wszyscy mamy nadzieję osiągnąć! Iluż to, nie będąc astronomami, ale przechadzając się w czasie tych nocy na pokładzie *Vanderbilt'a*, wyczytywało w tem gwiazdzistym niebie głęboką dla siebie naukę. Zapewniali mnie oni sami, że dużo korzystali, zastanawiając się nad tym obszarem lazuru, roztaczającym się przed ich oczyma“.

„19 czerwca. Tłok do spowiedzi nie ustaje — żołnierze nie okazują znużenia. Prosił mnie popołudniu kapitan Lefevre, abym przerwał moją pracę i przeszedł się z nim po *Vanderbiltcie*. Jestto rzeczywiście zadziwiających rozmiarów okręt. Żałuję, że się nie zapytał o dokładną jego wielkość. Dwa tysiące ludzi, to jakby plamka jedna na jego pokładzie. „Ani się domyślasz, mój Ojcie — powiedział mi — jak wielki świat znajdujesz tu na okręcie“. Rzeczywiście, schodząc kilkanaście stopni niżej, zastaliśmy — co już dla każdego okrętu byłoby dostatecznym ładunkiem — wielką ilość mułów. „wystarczającą dla całej armii“. Wozy i zaprzęgi na owe muły znajdują się w innej części parowca. Idąc dalej, w następnym oddziale spostrzegłem armaty różnego kalibru i zadziwiającą ilość skrzyń z bronią. Potrzebne rekwizyta do armat i wojskowe rynsztunki znajdują się w innej jeszcze części. Nieco dalej naszliśmy na znaczną liczbę beczek. „To są zapasy wszelkiej żywności dla całego wojska — rzekł kapitan — zaś za temi drzwiami — dodał, wskazując na wejście do jednego przedziału okrętu — znajduje się cały zapas prochu i amunicya. Forteca Pickens stanie się na przyszłość wielkim wojskowym magazynem“. Tak chodząc z pokładu na pokład, z przedziału do przedziału, zdawała mi się, że już niedaleko jesteśmy dna oceanu. Gdyśmy powrócili do światła dziennego, zapytał się kapitan, czy spodziewałem się znaleźć tyle rzeczy? „Mamy jeszcze na pokładzie cały zapas dla floty, którą spodziewamy się zastać w zatoce“.

„20 czerwca. Wczorajsza praca dalej idzie, ale powoli. Wielu z tych biedaków nie odbyło jeszcze swojej pierwszej Komunii św. i uczyć się muszą pierwszych prawideł wiary, aby przystąpić godnie do tego aktu“.

„Dotąd nie spotkaliśmy żadnego po drodze okrętu. Handel wielki pobrzeżny prawie zniknął. Wczoraj jeszcze można było widzieć wzdłuż brzegu wszelkiego kształtu kupieckie łodzie z różnymi towarami, dzisiaj nie ujrysz ani jednego żagla. Dzisiaj zaś spostrzegliśmy ziemię: jestto niski piaszczysty brzeg wschodniej Florydy, około którego płynęliśmy, póki nie okrążyliśmy Key-West. Zbliżając się do Zatoki meksykańskiej, dziwne widowisko, nieznane wcale mieszkańcom północy, ukazało się zdziwionym naszym oczom, i urozmaiciło monotonność morskiej podróży. Dwa wodotryski, będące nie tak blisko, aby szkodzić okrętowi, zwróciły naszą szczególną uwagę i niezwykłą ciekawość. Trzy razy podniosły się émy latających ryb z wody, od lewej strony okrętu, i przeszły ponad nami ku prawej. Jedna gromada uderzyła o łuk okrętu, i rozdzieliwszy się, płynęła w powietrzu po jednej i drugiej stronie ku sterowi“.

„21 czerwca. Czas śliczny!“

„Jakaż zdobyczą byłby dla południowców *Vanderbilt*, i jak łatwo mógłby zostać schwytanym“—zauważył jeden z oficerów. „Zwykła łódź (tug) o jednej armacie, zmusiłaby nas do zwinięcia bandery. Ani jednej na okręcie gotowej do użytku nie ma armaty“.

„Stoimy nareszcie w zatoce meksykańskiej. Wieczorem straciliśmy raz jeszcze ziemię z przed oczu. Posuwamy się ostrożnie ku północy“.

„24 czerwca. Dziś rano stanęliśmy naprzeciw fortecy Pickens. Wojna! wojna! nie ma wątpliwości. Stoi tu na kotwicy luźna flota wojennych okrętów, każdy z nich, sądząc po wydobywającej się parze z kominów, ma silne ciśnienie takowej. Żagle zwinięte — maszty spuszczone — puste pokłady! Wszędzie przygotowania do walki. „Czy myślą się bić?“ — zapytuję się kapitana Lefevre. — „Jeszcze nie, tylko te naprzeciw stojące forty, chcą przeszkodzić naszemu wylądowaniu“ — odpo-

wiada kapitan. — Przed oczami mamy fortece i baterie nieprzyjacielskie. A jeżeli armaty południowców nie wiele warte, te tutaj na fortecach Mc Crea i Barancas, wzbudzają nasze uszanowanie“.

„Dwie te fortece, niedawno zajęte przez południowców, leżą na stałym gruncie zachodniego wybrzeża. Naprzeciw tych obrońców Konfederacyi, leży forteca Pickens, zbudowana na wschodnim brzegu, przy wejściu do samej zatoki Pensakoli, u wschodnich kończyn wyspy św. Rozalii, na jedynym punkcie południa, gdzie powiewa obecnie chorągiew Stanów Zjednoczonych. Stabsoficer, Mc Kean dowodzi flotą, składającą się z najlepszych marynarki okrętów. Jakie jest dalsze przeznaczenie tej floty? nie mogę wiedzieć; obecnem staraniem komenderującego tymi okrętami, jest osłonięcie wylądowania wojsk, koniecznych potrzebnych do obronienia samotnej fortecy na zatraconej, pustej wyspie, wbrew jej ładnego nazwania“.

Pierwsze wrażenie przybijających do brzegu żeglarzy jest istotnie przynębiające. Santa Rosa zdala przedstawia się jako długa piaszczysta ława, z południa opłukiwana falą zatoki Meksykańskiej, od północy zaś rzeką, noszącą miano Czarnej wody i zatoką Pensakoli. — Jak potrafimy wyżyć na tem spalonym wybrzeżu? — pytali żołnierze z pokładu. — Atoli tym razem rzeczywistość okazała się znośniejszą od złudzenia — nie odrazu wszakże dodatnie wychyliły się strony. Wylądowanie tysięczne przedstawiało trudności, a choć nieprzyjaciel, wbrew oczekiwaniu, nie przeszkadzał idącym do fortu Pickens posiłkom, samaż płytkość dostępu i gwałtowność odbijających się od brzegów bałwanów, utrudniały zadanie. Gdy kapelan stanął na gruncie wyspy, tysięczne okrzyki powitania wyrwały się z piersi żołnierskich. Dobrzy ci ludzie dołożyli wszelkich starań, ażeby żaden z przyborów kościelnych nie uległ zamaczaniu lub uszkodzeniu. Smutne u wstępu zrobiła Santa Rosa wrażenie na Ojcu Nash. Wydma, z latającego urobiona piasku, pod lada wiatru podmuchem odmieniała kształty. Falista powierzchnia naprzemian podnosiła się i zapadała w góry i doliny niestałe; noga tonęła w drobnym piasku powyżej kostki. Nigdzie trawki, ka-

nienia, śladu jakiegobądź roślinności. Wszędzie piasek i piasek, jedno morze piasku. Żołnierze, którzy wcześniej wylądowali, zapewniali, iż nieco dalej znajdują się jeziora, są drzewa, ale wszystko strzeżone przez olbrzymich alligatorów. Cała zresztą wyspa roi się od jadowitych gadów.

Ks. Nash odrazu wszedł w tryb najtwardszego żołnierskiego życia. Podlegali mu zarówno oficerowie i sam nawet pułkownik, sypiając na gołej ziemi i pod gołym niebem. „Nigdzie schronienia ani posłania, a do pewnego stopnia nigdzie nawet snu. Moskitosy, jakby w zмовie z południowcami, przez noc całą silnie na nas uderzały“. Z rankiem groźna wiadomość przeraża nowo przybyłych. Nie ma źródeł, nie ma wody do picia na całej powierzchni wyspy. Chowają ją w cysternach fortecy po ulewach słotnej pory, wydzielając miarami, a że deszcze się opóźniają i nie wiele już zasobu słodkiej wody pozostało, istotne z tej strony grozi niebezpieczeństwo. „Kąpiemy się w morskiej zatoce, a z braku szklanki wody możemy umrzeć lub ulec konieczności poddania się“.

Z rozłożonego na prędkie obozu oko panuje nad wspaniałą Meksykańską zatoką, ogarnia flotę, wybrzeża, nieprzyjacielskie posterunki. Ksiądz Nash w samotnej przechadzce dociera do fortu Pickens. Tam, snująca się jak cień warta, salutuje oficerskie na ramieniu jego znaki. Ksiądz się tłumaczy, iż jest kapelanem wylądowanych co dopiero ochotników. — „Przybywasz ojcze w samą porę, — odpowiada warta, ponowny składając ukłon, — dwóch z naszych umarło wczoraj bez księdza, dwóch dzisiaj kończy“. Nie darmo obronę fortu Pickens zaliczają do bohaterskich czynów tej wojny. Garstka, przeważnie z Irlandczyków złożona, ustrzegła tu powierzonych sobie sztandarów. Ale heroiczne te zapasy życiem opłacili. Jeśli nie wyszli z fortu na powitanie odsieczy, to dla tego, iż jedni dogorywają, drudzy, niby kościotrupy, snują się jak marylki, chwalebnie świądząc wierności, dotrzymanej swym znakom i hasłom. Jakże wielkiem miłosierdzie Boże! Przysłał On tym umierającym, a pozbawionym wszelkiej pociechy duchom, kapłana, którego najwięcej potrzebowali, a najmniej się w onej spodziewali

chwili! Rozczulający był to widok patrzeć na tych steranych żołnierzy, z których wielu spędziło więcej jak piętnaście lat na służbie w dzikim Teksasie i jeszcze dzikszej indyjskiej krainie, wylewających łzy wdzięczności, że Bóg w tak wielkiej potrzebie nie zapomniał o nich.

„Podczas wieloletniej wojny i nieustannej służby, zdala od światła cywilizacji, pozbawieni wszelkiej pomocy religijnej, nie zapomnieli przecież pocziwcy zasad swej wiary.

„W pośród tego nawpół dzikiego życia, jakie prowadzili, nie zaniedbali nabożeństwa do Najświętszej Panny. Jej to teraz dziękowali, że im uprosiła kapłana. W licznych i ciężkich utarczках, jakie prowadzili z dzikimi i chytrymi Indyanami, wzywali zawsze Jej pomocy i nie byli zawiedzeni. Opowiadali mi oni, jakich sposobów używali, na jakie narażali się niebezpieczeństwa, jak wielkie przebywali przestrzenie, aby sprowadzić kapłana do umierającego kolegi. Byliby chętnie użyli do tego indyjskich szpiegów i posłańców, aby tylko ci złowili misjonarza z pośród dzikich pokoleń, dla udzielenia pociech religijnych ciężko rannemu towarzyszowi. Prosilili mnie oni teraz o paciorki, różańce, medalioniki, szkaplerze i t. d., aby się zapewnić, że takowe oznaki pobożności będą z nimi pogrzebane. Protestanczy nawet żołnierze i oficerowie żądają tych „małych talizmanów, które rozdają katolikom“.

„Staram się wytłómaczyć im znaczenie tych przedmiotów pobożności, a oni je jawnie i z wielką pobożnością noszą. Zapas mój już wyczerpnął się. Proszę Cię, mój Ojcie, przyslij mi takowych za pierwszą sposobnością“.

Charakterystycznym jest spotkanie Ojca Nash'a z komendantem fortecy, pułkownikiem Brosen'em. — „Oficerowie twego pułku, mój Ojcie — zagadnął komendant — nie przedstawili mi się jeszcze“. Oficer ten bardzo jest wysokiego wzrostu, chudy i sztywny. Może mieć lat około sześćdziesięciu. Przestrzega ściśle etykiety wojskowej i karności dawnej szkoły. Utrzymuje o sobie, że jest człowiekiem religijnym, bo należy do liczby Metodystów. Co niedziela zgromadza swoich żołnierzy i czyta im ustępy z Biblii. Nie pali cygar i nie pije mocnych trunków.

„Dotąd, sam odmawiałem modlitwy przy grzebaniu zmarłych, ale jeżeli ludzie moi życzą sobie, abyś ty tego Ojciec dopełnił, całkiem Ci ustępuję“ — rzekł do mnie komendant, kiedym go żegnał. — Powiedział mi też, że wyspa ma czterdzieści siedm mil angielskich długości, na trzy ćwierci mili szerokości. Kilka mil poniżej wyspy, znajduje się obóz dla użytku floty. Wyspę zanedto — jak twierdzi — obgadano; jestto nader dogodne miejsce dla wojska. Jeziora, drzewa, aromatyczne krzewy, kwiaty, ptaki i zwierzęta znajdują się w obfitości ku wschodniej stronie; są też tam aligatory i jadowite węże. Jednej tylko wody do picia brakuje. Za kilka dni nastąpi pora deszczowa; pułk powinien na cały rok zaopatrzyć się w wodę. Te gwałtowne, co wieczór, dotąd suche burze z grzmotami, poprzedzają zwykłe deszcze“.

„Wróciwszy do obozu, zastałem wszystkich obiadujących. Ale jakież to był obiad! Solona wieprzowina i suchary! — do picia nic, nawet wody nie było. Kucharze wylali, roztrwonili, a może zużytkowali wodę, której im dziś rano tak skąpo udzielono. Na to oburzył się bardzo pułkownik Wilson, i zwoławszy swych ludzi, rzekł do nich z pałającym od gniewu wzrokiem: „Chłopcy, nie możemy żyć dłużej nadzieją deszczu, którego może nie tak prędko ujrzymy. Nie myślę was wysyłać na posterunek, ani do wyładowania *Vanderbilt'a*, jeżeli nie będę miał czem zagasić waszego pragnienia. Pokój czy wojna, zamiast zaciągać wartę i wypróżniać statek, pójdziecie poszukać wody zdatnej do picia. Jeżeli ją znajdziecie, domięszam do niej jeszcze coś lepszego; jak nie znajdziecie, nie macie po co wracać — nie mam wam co dać pić. Wiem, iż mnie zabiją lub powieszą, że przez ten śmiały krok naruszam prawa regulaminu wojskowego, że zanedto pozwalam sobie, uwalniając was od służby w obozie i pracy na brzegach, a to dla szukania wody. Biorę jednak odpowiedzialność na siebie, niech się dzieje, co chce. Pierwszy, co przyniesie tę dobrą nowinę, będzie odszczególnionym i otrzyma pełny kufel najczystszej żytniówki“. W mgnieniu oka obóz opustoszał, ludzie zachęcani do szukania tak koniecznego napoju, rozbiegli się na wszystkie strony,

kopiąc, wiercąc, przewracając ziemię dla wydobywania orzeźwiającego napoju“.

„Jeżeli nie uda się, z pewnością powiesz mi — rzekł do mnie pułkownik — ale jeżeli się uda, nikt się nie waży mnie aresztować. Pomiędzy beczkami z soloną wieprzowiną, jest, jak mi kwatermistrz mówił, baryłka wódki dla chłopców“. A wtem jeden z nich już toruje sobie drogę przez piaszczyste wzgórza, i wstrząsając ponad głową swoją manierką, woła: „woda, woda“. Zmęczony pyta, gdzie wódka. „Pozwól, że spróbujemy twej wody“ — rzecze ostrożny pułkownik. — Była to rzeczywiście woda, czerwona wprawdzie, ale słodka. Teraz nadbiegają inni, niosąc próbki swoich poszukiwań; woda ta odróżniała się mocniejszym albo słabszym odcieniem czerwonym, ale zawsze zdatna była do picia. Wytoczono natychmiast beczkę żytniówki. Bojąc się skutków pełnego kufla, który po brzeg napełnił pułkownik dla Tomasza Mc Grath, pierwszego zdobywcy wody, zaproponowałem, aby nią roztworzyć okowitę. „Ojcie, nie dodawaj wilgoci — rzekł szczęśliwy wynalazca — ja ją zawsze suchą piję“. Każdy z ludzi otrzymał należną sobie porcję. Rozkazano zamknąć wszystkie cysterny w fortecy, a głośnie „hurra“ dało się słyszeć na cześć „pułkownika Wilsona“.

„Wieczorem spostrzegliśmy nowy znak, że pora deszczowa się zbliża. Od 25 czerwca przed południem niebo jest pogodne, zaś po południu gromadzą się chmury gęste i grożące. Ku wieczorowi powstaje sucha, straszna z piorunami burza, przeciągająca się w noc. Nie padnie przytem ani kropla deszczu“.

„Tego wieczora chłopcy i oficerowie zgromadzili się na północnej stronie wyspy, przypatrując się uważnie korzyściom, jakich zażywali nasi nieprzyjaciele po przeciwnej stronie zatoki. „Ojcie — rzecze jeden do mnie — tam musi być doskonała woda; patrz na te cieniste drzewa“. Nauczyliśmy się teraz więcej cenić ten niezbędny napój. Ludzie nasi, spoglądając zazdrośnie na urojoną czy rzeczywistą szczęśliwość cywilnych i wojskowych mieszkańców Pensakoli i jej sąsiednich okolic, pragną, aby ta została ich udziałem. „Jestto nieurodzajna pustynia — mówią między sobą — ale prowadzi do krainy płynącej miodem

i mlekiem“. W obecnym niedostatku pocieszają się nadzieją, że korzystna walka odda w ich ręce, czego teraz tak zazdroszą.

„Majtkowie i żołnierze floty przybyli dziś wieczorem w znacznej liczbie na brzeg, aby się spowiadać. Nie mając namiotu, składamy rachunki sumienia na małym piaszczystym kopcu.

„29 c z e r w c a. Przepędziliśmy straszną noc, walcząc z moskitami i właściwymi tej piaszczystej okolicy, muchami. Ranek dzisiejszy jest nad wszelki wyraz piękny. Morskie powietrze owiewa nas dokoła, obłoki przejrzyste na czystym suną niebie, a lekki powiew wiatru łagodzi gorące promienie słońca; powierzchnia zatoki gładka jak jezioro. Dumnie i wyzywająco stoi wojenna flota; zdala daje się widzieć znaczna liczba żaglowych okrętów; są one zapewne wyładowane zapasami dla fortecy Pickens, która ma zostać magazynem dla floty i wojska, rozlokowanego w tych stronach; okręta te czekały na pomyślny wiatr, aby się zbliżyć do brzegu. Po zwykłej porannej służbie w obozie i po modlitwie, nastąpiło śniadanie, nie tak może wykwintne, jakby niejeden sobie życzył, wody jednak, jaka była, nie brakowało“.

Oficerowie uprzedzali nie znającego miejscowego klimatu księdza, o idących nieprzyjemnościach słotnej pory: „Nie masz pojęcia, Ojczy, o gwałtowności wiatru i obfitości deszczu w tej porze roku — rzekł do mnie kapitan. — Co twoi ludzie poczną bez namiotów i jakiegokolwiek schronienia podczas podobnych ulew?“ Potem wskazał mi na wielkie ruiny, otaczające zbliżoną obóz, i rzekł: „Oto jest, co dotąd nazywają hiszpańską fortecą, wystawioną, kiedy Hiszpanie posiadali Florydę. Warto, abys się im przypatrzył. Te cegły, sprowadzone z Europy, są dzisiaj jeszcze tak dobre, jak kiedy z nich budowano te mury. Cement trzyma ich po dwanaście razem, i to tak silnie, że trudno je rozdzielić. Zwiedzenie tych ruin, nie będzie stratą czasu“. Wracając do obozu, spotkałem dwa wielkie węże. Przybywszy, znalazłem mych chłopców bardzo pomieszanych. Jeden z Żuawów zabił aligatora, za co został aresztowanym i uwięzionym w fortecy. Biedny żołnierz stał na warcie, kiedy zobaczył aligatora.

Przekroczył zakaz i puścił się za gadem, a dopadłszy go, przekłuł bugnetem. Tu rozpoczęła się walka; zwierzę próbowało się rzucić na swego napastnika, lub uciec, Żuaw zaś postanowił zabić lub ująć swą zdobycz. Tłum żołnierzy, przybywający na odsiecz zagrożonego towarzysza, przestraszył czy rozjuszył potwora, który szarpnąwszy się gwałtownie, jął uciekać z bagnetem zatkniętym w ciele. Nie uszedł jednak daleko, bagnet zadrasnął jakąś część żywotną; po kilku wysileniach aligator padł nieżywy. Przyszła teraz kolej na biednego Żuawa. Opuścił stanowisko, użył broni, powierzonej mu przez Wuję Sama do obrony ojczyzny, na haniebną walkę z aligatorem, pozwolił się rozbroić; oto trzy ważne przestępstwa, dla których, przestrzegający ściśle karność wojskową, kapitan Harvey Brown, kazał go aresztować. „Ojcie! idź do niego, wysłuchaj go spo-wiedzi“ — wołają na mnie ze wszystkich stron żołnierze, za-ledwie się pokazałem. Przecież uwzględniono jego nieznajomość służby i uwolniono go z małym napomnieniem. Zawsze nas to zadziwia, że nie dostał się w paszczę aligatora“.

„Była to sobota, wypadało pomyśleć, jakby godnie nazajutrz odprawić Mszę św. Nie było nic przygotowanego w obozie, ani namiotu, ani skrzyni, ani stołka, ani stołu i t. d. Po obiedzie znów zwykła sucha nastąpiła burza. Czy grożący nam potop pozwoli odprawić św. Ofiarę?“

„30 czerwca. Niedziela. Poranek śliczny, ani śladu burzy. Nadeszła prośba od floty, aby wstrzymać się ze Mszą św., dopóki nie przybędą na brzeg oficerowie i żołnierze, którzy chcą jej wysłuchać. A tymczasem żołnierze czyszczą swoje obuwie, polerują guziki i sprzączki. Ale jakąż tu przysposobimy świątynię? Kilku ludzi zatacza beczkę z soloną wieprzowiną: oto mój ołtarz. Sklepienie niebieskie nademną, grunt piaszczystej wyspy pod nogami, słona woda wokół: oto mój kościół. Wystrojeni świątecznie majtkowie i marynarze wraz z oficerami, przybyli na czas. Wszyscy już zgromadzeni — uderza dwunasta godzina. Dobosze biją w bębny — czas na nabożeństwo. Po dwóch stronach ołtarza ludzie trzymają latarnie z zapalonem światłem.

„Jakże imponujący widok przedstawia się Aniołom; pierwsza to niedziela po naszym wylądowaniu. Niegodne te przygotowania ofiarującego się za nas w tej Mszy św. Zbawiciela. Gdy ubierałem się do Mszy św., przystąpił do mnie starszy bosmanów i szepnął mi, że majtkowie, jeżeli na to zezwole, chcą śpiewać hymny i litanią do Matki Boskiej. Tym sposobem, poczciewcy ci bardzo podnieśli uroczysty nastrój nabożeństwa, ku wielkiemu zadowoleniu całego zgromadzenia. Słońce rzucało na nas swoje piekące promienie. Chciałem powiedzieć naukę, ale byłem bardzo zmęczony i zdenerwowany. Nie spałem poprzedniej nocy, mało się posiliłem wieczorem; długi post i wielkie gorąco pozbawiło mnie sił. „Ojcze — rzekł do mnie po Mszy św. oficer marynarki — jestto pamiętny dla nas dzień, pierwsza Msza św. na wyspie. Nie mamy, co prawda, za tło cienistego lasu, ale ocean u nóg naszych się rozwija“.

„Poskładawszy starannie kościelne przybory, włożyłem je napowrót do skrzyni, beczka wróciła na swoje miejsce, i wszelkie ślady naszego kościoła zniknęły. Goście z floty wrócili na swoje okręta, i cisza zapanowała na wyspie. Lękano się, aby nieprzyjaciel nie przeszkodził nam w nabożeństwie; pozostał jednak w pokoju. Po południu i wieczorem powtórzyły się zwykle znaki mającej nastąpić pory deszczowej“.

(C. d. n.)

M.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Historia nowożytna. Tom I do 1648 roku z 64 rysunkami w tekście, mapą historyczną i 11 tablicami genealogicznymi. Przez *Tadeusza Korzona*. Kraków, 1889. str. 539 i IV w 8ce.

Jestto trzeci tom znanej „Historji powszechnej“ p. Korzona, której dwa pierwsze tomy, obejmujące dzieje starożytne i średniowieczne, szybki znalazły pokup, tak że „Historja starożytna“ już w drugim pojawiła się wydaniu. Te same zalety, jakie mają poprzednie tomy tj. przejrzystość i lekkość w opowiadaniu, zręczność w ugrupowaniu materiału, wyłożenie faktów sposobem naprawdę elementarnym, tak proste a tak zajmujące zarazem, cechują i tom trzeci.

Większa część podręczników historycznych, mianowicie niemieckich, przedstawia masę luźnych wypadków bez barwy i życia. Dzieła te są ciężkie, niesmaczne i dla ogółu nieprzystępne. Przeciwnie u p. Korzona. Wszędzie panuje on nad materiałem, robi go przystępnym dla każdego. Zrąb faktów jest wyczerpujący, a jednak nie przeciąża opowiadania. Równoważnikiem jest—że się tak wyrażę—obrazowanie wypadków i postaci dziejowych. Ciekawe czasami i zajmujące dopiski towarzyszą na każdej stronie tekstowi. Na str. 21 jest mowa o wiekopomnem odkryciu Kopernika, w przypisku poruszona kwestya narodowości astronoma. Czytelnika młodszego, więcej drażliwego pod względem narodowym, z pewnością taka sprawa zacieka. Z zajęciem czyta się przebieg takiego sporu polsko-niemieckiego. Mówiąc o Ferdynandzie katolickim i o jego oszczędności, dodaje autor w przypisku (str. 31): Pewnego razu F. wychwalał trwałość swego kaftana: „Już trzeci raz

kazałem dorobić nowe rękawy“. Drobne takie rysy, charakteryzujące krótko i dosadnie osobistości lub wypadki, wszędzie się pojawiają i są ilustracją odnośnych osób daleko lepszą, niż owe rzeczywiste w dziełku umieszczone ilustracye, które co do wykonania są bardzo liche.

W historii powszechnej osobistości o tyle tylko występują, o ile udział biorą w jakimś wypadku powszechno dziejowym. Mało jest osób takich, co jak Filip II, Richelieu lub ks. Bismark obecnie, do ostatniego technienia losy narodów dzierżą w swym ręku. Większość występuje w dramacie dziejowym, jako aktorzy drugorzędni lub tylko statysci. A jednak często osobistości takie, przez historię na szybkie zapomnienie skazane, więcej budzą interesu u ogółu, niż aktorzy pierwszorzędni. Tej właśnie ciekawości, której każdy z nas doświadczył, autor czyni zadość, szkicując krótko życiorys, a mianowicie koniec takich ludzi, jak Cortés, Cesare Borgia, Juana Obląkana, Bothwell, Don Carlos, Tomasz More, Iwan Groźny, nad którym się nawet zastanawia, czy był obląkanym lub nie, i t. d., i t. d.

Przedewszystkiem cenne jako komentarze, ilustrujące stosunki, są tu i owdzie rozrzucone daty statystyczne, które zasłużony autor „Wewnętrznych dziejów Polski“ zręcznie tu i sam wplata w opowiadaniu lub w dopiskach podaje. Zupełnie fałszywe wyobrażenie powzięłby przeciętny czytelnik, czytając na str. 169: „Na początku XVI wieku dochody króla angielskiego dosięgły 14000 funtów szterlingów“. „To bardzo mało“, mógłby pomyśleć. Dopiero dowiadując się, że „najbogatszy z lordów miewał po 6000 f. szter., że wartość pieniędzy była w owym czasie 12 razy większa od dzisiejszej, bo za 1 penny można było kupić tyle chleba, ile dziś za 1 szyling = 12 pensom“, dopiero wtedy uzna, że to suma wcale pokaźna. Mianowicie w przypiskach do ustępów z historii polskiej cenne takie uwagi statystyczne niezmiernie do objaśnienia stosunków się przyczyniają.

Największą zaletą naszej książki atoli jest, iż pisana przez Polaka, przeznaczona jest dla Polaków. Pominąwszy bowiem, że słusznie podnosi znaczenie Akademii krakowskiej w ogólnym ruchu naukowym, że obok Brudzewskich i Koperników, nie zapomina o Janie z Kolna, który przed Kolumbem zwiedził cieśninę hudsonską, lecz wszędzie szuka analogii ze stosunkami polskimi: Rejestrowanie edyktów królewskich we Francyi przez parlamenty, porównywuje z oblatowaniem aktów w sądach grodzkich (str. 157), napady Turków na kraje węgierskie z zagonami Tatarów na Ukrainę (str. 324), ba, nawet olę, hiszpańską potrawę, z flakami czwartkowymi w Warszawie. Wprawdzie mógłby kto zarzuć, że polskim stosunkom w porównaniu z innymi autor zbyt wiele

poświęca uwagi, że np. rozdział XII pod tytułem „Cesarstwo Niemieckie i Turcyja“, zaledwie 5 stronnic zajmuję, następujący zaś rozdział, omawiający stosunki polsko-moskiewskie, aż stronnic 60, zarzut na pozór słuszny, może być za zaletę poczytany, zważywszy, że polskie społeczeństwo w pierwszym rzędzie polskie zajmować winny sprawy, że wypadki ogólnodziejowe, mimo uwzględnienia spraw ojczystych, trafnie i sprawiedliwie, wedle swej ważności, to na pierwszym, to na drugim występują planie, bez szowinizmu narodowego, jaki np. w podręcznikach niemieckich daje się spostrzedz. Przytem stosunki polskie p. K. traktuje rzeczywiście *con amore*, widać, że często zaglądał do źródeł, że źródła cytuję ustępy w tekście, tak że dzieje XVI wieku przemawiają własnym językiem do czytelnika. Na str. 341, mówiąc o unii lubelskiej, pisze autor: „Dnia 17 czerwca Chodkiewicz, starosta żmudzki, zakończył długą mowę swoją „wielkimi łzami“ i czułą prośbą do króla, klęknął, a za nim wszystka rada i posłowie litewscy, aby „nie byli darowani Koronie prawem dziedzicznym, aby to nie było z niewolą i z hańbą ich potomków“. Rozrzewnili się też Polacy i przemawiali po bratersku. Król też przemówił ze łzami w oczach: „Tam Bóg przemieszkiwa, gdzie miłość jest; wola Boża w tem. Ja waszmościów nie wiodę do żadnego zniewolenia. Klękanie zaś Panu Bogu samemu czynić mamy, a nie ziemskim panom“. Z pewnością opis taki jest niezmiernie barwny i interes budzący, lecz trzeba znajomości ogromnej źródeł, trzeba na to nieladajakiej zdolności, by, martwym językiem źródeł wskrzesić przeszłość minioną. Jak łatwo przytem ulec można źródłom pojedyńczym, stronnicy na niekorzyść prawdy dziejowej, tego właśnie przykład mamy w ustępie o Stefanie Batorym. Ze zdziwieniem doprawdy czytamy (str. 375.) „Zuchwałego wygnańca (tj. Samuela Zborowskiego, banitę, urągającego prawu, gotującego zasadzki na osobę króla, robiącego zdradzieckie knowania z carem i cesarzem) nieprawnie, bez wyroku sądowego ściął Zamojski w Krakowie. Tak twierdzili z pewnością bracia ściętego, tak Niemojewski, ich obrońca, na sejmie warszawskim w 1585, ale aby dziś historyk tak twierdził, to tylko jednostronnem i powierzchownem wyzyskaniem źródeł się tłumaczy. Tej samej okoliczności przypisać należy sąd taki o Stefanie Batorym (str. 375): „Wojownik do szpiku kości nie był jednak w ostatnich chwilach królem silnej ręki, gdy Ryga trwała w buncie, kozacy niżowi zabili posła jego zuchwale“. Tak samo możnaby powiedzieć: „Bolesław Chrobry był tchórzem, gdy w chwili jego śmierci Prusacy bezkarnie kasztelana jego zabili“. Nie dziwi nas jednak sąd taki autora, jeżeli między dziełami, użytymi w to-

mie niniejszym, obok prac Zakrzewskiego i Pawińskiego o Batorym, figurują także i Kraushara „Czary na dworze Batorego“.

To niekrytyczne postępowanie we wyborze źródeł daje się przedewszystkiem odczuć przy sprawach religijnych. Pominąwszy, że wypadek takiego znaczenia, jak sobór trydencki, jest zbyt kilkoma słowy, że autor nie zna, a przynajmniej nie wymienia, tak znakomitego dzieła, jak Maurenbrechera „Geschichte der Katholischen Reformation“, w wielu ustępach niniejszego tomu wieje wprost duch antykatolicki.

Ustęp o inkwizycyi hiszpańskiej na str. 50 jest zdaniem naszym streszczeniem odnośnego ustępu w dziele Prescott'a ¹, t. I. str. 274 sqq. Prócz kilku źródeł kronikarskich, ów autor powołuje się głównie na Llorente „Histoire critique de l'inquisition d'Espagne. Paris 1818“ ², Trzeba wiedzieć, że Llorente, ksiądz hiszpański, sekretarz inkwizycyi, libertyn, oskarżony o zdradę stanu i sprzeniewierzenie 11 milionów z dóbr zakonów, do których zniesienia w Hiszpanii się przyczynił, suspendowany z urzędu kapłańskiego, wspierany przez loże masonskie w Paryżu, pisze niemoralne powieści, dalej „Polityczne portrety papieży“, w których Grzegorza Wielkiego zowie przedajnym pochlebcą, Grzegorza VII największym potworem i najgorszym krzywdzicielem ludzkości ³. Tymczasem dzieło jego o inkwizycyi nazywa Prescott jedyną wiarygodną historią tejże instytucyi, i jako taką ją zużytkowuje. Ze historyk protestant, piszący w r. 1839, pamphletistę historycznego wysoko ceni, nie dziwnego, lecz że autor, piszący dla publiczności w r. 1889, pomimo dość licznych prac nowszych na tem polu, z tak wątpliwego źródła czerpie wiedzę, to chyba dowodzi grubej nieostrożności ze strony autora. To też powstanie inkwizycyi hiszpańskiej przypisuje p. Korzon wpływowi straszego Torkwemady, który, będąc spowiednikiem młodocianej Izabeli, wymógł na niej przyrzeczenie, że będzie używać władzy na wytępienie herezy.

Szkoda, że autor opisując dość szeroko jaskrawemi barwy okrucieństwa inkwizycyi, nie znalazł miejsca na przytoczenie tego, czego nawet Prescott opuścić nie zaniechał, cytując opowiadanie współczesnego wypadkom proboszcza Los Palacios ⁴. Mówi on o Maranosach tj. wychrzczonych żydach, przeciw którym inkwizycya była wymierzona: „Był to naród niezmiernie przebiegły i ambitny, który najważniejsze

¹ *Geschichte der Regierung Ferdinands und Isabellas der Katholischen von Spanien.* (tłumaczenie.)

² Prescott w cytow. dziele t. I. 295.

³ Czasopismo *Katholik* 1824 str. 1 i 1828 str. 200.

⁴ Prescott str. 244.

urzędy przywłaszczając sobie umiał. Utrzymywał się chętniej z handlu, przynoszącego wielkie dochody, niż z pracy rąk lub przemysłu. Uważał lud ten chrześcijan za Egipcyan gnębicielei, których oszukiwać i okradać jest zasługą. Ohydnyymi swymi wybiegami zebrali sobie ogromne bogactwa“. Że autor tych rysów z powietrza nie uchwycił, to chyba każdy z nas przyzna. Nie dziw więc, że antysemityzm w gorętszych umysłach hiszpańskich w końcu XV wieku przybrał rozmiary rozruchów, w których ginie nawet wysoki urzędnik królewski, nie dziw, że Izabella i Ferdynand usilnym naleganiom narodu całego ulegli i stworzyli trybunał królewski, duchowną bronią wyposażony¹, który w owych czasach był — wedle najnowszych badań Rodriga² nad inkwizycją — koniecznością historyczną. Czy była rzeczywiście tak straszną, jak ją protestanci, a za nimi p. Korzon, przedstawiają, wątpić należy; przynajmniej o owym inkwizytorze Pedrze Arbues de Epila, który, jak opiewa ustęp na str. 53, wielkie *auto da fé* urządził w Saragosie i wskutek tego zamordowanym został, niewiadomo, czy w ogóle kogo na śmierć skazał³. Niedawno zaś temu Pius IX go w poczet świętych policzył. Lecz mniejsza o inkwizycję, która ze stanowiska ogólnie ludzkiego zawsze jest potępienia godną, ale i w innych wypadkach autor uległ wpływowi pisarzy protestanckich.

Jan Tetzel, wedle p. K. (str. 79) „zachęcał wymownie, ale też nieprzyzwyczajone, licznych słuchaczy swoich do kupowania kart odpustowych, zapewniając, że jak tylko wpadnie do skarbony i brzęknie groszak, zaraz jedna dusza pójdzie z czyśćca do nieba“. Otóż Tetzel ogłasza przy swej doktryzacji we Frankfurcie nad Odrą 106 antitez przeciw Lutrowi, z których 56 brzmi: „Dusza, oczyściwszy się, wznosi się bez przeszkody przed oblicze Boże, a kto twierdzi, że to nie prędzej może się stać, aż grosz na dnie skarbony zadzwoni, ten błędzi“. Że zaś nie rzekome nadużycia Tetzla wywołały oburzenie Lutra, dowodzą własne słowa reformatora. Dowiedziawszy się bowiem, że Tetzel, zmartwiony oszczerstwami, śmiertelnie zachorował, kazał umierającemu powiedzieć, aby się nie martwił: „sprawa bowiem nie z przyczyny jego (tj. Tetzla) się wszeczęła, lecz dziecko (tj. reformacja) ma całkiem innego ojca“⁴.

¹ Ranke, *Röm. Päpste* I 242.

² *Historia verdadera de la inquisición*. Madrit 1876.

³ Bauer. *Stimmen aus Maria Laach*. 1882. t. XXIII str. 208.

⁴ Ewers. *Martin Luther* t. I str. 22.

Jakkolwiek ustęp o Jezuitach i ich działalności, jest, ogółem biorąc, dosyć przedmiotowo pisany, to jednak razić musi taka płoteczka historyczna, jak ta (str. 109): „Z czasem Jezuitów generał bywa nazywany „czarnym papieżem“ (od czarnego ubrania) i używał częstokroć większej władzy niż papież „biały“. Co zaś do twierdzenia, „że szkoły Jezuitów nie przyczyniały się do podniesienia oświaty, a raczej tłumity i przygnębiały wszelką samodzielność umysłu“ (str. 113) najlepiej przytoczyć zdanie owoczesne Bakona protestanta, który pisze do swego przyjaciela: „Chcesz dobrze dzieci wykształcić, posyłaj je do szkół jezuickich, lepszych nad nie niema“. Śmiesznym wreszcie wydaje się zarzut, zrobiony Jezuitom późniejszym, iż „zamiast poświęcenia i blasku cnót chrześcijańskich, szukają skutecznych środków działania w szerzeniu szczególnej czci Maryi Panny zapomocą bractw (sodalitates Marianae), w budowaniu okazałych kościołów itd.“. Zdaje się, że autor pod formą zarzutu, chciał komplement powiedzieć następcom św. Ignacego Loyoli. Co ona zaś znaczyć „umiejętne korzystanie ze spowiedzi usznej monarchów i ludu“, tego doprawdy nie rozumiemy.

Gwizyusze również w przeciwieństwie do Hugonotów w zbyt ujemnem świetle są przedstawieni. „Wpajali oni najgorliwiej — opiewa ustęp na str. 168 — nienawiść do Hugonotów, wystawiając ich jako buntowników niebezpiecznych tronowi“. Że mieli rację, tego nie tylko republikańskie zasady kalwinistów dowodzą, lecz przewroty, później przez nich wywołane, czy to w Szkocyi, czy w Niderlandach, czy w samej Francyi. Autor wspomina o zemście, na nich przez Gwizyuszów wywartej (str. 166), lecz zapomina o mordach, przez Hugonotów na tyłu katolikach spełnianych np.: jeden marszałek Montgomery, w miejscowości Orthez, 3000 katolików wyrznąć kazał, o spaleniu 800 kościołów katolickich, pomiędzy niemi 50 katedralnych ¹ itd.

Niedziw więc, że po nocy św. Bartłomieja, papież, otrzymawszy wiadomość od Karola IX o egzekucyi, wymierzonej na Hugonotach, spiskujących przeciwko tronowi, uważał fakt ten za zwycięstwo katolicyzmu, tak bardzo zagrożonego we Francyi, że odprawił dziękczynne nabożeństwo i wybił medal pamiątkowy. *Comprendre c'est pardonner*, możnaby w tym wypadku powiedzieć. Autor jednak, podając bez komentarza — a przecie komentarze lubi — wiadomość o *Te Deum* Grzegorza XIII tuż po pełnym grozy opisie rzezi, zmusza niejako młodościany umysł do wyczytania między liniami: „Jaki ten papież okrutny!“

¹ Maury. *Journal des savants* 1881.

Na koniec jeszcze słówko o Maryi Stuart. P. K. zdaje się być przekonany o winie nieszczęśliwej królowej. Wspominając na str. 189 przyp. 1 o listach szkatułkowych, powiada: „Oprócz listów wszakże dużo jest innych wskazówek, że Marya nie była niewinną ofiarą intryg i gwałtów Bothwella, lecz dobrowolną spółniczką jego“. Koniecznym było, choćby kilku słowy, wytłumaczyć, co to są listy szkatułkowe, których autentyczności, po pracach Bekkera, Onckena, Opitza, Bresslau'a, Cardaun'sa, Gerdésa, wątpię, czy kto udowodni. W obec tego, szkoda doprawdy, że autor nam tych innych nie przytoczył wskazówek.

Z formalnych usterek wymieniamy tylko niekonsekwencyę w pisaniu nazw ludów to wielką, to małą głoską: tak na str. 28 arabowie, natomiast Portugalczycy, malabarczycy, na str. 30 Hindusowie, (35) włoszem itp.; na str. 131 „będę jej stawiał czoło“ zapewne ma być „stawiał czoło“; na str. 240 „1 dukat węgierski = 54 złt.“ zamiast 54 gr.“

Podaliśmy najważniejsze usterki; jest ich na 539 str. stosunkowo niewiele, a nikną one w obec tylu zalet, które z pewnością się przyczynią, że i tom obecny niedługo w nowem pojawi się wydaniu. Autor padł, jak się zdaje, ofiarą niefortunnych źródeł. To też nie wątpimy, że owe nieliczne, a jednak rażące usterki, znikną w następnej edycji, czego z całego serca i autorowi i naszej publiczności życzymy.

K. K.

Połączenie Rusi Czerwonej z Polską przez Kazimierza Wielkiego. Napisał *Kazimierz J. Gorczycki*. Lwów. 1889, str. 112.

Wyczerpującej monografii połączenia Rusi Czerwonej z Polską przez Kazimierza W. dotychczas napróżno oczekiwaliśmy, mimo że wydawnictwo źródeł odnośnych już od lat kilku ukończone i niema prawie nadziei, aby się w przyszłości zbyt wiele nowych dało odszukać materiałów. Brakowi temu zaradzić zamierzył p. G. pracą pod powyżej wymienionym tytułem, z trzech części złożoną, z których pierwsza zajmuje się politycznem, druga kościelnem, ostatnia wewnętrznem Rusi z Polską połączeniem. Podział zupełnie trafny i dobrze obmyślany, czy jednak wykonanie zadowalające? Odpowiemy, przechodząc rzecz całą szczegółowo. Historię politycznego połączenia poprzedza autor zbyt może długim w stosunku do całości, ale na najnowszych opartym badaniach, rzutem oka na ostatnie lata samoistności Rusi halicko-włodzimierskiej. Zakwestyonowalibyśmy tylko zdanie, jakoby Lubart uznawał Jerzego II swoim zwierzchnikiem (str. 12). Gdybyśmy bowiem nawet

zgodzili się na to — co zresztą jest bardzo wątpliwem — że już przed r. 1340 siedział Lubart na Łucku, toć przecież ten jedyny fakt, iż na dokumencie Jerzego z r. 1325 znajdujemy między świadkami wojewodę łuckiego, bynajmniej jeszcze nie upoważnia do wysnucia takiego wniosku. Analogicznie wnioskując, wypadaloby np. twierdzić, że Polska uznawała zwierzchnictwo Władysława Opolskiego, skoro na kilku przezeń wydanych dokumentach w czasie, gdy rządził Rusią Cz., widzimy między świadkami najwyższych dygnitarzy polskich. Po tym wstępie kreśli autor dzieje 30-letnich prawie zapasów, jakie się rozgrywały o posiadanie Rusi Cz. między Kazimierzem i jego sprzymierzeńcami z jednej, Litwą i Tatarami z drugiej strony. Część to pracy chyba najślabsza. Co krok spotykamy tu rzeczy, urągające wszelkiej metodzie naukowej. Pomijając już, że p. G. nie zużytkował wszystkich źródeł, a mianowicie kroniki dubnickiej, klasycznego do wypraw Ludwika na Ruś świadectwa, którą przecież znać był powinien, choćby tylko w streszczeniu, podanem przez Hubera ¹, gorsza, że nie rozróżnia dosyć źródeł pochodnych od pierwotnych, czerpie z nich wiadomości, jakichby się nikt nie doczytał, i przeinacza je najdowolniej. Parę przykładów pouczy o słuszności naszych zarzutów. Na str. 41 i 81 informuje się p. G. u Strykowskiego zamiast u Długosza w pierwszym, w kronice Bychowca w drugim wypadku ². Rocznik Traski wcale o tem nie wspomina, jakoby Kazimierz, wracając z pierwszej wyprawy na Ruś, powierzył obronę Lwowa Niemcom (str. 22). Podobnie nie wyczytaliśmy w kronice Janka z Czarnkowa, aby Lubart był lennikiem Kazimierza W. (str. 36, 37 i 48). Nigdy też Kazimierz nie nadał Jerzemu Narymuntowiczowi Kamieńca Podolskiego (str. 31) z tej prostej przyczyny, że go sam nigdy nie posiadał. Strykowski wcale tego nie twierdzi, aby r. 1353 stanął pokój między Lubartem a Kazimierzem (str. 39). Mylnie sądzi autor, że uгода między Kazimierzem i książętami mazowieckimi a Jawnutą Kiejstutem i t. d., zawartą została między 1340—5 r. Skoro w niej Olgierd nazwany wielkim księciem, skoro w niej wreszcie mowa o uwięzieniu Lubarta przez Kazimierza, co miało miejsce r. 1351, nie ulega wątpliwości, że przed r. 1351 zawartą być nie mogła. Dlatego słuszniej już naznacza jej Caro r. 1352 ³. P. G. prawdopodobnie przed oddaniem swej pracy do druku, nie przejrzał jej nawet poraz drugi, bo jakżeby inaczej mogła ująć uwagę jego zagadka

¹ *Archiv f. ö. Gesch.* t. 66. część I.

² Narbutt. *Pomniki do dziejów lit.* str. 57.

³ *Gesch. Pol.* II. 296.

niepodobna do rozwiązania, jaką nam daje na str. 40. Opowiada tam, że kiedy Ludwik bawił na Rusi (a więc 1350—2), Kiejstut popadł w niewolę, a chcąc się z niej wydobyć, udał, iż pragnie przyjąć chrzest, o czym sam król Kazimierz r. 1349 doniósł papieżowi. Musiał być chyba jasnowidzącym! Charakterystycznie wygląda, że p. G. o bitwie pod Crecy informuje się nie gdzie indziej, tylko u Długosza (str. 34). Gedymin zmarł nie r. 1340, ale w zimie 1341/2 ¹.

Bez porównania mniej usterek znajdujemy w drugiej części pracy, traktującej o kościelnem Rusi Cz. z Polską połączeniu. Ale jestto też nie innego, tylko chronologiczne obok siebie zestawienie mnóstwa — zresztą już skądinąd dobrze znanych — faktów z dziejów Kościoła wschodniego i katolickiego, nietylko na Rusi Cz., ale na Rusi w ogólniejszem słowa znaczeniu, poczynając od 11, a kończąc na schyłku 14 wieku. Nie zatrzymując się tedy dłużej, przechodzimy do części trzeciej, w której spotykamy się już częściej z oryginalnymi poglądami autora. Rozróżnia on na Rusi Cz. szlachtę alodyalną i lenną. Nie zupełnie jednak trafnie określa prawa i obowiązki, ciążące na lennach; te, które wylicza na str. 77, nie są wyłączną cechą lenn, owszem są przywiązane nawet do nadań na prawie polskiem ². Różniły się lenna od własności czystej tem głównie, że były dziedziczne jedynie linii męskiej ³, a alienacya ich, sprzedaż, zamiana i t. d. zależną była zupełnie od zezwolenia lennodawcy. Zresztą zdaje się p. G. uważać lenna w tej formie, jak je za Opoleczyka widzimy, za wytwór czysto ruski, gdy tymczasem okoliczność, że Jagiełło prawo lenna nazywa wyraźnie prawem śląskiem ⁴, przemawia za tem, że zostało ono przeszczepione na Ruś Cz. przez Władysława Opolskiego ze Śląska. Jakoż na Śląsku spotykamy je w tej samej postaci, co na Rusi Cz. Zapomina też autor, że alodium nie zawsze oznacza własność w przeciwstawieniu do feudum, lecz także — w Polsce i na Rusi niemal wyłącznie ⁵ — znaczy tyle, co folwark. I takie właśnie znaczenie ma alodium Podpresk (str. 76). Szlachtę lenną na Rusi pozyskał sobie Kazimierz, zastępując lenna alodjami; z bitnymi bojarami alodyalnymi postąpił sobie natomiast doraźnie (str. 81); zapewne po r. 1349 zwołał ich do Przemyśla i tu wymusił na nich ustępstwa na rzecz Korony polskiej, a także może

¹ J. Wolff. Ród Gedymina str. 7.

² Agz. VII. 15.

³ Vol. leg. II. 1017.

⁴ Agz. V. 38.

⁵ Por. Agz. II. 6.

i na rzecz stanów innych. Skąd p. G. wie o tem? Oto wyczytawszy w Strykowski, jak to panowie polscy za Kazimierza Jagiellończyka zamysłali panów litewskich pojmać i uwięzić w Parczowie, podobnie jak przedtem z panami ruskimi i przemyskimi postąpili, bez żadnego skrupułu odnosi ten gwałt, na panach ruskich dokonany, do r. 1349. Żali się autor, że nie znamy dyplomów Kazimierza W., nadających na Rusi ziemie szlachcie polskiej lub w ogóle cudzoziemskiej (str. 83). Nie dziw, skoro nie zna kodeksu dyplomat. małopol., gdzie przecież dyplomów takich mamy kilka. Co gorsza, budzi się mimowoli podejrzenie, że p. G. nie zadał sobie nawet trudu, aby przynajmniej te dokumenty, jakimi rozporządzał, uważnie przeczytać. I tak na str. 77 mówi, iż Opolczyk nazywa Mały Winnik wsią swoją; trzeba było wielkiej nieuwagi, aby przeoczyć, że „sua“ odnosi się tu nie do Opolczyka, ale do Stechera. Na str. 79 prawie na pewno przypuszcza, że dziedzictwo, jakie Anna Radywońkowa sprzedaje, było jej posagiem, a przecież przypuszczenie to wcale nie potrzebne, bo w akcie sprzedaży wyraźnie czytamy, że mowa o dobrach posażnych.

Z kolei daje nam p. G. obraz sądownictwa i administracji na Rusi Cz., obraz, dający się raczej odnieść do czasów Jagielly, aniżeli Kazimierza, z czego ostatecznie trudno robić zarzut z uwagi na brak źródeł. Obraz to zresztą już znany, dzięki polemice prof. Liskego z R. Hubem, która niedawno wywołała cenną pracę p. Margasza¹. Nie zrozumiał p. G. kontrowersyi, jaka zachodzi między prof. Liskem a dr. Piekosińskim (str. 108) co do istnienia sądów leńskich na Rusi Cz. Prof. Liske zakwestyonował jedynie istnienie w Sanoku sądu leńskiego dla ziemian, a nie sądu leńskiego w ogóle, jakby się to wydawać mogło z przedstawienia p. G. Nazwa i instytucja starostów pojawia się w Polsce nie na początku 14 w., ale już u schyłku 13 w.²

W rozdziale o sądownictwie i administracji rozpatruje autor prawnopolityczny stosunek Rusi Cz. do Polski za Kazimierza W., choć łączy się to organicznie raczej z częścią pierwszą, gdzie mowa o politycznem połączeniu. W dziejach tego stosunku rozróżnia autor 3 okresy, z których każdy obejmuje równych lat 10. W I okresie (1340—50) wchodzi Ruś prawnie w skład ziem Korony polskiej, ale faktycznie stanowi odrębne państwo pod władzą Detka, bo Detko ma równie rozległą władzę, jak dawni książęta, a w tytule Kazimierza nazwa Rusi

¹ W sprawie sądownictwa czerwonoruskiego (*Przeł. powsz.* 1889. zes. 1 i 2).

² Zbiór dypl. klaszt. mogińskiego Nr. XLII.

wcale nawet nie przychodzi. Otóż naprzód należy to udowodnić, że Detko miał rozleglejszą władzę, niż późniejsi starostowie generalni, a potwóre zapomniał p. G., że Detka uśmiercił już r. 1346 (str. 30), i że przyznał się (str. 30), iż zna 3 dokumenty z tego czasu, w których Kazimierz zwie się panem i dziedzicem Rusi. W II okresie (1350—60) jest Ruś Cz. faktycznie połączona z Koroną polską, lecz prawnie tworzy odrębne państwo, bo ma własną kancelaryę i kanclerza, a Kazimierz tylko w dokumentach, odnoszących się do Rusi, nosił tytuł jej pana. Jakżeż można z tego jedynego wypadku, że na dokumencie króla polskiego z r. 1356 widzimy kanclerza Rusi, twierdzić, że ziemia ta miała własną kancelaryę w latach 1350—60, a nie miała jej np. r. 1349 lub 1361?

Zresztą znamy z tego czasu dokumenty, nie dotyczące Rusi, a Kazimierz mimo to ma w nich tytuł pana Rusi¹, jak i na odwrót w dokumencie z r. 1360, dotyczącym Rusi, tego tytułu nie posiada². Lecz p. G. ma jeszcze jeden argument, który warto przytoczyć nawet bez komentarza. Może być, powiada na str. 101, że w tym okresie miała Ruś nawet własny sąd nadworny, bo w r. 1359 występuje, jako świadek dyplomu królewskiego, sędzia Olefirko, który żył jeszcze r. 1366, ale być może, że już 1360 urząd swój utracił z zatrzymaniem tytułu! Podobnie motywuje autor III okres, w którym Ruś Cz. staje się krajem polskim, ale prowincją polską jeszcze nie jest. W ostatnim rozdziale mówi p. G. o handlu, finansach i sile zbrojnej. Dowiadujemy się tu między innymi rzeczami, że Ruś Cz. dla tego miała lepszą monetę od polskiej, ponieważ Wschód w ogóle lepszą miał monetę niż Zachód, i że Krzyżacy przeszkadzali w 14 w. handlowi Rusi Cz. z Gdańskiem.

Trudno pominąć milczeniem, że odsyłacze w całej pracy niezmiernie mylne i niedokładne np. na str. 34 ods. 2, str. 37 ods. 10, str. 39 ods. 20, str. 76 ods. 11, że wreszcie autor czerpie raz z Długosza w wydaniu polskim (str. 34), drugi raz w łacińskim, wcale o tem czytelnika nie uprzedzwszy. Nie zaznaczył też, z którego wydania Strykowskiemu korzystał, co przecież było niezbędnem, skoro wydań jest kilka, a każde ma odrębną paginację. Dobieglśmy do końca. Odpowiedź na pytanie, jakieżmy na początku naszego sprawozdania zadali, nasuwa się sama.

Aleksander Czuczynski.

¹ Kod. dypl. małop. I, 274, III. 79, 116, 126.

² Kod. dypl. małop. I. 299.

Baśń nad baśniami. Napisał *Wojciech Dzieruszycki*. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1889.

Dwa tomy, 684 stronnic wierszy, napisanych przez autora, cennego w zakresie prac naukowych, w działalności politycznej i publicystycznej, ale na Parnasie polskim dotąd nieznanego. Więc nie dziw, że stanąwszy nad brzegiem tego oceanu wierszy, ani przypuszczamy, byśmy mogli przezeń przepłynąć, a sądzimy, że dość nam będzie skąpać się w kilku stronicach.

Do morza nie wchodzi się tak raźnie, jak do wiślanej kąpieli, więc siedzimy nad brzegiem, namysławiając się, czyby też na inną chwilę nie odłożyć sprawy. Aż skupiamy w sobie siłę woli i pod jej przymusem zaczynamy czytać o „Babie Jadze“, co miała córkę Welinę i Łopuchę, takie złe, jak ona sama, a pocziwاً panienkę „Żywą“ i dzielnego pasierba Czuryłę. Niegodziwości Baby Jagi, a cierpienia Żywy i cudowna nad nią opieka matki Dziedzili, co w postaci krowy na pomoc córce z tamtego świata przybywa, zachęcają nas do dalszego słuchania baśni, zwłaszcza, gdy się dowiadujemy, że król Krakus przybywa, by się z córką wieśniaczą, ową pocziwاً Żywą, ożenić, bo chce mieć na Wawelu miłującą lud żonę, a nie dumną królowę. Mimo zabiegów, czarów i podstępów Baby Jagi, a zalotności Welindy i Łopuchy, które ku sobie serce króla skierować pragnęły, Żywa została królewską żoną i wniosła na Wawel szczęście królowi, a Polsce dobrą dolę, zwycięstwo nad wrogiem Popielem, urodzaj i dostatek. Od matki Dziedzili dostała w posagu źródło szczęścia, tryskające czystą wodą cudownej mocy, i jabłoni, z której nigdy nie ubywa owoców. Miała też moc cudowną w pieśni. Pieśnią tą rozpraszała wszelkie niebezpieczeństwa od Polski, oddalała grożące jej klęski.

Dotąd baśń nie znudziła; mimo znużenia, jakie sprawia czytanie wierszy, nabieramy ochoty zajrzeć do pieśni drugiej, o tytule „Kolęda“.

Czarnobóg Popiel, pan północy, król złych duchów, nie mógł znieść powodzenia Kroka, czyli Krakusa, gniewało go to bardzo, że Białobóg wziął nad nim przewagę i ludzi szczęściem darzy, więc używa podstępu, aby złamać zwycięski oręż Krakusa. Gdy Krok na wojnę wyruszył, Żywa wciąż pieśni cudowne śpiewała, pozostawszy na Wawelu, a z tych pieśni snuło się zwycięstwo w boju, ład, porządek i błogi stan w całej Polsce. Łopucha staje się posłannikiem Popiela, idzie na Wawel, staje przed przyrodnią siostrą Żywą, udaje ku niej miłość wielką, rozbudza zazdrość w tęskniącej za mężem i namawia, by przyjąwszy na się postać szarej gęsi, uleciała do obozu Krakusowego i tam

nad mężem czuwała. Ta, kobietom właściwa skłonność do zazdrości, staje się motywem tragicznych losów Żywy, Krakusa i całej Polski. Uległa Żywa podstępny namowom siostry, dała się czarami w gęś szarą zamienić, i uleciała, a Łopucha, przyjąwszy na się postać Żywy, na Wawelu pozostała.

Znikła zaraz jabłoń cudowna, wyschło źródło szczęścia, pieśń cudowna już się nie rozbrzmiewała, a Marzanna, córka Żywy, zamiast czulej matki, miała teraz niegodziwą macochę.

Zaraz też zniknęło szczęście Krakusowe. Popiel zwycięża, kłęski za kłeskami na kraj cały spadają, Krakus wraca pobity do domu i w ciągu drugiej pieśni dowiadujemy się właśnie, jakie były następstwa zniknięcia Żywy. Krakus, spostrzegłszy zmianę charakteru w swej nibyto żonie, a była nią w postaci Żywy złośliwa Łopucha, popada w rozpacz, w rozpacz dopuszcza się błędów, grzechów, nawet zbrodni, a te ułatwiają Popielowi, królowi czartów, panowanie nad ginącym z głodu i moru narodem. Szczęśliwy sen wskazuje Krokowi zieloną żabkę, która go ma ocalić. Żabka udziela mu rad, jak upokorzyć dumną królowę, udzieliłaby mu ich więcej jeszcze, jak ma odzyskać dawną dotę sobie i narodowi. Stało się inaczej. Żabka zamieniła się na chwilę w cudownej urody dziewczę, a Krokowi powierzyła skorupkę żabią pod uroczystą przysięgą, iż jej będzie strzegł jak oka w głowie, że jej z rąk nie wypuści, aby jej kto w ogień nie rzucił, bo wtedy jużby nie mogła zamienić się w żabkę i straciłaby moc czarodziejską. Krok przysiągł uroczystcie, ale gdy na widok cudnej dziewczicy namiętna ku niej miłość w nim się obudziła, złamał przysięgę, skorupkę spalił, aby dziewczica na zawsze już w postaci ludzkiej pozostała.

Rozpacz ogarnęła ową ex-żabkę, która właściwie była królową Rusalek, Kolędą, srogie czyniła Krokowi wyrzuty, ale na Wawelu pozostać musiała. Tymczasem Żywa, nie mogąc odzyskać ludzkiej postaci i do męża wrócić, zaleciała na wyspę, którą jej Czech, król morza ofiarował, tam osiadła i zniosła złote jajo, z którego wykuł się dzielny chłopiec, nazwiskiem Piast. Kolęda stała się teraz Krakusową żoną i spodziewała się powieć mu dziecko. Krok się dowiaduje, że Łopucha udaje tylko Żywą, a jest czarownicą Łopuchą, więc każe ją do więzienia wtrącić, a potem do wyznania prawdy przymusza. Łopucha prawdy wyrzec nie chce, więc stopniowo zapada się w ziemię za wolą Kroka, aż ją ziemia pochłonięła.

Tymczasem zle siły i król ich Popiel i sojusznica Baba Jaga i zręczna Welinda postanawiają zupełnie zgubić Krakusa. Urządzają burzę straszną w chwili, gdy Krok był na polowaniu.

Przed burzą chroni się król zbłąkany w borze do chaty, która mu się nasunęła. Była to chata czarownicy Welindy. Krok napił się napoju, co miał moc taką, że wlewał w pijącego wiarę we wszystko, co usłyszy. Wówczas powiedziała mu Welinda, że Kolęda jest wiedźmą, która w tej chwili powiła poczwarę podobną do żaby, i że ona jest przyczyną wszystkich jego nieszczęść, i że powinien natychmiast wydać rozkaz, aby matkę poczwarę wraz z dzieckiem potworem wyrzuceno z Wawelu na mróz w czyste pole, aby tam przepadły. Krok pod wpływem napoju wierzy ślepo podstępnyim radom Welindy, zdejmując pierścień na znak swej woli i poleca Welindzie, by według swych rad, zaniósła rozkaz jego na Wawel. Stało się. Nazajutrz wraca Krok do domu i dowiaduje się, że Kolęda powiła ślicznego chłopca, którym się wszyscy zachwycali, który cały naród rozweselił swoim widokiem, jakby słońko wiosenne. Rozpacz znowu ogarnia Kroka, aż tu ponownie zwabia go Welinda do siebie i tam czarami zamienia w króla węzów, Położa.

Teraz, gdy Polsce króla zabrakło, zastępcy Popiela pod dowództwem Welindy zajmują Kraków, naród tchórzliwie się poddaje, pod Wawelem w pieczarze zamieszkuje Żmij, straszny smok o siedmiu głowach i zatruwa powietrze zabójczymi wyziewy. Miasto zalewa cuchnąca woda, i w miejsce Krakowa powstaje zgniłe jezioro, a nad niem sterczy Wawel z Welindą i Żmijem.

Król morza, Czech, pocciwy bardzo rębajło, pod pantoflęm będący u swej żony, królowej Rosy, zlitował się nad Kolędą i jej dziećciem, i dał im za mieszkanie ciepłe obłoki, wypuszczone z morza. Tam rósł syn Kolędy, ale spał, aż później przebudził się na złotym koniu Złotogrzywku, nazwał się Kupalo i został piastunem słońca i ognia.

Nie wiedząc kiedy, stanęliśmy u progu pieśni już czwartej, pod napisem „Dodola“.

Widać obawy przy wzięciu książki do ręki były płonne, skoro tak prędko doczytaliśmy się trzech pieśni. Nie znudziły one wcale, owszem sprawiają nie małą przyjemność dziwnego rodzaju. Ileż to razy, przynięceni trudem życia, chętnie, z rozkoszą biegniemy myślą wstecz, w lata dziecięce, kiedyśmy byli tacy szczęśliwi, tacy swobodni! Wspomnienie przeszłości rozrzewni nas, ale i pocieszy i ułagodzi żal, bo chociaż dziś nie jesteśmy szczęśliwi, przypomina, żeśmy nimi niegdyś byli. Czy jest starzec, coby nie ożywił się, nie uśmiechnął, nie rozrzucał na wspomnienie lat młodych? Może to i dlatego, by człowiekowi to źródło chwil najmilszych życia, na zawsze zachować, jak ożywcza

krynicę pokrzepienia, zrzucił Bóg, iż w starości, straciwszy pamięć rzeczy późniejszych, wcześniejsze, z zarania życia, dobrze pamiętamy.

Może to podobny rodzaj zadowolenia, gdy się czyta owe baśni, osnute w dziecięctwie narodu, nim naród wyrósł w cywilizowanego dziś męża? Mimo cywilizacji, mimo bibliotek, wynalazków, komfortu życia i... milionowych armij, bywają chwile, żebyśmy za Krasickim radzi odszukać taką wyspę, na której znalazł się Doświadczyński po rozbiciu okrętu.

Albo biedy nasze tak wielkie, albo sprawy świata tego tak małe, że radziśmy sięgnąć myślą poza nie, choćby w kraj baśni, zwłaszcza, jeżeli baśń taka piękna, taka poetyczna, jak w pieśni IV pod napisem „Dodola“.

Już tam nie pójdziemy za Dodolą ani do lasu po ojcowski kożuch, ani do skał cudownych, do stolicy Położa-Kroka, ani do pięknego Raju na Latyr-górę, bo nie wątpimy, że sam czytelnik zechce przeczytać książkę pana Dzeduszyckiego, zachęcony treścią pierwszych pieśni. Nie zawadzi dodać, że „Dodola“ jest w całym słowa znaczeniu ustępem wielce poetycznym, prawie uroczym.

W następnych pieśniach opowiedziane dalsze losy króla Kroka, narodziny Wandy, a potem historia Leszka na koniku Czarnolotku, dwunastu wojewodów, Piasta i Rzepychy, córki króla Czechy, walki z Popielem, zabicie Dziwa, co w czapce Niewidce wiele złego wyrządził ludziom, a pomagał czartom. Są tam przygody Marzanny, Kupały, Leszka, dzieje ostatniego z olbrzymów Świętógóra, wreszcie walki ostateczne z Popielem i ze światem złego; myszy, co Popiela zjadły wraz z Babą Jagą, zwycięstwo sprzymierzeńców: Kupały, Leszka, Wandy i Piasta i obranie Piasta królem.

Przypomina się anegdotka o Henryku IV, jak udając konia, biegał po salonie na czworakach, dźwigając na sobie małego synka. Śród takiej zabawy zastał go ambasador angielski. Nie przerwał król zabawy, ale zwróciwszy się do ambasadora, powiedział: „Pozwól mi dokończyć tej jazdy“. Z miłości ojcowskiej rad zapomniał Henryk IV o majestacie korony; czytając tę baśń, zapominamy radzi o powadze naszej cywilizacji, ale dlaczego? Czy to jaki rodzaj miłości synowskiej dla przeszłości? Czy ucieczka przed fałszami dni dzisiejszych w baśnie dni wczorajszych? Jeżeli bezmyślne, banalne, a często do wstępu głupie libretta operetek nas zajmują dlatego, że o rzeczywistości zapominać pozwalają, to jużćie nie trudno odpowiedzieć, dlaczego i Baśń nad baśniami zajmuje nas i nęci. A ma ona urok w tem, że to nasze własne, że to spuścizna z lat dziecięcych narodu.

Autor zebrał skrzętnie wszelkie podania o kolorycie historycznym i religijnym, wszelkie baśnie ludowe, pieśni, i to nietylko polskie, ale wszystkich słowiańskich narodów, i przetopił to w ogniu swej fantazyi w jednolity obraz walki Czarnoboga z Białobogiem.

Są miejsca, które przypominają „Obronę Sokołowa“ Morgenbetersa, jak np. gdy na turniejach u Wandy zjawiają się :

„Odo z Szampańskiej krainy i Bozo,
Co najpiękniejszy zamek ma nad modrą Mozą,
Przybył Amadis, dzielny król Galskich rycerzy,
A Roland z Parziwalem od jasnych puklerzy
W słońcu jaśnieli, gdy na dzielne swoje konie
Usiedli. Lohengrina tu zanosły tonie
Morskie z krajów najdalszych; z lutnią stał na łodzi
I śpiewał, a ciągnęły łódź czarną po wodzie
Szumnej białe łabędzie. Gdzieś z Greckiej krainy
Achilles przybył szybki po rękę dziewczyny
Lackiej; klnie się na wszystko, że dziewczę zwycięży,
Boć przecie on o wiele najlepszym wśród męży.
Był i Samson Żydowski; nie brakło Hektora,
Ni witezia Tezeja, ani Agenora,
Co w Tyrze dokazywał. I Zabój przybywa
Z czeskiej ziemi, a Słowój do boju zagnywa
Druha swojego. Z innych tutaj dostrzeżono
Menelaję, co z piękną się rozjechał żoną
Heleną, i z pod Rzymu Ewandra dzielnego,
I Zygryda, którego święte wróżby strzegą;
Bo kiedy smoka zabił, we krwi wykąpany
Smoczej, odtąd bezpiechen jest od wszelkiej rany.
Był i Eneas, co był odjechał Didony,
I brat jego Palemon, co w litewskie strony
Zaniósł plemię Trojańskie. Pośród lackiej młodzi
Nikt nie zaprzeczy, że tu pan Walkierz dowodzi;
Rad z Galaorem mówi, rycerzem Hiszpańskim
O bojach i przewagach“.

Zgromadzenie tych postaci w turniejach u Wandy na Wawelu traci szopkę, jest wybrykiem rażącym. Wiemy aż nadto, że lud o tych postaciach nie wie i nie wiedział, a więc i baśni o nich nie stworzył. Po tym ustępie cokolwiek w niesmak idzie dalsze opowiadanie, bo nie możemy sobie zdać sprawy, gdzie się kończy podanie ludowe, a gdzie zaczyna fantazyja autora, a budzi się w czytającym podejrzenie, że kaprys autora znowu z legendy uczyni humoreskę.

Posadzić musimy autora, że wylazł z niego na chwilę Dzedu-

szycki publicysta, poseł-Ateńczyk, gdy na str. 162 kładzie w usta starcowi w Krakowie te słowa:

„Ale w Krakowie zawsze zwycięża rozważa“.

Byłoby to dla Krakowa pochlebne, gdyby nie było w owym ustępie, a po mowie Pełki, nawskróś zjadliwe. Jestto kulaczek, dany przez „Ateńczyka“ tak zwanym „Stańczykom“.

Są natomiast ustępy piękne, wyrażające tendencję rozwiniętą w całym utworze, a tą jest, że miłość i sprawiedliwość zwyciężyć muszą. To też według autora:

„... miłość, a nie przestach bywa władcą świata“.

Gryf, stróż Raju zapewnia Krakusa i Dodolę:

„Że miłość śmierć zgasi“.

Pięknie też przemawia Krakus w postaci dziada do Czasu i Przemiany, w księdze VI. Z tych słów płynie nauka i dla dzisiejszych pokoleń.

Autor użył tu stylu gawędziarskiego i Baśń zrazu na gawędę bajeczną zakrawa, ale w ciągu dalszym styl się zmienia, opowiadanie staje się coraz żywsze, nabiera znaczenia rapsodu rycerskiego, to znowu epepei. Z początku poprzestawał autor na stanowisku lirnika, bajacza, potem już kroczy za Homerem. Dopokąd Baśń opowiada bajacz, lirnik na sposób słowiański, rzecz sprawia lepsze wrażenie; gdy autor Homera naśladuje, traci wdzięk i oryginalną charakterystykę.

Nie jasną też jest rzeczą, czy postacie, przez autora przedstawione, są symbolami komicznych lub historycznych wyobrażeń ludu. Jest tam jedno i drugie, jednego i drugiego się domyślamy, ale tylko domyślamy. Wanda jest zarówno symbolem wody, jak i symbolem zapachu patriotycznego. Piast symbolem rozumu i powietrza. Tak domyślać się można, ale autor nie zupełnie wyraźnie rzecz określa.

Pokaleczenie języka niech już autorowi Pan Bóg przebaczy, bo my tego uczynić nie możemy.

Trzeba było rymu do „znaczy“, więc formuje autor (str. 61) trzecią osobę czasu teraźniejszego „skaczy“, zamiast: skacze. Na str. 63 „migoczy“ zamiast: migocze, jako rym do „zoczy“. „Węży“ (nom. plur.) zamiast węże, jako rym do „zwycięży“. (str. 176). Jest dziwoląg „z ust“, zamiast z ust. Na str. 179 „Chrząszczy“ (nom. plur.) na str. 436, jako rym do „gąszczy“. Na str. 455 „rodzicy“ zamiast rodzice, bo było potrzeba rymu do „Kruszwicy“.

Pana Dzieduszyckiego „jedyną pretensją to, aby mogła zabawić“ Baśń nad baśniami — jak to mówi w przedmowie. — Z tego, cośmy o tej książce powiedzieli, pozna autor, że nie tylko zabawiła, ale i zajął, a miejscami spełniła zadanie artystycznej poezji. Jako rzecz niezwykła w dobie realizmu, jako „wskrzeszenie tego w pieśni, co zamarło w życiu“, jest ta książka potrzebną i przydatną, a na każdy sposób użyteczniejszą od wielu pełnych pretensyj bałamuctw literackich.

Czesław Pieniążek.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z prasy prawosławno-rosyjskiej.

Aby w naszych peryodycznych sprawozdaniach dać ile możności jak najdokładniejszy obraz stosunków kościelnych pod rządem rosyjskim, rozszerzamy kronikę wypadków na wszystkie dzielnice dawnej Polski, a w przedstawieniu rzeczy trzymać się będziemy porządku terytoryalnego

Zacniemy przegląd nasz od Królestwa Kongresowego. Z powodu sprawozdania protojereja Nauma *Miżeckiego* o stanie prawosławia w dekanacie siedleckim za I. półrocze roku 1889 ogłoszono w nrze 16 *War.-Chołm. Epar. Wiestnika* nowe rozporządzenie władzy dycecezalnej warszawsko chełmskiej, rozciągające środki i sposoby propagandy wyznania panującego w dekanacie siedleckim na wszystkie inne dekanaty ex-unickie. Wyjmujemy z niego niektóre daty i fakta bliżej nas obchodzące, aby wskazać, gdzie i w jaki sposób rośnie apostazya, a gdzie jeszcze garstka wiernych stawia wytrwały, prawdziwie bohaterski opór natrętności propagatorów. Najskuteczniejszym środkiem propagandy mają być t. zw. „biesiedy“ (konferencye), odbywane po cerkwiach z „upartymi unitami“. Dotąd miały one miejsce tylko w dekanacie siedleckim, nadal będą się odbywać w całej dycecezy chełmskiej. Po każdej konferencyi polecono spisywać jak najdokładniejszy protokół, a co półrocze zdawać o postępach prawosławia sprawę władzy dycecezalnej. Liczbą odbytych konferencyj i osiągnięciem przez nie wynikiem będzie odtąd kierować się arcybiskup warszawsko-chełmski przy wynagradzaniu parochów i posuwaniu ich na lepsze parafie lub wyższe stanowiska w hierarchii duchownej. Rezultat odbytych konfe-

rencyj przedstawia dziekan siedlecki w sposób następujący. W parafii seroczyńskiej wskutek konferencyi obiecał jeden z unitów ochrzcić wszystkie swe dzieci w cerkwi prawosławnej. W parafii grodyskiej gorliwa dotąd unitka przyprowadziła do chrztu swego 12-letniego syna. Teodor Sitkiewicz, proboszcz parafii łysowskiej, zwabiał na konferencye swą gościnnością i zdołał w ten sposób przyciągnąć do spowiedzi 18 osób, połączyć węzłem ślubnym trzy małżeństwa krakowskie, a ochrzcić kilkoro dzieci, pochodzących z takich małżeństw. W Gródku, dotąd żarliwie unickim, pop Zalenski święcił w roku bieżącym po raz pierwszy paschę w dwunastu domach unickich; z powodu zaś posuchy odbył procesyą na pola, a w pół godziny później lał deszcz obfity. Okoliczność ta spowodowała spowiedź w cerkwi dwóch byłych unitów. W parafii łosickiej pop Szulakiewicz nakłonił do spowiedzi 5 mieszczan, ochrzcił pięcioro dzieci i dał dwa śluby unitom. Za wpływem Bodnarskiego, parocha czołomyjskiego, przystąpiło do spowiedzi 7 unitów, z których jeden, dotychczas „fanatyk“, stał się obecnie żarliwym wyznawcą prawosławia; nadto udało się temuż popowi nawrócić dwie katoliczki obrządku łacińskiego: Juliannę Kossiak i Józefę Jakubowską. W parafii drohiczyńskiej ex-unici modlili się i mówili pomiędzy sobą dotąd tylko po polsku. Paroch Wasyl Szypiała przyzwyczajając naród do modlenia się po cerkiewno-słowiańsku, odmawiając głośno modlitwy przed i po liturgii. Sprawozdanie dekanalne kładzie na to szczególniejszy nacisk, że naród wogóle pobożny, ale „modli się po polsku; cerkiewno-słowiańskich modlitw nikt nie rozumie“. — „Upartych“ unitów nawiedzają od czasu do czasu „misyjonarze“ łacínscy i wykonują dla nich obrządki kościelne. Taki wypadek zdarzył się w początkach roku 1889 w parafiach: grodyskiej i seroczyńskiej, gdzie w oczach wszystkich t. zw. misyjonarze dopełnili obrządków z niezwykłą zręcznością, a straży ziemskiej nie udało się ich schwytać. Sprawozdawca nie chce wierzyć, aby to byli księża; ale przypuszcza, iż jestto sprawka bądź osób świeckich, bądź organistów, którzy się nauczyli wykonywania obrządków kościelnych. Wogóle jednak przyznaje, że z „upartymi“ trudna rada: w ślubach krakowskich żyje mnóstwo unitów, pomimo wyjaśnień i przedstawień ze strony księży prawosławnych, jakie to prawne następstwa dla ich dzieci pociągają za sobą podobne związki.

Ze sprawozdania warszaw. prawosławnego bractwa św. Trójcy (21. *Warszaw.-Chołm. Epar. Wiestnik*) dowiadujemy się o zamiarze założenia w Królestwie Polskiem prawosławnej ochronki na 300 dzieci, pochodzących przedewszystkiem z małżeństw mieszanych. Zasoby ma-

teryalne bractwa nie pozwalają na jej założenie w Warszawie, „miejsce wielkiem i ludnem“. Dlatego rada nadzorcza bractwa postanowiła utworzyć ochronkę czy też kolonią poza obrębem Warszawy, ale w miejscowości, mogącej zabezpieczyć działość przed polonizacją. W tym celu uproszono arcybiskupa Leoncyusza, aby wyjednał u władzy oddanie na ochronkę obszaru po wyciętym lesie rządowym w okolicy Modlina (Nowogięrgiewska), ponieważ miejscowość ta leży w pobliżu kolei żelaznej i rosyjskiej kolonii aleksandrowskiej, a również niezbyt daleko od rezydencji letniej arcybiskupa warszawsko-chełmskiego i fortecy modlińskiej, której załoga składa się wyłącznie z „ludzi russkich“. Ten ostatni czynnik będzie — zdaniem bractwa — najsilniej oddziaływać na wzmocnienie u kolonistów ducha rosyjskiego. Ochronka prawosławna, rozwijająca się pod takimi wpływami, ma rozciągnąć swą działalność na wszystkie dzieci prawosławne w Królestwie, pochodzące z małżeństw mieszanych lub pozbawione opieki rodziców, a tem samem łatwiej mogące ulegć wpływowi otaczającej sfery. Zanim to nastąpi, zarząd bractwa umieszcza sieroty w dwóch prawosławnych monasterach Królestwa: jabłoczyńskim i leśnińskim, jako też w ochronce czerniakowskiej. Bractwo udziela przytem wszelkiego rodzaju zapomóg, w naturze i pieniądzach, innowiercom i żydom, którzy przeszli na prawosławie. Dobroczynność zatem jest tylko pozorem, a poza nią kryje się — propaganda wyznania panującego.

W Opatowie otwarto nową cerkiew. W r. 1787 istniał tam prawosławny dom modlitwy dla Greków, licznie mieszkających podówczas w wielu miastach polskich. Z braku dostatecznej liczby wyznawców kościoła wschodniego skasowano go w r. 1837. Nieliczna kolonia wojskowo-urzędnicza postarała się w roku minionym o założenie cerkwi, umieszczonej początkowo w domu prywatnym. — Nietylko rząd rosyjski nie skąpi funduszków na budowę nowych cerkwi, lecz zakłada także i monaster. Na mocy najwyż. rozporządzenia, spowodowanego przedstawieniem św. Synodu, założono żeński prawosławny monaster w osadzie Leśne, w gubernii siedleckiej, z roczną dotacją 3000 rubli. D. 7 września 1889 roku odbyła się uroczystość otwarcia i poświęcenia monasteru, na którą przybyli: arcybiskup Leoncyusz, wikaryusz arcybiskupi Flawian, gubernator siedlecki i naczelnik żandarmerji. „Na chórze — pisze *War.-Ch. Ep. Wiestnik* — dał się słyszeć harmonijny śpiew sióstr, delektujący modlących się szczerością uczuć“. Jeżeli przypomnimy sobie kasatę klasztorów katolickich w r. 1864 w kraju, jak Królestwo Polskie, całkowicie katolickim, a porównamy z tem otwieranie tamże monasterów prawosławnych, to będziemy mieli miarę

traktowania poddanych obu kościołów i sławionej przez prasę rosyjską tolerancyi rządu. — Celem wzmocnienia żywiołu prawosławnego w t. zw. „kraju zabużańskim“ mają zajść — jak piszą *Wołyńskie Eparchial. Wiedomosti* (Nr 5) — pewne zmiany administracyjne, a obok nich nastąpi przesunięcie granic dyecezyj prawosławnych. Nazwa gubernii lubelskiej ma być zmienioną na chełmską, a stolicą gubernii zostanie Chełm. Z początku Chełm będzie tylko siedzibą gubernatora i wyższych władz administracyjnych, a inne władze gubernialne pozostaną do czasu w Lublinie. Biskupstwo chełmskie ma być podniesione do godności arcybiskupstwa. Część Wołynia (powiat włodzimierski) i pod względem kościelnym i administracyjnym zamierzają przyłączyć do archidyecezyi chełmskiej i do gubernii tejże nazwy z osobnym wikaryatem arcybiskupim we Włodzimierzu.

Do licznych już ograniczeń w pełnieniu obowiązków ściśle kościelnych, jakim ulega duchowieństwo katolickie pod rządem rosyjskim, przybywa — jak się dowiadujemy z nru 255 *Wileń Wiśnika* — jeszcze jedno. Ministerium spraw wewnętrznych zrobiło spostrzeżenie, jakoby liczba uroczystości kościelnych katolickich czyli t. zw. festów wzrosła ostatnimi czasy w sposób uderzający. Okoliczność ta daje powód duchowieństwu katolickiemu do częstych zjazdów. Stosownie do zebranych przez ministerium wiadomości, liczba festów w gubernii lubelskiej wynosi 250, a w kowieńskiej przeszło 300. Wskutek tego minister spraw wewnętrznych polecił jak najsurowiej gubernatorom, aby na przyszłość wszelkie obchody i uroczystości kościelne, wymagające liczniejszego zjazdu duchowieństwa, nie inaczej się odbywały, jak tylko za każdorazowem osobnem zezwoleniem i w obecności przedstawiciela miejscowej władzy administracyjnej. Powyższe rozporządzenie ministerjalne obok zakazu należenia do „Bractwa Serca Jezusowego“ może służyć za wyborny komentarz tendencyi ugodowych rządu rosyjskiego na polu kościelnem!

Dziwnemi są po prostu wymagania i pretensye Rosyan w obec księży katolickich na Litwie. Usunięto ich całkowicie od wpływu na szkoły ludowe, którym starają się nadawać coraz bardziej charakter prawosławno-rosyjski. Pobożny lud katolicki usuwa się, o ile tylko może, od szkół, czego następstwem jest nadzwyczaj słaba frekwencya, słabsza nawet, niż we wschodnich guberniach wielko-rosyjskich. Czyż w tem вина? — „Duchowieństwa katolickiego!“ — odpowiadają *Litowskije Eparch. Wiedomosti* w artykule nauczyciela ludowego Genwarowa pod tytułem: „Coś niecoś o stosunku księży do szkoły ludowej“. „Ojcowie księży — czytamy tamże — patrzą na szkołę, jeżeli

nie wrogo, to w każdym razie obojętnie. W miejscowościach o liczniejszej ludności prawosławnej szkoła przepelniona dziećmi, a w katolickich wcale tego nie znać. Przypuśćmy, iż niektórzy powiedzą, co tu księża mają do czynienia. W uwadze tej tkwiłaby jednak albo myśl jakaś ukryta, albo nieznanomość tutejszych stosunków. Jesteśmy jak najmocniej przekonani, że wszystko zależy od postępowania księży... W roku 1886, przy poświęceniu szkoły ludowej w Siedlisku, wiele mówili w obec całej włości o korzyściach, jakie przynosi szkoła, ksiądz prawosławny, inspektor szkół ludowych i mirowy pośrednik; gdy zaś proszono księdza katolickiego, obecnego przy tej uroczystości, aby coś w tej materii powiedział, to się zasłonił wymówką, iż wszystko, co się tylko dało powiedzieć, już powiedziano. Na poparcie swego twierdzenia przytacza p. Genwarów fakt w istocie godny pamięci. „Gdy jednego z księży — są jego słowa — ukarano niedawno za bierny stosunek do szkoły, rzekł bez ogródki: Chociaż 500 rubli zapłacę, ale do szkoły nie pójdę“. Usuwanie się księży od szkoły zaczęło się — zdaniem tegoż — za rządów biskupa Hryniewieckiego. Półurzędowy *Wileński Wiestnik*, przytoczywszy (Nr. 236) w całości artykuł organu dyceczalnego, robi od siebie uwagę, że „im bardziej katolicką jest jakaś miejscowość, tem mniej szkół ludowych, a w szkołach dziatwy; ze wszystkich gubernij litewskich najgorzej sprawa oświaty ludowej stoi w najbardziej katolickiej gubernii kowieńskiej“. — Podobne uwagi stanowią zapewne preludjum do pobierania grzywien od duchowieństwa katolickiego „za bierny stosunek do szkoły“.

Z artykułu p. Genwarowa wyjmujemy jeszcze jeden ciekawy szczegół, będący rysem charakterystycznym usposobienia ludu litewskiego. P. Genwarów najął konie u chłopca, który miał zawieźć go do Lidy. Chłop nigdy w Lidzie nie był. Słyszał tylko, że tam jest kościół i cerkiew. Przejeżdżając o zmroku pomimo cerkwi prawosławnej, chłop zdjął czapkę pokornie i zmówił modlitwę. Gdy zaś przejeżdżał koło kościoła, spytał, nie zdejmując czapki: „A to musi być cerkiew?“; ale gdy mu p. Genwarów powiedział, że to kościół, zdjął z pośpiechem czapkę i długo odmawiał modlitwę. Rozumie się samo przez się, że w powrocie zdaleka już zdjął czapkę przed kościołem, a przejechał mimo cerkwi, nie zwracając na nią uwagi. Dla współpracownika *Lit. Epar. Wied.*, będącego nauczycielem szkoły ludowej, jestto objaw „fanatyzmu katolickiego“.

Tegoroczna uroczystość 50-letniego jubileuszu zniesienia unii kościelnej na Litwie i Białej Rusi — obchodzona najświetniej w Wilnie — wywołała na nowo dyskusyą w kwestyi utworzenia tamże wyższego

zakładu naukowego. Wyższy zakład naukowy w stolicy litewskiej stać się ma w rękach rządu nowym środkiem szerzenia propagandy prawosławnej i skutecznego przeprowadzania systemu rusyfikacyjnego. Chodzi prasie rosyjskiej tylko o to, czy odpowiedniejszą celowi będzie prawosławna akademія duchowna lub też uniwersytet. Na ten temat oddawna już toczyła się dyskusya w prasie rosyjskiej i ścierały się opinie w wyższych sferach rządowych. Popiecznicy obecnego systemu rządowego są za utworzeniem akademii duchownej, ponieważ mogliby z niej korzystać tylko prawosławni; organa zaś prasy niezależnej oświadczają się za uniwersytetem. W kwestyi tej zabrał najpierw głos prof. Kojałowicz, namiętny wróg katolicyzmu, w nrze 47 *Cerkiewnego Wiestnika*, oświadczając się za akademią duchowną w artykule pod tytułem: „Historya projektu utworzenia w Wilnie prawosław. akademii duchownej i obecna teźże potrzeba“. Z jego wywodu historycznego dowiadujemy się, iż myśl tę poruszył po raz pierwszy hr. Błudów w memoryale z d. 21 listopada (s. v.) 1827, w którym była mowa o potrzebie zjednoczenia unitów z cerkwią prawosławną. Zrodziła się ona zatem jednocześnie z projektem zniesienia unii na Litwie i Białej Rusi. Z początku zamierzano założyć akademię w Połocku. Rząd projekt zatwierdził w r. 1828 i asygnował na ten cel 28 tysięcy rubli, które deponowano w banku państwowym. Akademia miała zastąpić unickie „główne seminaryum“ w Wilnie, nad którego zniesieniem radzono w Petersburgu, co też istotnie nastąpiło w r. 1828. Ponieważ J. Siemaszko nie znalazł dostatecznego poparcia u „uczonych unitów“, przeto zaniechał myśli utworzenia duchownej akademii w Połocku, a zwrócił całą uwagę na niższe i średnie wykształcenie duchowieństwa, czemu na razie miało czynić zadosyć założenie seminaryum w Żyrowicach. Zdolniejszych alumnów unickich, za pieniądze przeznaczone na akademię połocką, wysyłało do akademii w Petersburgu. W r. 1845 seminaryum żyrowickie — przemienione już z unickiego na prawosławne — przeniesiono do Wilna i nadano mu nazwę „litewskiego“. Czasy następne uważał J. Siemaszko za zupełnie niestosowne do przekształcania tegoż na akademię duchowną. Dopiero myśl tę poruszył na nowo za rządów Murawiewa, po katastrofie roku 1863. Za jej poparcie darzy prof. Kojałowicz Murawiewa epitetem „nietylko przezornego męża stanu, ale i wielkiego znawcy życia zachodnio-rosyjskiego“. W szeregu zwolenników prawosławnej akademii duchownej w Wilnie stanął i inny uczony rosyjski, P. N. Batuszków, były kurator wileńskiego okręgu naukowego, popierając zdanie swe powagą najwydatniejszych przedstawicieli systemu rusyfikacyjnego i prawosławnienia Litwy.

„Mam w swych rękach dokument, — pisze tenże w *Graźdaninie* — że w zimie roku 1864 hr. M. Murawiew przedłożył ś. p. Aleksandrowi II projekt utworzenia w Wilnie wyższej szkoły duchownej, do której, na uzupełniające czteroletnie kursa, przyjmowanoby i uczniów świeckich. Następnie przekazano go z woli najwyższej do rozpatrzenia komitetowi do spraw kraju zachodniego, który wyraził opinią przychylną projektowi. Z Petersburga przesłano go Józefowi Siemaszce do Wilna, celem poczynienia odpowiednich uwag i ułożenia statutu organizacyjnego. Utworzono tamże komisją mieszaną z przedstawicieli władzy duchownej i szkolnej pod kierownictwem wikaryusza Aleksandra, późniejszego metropolity. Po odwołaniu jednak Murawiewa z Wilna o akademii nie było mowy. Pomysły J. Siemaszki wznowił dopiero sam P. N. Batuszków w r. 1868, zostawszy kuratorem wileńskiego okręgu naukowego. Otrzymawszy błogosławieństwo umierającego Siemaszki, przystąpił do zorganizowania na nowo rozwiązanej już komisji. Wkrótce potem przedłożył ówczesnemu ministrowi oświaty, hr. Tołstojowi, memoriał o utworzeniu w stolicy litewskiej prawosławnej duchownej akademii z wydziałem filologicznym, do której mogliby uczęszczać nie tylko kandydaci stanu duchownego, ale i wychowañcy gimnazjów wyznania prawosławnego, którzy z dobrym postępem zdali egzamin dojrzałości, a mieliby chęć poświęcenia się zawodowi nauczycielskiemu. Zakład, w ten sposób zorganizowany, dostarczałby katechetów wyznania panującego, mogących stać umysłowo — jak przypuszcza P. N. Batuszków — jeżeli nie wyżej, to w każdym razie nie niżej od wychowañców petersburskiej rzymsko-katolickiej duchownej akademii, a przytem zaspokajałby brak nauczycieli języków klasycznych w szkołach średnich. P. N. Batuszków zdawał osobiście w tym przedmiocie sprawę carowi Aleksandrowi II i uzyskał najwyższe uznanie i aprobatę. Utworzono po raz wtóry komisją, która wypracowała statut i ułożyła etat przyszłej akademii duchownej w połączeniu z wydziałem filologicznym. Metropolita litewski Makary na propozycją komisji najzupełniej się zgodził, a znany inspirator reakcyjnego systemu rządowego z lat ostatnich, Katkow, stał się jej i samego projektu gorliwym rzecznikiem. W takim to stadium znajdowała się omawiana sprawa, gdy w r. 1869 odwołano Batuszkowa z posady kuratora wileńskiego. Odtąd sprawa pozostała w zawieszeniu. Czy obchód jubileuszowy zniesienia unii przyczyni się do jej rozwiązania? Najbliższa przyszłość pokaże. *Graźdanin*, dziennik — jak powiadają — czytywany przez cara, do wywodów historycznych Batuszkowa dodaje życzenie, aby myśl ta jak najprędzej doczekała się urzeczywistnienia.

Że jednak Wilno i Litwa potrzebują raczej katolickiej akademii duchownej, najwymowniej świadczą o tem cyfry ze statystyki urzędowej (*Wileń. Wiestnik* Nr. 211). W Wilnie, mającem obecnie około 100,000 mieszkańców, są tylko dwa kompletne gimnazya, w których stosunki wyznaniowe przedstawiają się w minionym roku szkolnym w sposób następujący: W I. gimnazjum, liczącem wogóle 625 uczniów, było podług wyznania: katolików 264 czyli 41·5%, prawosławnych 275 — 43·3%, protestantów obu konfesji 24 — 3·7%, mahometanów 3 — 0·47%, żydów 66 — 10%, innych wyznań 3 — 0·47%; w II. gimnazjum uczniów było 360, a z tej liczby: katolików 154 czyli 46%, prawosławnych 86 — 25%, ewangelików augsb. 19 — 5·5%, ewang. wyzn. helw. 2 — 0·66%, mahometanów 1 — 0·33%, żydów 76 — 22·5%. W obec tych liczb nasuwa się najpierw uwaga, że uczniów katolików byłoby nierównie więcej, gdyby nie trudności, stawiane przez władze szkolne w ich przyjmowaniu, wzrastające w prawdziwy system prohibicyjny; powtóre, że na większą liczbę w obu gimnazyach katolików (418), niż prawosławnych (361), oprócz katechetów nie ma ani jednego profesora katolika. Tak się obecnie w Rosyi pojmuje i wykonuje w praktyce równouprawnienie wyznań!

Koryfeusze ruchu prawosławnego na Litwie chwytają się wszelkich możebnych sposobów, aby wśród tamecznej inteligencji rosyjskiej obudzić większe zainteresowanie się sprawami cerkwi i współudział w życiu religijnem. Bractwo św. Ducha w Wilnie, na dorocznem walnem zgromadzeniu, odbytem d. 4 lutego zeszłego roku pod przewodnictwem arcybiskupa Antonina, postanowiło, aby na zgromadzeniach, mających w przyszłości odbywać się daleko częściej, nietylko zajmowano się sprawami bractwa, ale także urządzano „odeczyty, pogadanki i koncerty“ (*Wołyn. Epar. Wied.* Nr. 7). Przy takich warunkach udział w bractwie stanie się raczej przyjemnością, jak poważnym obowiązkiem. Jeżeliby zarząd bractwa poszedł jeszcze o krok dalej i zaczął urządzać wieczorki tańczące, to można napewno liczyć, że liczba członków płci obojga znacznieby wzrosła.

Z Wołynia ciągle nadchodzą Hiobowe wieści o coraz to liczniejszym nawracaniu się Czechów na prawosławie. Będziemy je jak najstaranniej notować w tem głębokiem przekonaniu, że z pośród światłego i gorliwego duchowieństwa katolickiego w Czechach znajdzie się może ktoś taki, co będzie próbował powstrzymać swych współziomków od staczania się po równi pochyłej w przepaść, w której zatracają i wiarę przodków i narodowość.

W Wołkowjach, w powiecie dubieńskim, odbyła się dnia 23

czerwca 1889 r. uroczystość przyjęcia na łono prawosławia 128 Czechów i 2 Polaków. Osada czeska w Podurkowie (powiat żytomierski), licząca 46 osób, przyjęła w całości prawosławie. Z liczby 300 Czechów, mieszkających w Wysokiem, około 100 przeszło do kościoła prawosławnego. Jeszcze obfitsze żniwo zebrało duchowieństwo prawosławne w Besarabii: w kolonii czeskiej Nowogrodzie (powiat Izmail), d. 26 października 1889 r., 150 katolików przystąpiło do kościoła prawosławnego. Propaganda prawosławna na Wołyniu, prowadzona systematycznie i zręcznie przez władkę żytomierskiego Palladyusza i popa Trypolskiego, wystawia na ciężką próbę Czechów, pozostałych wiernymi wierze katolickiej. Łatwość początkowych nawracañ obudziła w leniwym zwykle klerze kościoła panującego chęć zdobywania laurów misyjnych. Jednym ze środków propagandy są urządzane od czasu do czasu pielgrzymki do Poczajowa. Taką pielgrzymkę odbyło minionego lata 37 Czechów z osady Nowiny powiatu dubieńskiego. W Poczajowie czernicy przyjmowali ich nadzwyczaj uprzejmie i gościnnie. Oprócz obroku duchowego, jak np. opisu „Ławry Poczajowskiej“, „Żywota Joba, ihumena poczajowskiego“ i innych podobnych plodów literatury cerkiewno-prawosławnej, otrzymywali pątnicy: „mieszkanie, herbatę rano i wieczorem z bułkami, a przytem przywoity obiad“.

Do dawniej istniejącej czeskiej prawosławnej cerkwi w Hulczy przybyła obecnie druga w Kwasilowie. Podczas obchodu konsekracyjnego przemówił do licznie zgromadzonych p Solncew, rzeczywisty radca stanu i honorowy sędzia pokoju, w te słowa: „Przez urządzenie i poświęcenie cerkwi wzmocniliście węzły, łączące was z prawosławną ziemią ruską, a jedność plemienną słowiańską połączyliście z pokrewieństwem duchowem. Odtąd wasza czeska osada stała się rosyjską wsią prawosławną, a wy — Czesi wyznania prawosławnego — Rosyanami nie tylko ciałem, ale i duchem“ (Nr. 5. *Wołyńskie Eparchial. Wiedomosti*. 1889). Nawróconych Czechów hierarchia duchowna obdarza szkołami cerkiewno-parafialnemi z językiem wykładowym rosyjskim. Nauczycieli i nauczycielek do gmin czeskich posyłają tylko rosyjskiego pochodzenia. W osadzie czeskiej Kroszno, pod Żytomierzem, liczącej ogółem 400 mieszkańców, jest dotąd tylko 85 prawosławnych. Pomimo tego założono tam szkołę cerkiewno-parafialną, dla której początkowo zamierzano sprowadzić z Dubna nauczyciela Czecha, ale wyznania prawosławnego. I na to nie zgodził się władka żytomierski. Na jego żądanie zamianowano nauczycielem czystej krwi Rosyanina. Celem założenia tej szkoły, do której uczęszczają wspólnie dzieci katolickie i prawosławne,

jest przygotowanie reszty mieszkańców do zmiany wiary. To też w dwa tygodnie po otwarciu szkoły jeszcze 10 Czechów przyjęło prawosławie. Podobny stosunek istnieje w gminie Wysokie. Na 300 mieszkańców narodowości czeskiej istnieje tylko 100 prawosławnych, ale szkołę otwarto tam cerkiewno-parafialną, to znaczy prawosławną. Że ludność czeska na Wołyniu ze zmianą wiary nie może wcale liczyć na zachowanie swej narodowości, najlepiej poucza nas organ dyecezyi wołyńskiej, *Wołyn. Epar. Wiedomości*, w Nr. 18 roku przeszłego. Oto jego wnioski w tym przedmiocie: „Nauczycielami w szkołach czeskich najkorzystniej i najstosowniej mianować Rosyan, a nie Czechów, chociażby najlepiej znających język rosyjski; nie ma najmniejszej potrzeby zaprowadzania w liturgii języka czeskiego. Czesi bowiem lubią język słowiański i posiadają go w mierze dostatecznej, zwłaszcza cerkiewno-liturgiczny; Czechów, połączonych z cerkwią prawosławną, nie należy pozostawiać bez odpowiedniego dozoru, kierownictwa i nauki w rzeczach wiary. Koniecznem jest odbywać z nimi częste konferencye religijno-moralne — to podtrzyma w nich ducha religijnego i utwierdzi w wierności dla prawosławia“.

W stosunku do ucisku, jakiemu ulega ludność polska, odstępstwa wśród niej trafiają się nader rzadko. We wsi Cygowie powiatu włodzimiersko-wołyńskiego odbył się w miesiącu marcu roku minionego soborczyk dekanalny duchowieństwa prawosławnego. Miał on tym razem wyjątkowe znaczenie i wyjątkowo uroczyste był obchodzony z powodu przejścia na prawosławie Jana i Stanisława Strutyńskich, dwóch rodzonych braci, dzierżawców wsi Cegowa, i włościanina Jana Śliwińskiego. O pobudkach zaparcia się swej wiary u dwóch „inteligentnych szlachciców“, jak ich nazywają *Wołyn. Epar. Wiedomości* (Nr. 10), nie mamy bliższych wiadomości. Jakkolwiek licznymi sukcesami może w roku minionym pochlubić się kościół panujący, to jednak daleko jeszcze do tego, aby t. zw. „kraj południowo-zachodni“ (Wołyń, Podole i Ukraina) był już prawosławnym, jako go lubią nazywać zeloci obecnego systemu. Stan katolicyzmu w tamtych stronach przedstawia się, na podstawie źródeł urzędowych, w następujących cyfrach. W dyecezyi łucko-żytomierskiej było w roku przeszłym 561,016 katolików, a mianowicie: w gubernii wołyńskiej 233,827, w gubernii kijowskiej 86,268, a w podolskiej 240,921. Kler składa się z biskupa dyecezalnego, biskupa-sufragana i 323 księży. Parafij rzymsko-katolickich było 271, tworzących razem 27 dekanatów. Seminaryum dyecezarne w Żytomierzu liczyło 70 alumnów. Klaszto-

rów męskich było 2: OO. Bernardynów w Zaslaviu i OO. Reformatorów w Dederkałach; żeński tylko 1: Karmelitanek w Dubnie.

Podczas gdy hierarchia prawosławna zajmuje się tworzeniem prozelitów wśród ludności katolickiej, Niemcy-sztundyści znajdują coraz więcej wyznawców pomiędzy prawosławnymi włościanami Wołynia. Najwięcej garnie się do „sztundy“ młodzież „niezbyt mocna w wierze“, jak się w Nrze 7 wyrażają *Wołyń. Epar. Wiedomości*. Główną przyczyną tego objawu mają być „kpiny tamecznych Niemców z wiary kacapskiej i nieustanne uraganie się z obrządków prawosławnych“. Młodzież, „aby uniknąć drwinek niemieckich, zaczyna wstydić się wiary ojców“. Jest to nadzwyczaj naiwny sposób tłumaczenia objawu, mającego głębsze przyczyny. Wołyński kler prawosławny różnych stopni zawiele poświęca czasu propagandzie prawosławia pośród katolików, a bardzo mało zajmuje się wzmacnianiem i pogłębianiem uczuć religijno-moralnych we własnej owczarni. Sztunda z tego korzysta i robi wielkie zdobycze wśród ludu prawosławnego, nad którym od czasu zniesienia unii tak mało pracowano.

Nie od rzeczy będzie się dowiedzieć, jakie sądy wywołał w prasie prawosławno-rosyjskiej kongres katolicki w Wiedniu. W kwestyi tej zabrał najpierw głos *Cerkownyj Wiestnik*, nadający ton całej prasie prawosławnej. Odnośny artykuł powtórzyły w całości *Wołyń. Epar. Wied.* (Nr. 16. 1889), nadawszy mu tytuł: „Fanatycy łacińsko-polscy na kongresie katolickim w Wiedniu“. Jeden ustęp z tego artykułu da nam poznać, jak i z jakiego stanowiska rosyjskie sfery klerykalne zapatrują się na prace kongresu. Zamiast poważnej argumentacji, znajdujemy następującą filipikę: „Mowy tam wygłoszone były obrazą państwa i narodu rosyjskiego, jakoby uciskających po barbarzyńsku Kościół rzymsko-katolicki. W tym kierunku odznaczały się szczególnie mowy hr. Tarnowskiego — wznoszącego hymn pochwalny na cześć agentów papizmu w Galicyi, gdzie narodowość ruska i jej święta cerkiew doznają ucisku — i Jezuity Chotkowskiego, wzywającego do walki „z północnym kolosem“. Nie należy zapominać, że ten ostatni mówca uważa za główne swe zadanie pobudzać fanatyzm łacińsko-polski przeciwko Rosyi i cerkwi prawosławnej. Już w r. 1885, z powodu tysiącletniej rocznicy zgonu św. Apostoła Metodego, wypowiedział w Krakowie kazanie, które było obrazą chrześcijaństwa i Kościoła. To nie było właściwie kazanie, lecz mowa podburzająca, stosowna chyba gdzieś na placu, a obliczona na odurzenie umysłów słuchaczy. Teraz na kongresie wiedeńskim wojowniczy pater znowu przepełnił mowę swą fanatyczną gadaniną o prześladowaniach, doznawanych jakoby przez Kościół rzym-

sko-katolicki w Rosyi. Mianem prześladowania darzy bezwstydnie połączenie narodu zachodnio-rosyjskiego z prawosławiem w latach 1839 i 1875, a głównych sprawców tych wypadków porównuje z Tyberyuszem i Dyoklecyanem...“

Z naukowych i literackich utworów, umieszczonych w prasie prawosławnej w roku minionym, zanotować należy artykuł pod tytułem: „Katolicyzm polski na Litwie“ przez Teobalda (Nr. 1. *Wołyn. Epar. W.*), którego redakcyja nazywa wielkim znawcą stosunków Rusi zachodniej, „miłośnikiem literatury“, i „człowiekiem pełnym uczuć humanitarnych“ (w przypisku). Przypatrzmy się teraz, jak przymioty te przedstawiają się w pracy p. Teobalda, a będziemy mieli wyobrażenie, jakiego to rodzaju literaturą zasilają się organa kościoła panującego. Krzyżaków nazywa autor groźną chmurą („tuczą“), która niegdyś zawisła była „nad biednym litewsko-ruskim ludem“. Ale następnie zerwała się jeszcze groźniejsza w postaci „katolicyzmu polskiego“, pojawiającego się „w pełnej zbroi swej fanatycznej nienawiści do różnowierców, ze zdrajcą Jagiełłą na czele“, w skutek czego „popłynęły znowu szerokie strumienie krwi pogańskiej i chrześcijańskiej“. Tyle we wstępie. Jakim jest wstęp, takim i wywód historyczny. Rządy Władysława Jagiełły na Litwie stawia na równi z napadami Kawalerów Mieczowych, a misyom pokojowym Polski przypisuje wpływ daleko szkodliwszy dla prawosławia, jak „zbrojnemu apostołstwu“ Krzyżaków. Katolicyzm używał przy nawracaniu pogan „gwałtów“ i „przemocy“, „podstępów“ i „obludy“, a chrześcijan wyznania wschodniego chrzczono poraz wtóry. Aby się uwolnić od charakteryzowania powabów stylu i prawdopodobności historycznej, przytoczę jeden tylko ustęp: „Wiele, nadzwyczaj wiele — powiada p. Teobald — krzywd i poniżeń zniosła od katolicyzmu polskiego święta męczennica, cerkiew prawosławna; z krwiożerczym, dzikim uśmiechem deptał ją swemi bluźnierczemi, nieczystemi stopy i t. d.“ A jeżeli chcemy szukać faktów lub dowodów na poparcie powyższych komunalów, to znajdziemy ich bardzo mało z przeszłości — daleko częściej powołuje się autor na czasy najbliższe, porozbiorowe. Tak np. skarży się, że do końca pierwszej ćwierci naszego wieku nie mieli prawosławni w Warszawie ani cerkwi, ani duszpasterza. W r. 1768 rząd polski zezwolił wprawdzie handlarzom greckim na otwarcie domu modlitwy w Piotrkowie, ale mieścił się on gdzieś na strychu, a obowiązki popa pełnił subjekt handlowy. Od tych faktów przerzuca się w daleką przeszłość i przypomina przemianę katedry dyzunickiej w Przemyślu na rzymsko-katolicką, przyczem miano wyrzucać z grobów ciała znakomitych panów

i kniaziów ruskich. Z Rusi Czerwonej przenosi się „uczony“ współpracownik *Wołyn. Epar. Wiedomosti* po nowe dowody do stolicy litewskiej. Sobór katedralny dyzunicki pod wezwaniem Bogarodzicy, zbudowany przez w. ks. litewskiego Olgerda, za wpływem i staraniem ks. Adama Czartoryskiego przerobiono w r. 1808 na teatr anatomiczny i klinikę chirurgiczną i oddano na własność uniwersytetu. Podobne, a nawet „jeszcze gorsze“ koleje miała przechodzić cerkiew Piatnicka, zbudowana kosztem Maryi, żony Olgerda. Dopiero generał-gubernator wileński, M. Murawiew, uczynił zadosyć krzywdom wyrządzonym prawosławiu i obie świątynie dźwignął z gruzów. Pana Teobalda tak dalece unosi chęć wyszukiwania coraz to jaskrawszych dowodów nietolerancyi polskiej, iż do nich zalicza nawet odjęcie w r. 1633 przez Władysława IV. cekwi Piatnickiej unitom, a oddanie na użytek dyzunitów wileńskich. Ostatnimi zaś dowodami tego aktu oskarżenia przeciwko przeszłości katolicko-polskiej są napady: w r. 1586 na cerkiew Św. Trójcy, a w r. 1683 na monaster Św. Trójcy w Wilnie. Czy podobne wypadki, jak te ostatnie, spotykały tylko dyzunitów? Czy skutkiem rosnącej samowoli, niepowstrzymywanej silną dłońią królów, nie dopuszczali się dyzunicy gwałtów na unitach w Kijowie, a protestanci na katolikach w miastach prusko-polskich? Lecz historyk *Wołyn. Epar. Wiedomosti* ducha czasu wcale nie uwzględnia, a wszystko zwała, jak na kozła ofiarnego, na „katolicyzm polski“, który miał być „gorszym i szkodliwszym od włoskiego, austriackiego i nawet hiszpańskiego“. Szczytem zaś jego złej wiary i cynizmu jest końcowe zapytanie: „Ażali kiedykolwiek prawosławie postępowało w podobny sposób z katolicyzmem“?

Podobnejże tendencyi i wartości naukowej umieszczono artykuł w numerze 13. *Wołyn. Epar. Wiedomosti*, pod tytułem: „O pochodzeniu i znaczeniu niektórych zwyczajów wielkanocnych“. W nim bezimienny autor podał szereg wiadomości rzekomo historycznych, opartych na tak kłamiwem i bałamutnem źródle, jak *Istoria Russów* Jerzego Koniskiego, znanego władzyki mohilewskiego i agenta Rosyi z czasów Stanisława Augusta. „W wieku XVII — czytamy tam — sądzono było mieszkańcom Rusi południowo-zachodniej doświadczyć najstraszniejszych obelg z powodu zwyczaju pieczenia „paschi“ i bulek na Wielkanoc. Po śmierci hetmana Sahajdacznego, — za którego Małoruś zdołała była nieco odetchnąć po tych nieszczęściach, jakie na nią spadały od czasu zaprowadzenia unii — rozpoczęli Polacy nanowo najokropniejsze prześladowanie prawosławnych. Ucisk doszedł do tego stopnia, że nawet bułki wielkanocne sprzedawano po miastach pod

kontrolą urzędników polskich. Kto miał na piersiach napis „unita“, kupował je bez żadnej przeszkody; nie mający tego napisu płacił akcyzę. W wielu miejscowościach pobór ten wydzierzawiano Żydom, którzy pobierali go bez litości; każdy gospodarz powinien był tyle bułek kupować, ilu było członków rodziny; kto piekł w domu, płacił akcyzę od liczby domowników. Tego jednak nie dosyć: pierwszego dnia Wielkanocy, kiedy prawosławni udawali się do cerkwi, celem święcenia pieczywa, Żydzi zbierali się tłumnie na podwórzu cerkiewnem, byli obecni przy święceniu i najstaranniej znaczyli węglem i kredą bułki pieczone w domu i kupowane w mieście, aby nie dać się oszukać.

Przez wszystkie numera *Wołyn. Epar. Wiadomości* z roku 1889 ciągnie się obszerna praca pod tytułem: „Opis historyczno-statystyczny cerkwi i parafii dyecezyi wołyńskiej“. Opisano już powiaty: Ostróg, Krzemieniec, Dubno i Łuck. Są tam wiadomości czerpane z archiwów rządowych i prywatnych, niekiedy ważne i zajmujące, oparte na materyale źródłowym u nas zupełnie prawie nieznanym. Uwzględniano w wielu razach nawet podania ludowe. Historią domów polskich na Wołyniu doprowadzono do lat ostatnich. Nie zbywa także na materyale do historii sztuki i archeologii.

W roku przeszłym zmarł w Kijowie M. W. Józefowicz, przewodniczący kijowskiej komisji archeograficznej. Wskutek wezwania kijow. generał-gubernatora Bibikowa przyjął w r. 1844 obowiązek członka komisji czasowej do rozpatrzenia dawnych aktów, znajdujących się w archiwach rządowych, miejskich i klasztornych Wołynia, Podola i Ukrainy. Pod jego też kierownictwem i kontrolą wyszło kilkadziesiąt tomów „Archiwum południowo-zachodniej Rosyi“, gdzie tak wiele materyału do dziejów naszych. Zmarły w stosunku do przeszłości i teraźniejszości polskiej nie odznaczał się wcale sumiennością ani wydawniczą, ani literacką, co mu już wytykał znany pisarz i krytyk, Tadeusz Padalica. Był on także prezesem komitetu, zajmującego się wystawieniem pomnika B. Chmielnickiemu w Kijowie.

Z prac historycznych, drukowanych w drugim półroczniku *Chołmsko-Warsz. Epar. Wiestnika*, zasługuje na uwagę: „Opis historyczno-statystyczny cerkwi i parafii sieroczyńskiej w powiecie sokołowskim, gubernii siedleckiej“ (1889. Nr. 17, 18, 19). Z dokumentów historycznych, na których oparł się autor, wymieniamy kilka ważniejszych: Przywilej donacyjny Mikołaja na Ciechanowcu Kiszki, starosty drohoczyńskiego, wystawiony na imię ks. Jana Wierzbowicza d. 15 marca

1611 r.; takż przywilej hr. Zbigniewa na Tenczynie Ossolińskiego, starosty drohiczyńskiego, i jego synów: Jakuba, Maksymiliana i Jerzego, wystawiony na imię ks. Pawła Gotowickiego d. 4 stycznia 1670 r.; Komplanacya z dnia 10 września 1738 roku, pomiędzy hr. Janem na Tenczynie Ossolińskim a parochem Łukaszem Gładajowskim względem zachowania praw i prerogatyw, przyznanych cerkwi w dwóch wyżej wymienionych przywilejach. Przytem w rozporządzeniu autora znajdowały się opisy licznych wizytacyj kościelnych, odbywanych przez władyków włodziemskich, z których najdawniejszy przypada na rok 1683.

Jubileusz 50-letni zniesienia unii kościelnej na Litwie i Białej Rusi zwrócił badaczy rosyjskich, głównie stanu duchownego, do pracy nad historią, a zwłaszcza nad upadkiem unii. Wśród różnorodnych jej wyników z obowiązku kronikarskiego winniśmy zanotować najkompletniejszą biografią głównego grabarza unii, Józefa Siemaszki, pod tytułem: *Wysoko preoswiaszczennyj Josif, mitropolit litowski i wileński* (Wilno 1889), przez Mikołaja Jzwiekowa, nauczyciela litewskiego seminarium duchownego. Autor czerpał przedewszystkiem z materiału, zawartego w „Zapiskach“ samegoż J. Siemaszki, wydanych przez cesarską akademię nauk w roku 1883 wraz z licznymi aneksami. Metropolita litewski doprowadził swą autobiografią tylko do r. 1860. Odtąd, naturalnie, przybyło bardzo wiele nowego materiału do historii upadku unii, a tem samem i do życiorysu sprawcy tegoż. M. Izwiekow uzupełniał go wiadomościami, czerpanemi z prac M. O. Kojalowicza i obu współpracowników metropolity litewskiego w dziele niszczenia unii: Antoniego Zubki i Bazylego Łużyńskiego. Nowa ta biografia, napisana w tonie panegirycznym, nie jest jednak ani gruntowną, ani wyczerpującą. Autor w przedstawieniu wypadków idzie niewolniczo za „Zapiskami“ Siemaszki, chociaż nawet sprawozdawcy i krytycy rosyjscy po ukazaniu się tychże przyznawali, że razi w nich jaskrawa tendencya; że autor wielu rzeczy nie dopowiada lub wręcz przemilcza. M. Jzwieków nie był w stanie wznieść się na stanowisko krytyczne i z niego ocenić główne źródło, z którego czerpał. Kto jednak „Zapisek“ J. Siemaszki nie miał w rękach, dla tego omawiana praca da możność wyrobienia sobie poglądu na całość prac i zabiegów Siemaszki i głównych jego pomocników około zniesienia unii. Biografia ta składa się z czterech rozdziałów pod następującymi tytułami: I. Wiek dziecienny i wychowanie metropolity Józefa; II. Działalność Józefa około połączenia unitów z cerkwią prawosławną; III. Działalność Józefa po

połączeniu unitów z prawosławiem; IV. Powierzchnowość Józefa, jego charakter i życie prywatne.

A. Szarlowski.

Liber Diurnus.

Dzięki Papieżowi Leonowi XIII, czyni nauka dyplomatyki w naszych czasach niesłychane postępy. Jest też to niezaprzeczony tryumf katolicyzmu, że protestant uczony i książę peleografów, wiedeński profesor, członek izby panów i radca dworu *Teodor Sickel* publiczne hołdy w swych publikacjach Papieżowi składa. Jakie ma znaczenie dla badań historycznych otwarcie archiwów Watykańskich, nakazane przez Leona XIII w *Saepenumero considerantes* (18 sierpnia 1883 roku) wystarczy wskazać na pracę *Sickla*, w której długoletni spór o autentyczność przywileju Ottona I z roku 962 mógł rozstrzygnąć na korzyść tegoż przywileju, skoro mu było dozwolone nie tylko zbadać, ale i fotografować rzeczony dokument, którym Otton I zatwierdził darowizny dawniejsze Pepina i Karola W. ¹. Obecnie wydał *Sickel* z rękopisu Watykańskiego *Liber diurnus*, nakładem wiedeńskiej akademii umiejętności w bardzo ozdobnym wydaniu i dołączył ektypon, jak to powszechnie już dzisiaj jest w paleograficznych wydawnictwach używane ².

Liber Diurnus zowie się podręcznik, używany niegdyś w kancelaryi papieskiej przez urzędników do układania bul, brewiów, przywilejów i t. d. Zawiera on formuły (107) rozmaite, któremi się posługiwała kancelarya aż do XI wieku. Później wyszedł on z używania, niektórzy historycy jednak twierdzą, że kopie jego służyły fałszerzom do układania fałszywych dokumentów. Jestto jednakże hipoteza niczem nie poparta, bo fałsifikatorzy mieli poddostatkiem bul autentycznych i wedle nich mogli fałszywe układać. Zdaje się jednakże nie ulegać wątpliwości, że w Rzymie musiało być więcej egzemplarzy tego podręcznika, ale jedyny przecież zachował się ten, który obecnie w archiwum Watykańskim istnieje. Używała go jeszcze w XI wieku kancelarya Pap. Grzegorza VII i ci, którzy uprawiali zbiory prawa kościelnego, mianowicie najznakomitszy z nich kardynał *Deusdedit*.

¹ Th. Sickel. *Das Privilegium Otto I für die römische Kirche vom Jahre 962 erläutert*. Mit 1 Facsimile. Innsbruck. Wagner 1883.

² Th. E. Ab. Sickel. *Liber Diurnus Romanorum Pontificum, ex unico codice Vaticano denuo edidit*. Consilio et impensis academiae litterarum ces. Vindobonensis. Vindobonae. C. Gerold. 1889. 8 maj. XCII 220.

Przed 200 laty odkryto nasz rękopis watykański, a równocześnie znalazł się drugi podobny w bibliotece klaromontańskiego kolegium XX. Jezuitów w Paryżu. Ten drugi jednak zaginął przy kasacie Towarzystwa po r. 1773 i to, jak się zdaje, bezpowrotnie, razem z tylu innymi skarbami, nagromadzonymi po kolegiach Jezuickich.

Niezmiernie ciekawa ta książka była też już kilkakrotnie wydawana. Pierwszy zajął się tem *Lukasz Holstein*, który znał kodex Klaromontański, a r. 1641 kolacyonował go z kodexem Watykańskim. Zmienił też porządek formuł i układ zrobił odmienny. Wydanie jego przerwała śmierć, a noty i objaśnienia, jakie do druku przygotował, zaginęły. Z tego też powodu, kiedy kard. *Barberini* chciał dokończyć wydania, zakazała tego kongregacya Indexu, za sprawą swego konsultora *Jana Bona*, i dopiero za Benedykta XIII została ostatnia część podana do druku, ale w tak małej liczbie egzemplarzy, że zaledwie trzy są dzisiaj jeszcze znane. Noty zaś *Holsteina* znajdują się dzisiaj w archiwum watykańskim (C. Vat. 9114), gdzie je *Sickel* przy pomocy *J. B. de Rossi* odszukał

Tymczasem wydał już Jezuita *Garneri* r. 1680 w Paryżu kodex Klaromontański, ale dodał index formuł, znajdujących się w kod. Watykańskim, których niemasz w kod. Klaromontańskim. Te właśnie formuły wydawał *Mabillon* w I tomie swego *Museum Italicum* (1685), i dlatego *Ch. G. Hoffmann*, wydając r. 1773 ponownie *Liber Diurnus* Garneriego, wcielił do niego dodatek Mabillona ¹. W tymże wieku wydany został też *Liber Diurnus* w Wiedniu 1762 przez *Rieggera*, który jednakże tylko wydanie Garneriego przedrukował ².

W naszym wieku zajmowała ta książka wielu uczonych i kilkakrotnie też została wydana. Mianowicie kard. *Pitra*, ówczesny opat w Solesmes, wydał ją w *Patrologia latina ed. Migne* (r. 1851 tom 105 p. 9—188), a rozprawę o niej napisał w swoich: *Analecta novissima*. Już wtedy studyowali tę książkę *Darenberg* i *Renan*, i na mocy odpisu, przez nich do druku przygotowanego, wydał ją *E. de Rozières* w Paryżu 1869. Wszelako i to wydanie opierało się tylko na wydaniu *Garnieriego*, bo do kodexu watykańskiego nie było przystępu. Dopiero gdy Leon XIII archiwum watykańskie nakazał otworzyć, zajął się naszym *Liber diurnus* młody, ale bardzo zdolny i pracowity uczony

¹ Ch. G. Hoffmann. *Nova scriptorum ac monumentorum Collectio*. Lipsk. 1773. tom III p. 41—218.

² P. J. Riegger. *Liber diurnus secundum editionem Parisiensem*. Vienne 1762.

G. Diekamp z Monasteru, któremu jednakże śmierć przedwczesna pracę tę przerwała (1885). Wtedy zabrał się do wydania kodexu watykańskiego *Sickel*. Sam część przepisał i skolacyonował z dawniejszemi wydawnictwami, reszty dokonał *Donabaum*.

Sickel trzymał się powszechnie już dzisiaj przyjętej reguły, żeby kodex wydać z dyplomatyczną wiernością. Nie opuszczał więc nic, jak to robili *Garneri* i *de Rozières*, ani też nic nie poprawiał, jak poprzednicy czynili, sądząc, że język i ortografię poprawiać się godzi, a tem samem nie wydając w rzeczywistości kodexu, który przed sobą mieli, lecz raczej komentarz do niego. Natomiast *Sickel* podaje w przypiskach objaśnienia, poprawki i warianty innych wydań, a w tekście nie zmienia ani jednej litery. Było to tem konieczniejsze, że właśnie w czasach Pap. Hadriana I i Karola W., z których ten kodex watykański prawdopodobnie pochodzi, ma łacina odrębne swoje cechy i właściwości, filologom więc otwiera się źródło nowych badań¹.

Pisarz naszego kodexu trzymał się też niewolniczo oryginału, z którego przepisywał, i późniejsi żadnych tu nie robili poprawek ani w tekście, ani na marginesie, bo kodex miał charakter urzędowy. Jeżeli zaś przepisyując, popełnił błąd, wtedy zaraz go poprawił i to tem samem pismem tj. kursywą i ligaturami, jakich używano w VIII wieku. Takie pomyłki mogły mu się zdarzyć łatwo, dlatego, że kodex jest pisany pismem ciągłym (*scriptio continua minuscula*), więc pisał np. *se-mine-storiani* zamiast *semi-nestoriani*. Takich poprawek z pierwszej ręki naliczył *Sickel* w kodexie 135, podczas gdy z drugiej ręki pochodzących poprawek znalazł tylko 40.

Jedną tylko zmianę konieczną zaprowadził *Sickel* w swoim wydaniu. Pisarz naszego *Liber diurnus* pisał dla ludzi obeznanych z kancelaryjnym stylem, którzy formuły te musieli umieć na pamięć, często więc urywa zdania w środku lub na końcu, niczem tego nie oznaczwszy. Komu jednakże te formuły są nieznane, temu takie przerwy utrudniają czytanie i zrozumienie. Dlatego wydawca oznaczył przerwy punktami i drukiem rozstrzelonym.

Historia naszego rękopisu jest następująca. W XVII w. znajdował się on w bibliotece zwanej *Sessoriana*, przy kościele św. Krzyża Jerozolimskiego w Rzymie. W tym wieku układał bowiem przełożony klasztoru, *Hilarion Rancati* (1624—1663) katalog tejże biblioteki

¹ Dr. Haberda dołączył też do niniejszego wydania bardzo obszerny *Index grammaticus elocutionum etc.* (str. 141—220), który dla filologów będzie miał niezmierny interes.

i pod nr. 177 tegoż katalogu wymienił nasz „*Liber diurnus*“, który nazwał *formularium pontificum*. Tutaj w tej bibliotece widzieli go *Holstein*, *Mabillon*, i dopiero tuż około r. 1798 przeniesiony został do archiwum watykańskiego, o czym zrobił ówczesny wielce zasłużony archiwaryusz papieski *Gaetani Marini* notatkę (Cod. Vat. 9114). W pierwotnym swoim kształcie składał się nasz rękopis z 13 kwaternionów tj. 104 kart (17 cm. wysokich a 11—12 cm. szerokich), które były numerowane na dole. Jednakże z czasem uległ zniszczeniu, tak, że pierwsze 4 karty i ostatnia zupełnie zginęły. Widocznie więc w bibliotece Sessoriana kazano go w XVII wieku oprawić, i to w cielecą skórę, w której dotąd się znajduje, bo i znak biblioteki jeszcze nosi. Przy tej oprawie obciętą też została owa paginacja pierwotna, na dole kart umieszczona.

Czas powstania naszego *Liber diurnus* jest przedmiotem sporu pomiędzy uczonymi, ale tyle jest rzeczą pewną, że nie powstał od razu, i że formuły z rozmaitych czasów pochodzą. Tak n. p. formuła 60 wspomina o tem, że Papież może być wybrany dopiero trzeciego dnia po pogrzebie poprzednika. Takie rozporządzenie wydał papież Bonifacy III (607). Formuła 73 wspomina ces. Konst. Brodatego (*Pogonatus*), jako żyjącego († 685), a więc przed jego śmiercią była ułożona. Formuła 82, nie wspomina ani słowem zatwierdzenia wyboru papieskiego; tymczasem 625—741, zatwierdzał wybór ten albo eksarcha Rawenny, albo sam cesarz Grecki. Natomiast papież Zachariasz (741—752) nie czekał z koronacją na zatwierdzenie, bo już czwartego dnia był konsekrowany, gdy nadto r. 751 Rawenna została zdobyta, nikt odtąd nie zatwierdzał wyboru papieskiego. Dopiero układ r. 817 przyznał królom frankońskim ten przywilej. Formuła 93 zawiera przywilej, nadany klasztorom, które fundowała *Cynedrida*, żona króla Offy, którego pobożność *Alkuin* chwalił. Przywilej ten pochodzi prawdopodobnie od pap. Hadriana I, którego legaci byli wysłani do króla Offy (786).

Wydawany właśnie przez ks. Duchesne *Liber Pontificalis*, dostarczył *Sicklowi* mnóstwa ciekawych szczegółów do wyjaśnienia tych kwestyj, o których tutaj tylko mimochodem wspomnieć było można. To zdaje się także być prawdopodobne, że sam rękopis watykański przepisany był ze starszych dwóch kodeksów, różnych od siebie wiekiem. Starszy obejmował pierwsze 63 formuły, późniejszy drugą połowę (64—107). Sprawdzić to można dlatego, że przepisywacz trzymał się niewolniczo oryginałów, tak, że pewne odcienia i różnice pisowni ściśle zachował. Przepisywał zaś około r. 800, jak tego *Sickel*

obszernie dowodzi, i dlatego dodał próbę fotografowaną tekstu, aby inni paleografowie sami prawdziwość jego twierdzenia osądzić mogli.

Ważna jest także kwestya celu i przeznaczenia naszej książki. *Zacharia* napisał rozprawę osobną na ten temat: „quantum ex Libro diurno utilitatis ad fidei confirmandae decreta et ecclesiasticam disciplinam illustrandam percipi possit“. On i kard. *Pitra* dowodzą, że książka ta miała tylko na celu prywatny użytek, i że urzędowego charakteru w kancelaryi papieskiej nie posiadała. Natomiast *Sickel* dowodzi, że książka ta była ułożona pierwotnie dla użytku młodych urzędników, którzy zawczasu formuł na pamięć wyuczyć się mieli, aby potrzebne zwroty mieć w głowie; następnie dopiero stała się niezbędnym podręcznikiem, mianowicie gdy w X wieku nauki podupadły, a notaryusze kancelaryi mniej wykształceni, tembardziej takiego podręcznika potrzebowali. Tego dowodzi, opierając się na mnóstwie bul i brewiów pap., które przewertował, i utrzymuje, że naszemu „Liber diurnus“ przypisywano takie samo znaczenie i powagę, co aktom soborów, pontyfikałowi rzymskiemu (*liber pontificalis*) i regestom papieskim. Jednem słowem, że do wieku XI miała ta księga powagę dokumentu publicznego.

Wspomnieliśmy już, że poprzedni wydawcy „Liber diurnus“ zmieniali porządek formuł, który zresztą w Klaromontańskim kodeksie był już inny niż w Watykańskim. *Sickel* nie zmienił nic w porządku i dowodzi obszernie dwóch rzeczy. Najpierw, że w pierwszej części, znacznie starszej, idą formuły (1—63) po sobie wedle pewnego planu. Pominąwszy pierwszą, która zawiera 12 adresów, albo raczej przepisów, jak należy tytułować różnych dostojników: króla, księcia, biskupa itd. i jakie zakończenie dawać odpowiedniemu listowi — dotyczą następujące formuły (2—10) ordynacyi biskupów, konsekracyi kościołów (10—31), dyspenzacyi dóbr kościelnych i korespondencyi z biskupami (33—46), a reszta (47—63) odnosi się do konsekracyi Papieży. Druga część natomiast rosła z biegiem czasu. Dlatego powtarzają się te same formuły, które zachodzą w pierwszej części, ale zmienione lub rozszerzone, a formuły profesyi wiary powtarzają się z dodatkami definicyi soborów. Zachodzi przytem ciekawa okoliczność, na którą *Sickel* nie zwrócił uwagi. Dotyczy ona kwestyi Honoryusza Papieża.

Formuła 83 (str. 90—93) nosi tytuł: *Indiculum pontificis*. Jest to rota przysięgi składanej przez Papieża przy konsekracyi. Zachodzi w tej formule ustęp, w którym powiedziano, że Papież uznaje sobory powszechne, i z ich uchwały „et una cum eis pari honore et vene-

ratione sanctum sextum concilium quod *nuper* sub Constantino *piae memoriae* principe et Agathone apostolico praedecessore meo convenit, medullitus et plenius conservare, quaeque vero predicaverunt praedicare, quaeque vero condemnaverunt, ore et corde condemnare“. Nie masz tu więc wzmianki o potępieniu Pap. Honoryusza, który na tymże soborze VI (680) został jako „fautor heresis“ potępiony, ale nie są też imiennie przytoczeni przywódcy monoteletów, których tenże sobór potępił. Ta formuła została ułożona widocznie po śmierci Konstantyna III Brodatego († 685) bo nazwany tu jest „piae memoriae“. Mogła więc służyć do konsekracji Pap. Jana V (685—108), który po Benedykcie II nastąpił. Następna formuła 84, (str. 93—103) jest daleko obszerniejsza, i tutaj są wymienieni wszyscy monoteleci, potępieni przez VI sobór: *una cum Honorio, qui pravis eorum adsertionibus fomentum impendit* (str. 100, 78'). Jest tu także wspomnienie: „piae memoriae magni principis nostri domini Constantini“, a więc i ta formuła mogła dopiero po śmierci Konstantyna III być ułożona. Natomiast formuła 85 (str. 103—110) była prawdopodobnie jeszcze za życia jego ułożona, powiedziano tu bowiem: „amplector et veneror definitionem quam, deo auspice, sancta et universalis ac magna sexta synodus, quae *nuper* in regia Constantinopoli urbis, in qua et apostolicae sedis legatos presidere manifestum est, quae per decretum christianissimi ac piissimi, a deoque coronati Constantini magni principis congregata est; et quae suscepit suscipio vel quae abiecit abicio, similiter et quos anathematizavit atque damnavit, anathematizo et damno“ (str. 109). Tem ciekawsze jest to, że przytoczony powyżej ustęp, znajduje się dosłownie we formule 73 p. t. „Promissio fidei episcopi“ (str. 73 f. 55), a *Sickel* właśnie o tej formule mówi, że została ułożona jeszcze za życia Konstantyna.

Z tego więc możnaby wnioskować dwie rzeczy: najpierw, że formuły kodeksu watykańskiego nie są ułożone chronologicznie, lecz zupełnie przypadkowo. Powtórę zaś wnieść by można z tego, że imienne potępienie Pap. Honoryusza we formule 84 wsadzono do „indiculum pontificis“ wtedy, gdy cesarz *Filipikus Bardanes* usiłował wskrzesić monotelizm, i gdy synod przez niego r. 712 zwołany ogłosił, że wolno uczyć o jednej woli w Chrystusie. Przemawia za tem przypuszczeniem i ta okoliczność, że podczas gdy we formule 83 i 84 dodano przy wzmiance o soborze VI *nuper*, jako o świeżo odbytym, w tej formule 84 tego dodatku nie masz. Z tem jednakże wiąże się przypuszczenie trzecie, że tej formuły 84 nie używano później w Rzymie, przy konsekracji Papieży, lecz że używano tej formuły, która równobrzmiąco

ustęp odnośny ma z formułą 73 „promissio fidei episcopi“, która notabene jest tylko jedna jedyna. Zdaje się więc być nieuzasadnione twierdzenie Krausa (Lehrb. d. K. G. ed II. p. 159), że *każdy* nowo obrany Papież musiał podpisywać formułę, zawierającą potępienie Honoryusza.

Ks. Chotkowski.

Z pism czasowych.

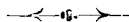
Dwa nowe pisma katolickie w Galicyi.

Gwiazda katolicka, czasopismo religijno-naukowe, społeczne i beletrystyczne. Pod tym tytułem rozpoczął wychodzić we Lwowie od początku b. r., pod redakcją ks. *Marcelego Dziurzyńskiego*, ilustrowany dwutygodnik, którego pierwszy numer mamy obecnie pod ręką¹. Pismo to — jak czytamy w *Programie* — postawiło sobie za cel: a) bronić prawd świętej wiary naszej, b) wyświecać, o ile można, w sposób najpopularniejszy, kwestye społeczne w duchu chrześcijańskim, c) przedstawiać w świetle prawdy zdarzenia z dziedziny historii Kościoła, które nieprzyjaciele z rozmyślanej złości lub nieświadomości rzeczy przekręcają i obrzucają błotem oszczerstwa, a także d) dołączeniem opowieści o tendencyi chrześcijańskiej, stawiać możliwą zaporę niemoralnej beletrystyce... Polityką *Gwiazda katolicka* zajmować się nie będzie, lub tylko w małej części...“ Artykuły umieszczone w pierwszym numerze, odpowiadają w swej treści wytkniętemu programowi. W pierwszej z rzędu rozprawie: „Czy możemy i czy powinniśmy bronić religii katolickiej?“, obiecuje redakcyja szereg nieciężkich, jasnych, zrozumiałych, dla wszystkich dostępnych, potoczną mową opracowanych artykułów apologetycznych. „Smutne koleje życia“ (zdarzenie prawdziwe), utwór, o ile z treści i z pewnych zwrotów sądzić wolno, nie oryginalny, lecz tłumaczony, również apologetyczną ma cechę. „List J. Em. ks. kardynała *Lavigerie*“ podany jest w tłumaczeniu *Misyj katolickich* ze stycznia roku zeszłego (coby należało przytoczyć). Nadto

¹ *Gwiazda katolicka* wychodzi — jak czytamy we wstępnem ogłoszeniu — 1 i 15 każdego miesiąca w objętości 1½—2 arkuszy druku i kosztuje w Austrii całorocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 cnt. Przedpłatę należy nadsyłać wprost do redakcyi (Lwów. Ul. Ossolińskich 11.).

znalazły umieszczenie: Krótki życiorys kardynała *Lavigerie*; studium społeczne: „Własność i nędza”; poetyczna „Legenda z Judei”; dość długi szereg kronikarskich notatek „ze świata”; z współczesnych dziejów Kościoła; wreszcie rozmaitości, i na szarym końcu w „humorystycznym kąciku”, kilka anegdotek. Jak widzimy, treść bardzo różnolita, do różnych smaków zastosowana i wybrana sumiennie z różnych pism polskich i zagranicznych. Szkoda, że redakcja nie zaznacza słówkiem, które artykuły są oryginalne, które i skąd zaczerpnięte. Styl w ogóle gładki, czasem jednak nie dość poprawny (por. np. drugie z kolei zdanie w „Smutnych kolejach życia”), a nawet mogący nasunąć mniej wykształconym czytelnikom, których *Gwiazda* słusznie pragnie dla siebie pozyskać, błędne jakie pojęcie (pierwsze zdanie w studium „Własność i nędza”).

Jednocześnie z okazaniem się *Gwiazdy katolickiej* we Lwowie, pojawił się w Krakowie po długoletniej przerwie ascetyczny dwutygodnik *Krzyż* pod redakcją ks. *Piry*. Obom katolickim pismom, mającym przed sobą piękne, wzajemnie niejako uzupełniające się zadanie, życzymy powodzenia, chętnych a zdolnych współpracowników, licznych abonentów i czytelników.



Rozmaitości.

Otrzymaliśmy tymi dniami pierwsze poszyty dwóch nowych pism peryodycznych: *Ekonomisty polskiego* i *Przeglądu akademickiego*. Jedno i drugie przedstawia się w swoim rodzaju bardzo korzystnie, ale dopiero później będziemy mogli zdać z nich dokładniejszą sprawę.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła

Konfiskata funduszków pobożnych przed senatem włoskim. — Jednomyślny wyrok prasy europejskiej. — Petycje włoskiej ludności. — Papieska alokucya. — Prześladowanie duchowieństwa we Francyi. — „Złaicyzowane“ szkoły i szpitale. — Rozwój Kościoła w Holandyi. — Nominacya biskupów dla ziem polskich. — Wstępny artykuł *Czasu* z 5 stycznia b. r.

Konfiskata funduszków pobożnych we Włoszech jest dziś, rzecz można, faktem dokonanym, bo jeśli rozprawy, prowadzone w tym względzie w izbie niższej, były czystą komedią, to wiadomo z góry doskonale, że w senacie odbędzie się tylko powtórne, kto wie czy nie z większem jeszcze ospalstwem, z większem lekceważeniem najświętszych praw i interesów, prowadzone przedstawienie tej samej komedyi. Dla zupełnego zabezpieczenia się w tym względzie, miał *Crispi* — jak donosi *Neue Freie Presse* — zalecić królowi nominację dwudziestu nowych senatorów, na których wierność i ślepe posłuszeństwo może z pewnością liczyć; miał wysłać do wszystkich senatorów półprywatne, pół-urzędowe listy, zalecające im w energicznych słowach niestawianie oporu rządowemu projektowi. Wygodne te „konstytucyjne“ środki pozwolą rządowi i w senacie trzymać się metody, której używał w parlamencie, nie rachować się z opozycją, nie odpowiadać zupełnie, lub odpowiadać pół-

gębkiem i od niechcenia na czynione zarzuty, zwyciężać bez bitwy. Siła idzie tu w najściślejszym słowa znaczeniu przed prawem, nie oglądając się na parlamentarne formy i zwyczaje, nie usiłując, jak gdzieindziej, ukryć choć w części przed światem popełnionego bezprawia, i opinię publiczną, choć pozornie, na swą stronę przeciągnąć; idzie naprzód tak śmiało, że i ci, którzy u siebie jej hołdują i do wszechwładnego jej panowania mogli się już byli przyzwyczaić, nie są w stanie ukryć zdziwienia i oburzenia. Przeciw samemu prawu, jako w najwyższym stopniu niesprawiedliwemu i krzywdzącemu ubogich, których interesów wrzekomo ma bronić, oświadczyły się równie protestancka, katolikom niechętna *Gazeta Frankfurcka*, jak wiedeński, paryski i konstantynopolitański organ ministerium spraw zewnętrznych: *Politische Correspondenz*, *le Temps* i *la Turquie*.

„Świeżo przez rząd włoski zamierzona konfiskata — pierwsze pierwszy z tych dzienników — jest nadużyciem, które wkrótce pociągnąć za sobą musi najsmutniejsze następstwa. Namiętne zamięłowanie biurokracyi we Włoszech łatwo odgadnąć pozwala, co się stanie z milionami, które rząd teraz w ręce swe pochwyci. Zanim prośby ubogich o wsparcie przejdą przez wszystkie instancje, umrą oni dawno z głodu. Wielu gryzło zapewne sumienie, gdy oddać im kazano tak znaczne sumy do dowolnego rozporządzenia rządu; odpędzili wszakże, jak pokusę, odzywające się wyrzuty sumienia i uznali za stosowne ani jednym słowem ich nie zdradzić. Ale i ci, którzy bez trudności zgodzili się na wszystko, czego p. *Crispi* od nich zażądał, zapominają, że i rządy *Crispiego* wiecznie trwać nie będą, i że jego następcą użyć będzie mógł 90 milionów dochodu na cele wręcz przeciwnie życzeniom dzisiejszej większości parlamentarnej. *Crispi* utrzymuje, że obmyślane przezeń przekształcenie wielu dobroczynnych instytucji, jest i nazywać się winno reformą liberalną; tymczasem największa część ludzi, znanych nawet ze swego antyklerykalnego, demokratycznego usposobienia, wręcz przeciwnego jest zdania. Wcale nie wszyscy zgadzają się z mniemaniem *Crispiego*, że państwu przysługuje

prawo zmieniać, wbrew zamiarom fundatorów, cel jakiejś fundacji . . .“

Jeszcze jaśniej wyraża się *Temps*. W całej tej sprawie, ukrywającej się pod niewinną nazwą „reformy funduszy pobożnych“, upatruje on nietylko nową fazę w historii sekularyzacji państwa, ale i olbrzymi krok naprzód na śliskiej drodze, wiodącej do otreśnięcia państwowego socjalizmu, do zupełnego i jawnego rozdziału Włoch na dwa wrogie sobie obozy. „Reforma ta zaostrzy do ostatnich możliwych granic spór, istniejący od r. 1870 między dwoma politycznymi stronnictwami, między które właściwie całe Włochy się dzielą: radykałami a klerykałami, Watykanem a Kwirynałem, białymi a czarnymi. Wciągnie ona we walkę, toczącą się o życie, o kawałek chleba, wsie i wioski, które zawsze wtedy dopiero ze snu się budzą i sprawą publiczną zaczynają się zajmować, gdy zostały dotknięte bezpośrednio je obchodzące materyjalne interesa; wciągnie we walkę ubogie warstwy ludności, dotąd dla sprawy tej obojętne, dla niej, rzec można, nieistniejące. Kwestya rzymska, tj. kwestya stosunku państwa do Kościoła, zstępuje wspólnie z tą reformą ze stolicy i z urzędowych kół do najodleglejszych wiosek. Wszędzie to kwestya trudna i drażliwa, ale szczególnie we Włoszech, gdzie przeszłość tak żywo jeszcze stoi w pamięci, a przeciw teraźniejszości tyle się podnosi protestów“. „Czego chce, do czego zmierza, jakim pretekstem może się zasłonić rząd włoski? — pyta ze swej strony *Turquie*. — Chce upokorzyć watykańskiego wroga i nie pyta tym razem o polityczne preteksty, bo wie, że napróżnoby ich szukał. Nie idzie tu o jedność Włoch, o nietykalność Rzymu, lecz wyłącznie o zubożenie duchowieństwa. Rewolucya francuska skonfiskowała w wieku zeszłym dobra kościelne, ale jej dziedzice spłacają rentę z tych dóbr pod formą budżetu wyznań. Włosi liberali postępują sobie praktyczniej i tak sprytnie się urządzili, że mieć będą w ręku do dowolnego rozporządzenia lwią część z 90 milionów dochodu, płynącego corocznie z kapitałów fundacyj pobożnych. Ministrowie skarbu i finansów będą mogli obficie czerpać z tego pozabudżetowego źródła dla usunięcia

deficytu“. Słowem, jak jędrnie i bez ogródek cechuje całe to prawo republikańskie *Liberté*, jest ono „dziełem rewolucyjnej logiki, jest praktycznem zastosowaniem znanej zasady: „Mam ochotę na twój tłumok, więc go sobie biorę“.

W samych Włoszech konfiskata funduszków pobożnych wzbudza między ludnością powszechnie oburzenie, a oburzenie to i właściwa wola ludu znalazły wyraz w 28 zbiorowych petytych, które poseł *Lucchini* przedłożył parlamentowi. Byłoby tych petytych bez porównania więcej i o wiele więcej znalazłoby się na nich podpisów, gdyby nie doświadczenie ostatnich czasów i głosy rządowych dzienników, które wprost bezczelnie oświadczyły: „Nie trudźcie się niepotrzebnie, bo waszych petytych nikt nawet czytać nie będzie!“. *Tribuna* nie zawahała się uciec się do „znanej energii“ prezesa ministrów, dając znać nietylko między liniami, że *Crispi* zrobiłby najlepiej, idąc i tym razem utartym przez siebie szlakiem i zakazując dalszego zbierania podpisów, a ogłaszając zebrane już podpisy za nieważne, niebyle, przez klerykalne stronnictwo wymuszone.

Nie jedyny to, niestety! zamach wymierzony w ostatnim czasie na Kościół katolicki we Włoszech; cały szereg takich, coraz sroższych, bezwzględniejszych zamachów wyliczył i napiętnował Leon XIII najprzód w przemowie, mianej do kardynalskiego kolegium w wigilię Bożego Narodzenia, następnie w alokucyi, wygłoszonej na konsystorzu tajnym z dnia 30 grudnia. Papież ponowił w tej alokucyi dawne swe protesty przeciw nowemu, „mającemu na celu okuć duchowieństwo w kajdany i przeszkodzić mu w zbawczej jego działalności, kodeksowi karnemu“, który obecnie, od 1 stycznia b. r. wszedł w życie; następnie zaś przeszedł na drugi z kolei, niemniej ciężki i w skutkach oplakany atak:

„Mamy tu na myśli prawo o fundacyach pobożnych, dopiero co pospiesznie uchwalone. Prawo to jest — jak wyznają sami jego twórcy — jednym tylko dalszym krokiem na drodze do zupełnego usunięcia ostatnich śladów religii we wszelkich publicznych instytucjach. Istotnie, ustawa ta służy wyborze z samej swej natury do osiągnięcia tego zamiaru; ma ona

bowiem przedewszystkiem na celu w części znieść, w części zupełnie przekształcić i w inną stronę skierować wszystkie fundacye pobożne, tak iż ani wątpić nie można, że przekształcenie to pociągnie za sobą zupełną zagubę i ruinę wszystkich tych zakładów i fundacyj. Uznać wszystkie urządzenia, wszystkie zapisy i testamenty, przeznaczające pewną kwotę pieniężną na cześć Bożą, na ulżenie duszom zmarłych, lub na posagi dla dziewcząt, pragnących wstąpić do klasztoru; uznać je same z siebie za nieważne i niebyłe, sprzeciwia się równie miłości winnej żyjącym i zmarłym, jak i sprawiedliwości. Jasnem jest, że takie postępowanie gwałci wolę fundatorów, ponieważ przeznaczili oni dane przez siebie pieniądze nie na jakiegokolwiek bądź inne, ale właśnie na powyżej wskazane cele. I tych przepisów milczeniem pominąć nie możemy, według których w skład komisyj, zarządzających funduszami pobożnymi, wejść mogą wszyscy bez wyjątku, nawet kobiety, a jednym tylko proboszczom droga do nich zamknięta. Jako powód tego wyjątku podano znaną uległość proboszczów dla swych biskupów i Papieża: już z jednego tego szczegółu dostatecznie przebiega właściwy cel i duch wzmiankowanego prawa“.

„Mówią, że dobroczynność, aby mogła się lepiej z zadania swego wywiązać, musi przybrać świecką barwę, ponieważ biedacy zwykli przyjmować ze wstydem i nieufnością pomoc daną sobie przez chrześcijańskie miłosierdzie. Bolesną zaprawdę jest rzeczą, że w społeczeństwie chrześcijańskim znajdują się ludzie, którzy mówiąc o królowej cnót wszystkich, dopuszczają się tak ciężkiego błędu... Wszak Pan Jezus żywi dla ubogich i nieszczęśliwych tak wielką miłość, że wyświadczone im dobrodziejstwa uważa jako wyświadczone sobie samemu. Miłosierdzie, wypływające z uczuć przez Chrystusa natchnionych, nie tylko ubogiego nie poniża, lecz owszem podnosi go do godności, o której człowiek bez światła niebieskiej nauki nigdyby sobie nawet nie mógł wyrobić pojęcia. Napróżno szukać takiego miłosierdzia poza Kościołem Bożym... I czyż jest jakie cierpienie, któremuby Kościół nie usiłował zapobiedz z macierzyńską miłością, a zarazem z nadzwyczajną roztropnością.

i czujnością. Za jego przeważnie staraniem i wpływem, lub przynajmniej za jego radą, pomocą i pod jego opieką powstały na całym świecie różne dobroczynne zakłady, mające na celu nieść ulgę i pomoc różnym nieszczęściom; powstały w znaczniejszej liczbie tam, gdzie Kościół piękniej kwitnął i wydawał bujniejsze owoce cnót chrześcijańskich. Pod tym względem wyszczególniły się Włochy, i zachowały one bez skazy w złej i dobrej woli katolicką wiarę, i dlatego wiek po wieku nowemi takimi dobrami je wzbogacał. Tem bardziej barbarzyńskim i hańbiącym naród włoski, jest postępowanie tych, którzy chcą Kościołowi odjąć szafowanie i zarząd publicznego miłosierdzia. Głosili oni, że zarząd funduszami był w opłakanym stanie, że działały się szacherki z dochodami, ale światło prawdy trysnęło ztamtąd, z kądem tego sobie najmniej życzone. Śledztwo zarządzane wykazało w całym blasku bezpodstawność rzuconych na administracyę zarzutów“.

„Jakby dla dopełnienia miary bezprawia, ludzie dzierżący władzę w rękę, dopuścili się jeszcze innego zamachu, wkraczając wprost w zarząd rzeczy świętych. Dorozumieliście się zapewne, Czcigodni Bracia, o czem chcemy mówić, a mianowicie o krokach uczynionych w ostatnich miesiącach przeciw czcigodnemu naszemu bratu Ludwikowi, tytularnemu biskupowi z Troady, zarządzającemu dyecezyami Aquavivy i Altamury. Przebieg tej sprawy dobrze wam jest znanym: odebrano mu najprzód dochody, przywiązane do obydwóch tych stolic biskupich, następnie usunięto go z zajmowanego stanowiska, wyrzucono z biskupiego pałacu, a jednocześnie zarząd obu dyecezyj poruczono komu innemu, tak jak gdyby tu chodziło o rzecz czysto świecką, należącą wyłącznie do zakresu władzy politycznej. Faktem tym nie tylko zdeptano święte prawa Kościoła, ale zarazem pogwałcono prawa, należące do samej istoty papieskiego naszego urzędu. Z wielką też boleścią duszy, uskarżamy się na tego rodzaju gwałty, a zarazem wszystko, cokolwiek brutalna przemoc w tej mierze zadekretowała lub przeprowadziła, mocą apostolskiej naszej powagi odrzucamy i potępiamy“.

Cóż powiedziała rządowa, liberalna prasa włoska, na ten tak poważny, tak bolesnymi faktami stwierdzony protest Papieża? W całej tej prasie nie okazał się ani jeden artykuł, który schodząc do głębi rzeczy, usiłowałby na seryo bądź odpowiedzieć na uczynione zarzuty, bądź przynajmniej wagę ich zmniejszyć, tyranie rządową choć w pewnej części wytłómaczyć. Czyż więc może allokucya papieska nie zrobiła żadnego wrażenia, minęła niepostrzeżona? Przeciwnie, świat polityczny i dyplomatyczny zajął się nią gorąco, a jak jeden z rzymskich dyplomatów się wyraził: „Bardzo to niemiły noworoczny podarunek dla p. *Crispiego*“; opinia za granicą żywo się poruszyła; w samychże Włoszech rządowe i półrządowe dzienniki, jak: *Opinione*, *Capitan Fracassa*, *Tribuna*, *Riforma*, rzuciły się zajądla na allokucję, ale rzuciły się nie z argumentami, lecz z obelgami. „Czytając wszystkie te komentarze, — tak cechuje całą tę kompanię *Moniteur de Rome*, — niezmierny smutek ogarnia serce. Prócz przewisk i szyderstw, przeplatanych brzmiącymi frazesami, niczego innego tu nie znajdziesz; napróżno oglądasz się za polemiką, płynącą z jakiejś zasady, natchnioną prawdziwym interesem narodowym. Albo dzienniki te nie chcą, albo nie są w stanie słów papieskich zrozumieć. W jednym i w drugim przypadku bacznie przypatrująca się Europa ciekawe będzie sobie musiała wyrobić pojęcie o umysłowym poziomie i politycznym zmyśle naszych przeciwników“.

Jak we Włoszech, tak we Francyi wolnomularska loża pracuje dzisiaj w tym głównie kierunku, aby odjąć duchowieństwu i cień niezależności, uczynić je najzupełniej zawisłem od łaski, niełaski, i nie tylko już praw, ale i kaprysów rządowych: słowem, zmienić je w powolne, nigdy i w niczem nie opierające się zamiarom swym narzędzie. Z powodu wrzekomej lub rzeczywistej agitacyi w czasie wyborów zawiesił minister *Thévenet* wypłacanie należnej pensyi około 300 księżom, jak sam w parlamencie się przyznał; a różnemi mniejszemi i większemi karami obłożył — jak donosi *Figaro* — około tysiąc księży. W osobnym okólniku do biskupów oświadczył minister gotowość zniesienia zarządzonej konfiskaty, ale pod warunkiem, że

biskupi przeniosą wszystkich ukaranych, lub mających być jeszcze ukaranymi księży, z dotąd zajmowanego na inne jakie stanowisko, ponieważ, — jak wyraża się okólnik, — „rzeczpospolita ścierpieć nie może, aby księża, którzy burzyli przeciw niej ludność pewnej miejscowości, nadal między ludnością tą mieli pozostawać“. Biskupi — rzecz prosta — na samowolne to życzenie się nie zgodzili, a tak mnóstwo księży francuskich cierpi dziś głód w najściślejszem słowa tego znaczeniu. W proskrypcyjnych dekretach nie wymieniono nawet nieraz właściwej przyczyny, ściągającej tak surową karę; biedny, na żebraczy kij skazany ksiądz dowiadywał się tylko, że żywi niechęć dla rzeczypospolitej i bronie się nie mógł, bo nie wiedział, w czym ta niechęć się objawiła, o co go oskarżono. Co całą tę sprawę w najsmutniejszym stawia świetle i dowodzi, że rząd nie bronił się — jak głosił w swych dziennikach, — przed jakąś niedozwoloną agitacją duchowieństwa, ale wprost, z pogwałceniem wszelkich praw, prześladowuje i gnębi, to ta okoliczność, że tłumne te zawieszenia pensyj nastąpiły bez sądu, drogą administracyjną, na podstawie najmniej uzasadnionych skarg osobiście niechętnego księdzu mera, lub chcącego się pochwalić nienawiścią względem Kościoła radcy gminnego. Na tysiąc mniej lub bardziej dotkliwie ukaranych księży, wytoczono proces tylko jednemu, jednemu księdzu *Bessière*, a sąd w jednym tym oskarżonym nie mógł się najmniejszej winy dopatrzeć. „Bo i jakiegoż — pyta się *Journal des Débats*, — dopuścił się przestępstwa, gdzie, z kim, w jaki sposób przeciw Rzpltej spiskował? Oto, w czasie wyborów odezwać się miał z ambony do parafian: „Moi kochani, tak powinniście głosować, jak wam sumienie dyktuje, jak nakazują wam wasze zasady, jakbyście głosować chcieli w godzinę śmierci“. Niezbyt to zaprawdę rewolucyjne wyrazy, niezbyt chyba śmiałe mieszanie się do wyborów, niezbyt silne gwałcenie sumień wyborców. Nie trudno więc pojąć, dlaczego sędziowie z *Mende* uwolnili obżalowanego; ale uwolnienie to okazuje doskonale, dlaczego rząd w podobnych wypadkach zawieszać samowolnie pensye administracyjnymi ukazami, niż uciekać się do trybunałów. Przed sądem

toczy się rozprawa; oskarżony broni się, tłumaczy się, czasem potrafi się usprawiedliwić; chcąc go potępić, trzeba wynaleść określone jakieś przestępstwo, poprzec oskarżenie dowodami. Droga administracyjna nie zna tych zawad; prosto do celu prowadzi. Pan Minister wyznań potrzebuje tylko przywołać jednego ze swych urzędników i powiedzieć mu: „Mocno mi się nie podoba, że ksiądz X. mówi wyborcom o śmierci, i zachęca ich do głosowania pod wpływem tak smutnych myśli“. To wystarcza. Urzędnik wygotowuje odpowiedni rozkaz; nieczem nieograniczona kara spada na księdza, i ciąży na nim, dopóki nie wymusi oczywistej a głębokiej skruchy, dopóki podobać się będzie rządowi. Ten system utrzymywania porządku jest oczywiście o wiele wygodniejszym, niż dawny, domagający się oskarżenia, dowodów, sądu; naszym zdaniem, system to nieco za wygodny“¹.

W czasie obrad nad budżetem szkolnym w paryskiej radzie miejskiej przedłożono następne urzędowe cyfry, które okazują, że jeśli sekta na drodze „laicyzacyi“ wciąż wytrwale kroczy, to dzięki Bogu, i katolicy z placu walki nie ustępują, a zważywszy na trudne stanowisko, na przeszkody ze wszzech stron stawiane, dokonują prawdziwych cudów poświęcenia i miłosierdzia. Do szkół „świeckich“ uczęszcza obecnie w Paryżu 74,464 chłopców i 69,761 dziewcząt; do szkół „kongreganistycznych“ 17,299 chłopców i 31,962 dziewcząt. Do ochronek świeckich (*écoles maternelles*) 36,819 dzieci; do kongreganistycznych 12,033 dzieci. Razem biorąc zakłady zlaicyzowane liczą 181,044 uczniów; zakłady kongreganistyczne 61,294 uczniów. A ileż to kosztują, jak gorzkie wydają owoce te zlaicyzowane szkoły; ile kosztują, jak gorzkie wydają owoce w imię liberalnego systemu zlaicyzowane szpitale! Energiczny a prawdziwy przyjaciel chorych, dr. *Després*, odsłonił, pod ostatnim tym względem, jak od pewnego czasu na własnem doświadczeniu oparty odsłania rok rocznie przerażający obraz,

¹ Gruntowny, z wielką znajomością rzeczy napisany artykuł o całej tej kwestyi, umieściło *Słowo* warszawskie z 4 stycznia b. r., p. t. „Rzeczpospolita i duchowienstwo“.

którego prawdziwość stwierdził najzupełniej jeden z młodszych jego kolegów *Jerzy Berry*. „Odkąd rada miejska — mówił dr. *Desprès* — mieszać się zaczęła do rządu szpitalów, wszystko idzie na opak: słudzy zleniwiali, a chorzy, po wypędzeniu zakonnic, otrzymują gorsze pożywienie, daleko mniej troskliwą opiekę. Świeckie doradczynie dużo kosztują; robią się zatem oszczędności na jedzeniu chorych. Do mojego oddziału w *Charité* przyjęliście na miejsce jednej siostry, która dostawała 200 fr., trzy dozorczyńnię; pierwszej z nich płacie 2100, drugiej 1700, trzeciej 1500 fr. I do jakiegoż rezultatu doszliście? Przejdźcie się kiedy do szpitalu *Dubois*. Jednemi drzwiami weszły wasze dyplomowane dozorczyńnię, a drugimi zaczęli chorzy uciekać; dziś zakład ten upada, dwie sale stoją puste i próżne. Przejdźcie się do szpitalu miejskiego. Będziecie się tam mogli przekonać, jak w praktyce wyglądają usługi świeckich dozorczyń, choć wiele z nich z powodu złej służby trzeba już było wypędzić. Szpital miejski, powtarzam z naciskiem, dziś zadania swego nie spełnia, dawna jego sława przepadła!“ Sprawozdawca komisji finansowej *Strauss*, wyznał ze swej strony bez ogródek, że rozchody miasta Paryża ogromnie wzrosły i wciąż nieproporcjonalnie rosną od chwili wypędzenia zakonów. W r. 1876 obracało miasto na szkoły 9.863,400 fr., obecnie obraca 23.663,800. Na chorych i ubogich obracało 13.100,000 fr., obecnie, pomimo że ubodzy mniej otrzymują, a liczba wspieranych bardzo nieznacznie się powiększyła, obraca 22.488,000 fr. Naturalnie, paryska rada miejska nie zwróciła uwagi na wszystkie te wywody i w imię „wyższych względów“ postanowiła nie ustępować ani na włos od przyjętego systemu.

Przyjęte już dawniej przez izbę niższą, a przed kilku tygodniami potwierdzone przez senat holenderski nowe prawo szkolne, spełnia dawno żywione życzenia holenderskich katolików. Szkoły wyznaniowe, utrzymywane dotąd z niemałym poświęceniem przez członków stronnictw: konserwatywnego i katolickiego, zostały obecnie postawione na równi ze świeckimi szkołami państwowymi i wspólnie z nimi pobierać będą państwową subwencję. Wielki to, ale nie jedyny tryumf, który

w ostatnim czasie odnieśli holenderscy katolicy, wytrwale, krok za krokiem zdobywając coraz szerszą wolność Kościołowi, coraz piękniejszą rok za rokiem i w skutki bogatszą rozwijając działalność, równie na polu ściśle religijnem, jak naukowem i społecznem. Kraj ten, w którym hierarchia katolicka przywróconą została dopiero w r. 1853, nie daje się pod tym względem żadnemu innemu wyprzedzić. Każda dyecezya ma małe i wielkie seminaryum katolickie, szpitale i przytulki, wspaniałe nieraz archiwum i bibliotekę dyecezalną. Liczba kleryków podniosła się od r. 1853 z 957 do 1906. Wielu zakonników, zwłaszcza z Niemiec w czasie walki kulturalnej wypędzonych, znalazło tu chętną gościnność, pozakładali swe klasztory, i pracują gorliwie nad nawróceniem Holandyi. Dzięki w znacznej części ich wpływowi, cyfra katolików w kościelnej prowincyi utrechckiej wzrosła w ostatnich paru latach o 30,000. Mnożą się również katolickie dzienniki, książki, wydawnictwa; mnożą się katolickie stowarzyszenia, mnożą się katolickie kościoły i kaplice, rodząc usprawiedliwioną nadzieję, że policzone już dni panowania herezyi, która tyle ruin, tyle moralnych i materyalnych klęsk Holandyi przyniosła.

Na konsystorzu z dnia 30 grudnia r. z. prekonizował Papież 62 biskupów, a między nimi i biskupów dla ziem polskich. I tak, jak wiadomo, katedrę lubelską i administracyę dyecezyi podlaskiej obejmuje dotychczasowy administrator lubelski, ks. *Franciszek Jaczewski*; katedrę plocką, wielce zasłużony redaktor *Przeglądu katolickiego* i *Encyklopedyi kościelnej*, kanonik warszawski, ks. *Michał Nowodworski*; katedrę wileńską, kanonik mohylewski, ks. *Antoni Audziewicz*. Dotychczasowy biskup sufragan, administrator dyecezyi plockiej, ks. *Henryk Piotr Dołęga Kossowski*, mianowany sufraganem wrocławskim, a dotychczasowy administrator dyecezyi wileńskiej, ks. *Ludwik Feliks Zdanowicz*, biskupem tytularnym Dionisiady. Ks. *Zdanowicz*, starzec 78-letni, rezydować podobno będzie w Petersburgu, jako sufragan metropolity mohylewskiego, którego stolica wakuje obecnie po śmierci ks. *Aleksandra Gintowta*, i Bogu tylko wiadomo,

kiedy zostanie obsadzoną¹. Ważnem również dla nas z niejednego punktu widzenia, jest zamianowanie ks. *Antoniego Zerra*, dotychczasowego administratora dyecezyi saratowskiej czyli ty-raspolskiej, biskupem tejże katedry. Wszystkie nasze dzienniki podały krótkie życiorysy i skreśliły wybitniejsze zasługi nowomianowanych dostojników. Radość i wdzięczność dla Stolicy św. ożywia dziś — jesteśmy tego pewni — wszystkich Polaków; ale prócz radości tej i wdzięczności płyną jeszcze dla nas z szczęśliwego faktu nominacyi nowych biskupów, płyną zwłaszcza dla naszego dziennikarstwa, odnośnie do Rzymu i Papieża, poważne nauki i obowiązki. Nauki te i obowiązki skreślił *Czas* w artykule wstępnym z 5 stycznia b. r. tak pięknie i dobitnie, że aby słowom tym nadać jak najszerszy rozgłos, a streszczaniem ich nie osłabiać, powtarzamy tu — opuszczając tylko krótki wstęp — cały ten artykuł:

Z wdzięcznem uczuciem zwrócić winniśmy się to Stolicy św. za niezmierną troskliwość i równą oględność w prowadzeniu układów, oraz w wyborze kandydatów. Wdzięczność nasza powinna być tem większą, im częściej odzywały się z pośród nas głosy niecierpliwości a nawet niegodnej nieufności i podejrzeń. Ileż to razy nasze liberalne dziennikarstwo, tak mało dbające o rzeczy wiary, w czasie rokowań Stolicy św. z dyplomatami rosyjskimi podnosiło głos nieuprawniony, a gorszący i szkodliwy. Świadomie lub nieświadomie ulegano tu wpływom postronnym, wrogim Kościołowi, Papieżowi, a dla Polski katolickiej niemniej nieprzyjaznym. Samozwańczy autorowie różnych memoriałów i protestów, pisanych na komendę masoneryi włoskiej i polskich adherentów — oskarżali o obojętność tych, których powołaniem było czuwać nad biegiem rokowań, informować Stolicę św. i działać w duchu prawdziwie kościelnym. To co tylko poufnie, z całą dyskrecją i poszanowaniem najwyższej powagi Stolicy św. należało uczynić,

¹ Prócz metropolii mohylewskiej nie są jeszcze obsadzone dwie jej sufraganie: połocka i liwowska (sufraganię mohylewską obejmie prawdopodobnie — jak wspomnieliśmy — ks. *Zdanowicz*); trzy od dawien dawna niestety! wakujące sufraganie wileńskie: brzesko-litewska, trocka i wileńska: dwie kowieńskie, dwie łucko-żytomierskie, dwie saratowskie, jedna warszawska, lubelska, sandomierska i plocka. Nie wspominamy już tutaj o nieprawem, przez Stolicę Apostolską nie uznanem zniesieniu dyecezyj: mińskiej, kamienieckiej i podlaskiej.

to starano się na rynkach roztrąbywać, bez względu, że działając w ten sposób, osłabiało się zaufanie i odstręczało serca opiekuńczej i ojcowskiej władzy watykańskiej, a równocześnie szkodziło się sprawie, wystawiało cierpiących prześladowanie naszych braci na cięższe jeszcze próby.

Dziś ukorzyć nam się należy, — bo mamy nowy dowód ojcowskiej miłości i głębokiej mądrości, z jaką Ojciec św. Leon XIII w ślad za swym wielkim poprzednikiem Piusem IX dokłada wszelkich starań dla ulgi najnieszczęśliwszych ze swej owczarni katolików polskich.

Po raz wtóry staraniom tym Leona XIII powiodło się zaopatrzyć dyecezye polskie w biskupów. Wiemy już z doświadczenia, jak błogie owoce wydały te układy, które przed 10 laty zakończyły się także nominacją kilkunastu biskupów pełnych ducha Bożego oraz otwarciem seminarjów. Uzupełnienie episkopatu polskiego na ostatnim konsystorzu przywraca znów jeden przynajmniej warunek istnienia katolicyzmu, jakim jest dobór pasterzy.

Ale biskupi nie mają wolności porozumiewania się bezpośredniego ze Stolicą św., żadne dotąd ograniczenie władzy przez rząd nie zostało uchylone. Znajdą oni te same ciężkie i twarde warunki, w jakich ich poprzednicy pasterstwo swoje wykonywać musieli. O ile wiemy, rokowania nie zdołały rozwikłać ani jednego z węzłów, które oddawna dyplomacya rzymska stara się w układach z Rosyą usunąć. Równocześnie z faktem prekonizacyi przychodzi nam zapisywać fakta dalszych prześladowań na Podlasiu, nowych złowrogich zamiarów na Litwie, Żmudzi, i na Wołyniu.

O ile nowy nam przybywa powód i dowód dla zwiększenia naszej synowskiej wdzięczności i zaufania do Stolicy św., o tyle mnożą się powody obaw w obec niezmiennego kierunku ucisku w sferach rządowych rosyjskich. — Daremnie organa rządowe rosyjskie starają się dowodzić, że w Rosyi panuje tolerancya dla katolicyzmu. Codzienne, tysiączne przykłady temu twierdzeniu dają zaprzeczenie. Obowiązkiem dziennikarstwa polskiego jest zapisać każdy nowy gwałt, czy chodzi o zamknięcie kościołów, tak już nielicznych, czy o narzucenie języka, czy o ścieśnienie swobód duszpasterskich — ale złą usługę dają te pisma i głosy, które przez krewkość, nieświadomość lub złą wolę przesadzają wypadki, lub utrudniają akcyę dyplomatyczną, mogącą przynieść ulgę lub przerwę w cierpieniach katolickiej polskiej ludności.

Ks. Jan Badeni.

Nowy fonograf Edisona.

Przyrząd ten, pojawił się poraz pierwszy w Europie na wystawie paryskiej. Główna zasada budowy jego pozostała ta sama, co i dawniej, lecz w ciągu ostatnich kilku lat, przyrząd ten został tak udoskonalony, że można go poniekąd uważać za całkiem nowy wynalazek.

Jak wiadomo, główną częścią składową dawnego fonografu jest walec metalowy; na nim dostrzega się wyrytą linię śrubową, na którą nakleja się podłużną kartkę stanioli. Obok walca znajduje się mała tuba metalowa, zamknięta po stronie walca błoną sprężystą, a w środku tejże przytwierdzony delikatny sztyfcik stalowy. Na osi walca jest wypukła linia śrubowa o gwintach zupełnie takich samych, jak i na powierzchni walca. Zapomocą korby na końcu osi osadzonej, walec może być wprowadzony w ruch obrotowy, a że w jednej z panewek podtrzymujących oś walca jest wyżłobiona linia śrubowa, przeto oś obracając się, posuwa się równocześnie z walcem naprzód.

Podczas ruchu walca, skoro mówi się głośno do tuby, błona pod działaniem fal głosowych drga, a z nią i sztyfcik, który wyciska w stanioli znaczki, podobne do znaków telegraficznych. W tym wypadku błona jest przesyłaczem głosu (*transmittor*). Chcąc, aby fonograf powtórzył słowa do niego wypowiedziane, odchyła się na chwilę tuba od walca, a korba obraca się w przeciwną stronę tak długo, dopóki sztyfcik, po zbliżeniu tuby, nie spotka się z początkiem pisma. Wówczas, skoro wprowadzimy walec w ruch, sztyfcik skacząc po znaczkach na stanioli, pobudza błonę do drgań, które stają się źródłem głosu choć znacznie zmienionego, przypominającego poniekąd głos bruchomowcy. Błona w tym wypadku jest wytwarzaczem głosu (*productor*).

Fonograf w zasadzie był niezaprzeczeniem znakomitym wynalazkiem, ale praktycznego zastosowania nie miał; albowiem znaki na stanioli, po kilkakrotnem odczytaniu lub powtórnem naklejeniu tej samej stanioli znacznie się zacierały; miał też fonograf pierwotny i inne niedogodności, które należało usunąć. Jakie trudności przedstawiały się przy udoskonalaniu przyrządu, opowiedzieli jego współpracownicy: *Janssen*¹ w obec członków akademii paryskiej w czasie wystawy, i *Wangemann*² na walnem zgromadzeniu przyrodników niemieckich w Heidelbergu we wrześniu, 1889.

¹ *Carls. Rep.* 108, 841; 1889.

² *Anzeiger für Ind. und Techn.* II. Nr. 19.

A najprzód ruch obrotowy walca, uskuteczniany ręką lub mechanizmem zegarowym, był niejednostajny, wskutek czego głos dawnego fonografu nie miał nigdy tej samej wysokości, jak pierwotne źródło głosu. Edison zarządził temu w ten sposób, że użył jako motora małej dynamomaszyny, której obrót jest tak regularny, że na 1000 obrotów chybia zaledwie 1 obrot, podczas gdy maszyny parowe w ruchu jak najregularniejszym chybiają 20—30 obrotów na 1000. Motor ten jest tak połączony z fonografem, że walcowi nadaje nie tylko ruch obrotowy, a nadto porusza śrubę obok walca umieszczoną, która posuwa naprzód tubę z błoną. Śruba ta wykonana jest z nadzwyczajną dokładnością, o gwintach nader drobnych, tak że w 1 mm. mieszczą się 4 gwinty.

Ponieważ błona w dawnym fonografie zmieniała napięcie wskutek wilgoci powietrza, z tego powodu zastąpił ją Edison cienką płytką szklaną. Również i sztyfcik do błony przytwierdzony okazał się nie odpowiednim do wyrycia 6—10.000 znaczków na długości 1 centymetra, ale nie tak łatwo było zastąpić go czemś innem lepszem. Dopiero po kilkutysięcznych próbach porzeczono na tem, że do rycia znaczków na walcu użyto małego nożyka o tępym końcu, a przekroju eliptycznym; przytwierdzony on jest ukośnie do płytki szklanej. Do wyrabiania takich jednostajnych nożyków tak, aby swymi rozmiarami nie różniły się między sobą na $\frac{1}{1000}$ mm., służy osobna maszyna. Ta płytka służy do przesyłania głosu.

Do odtwarzania głosu służy druga płytka szklanna, do której, zamiast nożyka, przytwierdzona jest delikatna dźwignia metalowa zakończona małym guziczkiem. Mały ciężarek, umieszczony na tej dźwigni, sprawia, że guziczek z pewnym naciskiem ślizga się po piśmie na walcu wytłoczonym. Jak delikatny, a zarazem co do rozmiarów dokładny, musi być ten przyrządek, wnosić z tego można, że w przeciągu $\frac{1}{10}$ — $\frac{1}{20}$ sek. ma się zagłębić w 6—1000 dołeczkach, na długości 1 cm. rozmieszczonych. I ta, na pozór drobna część składowa fonografu, może być zrobioną tylko przy pomocy jak najdokładniejszej i umyślnie w tym celu wynalezionnej maszyny.

Tak przesyłacz jak i odtwarzacz są osadzone na przeciwnych końcach kabłąka metalowego, który do sztabki, przesuwanej motorem, w ten sposób jest przytwierdzony, że może być z łatwością naokoło osi pionowej obrócony, lub wzdłuż sztabki przesunięty. Zatem, według potrzeby, można przesyłacza lub odtwarzacza do walca przybliżyć, alboż też oba razem wzdłuż niego posunąć.

Dawny walec pokryty staniolą okazał się również niedogodny

przy tak znacznej liczbie delikatnych znaczków; zastąpiono go, po bardzo licznych próbach, walcem z masy woskowej, (o średnicy 5 cm. długości 8 cm., a grubości ścian $\frac{1}{2}$ cm) który nasadza się na walek metalowy, wprawiony w ruch obrotowy motorem elektrycznym.

Lecz i masa woskowa początkowo nie wydawała czystych głosów. Badania mikroskopiczne wykazały, że najmniejszy pyłek, zawarty w masie, był 3—4 razy grubszy, niż zagłębienia na walcu działaniem głosu wryte, wskutek czego guziczek odtwarzacza utykał na każdym pyłku i sprawiał drgania płytki szklanej całkiem niewłaściwe. Dopiero drogą chemiczną znaleziono sposoby wytworzenia zupełnie jednolitej masy woskowej, wolnej od wszelkiego kurzu. Zdawało się, że już cel zupełnie osiągnięty, tymczasem nawet po najdokładniejszym wygładzeniu walca, głosem odtworzonym towarzyszyło niemiłe syczenie. Powtórne badania mikroskopowe wykazały, że chociaż walec był nadzwyczaj gładki, mimo to znajdowały się jeszcze na nim liczne zagłębienia, na które odtwarzacz wcale nie był obojętny. Edison wymyślił i na to środek zaradczy. Oto do kabłąka, podtrzymującego przesyłacz i odtwarzacz, przytwierdził szczególnego kształtu dłutko tokarskie, którego ostrze nawet pod mikroskopem jest prostolinijne, podczas gdy ostrze najlepszej brzytwy wygląda pod mikroskopem jakby piłka o drobnych i nieregularnych ząbkach

Gdy walec się obraca, natenczas dłutko zbiera z masy woskowej wióra grubości $\frac{1}{30}$ — $\frac{1}{40}$ mm., a tem samem wygładza powierzchnię walca jak najdokładniej, bez najmniejszych zagłębień lub wypukłości.

Dłutko to służy zarazem do usunięcia pisma z walca, które powstaje z zagłębień mniejszych niż $\frac{1}{10}$ milimetra.

Ponieważ grubość ścian walca wynosi 5 mm., przeto można go zapomocą tego dłutka 200 razy obtoczyć. Przyjąwszy, że tylko 150 razy można zapisać ten sam walec, a za każdą razą pomieścić na nim 1500 słów, to jest prawie tyle, co na jednym arkuszu pisma; wypadnie, że na jednym walcu da się tyle słów utrwalić, ile na 150 arkuszach napisać.

Edison zamierza użycie nowego fonografu jak najbardziej rozpowszechnić, i uczynić je jak najprzystępniejszym, z tego powodu walce z masy woskowej będą sprzedawane stosunkowo bardzo tanio, bo po 40—50 feników za sztukę, co w porównaniu z ceną 150 arkuszy papieru bardzo korzystnie się przedstawia. Do utrwalenia i przechowania mowy lub śpiewu na dłuższe czasy, sporządza Edison walce asfaltowe o cienkiej powłoce masy woskowej, sztuka po 5 feników.

Pismo na masie woskowej jest tak trwałe, że można go 25.000 razy odsłuchać, nim wyrazistość jego ulegnie zmianie.

Odsłuchiwanie odbywa się albo zapomocą rur kauczukowych, które do ucha się przykładają, albo też zapomocą tuby głosowej, osadzonej na odtwarzaczu: w tym wypadku bywa głos nawet z pewnej odległości słyszany. Nietylko pojedyncze głosy, ale także muzykę całej orkiestry odtwarza fonograf wiernie.

O stopniu wyrazistości głosów tym przyrządem odtworzonych, można wnosić z tego, że udało się Edisonowi głos z fonografu pochodzący przesłać telefonem z Nowego-Yorku do Filadelfii (140 km.), gdzie zapomocą motografu (przyrządu wzmacniającego), przez wielu obecnych był słyszany.

Jak rozliczne będzie praktyczne zastosowanie nowego fonografu Edisona, okaże niedaleka przyszłość.

A. M. Kawecki.

Waryant „Odyssei z r. 1889“.

W niektórych starych rękopismach tego utworu po ostatnich słowach § 1. (zesz. stycz. *Przegl. powsz.* r. b.): „Zanim książdz A..... przejsię te wszystkie instancye“ — czytamy jeszcze ustęp taki:

„Tylko w Warszawie księżom tak prędko i łatwo (?) przychodzi wydobyć 29-dniowego paszportu. Na prowincyi, gdzie środki komunikacyjne pozostają w pierwotnym stanie, rzecz ta jest trudniejszą. Już nie dni, ale miesiące, albo nawet lat kilka upłynie, zanim księdza można pozdrowić z łaską paszportową¹.

„W Tynnie (powiat uszycki, gub. podolska), proboszcz ks. Lisiecki chciał jechać do Kamieńca Podolskiego, żeby sobie futro kupić na zimę. Prośbę do gubernatora² podał we wrześniu 1881 r. W marcu r. n., kiedy wiosna na piękne się ustaliła, raczył zapytać gubernator: poco książdz chce jechać do Kamieńca? Proboszcz odpowiada, że chciał kupić futro. Gubernator obraził się mocno za te drwiny

¹ Wyrazy rozstrzelone są rusycyzmem często, a od r. 1889 stale używanem z polecenia cenzury warszawskiej. Po polsku należało powiedzieć: „powinszować łaski paszportowej“, albo „łaski otrzymania paszportu“.

² W gub. podolskiej gubernatorowie posiadają atrybucye naczelników powiatowych odnośnie do księży.

i — ma się rozumieć — paszportu nie dał. Bo któż futro kupuje na wiosnę?... Wikaryusz tego samego proboszcza w Tynnie, ks. Pałuski, starzec blisko 80 letni, około r. 1880 zachorowawszy na oczy, chciał jechać do instytutu oftalmicznego w Warszawie na kurację, i również do gubernatora podał prośbę o paszport. Czekał tylko dwa lata na rezolucję p. gubernatora, że może jechać. Teraz ks. Pałuski obraził się na gubernatora i z jego miłości (łaski) postanowił nie korzystać, bo też w ciągu tych dwóch lat prawie zupełnie stracił wzrok i zapewniono go stanowczo, że ratunek spóźniony.

„W r. 1872 mieszkał w Żytomierzu, jako profesor seminaryum duchownego, ks. Żmigrodzki i podał do generał-gubernatora prośbę o paszport do Ziemi Świętej. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi ani w tymże roku, ani w następnym, stracił wszelką nadzieję i przygotowany na drogę fundusz roztrwonił. Jemu chciało się zaraz jechać, a p. generał-gubernator kijowski był zdania, że ksiądz może poczekać, bo w dyecezyi brak księży. Po dwóch jednakże latach pobożnemu życzeniu księdza Ż. stało się zadość. P. generał-gubernator paszport nadesłał; prosił tylko, aby ksiądz nie marudził, a pielgrzymkę czemprędzej odbył, bez straty czasu. W tym celu przysłał nawet żandarma, który miał księdzu dopomóc, aby w ciągu 24 godzin wyjechał. Musiał ksiądz na poczekaniu pożyczyć pieniędzy i upakować się. Żandarm z honorem odprowadził go na kolej.

„Po powrocie zastał ksiądz Ż. znaczne zmiany. Jego przyjaciel, ks. Kruszyński, był administratorem dyecezyi. *Promoveatur, ut amoveatur* — mówi przysłowie; — ksiądz Kruszyński został administratorem, aby być wywiezionym. Że zaś ks. Żmigrodzki był przyjacielem księdza Kr., więc musiał, chociaż w pewnej części, podzielić los jego. Pojechał tedy najprzód — zawsze w towarzystwie żandarma — do Niżnego Nowgorodu, ztamtąd do Niemirowa, potem do klasztoru Kapucynów w Chodorkowie, nareszcie do Winnicy, także do Kapucynów. W ciągu całej tej podróży, nawet gdy u Kapucynów mieszkał, Mszy św. nie odprawiał. W r. 1885 czy 1886 przyjął posadę wikaryusza na parafii wiejskiej, w rok później raczył objąć obowiązki profesora seminaryum“.

Taki fragment znalazłem w rękopismie, który przypadkowo wpadł mi w rękę. Dlaczego on się nie znajdował w tekście, z którego redakcyja *Przeglądu Powsz.* „*Odysę*“ drukowała, objaśnić nie umiem. Przypuszczam, że rękopism mój jest kopią, sporządzoną w jednej z południowo-zachodnich gubernij cesarstwa rosyjskiego, i kopista chciał go uzupełnić wiadomościami, które ściśle miejscowy mają interes. Rusycyżmy, jakieżmy widzieli, za tem przemawiają. Czy moje przypuszcze-

nie jest słusznem, niechaj krytyka osądzi. W interesie nauki, co znalazłem, podaję.

Z powodu śmierci Doellingera.

Bolesny to widok, gdy człowiek, który dla dobrej sprawy położył pewne zasługi, zdradza ją w ostatnich latach życia, przeciw niej walczy, i uwiedziony przez kilku niecných pochlebców, oszołomiony, a żądny obłudnych oklasków, życiu całemu i bronionej przez długie lata prawdzie, kłam zadaje, i wbrew wewnętrznemu przekonaniu do końca pozostaje przy świadomym fałszu. Taki widok dał zmarły 10 stycznia b. r., drugi Tertulian — jak go w Niemczech katolicy ze smutkiem nazywali — głośny twórca rozsypującej się dzisiaj w proch, tonącej w protestantyzmie starokatolickiej sekty, *Dr. Doellinger*. Dziewięćdziesięcioletni ten starzec (ur. 28 lutego 1799), strawił większe pół życia na energicznej obronie prawd wiary i praw Kościoła. Otrzymałszy w r. 1822 święcenia kapłańskie, objął w cztery lata później katedrę historii kościelnej na uniwersytecie monachijskim i zasłynął niebawem, zwłaszcza przez dzieła swe: „O reformacyi“, „O chrześcijaństwie i żydostwie“, jako potężny „młot na heretyki“. Żydowska, liberalna prasa nie miała wtedy dla niego dość obelg; to udawała, że go lekceważy, to powtarzała na wszystkie tony z urzędowym swym poetą, *Henrykiem Heine*:

*A propos, der erzinfame
Pfaffe Doellingerius!*

Dopiero od r. 1861 obelgi te zaczęły cichnąć, bo w tym roku *Doellinger* wstąpił na śliską ścieżkę, którą potoczył się aż do formalnego odszczepieństwa: w dwóch publicznych odczytach wystąpił przeciw świeckiej władzy Papieża, a następnie wydrukował w tymże samym kierunku dwie broszury: „Kościół i Kościoły“, „Papiestwo i państwo kościelne“. Wygłoszona w dwa lata później mowa na monachijskim kongresie katolickich uczonych: „O dawnej i współczesnej teologii katolickiej“, niemniej jak ważna złądną rozprawa „Bajki o Papieżach średniowiecznych“, zawierały obok istotnie głębokich i prawdziwych poglądów, pewną liczbę zdań co najmniej za śmiałych, na niczem nie ugruntowanych, i jeśli nie wprost heretyckich, to silnie herezyą trącających. Nic też dziwnego, że nie powołano *Doellingera* do wzięcia udziału w pracach przygotowawczych do soboru watykańskiego; nie

dziwnego, ale pominięcie to obraziło śmiertelnie monachijskiego profesora; zadraśnięta pycha stała się nasieniem, z której wzrosło drzewo starokatolicyzmu. Skoro tylko rozeszła się ugruntowana wieść, że przyszły sobór orzec ma dogmat nieomyślności papieskiej, *Doellinger* wystąpił w szranki już nie tylko przeciw ogłoszeniu, ale i przeciw samemu dogmatowi w książce *Janus*, w szeregu „Soborowych listów rzymskich“ drukowanych w *Allgemeine Zeitung*, i w rozdanej członkom soboru w tym samym duchu skreślonej broszurze. Po ogłoszeniu dogmatu wypowiedział *Doellinger* posłuszeństwo Kościołowi, ponieważ tenże nie zastosował się do jego wskazówek, a słuchając podszeptów pychy i paru rządów niemieckich, które zamyślały o stworzeniu „narodowego niemieckiego kościoła“, zaczął koło siebie gromadzić stronników, formować „starokatolickie“ parafie. Z początku obawiać się było można, że wielu uczonych niemieckich do tego ruchu się przyłączy; lecz niebawem najznakomitsi, jak *Häfele* i *Hanneberg* uznali swój błąd, a sam *Doellinger* zrozumiał, że starokatolicyzm nie ma przed sobą przyszłości, a jego twórcy śmiesznością się okrywają, cofnął się niebawem od czynnej agitacji, ale Kościołowi się nie poddał.

Dlaczego się nie poddał? Gdy przed czterema laty jeden z katolickich jego przyjaciół, zachęcał go do tego kroku, mówiąc, że z nadto przecież jest mądry, za dobrze zna historią, by nie wiedzieć, czym są sekty od katolickiego Kościoła się odłączające, i jaki los prędzej czy później je czeka, — natenczas 87-letni starzec dał następną, charakterystyczną odpowiedź:

— Zapewne, zapewne, ale coby też na to powiedziały dzienniki?

Kilka lat przedtem, gdy monachijski wydział teologiczny zastanawiał się nad kwestyą wzięcia udziału w uroczystościach na cześć bł. Piotra Kanizjusza, *Doellinger* postawił pytanie:

— Czy pomyśleliście, jakby na to dwór się zapatrywał?

— A jakąż — odpowiedziano mu słusznie — powziąłby o nas opinię cały świat katolicki, gdybyśmy się usunęli od tych uroczystości?

Parę tych wyrażeń okazuje chyba dostatecznie, co sądzić o „nieugiętości charakteru“, o „sile przekonań“, wreszcie o „męczeństwie“, które *Doellinger*, — jak rozgłaszała i rozgłasza wroga Kościołowi prasa — miał „za przekonania swe ponosić“. Głębokim teologiem *Doellinger* nigdy nie był; historykiem był rzeczywiście znakomitym, ale od chwili odstępstwa swego od Kościoła nie wystąpił z żadną poważniejszą pracą. Od czasu do czasu tylko wygłaszał na posiedzeniach bawarskiej Akademii Umiejętności, której był prezesem, oryginalne

mowy, wymierzone przeciw Habsburgom i Jezuitom, chwalcące natomiast wszelkiego rodzaju niedowiarków, liberalów, i z szczególnym przyćmieniem żydów. Liberalna i żydowska prasa nie szczędziła mu również — wywdzięczając się — i za życia i po śmierci kadzidla; dawny „arcy-infamis“ zmienił się w bohatera, w duchownego i dziejowego geniusza, nieomal, że nie w obiecanego mesyasa. Dziwić się temu nie można; berlińskie, monachijskie, wiedeńskie *Pressy* i *Tagblatty* wiedzą od dawien dawna, że każdy odstępcą od Kościoła katolickiego staje się z natury rzeczy ich sprzymierzeńcem, i dlatego każdego takiego odstępcę starają się wedle możliwości pasować na olbrzyma, na bohatera. Do tego chóru dołączyła się lwowska *Ojczyzna*, krakowska *Nowa Reforma*, co prawda, na odrębną nieco nutę. Co do pierwszej, jako jawnego organu żydowskiego stowarzyszenia, nie mamy żadnej pretensyi. Natomiast warto wypisać tu parę zdań z artykułiku pt. *I. I. Doellinger*, umieszczonego w *Nowej Reformie* w Nr. z 14 stycznia b. r., aby się przekonać, jakie właściwe stanowisko gazeta ta względem katolickiej religii zajmuje:

„W tych dniach stracili Niemcy Nestora swoich uczonych, wytrwałego i groźnego przeciwnika przeciw nieomyślności papieskiej, księdza *I. I. Doellingera*... Wyklęty z Kościoła katolickiego utworzył osobną gminę wyznaniową „starokatolicą“. Usiłowania jego i zwolenników, skierowane do zreformowania (sic!) Kościoła katolickiego na innych podstawach, niż uchwalone na soborze watykańskim, nie odniosły żadnego skutku. Świat przestał się interesować reformatorami religijnymi: z jednej strony przyjął obojętnie uchwały soboru watykańskiego, z drugiej równie obojętnie patrzył na chęć utworzenia Kościoła starokatolickiego“.

Wszak to dość chyba jasne. Starokatolicka sekta i katolicki Kościół w obec trybunału *N. Reformy* na jednej stoją linii. Ale niechże wtedy *N. Reforma* będzie logiczna! Niech się nie gniewa, na „reformy religijne“, przeprowadzane przez prawosławie na Podlasiu; niech się obłudnie nie zżyma, że Papież nie dość broni interesów Kościoła katolickiego w Polsce; niech nie udaje, że interesy te bardziej jej, niż Papieżowi leżą na sercu!

WŁODZIMIERZ SOŁOWIEW.

„Przyszły nasz profesor był człowiekiem młodym, dwu-
„dziestokilkuletnim zaledwie, pomimo to jednak poprzedzała
„go znaczna już sława. Sława ta była wielce oryginalną, bo
„kiedy jedni uważali go wprost za geniusza i wielkie w nim
„pokładali nadzieje, podnosząc wysoko dzieła przezeń wydane,
„drudzy na podstawie dzieł tychże uważali go prawie — a na-
„wet zupełnie za waryata, przynajmniej za człowieka niepotrze-
„bnie z martwych poruszającego pokonaną doszczętnie metafizykę,
„a ośmielającego się walczyć z pozytywizmem z mistycznym
„orężem w ręku. Sama zajadłość polemiki dowodziła wyraźnie,
„iż młody filozof, zajmujący dziś tak wybitne i oryginalne
„stanowisko w piśmiennictwie, był rzeczywiście siłą nie-
„zwyczajną, chociaż nie wyrobioną jeszcze i rozwijającą się
„nieustannie. A przytem opowiadania o niezwykłym jego cha-
„rakterze, odwadze przekonań i sposobie życia, a nawet o jego
„nadzwyczajnej, przez dzienniki sławionej piękności typu Chry-
„stusowego, wyróżniały go stanowczo z grona innych młodych
„uczonych. Z nadzwyczajnem przeto zaciekawieniem oczekiwa-
„liśmy na rozpoczęcie wykładów i w niezwykłym też nastroju
„zajmowaliśmy dnia tego miejsca w największej i najpiękniej-
„szej z sal naszych. Pomimo wszakże znacznych jej rozmiarów,
„ilość życzących być na prelekcyi była tak wielką, że się
„przecisnąć było trudno, bez względu, że nawet okna wszy-
„stkie odegrać miały dnia tego rolę ławek, przed katedrą zaś

„zaledwie się znalazło trochę miejsca na ustawienie krzeseł dla „prof. Bestużewa-Riumina, Tagancewa, zoologa Wagnera i kilku „innych.

„Na stopnie katedry wstępuje postać szczupłą, z głową „nieco pochyloną ku ziemi, o twarzy bladej, obramowanej ciemnymi i kręcącemi się włosami. Raz jeden podnosi oczy na „swoje ogromne audytoryum, i znowu wnet je przykrywa powiekami. Pomimo arcysolemnego nastroju zdążam zauważyć, „że oczy te są bardzo piękne, szafrowe, wielkie i głębokie, „całkiem jednak prawie pozbawione blasku; powieki wyraźnie „in ciążą. Cisza uroczysta, jakby kościelna, zalega salę, chociaż „kilkaset istot ludzkich jest tu razem zebranych.

„Daje się słyszeć głos dźwięczny i miłego brzmienia, całkiem odpowiedni do „języka bogów“, to jest do języka filozoficznego, według definicyi Hegla. Bez odwoływania się do „szczególnych terminów, profesor mówi nam o celach filozofii, „o nieustannem dążeniu rozumu ludzkiego poza granice rzeczywistości faktycznej, o wiecznej jego żądzy zdobycia prawdy bezwzględnej, o uwzajemnionym stosunku pierwiastków „psychicznego i materyalnego w całości wszechświata. Z powieścią zauważam, że wykład będzie dla mnie dostępny; i nie „spostrzegam prawie, kiedy godzina się kończy, a ruch i rumor powszechny podnoszą się w sali. Teraz dopiero następuje spowiedź ogólna z wrażeń przed chwilą doznanych, omawianie rzeczy tylko co słyszanych i wyprowadzanie dalszych „wniosków co do stanowiska naukowego i przekonań p. Sołowiewa“¹.

Ten piękny szkic pani Baudoin de Courtenay, przypomina nam wrażenia, jakicheśmy doznali w ciągu przeszłej zimy, kiedy p. Sołowiew w salonach krakowskich, wśród kwiatu naszego towarzystwa, rzucał swe śmiałe, a głębokie myśli, i na grad pytań z niewyczerpaną uprzejmością odpowiadał.

Ale to tylko strona zewnętrzna. Co nas najwięcej obchodzi, to myśl, tlejąca pod tą powłoką — myśl, która się już wyłoniła w długim szeregu prac, i dotąd jeszcze nie przestała

¹ Przegląd literacki *Kraju*. 1886.

się rozwijać, wciąż nowe znajdującą formy, a zawsze w sobie jednolita. Powłoka jednostki prędko znika z widowni, ale myśl jej dalej żyć może, i przy odpowiednich warunkach głębokie i trwałe prądy w ludzkości wywołać. Wychowani pod wpływem idei Buckla, zwykliśmy lekceważyć rolę jednostki w świecie, a jednak historia naszego wieku przedstawia nam, dobitniej jeszcze niż stare dzieje, jak to idee jednostek przeobrażają się w rzeczywistości dziejowe, jak myśl rodzi się w jednej głowie filozoficznej, ztąd zapomocą katedr i pism udziela się szerszym kołom myślącym. potem staje się doktryną utartą, nawyknieniem i formułką myślenia, spływa aż do najniższych warstw społecznych w kształcie brzęczących haseł — a wtedy najmniejsze wstrząśnienie wystarcza, aby ją w czyn wprowadzić; czy wybuch ludowy, czy ramię potężnego władcy, wciela tę myśl i całą zawartą w niej logikę w ogromną rzeczywistość. A choćby taka idea nie wywołała odmian politycznych, to już sam wpływ jej na umysły szerokich warstw może być wielką odmianą społeczną, na lepsze lub na gorsze. Powinniśmy więc bacznie zwracać oko na jednostki wybitne, które brzemienne myśli piastują.

Taką jednostką jest niezaprzeczenie Włodzimierz Sołowiew. Nie stoi on zupełnie odosobniony; jest on poniekąd ciągiem dalszym Chomiakowa, Aksakowa i innych patryotów-mistyków rosyjskich, a nawet — jak słusznie powiedział p. Tarnowski — Mickiewicza, Krasińskiego, Cieszkowskiego... Oni wszyscy wzywali przed nim Królestwa Bożego na ziemi, czuli, jak on, że źle światu, odgadywali przyczynę złego w tem, że chrystyanizm nie wcielił się należycie w porządek społeczny, i w tem urzeczywistnieniu społecznego chrystyanizmu lekarstwo wskazywali. Sołowiew jednak, mojem przekonaniem, wyróżnia się bardzo od tamtych: najprzód jasnem i głębokiem rozumieniem chrystyanizmu, o którym tamci tylko mgliste objawiają pojęcia; dalej tą szczególną a szczęśliwą okolicznością, że kiedy tamci postrzegali tylko chrystyanizm pod kątem widzenia Wschodu, albo tylko pod kątem widzenia Zachodu, on do pewnego stopnia widzi obie strony.

Sołowiew jest mistyk jak oni, do pewnego stopnia mistyk-marzyciel; — nie ubliżam mu, to mówiąc, bo podobno ten zakrój ludzi nie może się bez tej przymieszki obejść; — ale pod mistykizmem jest w nim gruntowny chrześcijański myśliciel. U nich wymarzony system filozoficzny, czy teozoficzny jest podstawą, na której wszystko budują, i dlatego nawet dodatnia część ich konkluzji niema gruntu, ani siły przekonywującej. U niego podstawą jest gruntowne i naukowe badanie teologii i historii; z tych principiów płyną w wspaniałym, filozoficznym ustroju jego wnioski praktyczne; a ponad tem wszystkim dopiero wznosi się mglisty szczyt jego filozofumenów o dogmatach i przewidzeń o przyszłym urządzeniu ludzkości. Oczywiście w oczach samego architekty ten szczyt jest i musi być najpiękniejszą i niezbędną koroną całości; ale właściwie można zdjąć ten szczyt, bez żadnego naruszenia mocy całej konstrukcyi i prawdy w niej zawartej. Ztąd u Sołowiewa wyjątkowo daje się odróżnić myśliciel chrześcijański, przed którym czoła uchylić musimy, od mistyka-marzyciela, którego pominąć możemy — a w niektórych punktach stanowczo musimy odeprzeć.

To odróżnienie samo się uwydatni w niniejszem studium, w którem chcielibyśmy zeszkiecować całość duchowego dzieła Sołowiewa. *Przegląd* nasz pierwszy, o ile wiemy, bo już w r. 1884 zwrócił uwagę publiczności polskiej na tę wybitną postać. I dawno już czytelnikom *Przeglądu* należało się to sprawozdanie, ale czekaliśmy na wyjście zapowiedzianego dzieła: „Rosya i Kościół powszechny“, które dopiero przed kilkoma miesiącami opuściło prasę ¹.

¹ Mamy pod ręką następujące pisma Sołowiewa — a to jeszcze nie kompletny ich zbiór:

Trzy mowy na cześć Dostojewskiego (o sztuce) 1882. — Wielki spór i polityka chrześcijańska, w *Rusi* Aksakowa 1883 (prawie przez cały rok z wypuszczeniami). — Replika Protojerejowi Iwancowowi-Platonowi i 9 Pytań o Cerkwi, w *Rusi* Nr. 19 1883 (*Przegl. Powsz.* VI. 126). — O narodowości i narodowych interesach w Rosyi. *Słowiańsk. Izwestia*, Luty 1884 (*Przegl. Powsz.* II. 290). — Miłość dla narodu i narodowy ideał (polemika z Aksakowem). *Prawosł. Obozrenije*, kwiecień 1884 (*Przegl. Powsz.* IV. 311). —

Włodzimierz Sołowiew, syn sławnego historyka Rosyi i nauczyciela cara Aleksandra III, Sergiusza Sołowiewa, był w 17 roku życia, jak każdy młody Rosyanin, który myśleć zaczyna, zupełnie „bez dogmatu“. Cóż go do religii naprowadziło? Nie uwierzyłbym temu, gdybym tego nie był z własnych jego ust słyszał. Otóż pomostem do wiary była mu filozofia szkoły kantowskiej! Czując uzdolnienie do głębszych zagadnień, i mając widoki na katedrę filozofii w wszechnicy moskiewskiej, gdzie jego ojciec wysokie posiadał stanowisko, młodzieniec wziął się do studyowania filozofii, zasmakował w myślicielach niemieckich, szczególnie w Schopenhauerze, i w nich — jakto łaska Boża wszyskiem posługiwać się umie — zamiast dać się porwać ich utopiom, uwikłać ich dyalektyce, odkrył i uczuł potrzebę tego Absolutu, o którym wprzód, obracając się w wierze pozytywizmu, żadnego nie miał pojęcia. Wkrótce jednak uczynił dalszy krok. Zrozumiał, że ta filozofia nie czyni zadość zagadkom rozumu i serca, że nie doprowadza istotnie do tego Absolutu, o którym prawi, i postanowił szukać go wyżej — w religii.

Kiedy w religii, to oczywiście w prawosławiu. Inna myśl

Kwestya słowiańska, w *Izwestiach Słowiańskiego Towarzystwa Dobroczynności* 1885 (*Przegl. Powsz.* VI. 115). — Żydzi i kwestya chrześcijańska (broшуra), w Moskwie 1885. — Kwestya rosyjska, 1885. Książka zawierająca kilka artykułów poprzednio wydanych: Wstęp nowy; potem: Moralność i polityka (wstęp z Wielkiego sporu) i trzy następne, wyżej wymienione artykuły. (*Przegl. Powsz.* VI. 115). — Religijne osnovy życia, z dodatkiem o Starowiercach. 1885. — Królestwo Boże i Kościół w Nowym Zakonie. *Prawosł. Obozrenije*, wrzesień 1885. — Rozwój dogmatyczny Kościoła, odnośnie do kwestyi zjednoczenia Kościołów. 1886. (Najprzód w *Prawosł. Obozreniju*, potem w broszurze. — Wstęp do *Δογματικὴ τῶν ὁρίων ἀποστολῶν* w *Prawosł. Obozrj.*, lipiec 1886. (Po polsku w *Bonus Pastor*. 1888. Nr. 10, 11. 17, 18). — Historia i przyszłość teokracji. Część I. Zagrzeb 1887. — Rosya i Europa, w *Wiestniku Jewropy* 1888 Polemika z Danilewskim. (Po polsku w przekładzie Benoniego. *Przegl. Powsz.* XIX. 250). — *L'idée Russe*. Paryż 1888. — *Saint Vladimir et l'état Chrétien*. Trzy artykuły w *Unicers* z 4, 11 i 19 sierpnia 1888. (Po polsku w *Wiadom. Katol.* 1889. Nr. 21—23). — O grzechach i chorobach, w *Wiest. Jewr.* styczeń 1889. (Polemika ze Strakowem w obronie: Rosyi i Europy). — *La Russie et l'Eglise universelle*. Paris 1889. — Szkice z rosyjskich narodowych przekonań. *Wiestn. Jewr.* 1889.

nie mogła w głowie młodzieńca powstać, wśród jego środowiska. I za tą myślą poszedł z właściwą sobie stanowczością. Porzucił Moskwę i zamknął się w oddalonym Monasterze, gdzie znalazł uczelnię teologii prawosławnej, aby się wyłącznie i gruntownie studiom teologicznym poświęcić. I tam poszedł do gruntu rzeczy; nie poprzestając na wykładach i książkach nowożytnych, rozczytał się z zapalem w dawnych Ojcach greckich — o czem późniejsze jego dzieła chlubne dają świadectwo — i w krótkim czasie zaczął postrzegać, że jeszcze nie jest u mety, że jak filozofia niemiecka nie daje rzeczywistego Absolutu, tak cerkiew rosyjska nie daje prawdziwego chrystyanizmu. Mianowicie zdał sobie z tego sprawę, że prawosławie, czy rosyjskie, czy greckie, jest bądź co bądź religią narodową, a chrystyanizm nie może być czem innym, jak tylko religią powszechną.

Uderzony tem głębokiem spostrzeżeniem, młody myśliciel nie zwątpił odrazu o chrystyanizmie, jak tylu innych, nie powiedział też sobie, jak Tolstoj, który się również zderzył z niedostatkami cerkwi: Więc przeróbmy chrystyanizm podług własnej głowy, bierzmy, co uznamy za godne Chrystusa, a odrzućmy, co nam się wyda naleciałością ludzką; ale szukał on jeszcze dalej i wyżej. Wznosząc się ponad uprzedzenia wschodnie, w jakich wychowany być musiał, począł studyować katolicyzm i Kościół rzymski, zapoznał się gruntownie z wielkimi teologami Zachodu, nie pominął i nowszych; szczególnie upodobał sobie Möhlera, znakomitego autora Symboliki; wreszcie z osobliwą pilnością badał historię pierwszych wieków Kościoła w samych jej źródłach.

Te studia, przy bystrości jego umysłu, przy rzadkiej szczerości duszy i tej czystej miłości prawdy, która w szukaniu prawdy na nic w świecie się nie ogląda — nadewszystko przy łasce Bożej — otworzyły mu oczy na prawdę katolicką; uprzedzenia, jakie był zaczerpnął z wychowania i od prawosławnych teologów, upadały jedno po drugim; trudności, jakie tkwiły w jego umyśle z filozoficznych studyów, rozwiewały się jak dym. Wykształcił się sam gruntownie, nie tylko w wierze, ale w teologii, i przyszedł

do zupełnego przekonania, że prawda i zbawienie jest w katolicyzmie.

Więc cóż ztąd za wniosek wyciągnął? — przejść na katolicyzm i porzucić Rosyę? Wielu przychodzi do tegoż przekonania o prawdziwości katolicyzmu, a żadnego ztąd wniosku praktycznego nie wyprowadzają — bo nie są jednolici, nie troszczą się wcale o pogodzenie praktyki z teorią, inni może, bo są nieszczerzy względem siebie samych, inni, bo się boją tej karności moralnej, jakiej wymaga katolicyzm. U Włodzimierza Sołowiewa nic podobnego niema. Szczerszego nadeń człowieka nie znam; między przekonaniem a czynem niema u niego najmniejszej szczeliny; życie ascety prowadzi. Jakiż więc wniosek wyciągnął Sołowiew? Kiedy prawda jest w katolicyzmie — powiedział sobie — więc trzeba Rosyę z Kościołem katolickim zjednoczyć — i tej idei życie poświęcił. Jak Sołowiew godzi ze swemi przekonaniami katolickimi osobiste pozostawanie w cerkwi prawosławnej, o tem jeszcze powiem; teraz zwracam tylko na to uwagę, że ta myśl zjednoczenia Rosyi z Kościołem rzymskim opanowała cały jego umysł, stała się ideą jego życia, kwestya zaś osobista zeszła mu poniekąd na drugi plan. Sołowiew chce przejść na łono Kościoła rzymskiego, ale z całą cerkwią, i spodziewa się tego w krótkim czasie.

Niektórzy, przeczytawszy kilka oderwanych jego artykułów i broszurę *l'Idée Russe*, sądzą, że jego myślą przewodnią jest jakieś wyjątkowe posłannictwo Rosyi, jakaś powszechna teokracja pod hegemonią Rosyi. Ale w obec całości prac i życia Sołowiewa. widocznem jest, że wszystkie inne myśli, jakie on porusza, są tylko pomocniczymi środkami do tej jednej: nawrócenia Rosyi. Gra w nim rolę patryotyzm, gra filozofia, gra mistycyzm, ale wszystko jest podporządkowane jasnemu i głębokiemu przekonaniu religijnemu: do tego celu we wszystkich swoich pismach zmierza, i wszelkiego rodzaju dowodami to stwierdza: dogmatycznymi, historycznymi, psychologicznymi.

A któż tak umie dowodzić i polemizować w tej materii, jak on? Zasobów teologicznych i historycznych możemy niemniej posiadać jak on, ale on jeden zna nawskróś ruskim, on wie,

jak do ich sposobu myślenia trafić, umie wyzyskać wypadki, na pozór mało znaczące, rosyjskiej historii, umie podchwycić ich narodowe, wschodnie uczucia, i obrócić je na korzyść prawdy¹.

Wymieniłem trzy kategorie wywodów naszego autora; o każdej z nich spróbuję dać pojęcie; nie lepiej Sołowiewa scharakteryzować nie może.

Dogmatycznie dowodzi on prawdziwości nauki katolickiej w punktach spornych między Wschodem a Zachodem. O pochodzeniu Ducha św. rozprawia on z taką znajomością Pisma i Ojców, tak poprawnie i dosadnie wszystkie subtelności teologiczne tej kwestyi w języku rosyjskim wyraża, że każdy teolog czytać go może z przyjemnością i z pożytkiem. Prymatu Stolicy Piotrowej dowodzi on na wielu miejscach świetnie i głęboko. Jako próbkę pozwolę sobie przytoczyć obszerniejszy ustęp z najnowszej jego książki: *La Russie et l'Eglise universelle*, gdzie autor rozbiera tekst ewangeliczny o ustanowieniu Piotra opoką Kościoła.

„Długoby trzeba wyliczać — mówi on — rozmaite doktryny i teorye o konstytucyi Kościoła. Ktokolwiek jednak chce wiedzieć o tym zasadniczym punkcie religii pozytywnej prostą i szczerą prawdę, ten uderzonym być musi opatrnością łatwością, z jaką tę prawdę poznać można. Skoro wszyscy chrześcijanie zgadzają się w tem, że Chrystus ustanowił Kościół, trzeba tylko wiedzieć, jakimi słowy to uczynił. Otóż jeden jest tylko tekst ewangeliczny, mówiący wprost, wyraźnie i formalnie o ustanowieniu Kościoła. Ten tekst konstytucyjny, zawierający konstytucyę, staje się coraz jaśniejszym, w miarę jak sam Kościół wzrastając, rozwija określone

¹ Dodać trzeba, że Sołowiew posiada niezaprzeczony talent literacki w grupowaniu i dobitnem wypowiedzaniu swych myśli. Aby się o tem przekonać, dosyć przeczytać, po Sołowiewie, kilka kartek z wydanej przed rokiem książki o Cerkwi (*О Церкви Иерусалимской*. Berlin 1888. B. Behr's Verlag). Jestto rzecz dobrze napisana, traktująca te same kwestye i w tym samym duchu, co nasz autor: ale czytana po Sołowiewie, jakże wygląda blade!

formy swej organizacyi. I dziś nieprzyjaciele prawdy nie znajdują innego wyjścia, jak obcinać twórcze słowo Chrystusa, żeby je do swoich dopasować wierzeń¹.

„Chrystus, przyszedłszy w strony Cezarei Filipowej, pyta swych uczniów: „Kim mienią być ludzie Syna człowieczego? „A oni rzekli: jedni Janem Chrzcicielem, drudzy Eliaszem, „inni Jeremiaszem, albo jednym z proroków. Rzekł im Jezus: „A wy kim mię być powiadacie? Odpowiadając Szymon Piotr „rzekł: Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego. A odpowiadając „Jezus, rzekł mu: Błogosławionyś jest Szymonie Barjona, bo „ciało i krew nie objawiła tobie, ale Ojciec mój, który jest „w Niebiesiech. A ja tobie powiadam, iżes ty jest opoka, a na „tej opoce zbuduję Kościół mój; a bramy piekielne nie prze- „mogą go. I tobie dam klucze Królestwa Niebieskiego. I co- „kolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w Niebiesiech, „a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w Nie- „biesiech“².

„Zjednoczenie Bóstwa z człowieczeństwem, które jest celem stworzenia, spełniło się indywidualnie w jednej osobie Chrystusowej, „prawym Bogu i prawym człowieku, łączącym „doskonale w sobie dwie natury, bez zmieszania i bez roz- „działu“³. Od tej chwili dzieło Boga historyczne w nową przechodzi fazę: już nie idzie o jedność fizyczną i indywidualną, lecz o zjednoczenie moralne i społeczne. Bóg-człowiek chce teraz zjednoczyć ze sobą w doskonały sposób cały rodzaj ludzki, w grzechu i błędzie pogrążony. Jakżeż tedy sobie pocznie? Czy odezwie się do każdej duszy z osobna? Czy poprzestanie na związku czysto wewnętrznym i subiektywnym? — Nie — odpowiada On: — *οικοδομήσω τὴν ἐκκλησίαν μου* — zbuduję Kościół mój. Dzieło realne, przedmiotowe zapowiada. Ale czy podda On to dzieło wszelkim naturalnym podziałom rodu

¹ Tak znajduje się ten tekst obcięty nawet w „Katechizmie prawosławnym“ Filareta Archiereja Moskwy. (Przyp. autora).

² Mat. XVI.

³ Formuła Soboru Chalcedońskiego.

ludzkiego? Czy się zjednoczy z poszczególnymi narodami jako takimi, dając im odrębne, narodowe kościoły. Wcale nie, albowiem nie mówi: zbuduję moje kościoły, ale: mój Kościół, τὴν ἐκκλησίαν μου. Ludzkość zjednoczona z Bogiem ma tworzyć jedną budowlę społeczną, i o to teraz idzie, żeby dla tej jedności mocną znaleźć podwalinę.

„Prawdziwe zjednoczenie zasadza się na wzajemnym czynieniu tych, co się jednoczą. Czynowi Prawdy bezwzględnej, objawiającej mu się w Bogu-człowieku (w człowieku doskonałym), musi odpowiedzieć ze strony ludzkości ułomnej czyn najzupełniejszej adhezji, łączący nas z pierwiastkiem Bożym. Bóg wcielony nie chce, żeby jego prawda przyjętą była biernie i służalczo; żąda w swej nowej ekonomii, żeby go ludzkość czynem wolnym uznała. Ale żąda zarazem, aby ten czyn wolny był bezwzględnie prawdziwy, nie omylny. Trzeba zatem osadzić w ludzkości upadłej jakiś punkt stały i niezachwiany, na którym czynność boskiego Budownika oprzećby się mogła bezpośrednio, punkt, w którym samodzielność ludzka zetknąćby się mogła z prawdą Bożą w czynie syntetycznym, czysto ludzkim co do formy, bosko nieomylnym co do treści...

„Pan Jezus swą wszechwiedzą nadprzyrodzoną już najprzód był wskazał tę opokę¹. Wszelako, by pokazać, że jego wybór nie jest dowolny i bez powodu, szuka najprzód gdzieindziej tego ludzkiego odezwu (*correlatif*) na prawdę objawioną; zwraca się z początku do głosowania powszechnego; próbuje, czy nie znajdzie uznania, przyjęcia i afirmacji w opinii tłumu ludzkiego, w głosie ludu: „Kim mienią być ludzie Syna człowieczego?“ Ale prawda jest jedna, opinie zaś ludzi są mnogie i sprzeczne; głos ludu, który zwykł uchodzić za głos Boży, odpowiedział na pytanie Boga-człowieka samymi błędami, dowolnymi i sprzecznymi. Nie masz możliwego zetknięcia między prawdą a błędami; ludzkość nie może wejść w stosunek z Bogiem zapomocą głosowania powszechnego;

¹ Kiedy po pierwszym wezwaniu Szymona, dał mu zaraz imię Piotra.

Kościół Chrystusów nie może być ugruntowany na demokracji.

„Skoro uznanie ludzkie prawdy Bożej nie znalazło się w głosowaniu powszechnem, Chrystus zwraca się do swych wybrańców, do kolegium Apostołów, tego pierwotnego soboru ekumenicznego: „Wy zaś kim mię być powiadacie?“ Lecz Apostołowie milczą. Gdy szło przed chwilą o przedstawienie opinij ludzkich, wszyscy dwunastu mówili razem: czemuż odstępują słowa jednemu, kiedy idzie o afirmację prawdy Bożej? Może nie są zupełnie zgodni między sobą; może Filip nie pojmuje należycie stosunku między Jezusem a Ojcem Niebieskim? ¹; może Tomasz ma jakieś wątpliwości o wszechmocy swego Mistrza? ². Z ostatniego rozdziału św. Mateusza dowiadujemy się, że nawet na górze Galilejskiej, naokoło Jezusa zmartwychwstałego, Apostołowie nie okazali się jeszcze jednomyślni i mocni we wierze: *quidam autem dubitaverunt* ³.

„Aby sobór świadczył jednomyślnie o szczerzej prawdzie, trzeba, żeby był jednomyślny (*que le concile soit concilié*). Czyn decydujący musi być koniecznie czynem jednego. Nie tłum wierzących, nie sobór Apostołów, ale Szymon Bar-Jona jeden odpowiada Chrystusowi. „Odpowiadając Szymon Piotr, rzekł: „Tyś jest Chrystus Syn Boga żywego“. Odpowiada za wszystkich Apostołów, ale odpowiada sam od siebie, nie radząc się ich, nie czekając na ich przyzwolenie. Gdy przedtem Apostołowie powtarzali opinie tłumów, które szły za Jezusem, powtarzali tylko błędy; gdyby Szymon chciał być wyrazić opinie samych Apostołów, możeby także zupełnej prawdy nie wypowiedział. Lecz on poszedł za własnym natchnieniem, za głosem własnego sumienia; a Chrystus, zatwierdzając uroczyście jego wyznanie, ogłosił, że ten popęd, jakkolwiek osobisty, pochodził jednak od Ojca Niebieskiego, tj., że był czynem ludzkim i boskim zarazem, prawdziwą jednią między Istotą absolutną, a względnym podmiotem.

„Znaleziony już jest punkt stały, opoka niezachwiana,

¹ Jan XIV. 8, 10.

² Jan XX. 24, 25.

³ Mat. XXVIII. 17.

na której ma się oprzeć bosko-ludzkie działanie. Jeden człowiek, który z asystencyą Bożą odpowiada za wszystkich, — oto podstawa konstytucyi Kościoła powszechnego. Nie zasadza się ona ani na niemożliwej jednomyślności wszystkich wiernych, ani na zgodzie zawsze wątpliwej soboru, ale na realnej i żywej jedności Księcia Apostołów. I w następstwie czasów, ilekroć zagadnienie o prawdę powstanie wśród chrześcijańskiej ludzkości, to nigdy głosowanie powszechne, ani sobór wybrańców ostatecznie jej nie rozstrzygnie; opinie ludzkie nie innego nie zrodzą, jak tylko herezye; hierarchia zdecentralizowana i od władzy świeckiej zawisła powstrzyma się od afirmacyi lub zaafirmuje się takimi soborami, jak Rozbój Efeski¹; jedynie w zjednoczeniu z opoką, na której został zbudowany, Kościół potrafi zgromadzać prawdziwe sobory, i zapomocą autentycznych symbolów wiarę określać. Nie jest to opinia żadna, ale fakt historyczny, tak uderzający, że w uroczystych chwilach zatwierdzony został nawet przez episkopat wschodni, zawsze tak zazdrosny względem następców Piotra. Nietylko wspaniały traktat dogmatyczny Papieża Leona W. uznany został za dzieło Piotra przez ojców greckich czwartego soboru, ale zarówno list Papieża Agatona, który nie miał wcale takiej osobistej powagi jak Leon, przypisany został Piotrowi przez szósty sobór. „Głowa i Książę Apostołów walczył razem „z nami... widzieliśmy atrament (listu), a Piotr przez Agatona „przemawiał“.

„Gdyby nie tak było, gdyby przy rozstrzyganiu prawdy Kościół powszechny mógł się obejść bez Piotra, niechże nam wytłómaczą to dziwne oniemienie episkopatu wschodniego (który jednak zachowuje następstwo apostolskie), od kiedy odłączył się od stolicy Piotrowej. Miałby to być czysty przypadek? — ale cóż to za przypadek, co trwa dziesięć wieków! Antykatolikom, którzy nie chcą widzieć, że ich partykularyzm od-

¹ Taką nazwę otrzymał w historii synod odbyty w Efezie r. 449, gdzie partya heretycka takich dopuściła się gwałtów, iż św. Flawian, patriarcha Kp., umarł nazajutrz z ran otrzymanych w kościele.

łącza ich od powszechnego życia Kościoła, pozwolę sobie zrobić taką propozycję: niechaj zbiorą bez udziału następcy św. Piotra taki sobór, któryby sami mogli uznać za ekumeniczny — a wtedy rozważymy, czy mają rację.

„Wszędzie i zawsze, gdy Piotr nie mówi, odzywają się tylko opinie ludzkie, a milczą apostołowie; lecz Chrystus nie zatwierdził ani niejasnych i niezgodnych zdań tłumu, ani milczenia swych wybrańców; zatwierdził jedynie słowo stanowcze, pewne siebie, absolutystyczne (*autoritaire*) Szymona Bar-Jony. Czy nie widoczna, że to słowo, które Pan pochwalił, nie potrzebowało żadnego zatwierdzenia od ludzi, że miało całą swoją moc *etiam sine consensu ecclesiae*¹. Przecież Piotr nie zapomocą zbiorowej narady, ale zapomocą asystencyi bezpośredniej Ojca Niebieskiego — jak to poświadczył Chrystus — sformułował zasadniczy dogmat religii naszej. Słowo jego określiło wiarę chrześcijan własną mocą, a nie mocą zezwolenia drugih: *ex sese, non autem ex consensu Ecclesiae*.

„Chwiejnościom opinii słowo Piotrowe przeciwstawia pewność i jedność prawdziwej wiary; ciasnocie uczuć narodowych względem Mesjasza, wyrażonych przez Apostołów, przeciwstawia to słowo ideę mesyańską w jej formie bezwzględnej i powszechnej. Idea Mesjasza, która wzrósłszy na gruncie nacyonalnej samowiedzy Izraela, okazuje już dążność do przekroczenia tych granic w widzeniach proroków późniejszych od niewoli babilońskiej; wszelako prawdziwe znaczenie tych tajemniczych i zagadkowych widzeń ledwo dla samych proroków zrozumiałem było; opinia powszechna żydów zostawała wyłącznie narodowościową, i nie mogła się czego innego dopatrzeć w Chrystusie, jak narodowego proroka, jak Eliasza, Jeremiasza, Jana Chrzciciela, albo co najwięcej, wszechpotężnego władcę i wybawiciela wybranego ludu, jak Mojżesza lub Dawida. Taki był szczyt opinii tych tłumów, które szły za Jezusem; a wiemy, że sami wybrańcy, aż do końca doczesnego

¹ Wyrażenie watykańskiego soboru w definicyi o nieomyślności papieskiej.

życia Chrystusa, dzielali tę opinię ludu ¹. Dopiero w wyznaniu Piotra idea mesyjańska wyluszcza się z wszelkich naleciałości narodowościowych i przybiera po raz pierwszy formę powszechną i ostateczną: Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego. Już niema mowy o proroku albo o królu narodowym, Mesjasz już nie jest drugim Mojżeszem ani drugim Dawidem — nazywa się odtąd nazwą Tego, który będąc Bogiem izraelskim, jest zarówno Bogiem wszystkich narodów.

„To wyznanie Piotrowe, wznosząc się ponad nacjonalizm żydowski, zainaugurowało Kościół powszechny nowego przymierza; jestto jeden powód więcej, żeby Piotr był fundamentem chrześcijaństwa, i żeby ta stolica hierarchiczna, która sama jedna utrzymywała zawsze znamię powszechności i międzynarodowości Kościoła, była prawdziwą spadkobierczynią Piotra i dziedziczką wszystkich przywilejów, jakie Chrystus nadał księciu Apostołów“.

Lecz zkąd wiemy — pytają przeciwnicy prymatu — że Chrystus chciał, aby przywileje Piotra przeszły do jego następców? A zkądże wiecie — odpowiada p. Sołowiew — że jest u was hierarchia duchowna, że jest kapłaństwo? rozumiecie, że słowa Chrystusowe do Apostołów: „cokolwiek rozwiążecie“, „kto was słucho“, odnosily się i do apostoelskich następców, otóż równorzędnie i jeszcze widoczniej słowa: „ty jesteś opoką“, „tobie daję klucze“, odnoszą się i do następców Piotra, tworzą podwalinę, na której Kościół ma stać i bramy piekielne zwyciężać aż do skończenia świata.

Ale co nas upewnia — pytają jeszcze — że rzymski biskup jest następcą Piotra? czy kwestya bytności Piotra w Rzymie nie może podlegz krytyce? Nie potrzeba — odpowiada śmiało p. Sołowiew — historycznie sprawdzać bytności Piotra w Rzymie; faktem jest, że jedynie biskup rzymski od kilkunastu wieków piastował i wykonywał taki prymat; żaden inny biskup ani patryarcha, nietylko uchodzić nie może, ale i uchodzić nie próbował za następcę Piotra i powszechnego zwierzchnika Kościoła. Więc

¹ Łuk. XXIV. 19. 21.

jedno z dwojga: albo Piotr nie miał wcale następców, a Chrystusowa konstytucja Kościoła była przez tyle wieków martwą literą, albo następcą Piotrowym był i jest papież rzymski.

Jeszcze zdolniejszym szermierzem unii jest Sołowiew na polu historycznem. Tu okazuje on nietylko rozległą erudycję, ale dziwny zmysł do syntetycznych spostrzeżeń i poglądów. Choć prowadzi nas zwykle po znanych historii szlakach, nie odkrywa nowych dokumentów, jednak co krok uderza nas nowymi, oryginalnymi poglądami, którym głębokości i prawdy zaprzeczyć niepodobna. Jak trafnie np. upatruje on w historii stosunków Rzymu z Carogrodem, że wszyscy patryarchowie, którzy ściślej trzymali z stolicą Piotrową, których papież popierał i bronił przeciw cesarzom i przeciw synodom greckim, to byli zawsze ludzie wyższej wiary, prawie wszystkich sam Kościół wschodni później w poczet świętych zaliczył; ci zaś, którzy walczyli z papieżem, byli to ludzie bez wartości moralnej, najczęściej heretycy — i ci też, rzecz szczególna, cieszyli się regularnie opieką i poparciem cesarzów. Św. Atanazego np. prześladował cesarz Konstancyusz, z pomocą heretyckiego biskupa carogrodzkiego, a broni go papież Juliusz; gdy znów na carogrodzkiej stolicy jaśnieje świętość, w osobie Chryzostoma, jeden obstaruje za nim Innocenty papież, a cesarzowie go prześladowają. Na Nestoryusza znowu uderza papież Celestyn, popiera przeciw niemu Cyryla aleksandryjskiego, władza zaś polityczna długo Nestoryusza broni; istotnie Nestoryusz był heretykiem, a Cyryl świętym. Gdy potem odwrotnie, na aleksandryjskiej stolicy zasiada burzliwy kacerz Dioskor, a w Carogrodzie cichy św. Flawian, zdarza się znowu, że papieżstwo trzyma stronę Flawiana, cesarstwo zaś trzyma z Dioskorem, a Flawiana zgnać pozwala. I ten sam dziwny stosunek utrzymuje się dalej, poprzez wszystkie walki i herezye, — monotelitów, ikonoklastów — aż do ostatniego dokonania szczytów, kiedy Focyusza popiera cesarz Michał III, a przeciwnika jego na tejże stolicy, świętego Ignacego, broni papież Mikołaj.

Niemniej szczęśliwie nasz autor dobywa często z historii rozstrzygnięcia, których inni jedynie w dogmatyce szukają. Tak, na wieczny zarzut Greków, że Kościół rzymski wciąż się rozwija, a więc zmienia, podczas gdy Kościół wschodni zostaje zawsze jednaki i sobie identyczny — odpowiadają zwykle teologowie, i z mozolną erudycją dowodzą, że Kościół nie zmienia się w niczem istotnem, że nowe orzeczenia dogmatów i nowe obrzędy są tylko wyłuszczeniem tego, co się w pierwotnych zasadach zawierało. Nierównie lepsza jest odpowiedź Sołowiewa w dziełku: „Rozwój dogmatyczny Kościoła“. On w historii pokazuje, że nie rzymski, ale właśnie wschodni Kościół uległ odmianie. Chrystyanizm w pierwszych ośmiu wiekach rozwijał się równolegle na Wschodzie i na Zachodzie: tu i tam zwolywano sobory, tu i tam rozstrzygano kwestye sporne, wydawano nowe określenia dogmatu, powiększano symbol, rozwijano zewnętrzne formy kultu. Od chwili zaś wielkiej scysyi Focyszowej, Kościół rzymski idzie i rozwija się dalej tym samym trybem, żyje tem samem życiem co przedtem; kanony soborów laterańskich są w tym samym stosunku do kanonów konstantynopolskich, jak te do nicejskich. Żadnej w tem pochodzie Kościoła rzymskiego nie widać przerwy ani zmiany postępowania. Tylko Kościół wschodni, od chwili rozerwania, przestał rósć i rozwijać się, jak się rozwijał dawniej; żadnego soboru więcej nie uczynił, żadnego określenia wiary nie wydał, w żadnej rzeczy, ani w nabożeństwie, ani w obrządku, kroku naprzód uczynić nie śmie, czy nie może. Wprzódty pełen życia i inicjatywy — skostniał w takim kształcie, w jakim go zastał wiek IX. Czyż nie jest rzecz historycznie oczywista, że opuściło go w onej dobie życie, którem żył przedtem, a że to samo życie trwa w Kościele zachodnim? Tak rozstrzyga historia, nawet bez roztrząsania dogmatu.

Bronią się stronnicy szyszmy odpowiedzią, że 7 pierwszych soborów rozstrzygnęło wszystko, co było do rozstrzygnięcia o dogmacie, że więc dalszego rozwoju nie potrzeba. Ale Sołowiew obraca w perzynę tę dowolną supozycję; pokazuje, że

sam depozyt wiary był skończony, nie w IX-ym, ale w I wieku, za życia Apostołów, atoli zadanie powierzone Kościołowi tłómaczenia tego depozytu, bronienia go przeciw fałszom wciąż nowym, a więc nowych wymagającym orzeczeń — zadanie to trwać musi, jak długo Kościół istnieć będzie, i żadnej istotnej zmiany w IX wieku, żadnemu wyczerpnięciu uledeć nie mogło.

Alboż niema od IX w. nowych herezycji, nie masz kwestyj do rozstrzygnięcia, któreby najwyższej powagi Kościoła wymagały? Solowiew pomija tysiąc innych, i uderza wprost w serce Rosyanina: A rozkoł rosyjski? — pyta — a Starowiercy? Kiedy w XVII w. z rozkazu cara Aleksego wprowadzano w księgi liturgiczne pewne poprawki, powstało wielkie rozdwojenie w społeczności religijnej; hierarchowie kościelni bądź uznawali słuszość poprawek, bądź ulegali rozkazowi; ale wielka część ludu wiernego upatrywała w tych zmianach targnięcie się na czystość religii, i żadną miarą nie chciała na nie przystać. Spór był o to: czy owe poprawki rytualne naruszały coś istotnego w religii, czy nie? Dajmy na to, że hierarchia miała teoretycznie słuszość, a lud był w błędzie: żadną miarą jednak hierarchia narodowa nie miała prawa rozstrzygać tego sporu w sposób stanowczy i zaspakajający sumienia, bo nie jest przecież Kościołem powszechnym, ani pretensyi niema do nieomyślności w rzeczach wiary. A tu jeszcze w dodatku hierarchia była tylko narzędziem państwa; lud czuł tę niewłaściwość. Jakżeż się więc ten spór rozstrzygnął? — tak, jak się rozstrzyga spór z państwem samodzierżczym. Palono tysiące starowierców na stosach — w końcu ustąpić musiano przed ich stałością. I do dziś dnia spór między starowierstwem a cerkwią urzędową jest i faktycznie i zasadniczo nierozstrzygnięty.

A między kościołami niby prawosławnymi — nastaje dalej nasz autor — wiele jest zasadniczych kwestyj w zawieszeniu? Katolików przechodzących na prawosławie, patriarchat Konstantynopolski chrzci na nowo, ponawiając herezyę starych rebaptызantów — Cerkiew rosyjska ich nie chrzci: a jednak Konstantynopol i Rosya zostają w duchownem obcowaniu (*communio in sacris*). Konstantynopol znowu wyklął cerkiew

bułgarską i zerwał z nią duchowy związek — Rosya nie zerwała: i istnieje ta kanoniczna niedorzeczność, że te trzy Kościoły stanowią zarazem i nie stanowią duchownej jedności. I jakżeż tu jeszcze mówić, że nie potrzeba za naszych czasów żadnego soboru, żadnej zwierzchności kościelnej ponad narodowymi cerkwiami, któraby takie zagadnienia i spory rozstrzygała?

Wybornie też i głęboko ocenia nasz myśliciel historyczny charakter chrystyanizmu w Bizancyum¹. Tam przyjęto tylko wewnętrzną, ascetyczną część nauki Chrystusowej, myślano tylko o zbawieniu duszy, a nie myślano wcale o naprawie i odrodzeniu społeczeństwa. Rozumiano, że świat jest złym, i dlatego ideałem religijnym w ich oczach było porzucenie świata, pustelnia, góra Atos; zapomniano zaś zupełnie, że Chrystus przyszedł zwyciężyć świat, i że posłannictwem jego Kościoła jest naprawiać i odradzać społeczeństwo. Ztąd Bogu oddano tylko świątynie i skity, a wszystko inne cesarzowi. I kwitło tam wiele cnót ascetycznych, wśród społeczeństwa, którego cały ustroj i rząd pozostał na wskrós pogańskim. Kościół taki, — mówi dobrze Sołowiew, — nie jest wojującym, ale dezertującym Kościołem. Jestto chrystyanizm połowiczny, i znać w nim pokrewieństwo z Budyzmem i Manicheizmem².

Spróbował Sołowiew zebrać swe historyczne poglądy na chrystyanizm w jedną organiczną całość, i zaczął pisać wielkie dzieło p. t.: „Historya i przyszłość teokracji“. Założeniem tej pracy — jak sam pisze na wstępie, — jest: doprowadzić wiarę, którąśmy po ojcach odziedziczyli, do wyższego sto-

¹ *Saint Vladimir et l'état chrétien*. W *Monde*, 1888.

² Sołowiew doskonale rozumie doniosłość ascetyzmu w życiu chrześcijańskim. Nie tylko jego sposób życia o tem świadczy, ale i jego pisma, w szczególności znakomita książka „Osnovy życia chrześcijańskiego“, — z której zawartością chciałbym kiedyś obszerniej naszą publiczność zapoznać — a którą możnaby nazwać filozofią ascezy, tak opromienione są w niej zasady i praktyki ascetyczne jasnym i szerokim filozoficznym poglądem. Ten kierunek myśli jednak nigdy nie zasłania naszemu pisarzowi czynnego i społecznego zadania Kościoła; owszem, to zadanie ma zawsze u niego pierwszeństwo.

pnia zrozumienia, i pokazać jak ta wiara, oswobodzona od ciasnoty narodowych poglądów, zgadza się doskonale z bezwzględną i powszechną prawdą. Innemi słowy, ma to być nowa, z całego rozwoju dzisiejszej myśli korzystająca, filozofia religii. Czemuż ta nazwa „teokracji“? — On się nie tłumaczy, ale nie trudno się dorożumieć. — Religia przedstawia się autorowi, nie jak dzisiejszym racjonalistom: jako psychologiczne zjawisko; ani jak protestantom: jako oderwana formułka wiary; ale przedstawia mu się tem, czem jest rzeczywiście: jako wielkie, realne i społeczne dzieło Boże w ludzkości, przychylenie się Boga do rodu ludzkiego — co się zowie w Ewangelii Królestwem Bożem — a co Sołowiew z grecka nazywa teokracją. To Królestwo Boże na ziemi ma swoją genezę i swój rozwój historyczny, przed Chrystusem i po Chrystusie, i ma swoją treść dogmatyczną. Ztąd trzy części w planie Sołowiewa: 1. filozofia historii biblijnej, 2. filozofia historii kościelnej, 3. filozofia dogmatu. Pierwszą część, stanowiącą 1-szy tom tego dzieła, wydał autor po rosyjsku r. 1887 w Zagrzebiu. Jestto bardzo cenny przyczynek do tegoczesnej teologicznej literatury, rzucający wiele światła na rządy Boże i, że tak powiem, na plan Starego Zakonu. I, rzecz w naszych czasach niezwykła, człowiek świecki, nie będący nawet formalnie katolikiem, pisze cały tom o religii i o Piśmie świętem. bez żadnej teologicznej usterki.

Nadprzyrodzony porządek, — twierdzi słusznie autor — stosuje się do porządku rzeczy przyrodzonych. Ztąd teokracja, królestwo Boże, urzeczywistnia się najpierw w jednostce, którą Bóg wybiera i oświeca, i która Bogu dobrowolnie odpowiada; rozwija się następnie w rodzinę, potem w naród teokratyczny; w końcu całą ludzkość obejmuje. Pierwszą fazę przedstawia nam historia patriarchów. Tu przesłiczne i głębokie znajdujemy studia nad indywidualnemi cechami Abrahama, Izaaka i Jakóba i osobnymi sposobami, jakimi Bóg każdemu z nich się udziela. W Jakóbie dopiero wskazuje autor skończony typ podmiotu teokracji: bo oprócz wiary i pobożności ojców, występuje w nim potężna samodzielność — samodzielność, która się

Bogu poddaje, ale nie przestaje być siłą, — a na tem właśnie zetknięciu się działania Bożego z poddającą się mu samodzielnością ludzką istota teokracji zależy.

W drugiej fazie teokracji, kiedy się urzeczywistniła w narodzie żydowskim, uderza najprzód staranie odosobnienia tego ludu od obcych wpływów, ażeby świeżo zasadzone w nim królestwo Boże mogło się ustalić. Tak tłumaczy Sołowiew wiele przepisów z prawa Mojżeszowego, tak samo rozkaz tępienia pogan zamieszkujących ziemię obiecaną, lubo też inne przyczyny ze strony tych ostatnich, tę karę Bożą na nich ściągnęły. Skoro zaś teokracja zapuściła w narodzie korzenie, wnet kształtuje się w trzy władze, które według Sołowiewa, stanowią doskonałą formę społeczeństwa teokratycznego, trzy czynniki, przez które Bóg rządzi społeczeństwem ludzkim: władzę kapłańską, królewską i proroczą. Każda z tych władz ma swą odrębną sferę działania: kapłaństwo pośredniczy z Bogiem i wymaga bierności ludu; władza królewska albo państwowa organizuje samodzielnie pierwiastek społeczny; profetyzm, poza dwiema powyższymi władzami, powstający samorzutnie z łona społeczeństwa pod tchnieniem Ducha Św., prze społeczność naprzód ku coraz większemu udoskonaleniu się. I tak te trzy czynniki, acz w swych sferach samoistne, mogą i powinny harmonijnie działać, przez co urzeczywistnią doskonałą teokrację.

Prorocy starozakonni mieli niezawodnie misję przepowiadania rzeczy przyszłych, głównie Mesjasza, który miał teokrację powszechną uścić; ale oprócz tego mieli posłannictwo aktualne, żeby lud Boży za występki karcić, i do udoskonalenia się pobudzać. To ostatnie najwięcej się w ich pismach przebija, i tę misję w nich głównie upatruje Sołowiew. Co więcej, — i w tem jest oryginalność jego poglądu — profetyzm nie jest w jego oczach przejściowym zjawiskiem Starego Zakonu, ale wieczystym organem królestwa Bożego na ziemi, nie mniej jak drugie dwie władze. I w historyi Nowego Zakonu powstają ciągle z łona chrześcijańskiego społeczeństwa prorocy, tj. ludzie, przez Ducha św. wznieceni i użyici, aby złe

naprawiać, miłość krzepić, niekiedy nowe instytucje, jak zakony, w życie wprowadzać. Wszelkie reformy i postępy od nich zwykle biorą początek, władze regulują tylko i sankcjonują ich czyny. Prorokowanie ich nie jest tak zwrócone ku przyszłości, jak wieszczów starozakonnych, — ponieważ Chrystus już przyszedł — i oni jednak obdarzeni bywają nieraz endownymi znakami i darami Bożymi, które uwierzytelniają ich misję; a o tyle zawsze są prorokami przyszłości, że na lepszą przyszłość zwracają oczy świata, wyrażają ideały, które przyszłość ziści, i przepowiadają urzeczywistnienie Chrystusa w ludzkości.

Przechodząc wreszcie do trzeciej fazy teokracji, t. j. do teokracji powszechnej Nowego Zakonu, autor rzuca tylko w tej książce wstępne myśli: pokazuje jak Chrystus łączy w sobie pełnię tych władz: kapłan, król i prorok doskonały — i jak przekazuje te wszystkie trzy władze oblubienicy swojej, Kościołowi. Śliczne tu są poglądy o stosunku Kościoła do Chrystusa, o trzech stopniach tego stosunku, jako owczarni jego, jako oblubienicy i jako ciała jego. Ale ograniczyć się tu musimy na głównych, wytycznych punktach. Otóż na to zwracamy uwagę, że Kościół ten, w myśli Sołowiewa, nie jest tylko hierarchią duchowną, ani społecznością dusz, ale całym organizmem chrześcijańskiego społeczeństwa z Chrystusem połączonego, w którym władza duchowna jest pierwiastkiem jednoczącym, więc kończyć się musi w jednej głowie, w jednym Ojcu powszechnym — władza państwowa zaś nie jest czemś zewnętrznym Kościołowi, ale organem również wewnętrznym. czynnikiem kształtującym odrębne człony tego ciała, narody chrześcijańskie. Stąd kiedy władza jest pogańską, — mówi gdzieś Sołowiew, — odłączenie Kościoła od państwa jest koniecznem, kiedy jest chrześcijańską, to odłączenie jest niemożliwem i niedorzecznem.

Taka jest pierwsza część historii teokracji. Druga miała być — według planu autora — podobną filozofią historii Kościoła na tych samych ośnowach opartą, o tyle zapewne jeszcze głębszą i wspanialszą, o ile przedmiot szerszy i nam

bliższy. Ale ta fatalna zmora, która tylu znakomitym pisarzom rosyjskim skruszyła pióro i przygasiła geniusz, i tu stanęła w poprzek drogi Sołowiewa. Cenzura rządowa zakazała to dzieło i inne pisma autora. — Gdyby Sołowiew był teoretykiem, tylko swe myśli kochającym, ten cios nie byłby go tak bardzo dotknął; mógł przecież drukować dalej za granicą, mógł też pisać po francusku, bo równie łatwo i świetnie w tym języku swe myśli wyraża. Ale on kocha przede wszystkim swój naród; gdy pisze, to nie dla zagranicy, ani dla pań z salonów petersburskich, które i po francusku go czytają i admirują, bez dalszych następstw — ale dla kleru rosyjskiego, dla młodzieży uniwersyteckiej, dla uczących się po monasterach; na te sfery chce on działać, rozpraszając ciemnotę i uprzedzenia, budząc w nich myśl i samowiedzę. I w istocie pisma jego docierały do tych sfer; jego polemiki z Aksakowem, z Danilewskim, z metropolitą Filaretem budziły w nich zajęcie, bywały przedmiotem dyskusyi, podniecały do zastanawiania się i badania — zakaz cenzury to wszystko przeciał. Sołowiew powiedział sobie, że jego zawód pisarski jest bez celu, przerwał pracę nad swem wielkiem dziełem, i powziął heroiczny zamiar powrócenia do Rosyi, ażeby, jeśli mu wszelka droga szerzenia kochanej prawdy piórem i językiem będzie zamkniętą — przynajmniej cierpiąc za nią, jeszcze jej służyć.

Już był od kilku lat pozbawiony swej katedry filozoficznej na uniwersytecie moskiewskim, z powodu swych przekonań; dla wydrukowania swej historyi teokracji, widział się spowodowany udać się do Kroacyi. W tych warunkach powrót do kraju groził mu nie na żarty losem Szczedrynów i Lermontowów. Sołowiew postanowił przed wykonaniem tego *salto mortale* skreślić, choć w skróceniu i obcym języku, główne myśli, jakie miał do wypowiedzenia światu. W tym zamiarze napisał i wydrukował w Paryżu książkę, która przed kilkoma miesiącami opuściła prasę i żywo zajęła opinię myślących ludzi w całej Europie: *La Russie et l'Eglise universelle*.

Książka ta przychodzi więc wypełnić poniekąd program we wstępie historyi teokracji skreślony; jako taka, powinna

nam dać filozofię historii kościelnej, i filozofię dogmatu chrześcijańskiego. Wszelako, zamiast ogólnego poglądu na historię Kościoła, autor, śpiesząc gorączkowo do swego celu, ogranicza się na punkcie spornym między Rosyą a katolicyzmem. W pierwszej części książki skreśla on dosadnie, co brakuje chrystyanizmowi na Wschodzie, głównie w Rosyi, w drugiej przedstawia lekarstwo w prymacie Piotrowym, który dogmatycznie i historycznie uzasadnia. To wszystko jest tak doskonale streszczone i ocenione w sprawozdaniu p. Tarnowskiego w *Przeglądzie Polskim*¹, że nie potrzebuję tego więcej omawiać. Jedyne urywki historyczne, które tu i w innych pismach Sołowiewa znajdujemy — niby próbki złotogłowia — pozwalają nam wnosić, jakim skarbem dla nauki chrześcijańskiej będzie całość tej filozofii historii kościelnej, jeśli Pan Bóg da, żeby kiedyś zpod pióra autora wyszła.

Trzecia część książki, o której mówimy, zawiera rzeczywiście pewną filozofię dogmatu, zapowiedzianą we wstępie Historii teokracji; ale do tego wypadnie nam wrócić poniżej. Teraz chciałbym dać pojęcie o trzeciej kategorii dowodów, którymi Sołowiew nawołuje Rosyę do katolicyzmu, a które nazywał dowodami psychologicznymi. Tu w najwyższym stopniu występuje oryginalność a zarazem potęga ducha autora.

(Dok. nast.)

Ks. Maryan Morawski.

¹ *Przegląd Polski*, październik 1889. „Wykład idei i powołania Rosyi“.



PIERWSZA KONSTYTUCYA AUSTRYACKA, JEJ GENEZA I OCENA.

(Dokończenie).

Inną kartę konstytucyjną dla całego państwa, z wyjątkiem Węgier, opracowywał tymczasem w Wiedniu stanowy wydział centralny, złożony z reprezentantów stanów 9 prowincyj, a zwołany przez prezydium stanów dolno-austriackich. Zebranie to, w którem jednak nie brali udziału między innymi ani reprezentanci Galicyi, ani Czech, wzięło sobie za główne zadanie nakłonić rząd do przyspieszenia zapowiedzianego ukonstytuowania ojczyzny, przez nadanie konstytucyi z pełni mocy cesarskiej, czyli przez oktrojowanie, aby w ten sposób reprezentacya państwa zebrała się już nie jako konstytuanta, ale jako ciało, istniejące na mocy konstytucyi. Powtóre, dążyło ono do przekonania rządu, że ta reprezentacya państwa ma wyjść nie ze stanów prowincjonalnych, lecz z wyborów całej ludności, i że nie można jej nawiązać ani do już istniejących, ani nawet do mogących się zreformować stanów. W dotyczącym referacie Kleytego czytamy, że w czasach, w których monarchia stoi naprzeciw republiki, a w przededniu przeprowadzenia wyborów do parlamentu niemieckiego na jak najszerszej podstawie, byłoby już nie śmiałością, lecz zbrodnią, chcieć nadal

pod nazwą konstytucyi — co znaczy tyle, co reprezentacya ludowa — dać tylko zreformowaną stanową reprezentację¹. Wydział centralny otrzymał też od rządu odpowiedź, że reprezentacya państwa zwołaną zostanie już na podstawie oktrojowanej, a jedna jego sekcya brała udział w naradach ministerstwa nad kwestyą konstytucyjną.

Nie chcąc zbyt długo przedłużać naszych wywodów, wspomnimy tylko, że według ułożonego przez wydział projektu ustroju reprezentacyi państwa, miała Galicya być z niej wykluczona, a ukonstytuowana jako odrębne królestwo na kształt Węgier, połączone z innymi częściami Austrii przez wspólnego monarchę; również wykluczona miała być Lombardo-Wenecya.

Wspomniane narady ministerstwa nad kwestyą konstytucyjną, wydały wkrótce dojrzwały owoc w postaci oktrojowanej konstytucyi. Autorem jej był minister Pillersdorff, któremu przyznać należy, iż nie próbował wymknąć się furtką, którą otwierał mglisty zwrot cesarskiego patentu z 15-go marca, o „ukonstytuowaniu ojczyzny“, lecz stworzył kodyfikację prawa politycznego, która zerwała z przesądem konferencyi państwowej, że konstytucya znaczy tyle, co podział władz i wszechwładztwo ludu; stworzył kodyfikację, która rzeczywiście odpowiadała wymogom nowożytnego konstytucjonalizmu, przez postawienie jasno zasady odpowiedzialności ministrów, ciała ustawodawczego. opartego wprost na zasadzie reprezentacyi narodu i szerokich obywatelskich praw zasadniczych. Opierając reprezentację państwa na zasadzie powszechnego wyboru, a nie na zasadzie stanowej, skorzystał Pillersdorff z rad wydziału stanowego; również zastosował się do nich, nie rozciągając konstytucyi na Lombardo-Wenecję; natomiast nie nadał żadnego odrębnego stanowiska Galicyi, lecz połączył ją wraz z innymi krajami węzłem wspólnej reprezentacyi i konstytucyi. Rozwiał on również wszelkie nadzieje i iluzye Czech, i rozdarł wydaną przed

¹ O obradach stanowego Wydziału centralnego i jego projekcie konstytucyi patrz: Dr. Karl Hugelmann. *Studien zum österreichischen Verfassungsrechte*. Wien 1886: str. 9 i sq.

dwoma tygodniami kartę konstytucyjną czeską, nie zostawiając z niej ani strzępka. Nie potrzeba dodawać, że konstytucją niniejszą nie były objęte kraje węgierskie, które jej nie potrzebowały, mając już własną. Tylko w §. 1 konst. stwierdzoną została, w myśl sankcyi pragmatycznej, nierozdzielność wszystkich krajów, należących do cesarskiego państwa austriackiego.

Przypatrzmyż się bliżej temu dziełu, które dla utorowania sobie łatwiej przystępu do serc obywateli, wydanem zostało w dzień urodzin cesarza Ferdynanda, 25 kwietnia. W pałacie swojej wypowiada cesarz przekonanie, że instytucye państwa kroczyć muszą w ślad za postępem narodów w cywilizacyi i rozwoju ducha; a jako wcielenia tego postępu wydaje on akt niniejszy, mający zabezpieczyć obywatelom państwa ich sferę prawną, i przyznać im współudział w kierowaniu sprawami ojezyny. Cesarz sądzi, i liczy na to, że akt ten wzmocni jeszcze węzeł wzajemnego zaufania pomiędzy ludami i tronem, oraz połączy i zespoli należące do monarchii kraje i ludy jeszcze ściślej dla ich wzajemnego dobra. Wydanie ordynacyi wyborczej, na podstawie której ma się zebrać pierwsza reprezentacya państwa, zastrzega sobie cesarz na później, wyłączając ją tem samem z konstytucyi, jako prowizoryczną¹.

Konstytucya składa się z 7 działów. Pierwszy zawiera postanowienie ogólne, drugi traktuje o osobie i prawach cesarza, trzeci o politycznych i obywatelskich prawach mieszkańców państwa, czwarty o ministrach, piąty o Sejmie państwa, szósty o jego działalności, siódmy o stanach prowincjonalnych.

Jako konstytucya państwa monarchicznego, opiera się ona na zasadzie skupienia pełni władzy państwowej w rękę panującego, odpowiednio do art. 57, aczkolwiek tego wyraźnie nie wypowiada, jak to czyni np. konstytucya badeńska z roku 1818, którą jej też niektórzy pisarze za wzór stawiają. W §. 5

¹ Uchwalenie stałej ordynacyi wyborczej zaliczono wyraźnie do jednych z pierwszych zadań Sejmu.

tej ostatniej czytamy: „Wielki książę złączy w sobie wszelkie prawa władzy państwowej, i wykonuje je w sposób przepisany konstytucją“. Podobnie się wyrażają konstytucye: saska §. 4, bawarska §. 1, württembergska §. 4; księstwa Sachsen-Altenburg §. 4, W. Księstwa heskiego §. 4 i t. d.

W austriackiej konstytucyi wypowiedzianą jest ta zasada pośrednio, przy określaniu różnych funkcij władzy państwowej, w słowach, z których niewątpliwie wynika, że *quoad ius*, o ile chodzi o samo źródło prawa, może ono tylko być wyprawdane, co do każdej funkcji państwowej, wprost od osoby monarchy, który posiada takowe, jako swe własne prawo — a jedynie sposób wykonywania tych praw, podlegać może rozmaitym ograniczeniom ¹. Dowodem tego §. 10 konstytucyi: „Władzę ustawodawczą wykonuje cesarz łącznie z Sejmem państwa“. — „Władza wykonawcza przysługuje (*gebührt*) cesarzowi samemu“ (tj. bez współudziału Sejmu państwa); wyrażenie może mniej ścisłe, bo lepiej było powiedzieć: „wykonywanie władzy“, ale nie szkodliwe. §. 14: „Sądownictwo wykonywanem bywa w imieniu cesarza, i w całości od niego wychodzi“.

Jakież stanowisko zakresła konstytucya dla tego, który jest uosobieniem i źródłem wszelkiej władzy państwowej? Oto jego osoba jest uświęconą i nietykalną; za pełnienie władzy rządowej jest on nieodpowiedzialnym, ale za to jego zarządzenia potrzebują do zupełnej ważności kontrasygnatury czyli współpodpisu odpowiedzialnego ministra.

Panujący zawierać ma dalej pokój i traktaty, wypowiadać wojnę; ma prawo ułaskawienia i amnestyi, prawo wynagradzania nadzwyczajnych zasług, obsadza wszystkie urzędy państwowe, jest naczelnym wodzem armii, i ma obowiązek

¹ O pojęciu prawa własnego w przeciwieństwie do delegowanego, patrz: G. Jellinek. *Die Lehre von den Staatserbindungen*, str. 41 sq., i Stawczyński. *Beitrag zur Lehre von Gesetz und Verordnung* (Oesterr. Zeitschrift für Verwaltung Nr. 49—51 ex 1882, str. 221 sq.). Prawo własne nie potrzebuje koniecznie powstać w osobie tego, który je posiada (*originäres Recht*): może być i prawem pochodnem (*abgeleitetes Recht*).

złożyć przy objęciu rządów przysięgę na konstytucyę. Korona w jego domu jest dziedziczną, według zasad sankcyi pragmatycznej; pełnoletność uzyskuje z 18 laty, na wypadek zaś jego małoletności lub niezdolności do rządów, ustanawiana bywa regencya, względem której ma być wydaną osobna ustawa. Brak tych ostatnich postanowień w naszej dzisiejszej konstytucyi, skutkiem czego odnosić się trzeba w tej mierze do nieogłoszonych ustaw domowych rodziny panującej.

Takimi prawami opatrzony panujący, pełni tedy władzę państwową; w szczególności weźmy na uwagę funkcyę jej prawodawczą, najgłówniejszą, bo jest ona regulatorem innych funkcyj¹. Funkcyę tę pełni cesarz tylko w połączeniu z Sejmem państwa (*Reichstag*). Jest tylko to jedno ciało prawodawcze państwowe, niema osobnych ciał prawodawczych krajowych, jakimi są dzisiejsze Sejmy. Jest więc tylko jeden rodzaj ustawodawstwa, tj. państwowe, a niema ustawodawstwa, zawisłego od współudziału ciał reprezentacyj krajowych dla każdego kraju osobno. O ile zerwano co do reprezentacyi państwa z systemem krajowym, i nadano tejże reprezentacyi charakter ciała ustawodawczego, o tyle znajdowano z drugiej strony, że jedno powszechne ciało ustawodawcze wystarcza, a innych niepotrzeba. W krajach koronnych miały istnieć stany prowincjonalne, „dla przestrzegania prowincjonalnych interesów“ i przysparzania osobnych na ten cel funduszów, a urządzenie i działalność dotychczasowych stanów ma być i nadal utrzymana, i tylko, jeżeli stany przedłożą Sejmowi państwa podyktowane wymaganiem czasu projekta zmian dotychczasowych swych ustaw, jego zadaniem będzie zmiany te zbadać i ocenić. Tak mówią, nieco mgliście, §§. 54 i 55 konst. Prof. Tarnowski w cytowanej rozprawie powątpiewa, aby rząd chciał być uwieczniać stany z przed r. 1846, i sądzi, że rząd

¹ Trafnie to określa jeszcze J. Locke w swych Rozprawach o rządzie państwa (*Two treatises on government*), który funkcyę wykonawczą i funkcyę federacyjną (bo tak podzielił władzę państwową) podporządkowuje pod funkcyę ustawodawczą.

nie miał jasnej myśli i wyrobionego zamiaru co do Sejmów, chyba, że chował *in petto* jakieś na ich niekorzyść zastrzeżenie. O ile rząd chciał czy nie chciał uwiecznienia stanów, to zależało w tym stanie rzeczy najpierw od stanów samych, a powtóre od tego, co rozumiał rząd przez wspomniane „ziniany, podyktowane wymogami czasu“; ale co do Sejmów krajowych, to widocznie rząd miał wyrobiony zamiar i jasną myśl, a mianowicie tę, aby ich wcale nie było, a stany byłyby musiały same z biegiem czasu zamrzeć skutkiem swej sprzeczności z konstytucyjnym ustawodawczym Sejmem państwa.

Sankcyę ustawodawczą pełni cesarz w obec Sejmu państwa przez prawo inicjatywy, które także i Sejmowi przysługuje, i przez sankcyę ustaw. Zakres działania Sejmu w tej mierze nie podlega żadnym ograniczeniom, podobnym do tych, jakie znajdujemy w innych ustawach, np. bawarskiej, baden-skiej, sasko-wejmarskiej, gdzie współdziałanie reprezentacji potrzebnem jest tylko do wydania ustaw pewnego rodzaju, tj. dotyczących wolności i bezpieczeństwa osób, lub własności obywateli państwa — przeciwnie, czytamy w §. 45, że wszystkie ustawy potrzebują przyzwolenia Sejmu i sankcyi cesarza. Wynika ztąd, że ustawodawcza kompetencya Sejmu sięga tak daleko, jak daleko sięga w ogóle materyalne pojęcie ustawy, i że wszystkie normy obowiązujące, które są ustawami w materyalnem znaczeniu słowa, które zawierają prawa prawne, tj. określają granice pomiędzy wolą państwa a jednostki, lub pomiędzy wolą jednostek między sobą, mogą odtąd przyjść do skutku tylko w drodze ustawy formalnej. Na tem samem stanowisku stoi i dzisiejsza konstytucya na mocy dyplomu październikowego z r. 1860. Nadto z zakresu spraw, które dziś zwykliśmy nazywać ustawami w znaczeniu tylko formalnem, (gdyż one są tylko aktami administracyi, odzianymi w formę ustawy) należy do Sejmu państwowego uchwalenie listy cywilnej na cały czas panowania każdoczesnego monarchy, roczne przyzwalanie na uzupełnienie stojącego wojska, na pobór podatków i danin, na zaciąganie długów państwowych, sprzedaż dóbr państwowych, tudzież badanie rocznego preliminarza wy-

datków i dochodów państwa, czyli prawo budżetowe, stanowiące, rzec można, rdzeń praw parlamentu, gdyż system reprezentacyjny przeważnie z poczucia potrzeby tego prawa wypłynął; wreszcie — i tu poszła konstytucja w formalizmie bardzo daleko — samo zamknięcie rocznych rachunków rządowych nie może nastąpić, jak tylko w formie ustawy (§. 47).

Zwołanie Sejmu państwowego należy do cesarza; jemu też przysługuje prawo rozwiązania go, a wtedy do dni 90 ma być zwołany Sejm nowy. Składać się miał też Sejm z dwóch izb: senatu i izby deputowanych. Członkowie obu izb używają nietykalności sądowej, a obierani są na lat pięć. Izba deputowanych wychodzi w całości z wyboru, bez żadnych ograniczeń ze względu na różnice pochodzenia, religii, podatku lub inteligencji; wybór jest oparty jedynie na liczbie ludności i reprezentacji wszystkich społecznych interesów (§. 37). Później wydana prowizoryczna ordynacja wyborcza z 9 maja postanowiła, że wybory odbywać się mają pośrednio, tj. przez wyborców obieranych przez prawyborców (§. 25), a reprezentację interesów pojęła w ten sposób, że utworzyła dwie, tak zwane kurye wyborcze: miejskie i wiejskie, bez dalszych podziałów. Na 50.000 mieszkańców miał przypadać jeden poseł; Galicya, licząca podówczas razem z okręgiem krakowskim 4,777.620 mieszkańców, miała obierać 100 posłów¹ na 383, z których ówczesny Sejm miał się składać. Dziś Galicya wybiera tylko 63, jakkolwiek liczba ludności dochodzi do 6.000.000, a dzisiejsza izba poselska tylko o 30 członków mniej liczy, aniżeli ówczesna, tj. 353. Pośrednie wybory miały mieć miejsce nie tylko, jak to jest dzisiaj, w gminach wiejskich, ale także i w miastach. Senat składać się miał w bardzo przeważnej liczbie z członków wybranych, a nadto z pełnoletnich arcyksiążąt, tudzież mianowanych przez cesarza dożywotnich człon-

¹ Posłowie wiejscy: Galicya 89 posłów, okręg krakowski 2 posłów. Posłowie miejscy: Lwów 3 posłów, Brody 1 p., Tarnopol 1 p., Stanisławów 1 p., Przemyśl 1 p., Kraków 2 p. — §. 20 ord. wyb.: *Galizien 4,627.620, Krakauer Gebiet 150.000 Einwohner.*

ków, bez względu na ich stan i urodzenie. Natomiast nie widzimy w tym senacie członków dziedzicznych, jak w dzisiejszej izbie panów, ani dygnitarzy, zasiadających w nim z tytułu swego dostojenstwa, jak dziś arcybiskupi i biskupi stolic książęcych. Liczba wybieralnych członków senatu była 150, ogólną zaś liczbę senatorów oznaczyła później ordynacya wyborcza¹ na 200; z czego wynika, że rząd był pozbawiony możności wytwarzania sobie dowolnie większości w senacie, stosownie do każdorazowego kierunku politycznego, przez domianowanie potrzebnej ilości nowych członków, jak to ma miejsce, kiedy ilość członków izby wyższej nie jest ustawą oznaczona, np. w dzisiejszej konstytucyi austriackiej.

Wybór członków senatu nie był jednak oparty na samej liczbie ludności, lecz dokonywało go 3000 najbogatszych posiadaczy ziemskich bezpośrednio, tylko ze swego grona. Według ordynacyi wyborczej przypadało na Galicyę z Krakowem senatorów obieralnych 41. W ten sposób wielcy właściciele ziemscy stanowili zawsze znaczną większość senatu, a ciało to, którego zadaniem we wszystkich państwach jest, stanowić element ciągłości w obec zmiennej kolei większości parlamentarnych, być regulatorem, a ewentualnie hamulcem każdorazowego kierunku izby posłów, tu nabierało jeszcze charakteru reprezentacyi ziemskiej, stale związanej z jednej strony ze swem społeczeństwem, z drugiej z państwem, a przejętej tym spokojnym i wytrwałym konserwatyzmem, jaki cechuje ludzi oddanych zawodowi rolniczemu. Dlatego nie można upatrywać w tak urządzonym sposobie wybierania senatu ani koncesyi dla demokratycznych dążeń², ani też twierdzić — jak to

¹ Przy wydaniu ordynacyi wyborczej nie współdziałał już Fiequelmont, gdyż ustąpił 5 maja. Następcą jego w minist. spraw zagranicznych został, po krótkim kierownictwie Lebzelterna, od czerwca Wessenberg. Prezydum ministrów objął prowizorycznie Pillersdorf.

² Przeciwnie spotykamy się nawet w *Wiener Zeitung* (prawda, że w części nieurzędowej) Nr. 134 z 1848 r. z artykułem Dra Perthalera: *Die österreichische Parlamentsfrage*, który namiętnie zwalcza ten skład senatu, uważając go za średniowieczną pozostałość przywilejów szlacheckich.

utrzymuje prof. Tarnowski — że „napróżno szukalibyśmy w Europie czegoś podobnego“. W Prusiech, według pierwszej konstytucyi z 5 grudnia 1848, miała cała izba panów wychodzić wyłącznie z wyborów, dokonywanych przez reprezentacye prowincjonalne, obwodowe i powiatowe, przy bardzo niskim cenzusie wyborczym, a dziś pewne związki i korporacye prezentują królowi pewne osoby dla powołania ich do izby panów¹; w Saksonii wybieranych jest tylko 12 członków do pierwszej izby; w księstwie badeńskim wybiera 8 członków szlachta, a 2 uniwersytety; w belgijskim senacie zasiadają tylko wybieralni członkowie i następca tronu; w Szwecyi pierwsza izba *Riksdagu* wybiera się w całości przez rady municypalne i prowincjonalne (ustawa organiczna z 22 czerwca 1866); w Hiszpanii połowę członków wyższej izby *Cortesów* wybierają korporacye stanu i najwyżej opodatkowani (konstytucya z dnia 30 czerwca 1876); o republikach nie potrzebuje mówić.

Wprawdzie w senacie austriackim miała być wybierana większość, ale za to charakter konserwatywny tej większości był z góry zapewniony. Wybór członków senatu odbywał się według systemu głosowania na listę (*scrutin de liste*), podobnie jak dziś w niektórych okręgach wyborczych Galicyi, i we wszystkich innych krajach koronnych przy wyborach do Sejmu z grupy większych posiadłości, i jak we wszystkich krajach koronnych, z wyjątkiem Galicyi, przy wyborach do rady państwa z większych posiadłości. Do izby posłów przeciwnie, stworzono tyle okręgów wyborczych, ilu miało być posłów, tak, że wszędzie głosowano na jednego (*scrutin individuel*). Nadto oparcie części senatu na wyborze przez „najznacniejszych posiadaczy ziemskich“ wprowadzało dopiero do wyborów jednej

¹ Prezentują trzy ewangelickie klasztory; prowincjonalne związki hrabiów, posiadających dobra rycerskie (*Rittergut*); związki starych i ubezpieczonych dla posiadającej je rodziny dóbr rycerskich; związki rodzin posiadających rozległe dobra, a którym król to prawo nada; miasta, którym król to prawo nada; senaty krajowych uniwersytetów (z grona swych zwyczajnych profesorów). — Patrz: H. Schulze. *Das Staatsrecht des Königreichs Preussen* (w Marquardsena *Handb. d. öff. Rechts*, t. II, 1884).

części reprezentacyi państwa zasadę cenzusu wyborczego. Dla wyboru do izby deputowanych nie istniał żaden cenzus, było tylko to ograniczenie, że prawyborcą i wyborcą może być tylko osoba, od sześciu przynajmniej miesięcy w okręgu wyborczym zamieszkała, a posłem tylko osoba, będąca prawyborcą w obrębie krajów, konstytucyą objętych. Zresztą prawo głosowania, według tej konstytucyi, nie różniło się od głosowania powszechnego, jak tylko wykluczeniem robotników, pracujących za zapłatę dzienną lub tygodniową, służby i osób, wspieranych przez publiczne zakłady dobroczynności.

O pełnieniu wykonawczej funkcyi władzy państwowej niewiele mamy do powiedzenia, bo nie można do niej jedynie ograniczać postanowień, zawartych w konstytucyi, o odpowiedzialności ministrów za ich wszystkie działania i wnioski, gdyż odpowiedzialność ta odnosi się do wszystkich aktów rządowych. Chyba więc zaliczymy tu to, co się odnosi do urzędów obwodowych, powiatowych i gminnych. Otóż konstytucya orzeka zaprowadzenie urzędów municypalnych „dla przestrzegania szczególnych interesów obwodów i powiatów w każdej prowincyi“ (§. 56), tudzież postanawia, że urządzenia gminne oparte być mają na zasadzie reprezentacyi wszystkich interesów gminy i jej członków (§. 57). Może z tego zawiązku byłyby się zdołały wytworzyć z czasem instytucye samorządne.

Co do funkcyi sędziowskiej, sądownictwo ma być niezawisłe o tyle, że sędziowie nie mogą być oddaleni ani przenieszeni wbrew swej woli, jak tylko na mocy sądowego orzeczenia. Wymiar sprawiedliwości w sprawach cywilnych ma być ustny i jawny; w sprawach karnych mają orzekać sędziowie przysięgli. Zmiany w urządzeniach trybunałów tylko ustawa wprowadzać może.

Najobszerniejszym jest dział o prawach obywatelskich, ten właśnie, do którego autor konstytucyi najmniej miał zaufania. Czytamy bowiem w literackiej spuściźnie Pillersdorffa, wydanej po jego śmierci¹, że, zdaniem jego, prawa te otwie-

¹ Patrz: *Handschriftlicher Nachlass des Freiherrn von Pillersdorff*. Wien, Braumüller, 1863.

rają tylko obszerne pole do bezpłodnej dyskusyi, a nie prowadzą do żadnych praktycznych konsekwencyj. Konstytucya ogłasza równość w obec prawa i sądu (§. 25), wolność osobistą (§. 17), nietykalność osoby (§. 18), tak przez *neminem captabimus* — z wyjątkiem schwytanych na gorącym uczynku — jak i przez zastrzeżenie, że nikt nie może być pozbawiony swego ustawą oznaczonego sędziego (§. 25); nietykalność prawa domowego (§. 18); tajemnicę listową (§. 20); niezawisłość praw obywatelskich i politycznych od religijnego wyznania (§. 27); wolność wiary i sumienia (§. 17); wolność wykonywania kultu religijnego dla wyznań prawnie uznanych (§. 31); wolność zarobkowania i dostąpienia wszelkich urzędów i godności (§. 24); usunięcie przeszkód nabywania wszelkiego rodzaju posiadłości ziemskich (§. 27); wolność emigracyi (§. 23); wolność prasy i słowa (§. 19); nienaruszalność języka i praw narodowych wszystkich szczepów monarchii (§. 4); wolność stowarzyszania się (§. 22); prawo petycyi (§. 22).

Za to najszczuplejszym jest dział, który w nauce nazywamy „gwarancyami konstytucyi“, i na tym punkcie znać najwięcej dorywczosć tego dzieła ustawodawczego, oraz niedostateczne jeszcze w ówczesnej Austrii przejęcie się duchem konstytucyi i wyrobionymi już wzorami zachodu. Niedosć jest dać obywatelowi pewne prawa, gdy w państwie absolutnem miał tylko obowiązki; trzeba mu dać także możność bronięcia ich ze skutkiem, nawet przeciw samej władzy państwowej, gdyż wtedy dopiero zbliży się ustrój państwowy do pojęcia t. zw. państwa praworządnego, czyli opartego na prawie. Konstytucya nie zna żadnych trybunałów prawa publicznego, któreby czy to rozstrzygały spory kompetencyjne, czy orzekały o naruszeniu praw jednostki przez organa rządu; nie zna odpowiedzialności państwa ani urzędników, za szkodę wyrządzoną działaniem prawa przeciwnem. Odpowiedzialność ministrów określona jest bardzo niedostatecznie, z powołaniem się na przyszłą, mającą się wydać ustawę; a wzmianka w §. 33, o „władzy“ (*Behörde*) oskarżającej ministrów, rodzi domniemanie, jakoby nie zamierzano prawa oskarżania przyznać parla-

mentowi, gdyż ten możnaby nazwać „organem“, a nie władzą. Spotykamy się tu tylko ze znaną już przysięgą cesarza, dalej z przysięgą urzędników, armii i gwardyi narodowej na konstytucyę. Utworzenie tej gwardyi ujęte jest także w akt konstytucyjny; widać, iż uważano ją za nabytek wolności obywatelskiej; prawnikowi jednak trudno ją uważać za gwarancyę konstytucyi. Istniała ona jak wiemy, od 14 marca, a według statutu jej z 10 kwietnia, zadaniem jej było: „chronić monarchę i ustawy, utrzymywać spokój i porządek, stać na straży niezawisłości i całości państwa, i odpierać nieprzyjacielskie zaczepki“.

Tak wyglądało dzieło Pillersdorffa; poznawszy je, możemy łatwo ocenić jego charakter polityczny. Przedewszystkiem było ono nowym krokiem na drodze wytworzenia z krajów austryackich jednolitego scentralizowanego państwa. Gdy dotąd ustawodawstwo było absolutne, mogły poszczególne kraje oddawać się nadziei, że po zaprowadzeniu konstytucyi staną się one głównym czynnikiem ustawodawstwa. Tymczasem nie tylko kraje nie stały się głównym, ale żadnym nie zostały czynnikiem, bo stworzono tylko państwowe ciało ustawodawczoreprezentacyjne. Nie da się zaprzeczyć, że ta nowo stworzona spójnia byłaby musiała wytworzyć istotnie większą łączność pomiędzy krajami, przez postawienie ich reprezentacyi w Sejmie państwowym we wzajemnej od siebie zawiśłości; skoro bowiem nie było ciał ustawodawczych krajowych, i wszelkie potrzeby poszczególnych krajów mogły być tylko zaspakajane zapomocą wspólnego parlamentu, to reprezentanci pewnego kraju, chcąc dlań cośkolwiek od większości uzyskać, musieli ze swej strony przyzwać na to, czego drudzy dla innego kraju się domagali. Ale taka łączność, polegająca jedynie na świadczeniu sobie wzajemnych usług we własnym interesie, nie jest siłą, która państwa tworzy i podnosi; do tego trzeba czegoś więcej: trzeba żeby łączność była dobrowolną i szczerą, żeby zwracała wzrok i wycężala siły ku potrzebom ogólnym, a nie potrzebowała na polu swej wspólnej działalności targować się tylko o własne domowe sprawy, które każdy powinien

módcz załatwić u siebie w domu. Tego konstytucya z r. 1848 nie zrozumiała: ona nie pozwoliła krajom załatwiać żadnych spraw u siebie, a przez to zneutralizowała z góry wszystkie dobre skutki, jakieby z istnienia wspólnego parlamentu wypływać mogły. Jednostronny jej kierunek tylko w jej doktrynerskiem pojęciu mógł się korzystnie przedstawiać. Jedyna korzyść tego kierunku, leżąca w usunięciu przedmiotu do kompetencyjnych sporów w ustawodawstwie, była czysto formalna; a ogromna niekorzyść leżała w zapoznaniu tej prawdy, która dziś już stanowczo zwyciężyła, a która objawia się już w konstytucyach następnego roku 1849, że idea państwowa w państwie różnokrajowym jak Austria, leży w uznaniu i zaspokojeniu potrzeb poszczególnych jego części, z których się razem składa i rozwija pomyślność całości. Konstytucya z r. 1848 nie miała żadnego zrozumienia dla konieczności ustawodawczej autonomii krajów, nie wzniosła się w pojęciu samorządu ponad nieokreślone idee „urządzeń, mających strzedz specjalnych interesów“; i jeżeli sobie pomyślimy, że reprezentacya państwa, zagarnawszy dla siebie całe ustawodawstwo, byłaby musiała zajmować się wszystkim, czem się dziś zajmują, prócz rady państwa, wszystkie Sejmy krajowe, musimy wnioskować, że taki ustrój nie byłby mógł się utrwalić. W tem znaczeniu możnaby przyznać słuszość Fiequelmontowi, ówczesnemu prezesowi gabinetu, a więc jednemu z twórców konstytucyi, który w swych *Aufklärungen*¹ pisał, że „uważa ją tylko za środek administracyjnej przezorności, a nie za ostateczne ukształtowanie nowej formy państwa, gdyż konstytucya ta z powodu swej niezupełności, tylko przejściową być może“. Wszelako administracyjna przezorność właśnie wymagała uwzględnienia pominiętego w konstytucyi kierunku.

W tym błędzie, popełnionym przez konstytucyę, tkwił i drugi. Nie uznając potrzeby krajowej autonomii i samorządu,

¹ *Aufklärungen über die Zeit vom 20. März bis zum 4. Mai 1848.* Wien. 2. Auflage. 1850.

nie uczyniła konstytucya zadość uprawnionym interesom narodowościowym. Wprawdzie, jak wiemy, gwarantuje ona wszystkim ludom nienaruszalność języka i praw narodowych, ale ta gwarancya nie jest dostateczną, bo najpierw, niema w niej nawet teoretycznej formuły o ich równouprawnieniu, a powtóre, nienaruszalność sama stanowi tylko zaporę przeciw prześladowaniu za używanie pewnego języka i przyznawanie się do pewnej narodowości, ale nic więcej; jest to postanowienie czysto negatywne. Chcąc uczynić zadość potrzebom narodowym, trzeba otworzyć im drogi do instytucyj publicznych samorządnych, w które się przeleje życie narodowe; trzeba przypuścić wszystkie języki do szkoły, sądu i urzędu, czyli zupełnie je równouprawnić; trzeba wreszcie przyznać historyczno-politycznym indywidualnościom, jakimi są u nas pewne kraje, wpływ na tok spraw publicznych od dołu do góry. Słusznie pisał prof. Tarnowski w r. 1867, gdy właśnie staliśmy w przededniu dzisiejszego ukształtowania państwa, że „autorom konstytucyi nie chodziło wcale o wolność narodową różnych szczepów monarchii, że tej potrzeby nie rozumieli, tak daleko ich wzrok nie sięgał“; powiedziećby raczej można, że nie chcieli rozumieć ani tej potrzeby, ani wypływających z niej konsekwencyj. Jak dalece to jest prawdą, uzna każdy, kto sobie przypomni, że podczas obrad nad dzisiejszą konstytucyą grudniową — która nie tylko zachowała istniejące już wówczas ustawodawcze sejmy krajowe, ale jeszcze rozszerzyła ustawodawczą ich kompetencję, i która zawiera znany art. XIX o równouprawnieniu narodowości — powiedział w izbie posłów ś. p. Zyblikiewicz, „że te zasadnicze ustawy, liberalne są tylko pod względem obywatelskim i politycznym, ale nie pod narodowym“¹. Konstytucya ta była tylko jednostronnie liberalną, i dlatego nie mieli słuszności autorowie ces. manifestu z 3 czerwca 1848, którzy ją nazywają „dziełem liberalnem w najobszerniejszem słowa znaczeniu, i zastosowaniem do po-

¹ Patrz debatę nad ustawą o powszechnych prawach obywateli państwa w *Die neue Gesetzesgebung Oesterreichs*. Wien 1868, t. II, str. 320

trzeb czasu¹. Nie wlała ona ożywczego technienia w narody austriackie, i dlatego zabrakło jej wiatku do dalszego rozwoju. I dlatego też założyła przeciw niej protest galicyjska deputacya w Wiedniu, we dwa dni po jej wydaniu¹.

Porównują powszechnie konstytucyę niniejszą z konstytucyą belgijską, twierdząc, iż została na wzór belgijski opracowaną, tak dalece, że spotkaliśmy się tylko z jednym o niej pismem, które tego twierdzenia nie stawia. Jest ono słusznem w znacznej części, ale tylko o tyle, że austriacka konstytucya bliższą jest belgijskiej, aniżeli dawniejszych od niej konstytucyj państw niemieckich, bliższą zwłaszcza w dziale praw o wolności. Nie należy wszakże zapominać, że konstytucya belgijska, jakkolwiek monarchiczna, opartą jest na zasadzie wszechwładztwa ludowego, podzielonego według dawnych teoryj na pewne kategorye samoistnych władz. Ten zasadniczy nadaje konstytucyi belgijskiej art. 25, w którym czytamy: *Tous les pouvoirs émanent de la nation. Ils sont exercés de la manière établie par la constitution*² (wszystkie władze wypływają z narodu, wykonywując się w sposób określony konstytucyą). A w rozwinięciu tej zasady czytamy dalej w art. 78, że król niema żadnych innych władz, prócz tych, które mu zostaną formalnie przyznane przez konstytucyę i ustawy specyalne, wydane na mocy konstytucyi, czyli że król niema pierwotnie żadnej władzy, a zakres jego praw składa się z sumy poszczególnych poruczeń i umocowań wyraźnie mu nadanych. To tło więc, na którem rozsnuta jest konstytucya belgijska, jest wprost przeciwne tłu konstytucyi austriackiej i konstytucyj niemieckich, a tem jest oryginalniejsze, iż nie znajdujemy go ani we francuskich *chartes constitutionnelles* Ludwika XVIII z 4 czerwca

¹ Hugelmann j. w. str. 22. W Czechach znajdowano, że konstytucya nie może uchylić ces. pisma gabinetowego z 8 kwietnia, zawierającego ową „kartę konstyt.“ dla Czech, i że skutkiem tego karta ta obowiązuje nadal, a konstytucya, o ile się jej sprzeciwia, niema do Czech zastosowania.

² Podobnie postanawiał §. 1 projektu komisijnego zasadniczych praw kromieryskich r. 1848/9.

1814 r. i Ludwika Filipa z 7 sierpnia 1830 r., ani w konstytucyi Niderlandów z r. 1815, kiedy jeszcze Belgia, jako niesamodzielną, ich część składową stanowiła. Dla znalezienia odpowiedniego prototypu trzeba sięgnąć aż do konstytucyi francuskiej z 3 września 1791 r., gdzie w „Deklaracyi praw człowieka i obywatela“ czytamy (punkt 3): iż początku wszelkiej udzielności (*souveraineté*) należy szukać w narodzie; a w trzecim rozdziale konstytucyi: iż jedyna, niepodzielna, nie mogąca się stracić, ani przedawnić udzielność, należy do całego narodu, i żadna jednostka nie może sobie przywłaszczyć jej wykonywania, naród zaś, od którego jedynie pochodzą wszelkie rodzaje władz, przenosi wykonywanie władzy ustawodawczej na zgromadzenie narodowe, by ono ją wykonywało razem z królem, współdziałającym zapomocą sankcyi ustaw, której tylko do trzeciego razu odmówić może. Konstytucya belgijska jest zresztą od austriackiej obszerniejszą, zawiera osobne rozdziały o finansach, o sile zbrojnej, o zmianie konstytucyi i t. d. Podobnie w dziale o powszechnych prawach obywateli, daremniebyśmy szukali w dziele Pillersdorffa postanowień belgijskich o nietykalności własności i warunkach wywłaszczenia, o wykluczeniu konfiskaty dóbr i t. zw. śmierci cywilnej, o wolności nauczania, wolności zgromadzeń i t. p.

Z tego wszystkiego wynika, że niepodobna widzieć w owej konstytucyi austriackiej ostatniego wyrazu teoryi konstytucyjnej i konstytucyjnej wolności. Zdradza ona wielkie luki tam, gdzie w teoryi i ustawodawstwie miała gotowe wskazówki i wzory, a wielkie błędy tam, gdzie nie chciała się liczyć z państwowemi właściwościami Austrii¹. Zawierała ona jednak wszystko prawie, co odpowiadało kierunkowi, reprezentowanemu przez tych, którzy prowadzili ówczesny ruch wiedeński. Ale ruch ten tak już był rozbijały, iż nie wybaczone konstytucyi że była „oktrojowaną“, że ustanawiała dwie izby, zamiast je-

¹ Dlatego należy bardzo zmodyfikować sąd o niej prof. Tarnowskiego l. c., który mówi, że mieści się w niej wszystko, co teorya i umiejętność uważa za rekojnię politycznej wolności i t. d.

danej, ludowej, i że przez wybór senatorów wprowadzała do jednej części reprezentacji państwa cenzus wyborczy. Nazywano ją z tego powodu *ein aristokratisches Muchwerk*. Niezadowolenie, z jakim została przyjęta, zrobiło takie wrażenie na sferach decydujących, bojących się własnego cienia, że wymogły one na cesarzu ustąpienie na wszystkich punktach. Proklamacją z 16 maja oświadczył cesarz, iż „aby usunąć wszelkie powody niezadowolenia, poddać każe tę konstytucję pod obrady zwołać się mającego *ad hoc* Sejmu, który, jako konstytuanta, zajmie się ułożeniem konstytucyi¹. Aby zaś to ułożenie przyjąć mogło do skutku, w sposób, dający jak najwięcej pewności powodzenia, składać się będzie konstytuanta z jednej tylko izby, skutkiem czego przy wyborach nie będzie żadnego cenzusu², a przeto uchylonym zostanie nawet cień niekompletności reprezentacji. W tym duchu wydano d. 30 maja odpowiednie zmiany ordynacji wyborczej, obniżając przy tem wiek wybieralności z 30 na 24 lat; utrzymano jednak wszystkie już postanowione ograniczenia prawa wyborczego (por. §. 31 org. wyb. z 9 maja, i §. 16 zmian) i dopiero dodatkowem rozporządzeniem ministeryalnem z 10 czerwca przyznano czynne prawo wyboru samoistnym, własnowolnym i pełnoletnim robotnikom.

Dnia 22 lipca zebrała się jednoizbowa konstytuanta w Wiedniu, przeniesiona następnie do Kromieryża³. Ale pozostał po

¹ Często wyobrażano sobie przez konstytuante ciało prawodawcze, którego uchwały stają się same przez się ustawami, nie potrzebując do tego sankcyi monarszej. Zbyteczne dowodzić, że tego rodzaju pojmowanie niezgodnem jest z monarchicznem prawem politycznem. Złudzenia, jakieby w tym kierunku mogli być mieć członkowie austriackiej konstytuanty, zostały wcześniej rozwiane, bo jeszcze d. 24 czerwca został wydany dla niej prowizoryczny regulamin, traktujący między innemi i o cesarskiej sankcyi (VI rozdział): patrz *Gesetzeschronik*, Nr. 187.

² Dlatego błędem jest, co mówi Prof. Dr. Ludwik Gumpłowicz w swej *Einleitung in das Staatsrecht*, Berlin 1889, na str. 208, że ordynacya pierwotna z 9 maja ustanawiała dla wyborców do izby deputowanych warunek 6-miesięcznego pobytu, *neben einem Census*.

³ Konstytuanta zastała tylko prowizoryczny gabinet, gdyż Pillersdorff ustąpił stanowczo 9 lipca, a Antoni Doblhoff, który otrzymał pole-

niej tylko projekt na papierze, a epilogiem konstytuancy po jej rozwiązaniu, było nowe oktrojowanie nowej konstytucyi 4 marca 1849 r., która również w życie nie weszła.

Dr. St. Starzyński.

cenie złożenia nowego gabinetu, i objął prowizorycznie ministerstwo spraw wewnętrznych, nie wywiązał się był jeszcze ze swego zadania. Później dopiero zamianowanym został nowy gabinet, w którym jednak Doblhoff objął stale ministerstwo spraw wewnętrznych, a prowizorycznie i oświaty, a prezydyum odstąpił ministrowi spraw zagranicznych, br. Wessenbergowi.



POŁOŻENIE PRAWNE CHRZEŚCIJAN

W PAŃSTWIE RZYMSKIEM

W TRZECH PIERWSZYCH WIEKACH.

Po zdobyciu Weji wdarli się zwycięscy do świątyni bogini opiekuńczej tego miasta. Juno! — zawołali — czy chcesz pójść do Rzymu? A kiedy niebianka skinęła głową na znak przychylenia się do ich prośby, przenieśli ją w tryumfie do swego grodu¹.

Jak Junonę z Weji, tak zapraszali Rzymianie także bóstwa innych narodów do swej stolicy. Z Epidauru przyszedł w r. 291, w czasie wielkiej zarazy w Rzymie, Eskulap, z Frygii w r. 204 Cybele. Za uproszonymi przywędrowały wnet ze Wschodu nieproszone i chwilami nawet proskrybowane, jak: Izysda, Apis, Oziris, Anubis, Harpokrates, Mitras, Adonis, Astarte, Inne bóstwa mniejsze i większe przynosili kuglarze i włóczęgi, co zbierali się w stolicy z całego świata, dla wyludzenia grosza, a Rzym przyjmował je wszystkie, budował im świątynie i ołtarze, nie żądając od nich niczego więcej, jak poszanowania, zewnętrznego przynajmniej, dla starych bogów państwowych, i pokłonu dla posagów Cezara i Romy².

¹ *Tit. Liv. Histor. V, 22.*

² Zob. Broglie. *L'église et l'empire romain au IV siècle.* Paris 1867. T. I, str. 53. — Por. także: Marquardt. *Handbuch der Röm. Alterthümer.* Leipzig 1876. T. III. str. 76. — Cte de Champagne. *Études sur l'empire romain. Les Antonins.* Paris 1874. T. I, str. 46 i nast.

Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że Rzym był religijnym dlatego, że miał według katalogu Warrona 30.000 bóstw urzędownie uznanych, i liczył tyle prawie świątyń, ile domów prywatnych. Wielu bogów starych wyszło bowiem z czasem z użycia, a około nowych i tych, co się jeszcze na liście istot nadziemskich utrzymali, sprawowała już tylko część zabobonnego pospółstwa z pewnym pietyzmem posługę religijną. Klasy wyższe były sceptykami. Wiare zrujnowała w nich filozofia, a zasadą życia stała się dewiza: szydzić z wszystkiego, a więc i z bogów, demoralizować drugich i pozwolić na zdemoralizowanie siebie. Jeśli uczęszczały jeszcze do świątyń, to jedynie w tym celu, aby tam odegrać oficjalną komedję, albo też, co częściej zdarzało się za cesarstwa, aby tam pod osłoną bóstwa oddać się wyrafinowanej rozpuście¹.

„Tysiące stolica liczyła bóstw, — pisze pięknie Niehues — a żadnego wierzącego; świetne uroczystości religijne, a żadnego nabożnego; tyle kłamstwa, ile kapłanów, i tyle gorzkiego rozczarowania, ile ludzi zwracało się do nich i ich kunsztu z prośbami o pomoc”².

Obok bogów fałszywych miał w stolicy swoich czcicieli także Bóg prawdziwy, Jehowa. Żydzi osiedlili się w Rzymie, podobnie jak i na wszystkich wybitniejszych targowiskach świata. głównie od czasów Pompejusza. Juliusz Cezar dał im wolność kultu, choć wiedział, że ich Bóg nie znosi obok siebie drugiego bóstwa; uwolnił ich od służby wojskowej³, i pozwolił żyć według zwyczajów ojczystych. Tak uprzywilejowani tworzyli prawie osobne miasto w mieście. Prawda, że mieli

¹ Na trop takiego lupanaru w świątyni Izdyd wpadł cesarz Tyberysz, i choć ukarał surowo kapłanów, złego jednak nie powstrzymał, albowiem poeci polecali publicznie wszystkim, szukającym miłostek, obok teatrów i portyków, za miejsce najbezpieczniejsze na schadzki — świątynie. Zob. Friedlaender. *Darstellungen aus der Sittengeschichte Roms in der Zeit von August bis zum Ausgang der Antonine*. II. Auflage. Leipzig 1865. T. I, str. 348.

² Niehues. *Geschichte des Verhältnisses zwischen Kaiserthum und Papstthum im Mittelalter*. II. Aufl. Münster 1877. T. I, str. 31.

³ Jos. Flav. *Antiqq.* XIX, 5, 3. Zob. także r. XIV, 17.

także wrogów. Prześladowali ich chwilami Tyberyusz i Klaudyusz; Horacy, Juwenal, Swetoniusz, Tacyt, Seneka, obrzucali ich w swych pismach szyderstwami: w ogóle cieszyło się jednak ich wyznanie przywilejami religii przez państwo uznanej (*religionis licitae*), a ich synagogi miejskie zapępniały się nie tylko dziećmi Izraela, ale także prozelitkami i prozelitami, pochodzącymi z arystokracji rzymskiej¹.

Oto zarys stanu religijnego stolicy, w chwili, kiedy spełniły się przepowiednie proroków i widzenia Sybilli kumejskiej — i wyszło z Judei dwunastu rybaków na podbicie świata. Do Rzymu podążył sam hetman tej gromadki, aby go wziąć na wieczne posiadanie dla siebie i swej dynastyi, którą Syn Boży założył u brzegów jeziora Tyberyackiego, mówiąc do Piotra: „Paś baranki moje, paś owce moje“².

Pytanie, jakie stanowisko zajmie państwo w obec niego i jego Boga, który wojnę niesie wszystkim dotychczasowym bogom?

I.

Według prawa³ powinien był św. Piotr po przybyciu do stolicy prosić władzę o pozwolenie głoszenia kultu Jezusa z Nazaretu. Czy to uczynił? Nam się zdaje, że książę Apostołów ignorował w tym wypadku ustawę państwową podo-

¹ Niewiasty rzymskie zwłaszcza garnęły się chętnie do kultu Jehowy, czego dowodem napisy grobowe, znalezione w katakumbach żydowskich, gdzie obok córek Izraela spią patrycyuszki z rodziny Flawiuszów, Fulwiuszów, Waleryuszów, Juliuszów, Klaudyuszów, Aureliuszów. Na jednym nagrobku czytamy np., że *Paula Veturia*, przyjąwszy religię żydowską, otrzymała imię Sary. Zob. Rossi'ego *Bulletino di Archeologia Cristiana*. Roma 1865, str. 92 i nast.; r. 1867, str. 3 i nast. — Garrucci. *Cimitero degli antichi Ebrei scoperto recentemente in Vigna Randanini*. Roma 1862. — Porównaj także: Marquardt l. c. T. III, str. 81, i Friedlaender l. c. str. 348 i nast.

² Łuk. 21, 15—17.

³ Stare prawo dwunastu tablic głosiło: *Separatim nemo habessit deos; necesse novos, sive advenas, nisi publice adscitos, privatim colunt*. Zob. u Cicerona *de leg.* II, 8. Prawo to zostało w ostatnich dziesiątkach lat istnie-

bnie, jak ignorowały ją inne stowarzyszenia religijne, cisnące się z wszystkich ujarzmionych prowincyj do Rzymu. Prefektura miejska dowiedziała się o istnieniu chrześcijan, a przynajmniej zwróciła na nich baczniejszą uwagę dopiero z chwilą wybuchu zaciętych sporów między nimi a synagogą. i wtedy też po raz pierwszy zapewne wciągnęła wyznawców Chrystusa do katalogu stowarzyszeń religijnych. Nie dała im tamże jednak rubryki osobnej, ale podsumowała, jako nową sektę żydowską, pod rubrykę: „dozwolona religia żydowska (*licita religio judaeorum*)”. Identyfikowanie to chrystyanizmu z judaizmem było dla chrześcijan bardzo korzystnem, gdyż im zapewniało na cały pierwszy wiek przywileje religii uznanej. Wprawdzie żydzi ich się wypierali i denuncywali — jak wnet zobaczymy — u trybunałów państwowych, jako wrogów mozaizmu; państwo jednak oskarżenia albo wprost odrzucało, albo też, jeśli skargę przyjęło, uwalniało chrześcijan po przeprowadzeniu śledztwa, jako nie podpadających pod żaden paragraf kodeksu karnego.

Dowody na poparcie twierdzenia, że państwo identyfikowało istotnie chrześcijan z żydami, mamy w Dziejach Apostolskich i w historyi rzymskiej. Zaczniemy od pierwszego źródła.

Dzieje Apostolskie opowiadają nam kilka procesów św. Pawła. W Koryncie, np. stoi Apostoł narodów przed trybunałem prokonsula Achaji, Galliona. Oskarżycielami są żydzi. Skarża, „iż (Paweł) przeciw zakonowi namawia ludzie chwalić Boga“. Sędziego nudzi widocznie ta sprawa, bo nie wchodząc w nią bliżej wyrokuje: „O mężowie żydowscy, gdyćby co niesprawiedliwego było, albo złoczynstwo wielkie, słusznie bych was wycierpiał. Lecz jeśli są gadki o słowie i imionach i zakonie waszym, sami tego patrzcie: ja nie chcę być tego sędzią“¹.

nia rzeczypospolitej i w początkach cesarstwa obostrzone nowymi zakazami, wzbraniającymi wstępu do stolicy bogom obcym; z zakazami tymi nikt się jednak nie liczył, bo państwo surowe w tym względzie w teorii, o tyle tylko w praktyce zwracało uwagę na stowarzyszenia religijne, aby nie wywołały zaburzeń publicznych. Zob. Marquardt l. c. T. III, str. 76.

¹ Dzieje Apost. XVIII, 13—15.

Drugi proces trwa przeszło trzy lata, przechodzi trzy instancje, i kończy się także pomyślnie dla Pawła. Było to w r. 58. Paweł co dopiero powrócił był z misyi swej apostołskiej, kiedy go żydzi pojмали w Jerozolimie, i byliby zamordowali bez sądu, gdyby go z ich ręki nie był wyrwał trybun rzymski, Klaudyusz Lizyas. Ten przesłuchał go pierwszy, i znalazł — podobnie jak Gallio — oskarżonym „o gadki zakonu, lecz niemającego żadnej winy, godnej śmierci albo więzienia“¹. Na podstawie wyniku śledztwa mógł więźnia zaraz uwolnić, nie uczynił jednak tego z obawy, aby żydzi Pawła nie zabili, i odesłał go przeto do Cezarei, do prokuratora Feliksa. Po pięciu dniach stanęli przed Feliksem także oskarżyciele Pawła: „najwyższy kapłan Ananiasz z niektórymi starszymi, i z niejakim Tertullem prokuratorem“. Oskarżenie ich opiewa: „Paweł jest człowiekiem zaraźliwym, wzbudzającym rozruchy wszystkim żydom po wszystkim świecie, i wodzem rozruchu sekty Nazareńczyków, który się też kusił zgwałcić kościół“². Zarzuty te odparł Paweł tak świetnie, że sędzia z niczem odprawił oskarżycieli, a Pawła każdej chwili był gotów uwolnić, byleby on, poczuwając się do wdzięczności za wyrok, złożył sprawiedliwemu sędziemu łapówkę. Ponieważ jednak Apostoł jego intencyj rozumić nie chciał, jęczał tedy dalej w niewoli aż do r. 60, w którym wywieziony powtórnie przed sąd Festusa, następcy Feliksa, zaapelował do cesarza. Poznaliśmy zapatrywania sędziów prowincjonalnych na chrystyanizm; patrzymy teraz, jak stolica obejdzie się z jego reprezentantem?

Odstawiony pod strażą do Rzymu, mieszka tam Paweł w najętym przez siebie domu. Strzeże go wprawdzie żołnierz, ale straż to tak lekka, że Apostoł może swobodnie przyjmować u siebie ludzi żadnych poznania nowej nauki, „opowiadać królestwo Boże i uczyć co jest o Panu Jezusie Chrystusie, ze wszelkiem bezpieczeństwem, bez zakazania“³. Od-

¹ Dzieje Apost. XXIII, 29.

² Tamże XXIV, 5.

³ Tamże XXVIII, 31.

wiedzących nie brak, a wskutek tego dom Pawła stał się jednym z głównych kościołów chrześcijańskich w Rzymie.

Najważniejszą jest ta okoliczność, że propaganda chrystyanizmu odbywa się zupełnie jawnie. Wie o niej nie tylko lud, ale i prefektura miejska, a nawet otoczenie Cezara. Poświadczają to własne słowa świętego więźnia, pisane z Rzymu do Filipenzów: „A chcę bracia, abyście wiedzieli, iż to, co się ze mną dzieje, więcej się obróciło ku pomnożeniu ewangelii. Tak, iż też okowy moje wiadome są w Chrystusie po wszystkich pałacu i u wszystkich innych. I więcej z braciej w Panie, dufając okowom moim, obficie śmieli bez bojaźni słowo Boże opowiada“¹.

Jaką jednak drogą doszła wiadomość o nowej nauce aż do pałacu Nerona? Częścią przez przyjaciół i współwyznawców Pawła, częścią zaś przez jego wrogów, którzy chcieli zniszczyć czemprędzej różnemi oszczerstwami najniebezpieczniejszego swego przeciwnika. Czy dopięli swego? Po dwóch latach więzienia stanął Paweł przed sądem i wygrał sprawę, choć żadnego — jak sam powiada — prócz Boga nie miał przyjaciela i obrońcy².

Zdaje się nam, że dwa te procesy charakteryzują jasno stanowisko władzy w obec nowej religii. W pierwszym i drugim wypadku bierze ona w obronę jej wyznawców, choć żydzi rzucają im w oczy takie ciężkie i bezpieczeństwu państwa zagrażające zbrodnie, jak np. że chrześcijanie nie chcą mieć królem Cezara, jeno Chrystusa³, a czyni to w przekonaniu, że właśnie między żydami a chrześcijanami są tylko waśniami domowemi dwóch sekt palestyńskich. „Rzymscy rządcy — pisze Broglie — obojętnie i ze wstrętem słuchają tych oskarżeń, i jeśli czasami trzymają, wbrew swemu przekonaniu, chrześci-

¹ Filip. I, 12—14.

² „W pierwszej obronie mojej żaden przez mnie nie stał, ale mnie wszyscy opuścili: niechaj im nie będzie poczytano. Ale Pan stał przy mnie i umocnił mię... i jestem wyrwan z paszczęki lwiej“. List II św. Pawła do Tymot. IV. 16, 17.

³ Dzieje Apost. XVII, 7.

jan w więzieniu. czynią to jedynie dlatego, aby sobie oszczędzić kłopotów“¹.

Dalsze świadectwo na stwierdzenie naszego zdania znajdujemy w znanym ustępie Swetoniusza, gdzie ten historyk opowiada, że cesarz Klaudyusz wypędził żydów ze stolicy dlatego, że zakłócali jej spokój z przyczyny Chrystusa. *Judaeos impulsore Chresto assidue tumultuantes Roma expulit*². Widoczna, że tu mowa o zaburzeniach i sporach między synagogą a gminą chrześcijańską³. Ale czy edykt banicyjny Klaudyusza dotknął tylko samych żydów? Z dziejów apostołskich i listów św. Pawła do Koryntyan i Rzymian dowiadujemy się, że zostali nim objęci także chrześcijanie, a to dlatego, że uchodzili w obec władzy za odłam mozaizmu. W pierwszych czytamy, że Paweł, przyszedłszy z Aten do Koryntu, „nalazł tam niektórego żyda, imieniem Akwilę, rodem z Pontu, który niedawno z Włoch przyszedł, i Pryscyllę, żonę jego: dlatego, iż był przykazał Klaudyusz, aby żydowie wszyscy poszli precz z Rzymu“⁴. Dwa wymienione zaś listy potwierdzają chrześcijańskie wyznanie Pryski i Akwili. „Pozdrawiają was — pisze z Efezu Apostoł narodów do gminy korynckiej — kościoły Azji. Pozdrawiają was wielce w Panu Akwila i Pryscilla, z zgromadzeniem swem domowem, u których też gospodę mam“⁵. W liście zaś do Rzymian sam śle pozdrowienie Prysce i Akwili „pomocnikom swoim w Chrystusie Jezusie“⁶.

Fakt identyfikowania ze strony państwa obu religij łąctwem jest do wytłómaczenia. Oba wyznania wspólną miały ojczyznę, temu samemu kłaniały się Jehowie, i ze czcią wymawiały imiona Abrahama, Mojżesza i proroków. W różnice, które zachodzić mogły między obiema sektami, państwo nie wcho-

¹ Broglie l. c., str. 154.

² Sueton. in Claudio, c. 25. Por.: Tertul. ad nat. l. 3: *Corrupte a vobis Chrestiani prouentiamur*.

³ Zob. artykuł Görresa *Christenverfolgungen* w Krauß'a *Real-Encyclopädie*, i Rossi. *Bullett.* 1867, str. 45.

⁴ Dzieje Apost. XVIII. 2.

⁵ List I. XVI. 19.

⁶ List do Rzym. XVI. 3.

dziło, nie uważając za swój obowiązek, czuwać nad czystością tradycyj religijnych swoich ludów. Znaczny wpływ na wyrobienie sobie opinii o nowej religii musiało dalej wywrzeć na państwo samo zachowanie się żydów w obec pierwszych misjonarzy chrześcijańskich. Przyjmowali ich bowiem z otwartymi ramionami, prowadzili do swych bóżnie i prosili opowiadania słowa Bożego¹. Prawda, że przyjaźń ta trwała nie długo i kończyła się zwykle wyrzuceniem Apostołów ze synagogi. Była ona o tyle korzystna dla siewców Ewangelii, że dawała im sposobność pozyskania prawie zawsze w synagodze choćby kilku uczniów, koło których się następnie nowa gmina chrześcijańska formowała.

Wreszcie uchodził chrystyanizm w oczach pogan i dlatego za sektę żydowską, że pierwotne jego gminy modelowały się w znacznej części na wzór synagogi, i życiem swoim bardzo przypominały tradycje starozakonne. Tak chrześcijanie jak i żydzi zbierali się na wspólne modlitwy: jedni i drudzy święcili sabbat², śpiewali psalmy i czytali ustępy z wspólnych ksiąg świętych. O elementach zaś specyficznie chrześcijańskich pierwotnego Kościoła, którymi były głównie Eucharystya i nadzwyczajne łaski Ducha św., poganie mało albo nie wiedzieli³.

Kiedy tak chrześcijanie żyli w pokoju pod cieniem synagogi, zaszedł w Rzymie wypadek, który naraz zagroził ich egzystencyi w całym państwie. Wybuchł tam mianowicie 17 lipca 64 r., więc w dwa lata po ukończeniu procesu św. Pawła, straszny pożar, i zniszczył w ciągu 6 dni i nocy do szczętu trzy dzielnice miejskie, a z 7 innych zostawił tylko ruiny⁴. Kto

¹ Dzieje Apost. XIII. 5, 14, 43; XIV. 1 i nast.: XVI.

² Chrześcijanie, którzy się nawrócili ze żydów, święcili jakiś czas obok niedzieli także sabbat. Zob. Funk. *Lehrbuch der Kirchengeschichte*. Rottenburg 1886, str. 53.

³ Zob. Duchesne. *Les Origines chrétiennes. Leçons d'histoire ecclésiastique professées à l'école supérieure de théologie de Paris en 1879 et 1880*. Lithographie, str. 20 i nast.

⁴ Według Wiktora Duruy. *Histoire des Romains*. Paris 1879, t. IV., trwał pożar dni dziewięć i zniszczył dzielnic dziesięć.

był jego sprawcą? Głos publiczny posądzał o tę zbrodnię samego Cezara, który, widząc grożące mu niebezpieczeństwo, nie omieszkął za inną oglądnąć się ofiarą. Nie szukał też długo. Wiedział on, że pospólstwo nienawidzi oddawna żydów, a zwłaszcza najskrajniejszych między nimi, znanych pod imieniem chrześcijan. Na tych ostatnich rzucił więc — prawdopodobnie za namową swej nałożnicy, a przyjaciółki żydów, Poppei — podejrzenie podpalenia Rzymu. „Nazwa chrześcijan — pisze Tacyt — pochodzi od Chrystusa, którego za rządów Tyberyusza skazał na śmierć prokurator Poncyusz Piłat. Zgubny ten zabobon, stłumiony na chwilę, znowu począł się pojawiać nie tylko w Judei, która była jego kolebką, ale i w Rzymie, dokąd spływają zewsząd wszelkie zbrodnie i nieczystości, i gdzie znajdują sobie zwolenników. Najpierw schwytano tych, którzy przyznawali się, że są chrześcijanami, a potem, za ich zdradą, ogromne mnóstwo innych, którym dowiedziono nie tyle zbrodni podpalenia, ile nienawiści do rodzaju ludzkiego“¹.

Aby zaś wina chrześcijan była tem widoczniejsza, poddawano ich najwyszukańszym karom. Jednych rzucano, obleczonych w skórę dzikich zwierząt, psom na pożarcie, innych oblewano smołą i oświetlano nimi nocą, jakby pochodniami, ogrody watykańskie.

Spragniony krwi motłoch za lowolnił się podsunęta sobie ofiarą, i nie mogąc dosięgnąć zbrodniarza na tronie, uwierzył w winę chrześcijan tem łatwiej, że niektórzy z nich, co na wzór Tessalończyków, źle pojęli naukę Apostoła narodów o końcu świata, rozsiewali od dawna po mieście wieści o pożarze, który niezadługo zniszczyć miał wszechwładną, królującą na siedmiu wzgórzach, a z nią świat cały².

Przypatrzmy się nieco bliżej, jaki jest charakter tego prześladowania. Czy zasługuje ono na nazwę prześladowania religijnego, i czy stracili przez nie chrześcijanie prawną egzystencję w państwie na przyszłość? Nam się zdaje, że religia

¹ Tacit. Annal. XV, 44.

² List II św. Pawła do Tessal. I—III.

ani polityka w grę tu wcale nie wchodzi. Prześladowanie jest w rękę Nerona tylko środkiem osobistej obrony; dla chrześcijan zaś jest chwilowym aktem gwałtu, który prawo legalnej ich egzystencji w państwie na pewien czas zawiesza, o przyszłości ich jednak nie decyduje. Gdyby pożaru stolicy nie było, nie wahamy się twierdzić z p. Aubé, że nie byłoby i nerońskiego prześladowania¹. Tacyt wymienia w przytoczonym powyżej ustępie chrześcijan po imieniu, zna także ich założyciela, ale nigdzie słowem nie wspomina o edykcie, którymby Nero był skazał ich na zagładę z powodu religii. Wyrażenie: *superstitio malefica*, zgubny zabobon, jest raczej nazwą, którą piętnowano chrześcijan od początku drugiego wieku, aniżeli ich kwalifikacją w drugim dziesiątku wieku pierwszego; trudno bowiem zrozumieć, dlaczego chrystyanizm, uznany przed pożarem Rzymu — jak tego dowodem uwolnienie Pawła (w r. 63) — za religię dozwoloną, miał za kilkanaście miesięcy (r. 64) uchodzić w obec tego samego trybunału za zbrodnię stanu. Ginęli więc chrześcijanie za Nerona pod zarzutem zwyczajnych zbrodni podpalenia, kazirodztwa, brania udziału w ucztach Tyestesesa i nienawiści do całego rodzaju ludzkiego (*odium generis humani*).

Również i po śmierci Nerona w ciągu trzydziestu lat następnych nie wyszedł żaden edykt proskrypcyjny przeciw chrześcijanom — przynajmniej o nim najmniejszej nie mamy wiadomości. Żyli więc spokojnie aż do ostatnich lat panowania Domicyana, płacąc, jako sekta żydowska, razem z żydami podatek na rzecz Jowisza kapitolńskiego, nałożony przez Wespazjana. Krzywdy wyrządzał im tylko sam motłoch, który nie mógł znieść widoku tego ludu, co unikał stale jego festynów i ołtarzy, co śmiał się, kiedy inni płakali, a smucił, kiedy wszyscy się weselili². Pamięć szyderstw, jakie pospólstwo miało

¹ *Sans l'incendie, pas de persécution. Zob. Aubé. Histoire des persécutions de l'Eglise jusqu'à la fin des Antonins. II éd. Paris 1875. T. I, str. 74 i następne.*

² Tacit. Annal. XIII, 32.

codziennie na chrześcijan, przechowały nam wydobyte z ziemi stare mury pompejańskie. Na ścianie domu, który de Rossi uważa za miejsce modlitwy, albo szkołę chrześcijan pompejańskich, znalazł uczony archeolog neapolitański Minervini w r. 1864 następujące, węglem skreślone napisy:

AVDI CHRISTIANOS SIIVOS ¹ OLORES

Przysłuchaj się chrześcijanom okrutnym łabędziom.

MVLVS HIC MVSCILLAS DOCVIT

MENDAX VERACI VBIQVE SALVTEM

Tutaj mól uczył muchy.

Kłamca prawdzie śle pozdrowienie.

Napisy te, to najstarszy ² dokument epigrafiki pogańskiej, zawierający wyraźną wzmiankę o chrześcijanach. Autor paszkwilu zwie ich łabędziami, ponieważ umierali, według wyrażenia pogan, jak łabędzie, śpiewając hymny na cześć Chrystusa.

Około roku 94 wybuchło drugie krwawe prześladowanie chrześcijan. Między jego ofiarami znachodzą się osoby z rodu senatorskiego, a nawet bliskie tronu, jak: Flawiusz Klemens, jego żona Flawia Domitylla, i inne niewiasty z rodziny Domicyana. Klemensowi i Domitylli zarzucił cesarz zbrodnię wzgardzenia bogami ojczystymi (*impietas in deos*) i przyjęcia zwyczajów żydowskich (*aberratio in mores iudaeorum*)³.

Pod zarzutem tych samych zbrodni ginie także konsul z r. 91 senator Scilius Glabrio i mnóstwo chrześcijan, którzy nie chcieli płacić z żydami podatku na świątynię Jowisza Kapitońskiego.

Oskarżenie Domicyana z dwóch względów jest ciekawe. Zarzut bowiem wzgardy, wyrządzonej bogom ojczystym, nadaje temu prześladowaniu barwę prześladowania religijnego; zdra-

¹ *siivos* zamiast *sacros*.

² W każdym razie są starsze nad rok 79 po Chr. Zdaniem Rosi'ego pochodzą z czasów prześladowania Nerona. Zob. *Bulletino di arch. crist.* 1864, str. 69. Porów. także: Kraus. *Das Spottcrucifix rom Palatin*. Freiburg im Br. 1872, str. 11.

³ Dio Cassius. *Histor.* LXVII, 14. Por. także: Sueton. *Domit.* c. XII. Euseb. *Hist. Ecl.* III. 14.

dza, że państwo poznało już niebezpieczny dla bogów Panteonu charakter Boga chrześcijańskiego, i stanowi równocześnie zapowiedź bliskiego już wyjęcia chrześcijan stale z pod prawa. Drugi zaś zarzut, to jest: przyjęcie przez arystokrację rzymską zwyczajów żydowskich, jest nowym świadectwem identyfikowania jeszcze chrześcijan z żydami przez władzę, pod koniec wieku pierwszego.

Dla wykończenia poglądu na tę najwcześniejszą dobę życia Kościoła, powiemy jeszcze słów kilka o prawie własności chrześcijan w tym czasie. Czy chrześcijanin, jako jednostka, mógł być prawnym posiadaczem dóbr ziemskich, i czy mogła być nim także gmina chrześcijańska, tak w samej stolicy jak i na prowincyi?

Nie ulega żadnej wątpliwości, że nietylko jednostki, ale także całe rodziny chrześcijańskie posiadały *de facto* w całym państwie rzymskiem tak ruchome jak i nieruchome majątki. Jest dalej rzeczą pewną, że i Kościół posiadał *de facto* już w czasach Apostolskich majątek swój wspólny, kościelny, gdziekolwiek tylko istniała gmina chrześcijańska. Nie mamy bowiem najmniejszego powodu do przypuszczenia, żeby chrześcijanie w Rzymie, Koryncie, Efezie, Antyochii lub Aleksandryi byli mniej ofiarnymi i miłosiernymi dla biedniejszych braci od owych w Jerozolimie, co składali swe mienie na wspólne potrzeby Kościoła w ręce Apostołów¹. Ale czy jednostki i gminy chrześcijańskie posiadały swe majątki legalnie, a zatem z wiedzą i aprobatą władz? Odpowiadamy twierdząco. Wprawdzie nie przyznało im państwo prawa własności osobnym dekretem, wystosowanym do nich, jako do chrześcijan: chrześcijan bowiem nie znało. tylko żydów — powtarzamy z naciskiem — ale narzuciwszy im raz tytuł sekty żydowskiej, uznało ich tem samem, podobnie jak synagogę, osobą prawniczą, zdolną posiadania. Innemi słowy: kwestya legalnego po-

¹ Dzieje Apost. IV. 34 i nast. „Żadnego między nimi nie było niedostatecznego. Gdyż którykolwiek mieli role albo domy, przedawszy przynosił zapłatę za ono, co sprzedawali. I kładli przed nogi Apostolskie“.

siadania wynika koniecznie z przyznanej im faktycznie egzystencji legalnej pod imieniem odłamu mozaizmu.

Ale czy ten tytuł żydów-chrześcijan dawał wiernym jakieś gwarancje na przyszłość? Zapewnie czuli oni dobrze jego kruchosć, i wiedzieli, że państwo lada chwila mogło przeprowadzić różnicę prawną między wyznawcami Chrystusa a żydami, i odebrać im wraz z legalną egzystencją prawo własności. Jak sobie tedy radzili? Niektórym z nich przysługiwało imię prawnego posiadacza z tytułu obywatelstwa rzymskiego. Pod tą przeto najbezpieczniejszą ochroną prawa prywatnego, kryły swe mienie nie tylko jednostki, ale także pojedyncze gminy chrześcijańskie, jeżeli tylko możebnem to było, podobnie jak ukrywają je dziś zakony pod imieniem osób prywatnych w krajach, które im odebrały prawo egzystencji. Na imię też osób prywatnych legowali umierający na rzecz Kościoła swoje majątki ruchome i nieruchome.

Co więc mogli chrześcijanie posiadać? To samo, co posiadali obywatele rzymscy i żydzi, a więc: domy prywatne, które były nieraz równocześnie domami modlitwy, i dobra ziemskie, a w nich obszerne cmentarze. Ślady najstarszych kościołów odnajdujemy przy pomocy Pisma św. i tradycji w domach: Pryski i Akwili¹, senatora Pudensa², i w mieszkaniu św. Klemensa Papieża³. Do cmentarzy zaś, sięgających

¹ „Pozdrowcie Pryskę i Akwilę pomocniki moje w Chrystusie Jezusie... i zgromadzenie ich domowe“ — pisze św. Paweł w liście swym do Rzymian. XVI. 3—5. — Gdzie stał dom tych chrześcijańskich małżonków, o których św. Paweł powiada jeszcze pięknie, „że za duszę jego szyję swoją stawiali“? Według tradycji, jest właśnie dzisiejszy kościół św. Pryski na Awentynie domem przyjaciół św. Pawła.

² Dom Pudensa był położony w tem samym miejscu, gdzie dzisiaj stoi kościół św. Pudencyany, niedaleko bazyliki S. Maria Maggiore. Między rodziną Pudensa, a wspomnianymi powyżej małżonkami, Akwilą i Pryską, musiały zachodzić stosunki pokrewieństwa albo przyjaźni; w cmentarzu familijnym Pudensa, tj. w katakumbach Pryscylli, spotykamy bowiem obok innych napisów nagrobki Akwilina, Akwili i Pryski. Zob. Rossi. *Bullett.* 1867, str. 43 i nast.

³ Prawdopodobnie stoi dzisiejsza bazylika św. Klemensa na fundamentach rodzinnego domu wielkiego Papieża. Zob. Rossi. *Bullet.* 1863, str. 25 i nast.

czasów Apostolskich, zalicza Rossi najpierw katakumbę Luciny przy drodze Ostyjskiej, gdzie został pochowany św. Paweł. Również stare są katakumby św. Pryscylli przy drodze *Salaria Velus*, których napisy grobowe wymieniają osoby współczesne Flawiuszom; dalej katakumby Ostyjskie, gdzie według tradycji pomników, Piotr św. udzielał chrztu katechumenom, a wreszcie katakumby Domitylli w winnicach Flawiuszów, przy drodze Ardeatyńskiej. Kilka innych katakumb, jeśli nie są równie stare, jak wymienione, pochodzą przynajmniej z pierwszej połowy drugiego wieku, za czym przemawia styl klasyczny ich fresków, dekoracje w stucco, wreszcie rodzaj ich kamieni grobowych, przypominający czasy Domicyana lub Trajana¹. Nasuwa się teraz ważne pytanie: czy były własnością prywatną, czy też kościelną? Nazwy ich świadcząby za pierwszym, choć z drugiej strony nie jest wykluczonem, że mogły już, przynajmniej niektóre, przejść z początkiem drugiego wieku na własność rzymskiej gminy chrześcijańskiej. O los zaś tej ziemi cmentarnej mógł Kościół być zupełnie spokojnym, nawet w chwilach prześladowania, kiedy wszystkie majątki chrześcijańskie, o których wiedziała prefektura miejska, ulegały skonfiskowaniu. Rzecz to wiadoma, że grób w starożytności, tak pojedynczy, jak i familijny, zostawał w największym poszanowaniu u wszystkich narodów, a grzebanie zwłok świętą było powinnością, za której zaniedbanie czyni zabity Patroklos przyjacielowi we śnie gorzkie wyrzuty:

„Spisz Achillu, zaś o mnie zupełnieś widać zapomniał.
Nie opuściłeś mię w życiu, lecz zapominasz po śmierci;
Jak najprędzej mię chowaj, bym wrota przebył Hadesa;
Duchy mi bronią przystępu, zjawiska spoczywających.
I nie dają ze sobą się złączyć za brzegiem strumienia;
Ale się błąkam daremnie przy Hajda wrotach obszernych“².

¹ Zob. Rossi. *La Roma Sotterranea Cristiana*. Roma 1864. T. I, str. 184 i nast.

² „Iliada“, tłómaczenie Popiela, pieśń XXIII, w. 69—74.

Inny przykład. W Atenach musiały osoby, powołane do najwyższych godności, udowodnić wprzód, że pogrzebały uczciwie rodziców; w Rzymie czuwało nad nietykalnością grobu osobne kolegium kapłanów. Samo już złożenie zwłok do ziemi zapewniało temu miejscu opiekę prawa i czyniło je religijnem (*locus religiosus*)¹; osobne zaś jego poświęcenie przez kapłana robiło je miejscem świętem (*locus sacer*). Co więcej, prawo, ogłaszając grób świętym, zabezpieczało go równocześnie od sprzedaży i przejścia spadkiem w obce ręce. Wypowiadają to jasno formuły, spotykane często na kamieniach grobowych.

H · M · H · EX · T · N · S

Hoc monumentum haeredem ex testamento non sequatur: ten grobowiec nie przechodzi testamentem na moich spadkobierców, ale zostaje wieczystem miejscem spoczynku dla mnie i mej rodziny. — Natomiast naruszenie grobu pociągało za sobą karę pieniężną, przypadającą kasie miejskiej. Prawo rzymskie pozwalało nawet na uczciwe pochowanie tych, których śmiercią karało². Przeszkody, jakie chwilami stawiali chrześcijanom niektórzy urzędnicy lub rozbestwione pospółstwo w zbieraniu relikwii lub grzebaniu męczenników, były aktami samowoli. W ogóle mogli krewni skazańca przyjść do sędziego i żądać, jak Józef z Arymatei, wydania zwłok z ręki katów, w celu pochowania ich według własnego rytuału pogrzebowego. Nie robił też kodeks karny różnicy między ubogimi a bogatymi, obywatelami a cudzoziemcami, czcicielami bogów Panteonu lub obcych. „Czy więc chrześcijanie chcieli lub nie chcieli — konkluduje Rossi — czy im to było na rękę, czy nie, nie mogły groby ich w obliczu prawa rzymskiego nie być miejscami religijnymi, a tem samem nie mogły nie mieć opieki władzy³.”

¹ Marcian. *Digest.* I. 8, 6. §. 4: „Religiosum locum unusquisque sua voluntate facit, dum mortuum infert in locum suum“. Zob. także: Marquardt l. c. T. III, str. 143.

² *Digest.* XLVIII. 24, 2: „Corpora animadversorum quibuslibet petentibus ad sepulturam danda sunt“.

³ „Che adunque i Cristiani volessero o non volessero, che ciò fosse per loro un beneficio od un imbarazzo, i loro sepolcri al cospetto della lege romana non poterano non essere religiosi“. *Bullett.* 1865, str. 90.

Korzystnem było dalej dla chrześcijan, że opieka ta prawną rozciągała się nie tylko do samego grobu, tak pojedynczego, jak familijnego, ale także do całego obszaru ziemi, który z woli testatora do grobowca należał, a który zwał się *area*. W ścisłym rozumieniu oznaczał ten wyraz kawał ziemi, który bezpośrednio grób otaczał; w znaczeniu zaś dalszem obejmował jeszcze ogrody i winnice, zwane *area adjecta* i odgraniczone od posiadłości sąsiednich kupami kamieni lub słupami. Dochód z całej arei szedł na utrzymanie grobowca i stróża całego tego obszaru. Jej rozmiary, wyryte zwykle na słupach granicznych, bywały różne, odpowiednio do godności i majątku nieboszczyka.

Średnia *area*, jeśli była formy kwadratowej, obejmowała około 125 stóp¹ z przodu, tj. od drogi (IN FR. in fronte) i tyleż stóp w głąb (IN AG. in agro); większe zawierały nieraz kilkanaście morgów rzymskich. Tak mówi np. jeden kamień grobowy: *Huic Monumento Cedunt Agri Pari Jugera decem*, „do tego monumentu przydzielam 10 morgów czystego pola“, czyli obszar wynoszący 85.348 metrów kwadratowych².

Więcej światła rzuci na zwyczaje i prawa, normujące sprawy pogrzebowe, dalszy ciąg tej pracy, gdzie będzie mowa o prawnem istnieniu Kościoła w obec państwa rzymskiego w dwóch wiekach następnych.

(C. d. n.)

Ks. Bilczewski.

¹ Stopa rzymska wynosiła 0.29574 m. Jugerum zaś był prostokąt długi 240 stóp na 120 szerokości.

² Zob. Kraus. *Roma Sotterranea*. II. Auflage. Freiburg im Br. 1879, str. 52.

UBIORY PROFESORÓW I UCZNIÓW

W UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM

W ZWIĄZKU Z WSPÓŁCZESNYMI ZWYCZAJAMI (1864—1889).

(Dokończenie).

12. Historia powstania dzisiejszych ubiorów korporacyjnych.

Od r. 1833 weszły znów w modę ubiory cywilne. To też, gdy w r. 1842 wracający z podróży rosyjski minister Uwaroff przybył do Krakowa, przedstawili mu się profesorowie z rektorem na czele we frakach. Przedstawienie miało charakter urzędowy, a odbyło się w kolegium fizycznym. Uwaroff, sam ubrany w mundur i przywykły do niego, jako do stroju używanego przy oficjalnych występach, zdziwił się na widok fraków ¹.

Stroje cywilne zaczął znów rugować z uniwersytetu naszego zwyczaj austriacki. Najwyższe rozporządzenie z dnia 21 sierpnia 1849 roku zaprowadziło dla wszystkich urzędników państwa austriackiego uniform ściśle według rang określony ². Tej też ustawie mieli podlegać i profesorowie naszego uniwersytetu. Odnośne zawiadomienie nadeszło i wprost z ministerstwa oświaty i od komisji gubernialnej ². Ta ostatnia przysłała je rektorowi z tym dodatkiem, że zobowiązanie urzędni-

¹ Zob. Brodowicz, Ważniejsze dokumenta, str. IX.

² Zob. Archiwum Senatu akademickiego L. 1:62.

ków do noszenia uniformu ma nastąpić z urządzeniem nowej organizacyi władz krajowych; zanim to jednak nastąpi, pozostawia się profesorom do woli ubierać się albo w uniform wedle dawniejszego przepisu z r. 1812, albo w zwyczajne suknie cywilne. Ówczesny rektor uniwersytetu, Dr. J. Majer, podał to rozporządzenie do osobistej wiadomości profesorów i do dalszego zastosowania¹. O wykonaniu tego rozporządzenia zaczęto u nas myśleć dopiero w r. 1851, gdy zapowiedziano, że cesarz odwiedzi Kraków². Namiestnictwo wydało odezwę, aby urzędnicy wszelkich kategorii zaopatrzyli się w najściślejszy uniform i w nim tylko podczas pobytu cesarza występowali. Senat akademicki, zawiadomiony o niej przez komisją gubernialną, odpowiedział, że zaopatrzenie się w mundury dla korporacyi uniwersyteckiej, jak w obecnych stosunkach, jest niemożliwe, a to z powodu braku wszelkich w tej mierze przygotowań i z powodu krótkiego czasu. Podano wreszcie i ten powód, że senatowi nie jest wiadomy stopień profesorów i władz uniwersyteckich, a tem samem i odpowiednie rozróżnienie mundurów według rang urzędowych i stanowiska hierarchicznego. Dla tej przeto przyczyny trzeba poczekać z przywdzianiem mundurów, aż ostateczna organizacya kraju te wszystkie stosunki wyświeci; zresztą sama komisya gubernialna w odezwie z roku 1849 sprawę umundurowania aż do chwili ostatniego uporządkowania kraju odłożyć pozwoiliła. Z tą tak uzasadnioną odpowiedzią wniósł senat akademicki jednocześnie do komisji gubernialnej prośbę, aby, gdzie i o ile uczynić to wypadnie, wystąpienie władz uniwersyteckich w ubiorze cywilnym przed monarchą usprawiedliwić raczyła³.

Ta odpowiedź senatu nabawiła komisję gubernialną, na której czele stał Ettmayer, niepokojem i wywołała ożywioną korespondencyę. Ku uspokojeniu komisji wypadło szczęśliwie, że termin przyjazdu monarchy do Krakowa został odroczoney. Nie poprzestała ona jednak wywierać nacisku na senat, aby

¹ Zob. Arch. Sen. akad. L. 1/62.

² Tamże.

³ Tamże.

zarządził sprawienie mundurów. W odpowiedzi tedy na pismo senatu zbija komisya wszystkie jego punkta uniewinnienia. I tak co do powzięcia wyjaśnienia o rangach profesorów i władz uniwersyteckich odesłała senat do przepisu o uniformach z dnia 14 sierpnia 1849, a mianowicie do przytoczonego tam postanowienia z dnia 20 maja 1813 roku.

Co do punktu, że stosunki co do rang wykaże dopiero ostateczna organizacya kraju, komisya gubernialna oznajmiła senatowi, iż organizacya kraju nie ma żadnego związku z organizacją uniwersytetu, która przez wprowadzenie prowizorycznego prawa o władzach uniwersyteckich za dopełnioną uważaną być powinna, tem bardziej, że uniwersytet krakowski przez zaprowadzenie prawa tego stanął pod tym względem na równi z innymi austriackimi uniwersytetami; te więc uniformy, jakie członkowie korporacyj uniwersyteckich gdzieindziej noszą, stosują się bez żadnej wątpliwości i do członków uniwersytetu krakowskiego ¹.

Mimo tej odpowiedzi senat nie zmienił swego zdania. owszem poszedł dalej — zamiast mundurów postanowił przywrócić togę. W tym celu odniósł się po opinią do wydziałów. Nie wiemy, co odpowiedziały inne wydziały; filozoficzny oświadczył się przeciw mundurom i zaproponował przywrócenie togi. Zdaniem jego, Najjaśniejszy Pan będzie najuroczyściej przyjęty, gdy mu się profesorowie uniwersytetu przedstawia w togach, które już od 500 prawie lat były solenno-urzędowym strojem krakowskich profesorów, przywdziewanym od najdawniejszych czasów, ilekroć razy akademicka krakowska koronowana głowy w gmachach swoich witała. Toga jest nadto zewnętrzną odznaką i wyłącznym strojem mężów, którzy otrzymali uczony stopień. Fakultet filozoficzny oświadczył stanowczo, że ma wszelkie prawa do noszenia togi, a praw tych nie odebrała mu żadna ustawa. Fakultet pragnie uczyć Najjaśniejszego Pana, a uczy go najlepiej, gdy wystąpi w togach. Wszelkie inne stroje nie zgadzają się ze stanowiskiem

¹ Arch. Sen. akad. L. 1 62.

i powagą profesorską. Leży nadto w interesie monarchii poszanować i zachować wszystkie dawne tradycje i obyczaje tej korporacyi uniwersyteckiej, która przez wszystkie wieki była podporą tronu i kraju.

Fakultet filozoficzny przesłał swoją opinię senatowi na piśmie wraz z prośbą, aby była odesłaną do ministra oświaty ¹.

Senatowi ówczesnemu, na którego czele stał zasługujący się około uniwersytetu Dr. J. Majer, chodziło o to, aby nie wprowadzać do uniwersytetu naszego mundurów, a z drugiej strony o to, aby przez wystąpienie w togach nie ściągnąć na siebie niełaski monarszej. W tym tedy celu wystosował senat pismo, motywowane wprost do ministra oświaty, dołączając do niego opinię wydziału filozoficznego, która, według relacyi senatu, była wspólnym wyrazem życzeń wszystkich wydziałów ².

Senat dopiero po wysłaniu pisma swego do ministerstwa zawiadomił o tym swoim kroku komisję gubernialną ³.

Pismo senatu przyjął minister do wiadomości i zawiadomił o tem senat w drodze telegraficznej.

Czas przyjazdu bliski wymagał wielkiego pośpiechu. Wzórów do tog nie było, istniało tylko kilka starych tog czarnych, które zawdzięzano do promocyj.

W takich warunkach i okolicznościach powstał dzisiejszy strój korporacyi uniwersyteckiej. Twórcami jego byli rektor Majer i profesorowie Helcel i Pol. Według zapewnień prezesa Majera zasięgano, o ile czas pozwolił, rady w zagranicznych uniwersytetach, polegano jednak przeważnie na tradycyi i na własnym koncepcie.

Stroje więc używane dziś przez rektora, profesorów i be-
delów datują z r. 1850.

Najjaśniejszy Pan okazał się niechętny dla tog, które też niebawem zarzucono. Kurator uniwersytetu Bartynowski wznowił dawne przepisy o mundurach ⁴. Pojawiły się też za jego kuratoryi rozporządzenia, odnoszące się do noszenia bród, wą-

¹ Zob. Arch. Sen. akad. L. 1/62.

² Tamże.

³ Tamże.

⁴ Tamże.

sów i bakenbartów. Brody miały być całkiem zgolone według przepisu, a mianowicie pod kątami przez linię ust zakreślonymi. Wąsy i bakenbarty miały mieć średnie rozmiary ¹. Mimo gorliwych a niejednokrotnie za gorliwych usiłowań Bartynowskiego nie przyjęły się w naszym uniwersytecie ani mundury, ani wymagany sposób golenia bród; nie noszono też tog; wrócono do ubiorów świeckich.

Nadszedł wreszcie rok 1869 i chwila powtórnego pogrzebu odkrytych zwłok Kazimierza Wielkiego. Uniwersytet nie mógł nie wziąć udziału w tym akcie uczczenia monarchy, któremu swoje istnienie zawdzięczał. Na wniosek prof. Dra Łepkowskiego uchwalono, aby uniwersytet wystąpił w togach, które znów odgrzebano i uzupełniono. Czytamy w *Czasie* pod dniem 2 lipca 1869 roku: „Jak wiadomo, senat akademicki i rektor, reprezentując uniwersytet, używali tog. Obecnie dla ujednostajnienia uroczystego stroju, szyją togi dla wielu tych panów profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy ich nie mająją”. Taką oto jest historia powstania dzisiejszych strojów korporacyjnych.

13. Ubranie rektora.

Podczas promocyj, przy uroczystych przemówieniach do młodzieży, w czasie dorocznego nabożeństwa uniwersyteckiego u św. Anny, przy tych i tym podobnych okolicznościach występuje rektor poczynawszy od 1850, a względnie 1869 r. w stroju tak zwanym rektorskim, składającym się z następujących części: z biretu, łańcucha złotego, kołnierza gronostajowego, togi, żupanika z pasem, pierścienia i wreszcie rękawiczek. Rektorowi towarzyszą przy tej sposobności berła, niesione przez bedeli. Biret jest aksamitny pasowy, u dołu okrągły, w górze czwororożny.

Łańcuch rektorski złoty nie odznacza się ani szczególną kompozycją, ani piękną robotą. Jestto wyrób jakiegoś fabrykanta wiedeńskiego. W środku łańcucha wisi na trójliściu

¹ Arch. Sen. akad. L. 1/62.

okrągłe ogniwo wewnątrz z herbem uniwersyteckim emaliowanym. Do ogniwa przywieszona jest gwiazda srebrna z umieszczoną na niej złotą. Łańcuch waży 256.75 gr., ogniwa jego zrobione są ze złota 12¹/₂ próby, zawieszenie ze złota 10¹/₂ karatowego, srebrne części ze srebra 14 próby.

Kołnierz czyli pelerynka gronostajowa ma zapięcie na przodzie.

Prof. Łepkowski usiłował za swego rektorstwa przenieść zapięcie na plecy, aby dla łańcucha rektorskiego gładkie pozyskać tło. Ta nowość nie przyjęła się. I dawne załogi teologów miały zapięcie wtyle.

Toga rektorska jest atlasowa pasowa, spada w obfitych fałdach po kostki, zapina się na piersiach na drobne guziczki i zawiązuje pod szyją sznurkiem z kutasami; ma wąski kołnierz aksamitny wywijany, a rękawy bardzo szerokie, aksamitem przy końcach obszyte.

Żupanik pasowy z wąskimi rękawami, na guziki zapinany, kładzie się pod togę, aby zakryć te części stroju cywilnego, któreby zpod niej wyglądały. Dziś niektórzy już tylko rektorowie używają żupanika.

Sygnetów jest dwa: jeden z dawnych czasów, drugi nowy, zrobiony ze złota koronnego z fałszywym kamieniem w tłoku. Stary sygnet przechowuje się jako zabytek, a używa się dziś przeważnie tylko nowy.

Rękawiczki są jedwabne czerwone.

Co do beret, to dziś wszystkie bywają noszone przed rektorem, tj. i pierwotne rektorskie i oba kanclerskie ¹.

Zachodzą znaczne różnice między dawnym a dzisiejszym strojem rektora. Całkiem nową częścią jest łańcuch, który wprowadzono do ubrania rektora z pewnością na mylnej owej tradycyi, obalonej przez Muczkowskiego. Nowością jest żupanik.

Kołnierz czyli pelerynka jest o tyle nowością, że jest

¹ Dokładny opis beret uniwersytetu Jagiellońskiego dałem w szkicu O Rektorach uniw. Kaz. i Jagiell., druk. w Kronice uniw. Jag. Kraków, 1887 r.

gronostajowa: dawniej pelerynki były zrobione z tej samej co toga materyi. tj. z aksamitu i były złotym obszyte galonem. Jakie były podstawy i pobudki do wprowadzenia gronostai? Przykład dał był już Litwiński, a nadto nasunął gronostaje posąg św. Jana Kantego, umieszczony w niszy facyaty kościoła św. Anny. Święty ubrany jest tu w strój profesora teologii z załogą, wyłożoną gronostajami. Dano mu do rąk dwa berła, nie jako bylemu rektorowi, gdyż nim ani raz nie był, ale jako patronowi akademii, którego powszechnie czczono. Z czasem zatarła się tradycja dawnych strojów, a miejsce prawdy zajęło mniemanie, że św. Jan Kanty jest w stroju rektora, mniemanie, które dziś jeszcze od poważnych nieraz znawców starożytności usłyszeć można. W kościele św. Anny znajdują się portrety świeckich i duchownych osób z gronostajami lub lub popielicami. Jedne z nich, jak widzieliśmy, to portrety doktorów medycyny, inne znów, to wizerunki kanoników św. Anny, t. zw. Artwińskich. Otóż za przykładem Litwińskiego i pod wrażeniem gronostai na wymienionych właśnie pomnikach wyrobiło się mylne przekonanie, że rektorowie w dawnych czasach nosili gronostaje. W tem też przekonaniu i w tej wierze dodano w roku 1850 do ubrania rektorskiego gronostaje.

Jest różnica i pomiędzy dawną a dzisiejszą togą rektora. Barwa coprawda pozostała, ale zmieniła się materya; zamiast aksamitu wzięto atlas, zamiast złotych galonów dano aksamitne wyłogi. Rękawy pozostały szerokie, jak dawniej.

Inne części, jak biret, rękawiczki i sygnet wzięte są z przeszłości. Różnica znów zachodzi co do berel. Dawniej jedno tylko berło było noszone przed rektorem, dziś wszystkie trzy; zresztą nie ma dla nich jeszcze utartej i ustalonej nazwy. Jedni nazywają wszystkie trzy berła uniwersyteckimi, a inni znów rektorskimi, tak, że nie wiadomo, czy owe berła są zewnętrzną oznaką, nie powiem władzy, ale powagi uniwersytetu, czy też rektora. Należałoby w tym względzie wrócić do dawnego zwyczaju, tak, że jedno berło tylko, i to najstarsze, będzie oznaką władzy rektorskiej, a dwa inne całego uni-

wersytetu. Pierwsze nazwijmy rektorskim, a dwa inne uniwersyteckimi. Prawo, które dawniej posiadał kanclerz, jest teraz prawem całej korporacji. Słusznie też oba dawne kanclerskie berła uniwersytetowi całemu się należą. I tych dwóch tylko berel należy używać przy promocyach.

14 Profesorowie, dziekani i prorektor.

Togi profesorów wszystkich wydziałów są do siebie podobne, a mianowicie wszystkie porobione są z czarnego sukna, różnią się tylko wylogami u rękawów. Profesorowie teologii mają u tog fioletowe, profesorowie prawa czarne, profesorowie medycyny pąsowe, profesorowie filozofii szafirowe wyłogi. Wszystkie wyłogi są aksamitne.

Z aksamitu zrobione są i pelerynki, i mają tę samą barwę co wyłogi u tog, a więc w wydziale teologicznym fioletową, w prawniczym czarną, w medycznym pąsową, w filozoficznym szafirową. Pelerynki zawiązują się pod brodą na jedwabne sznurki z kutasami.

Birety we wszystkich wydziałach są jednakowe, a mianowicie: aksamitne czarne, okrągłe u dołu a czworokątne w górze.

Pomiędzy ubraniem dzisiejszych profesorów a strojami dawnych, zachodzą dość znaczne różnice. Togi wprawdzie były dawniej i są dziś czarne, długie, sukienne, z szerokimi rękawami, ale wyłogi dawnych były jednakowe tj. karmazynowe; dziś każdy wydział ma swoje właściwe barwy wylogów.

Pelerynki były u teologów dawniej aksamitne granatowe, dziś są aksamitne fioletowe; u prawników dawniej atlasowe karmazynowe, dziś aksamitne czarne: u medyków dawniej czarne z gronostajami, dziś aksamitne pąsowe, u filozofów dawniej czarne atlasowe, dziś aksamitne szafirowe. Birety dawniej były sztywne i miały rogi, dziś są miękkie bez rogów.

Dziekani mają ten sam strój co profesorowie, a wyróżniają się od nich tylko łańcuchami wkładanymi na szyję. Te łańcuchy sprawiono razem z rektorskim za rektoryi Dietla.

Wszystkie cztery są do siebie całkiem podobne. Każdy składa się z 44 ogniw dętych przez wybijanie z blachy i waży 176·25 gr. Długość wynosi 1 m., wartość kruszeu 25 dukatów. Ogniwa łańcuchów wykonane są ze złota 12½ karatowego. U każdego łańcucha na trójlściu wisi ogniwo okrągłe, wewnątrz z herbem uniwersyteckim emaliowanym, a u tego ogniwa zawieszona jest gwiazda srebrna, stanowiąca tło do mniejszej złotej do niej przymocowanej. Łańcuch dziekański podobny jest więc w częściach składowych do rektorskiego, ale mniej od niego bogaty. W zawieszonych gwiazdach złoto jest 10½ karatowe, srebro 14 próby.

Razem z łańcuchami sprawiono cztery berła dziekańskie. Berła porobione są z mosiądzu i są posrebrzane, figury i ornamentyka są złocone. Rysunek do nich dał architekt Książarski; figurki zdobiące kapitele z podpisami łacińskimi: św. Jan Kanty, Kazimierz Wielki, Sebastyan Petrycy, Mikołaj Kopernik, modelował rzeźbiarz Wyspiański, a odlewał w metalu podobno wiedeński rękodzielnik.

I łańcuchy i berła dziekańskie są nowością, w dawnych czasach nieznaną. W przeszłości wyróżniali się dziekani od reszty profesorów i między sobą nawzajem materią i barwą tog. Dziś zaniechano tamten zwyczaj, a dla wyróżnienia dziekana od profesora, dano dziekanowi łańcuch. Berła dziekańskie bezpodstawnie sprowadzone należałoby usunąć, a to z wielu względów, z których tu jeden podnieść trzeba. Ciekawy a nieświadomy rzeczy widz, gdy przy akademickich uroczystych pochodach spogląda na ten las berel w orszaku idących, pyta zdziwiony, co one mają znaczyć, do kogo je trzeba odnieść, ilu w uniwersytecie jest rządzących? Ta mnogość berel zacierają całkowicie owo pierwotne znaczenie berła w uniwersytecie¹.

¹ Zdaje się, że na sprawienie berel i łańcuchów dziekańskich w naszym uniwersytecie wpłynął zwyczaj pragski; oto co mi odpowiedziano z uniwersytetu pragskiego, gdym się o tamtejsze berła zapytał:

„Berlí se zde uživa od dávnych dob a síce patero universitní a čtvero fakultních, které se nosejí před rektorem neb před děkany fa-

Prorektor wreszcie, jako jedyną odznakę swej godności ma od r. 1883 na głowie biret purpurowy; dawniej, jak widzieliśmy, wdziewał prorektor, zlewając urząd na swego następcę, toż fioletową jedwabną.

Dodać jeszcze trzeba, że profesorowie, dziekani i prorektor wdziewają swój strój przy tych samych mniej więcej, co rektor okolicznościach, a więc na nabożeństwo w kościele św. Anny, do promocyj, wyjątkowych akademickich uroczystości i t. d. Widzimy, że i w tym względzie jest różnica pomiędzy dzisiejszymi a dawnymi czasami. Dawniej profesor zobowiązany był do każdej uniwersyteckiej czynności wdziewać strój oficjalny.

15. Promocye doktorów i bedele.

Już Kollatajowska reforma zniosła w części dawny sposób odprawiania promocyj; dalszych zmian dokonywały czasy następne. Dziś rozróżniamy promocye zwyczajne i sub *summis auspiciis Imperatoris*. Do ostatnich mają prawo ci doktorandzi, którzy ukończyli z odznaczeniem studia i gimnazyalne i uniwersyteckie. Przy promocyi sub *summis auspiciis Imperatoris* występuje kandydat w birecie i w todze bez pelerynki i wyłogów. Przy promocyach zwykłych ubierają się kandydaci we fraki.

Zamiast opisu promocyi sub *summis auspiciis Imperatoris*, podajemy program takiej promocyi, w wydziale prawniczym, odbytej dnia 21 lutego 1884 r. o godzinie trzeciej po południu. Dla braku obszernej auli w uniwersytecie odbyła się ta promocya w amfiteatrze nowodworskim w gimnazjum św. Anny. Program brzmi ¹:

- 1) O godzinie wpół do trzeciej po południu zbiorą się

kulniami. Rektor nosi zlatý řetěz jakožto odznak své důstojnosti: taktéž děkanové fakult nosí řetězy“.

Praha, dne 16/III, 1887.

(podp.) *Dr. Bružek.*

¹ Zob. *Czas*, r. 1884, miesiąc luty.

członkowie Senatu akademickiego oraz profesorowie uniwersytetu Jagiellońskiego w gimnazjum św. Anny na pierwszym piętrze, zkład, poprzedzeni berłami rektorskimi i wydziałowymi, udadzą się na salę amfiteatralną w następującym porządku: Profesorowie i docenci wydziału filozoficznego; profesorowie i docenci wydziału lekarskiego; profesorowie i docenci wydziału prawniczego; profesorowie i docenci wydziału teologicznego; członkowie Senatu akademickiego w tym samym porządku wydziałami, wreszcie Rektor Magnificus w towarzystwie prorektora. Tuż przed rektorem niesione będą berła rektorskie, berła wydziałowe zaś rozpoczną cały pochód. Przyszedłszy na salę, zajmą wszyscy miejsca dla nich przygotowane. Senat na podium, profesorowie po lewej ręce podium. 2) Za nadejściem Delegata Jego ces. i król. Apost. Mości wyjdą na jego spotkanie do drzwi sali Rektor Magnificus i dziekan wydziału prawniczego, poprzedzeni berłami rektorskimi. JWP. Delegat wraz z towarzyszącym mu komisarzem c. k. Starostwa zajmą przygotowane dla nich miejsca po lewej stronie podium. 3) W chwili, gdy Rektor Magnificus wyjdzie na powitanie JW Pana Delegata, udadzą się dwa berła po kandydata i wprowadzą go jednocześnie do sali. 4) Dziekan wydziału prawniczego w krótkim przemówieniu przedstawi następnie kandydata JW. Delegatowi, Rektorowi i Senatowi akademickiemu, oraz zgromadzonym profesorom Uniwersytetu i zaprosi rektora, aby wydał polecenie do odbycia promocyi. 5) Mowa Rektora, kończąca się trzechkrotnym okrzykiem na cześć NPana. Muzyka odegra „Hymn ludowy“, który wszyscy obecni wysłuchają, stojąc. 6) Przemówienie kandydata, kończące się prośbą o promocyą. 7) Pozwolenie Rektora na promocyą z wezwaniem do Promotora, by jej dokonał. 8) Promotor odczytuje rotę. Podczas przysięgi wszyscy z miejsc powstają; bedele skrzyżują berła. Przy ostatnich słowach wręczy Promotor kandydatowi dyplom i przedstawi go następnie JW. Delegatowi, jako nowo kreowanego doktora prawa. 9) Przemówienie JW. Delegata i wręczenie upominku od Jego ces. i król. Apost. Mości. 10) Poczem kandydat zbliży się najprzód do Magnificencyi

Rektora, następnie do Dziekana i Promotora, oraz do innych profesorów dla odebrania gratulacyi. 11) Zakończenie uroczystości podpisaniem aktu promocyi przez JW. Delegata, Magnificencyą Rektora, Dziekana i Promotora. 12) Odchodzącego JW. Delegata pożegna Rektor Magnificus i dziekan wydziału prawniczego, odprowadzając go z berłami, poczem w tym samym porządku, jak przy rozpoczęciu, opuszczają wszyscy salę. Zaraz za berłami wydziałowymi postępować będzie nowo kreowany doktor.

Promocye dzisiejsze sub summis auspiciis Imperatoris można porównać z tymi z dawnych czasów, którym sam kanclerz uniwersytetu przewodniczył. Zaszczyczał on zaś swą obecnością promocyę tylko takiego kandydata, który zdał wyjątkowo świetny egzamin.

Promocye zwykle odbywają się w obecności rektora, jako przewodniczącego, dziekana wydziału i promotora. Mogą jednak być przy nich obecni profesorowie, uczniowie i publiczność.

Jak przy pierwszym, tak i przy drugim rodzaju promocyi rektor, dziekan i promotor występują w ubraniach oficjalnych.

Bedele trzymający berła, ubrani są także w swój uniwersytecki strój, tj. w togi zielone z czerwonymi wąskimi kołnierzami i w czarne aksamitne, graniaste czapki. Ten strój przywdziewają oni, ilekroć razy rektorowi z berłami towarzyszą. Togi bedeli we wszystkich wydziałach są jednakowe.

Akt promocyi zwyczajnej trwa bardzo krótko. Promocye odbywają się w auli uniwersyteckiej. Gdy rektor i dziekan i promotor zajęli miejsca przy stole, przychodzi kandydat, poprzedzony przez bedeli i ustawia się pomiędzy berłami z drugiej strony stołu. Rektor, dziekan i promotor powstają z swoich siedzeń. Ostatni odczytuje łacińską formułę przysięgi¹, którą doktorand, położywszy palce na skrzyżowane berła, ślubuje i obiecuje ściśle wypełniać.

¹ Zob. Arch. Sen. akad. L. 162.

Po wykonaniu przysięgi wręcza promotor nowemu doktorowi dyplom doktorski. Rytuał promocyjny wymaga od kreowanego doktora mowy dziękczynnej, którą się jednak w praktyce zazwyczaj opuszcza. Po skończonej promocyi be-
dele z berłami wyprowadzają nowego doktora z auli.

Dr. A. Karbowiak.



ZADANIE APOLOGETYKI

W NASZYCH CZASACH.

(Dokończenie).

II. Drugie zadanie, jakie tu spełnić winien apologeta, polega na wykryciu tego, co w poszczególnych systemach jest błędem tylko i fikcją, na żadnych nie opierającą się podstawach, jednak o tyle tylko nimi się zająć winien, o ile naruszają prawdy wiary.

Czyż podobne fikcje możliwe są w nauce, która się największą chęcią ścisłością? Cała scholastyka przy swoim braku środków obserwacyjnych nie postawiła w ciągu swej kilkowiekowej egzystencji tyle niedorzecznych hipotez o przyrodzie, ile policzyć ich można w jednym lat dziesiątku za panowania pozytywizmu. Berthelot sam użala się na idealistyczną empirię i na jej dziwaczne wnioski, będące płodem dowolnych fantastycznych zdań badaczy; słusznie im wytyka, że w teistyczną metafizykę wpadają, a dodać był powinien, że dorzucają wiele własnych najdowolniejszych przypuszczeń.

Któż więcej sobie rości pretensyj do uczoności, jeśli nie Ernest Haeckel?¹ Posłuchajmy go tylko, jak się zabiera do udowodnienia, że człowiek duszy nie ma. Nasamprzód wystę-

¹ *Rede mit Bemerkungen auf der Münchener Versammlung.*

puje przed nami z koniecznością przypuszczenia duszy w atomach, te bowiem najmniejsze cząstki materji (atomy) muszą, jako centra siły, posiadać stałą duszę, obdarzoną czuciem i ruchem. Z przypadkowego zejścia się i różnorodnego połączenia tych dusz atomowych, powstają rozmaite i wielu zmianom podległe dusze plastydul, które w organicznej istocie pamięcią są obdarzone.

Plastydule zaś nie są niczem innem, jak pierwotnemi *drobinami* (*Protoplasma-Molckeln*). Dusze plastydul, łączących się nawzajem, wytwarzają duszę *komórkową* (*Zellenseele*), t. j. sumę sił prężnych, nagromadzonych w komórce pierwotnej (w protoplazmie). Przyciąganie i odpychanie, sympatya i antypatya drobin, ruch i czucie komórek, niczem innem nie są, jak mechanicznym ruchem atomów; a jednak wszystko bez najmniejszego dodatku składa się na zjawiska psychiczne, które my czuciem, wyobraźnią, uczuciem, myślą i wolą nazywamy. — A jakież na to wszystko dowód? — O to profesor z Jenny wcale się nie troszczy; on rzekł, a to wystarcza. — Czyż nie przypomina się tu mimowoli występujący w komedji w roli uczonego, który uroczyście się odzywa: Ja, sir, jestem wyrocznią; gdy ja przemawiam, psom szczekać nie wolno!

Podobne banialuki napotykamy u Haeckla et consortes, w tłumaczeniu powstania organizmów z materji anorganicznej¹. Albo musimy tu przypuścić akt twórczy, — jak p. Haeckel wyznaje — nadprzyrodzony akt twórczy, albo stopniowy rozwój, w którym na drodze czysto mechanicznych kombinacyj nieorganiczne połączenia węgla zmieniają się w połączenia azotowo-węglowe, wydające protoplasma, jako rdzenny czynnik wszelkiego życia.

Pierwszego sposobu tłumaczenia się lękają, bo wiedzie do Boga; a więc nie pozostaje nic innego, jak przyjąć drugi, mimo wszelkich sprzeczności, jakie w sobie zawiera. Oto sens moralny całej ich teoryi, jak go nam sami jej wyznawcy przedstawiają.

¹ Haeckel. 16 odczyt o antropogonii. — Virchow. Mowa na zjeździe monachijskim miana r. 1887. Cf. Pesch *Welträthsel*. ks. 2, str. 143.

Biologia tych panów nawskrósł przesiąkła jest podobnemi fikcyami. Jak zaś praktycznie korzystać z niej umieją, następny wykaże przykład: Objętość i ciężar czaszki w prostym stoją stosunku do inteligencyi człowieka. Naturalnie! cała bowiem inteligencya niczem innem nie jest, jak czystą funkcją mózgową. Otóż francuski uczony Le Bon wykazał, że objętość normalna czaszki paryżanina za czasów Ludwika XIV wynosiła 1472 cm. kub., w obecnych zaś czasach wynosi 1593 cm. kub. Co za kolosalny więc postęp inteligencyi! Flower oparty na tych samych danych wykazał, że londyńska czaszka największą cieszy się objętością, a ztąd, że mieszkaniec Londynu jest najinteligentniejszym. Delannais dowiedział się od paryskiego kapelusznika, że seminarzyści w Saint-Sulpice mniejsze mają głowy od uczęszczających do szkół normalnych dzieci. — Co za dowody ztąd wysnuli o zastoju inteligencyi w klerze francuskim! Broca zaś utrzymuje, że tęgi chłop z Auvergne bez porównania większą posiada czaszkę niż Paryżanin¹. Lecz dość już tych śmieszności.

Zstępując do dziedziny geologii, dopiero napotykamy na niedorzeczności, które przewyższają wszystko, co dotychczas powiedziano. Tu natrafimy na hipotezy za hipotezami, bez żadnej podstawy, istne mrzonki, a to wszystko, by naukowo wykazać, że pierwsze pojawienie się człowieka na ziemi bynajmniej nie zgadza się z objawieniem, a zatem że objawienie jest poprostu tylko fabułą. Virchow, ten ostrożny wielbiciel darwinizmu, dał pod tym względem doskonałą radę swym kolegom na zjeździe monachijskim:

„Doświadczenie przeszłości dostatecznie nas pouczyło, że obowiązkiem naszym jest wystrzegać się za daleko idących wniosków. Wszystko, co się mówi lub pisze dla publiczności, trzeba przedtem gruntownie zbadać, o ile opiera się na ściśle naukowych danych. Te fazy w rozwoju tworów, które li tylko hipotezami są, winny *petitem* być drukowane, lub w skro-

¹ *Apologie scientifique de la foi chretienne* par F. Duilhé de Saint Projet.

mnych tylko umieszczane uwagach. W samym zaś tekście nie powinno być nic innego, jak tylko, co się z prawdą zgadza“. Co za znakomita rada, a dla zdaleka stojącego od tajników nauki, co za doniosłe przyznanie się pozytywizmu do fałszów! Jak wyglądałyby dzieła pozytywistów, gdyby to wszystko, co nie jest ściśle naukowem, ale pustą hipotezą, miało się umieszczać w notatkach pod tekstem. Bez prawdziwych hipotez, nie stojących w jaskrawej sprzeczności z naturą rzeczy, a z drugiej strony wyświecających zjawiska, nigdy się nauka doświadczalna nie obejdzie. Hipotezy więc prawdziwe, żadnego wie-dzy nie przynoszą uszczerbku, bezpodstawne jednak domysły, zawierające w sobie sprzeczność, nie zgadzające się z naturą rzeczy, nie wyświecają bynajmniej zjawisk, a tem samem szkody, jakie prawdziwej nauce przynoszą, są nieobliczone.

III. Pozytywna nauka nieraz produkuje się z faktami, rzekomo zupełnie stwierdzonymi, które jednak objawionej prawdzie, lub zasadniczym jej principiom wręcz się sprzeciwiają. Tu apologeta występować musi w roli pojednawczej, okazując, że sprzeczność jest tylko pozorna, w rzeczywistości zaś zupełna harmonia. Chrześcijański filozof ma tę z góry pewność, że wiara sprzeciwiać się nie może żadnej prawdzie, z jaką nauka przyrody występuje. Umacniają go w tem przekonaniu zdania uczonych badaczy. Fr. Lenormant mówi, iż „nigdy podobnego zjawiska nie był świadkiem, by pojęcia zaczerpnięte z dziedziny nauki, sprzeciwiały się ideom objawionej prawdy. Bez obawy zestawilibym rzekomo sprzeciwiające się sobie zdania, z góry przekonanym będąc, że takie zestawienie wyświeci prawdę i rozwieje wszelki pozór sprzeczności“¹. Wiara więc nie potrzebuje się krytycyzmu lękać, z jakim przeciw niej staje nauka, jeżeli tylko ta nazwa rzeczywiście jej się należy. Obowiązek apologety w obec takiej domniemanej sprzeczności jest podwójny: najprzód zbadanie faktu, jaki nauka przedstawia, czy jest on rzeczywiście takim, za jaki

¹ François Lenormant. *Manuel de l'histoire anc. — préf. Les origines de l'histoire.*

uchodzi, a z drugiej strony, czy ten punkt nauki religii, jakiemu się zdaje sprzeciwiać rzeczywiście, należy do depozytów wiary, czy też raczej nie jest jaką opinią teologów lub egzegetów. Wiele przynajmniej z tych sprzeczności, jakie między wiarą a wiedzą istnieją, zawdzięczają temu rację bytu, że albo uważanem jest coś za fakt niezbity, czego nauka nie stwierdziła, albo to uważa się za pewnik wiary, co tylko prywatnem jest mniemaniem jej wyznawców.

Przedewszystkiem strzedz nam się trzeba bałwochwalczej czci empiryzmu, i nie przyjmować za dobrą monetę tego słowa, które wciąż mają na ustach: to już nauka stwierdziła. Ileż to faktów nam przedstawiają, które już nauka jako pewniki przyjąć miała! Po kilku latach zjawiają się nowi uczeni i udowadniają, że to, co nauka przedtem za niezbitą uważała prawdę, czczem tylko było fałszem. Na dowód tego przytoczmy przykład, któremu nie brak przyprawy komicznej. Było to w roku 1868, gdy Huxlej na pełnem morzu ryby łowiąc, złapał jakieś żyjátko, którego przyrodnicy jeszcze wcale nie znali, coś w rodzaju klejącego się, zupełnie bezkształtnego, lipkiego szlamu. Nazwano je *Bathybius Haeckelii*. — Dobrze! dotąd sama rzeczywistość. Ale nauka dalej poszła, że *Bathybius* niczem innem nie jest, jak dowolnie powstała pierwotną komórką (*protoplasma*), rdzennym zarodkiem wszelkiego życia, *embryo universalis*, który sam sobie życie daje, gdy w tajemniczem laboratorium natury, ze śmierci do życia, ze stanu anorganicznego w organizm przechodzi. Po takim rezultacie nauki, poco nam jeszcze Stwórcy, kiedy *Bathybius* sprawą tworzenia życia się zajmując, istnienie jego zupełnie zbędnem okazuje!! Lecz cóż się stało? Mały *Bathybius* ledwo lat 11 liczył, ciesząc się szczególniejszymi względami Haeckla i troskliwą pieczą przyrodników, gdy r. 1879 w Sheffield zwołano kongres naturalistów. Prezydujący wpadł na nieszczęśliwy pomysł, i wspomniął coś o tym cudownym *Bathybiusie*. Wtedy to wstał Huxlej sam, ojciec *Bathybiusa*, i wykazał wśród śmiechu słuchaczów, że ta rzecz, którą on odkrył, nie jest niczem innem, jak tylko osadem siarczynu wapnia natury ślamiastej, do którego w czasie upa-

dania jego w głębię morską, przyczepiła się materya organiczna¹. Bathybius, ta podziwienią godna monera, — jak ją Haeckel nazwał, — zrobiła fiasco, sam jej wynalazca na śmiech ją wystawił. Kolumna dzisiejszej teoryi rozwoju, która wykazała, że Bóg w charakterze Stwórcy jest niepotrzebnym, złamała się i rozpadła w kawałki. Możemy więc jeszcze śmiało wierzyć w Boga, Stwórcę wszech rzeczy².

Ażeby wykazać te pozorne sprzeczności między nauką a objawieniem, trzeba prócz tego zbadać dostatecznie, czy to, co uważamy za prawdę objawioną, tak jak ją pojmujemy, rzeczywiście jest objawionem. Tak np. w historii stworzenia czytamy, że świat w sześciu dniach powstał, a nauka żąda całych lat tysięcy na samo uformowanie skorupy ziemskiej. Zjawienie się pierwszego człowieka na ziemi według objawienia nie sięga poza 6000 lat, nauka zaś wykazuje nam, że od 80—100 tysięcy lat już istnieje człowiek na ziemi. Potop według słów pisma św. był ogólny, wyniszczył plemię ludzkie i w nurtach swych wszystkie kraje i ziemie pochłoniął, a to wszystko nauka poprostu za kłamstwo uważa³.

Tu stoi apologeta przed podwójną kwestyą: czy rezultaty badań naukowych niezbite nam przedstawiają fakta. Odpowiedź na to jest przecząca. Jeden badacz mówi, że od 6—8000 lat istnieje rodzaj ludzki na ziemi, drugi, że jego pobyt od 80.000 lat się datuje. Tego rodzaju różnica zdań w nieprzychylnem przedstawia nam świetle badania naukowe, bo co jeden z uczonych uważa za ściśle naukowe, to drugi od ścisłości naukowej odsadza, a tem samem wyniki na chwiejnym stoją gruncie. Drugą kwestyą jest sześć dni Mojżeszowej historii; czy je uważać mamy za dni astronomiczne, składające się z 24 godzin? Czy wiara posiada chronologią, wykazującą długość istnienia rodzaju ludzkiego? Co tu w tem wszystkim jest prawdą objawioną, a co mniemaniem dowolnem tłumaczów pisma św.? Tu

¹ Porównaj: Milne Edwards. *Séance a l'institut le 15 Octobre 1882*.

² Renke. *Studien über das Protoplasma*. Berlin 1887.

³ Zobacz rozprawę o potopie umieszczoną w Brukselskiem *Revue des sciences physiques*. 1889.

musimy bardzo się wystrzegać, by nie podawać czegoś za objawione, co takim nie jest, jak niemniej, by słowa objawienia nie zmieniać w rodzaj mytu, który nauka w tysiączny sposób, według własnego swego widzimisię, wykladaćby mogła. Nie brak na nieszczęście takich apologetów, którzy z wielkiego przed ścisłą nauką uszanowania, tekst objawienia tak nakręcają, by się dał pod każdym względem do rezultatów nauki zastosować, jak nie mniej i tacy się znajdują, którzy uczepliwszy się ciasnego i własnego tłumaczenia litery, co rzeczywiście nauka zdobyła, dlatego li tylko odrzucają, że z ich sposobem tłumaczenia Pismo św. się nie zgadza. Są to dwa szkopy równie niebezpieczne. Pierwszej klasy egzegeci są fałszerzami wiary, drudzy na śmiech ją wystawiają; prawda zaś zawarta jest między dwoma temi skrajnemi zapatrywaniem.

Tam więc gdzie słowa objawienia, jako takie, dogmatu nie zawierają i różnie tłumaczone być mogą, nauka prawdziwa ma wszelką swobodę. *Tradidit Deus mundum disputationibus hominum*. Jeżeli zaś tekst Pisma św. dogmatyczną zawiera prawdę, natenczas nie może różnym tłumaczeniom podlegać, a ztąd w sprzeczności z nim stojące rezultaty pozytywnych badań są iluzjami, i przyjdzie dzień, w którym sama nauka do rzędu mrzonek je zaliczy.

IV. Racyoniści z całą zajadłością nacierają na objawioną wiarę Jezusa Chrystusa, nie mogąc jednak obyć się bez religii, urabiają sobie odrębne religijne pojęcia. Punktem środkowym, w którym dziś wszystkie systemy postępówców się schodzą, jest to, że wiara jest tylko rzeczą uczucia, według niektórych, uczucia szlachetnego, według innych, uczucia chorobliwego, szukającego odpowiedniego uspokojenia. Uczucie jest zupełnie niezawisłe od rozumu, od dogmatu, od wyznania; nie polega ono na wyznaniu prawdy, ale na ślepych parciu natury, a ztąd nie potrzebuje teologii, może się śmiało obyć bez wszelkiej teorii o Bogu i obowiązkach względem niego, nie rości sobie żadnego wpływu na ukształtowanie życia. Taką, wogóle mówiąc, przedstawia nam się religia niektórych, jednak dość licznie zastąpionych warstw wykształconych.

Znajdujemy tu w tym poczcie hołdujących uczuciu, jako religii, petyzm protestancki. Religie doktryna nie nie obchodzi, jest ona wyłącznie plodem uczucia (Herder); gdzie wszelka wiedza broń złożyć musi, tam się rozpoczyna pobożne marzenie. Organem religii nie jest rozum, lecz uczucie, wznoszące się na skrzydłach fantazyi¹. Prorokami tej uczuciowej religii, prócz dawniejszych, z nowszych czasów są: Frydrych Herbart, Drobisch, Thilo, Flügel, Schilling, Duńczyk Sören Wierhegaard, i t. d. Spotkać się tu można jeszcze z Bogiem, nie dlatego, że rozum jego istnienie jako konieczne uznaje, ale dlatego tylko, że to przypuszczenie lechce uczucie².

Jak wygląda etyka w obec takiej modły? — Jeżeli cała religia nie zawiera prawdy przedmiotowej, ale tylko uczucie, które każdy nastraja, jak się jemu podoba, jasną jest rzeczą, że obowiązki religijne rozpląną się w mgłę marzeń, nie mających żadnego przedmiotowego znaczenia. Religia, której materializm hołduje, nie jest w gruncie rzeczy niczem innem, jak nierozumną trwogą przed nieznanem (Vogt); albo rezultatem podmiotowego niezadowolenia ze świata (Czolbe); albo życiem, co z natury rzeczy błądzi, rwąc się w sfery ideału, który niczem innem nie jest, jak produktem ludzkiej fantazyi (Hellwald); albo uczuciem bezwzględnej zawisłości (Strauss), ale od kogo? — może od Boga? — bynajmniej: zawisłości od wszechświata, od wszechmocy świata; albo wreszcie, według Büchnera i podobnych jemu przyjaciół darwinizmu, religia jest wykwitem niewiadomości, podobnie jak i zbrodnia wynika z niedorzecznej bojaźni. Najwyższą w świecie władzą, której wszystko podlega, nie jest jakiś poza naturą ukryty Bóg, ale ludzki rozum. Tak więc Bóg według wszystkich tych religij, chociaż jeszcze imię jego tu i owdzie wspomną, nie jest pojęciem, na które się wiedza składa, ale jest tylko czystym zjawiskiem psychologicznem; nie jest przedmiotem władz poznawczych, ale niedostatecznym i niezgrabnym wyrazem tego, za czem uczucie

¹ Lipsius. *Über Glauben und Wissen*. 1871.

² Drobisch. *Grundlage der Religions-Philosophie*.

goni¹. Czy może taki Bóg uczucia, któremu w przedmiotowej rzeczywistości nie realnego nie odpowiada, obowiązki nakładać? Zaiste, nie! Moralność więc jak w ogóle i cała etyka przy wszystkich tego rodzaju religiach w puch się rozwiewa.

Również i cała armia pozytywistów zatrzymała nazwę religii. Lecz czemże u nich jest religia? Religia według angielskich pozytywistów niczem innym nie jest, jak po części przeświadczeniem, że istnienie świata jest wielką tajemnicą, a po części psychologiczną koniecznością zdarcia zasłony, pokrywającej tajemnicę bytu, która w wszechświecie się rozpowszechnia i ujawnia, lecz mimo to dla wszelkiej wiedzy jest niedostępną. „Ten nieznany Bóg, ta ciemność, w którą spowity jest cały świat zjawisk, jest prawdziwym przedmiotem, który aspiracyom religijnym odpowiada“. Tak Spencer. Praktyczniejszy odeń Mill, nie bije czołem wyłącznie przed tą nieznaną istotą; dla niego przedmiotem, zaspokajającym ostatecznie uczucie religijne, jest ludzkość. Religia jest dla niego silne i stałe skierowanie uczuć i pragnień naszych ku przedmiotowi idealnemu, który jako najwyższa doskonałość wznosi się nad wszystkie egoistyczne dążności. Tą zaś najdoskonalszą istotą jest ludzkość. Świadomość, że należymy do tej wielkiej rodziny, a zarazem poczucie konieczności pracy dla dobra ogółu, jest najprawdziwszą religią, wyzuta z wszelkiego sobkostwa, bo nie szukającą nieba, niezaskorupiałą, bo nie przypuszczającą niezmiennych dogmatów.

Filozof demokracji socyalnej, Dietrkem², nie zna również wyższej istoty, jak ludzkość, rozwiniętą na socyalno-demokratycznych zasadach; August Comte, praszczur pozytywistów, w dniach swego duchowego rozstroju zamarzył nawet o wprowadzeniu religijnego kultu ludzkości. Mówi o modlitwie t. j. o adoracyi najdzielniejszych typów ludzkości, o rannem i wieczornem nabożeństwie, t. j. czytaniu dzieł najlepszych poetów ludzkości, o aniołach stróżach, w której to roli występują

¹ Lang. *Die Religion im Zeitalter Darwins*. Berlin, 1876.

² *Die Religion der Socialdemokratie*. Leipzig, 1872.

matki, żony, córki: o 9 sakramentach, o świętych itd. Ubóstwienie więc człowieka, według materyalistycznego empiryzmu, jest jedynie zbawczą religią...

Ernest Laas¹ idzie jeszcze o krok dalej: według niego kult ludzkości i wszelka religijność skoncentrowane są w pracy na korzyść cielesnego dobrobytu całej rodziny ludzkiej. Dlatego też religię swą altruizmem nazywa. Ona jest dopiero prawdziwą pobożnością, która uzdalnia do zaparcia, ofiary, miłosierdzia i miłości samarytańskiej.

Jakaż będzie etyka, wynikająca z takich zapatrywań: nie potrzeba do tego nadzwyczajnej logiki, aby z takich danych wyprowadzić najgorsze wnioski moralne. Wystarczy nam przypatrzeć się temu tylko, co sami wyznawcy tych zasad piszą. Spencer np. mówi: „Moralnie rozwinięte życie jest coraz to doskonalszem zastosowywaniem swych spraw do celu, które nie tylko życie przedłużają, ale i treść życia pomnażają“. Każdy łotr chętnie się podpisze na takie zasady moralności; i on przecież, przy wszystkich swych łotrostwach, jeden ma tylko cel, pomnażać treść życia coraz to nowem używaniem rozkoszy, a zarazem i swe życie przedłużać, by pić dłużej i coraz więcej z kielicha uciech zmysłowych.

Inna zasada: „Moralne życie jest ustawicznym kompromisem między egoizmem a altruizmem“, t. j. wszystko, na co się egoizm zdobywa, by tylko dojść do szczęścia, jest dobrem i dozwolonem, jeśli tylko nie uszczupla szczęścia drugich. Zupelne zaspokojenie zmysłów jest istotnem szczęściem tj. całe szczęście człowieka streszcza się w jego życiu zwierzęcem. I na takiej to etyce ma się opierać i indywidualne i socyalne szczęście ludzkości, na jej zasadach się rozwijając, ma ludzkość wstąpić w bramę złotej swej epoki.

Religia i moralność są wprawdzie różnemi pojęciami, to jednak, co przedstawiają, jest w ścisłym ze sobą związku. Religia jestto zupełne poddanie się Bogu. Człowiek musi poznać obowiązek zupełnego oddania się Bogu, aby jako człowiek,

¹ *Idealistische und politische Ethik*. Berlin, 1882.

tj. jako istota rozumna, sobie postąpić. To poznanie nie jest podmiotowem tylko śnieniem, ale poznaniem przedmiotowej rzeczywistości, a tą rzeczywistością jest Bóg, początek i koniec wszech rzeczy. Za tem poznaniem idzie wola, która i siebie i wszystko, co od niej zawisło, poddaje Bogu w miłości i wdzięczności: tem jest w gruncie rzeczy religia. Moralność jest przestrzeganiem zamierzonego przez Boga porządku. Gdzie religia jest spaczoną, tam i moralność się paczy.

A czym jest religia tych postępowych? Próżną maską, poza którą ukrywa się bluźniąca Bogu pycha, skojarzona z nieokielznaną zmysłowością — obłudą, co się obawia z otwartą przyłbicą wystąpić, by nie odstraszyć od siebie tych, którzyby, naga prawdę widząc, uciekli zpod zbutwiałego sztandaru postępu.

Jakiem jest zadanie apologety w obec tego faryzeizmu, leży jak na dłoni. Musi on zedrzeć tę maskę nauki, ukrywającą pod szumnymi frazesami religię niegodziwości i nierozumu. Powtóre musi on łamać kopje w celu udowodnienia, że religia nie wyrodziła się tylko z wnętrza człowieka, jako jego subiektywne marzenie, pełne iluzyj i mrzonek. Religia objawiona, religia krzyżem Chrystusa opieczętowana, jest faktem historycznym, i jako taki udowodnioną być musi. Dowód ten już tysiąc razy był dany. Gdyby religia Chrystusa nie była krzyżem naznaczona wraz ze wszystkimi prawdami, których uczy, i obowiązkami, które nakłada, dowód historyczny byłby od wszystkich przyjętym. Ale że krzyż kamieniem jest zgorzenia, dlatego milszem jest niedorzeczne kłamstwo, które nie nakłada niewygodnych praw chrystyanizmu. Dlatego też niech religia Ukrzyżowanego z całą swą wielkością i głębią, ze wszelką swą pociechą i siłą, z całym bogactwem błogosławieństw i zapłaty, będzie największą naszą, jedyną filozofią.

Takiem jest w streszczeniu zadanie apologetyki w dzisiejszych napadach, przeciw chrystyanizmowi wymierzonych. Jak niegdyś filozofii przeciw wierze nadużywano, tak dziś czynią to z nauką przyrody. Jak filozofia wiele złotych ziarn ukrywała, które oczyszczone z przymieszek fałszu, niepospolite od-

dały wierze usługi, tak się stanie i z naukami przyrodniczymi. Co Bóg złożyć raczył w łonie przyrody, nad tem się zastanawiać, to badać i skrzętną pracą wyświecać, jest jednym z najpiękniejszych zadań człowieka. Tego, co ludzki geniusz, zdumiewająca praca i żelazna wytrwałość, odkryły w państwie przyrody, bynajmniej nie lekceważymy, ale również nam niewolno dla domniemanych rezultatów na szwank narażać naszej wiary. „Rzeczy Jego niewidzialne od stworzenia świata przez te rzeczy, które są uczynione zrozumiane, bywają poznane“¹, a te zarówno są prawdą Bożą, jak niewidome rzeczy, o których nam powiedział w Synu swoim².

Ks. A. Langer.

¹ Rzym. I. 20.

² List do Żydów. I. 2.



OJCZE NASZ.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE FRANCISZKA COPPEE

przełożył z francuskiego K. W. T. J.

OSOBY:

PANNA RÓŻA	OFICER
KS. PROBOSZCZ	ZUZANNA
JAKÓB LEROUX	SĄSIADKA

ŻOŁNIERZE.

Rzecz dzieje się na przedmieściu Belleville w maju 1871 r.

Pokój na dole; w głębi drzwi i dwa okna z widokiem na ogród, pełen słońca i kwiatów. Pogoda. Poza ogrodem, opasanym niskim obmurowaniem, widać uliczkę przedmiejską i kilka kominów fabrycznych. Sprzęty w pokoju bardzo proste: szafka, stół okrągły, krzesła i fotele słomą wyplatane. Z lewej strony kominek, na nim gipsowa figurka Matki Boskiej; po prawej biurko i szafa dębowa, pełna książek nieoprawnych. Na ścianach wiszą: wielki krzyż z kości słoniowej i dwa święte obrazy. Drzwi na prawo i lewo.

SCENA I.

ZUZANNA, SĄSIADKA.

(Po podniesieniu zasłony, Zuzanna, stara służąca, w czepcu wieśniaczki, siedzi na krześle w postawie przygnębionej. Obok stoi Sąsiadka, młoda kobieta z przedmieścia Paryża, z głową odkrytą, w rękę koszyczek).

SĄSIADKA.

Więc prawda? Przez tych łotrów i on rozstrzelany?

(Zuzanna potakuje głową).

I to pewnem, doprawdy?

ZUZANNA.

Tać jużem mówiła...

Na zaułku, przy Haxo, z innymi kapłany
 Padł przedwczoraj na bruku, gdy miastem wichrzyła
 Ta zgraja bezbożników... Ofiarę przed zgonem
 Widział sąsiad nasz zbliśka. Ksiądz ręką wzniesioną
 Krzyż zakreslił nad nimi — i padł krwią zbroczonym.
 Nic więcej jego siostrze, ni mnie nie mówiono,
 Lecz to pewnem. Mój Boże! gdy go brali jeńcem,
 My do siebie mawiały: Wnet go obaczymy!
 Lud bo wkoło go wielbił, zwał swym ulubieńcem;
 Taki dobry, uczynny, święty!... Och, Kainy!

(Zdala słyhać huk ognia rotowego).

SĄSIADKA (*z przerażeniem*).

O Boże!

ZUZANNA (*podnosząc się*).

A więc zemsta!... To żołnierz z Wersalu!
 Wpień bij ich! wymorduj! To święta usługa!

SĄSIADKA.

Tak, to lotry, Zuzanno! Niegodni są żalu...
 Przecież słabo się robi. Jak ulica długa
 Wzdłuż ratusza krew wczoraj płynęła rynsztokiem.
 Aż mnie mrowie przechodzi. Może kto niewinny...

ZUZANNA.

Niewinny? Kto niewinny nad mojego pana?
 O święty nasz ksiądz Morel! Taki dobroczynny!
 Serce złote! Wzór żywy dobrego kapłana!
 Sam dla siebie nic nie ma, wszystko innym daje!...
 Zabity! I to ludzie?... To dzikie zwierzęta!
 Ja ze wsi, mało umię, lecz za te zwyczaję
 Ich wszystkichbym zakuła na galerach w pętą.
 Gdzie rozum w tym Paryżu? Istne opętańce.
 Dla jakiejś tam komuny, zbiegowiska, krzyki,
 Nuże bić się, mordować, z ulic chwytac brańce,
 Więzić ludzi i strzelać, jakby rozbójniki.
 Co po takiej komunie? Zabili biedaka,
 Co ich żywił, co dla nich zwlókł się do koszuli,
 Gdy z głodu przymierali pod matnią Prusaka.
 Grzech, sąsiadko, nad nimi kto dziś się rozczuli.

Ta czereda zbójcka ująć nie może kary,
Nie masz serca dla tego, kto sam był bez serca!

SĄSIADKA.

Słusznie. Niech ich wytracą!... Co po tej hołocie?
Niewielka po nich strata. Łotr w łotra, morderca.
Biedne, złote księżysko! Zimą w bezrobocie
Zawsze wiedział, gdzie ludzie najwięcej zgłodniali,
I tam zjawiał się z datkiem. Gdy wchodził, z podwórza
Wszystko biegło naprzeciw, jak zbawcę witali.
Dziś rozstrzelon, umęczon! — Ale panna Róża,
Co tak brata kochała, musi być w rozpacz!

ZUZANNA.

Sąsiadko, strach aż chwyta, gdy się ją obaczy.
Z początku stała niema, pobladała jak ściana...
Usta zcięte, zsiniałe. Mną dreszcze wstrząsnęły,
Pomyślałam: już po niej — pewnie obłąkana!
Później z krzykiem nieludzkim z ust się potoczyły
Złorzeczenia i klątwy tym zbójcom paryskim!...
To samo wciąż wołała: „Och zgrozo! podłości!“
A ten głos jej, te oczy!... Nakoniec usnęła
Ze zmęczenia; śpi dotąd na swem krześle niskiem
(pokazując drzwi na lewo)

Tam w głębi. Lecz przed chwilą zębami zgrzytnęła;
Coś majączy straszego — czekam aż się zbudzi.

SĄSIADKA.

Biedna panienka!

ZUZANNA.

Służę u niej rok piętnasty.
Rodzice, ot mieszczaństwo, ale z wiejskich ludzi,
Zmarli nimem nastała. Brat miał rok dwunasty,
Siostra lat osiem starsza. Malcem opuszczonym
Jak matka się troszczyła. Jaś ze szkółki wiejskiej
Z nagrodą wracał zawsze. A tak ułożonym,
Tak skromniutkim, posłusznym, twarzyczki anielskiej!
To też panna aż rośnie na brata pochwałą,
Mawia do mnie, że Janek nie ze zwykłych dzieci.
Wnet go w miasto posłano, w „seminaryum małe“,
I tam bierze nagrody, zawsze pierwszym świeci.

Wtedy krewny daleki, dzierzawca bogaty,
 Chciał poślubić panienkę. Jak zorza też była...
 W twarzy mleko i róża... Lecz daremne swaty;
 Mimo świetnych widoków, wręcz mu odmówiła.
 Przysięgła nie iść za mąż, by zostać u brata.
 „Domem rządzić mu muszę, jak księdzem zostanie“,
 Powiadała; i wierna swojej obietnicy,
 Poza Janem swym, zda się, nie widziała świata.
 Żyła tylko dla niego i w sercu dziewicy
 Jedno tylko dla brata nosiła kochanie.
 Mówże tu jej, że zginął, że zamordowany,
 Że to prawda!... Okropność, ta wojna domowa!
 Kiedy na wikarego był nasz ksiądz zasłany
 W to przedmieście nędzarzy, mnie opadła głowa;
 Nawet głośno sarkałam — źle mi coś wróżyło;
 Ale panna surowym odrzekła mi głosem:
 „Tem lepiej! tych nędzarzów brat zajmie się losem“.
 Dziś to słowo się biednej w myśli powtórzyło.

(Wybuchając płaczem).

Ach! nieszczęście! nieszczęście! Jezu! Maryo święta!

SĄSIADKA.

Masz rację. Taka zbrodnia, to rzecz niepojęta.

Głos PANNY RÓŻY z pokoju na lewo.

Zuzanno!

SĄSIADKA.

Czy słyszycie?

ZUZANNA.

Cicho! Już się zrywa...

Sąsiadko, dziś wybaczcie, lepiej, że pójdziecie,
 Bo przed wami znów pocznie płakać nieszczęśliwa,
 Rozpaczać, ręce łamać. A tu, sami wiecie,
 O jej rozum obawa! Odwróć, święta Panno!

SĄSIADKA.

Dobrze, dobrze — już idę. Dobranoc, Zuzanno!

(Sąsiadka odchodzi).

SCENA II.

PANNA RÓŻA, ZUZANNA.

(Panna Róża w sukni czarnej, wchodzi przygnębiona, chwiejnym krokiem.
Zuzanna podbiega i podtrzymuje ją).

ZUZANNA.

Jakże? czy lepiej pannie?

PANNA RÓŻA.

Lepiej?... O tak! spałam...

Ale sen mój był strasznym! Okropne widziadła!

Więzienie, mur zaułka... i jego widziałam!

Upadał we krwi kałużę... Twarz mu tak pobladła!...

I to snem się nazywa! W piersiach tak mię pali,

W ustach sucho... Spragnionam.

(Siada. Zuzanna przynosi jej szklankę wody, którą chciwie wypija).

Już umilkły działa.

Spiąc, słyszałam huk armat. Czy bić się ustali?

ZUZANNA.

Po zwycięstwie, jak mówią, tylko garstka mała

Mogła unieść z cmentarza Père-Lachaise swe życie.

Tam dobito związkowych.

PANNA RÓŻA.

Tak — już wszędzie cisza.

Dom w porządku. Pogoda. Na nieba błękicie,

Jak w czerwiec, ani jedna chmurka się nie wiesza.

Ogródek mój powabny. Czuję róży wonie.

Ha! wszystko szydzi ze mnie! Ziemia się nie zmienia,

Czy serce twe w cierpieniu, czyli w szczęściu tonie!

I dziś kwiaty ku słońcu wznoszą swe korony,

Głupie ptactwo szczebioce dla płochy swywoli...

Jemu to obojętnem, iż brat mój stracony!

(Z ciężkiem westchnieniem).

Straconym brat na zawsze! zawsze!... Jak to boli!

(Do Zuzanny).

Czy nikt tu nie przychodził w czasie mego spania?

ZUZANNA.

Była Blanka, sąsiadka...

PANNA RÓŻA.

Ta z ulicy rogu?

Uboga to rodzina. Przez brata starania
Przyjęto jej chorego dziadka w przytulisko...
Bez niego starzec z głodu zmarłby na barłogu.

ZUZANNA.

I ksiądz proboszcz był temu pół godziny blisko.

PANNA RÓŻA (*nagle*).

Nie chcę widzieć go wcale!

ZUZANNA.

Co mówisz, panienko?

On kochał księdza Jana, i to z całej duszy,
Brat mu był przyjacielem, jego prawą ręką.
Pocieszyć więc jest w prawie. On smutki rozprószy...
Mogąż się tedy lepsze znaleźć odwiedziny?

PANNA RÓŻA.

Czy powiedział, że wróci?

ZUZANNA.

Zaraz tej godziny.

PANNA RÓŻA.

Wreszcie, niechaj przychodzi! Kochał mego brata.
Zleby było nie przyjąć. Lecz jak prawić zacznie
O poddaniu się Bogu, o rzeczach z za świata...
Przepadło! będę bluźnić. Ha! mówię opacznie...
Lecz ja cierpię zawiele. Ba — ksiądz proboszcz przecie
Nie waży się odezwać dziś po takim czynie,
Że jest Bóg sprawiedliwy i dobry na świecie!...

(*Do Zuzanny*).

Chcę być samą!

SCENA III.

PANNA RÓŻA (*sama*).

Żyć muszę!... Więc to nie złudzenie?
Żyję... Wybijać dalej będą mi godziny,
I ten zegar skrzypiący będzie liczył z ściany
Każdej doby najmniejsze czasu odrobiny.
Nie umiera się zaraz, nawet z takiej rany!

Ja noszę ją i żyję; jeszcze nie zwiędniała...
 Kto wie? może daleko śmierć tak upragniona.
 Lat pięć, dziesięć, dwadzieścia będę jej czekała,
 Z tą raną zawsze w sercu, z tym rakiem wśród łona,
 Który wiecznie ma wzrastać — ziele jadowite,
 Aż mnie wysie, pierś przedrze splotami strasznymi...
 Na wsi choć zabijają bydlę już zużyte,
 A mnie!... Pocóż mi dalej wlec się po tej ziemi?
 Gdy zabili mi dziecię moje łube, brata,
 Nie mam ja teraz więcej już celu istnienia...
 Ach! mieć tu, trzymać w ręku, policzkować kata,
 W twarz mu plunąć, a potem dławić do zduszenia!...
 Zwyciężono ich, dobrze! lecz uszedł tłum mnogi,
 Niejeden da im pomoc, ukryje, ocali,
 A Bóg im z mieczem zemsty nie zastąpi drogi.
 Nie, nigdy! być nie może! Myśl mi o tem pali...
 Od tej zbrojni potwornej już inną być muszę;
 Dawna pobożność moja wygasła odrazu;
 Ja z ludu! — odnalazłam mą pierwotną duszę;
 Moich cierpień nie zgoi próżny dźwięk wyrazu
 O nadziei, o Bogu, który niebem płaca.
 Od wezoraż łyzy me piję; trucizna to dziwna,
 Pali wprawdzie wnętrzności, ale rozum wraca.
 Dziś mi jasno... Ten, w kogo wierzyłam naiwna —
 Jest niczem! bo grzech górą, złe mu się opiera.
 Tak! Bóg ten złym być musi, albo niedołężnym,
 Jeśli rzuca świętego na ofiarę zbira,
 Stał się przeciw aniołom szatanów sprzysiężnym!
 I dziś nie chce dozwolić, abym się pomściła!
 Ha! ten Bóg przenajświętszy, któregom wielbiła,
 Już nie wierzę weń więcej! — Ha! niech ksiądz przychodzi!
 (Gdy domawia tych ostatnich słów, proboszcz, starzec z siwą głową, po-
 jawia się w głębi, przechodzi przez ogródek i zatrzymuje się w progu
 pokoju. Panna Róża spostrzega go).
 Już przyszedł.

SCENA IV.

PANNA RÓŻA, KS. PROBOSZCZ.

KS. PROBOSZCZ (*idąc ku niej*).

Biedne dziecię!

PANNA RÓŻA (*głosem urytanym*).

Dzięki za wizytę.

Ale widzi ksiądz proboszcz, dziś mi wszystko szkodzi.
Rozstraja... Ja w rozpacz... serce jak rozbite.
Pomówimy, lecz później, wkrótce. Do księdza przybędę.
Ksiądz go kochał, wiem dobrze... Takem dzisiaj dzika...
Kiedy mówić mam o tem, ja się nie zdobędę
Na spokój, wpadam w wściekłość... rozum gdzieś mi znika.
Dzisiaj czuję potrzebę, bym sama w swym domu
Wypłakała mą boleść.

KS. PROBOSZCZ.

To daruj, odchodzę.

Rozumiem, że żałujesz gorzko brata zgonu,
Lecz jedno słowo powiem — może ból osłodzę:
Kobieto! lży twe otrzej: twój brat dzisiaj w niebie!

PANNA RÓŻA.

W niebie! Ha, tej czekałam błażej odpowiedzi,
Którą wiecznie egoizm każe mamić siebie!
Brat w niebie. Dajmy na to! Lecz z łaski gawiedzi
Jest także tam na Haxo. W trupiarni cmentarnej
Leżał, skrzeplą krwią zboczony, zorany ranami.
To pewniejszem od nieba obietnicy marnej.
W niebie!... Ja nie ujrzę tam poza obłokiem
Mego Jana w zachwycie z męczeństwa palmami,
Lecz śmierć jego prawdziwa — trupa widzę okiem.
To pewnem!... Gdy na zwłoki zsypywano żwiry
W ohydnej krwawej fosie — niech to ksiądz pamięta —
I mą wiarę wraz z trupem pogrzebały zbiry.
Niebo!... wiecznie to niebo! A gdy czerń przekłętą
Włókła Jana do kaźni, razila kulami,
To niebo się stroiło w pogody kolory!
Dziś ono się nie troszczy lada drobiazgami.
Już przeszły czasy zemsty: Sodomy, Gomory...
Niebo! jak ono czyste, patrz, nie się nie schmurza!
Paryż w ogniu i rzezi — zda się wkrótce skona
Miasto we krwi potopie, bruk się w nafcie nurza —
A niebo wciąż pogodnem!... cisza niezmacona, —
Choć zawsze krwi niewinnej zabrania przelewu...
Twe niebo ja przeklinam! Tak ja, siostra księdza!

Nienawidzę je, w oczy drwię mu z jego gniewu!
Skończyłam. Rzucaj kłatwę!

KS. PROBOSZCZ.

Nie! ja z tobą płaczę.
Nie rażą mnie twe słowa, wiem co ludzka nędza,
Nie słyszę dziś twych bluźnierstw, i gniewy tłómaczę.
I Bóg ci je daruje. Ale brat twój święty,
W swej chwale wśród aniołów, w wieńcu męczennika,
Słyszeć musiał, i pewno został żalem tknięty!...

PANNA RÓŻA (*z łkaniem*).

Ach! ja biedna! Ja nie mam nadziei promyka!
Daruj księżu... Naprawdę, nie wiem co powiadam!
Ksiądz ma słuszość, przyznaję, brat jest pewno w niebie;
Ale ja, jak żyć mogę? Pod życiem upadam!...
Lecz pocóż rozdmuchuję mych cierpień zarzewie?
Wiem, nie powinnam wcale dotykać tej rany.
Źle robię; tak, uznaję, poddając się winie...
Lecz nikt pojąć nie zdoła, jak on mi kochany!
Ja mu czemś więcej byłam, niż siostrą jedynie.
Jaś małeńki miał we mnie czułe serce matki;
A później, jako kapłan poważny, skupiony,
Ojcem mi się wydawał. Chrześcijanin rzadki,
Czysty, a dobroczynny, do nieba stęskniony,
Niewolił mnie jak córkę do czci posłuszeństwa.
A ten człowiek naiwny, w wiecznem rozmarzeniu,
Roztargniony na wszystko, jak za lat dzieciństwa,
Często matką swą znowu zwał mnie w rozrzewnieniu
Za me drobne usługi. Patrz więc, co ja czuję...
Cierpię razem jak matka i jako sierota.
Mój drogi Jan zabity przez uliczne zbójce!...
Jakże była rozkoszną nasza wspólność złota,
W tem zacisznem mieszkaniu, na tej tu pustyni!
W tym kąciuku, o patrzaj, on miewał w zwyczaju
Czytywać po wieczery w zamierzchu godziny.
Ja szyję obok niego. Obojgu jak w raju;
Nie mówimy do siebie, nam zbyteczne słowa.
Kto kocha, ten rozumieć może bez wyrazu;
I że zawsze myśl nasza była jednakowa,
Zdarzało się nam często, że głos nasz odrazu

W jedno słowo się zleje, gdy przerwiem milczenie.
 Dla niegom poświęciła małżeństwo, rodzinę.
 Serce siostry, skazanej panny na zwiednienie,
 To jak skąpca szkatuła, to skarbiec miłości.
 My zawsze byli razem. Szedł gdzie na godzinę,
 Z myśli moich najlepszą dlań chowam w skrytości,
 W oczka pończoch ją wplatał dla niego dzierzganych...
 To wszystko mi wydarło, w ziemi pogrzebano!
 Lecz dosyć!... Pomna, bracie! chwil z tobą zaznanych,
 Nie dopuszczę, bądź pewnym, by mnie pocieszano.
 Ja nie chcę być niewdzięczną, mój ty biedny bracie!
 Nie dam oczu z łez otrzeć. Chcę płacić cierpieniem
 Szczęście z tobą przeżyte. Po twojej utracie,
 Umrzeć z żalu twej śmierci, to mojem pragnieniem!
 To mą gorzką słodyczą, rozkoszą okrutną!
 Ja lubię swą zgryzotę, kocham się w jej wdzięku,
 Chcę czuć we łzach tonącą moją dolę smutną —
 A gdy nadmiar łez zdławi, chcę w ostatnim jęku
 Ostatnie wydać technienie.

KS. PROBOSZCZ.

Płacz! Lubię łzy twoje,
 Biedna duszo złamana! W tej bolesnej doli
 Co ci zostaje córko, takich to łez zdroje
 Zrodzą kiedyś oazę na żywota roli.
 Łza na spiekę nieszczęścia, to jak deszcz w pustyni.
 Dobrze, mów o swym zmarłym, kochaj swą katuszę,
 Ale nie gaś nadziei, że tę drogą duszę
 Obchodzą twe cierpienia, że łzy ronisz przy niej...
 To nie ksiądz, to przyjaciel, starzec ci to głosi.
 Duch jego tu nad nami, wierzaj, się unosi.
 On cię widzi. Szept słyszę: „Siostrzyczko, o dzięki,
 Że tak bardzo mię kochasz. Ale te przekleństwa
 Niech ustaną, najdroższa! niech cichną te jęki.
 Płacz, łzy są słodkie, hyle nie odjęły męstwa
 Ukój się, ja tu jestem i cię błogosławię;
 Ja żyję w twojem sercu i w twojej pamięci;
 A kiedyś się złączymy tam w niebieskiej sławie...
 Zgódź się na życie, które cierpliwość uświęci,
 A ja blisko stać będę na twej duszy straży.
 Czytaj w głos Pismo Święte — tam na łzy pociecha;

A w dźwięku tych słów Bożych, nieraz ci się zdarzy
Usłyszeć słowa brata, jego głosu echa.
Przed moim krzyżem codzień, padłszy na kolana,
Siostró, módl się tem dłużej, im dłuższa pokusa;
A ze mną zjednoczona twa dusza złamana,
Ujrzy nieraz mój uśmiech na twarzy Chrystusa.
Nawiedzaj mych ubogich, kiedy głód ich nęka,
Podaj bliźnim kęs chleba, lub grosz zapomogi —
A uczujesz, jak brata ciebie ściska ręka.
Chrześcijanko! idź mężnie aż do kresu drogi!
Prawda, że boleść duszy brzemieniem jest ciężkiem,
Ale we mnie mieć będziesz podporę i świadka.
Idź więc prosto przed siebie walczyć sercem męskim!
Niech cię nie korci próżna o śmierci zagadka;
Nie pytaj siostró: czas twój bliski czy daleki —
A zasłuż niebo, aby z bratem być na wieki.

PANNA RÓŻA.

A nuż to prawda wszystko... Ach! mój księżu miły,
Dalibóg gdybym przykróść bratu wyrządzała...
Gdybym mogła mieć pewność... dobyłabym siły,
Wszystkiej siły mej duszy... Będę próbowała
Być mężną...

(Z przygnębieniem).

Jak to ciężko! Czemu nie skołałam?

(Powtórny huk ognia rotowego).

KS. PROBOSZCZ *(do siebie)*.

Boże! jeszcze te strzały!

PANNA RÓŻA *(która wzdrygnęła się z przerażeniem na odgłos wystrzału)*.

Co to? Tam, daleko,

Jakby ogień rotowy. Wyraźniem słyszała...

Tak jest, ja się nie mylę... Wersalczyzy sieką

Komunardów...

(Z okrzykiem).

Nareszcie! Mszczą mię! Zbójcy giną!

KS. PROBOSZCZ *(zaniepokojony)*.

To zgroza! Kto wie?... może wśród tych nieszczęśliwych...

PANNA RÓŻA.

Co, ksiądz chcesz się rozczułać nad nimi? Za winą

Obstajesz przeciw karze?... Ja dla hijen mściwych

Nie mam litości. Niechaj ginie dzicz przekłeta!
 Obliczyć niepodobna ilu krzywd sprawcami,
 Ile krwi natoczyli!... Więc zemsta jest święta!...
 W końcu — liczba ich mordów jest mi obojętną;
 Jeden tylko rachunek zaszedł między nami,
 I ten rachunek muszę obliczyć z tą wstrętną
 Czernią. Ja wiem to jedno: zabili mi brata!
 Mego brata zabili — czy ksiądz to rozumie? —
 Więc słuszna, by ginęli! Niech śmierć wszystkich zmiata!
 Ha, strzały, huk granatów pryskających w tłumie,
 Jakże mnie to upaja!... Hej! na te złoczyńce,
 Jeśli trzeba do rzezi zachęcać żołnierza,
 Jeśli broni nabijać nie starczą im ręce,
 Ot jestem! Kto pomocy żąda, niech tu zmierza.

KS. PROBOSZCZ.

Niewieście — tak przemawiać!...

PANNA RÓŻA.

To motłoch niktzemny!

Przecież lud ten przedmiejski: kobiety, mężczyźni,
 Dzieci, z którymi brat mój chleb łamał codzienny,
 Lud, któremu lży ścierał, kołł serca blizny,
 Ten właśnie w dzień komuny pierwszy jał się noży,
 Gotów świat cały wyrznać, obrócić w perzynę!...
 A Jan mój tak ich kochał, mój baranek boży!
 Codzień szedł gdzieś w poddasza, z jałmużną w gościnę,
 Chleb im niosąc i grosze, bieliznę, odzienie,
 Wszystkiem dzieli się z nimi co tylko posiada —
 I od nich właśnie bratu takie wywdzięczenie:
 Z ich własnych rąk w to serce strzał morderczy pada!...
 Ile czynił dobrego brat dla tych nędzników,
 Któż policzy? Ot, widzisz!

(Otwiera gwałtownie szafę i dobywa z niej wytartą rewerendę i księżę kapelusz)

Tu się przechowuje

Rewerenda, kapelusz dwóch nie wart srebrników.
 Mawiam nieraz do brata: „Aż wstyd mię przejmuję
 Z takiego jak ty księdza. Twa odzież zbyt lichą.
 Trzeba już nową sprawić. Pieniądze w komodzie”.
 Lecz on na się spojrzawszy, odpowiada cicho:
 „Różo! wczoraj widziałem biednych ludzi w głodzie.

To Duvalé, sąsiedztwo. Wiesz, dzieciąt pięcioro
 Żywić mają biedacy!... a matka w pòłogu.
 Wyrzucą ich z mieszkania, jak nie splacą skòro
 Zaległej raty czynszu. Nie miłe to Bogu,
 Gdy kapłan, blisko nędzy, stroi się, nadyma.
 Obszyj tylko kapelusz, rewerendę napraw,
 Jeszcze w starej odzieży da się spędzić zima“...

(Rzuca rewerendę i kapelusz na krzesło).

A w cztery dni potem wzięty przez nich w zastaw,
 Gdy siedział zakładnikiem w fatalnem więzieniu,
 To nikt z ludu nie bronił swego dobroczyńcy!
 Nikt, nikt ani pomyślał o jego zbawieniu.
 Najubożsi żebracy, jego ulubieńcy,
 Po franku na dzień żółdu brali od Związkowych;
 I w dzień mordu tam pewno do pomocy byli...
 Co? ksiądz karcisz mą wściekłość!... Dość tych słów miodowych!
 Głos twój, rzewnie strojony, już mię nie omyli!
 Gdyś o niebie mi mówił, kapłanie! kłamałeś,
 Kłamałeś, że tam dusza brata uwielbiona!
 Tylko piosnką dziecinną żal mój uspić chciałeś.
 Ale fizyczny instynkt z głębi mego łona
 Ocknął się na huk strzału, co tych zbójców zmiata.
 Brata mego zabili! Mszczą mnie!... Przyklaskuję
 Słusznej pomście!

KS. PROBOSZCZ.

Ta święta, którą noszę, szata,
 Żąda bym dom opuścić, co jej nie szanuje,
 I nie dopuszczał więcej podobnej zniewagi.
 Lecz chrześcijance, co śmie chęłpić się z ochoty
 Do zemsty, winien jestem słowo rzec uwagi: —
 Bóg, co za ludzkość wisiał na szczycie Golgoty,
 Bóg, któremu brat żyjąc, codzień u ołtarza
 Świecił z łzami pamiątkę krzyżowej ofiary,
 Bóg, którego w tej chwili szal twój tak spotwarza,
 Jest Bogiem przebaczenia, dobroci bez miary.
 Twój brat — mam o tem pewność, mówię ci to szczerze —
 W chwili zgonu lgnął myślą do Chrystusa krzyża,
 I stałość bohatera czerpiąc w swojej wierze,
 Z męczenników słodyczą, z słowami pacierza,

Wzniósł rękę nad katami, by ich błogosławić.
 A twe serce zatrute, twa głowa w obłędzie,
 Śmiaż dziką, ryczałtową sprawiedliwość sławić!
 Więc nienawidź! więc mścij się!... niechże i tak będzie
 Ale pomnij, że gdyby ów kapłan wzorowy,
 Gdyby ów brat szlachetny tej siostry tak mściwej
 Sądził lud ten, co ginie za obłęd chwilowy —
 Gdyby wyrok miał wyrzec rzeszy nieszczęśliwej —
 Napewno, miałby litość, wszystkimby przebaczył. .
 Bądź zdrowa !

PANNA RÓŻA.

Znów wątpliwość! Znów mi wolę spacyt!...
 Ale brat mój był świętym -- ja z sercem kobiety...
 Jednak zawsze to prawdą... On żegnał morderce!
 Boże! co począć? dokąd zwrócić się — niestety?

KS. PROBOSZCZ (*stojąc już na progu*).

Módl się!

(*Odechodzi*).

SCENA V.

PANNA RÓŻA (*sama*).

Módl się! już pacierz opuścił me usta...
 Chciałam modlić się w nocy, ale myśl w rozterce,
 W piersi wrzawa, bunt, zemsta, a dusza tak pusta!
 Modlić się! Czy ja zdołam? Próbujmy raz jeszcze.

(*Bierze różaniec i zaczyna odmawiać „Ojcze nasz“*).

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię
 Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja
 jako w niebie tak i na ziemi...”

Och! słowa dawniej jasne, dziś ciemne, złowieszcze...
 Mogęż Bogu powiedzieć: Dziej się wola Twoja?

(*Mówi dalej z wysiłkiem*).

„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj,
 i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy
 naszym winowajcom...”

Odpuszczamy?... Co? komu? Tym zbójcom bezczelnym?
 Nie, tegom nie mówiła! modlitwa nie moja!
 Bóg, Święci mi świadkami!... Precz mi z tym piekielnym

Różańcem! Jego ziarnka, ot ręce mi parzą...

Kłamałam, nie przebaczam!

(Rzuci różaniec na stół — po chwili).

A brat by przebaczył...

Tak mówił proboszcz słusznie — ale ja nie mogę.

Proboszcz jeszcze ratunek w modlitwie oznaczył,

Ale ja tę ostatnią już straciłam drogę,

Już modlić się nie umię. Wczoraj tak pobożna —

A dzisiaj „Ojcie-naszu“ dokończyć nie można!...

W tej chwili człowiek z gołą głową, w nieladzie, w mundurze związkowych z galonami srebrnymi, wchodzi w głąb przez bramę ogrodu; potem rozgląda się ku ulicy w prawo i w lewo, jakby się chciał upewnić, że nikt go tu wchodzącego nie widział. Spiesznie przechodzi przez ogródek, i zatrzymuje się na progu pokoju).

SCENA VI.

PANNA RÓŻA, JAKÓB LEROUX.

JAKÓB LEROUX *(głosem osłabłym)*.

Schronienia!

PANNA RÓŻA *(z przerażeniem)*.

Ach!

JAKÓB LEROUX.

Pani! gnany na ulicy

Wpadłem tu; miłosierdzia! Trop mój zatracony,

Ale mię poszukują na śmierć Wersalczycy.

Przytulku! Nie odmawiaj!

PANNA RÓŻA *(do siebie)*.

Co to? sprzymierzony

Tu!... u mnie?

JAKÓB LEROUX.

Pani dobra! partya ma przepadła!...

Ratunku! jam obsaczon jak zwierze w ostępie;

Ściga mię, tropi, goni, ta zgraja zajadła;

Jak tylko mię dopadną, w tym galonów strzępie,

Wyrok na mnie gotowy — na miejscu zakłują...

Gdy w ucieczce zoczyłem furtkę odchyloną,

Rzuciłem się w ten ogród. Tu litość uczują,

Rzekłem: kobiety mają serce. Bądź osłoną,

P. P. T. XXV.

Pani, zwyciężonemu!... Przebóg! ja się trwożę,
 Czy nie myślisz, żem jednym z wczorajszych zbrodniarzy?
 Nie, ja w boju walczyłem, wierzaj, nie na noże.
 Popatrz: mordercy piętna nie ma na mej twarzy!
 Daj mi kącik na chwilę — jutro pójdę sobie;
 Jak mię wygnasz, zginąłem. Wszak masz kochanego
 Brata, małżonka, ojca przy życiu lub w grobie?
 Na klęczkach błagam ciebie, ocal nieszczęsnego,
 Błagam w imię małżonka, ojca, w imię brata!...

PANNA RÓŻA.

Brata!... Powstań człowiecze! słuchaj odpowiedzi,
 I osądź, jaka wam się należy zapłata.
 Brat mój drogi, jedyny, pojman zakładnikiem,
 Ksiądz Morel padł od kuli z rąk twojej gawiedzi.

JAKÓB LEROUX.

Zgubionym!... Uciekajmy!...

PANNA RÓŻA (*zastępując mu drogę*).

Uciekaj! Ja z krzykiem
 Ścigać cię będę wszędzie. Chcesz, idź z mego progu,
 Ja się ciebie uczepię. Pchniesz mi nóż do serca,
 Z nożem jeszcze, nim skonam na ulicy rogu,
 Palcem wskażę cię ludziom i wrzasnę: „morderca!“

JAKÓB LEROUX.

Ależ ja nim nie jestem. Ja na barykadzie
 Biłem się za mą sprawę, ale żadnej zdradzie,
 Ni mordom zakładników nie byłem przyczyną...
 Łaski!

PANNA RÓŻA.

Choćby z ócz twoich krwi płynęła rzeka,
 Napróznobyś mię błagał. Śmierciś godzien winą,
 Ześ do morderców przystał. A ja mam ci życie
 Darować? mam od kary schronić, co cię czeka?
 Nie, przebóg! ja za brata zapłacę sowicie —
 Ja cię wydam! Do pomsty wszystko mię dziś miecie!

(*Bierze rewerendę i pokazuje*).

Wszystko! patrzaj bandyto! i ten szmat wytarty —
 To suknia mego brata. Łachman miał na grzbiecie,
 A złoto wam rozdawał, wam włóczęgi, czarty.
 I dziś ciebie ochronić? Nie, ty ze mnie szydzisz!

JAKÓB LEROUX (*powstając*).

Więc wydaj mię! Tą prośbą zbyt się poniżyłem.
Umrę, ale odważnie. Ty w mej śmierci widzisz
Fortunę; ot, ja dodam szczyt do tej fortuny:
Jam Jakób Leroux, jeden z przewodców komuny.

PANNA RÓŻA.

Boże! Tyś Leroux!

JAKÓB LEROUX.

Wstrętą była mi do licha
Ta religia, co Boga każe jeść z kielicha;
Lecz owych praw zabójczych ja nie uchwalilem,
Chciałem tylko pokonać Wersalskich tyranów,
Nie więcej. Lecz ot spadła maska z waszej twarzy!
Wiem teraz, co obluda dewotek, kapłanów,
Wiem, co warte modlitwy u waszych ołtarzy!
Niech chociaż to wypowiem bez serca kobiecie:
Kłamcy! — krzyżowanego Bogiem swym zowiecie,
A nie znacie litości!

PANNA RÓŻA (*do siebie*).

Nieledwie to samo,
Co powiadał mi proboszcz...

SCENA VII.

PANNA RÓŻA, JAKÓB LEROUX, ZUZANNA.

ZUZANNA.

Coś groźnego, panno!
Żołnierze jacyś przyszli, już są tu, pod bramą,
Chcą dom nasz przetrząsać.

(*Spostrzega Jakóba Leroux*).

Och!

PANNA RÓŻA.

Zostaw nas, Zuzanno.

(*Zuzanna odchodzi na prawo*).

PANNA RÓŻA (*do siebie*).

Proboszcz miał przecież słuszność... jużem zwyciężoną...
Tak! bratby im przebaczył, ja to czuję w duszy!

JAKÓB LEROUX.

Umrzeć trzeba! Żegnajcie mi dzieci me, żono!

Odwagi tylko!... Darmo! cios losu przyjmuję.

(Panna Róża chwytą z krzesła rewerendę i kapelusz; i podaje je jedną ręką Jakóbowi Leroux, drugą wskazuje mu drzwi na prawo).

PANNA RÓŻA.

Masz! idź pan w tę izdebkę, oblec się w te szczęty.

JAKÓB LEROUX (*w osłupieniu*).

Ja!

PANNA RÓŻA (*z gestem rozkazującym*).

Idź! powiedziałam.

(*Jakób Leroux bierze suknie i odchodzi na prawo*).

SCENA VIII.

PANNA RÓŻA (*sama*).

Wiem... to twa wola, bracie,
 Wielki sługo Chrystusa. Twa siostra cię słucha.
 Z ręki tego człowieka możesz oddać ducha,
 Ale tybyś przebaczył — Patrz, ja na twym kacie,
 Wieszam twoją relikwię, męczenniku święty!

SCENA IX.

PANNA RÓŻA, OFICER, ŻOŁNIERZE.

(Oficer z kilkoma żołnierzami wchodzi spiesźnie z głębi).

OFICER (*młody, wzburzony, zatrzymując się na progu*).

Daruj, pani, że wpadam; lecz gdzieś w tym zaułku
 Komunista się kryje. Gdzie? mówić bez zwłoki!
 To szef buntu najgorszy; stał na czele pułku.
 Przed chwilą ku drzwiom twoim kierował swe kroki.
 Ja tu wszystko przetrząsnę; a jak tu się czai,
 Pani głową odpowiesz.

PANNA RÓŻA.

A cóż mnie do zgrai?!

Pan jesteś w dziwnym błędzie: przejdź okiem po ścianie,
 Patrz, gdzie jesteś.

(Oficer obejmuje okiem mieszkanie, widzi krucyfiks, posąg Matki Boskiej, obrazy pobożne; cofa się z wyrazem twarzy nieco zakłopotanym).

Dom księdza czyż zbójców kryjówką?

I ja wrogą komunie, wrogą bardzo, panie!

Z radościabym służyła potrzebną wskazówką.

W pościgu za zdobyczą życzę powodzenia.

(W tej chwili Jakób Leroux w rewerendzie, z kapeluszem księdza na głowie, ukazuje się w drzwiach po prawej stronie, spostrzega żołnierzy i staje jak wyty. Panna Róża pokazuje go oficerowi).

Mieszkam sama z swym bratem. Ot i on się jawi.

OFICER (*uchyla kaszkiet na widok rewerendy*).

Ksiądz i pani wybaczą. Ma służba...

(*Do żołnierzy*).

Marsz, w drogę!

SCENA X.

JAKÓB LEROUX, PANNA RÓŻA.

JAKÓB LEROUX.

Do grobu... popamiętam łaskę ocalenia,

O! całe życie...

PANNA RÓŻA.

Dość! dość! ja słuchać nie mogę...

Idź już! zniknij mi z oczu — suknia cię wybawi.

(*Jakób Leroux idzie z wolna ku drzwiom i znikną*).

SCENA XI.

PANNA RÓŻA (*sama*).

(*Bierze do ręki koronkę, którą porzuciła na stole*).

Jestem twą siostrą, Janie, i dziedziczką w wierze!

Błogosław, bym do końca zmówiła pacierze.

(*Kłeka i kończy przerwany Ojcie nasz*)

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen“.

(*Zusłona spawła*).



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Jak mówić po polsku, czyli gramatyka polska w zarysie popularnym.
Przez *Antoniego Gustawa Bema*. Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.
Warszawa, 1889.

... „Położenie tuziemca — mówi autor we wstępie — chcącego przyswoić sobie teoretyczną mowy rodzinnej znajomość, jest o wiele łatwiejsze (niż cudzoziemca). W głębi ducha pielęgnuje on bezwiednie to narzędzie myśli, nie rozstaje się z nim ani na chwilę; wiernie też zazwyczaj odczuwa wszystkie jego charakterystyczne znamiona, i nosi w sobie przyrodzoną, rzec można, gramatykę. Na tem wszelako żadna ucywilizowana jednostka poprzestać niema prawa. Musimy od czasu do czasu powstałe wśród narodu różniczki językowe umiejętnie do wspólnego sprowadzać mianownika, bo inaczej droga, po przodkach otrzymana spuścizna, rozprysłaby się na liche, w postaci gwar indywidualnych, okruczki. Taki stan rzeczy, od którego na szczęście jesteśmy jeszcze dalecy, oddziałaby zgubnie na harmonię społeczną i spowodował upadek piśmiennictwa“.

„Cóż więc ma czynić Polak, pragnący drogą samouctwa zbliżyć się do zbadania wypadkowej wszystkich gramatyk indywidualnych własnego języka? Porządne czytanie dzieł, wzorową napisanych polszczyzną, i studyowanie poprawnej mowy żywej, ważną w tym względzie stanowi dźwignię; teoretycznych jednak wskazówek dostarczyć może tylko — na umiejętnej oparty podstawie, a popularny wykład praw i reguł językowych“. — I takim rzeczywiście wykładem jest książka, o której mówimy.

Gramatyka ta czyta się prawie jak powieść. Jestto skutek stylu barwnego i płynnego, jako też metody systematycznej, a jednak nie pedanckiej.

Członkuje autor swoją gramatykę na trzy działy: o głoskach (fonetyka), o wyrazach (etymologia), o zdaniach (składnia). Paragrafy (jest ich 73) idą liczbą porządkową przez całą książkę. Dział pierwszy nie ma podziałów; drugi ma ich cztery: wiadomości wstępne — odmiana imion i zaimków — odmiana słów — o częściach mowy nieodmiennych. Dział trzeci rozpada się na trzy części: wiadomości zasadnicze — znaczenie skłonników¹ zależnych w budowie zdania — o czasach, trybach i imiesłowach pod względem składniowym. Na pisownię niema, i słusznie, odrębnego działu, ponieważ „wiąże się ze wszystkimi gałęziami gramatyki“ (str. XI).

Ważniejszą jednak niż styl i podział rzeczą, jest w tej książce jasny i bezstronny pogląd na obecne stadyum w rozwoju języka. Autor bierze teorię z faktów językowych, a bynajmniej nie nagina lub zaprzecza tychże stosownie do wprzód powziętej teorii. Ocenia on i surowo nieraz sądzi różne sposoby mówienia i pisania, nie zaprzecza im jednak racji bytu, jeśli znaczna część wykształconych ludzi tak mówi i pisze. Ztąd wynika, że nie uważa się on, jak zbyt często nasi gramatycy, za prawodawcę, wymagającego posłuszeństwa, ale za badacza praw, w żywej mowie istniejących. A jeśli co, to właśnie takie stanowisko może doprowadzić do większego, niż dotąd, ujednostajnienia pisowni, o którą ostatecznie w tego rodzaju kwestiach spornych chodzi.

Podnieść też należy wielką erudycję gramatyczną i lingwistyczną autora. Nie jest ona wprawdzie dzisiaj przymiotem zbyt rzadkim, ale żeby była nie nudną, lecz owszem zajmującą, jak tu, tu istotnie *raritas*.

Takie jest, a bardzo miłe, wrażenie całości. Co do niektórych szczegółów — podyskutujemy.

Bardzo jest dobrą zasadą, wypowiedziana na str. 14. Zastanawiając się tam autor nad *é* (ścieśnionem), że ono, ustępując z pola, zostawia niejake wątpliwości co do pisowni, mówi: „Dobrzeby było zastosować ortografię do osobistego poczucia: gdyby każdy z Polaków rodowitych pisał *é* (ścieśnione) tam, gdzie je wymawia, badacze języka mogliby łatwiej poznać obecny stan dźwięku, i dokładniej śledzić stopniowe jego zanikanie“.

Szkoda tylko, że autor nie daje tej zasadzie szerszego zastoso-

¹ Tak nazywa autor przypadki gramatyczne: zdaniem naszym bardzo szczęśliwe to zastąpienie.

wania. I tak, zabrania bezwzględnie dawać „dodatkowych znaczków miękkących“ nad spółgłoskami wargowo-podniebiennymi, na końcu takich słów jak: paw', głąb', drób' karm' drop', gap' (str. 30). A jednak wielu Polaków właśnie tak wymawia — czemużby i pisać nie mieli? Przez toby się okazało, w których słowach te spółgłoski istotnie już tak stwardniały, że mówiący nie mają poczucia ich miękkości, jak np. ma miejsce w *kreu, traf, rób*.

Drugi przykład takiego ograniczenia wolności na korzyść doktryny jest na str. 41, nr. 4. Każe tam autor pisać: *biec, ląc, lec, móc, przysię, sprząc, strzec, strzyc, żec* (żgę), choć wie, że zazwyczaj wyrazy te bywają pisane przez *dz* (str. 42). Pod wpływem reguł o asymilacji zapomniał tu, zdaje nam się, autor o żywotności języka, o tem, co sam tak pięknie na wstępie wyraził: „tuziemiec... odczuwa zazwyczaj wierznie wszystkie charakterystyczne znamiona języka, i nosi w sobie przyrodzoną, rzec można, gramatykę“. Otóż ta naturalna, żywa gramatyka mówi tuziemcowi: „tryb bezokoliczny od *oblokę* pisz: *oblec*, a od *oblegnę* — *obledz*, a unikniesz zarazem przez to wątpliwości co do sensu. Wszakże jasne wyrażenie myśli, to cel tak mowy jak pisma“. Zresztą jeśli sam autor wbrew prawom asymilacji pisze rzeczownik: francuzka przez *z*, ze względów li tylko praktycznych, tj. dla odróżnienia go od takiegoż przymiotnika, to czemuż się sprzeciwia ogólnie przyjętej pisowni w tych dziewięciu czasownikach?

Owo „sprowadzanie do wspólnego mianownika powstających wśród narodu różniczek językowych“, nie ma być, bez wątpienia i w myśl sz. autora, krępowaniem życiowego rozwoju tegoż języka. Na to jednak zdają się zakrawać niektóre przepisy i zdania tej gramatyki. Tak np. co do słowa: mizdrzyć się, powiedziano tam, że błędem jest pisać je przez *rz*, owszem, ma ono być i pisane i wymawiane: *miżdżyć się*, dlatego, że pochodzi od *umizg* (str. 28). A jednak faktem jest, że go tak ani nie wymawiamy, ani nie piszemy. Czyż więc instynkt językowy miałby się omylić co do formacji tego wyrazu? Sądzę, że nie, ale raczej, że istnieją dwa blisko-brzmiące i blisko-znaczne pierwiastki: *mizg* i *mizdr*, podobnie jak są: *miazg* i *miazdr* (z kąd: miazga i miazdra). Z jednego najprawdopodobniej uformował sobie język *umizganie się* (o mężczyznach), — z drugiego *mizdrzenie się* (o kobietach).

Zbytecznem także wydaje nam się sprowadzanie do wspólnego, a raczej do starego mianownika, pisowni wielkiej części imiesłów na *szy*. Chcą mianowicie uczeni badacze starej polszczyzny wyrugować ortografię: *sposztrzęgłszy, zrosłszy się*, a zaprowadzić: *spos-*

strzegsz, zrozsz. Mówią, że *ł* błędnie tam zostało wniesione. Zgoda, ale się tak przyjęło, że stanowi dorobek języka książkowego. Jednostajność pisowni, jaka pod tym względem istnieje, więcej doprawdy warta, niż powrót do formy, która dla nas stała się już archaiczną lub trywialną (lud prosty tak mówi, choć w ogóle bardzo rzadko tych imiesłowów używa).

„O pisowni wyrazów obcych, gdzie zgłoskę jotowaną poprzedza niejasne częstokroć brzmienie *y, i* (*yja, ija*)“ (str. 53), autor mówi: „wszystkie te sposoby (*ya, ja, yja*) mają dzisiaj w świecie naukowym swoich obrońców, i dlatego każdemu wolno, bez narażenia się na zarzut nieznajomości pisowni, wybrać jeden z trzech wskazanych torów. Obowiązkiem naszym jest — mówi dalej, — wartość ich istotną treściwie, jasno, i o ile można, bezstronnie określić“. W dalszym ciągu przyznaje największą wartość sposobowi: *yja, ija*. Prawda, że ocenienie to zostało przeprowadzone z całą sumiennością. Tylko co do bezstronności pozwolę sobie zrobić małe *ale*. Zupełna bezstronność nie powinna zdaje się drugich dwóch sposobów, choć mniejszą wartość mających, bezwzględnie usuwać nawet z teorii (bo w praktyce, jakśmy widzieli, autor im nie przeczy racji bytu); są bowiem wypadki, z których właśnie tylko jeden z tych mniej wartych sposobów odpowiada nie tylko fonetyce, ale i naturze dzisiejszego języka. I tak, w słowach, w których ani nie słychać dźwięku *y* przed *j*, ani też nie wypływa on na wierzch w żadnych pochodnych formach, pisownia „joty samotnej“ zdaje nam się być jedynie odpowiednią; np. *djabęł, kurjer, warjant* itp. Że tu *y* na zawsze w polszczyźnie znikło, najlepiej dowodzi mowa ludu; że znów taki zbieg joty ze spółgłoską bez jej miękczenia (naprzekór jotacyuszom) jest polski, pokazuje się z takich słów jak: *zjeść, odjechać, objad*.

Sposób: *y* przed samogłoską (*ya, ye*), choć mniej często, ma jednak, sądzymy, również uprawnione zastosowanie w polskiej pisowni: np. *przyaresztować, wyemancypować, tryumf*. Dlaczegoż więc całkowicie go usuwać z teorii poprawnej ortografii?

Na str. 68 znajdujemy zdanie, że język początkowo „wyłaniał się z chaosu zwierzęcych, należycie nie rozczłonkowanych dźwięków“. Gdyby nie ton umiarkowany i szlachetny całej książki, trzebaby sądzić, że autor chce narzucać czytelnikowi swoje, bynajmniej w nauce niedowiedzione filozoficznie opinie. Nie mówimy już o hipotezie „dźwięków zwierzęcych“, gdyż darwinizm nie należy do gramatyki; zwracamy tylko uwagę, że i teoria „dźwięków należycie nie rozczłonkowanych“ nie jest bynajmniej pewnikiem w umiejętności lingwistycznej.

Hipoteza przeciwna, tj. że człowiek wraz z myślą przyniósł na świat gotowy sposób jej wyrażania, nie mniejszą w kołach uczonych cieszy się powagą.

Możnaby jeszcze wspomnieć o niektórych zwrotach autora, jak: „...dzięki różnego rodzaju dopełnieniom!” (str. 262). „Taki rząd bywa niekiedy *udziałem* imienia przymiotnego” (str. 252). „...cztery ostatnie *podziela* on z biernikiem” (329), które zbyt salonem, a raczej francuszczyzną pachną, ale są to drobnostki.

Oto wszystko, co nam się zdawało usterką lub niedokładnością. A z drugiej strony, jeśli zważymy, że wszystko inne, co ta książka na 342 stronnicach zawiera, jest pochwały godne, to będziemy musieli przyznać, że książka jest w całym znaczeniu słowa dobra. Za taką ją też mamy, i jako taką szczerze polecamy wszystkim miłośnikom ojczystego języka.

Ks. H. Pydynkowski.

Polska w obrazach. Wydawnictwo „Biblioteki Arcydzieł w Krakowie”.
Wydał *Adam Kaczurba*. Druk Anczyca i Spółki, 1890.

P. Kaczurba uwziął się naprawdę, żeby wyrugować wiedeńskie ilustracje swojemi wydawnictwami. I niema wątpliwości, że to usiłowanie zasługuje na poparcie, ponieważ wydawca nie tylko przemawia do „uczuc patryotycznych”, aby u swoich a nie u obcych kupowano ale stara się pod względem ceny i wartości rzeczy nie ustępować przedsiębiorstwom zagranicznym. Dziś mamy przed sobą 1 zeszyt nowej produkcji „Polski w obrazach”. Zeszyt ten zawiera 6 obrazów (z katedry Gnieźnieńskiej i z kościoła Trzemeszeńskiego); zeszytów takowych ma być 20; w dodatku mają wyjść objaśnienia historyczne, estetyczne i archeologiczne. Prenumerata na całość wynosi 14 złr., pojedynczy zeszyt kosztuje 75 cent.

Obrazy dobrze się przedstawiają; są to cynkotypie starannie wykonane u Angerera; drukarnia Anczyca się popisuje; użyła do nich farby podobnej do fotografii, i odbija je delikatnie, tak, że na pierwszy rzut oka możnaby je wziąć za światłodruki. Pierwszy przedmiot (widok Gniezna) mniej dobrze dobrany; zato widoki wnętrza katedry i fresk Smuglewicza w Trzemesznie, są szczęśliwie wybrane i prawdziwie interesujące. Kwestya, jak dalszy ciąg obrazów będzie dobierany, o czem prospekt nie daje nam żadnych wiadomości. Jeżeli wydawca będzie tylko podawał, co mu najłatwiej wpadnie pod rękę, z paru tylko miast, będzie to zawsze coś, ale nie odpowie wcale ty-

tułowi wydawnictwa. Jeżeli zaś będzie się starał z różnych, ile możności z wszystkich części Polski, cenniejsze zebrać pomniki, co by dało jaki taki pogląd na całość dawniejszej sztuki w Polsce, byłaby to rzecz bardzo cenna i dla wykształcenia młodzieży w szerszych kołach wielce pożyteczna. Chcąc przedstawić „Polskę w obrazach“ na 130 ilustracyach, trzeba dobrze wybierać. Zobaczymy ciąg dalszy!

Ks. M. Morawski.

Żywoć Siostry Małgorzaty od Przenajświętszego Sakramentu. Przez *Ludwika de Cissey*. Kraków, druk Wł. Anczyca i Spółki. 1896.

Wielki hiszpański myśliciel, Donoso Cortès, acz sam zajmował czynne i wydatne stanowisko w szrankach wojującego Kościoła, pisał przed laty: „W mojem przekonaniu, ci którzy się modlą, więcej nierównie dla ludzkości czynią, aniżeli ci, którzy walczą; a jeśli na świecie źle i coraz gorzej się dzieje, to dlatego, że więcej jest bitew, aniżeli modłów. Gdybyśmy mogli przeniknąć tajemnice Boga i zagadki historyi, mniemam, iżbyśmy zdumieli się cudowną skutecznością modlitwy, nawet w ludzkich rzeczy porządku. Ażeby społeczność ludzka utwierdziła się w pokoju, konieczną jest pewna, Bogu jednemu wiadoma, równowaga pomiędzy modlitwą a działaniem, życiem kontemplatywnem a czynnem. Co więcej, przypuszczam, iż gdyby przypadkiem nastął jeden dzień, a choćby jedna godzina, w którejby żadna prośba, żadna modlitwa nie wznosiła się z ziemi ku niebu, ten dzień i ta godzina byłyby ostatnim dniem, ostatnią godziną istnienia naszego świata“.

Głęboko chrześcijańskie te poglądy znakomitego publicysty, stały nam żywo w pamięci przy czytaniu książki, której tytuł wypisujemy powyżej, a która została wydaną nakładem wygnanych z Poznania i osiadłych pomiędzy nami Karmelitanek bosych. Są to dzieje ubogiej, nieznaney zakonnicy, która w XVII w., na rodzajnej francuskiego Karmelu niwie, zasłynęła wonią cnót i łask nadprzyrodzonych. Dziwnie bujna była to epoka spotęgowaniem uczuć i namiętności ludzkich. Zboczenia jednych pociągały za sobą jawne pokuty i ekspiacje nie samych tylko winowajców: czyste i niewinne ofiary wypraszały zmiłowanie dla całego kraju i społeczeństwa. Kto zgadnie, ile modlitw i zasług ukrytych zapewniło Francyi chwałę wieku Ludwika XIV? Od pierwszych lat owego stulecia, znaczy się niebawmy ruch religijny, błyskają promienne Świętych Pańskich postacie, mnożą się pobożne

instytucye, zawiązują stowarzyszenia, piętrzą ofiary szlachetne. Wystarczy między innemi przypomnieć, iż sprowadzone z Hiszpanii do Francyi w r. 1603 przez kardynała de Berulle i panią Acarie (Maryą od Wcielenia) karmelitanki, w ćwierć wieku później liczyły w nowej ojczyźnie czterdzieści już domów, a prawie wszystkie pierwsze przełożone zasłużyły, aby je podano do kanonizacyi.

W jednej z tych nowo powstałych przystani surowej reguły zakwitnąć miała jako piękna lilia Małgorzata od Przenajśw. Sakramentu. Zesmětnione oko współczesnych Francuzów na ciemnie dni dzisiejszych, szuka kordynału w przypomnieniach minionych cnót i zaskarbionych niegdyś zasług. Zład ten ruch hagiograficzny, któremu tak świetny początek i popęd dał hr. Montalembert przez swą biografię św. Elżbiety węgierskiej. Autor niniejszej książki oddał ją pod opiekę żarliwego Polski przyjaciela, i przypisał swą pracę Montalembertowi. Święci Pańscy różnemi skrzydły unoszą się w niebiosy, różne też obierają szlaki pobożnego rozmyślania i zachwytyw. Siostra Małgorzata, w jedenastym roku życia zaślubiona Chrystusowi Panu, aby z Nim się połączyć na wieki w 29, ukochała przedewszystkiem Boskie dziecięctwo Zbawiciela, i tkliwem nabożeństwem dała początek rozkwitłemu za dni naszych Arcybractwu, które czcząc dziecinne lata Pana Jezusa, zaciągają głównie dzieci w swe szeregi, i zajmuje się wykupem skazanych na zagładę małych Chińczyków. Uśpione przez pewien czas ziarno, rzucone niegdyś ręką pobożnej zakonnicy, dziś w wielkie wyrosło drzewo. Z dobrego i starannego przekładu poznajemy cudowne koleje krótkiego życia siostry Małgorzaty, cierpienia jej i zachwyty, a wraz i wpływ jej przyczyny na bieżące zewnętrzne wypadki. Modląc się gorąco za Francję, nieraz wyprosiła pomyślność jej oręża; Anna Austriaczka w wielkiej części przypisywała Małgorzacie uproszenie koronie potomka, który miał być Ludwikiem XIV, i nawet do kościółka Karmelitanek w Benanne ofiarowała, jako *ex voto*, srebrne dzieciątko, które dotąd pokazuje, jako wyobrażenie małego królewicza. Prócz ściśle duchownych korzyści, wypływających z czytania Żywotów Świętych, w niniejszej książce znajdujemy sprawdzenie przypomnianych przed chwilą słów hiszpańskiego pisarza, a wraz i podniecie do współdziałania ofiarą i modlitwą w dziele okupu i pokuty ogólnie krajowej. W miarę, jak więcej będzie wśród nas dusz pośredniczących między niebem a ziemią, większa równowaga między modlitwą a czynem, lepiej się też dźiać między nami zacznie, a ukryte przyczyny i prośby zapewnią rodzajność zbyt często jałowym trudom naszym i zachodom.

M.

Biblioteka pisarzy polskich. (Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie). Mikołaja Reja z Nagłowic: *Żywot Józefa z pokolenia żydowskiego* (1543). Wydał *Roman Zawiliński*. — Algoritmus, to jest nauka liczby, polską rzeczą wydana, przez księdza Tomasza Kłosa (1538). Wydał *Dr. Maryan A. Baraniecki*. — Kraków, 1889.

O celu i pożytkach „Biblioteki pisarzy polskich“, i o pierwszych pięciu tomikach tego ważnego wydawnictwa, pisał już *Przegląd* obszerniej w numerze listopadowym r. z.; powtarzać się więc tu nie będziemy, zadawalnając się podaniem do wiadomości naszych czytelników tytułów dwóch następnych, świeżo ogłoszonych książeczek. Wydanie i tutaj bardzo staranne, które równie wydawcom, jak Akademii zaszczyt przynosi. Ale jeżeli praca ta nie ma iść na marne, jeżeli podjęte przez Akademię ze znacznymi kosztami wydawnictwo przynieść ma rzeczywistą korzyść, i spopularyzować w pewnej przynajmniej mierze pisarzy naszych z XVI wieku; natenczas rzeczą jest niezbędną znacznie obniżyć wygórowane dotąd ceny, na książeczki te naznaczone. Oczom się wierzyć nie chce, czytając, że broszurka o 27 stronicach („Fortuny i cnoty różność“) — w wydaniu Akademii, która przecież ma fundusze na tego rodzaju druki; i majątku zrobić na nich chyba nie pragnie — kosztuje ct. 40; broszura Korczewskiego (str. VI i 88) ct. 80; Kwiatkowskiego (str. XI i 99) ct. 75; Bielskiego (str. XV i 119) 1 złr. Ceny te uszłyby od biedy, gdyby wydawnictwo to było księgarską, i to wcale na szersze sfery nie obliczoną spekulacją; obecnie zadają i zadać muszą ciężki cios całemu, tak pięknie pomyślanemu, tak pracowicie wprowadzanemu w czyn przedsięwzięciu.

Holandya. Przez *Stanisława Bełzę* (z fotografią kolorowaną). Kraków. G. Gebethner i Spółka 1890. str. 417.

Pochwały i uwagi, które poświęciliśmy przed kilku miesiącami na tem miejscu dwom wspomnieniom podróżnym P. Bełzy: „Za Apeninami“ i „Odgłosy Szkocyi“¹, zastosować się dadzą z lekkimi odmianami i do ostatniej z rzędu „Holandyi“. Jak we Włoszech i w Szkocyi, tak w Holandyi umiał nasz podróżnik patrzeć i na to, co piękne, i na to, co pożyteczne, a wybiegając i z bogatych muzeów i z bogatszych jeszcze fabryk myślą ku ojczyźnie, patrząc na całe prowincye morzu wydarte, na owoce wytrwałej, długie dziesiątki lat z pokolenia

¹ Por. *Przegląd powsz.* zeszyt sierpniowy i październikowy.

na pokolenie przechodzącej pracy, pyta ze smutkiem, czemu u nas takiej pracy nie znać, czemu tak łatwo załamujemy ręce, wołając: niepodobieństwo! Stare pomniki, dawne, inne niż dzisiejsze dzieje pamiętające budowle, nasuwają zwiedzającemu na myśl ważne w hollenderskiej historii sceny, które się tu odgrywały. Często cała wartość tych pomników zależy właśnie na tych związanych z nimi wspomnieniach i na płynących z nich naukach: dlatego i nam trudno zgodzić się z jednym z pism warszawskich, które krytykując „Odgłosy Szkocyi“, gniewa się bez ograniczeń i zastrzeżeń na „niepotrzebny balast“ cytat, „anegdotyczno-historyczną potrawkę“, którą każdy sam może sobie zgotować. Ale nie zgadzając się z warszawskim „zoilem“ — jak go p. Belza nazywa, zbyt bodaj na seryo występując do walki z gazeciarskimi „zoilami“ — i z nim samym zgodzić się nie możemy w krytyce np. inkwizycji lub Filipa II. Dziś minęły już czasy, kiedy Filip II służył za stracha niegrzecznym dzieciom, a przed magicznem słowem „inkwizycya“, żegnano się, jak przed upiorem. Filip II wzorem doskonałości może nie był, w imię inkwizycji dźiać się mogły nadużycia, ale światło historycznej prawdy rozpędziło już nie od dzisiaj groźne legendy, osnute na tle stosów rozpalonych za jednym skinieniem tajemniczego mieszkańca eskuryalskiego klasztoru — i czasby był doprawdy nie powtarzać tych legend. Niepotrzebne to plamy, które tem niemilej uderzają oko, że na pięknem malowidle się rozsiały. Spodziewajmy się, że przy drugiem wydaniu nie już psuć nie będzie ogólnej harmonii, z takim zresztą wdziękiem, czuć, że *con amore* naszkicowanego obrazu.

X.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Rzut oka na najnowszą niemiecką literaturę 1888—1889 ¹.

II. Filozofia.

„Wróćmy do Kanta!“ — oto hasło całej nowożytniej niemieckiej filozofii. Kant był koryfeuszem panteistów; Ojciec święty zaleca przede wszystkim cenić, bronić i rozszerzać naukę św. Tomasza, możemy

¹ Por. *Przegl. Powsz.* r. 1889, zeszyt z grudnia.

zatem pominąć całą protestancką filozofię niemiecką, jako nieprzedstawiającą zajęcia i pożytku dla szerszych kół czytelników. Weteranem scholastycznej filozofii w Niemczech jest kanonik Dr. Stoeckl. Jego *Lehrbuch der Philosophie* doczekał się już sześciu wydań, pomimo niemałej swej objętości. Uzupełnieniem tego dzieła jest przeznaczony dla studyów filozoficznych *Lehrbuch der Geschichte der Philosophie*, już w trzecim ukazujący się wydaniu. Zewnętrzna forma tego dzieła o tyle się różni od dawniejszych wydań, iż dzieli się obecnie na dwa tomy. Tom I obejmuje filozofię starożytną, filozofię pierwszych wieków chrześcijaństwa i średniowieczną. Ważniejsze są zmiany, odnoszące się do treści, gdyż cały tom pierwszy został przerobionym. Szczególniej filozofia nowożytna doczekała się staranniejszego i obszerniejszego opracowania, niż w wydaniach poprzednich.

Wzmiankowaliśmy już niedawno o Stowarzyszeniu Goerresa, liczącem 1715 członków i 641 współpracowników. Najpiękniejszym jego owocem jest wspomniany już powyżej *Staats-Lexicon*. Do wydań zbiorowych tegoż Stowarzyszenia należy także *Philosophisches Jahrbuch*, wychodzący rocznie w 4 zeszytach o 30 arkuszach druku. Jestto punkt zborny literatów, których filozoficznym studyom i pracom przewodniczy przekonanie o możliwości połączenia wiary i wiedzy, i o ich wzajemnem uzupełnianiu się. Rocznik ten zawiera sześć rodzajów prac: Traktaty, omawiające samodzielnie pewne ważne filozoficzne kwestye; badania, oparte na podstawie historii filozofii; recenzye, przegląd pism, bibliografię filozoficznej wszechświatowej literatury, a wreszcie wiadomości bieżące. Cena rocznika wynosi 9 marek, dla członków 6 marek, skład główny w drukarni akcyjnej w Fuldzie. Wymieńmy kilka artykułów z pierwszego zeszytu. Gutberlet: „Zadanie współczesnej filozofii“; Costarosetti S. J.: „Nauka państwowa filozofii chrześcijańskiej; Proxmarer: „Kontrowersye między Vasquezem i Suarezem co do istoty prawa przyrodzonego“.

Oprócz wydawanego przez Stowarzyszenie Goerresa *Philosophisches Jahrbuch*, niemieccy katolicy mają także *Jahrbuch für Philosophie*, Commera. Pismo to jest zaledwie o parę lat dawniejszem od poprzedniego. Znajdujemy w niem między innemi Grillenbayera: „Studyja filozoficzne z epoki Ojców świętych“; Feldmera: „Stosunek istoty do bytu podług św. Tomasza“ (*Essentia et existentia*); Gruppa: „Przyczynek do historii konfliktu między wiarą i myśleniem, i próby jego rozwiązania“. *Katholik* umieszcza również obok kwestyj historycznych pytania, mogące zająć katolickich filozofów. Szczególnem bogactwem filozoficznych opracowań, objaśniających lub rozwiązujących

palące kwestye współczesne, odznaczają się *Stimmen aus Maria-Laach*, wydawane przez niemieckich Jezuitów. Ojciec Lemkuhl omawia np. zajmujące pytanie: „Rewolucya z roku 1789 i wolność chrześcijańska“; O. Langhorst: „Główne prawdy chrześcijańskie w świetle najnowszych pojęć“.

Na polu filozofii Jezuici podjęli przedewszystkiem wielkie dzieło: *Philosophia Lacensis*. Ostatni tom tego dzieła obejmuje *Institutiones Logicales* Ojca Tilmana Pescha. W roku 1880 ukazały się *Institutiones philosophiae naturalis* O. Pescha, po których w r. 1885 O. Meyer S. J. wydał swoje *Institutiones juris naturalis seu philosophiae moralis universae*, których tom trzeci zaledwie teraz się ukazał. Między najnowszemi dziełami O. Pescha znajdowały się także *Die grossen Weltrüthsel*, omówione w swoim czasie w *Przeglądzie*. „Co do czytania i wiedzy O. Pescha — mówi Dr. Józef Dippel, jeden z najpoważniejszych pracowników na polu filozofii niemieckiej — nie może się z nim równać żaden nowoczesny profesor filozofii“. Z pomiędzy innych prac wymienimy tutaj Dra Unbingera: *Die Gotteslehre des Nicolaus Cusanus*. Wydawca odkrył dzieło kardynała, które dotychczas miano za stracone: książka Unbingera stanowi ważny przyczynek do historii filozofii. Zupełnie odrębnie traktuje Mikołaja Kuzę Glossner w swoim dziele: *Die philosophischen Reformversuche des Nicolaus Cusanus* (Rocznik Commera, tom 3). Znaną jest historia filozofii Ueberwega, dlatego też dziełko, dotyczące jego osoby, wielce jest ciekawem. Jest niem: *Die Welt- und Lebensanschauung Friedrich Ueberwegs in seinen gesammelten philosophisch-kritischen Abhandlungen*, M. Brascha (Lipsk). W Wiedniu modnym jest Schoppenhauer, choć rzecz to nieco dziwna w katolickim kraju. Dr. Reich w dziele pod tytułem: *Schoppenhauer als Philosoph der Tragödie* zowie pesymistę Schoppenhauera „wielkim frankfurckim filozofem“; wszakże nie omieszkaj również należycie skrytykować owego „wielkiego“ filozofa. Sędziwy żołnierz chrześcijańskiej myśli, prałat Brunner występuje również w szranki w dziełku pod tytułem: *Kniffologie und Pfiffologie des Weltweisen Schoppenhauer*, w którym okazuje, iż oprócz Kościoła, nie ma innej drogi zbawienia dla rozumu i serca. Szorstka forma Brunnera nie nadaje się do prac naukowych, pomimo tego wywiera silne na publiczności wrażenie. „Słowa jego niby błyskawice, iskrzące się wśród nocnych ciemności, wskazują rowy, pnie i kamienie, o które podróżny mógłby się potknąć i upaść“. Schoppenhauerem zajmuje się jeszcze hr. A. Foucher de Carcil w dziele: *Hegel und Schoppenhauer. Ihr Leben und Wirken*, przejrzanem przez Singera (Wiedeń). Ks. Augustyn Arndt.

L'éducation athénienne au V et au IV siècle av. J. Chr. Par *Paul Girard*. Paris. Hachette 1889.

Świadomość, iż źle się dzieje na świecie, że wedle Szekspirowskiego orzeczenia: *something is rotten in the state of... France*, wywołuje ruch niebywały na polu kwestyj wychowawczych i mnoży badania w kierunku systematów edukacyjnych dawnych ludzi i wieków. W słusznem mniemaniu, że *fundamentum reipublicae recta juventutis educatio*, liczne i sumienne usiłowania zmierzają do naprawy błędów, które może sprowadziły rozstrój dzisiejszy. Oczywiście, nie brak improvizowanych lekarzy, polecających empiryczne środki, nie brak i fałszywych proroków, domagających się reform bezwzględnych i zrywania z całą dawną tradycją nauczania i wychowania. Znalazła się cała szkoła nowatorów, zmierzająca do wyrugowania klasycznych studyów z dotychczasowej metody kształcenia młodych umysłów. Wywiązały się ztąd spory zacięte, których owocem między innymi jest niniejsza książka. Przeciwnicy humanizmu zawzięciej jeszcze walczą z językiem Homera, aniżeli z łaciną, i choć dotąd urzędowo greki nie wyparto z programatów szkolnych, coraz ciaśniejsze przynajm jej ramy. A jednak trudno zaprzeczyć doniosłości roli, odegranej przez Rzpłtę ateńską w ogólnym postępie i rozwoju cywilizacyi. Jakimi środkami, jakim wychowaniem Ateny przysposobiły swych synów do tak ważnego w dziejach oświaty posłannictwa? — oto zagadnienie, jakie postawionem zostało przez Akademię inskrypcyj i literatury. Praca p. Girard odniosła zwycięstwo w tem współzawodnictwie. Ta to rozprawa, wzbogacona mnóstwem przypisków i objaśnień, dziś urosła w książkę pełną prawdziwej aktualności.

W tych bowiem starożytnych ustrojach państwowych, mniemaćby można, iż lekceważenie indywidualności doprowadziło do zupełnego ovladnięcia publicznego wychowania przez rząd i państwo. Tymczasem wbrew demonstracyom filozofów, zalecających Rzpłtej, aby ujęła w żelazną dłoń kierunek edukacyj, spotykamy się z niespodziewaną i nadspodziewaną swobodą na tem polu. W oczach Ateńczyka wyższe wykształcenie najwyższem było dobrem, zasadzając się głównie na rozbudzeniu ciekawości, zaostreniu sądu, oraz czulej na piękno wrażliwości zmysłów. Zawierając zaś wrodzonemu upodobaniu Greków w kulturze ducha, oraz żarliwości ich w przyswajaniu sobie naukowych wiadomości; państwo zupełnie się tam usuwało od dyrektywy wychowania, a ta rzekoma obojętność przynosi zaszczyt obywatelstwu miasta i rządowi Rzpłtej ateńskiej. Ojcowie wyprzedzali snąc ustawy prawodawcze,

z przyrodzoną chęcią nadania jak najlepszego kierunku swym synom. Dociekania uczonych wskazują, iż tak nauczanie, jak i gmachy ku temu celowi zbudowane, nie podlegały w Atenach żadnej kontroli państwowej i zupełnej zażywały swobody.

Co nas przedewszystkiem uderza u starożytnych, to podniosłość ogólnego na wychowanie młodzieży poglądu. Jakkolwiek wysoko cenią naukę, nie tyle im chodzi o podboje wiedzy i rozszerzenie wiadomości, ile o wykształcenie moralnej istoty, o poprawę charakteru, o podniesienie duchowego poziomu, o nadanie młodzieży tej uprzejmej wykwintności, która za Rzymian otrzymała miano znaczące, *urbanitas*, bo dla nich jedno tylko istniało ognisko i miasto, a w Atenach zwała się attycyzmem. Ale w Rzymie widnieje już zawязek życia rodzinnego, poważniejsze troski i myśl o przyszłości. W Atenach napróżnoby szukać oznaki niepokoju o losy człowieka i dalsze jego wyrobienie. Dla Ateńczyków dziecko czy pacholę przedstawia się raczej jako szczęśliwa istota, rosnąca w słońcu młodości i powodzenia, nie budząc żadnych obaw ni głębszego zastanowienia w otoczeniu serc bliskich. Grecy nie znali marzycielstwa, ani przewidywań, trzymając się raczej bezpośredniej rzeczywistości. Chodziło im przedewszystkiem o to, aby niczem nie zasepić wiosny życia, a zarazem rozwinąć w dziecku całą możliwą sumę żywotności fizycznej i duchowej.

Ślicznie tu opisane gry i igrzyska młodzieży greckiej świadczą, iż ludzkość nic nowego odtąd nie wymyśliła dla zabawy swej dziatwy, bo już wtedy widnieją same huśtawki, kostki, lalki, piłki, baki i t. d. Szkoła grecka, zdobna w posągi Apollina i Muz, wcale się ponuro nie przedstawia; systemat nauczania zupełnie inny, nigdy zbiorowym nie bywa: każdy uczeń po kolei osobistą odbiera i oddaje lekcję, w miarę swych potrzeb i zdolności. Poza klasą o żadnych zadaniach mowy niema; przeladowanie umysłów nie istnieje wcale. W klasie ateńskiej najwięcej pamięciowych odbywa się ćwiczeń, zaczem p. Girard nawiasowo dość słuszną robi uwagę: „Błędem jest mniemanie, iż, aby nauczać, potrzeba każdą rzecz wyrozumować i przekładać dzieciom to tylko, co pojąć mogą dokładnie. Niewątpliwie trzeba im też dostarczyć większych zapasów wiadomości i poglądów, z których później dopiero korzystać będą w stanie. Tej to metody trzymano się w Atenach“.

Początkiem bodaj i podstawą wykształcenia u Greków była muzyka i ćwiczenia cytarzysty. Dalej gramatysta udzielał dziecięciu nauki czytania i pisania, oraz rachunków. Poezya znajdowała się u obu kreśłów wychowania, kształtując nieustannie młode dusze, a to tem wy-

łącznie, iż zastępowała nawet religijne wpływy, i że pieśni starego Homera służyły Grekom za pierwszy abecadlnik i podręczną Księgę Zakonu. Nie szło tu o retoryczne zbadanie stylu i formy, wystarczyło umieć na pamięć jak najwięcej wierszy i odczuwać ich piękno, ich podniosłość i nastrój szlachetny.

Odrzucając dziś moralną stronę studyów humanistycznych, Francya zwraca się do Grecyi po wzory fizycznych ćwiczeń, które istotnie znaczne tam w wychowaniu zajmowały miejsce. Ale i tu Ateńczycy upatrywali w czerstwości ciała ubezpieczenie hartu i zdrowia duszy. Igrzyska te gimnastyczne, ukształceniem harmonijnem członków, za prawieniem do trudów i niebezpieczeństw, zgotowały Rzpłtej silne i piękne pokolenia, odważne w boju, zręczne i zwinne w pokoju. Nikt lepiej od Greków nie znał upojenia siły, zdrowia i młodości, a to poczucie czerstwości ciała i ducha dodawało im odwagi i otuchy w życiu.

Raz opuściwszy ławy szkolne, młodzież znajdowała dalsze pole kształcenia się w obcowaniu ze starszymi narodu, w przysłuchiwaniu się rozmowom obywateli w portykach lub na targowiskach miasta, w uczestniczeniu przedwczesnem w publicznem życiu i sprawach, w konkursach i uroczystościach, w trybunałach i teatralnych widowiskach. Nowoczesny czytelnik ze zdumieniem spostrzega, ile w tworcach Eschylosa lub Eurypidesa, ile w komediach Arystofanesa, obok nauk moralnych i politycznych, znajduje się historycznych i geograficznych danych.

Aż do V wieku przed Chrystusem, wychowanie młodzieży ateńskiej nie uległo rdzennym przemianom. Wtedy dopiero stosunki z obcymi narodami wytwarzają nieznane przedtem wymagania edukacyjne. Zaczyna się epoka retorów i sofistów, a ciekawość umysłowa zaostrza się i rozszerza w niebywałym stopniu. Pierwotna prostota znika, komplikując się mnóstwem nowych wiadomości, należących do programu starannego wychowania. Ale niepodległość szkoły, niezależność nauki w stosunku do państwa zostaje jednaką, pięknym przykładem, od którego społeczności nowożytnie coraz to dalej odbiegają. W swej bezwzględnej czci dla Aten i greckiego świata, p. Girard może nie dość się zastanawia nad pogańskimi niedostatkami wychowania, lekceważącego najdroższy skarb młodości, dziewczą skromność, której cenę dopiero chrześcijaństwo wskazać i podnieść miało. Z tem jednym zastrzeżeniem, książka o której mowa, na same tylko zasługuje pochwały. Autor własną erudycyę poparł świadectwem mnóstwa pisarzy, którzy go wyprzedzili w badaniu tego samego przedmiotu. Skorzystał

z epigrafiki, ze sztuki ceramistów, zarówno jak z pisanych ksiąg, aby wniknąć w świat zamarły i odtworzyć jaskrawo ustrój szkolny dawnej Grecyi. Dłuższy pobyt w krainie Helenów pozwolił mu dopełnić archeologicznego wskrzeszenia przeszłości, a łatwy wdzięk, cechujący najgłębsze nawet plody francuskiej uczoności, dodaje blasku tej nad wyraz zajmującej i pięknej książce, godnej wawrzynów, którymi ją uwieczono.

M.

Die falsche General-Koncession Konstantins des Grossen (sogen. Konstantinische Schenkung). Von *Dr. Wilh. Martens*. München. Stahl sen. 1889. gr. 8^o. VI. 130 S. M. 3 20.

Pod koniec VIII-go wieku, a może nieco jeszcze wcześniej, lub najprawdopodobniej w trzecim dziesiątku IX w. pojawił się dokument, który rzekomo miał być aktem darowizny cesarza Konstantyna W. na rzecz Papieża Sylwestra (314—335), a który, zdaniem Schultego, najsilniejszą ma stanowić podstawę i niewzruszoną obronę tysiącletniej doczesnej władzy Papieństwa i politycznej jego przewagi nad światem. (u Hergenröthera w *Kat. Kirche und christl. Staat*, Freiburg 1873, 358).

W dokumencie tym, w Rzymie wystawionym, opowiada Konstantyn, że będąc jeszcze w pogaństwie, nawiedzonym został trądem. Natenczas doradzili mu kapłani wykąpać się we krwi dzieci; odrzucił jednak tę pokusę krwawej kąpieli, poczem ukazali się mu we śnie Apostołowie Rzymu: św. Piotr i Paweł, dziękując mu za to i składając go zarazem do przyjęcia chrześcijaństwa u biskupa rzymskiego, Sylwestra. Posłuszny cesarz zostaje ochrzczonym z ręki Papieża i równocześnie oczyszczonym z trądu. Przejęty tedy wdzięcznością, nadaje Sylwestrowi i wszystkim jego następcom władzę i godność cesarską: „tribuentes ei potestatem et gloriae dignitatem atque vigorem et honorificentiam imperialem“; następnie oddaje mu w zależność kościelną 4 stolice patryarchalne wraz z wszystkimi biskupstwami całego świata: „ut principatum teneat tam super quatuor praecipuas sedes Antiochenam, Alexandrinam, Constantinopolitanam et Hierosolymitanam, quamque etiam super omnes in universo orbe terrarum dei ecclesias“, i przyznaje mu prawo ostatecznej decyzji w sprawach wiary i kultu: „et eius iudicio, quaeque ad cultum Dei vel fidei stabilitatem procuranda fuerint, disponantur“. Opowiada dalej cesarz, że wybudował w Rzymie bazylikę laterańską św. Jana, watykańską św. Piotra i ostyjską św. Pawła, i bojnie je w dobra uposażył, wszystkie trzy wraz z ich

patrymoniami przekazując Papieżowi na własność. Darował mu również pałac laterański z prawem używania insygniów cesarskich — najobszerniejsza to część dokumentu — a duchowieństwo Rzymu obdarzył godnością senatorską z wszystkimi prawami i odznakami tego stopnia. Lecz ponieważ Sylwester wzdygał się przywdziać diadem cesarski, włożył mu Konstantyn na głowę kosztowną mitrę, jako symbol Zmartwychwstania Pańskiego. Wreszcie, co najważniejsze, prócz Lateranu, darowuje ten sam Konstantyn Papieżowi miasto Rzym i wszystkie prowincye, miasta i zamki całej Italii, czyli zachodnich okolic: „tam palatium nostrum quamque Romanae urbis et omnes Italiae seu occidentalium regionum provincias, loca et civitates“; przyczem w końcu nadmienia, że ma zamiar opuścić Rzym i nową założyć w Bizancyum jego imieniem nazwaną stolicę: „quoniam, ubi principatus sacerdotum et christianae religionis caput ab imperatore coelesti constitutum est, justum non est, ut illic imperator terrenus habeat potestatem“.

Taka jest treść. Co do czasu i miejsca powstania dokumentu, jako też co do jego autora, najróżnorodniejsze panują zdania i hipotezy uczonych, w niemniejszej może liczbie, jak np. w kwestyi Dekretów Pseudo-Izydora, w których się donacya Konstantyna znajduje.

Najdalsze terminu graniczne *a quo* i *ad quem* umieścić trzeba w latach 750—850. Nierównie większa jeszcze niezgoda co do miejsca. Dwa tu przypuszczenia, wprost przeciwne sobie: Rzym, według Doellingera (*Papstfabeln*. München 1863, 61 sqq.) i Francya prawdopodobniejszem zdaniem Grauerta (*Hist. Jahrb.* 1883, 525—617), gdyż to jest pewnem, że niezaprzeczenie francuski kompilator fałszywych dekretów znał nasz dokument, który zresztą spotykamy we wcześniejszych zbiorach tamtejszego pochodzenia; w Rzymie natomiast niepodobna dowieść jego znajomości za Leona IX (1048—1054), przynajmniej przed r. 1053, z którego to czasu papieskie listy wyraźną zawierają wzmiankę donacyi Konstantynowej (cfr. 22/9 do Michała Cerularyusza, patriarchy Konstant., Jaffé 4302³), donacyi, o której autentyczności przez całe wieki średnie nie powątpiewano, podczas gdy dzisiaj już jej fałszywstwo nie może być zakwestyonowanem. Ścieśniło się zatem pole walki w celu ściślejszego oznaczenia miejsca powstania rzeczonego dokumentu, jego autora i celu fałsyfikatu.

Co do pierwszego punktu, najnowsi akatolicycy badacze: H. Brunner (*Das Constitutum Constantini in der Festgabe für R. von Gneist zum Doktorjubiläum*. Berlin, 1888) i J. Friedrich (*Die Konstantinische Schenkung*. Nördlingen, 1889) usiłują obalić twierdzenie

Grauerta, wskazując na Rzym, gdzie powstać miał za Hadryana (772—795) akt ów darowizny. Jest wprawdzie w dwóch listach tego Papieża do Karola W. ($\frac{1}{5}$ 778, Jaffé 2423² i 2424²) oczywiste podobieństwo z *Constitutum*, ale też je niekoniecznie tem tłumaczyć potrzeba, że Hadryan korzystał z niego, lecz odwrotnie, tj., że późniejszy fałszerz zużytkował owe listy papieskie. Tak rzecz pojmuje prócz wielu innych protestantów i Sickel (*Das Privilegium Otto's I. für die röm. Kirche*, p. 50, sqq.).

Martens nie zajmuje się szczegółowo tą kwestyą, stojącą dziś na porządku dziennym; dotyka jej mimochodem, bo innym jest zakres ostatniej jego pracy, a mianowicie: krytyczne opracowanie samego dokumentu i jego losów, a więc przedstawienie jego treści, wskazanie źródeł, opis jego redakcyi i genezy, nakoniec zużytkowanie późniejsze, najprzód aż do czasów Grzegorza VII (1073—1085), a potem do Innocentego IV (1243—1254). W drugiej części znajdujemy sam tekst omawianego dokumentu, wydany podług najlepszych rękopisów wraz z komentarzem: w dodatku wreszcie 2 ekskursa o znaczeniu wyrazów: *sedes praecipuae*, tj. stolice patryarchalne, i o rzekomem zezwoleniu Konstantyna przyjmowania święceń przez senatorów.

Co do autorstwa, przyznaje je Martens kapłanowi rzymskiemu za Hadryana lub wkrótce po jego śmierci. Powodem fałszerstwa — zdanie to naszego autora, — był ówczesny kościelno-polityczny program Papieża, ku chwale i podwyższeniu Kościoła skierowany: *exaltatio ecclesiae Romanae*, którego jawnym wyrazem odnośny ustęp wspomnianego listu Hadryana do Karola: *Et sicut temporibus beati Silvestri Romani Pontificis a sanctae recordationis piissimo Konstantino magno imperatore per eius largitatem sancta Dei Catholica et apostolica ecclesia elevata est, qui ei et potestatem in his Hispaniae partibus largiri dignatus est*. Celem nakoniec wysławienie hojności Konstantyna W. i odświeżenie jego pamięci w czasach u schyłku VIII w. do początków IV stulecia tem niejako podobnych, że wtedy i teraz Kościół, uwolniwszy się od tyranów, różnych zaiste, nowego zyskuje opiekuna. Zauważyć też trzeba, że redakcyja donacyi nie jest jednolitą i równoczesną; widać to z braku jedności dokumentu i wielu w nim zachodzących sprzeczności.

Bliżej pracy tej omawiać niepodobna; przy każdym szczególe łatwo wywiązałyby się mogła polemika, bo ostatecznie i Martensowi nie udało się zakończenie sporu, ogniskującego się głównie w dwóch tylko, lecz zasadniczych pytaniach: Kto jest autorem darowizny Konstantyna W. i jaki jej cel?

Inna, nie w pokonaniu przeciwnika, zasługa niniejszej pracy, a leży ona w tem, że droga, jaką obrał Martens, przybliżyła chwilę rozwiązania spornej kwestyi. Rozchodzi się bowiem przedewszystkiem, czy Rzym, czy Francya ojczyzną falsyfikatu; jeżeli zaś główne jego źródła: *Legenda Sylvestris*, *Liber Pontificalis* i *Codex Carolinus* nie mniej znanymi były we Francyi, jak w Rzymie, to przypuszczaćby prawie koniecznie należało, że początku darowizny potrzeba szukać na północy, za czem też inne dane stanowczo przemawiają. Już to los Francyi ówczesnej, że była kuźnią podobnych fałszerstw; zaświadcza je Pseudo-Izydor — jak wykazują najnowsze badania Fourniera w tym przedmiocie — i robota Benedykta Lewity. Świadczy to z drugiej strony o niej pochlebnie, że przed zapadającą nocą następnych stuleci niezwyklej zajaśniała blaskiem kultury i produkcji literackiej. W czasach, o których mowa, ten północny-zachód Europy w pełnym rozkwicie odrodzenia dziwnie odbija od zalegającego we Włoszech barbarzyństwa.

Ks. Dr. Fijałek.

Die Universitäten Englands im XVI. Jahrhundert. Von Zimmermann S. J. Fryburg. Herder 1889.

Niniejszy zeszyt uzupełniający do *Stimmen aus Maria Laach* nie stanowi wcale wyczerpującej historii angielskich uniwersytetów w okresie oderwania się tego państwa od Kościoła, lecz przedstawia wpływ tego wypadku na istnienie i stanowisko uniwersytetów. Po krótkim zeszycowaniu studyów humanistycznych w Anglii, ich dobroczynnych i szkodliwych wpływów, jak również zasług tych wpływów w wiekach średnich, maluje autor trafnie ukazanie się kościelnych humanistów. Potem następuje obraz walki między katolicką prawowiernością, a rozpowszechniającą się nową nauką w uniwersytetach od chwili odstępstwa Henryka VIII, oraz opis zrabowania i ujażdżenia przezeń tych wyższych zakładów naukowych. Pod Edwardem VI zwycięstwo protestantów stało się zupełnem. Smutne skutki tych wypadków zostały przedstawione podług najlepszych angielskich źródeł. Dla Oxfordu służyły przedewszystkiem dzieła Antoniego Wood'a, cytaty jednak wskazują, że O. Zimmermann zużytkował także pilnie nowsze monografie. Najlepszy materiał dla Cambridge znalazł on w Mullingerze. Wnioski, z faktów wyciągnięte, mogą być bolesnymi dla ludzi, nie mających z Kościołem nic wspólnego; dla nas jednak

to dziełko stanowi przyczynek do historycznego usprawiedliwienia katolickiego Kościoła, jak również pożądane uzupełnienie dzieła Digby'ego o życiu kościelnem w wiekach średnich.

Aug. Arndt.

Manna quotidianum sacerdotum, sive preces ante et post Missae celebrationem, cum brevibus meditationum punctis, pro singulis anni diebus, edidit *Jacobus Schmitt S. J. Dr.* etc. tom. I. editio tertia Friburgi Brisgovia, sumptibus Herder 1889.

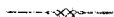
Istniała już od r. 1864 książka pt. *Manna Sacerdotum*, zawierająca modlitwy przede Mszą i po Mszy św. na każdy dzień roku; ale rzadko komu zdarzyło się ją spotkać. Mając przypadkiem pod ręką jeden egzemplarz, używałem go często od kilku lat i miałem sposobność się przekonać, jak wyborne jest to dziełko. Z przyjemnością więc dzielię się z naszymi Czytelnikami wiadomością, że wychodzi nowe wydanie u Herdera.

Przed Mszą, a więcej jeszcze po Mszy św. pożądaną bywa kapłanowi jakaś książka do modlitwy pod ręką. — Dziękczynienie rytualne, jakkolwiek najpiękniejsze, zużywa się powtarzaniem; do modlitwy wewnętrznej nie zawsze się jest jednakowo usposobionym; mieć więc przed sobą (by użyć wedle potrzeby) modlitwy poważne, a zarazem pobożne i niepowtarzające się, ale codzien inne — jest to zawsze miłem i często ożywia nabożeństwo. Otóż to zadanie spełnia całkowicie *Manna sacerdotum* — i tem jeszcze się zasługuje, że te modlitwy czerpie po wielkiej części z Ojców świętych, mianowicie z takich ascetów, jak św. Augustyn, św. Efreń, św. Anzelm.

Oprócz tych modlitw przede Mszą i po Mszy, są jeszcze na każdy dzień punkta do rozmyślenia; w pierwszym wydaniu były one króciutkie, o 3 wierszach, teraz są nieco rozszerzone; autor powiada, że je zaczerpnął z ascetów, jak de Ponte, Leńczycki, Avancini i t. p., wszelako tak je ściągnął, że z nich wszystek sok wycisnął. Do tych punktów nie przywiązujemy wartości. Jest też *in Appendice* dobry zbiór modlitw odpustowych i t. d. Ale to rzeczy podrzędne.

Pierwsze wydanie było w 3 tomach, terazniejsze, o ile z 1 tomu wnoszę, będzie miało 4, podzielonych jak brewiarz. Niniejszy tom kosztuje 3 marki.

Ks. M. M.



Z pism czasowych.

Ekonomista Polski. Nr. I.

Z radością powitałem program i z najwyższym zajęciem przeczytałem od deski do deski pierwszy numer *Ekonomisty Polskiego*.

Takiego pisma nam trzeba było. Ponad wszystkimi kwestyami, które zaprzatają umysły kraju i rozdzielają stronnictwa, górują obecnie kwestye ekonomiczne. Tu tkwi *be or not to be* Galicyi. Traktowano dotąd te kwestye okazjonalnie, w broszurach, — ale broszury się nie rozchodzą — w gazetach, — ale gazety przelatują przez ręce, i nie trafiają, jak tylko do swoich politycznych stronników; teraz mamy organ fachowy, który scentralizuje te studia na polu ekonomii krajowej, uwidoczni praktyczne wnioski, i to wszystko z pewną logiką i ciągłością dalej rozwijać będzie. Ztąd słusznie zbawiennych dla kraju rezultatów spodziewać się możemy; albowiem brak nam dotąd nie tylko zgody i sprężystości w wykonaniu, ale też brak wiedzy, brak dokładnych wiadomości o zbiorowych interesach kraju, i to przyczynia się niemało do rozstrzelenia zdań i uniemożliwienia reform.

Nadzieję tę uzasadnia nie tylko założenie tego pisma, ale też dobór dzielnych ekonomistów, którzy wchodzą w skład redakcyi, jak p. Tadeusz Rutowski, p. St. Szczepanowski, p. Teofil Merunowicz, p. Wit. Lewicki. Nie słyszeliśmy dotąd, żeby p. Romanowicz był także specjalistą w ekonomii politycznej, ale jeżeli się to wykaże, — szczęście Panie Boże! Spodziewamy się przecież, że p. Romanowicz nie wprowadzi do *Ekonomisty* tej „takytyki“, której wytrwale się trzymał w *N. Reformie*: napadania systematycznie na ludzi i na przedsięwzięcia, bez względu na ich wartość dla kraju, skoro tylko należą do przeciwnego stronnictwa politycznego lub od niego pochodzą. Zadanie *Ekonomisty* jest nadto przedmiotowe, a ogół redakcyi nadto wytrawny, aby się można czegoś podobnego obawiać.

Z drugiej strony słyszałem czyjeś zdanie: „Jakże można takie pismo prenumerować, którego redakcyę składają członkowie lewicy?“ Przekonany jestem, że jest to tylko zdanie jednostki, powiedzieć jednak muszę, że ono mnie z krzesła podniosło. Przecież najprzód trzeba patrzeć: co robią, czy coś dobrego, pożytecznego lub szkodliwego? — a nie, kto robi? A kiedy już pytamy, kto pisze w *Ekonomiście*, to najprzód: czy on jest specjalnie w ekonomii wykształcony? — czego

przecież tej redakcyi zaprzeczyć nie można. I może niełatwo by było drugie grono ekonomistów równie uzdolnionych u nas zgromadzić. Jeżeli nawet o kwestyach ekonomii kraju sądzić będziemy podług naszych politycznych sympatyj i antypatyj, to jak dwa i dwa cztery, kraj ogłodzimy i wyjałowimy do szczytu.

Szczęściem cała ekonomia wypływa z zasad i obserwacyi, które nie mają nic wspólnego ani z liberalizmem, ani z konserwatyzmem politycznym. Więc jeden drugiego (choć do innej partyi należącego) przekonać może, byle ten drugi zechciał nadstawić ucha i spojrzeć na fakta, które tamten pokazuje. Nie wątpimy też, że redakcyja *Ekonomisty* nie zamknie swych łamów artykułom przez kogokolwiek z innego stronnictwa pisanym, gdy będą miały odpowiednią naukową wartość. A jeśliby kto nawet między cyfry wciskał stroniczne i polityczne namiętności, wnetby to wyszło na wierzch, i byłby czas protestować. Ale tego ani z góry przesądzać, ani z 1-go Nru *Ekonomisty* wnosić nie można.

Zaczyna się ten numer śmiało od oceny „Gospodarstwa skarbowego ministra Dunajewskiego“, pióra p. Szczepanowskiego. Rzecz ściśle i gruntownie opracowana na podstawie 10-letnich budżetów i zamknięć rocznych rachunków obecnego ministerstwa skarbu. Autor bardzo wysoko stawia działalność p. Dunajewskiego, jako ministra Austrii, wykazuje jej bezwzględna wyższość nad polityką finansową dawnych centralistów, ocenia dodatni wpływ jego gospodarki na polityczną sytuację Austrii w Europie; szczególnie zwraca uwagę na wielki takt, z jakim minister preliminuje corocznie dochody, nie optymistycznie, ale jak najskromniej, i pozwala lewicy wygadywać na oplakany stan finansów Austrii, skutkiem czego ma czem się zastawiać przed nowemi żądaniami wydatków, a z końcem każdego roku ma superaty i zawsze obfitość pieniędzy w kasach. Na samem końcu autor podnosi kilka zarzutów, — żaden minister nie jest ponad krytyką: — mianowicie zarzuca autor p. Dunajewskiemu, że się nie wyniósł ponad rutynę fiskalizmu austriackiego, co się w sposobie obmyślenia i wykonywania nowych praw fiskalnych ciągle objawia. W szczególności co do Galicyi uważa jego działalność jako ekonomicznie szkodliwą, powiada jednak, że wina w tej mierze spada na nas samych, że my sami powinniśmy byli z większą znajomością rzeczy i solidarnością bronić swoich interesów, a nie oczekiwać tego od austriackiego ministra finansów.

Na drugim miejscu przychodzi artykuł znakomity, powiem nawet pomnikowy, p. Rutkowskiego o „klęskach elementarnych Galicyi“. Miara cywilizacyi — mówi dobrze p. R. — jest walka człowieka

z żywiołem i stopień zapanowania nad naturą. Tymczasem kraj nasz pod tym względem zostaje z wielu powodów w tyle; z winy naszej i cudzej, klęski elementarne co roku prawie chodzą po Galicyi bezkarnie; a nie czynimy nic, lub prawie nic, aby je zwalczać i przed nimi się ubezpieczyć. Narzekamy głośno, gdy jaka klęska spadnie, a zapominamy, skoro minęła, że ona powrócić musi. Zaczem autor uznaje za potrzebę, „przyjrzeć się raz całości tych klęsk, co kraj uboża, nie wypadkom pojedynczym, ale ciągłości przyczyn i skutków z dłuższego lat szeregu...“ I przesuwają w tych kartach przed nami długim, ponurym korowodem przeróżne zmory klęsk elementarnych Galicyi: jedna prowadzi za rękę drugą: najprzód klęski rolnicze, ostatni rok posuchy i lata mokre, powódzie i grady, myszy i szkodniki, potem zarazy na bydło, potem pożary; a na tle tych nieszczęść elementarnych i w związku z nimi, uwidocznia się smutny stan zdrowia i śmiertelność ludności.

Autor ani słówkiem nie ubarwia tych klęsk, zestawia tylko fakta i cyfry; widać nawet, że jako wytrawny statystyk, ile może cyfry obcina. Ale właśnie te nagie cyfry, niby kościotrupy owych klęsk, tem straszniej i silniej rysują się w myśli. Lecz nie poprzestając na zestawieniu faktów, autor zapuszcza się przy każdej kategorii w dociekanie jej ogólnych przyczyn, a zarazem co krok wskazuje środki zaradcze i ratunkowe, wymienia, czego od rządu wytrwale domagać się mamy, w czem sami możemy sobie zaradzić, w jakich razach skutecznie z naturą walczyć można, w jakich do wzajemnego ubezpieczenia trzeba się uciekać; wskazuje też, jak te same środki w sąsiednich krajach z powodzeniem użyte zostały, a jak u nas częścią zostały zaniedbane, częścią źle użyte. W rezultacie autor ocenia na 250 milionów stratę, którą poniosła Galicya w ostatnich 10 latach przez klęski, którym byłoby się zapobiegło, gdyby kraj był należycie zagospodarowany i ochroniony. Z tem wszystkim duch tego artykułu nie jest wcale pesymistyczny; znać człowieka, który wiedzą panuje nad sytuacją i widzi możliwość odparcia złego. Co więcej, zpośród tych cyfr i nagich faktów wieje pewne ciepło i szczerą miłość dla kraju, rwąca do czynu.

Na trzecim miejscu znajdujemy artykuł p. Merunowicza „o sprawach przemysłowych w galicyjskim Sejmie“. Jest to zbiór i rozbiór tego wszystkiego, co Sejm nasz i Wydział krajowy zrobili w ostatnich latach dla podniesienia i ucywilizowania przemysłu krajowego. P. M. skarży się na brak poparcia tych usiłowań ze strony rządu centralnego, wytyka, jak Wiedeń instynktowo się boi wszystkiego, coby mogło wzmożć przemysł wschodnich prowincyj państwa, a zmniejszyć odbyć

fabryk wiedeńskich. Ale w obec tych przeszkód, bardzo ocenia autor rozumne i patryotyczne usiłowania Sejmu i Wydziału: rozmnożenie szkół przemysłowych, stypendya w tym kierunku zwrócone, instytucję komisji dla spraw przemysłowych i t. d. I niczego innego się nie domaga, jak tylko wytrwania na tej drodze, a nadto szczerego popierania tych usiłowań władz przez całą światłą ludność naszego kraju.

Na końcu jest jeszcze artykuł p. Stan. Kłobukowskiego o „rocznej emigracji polskiej“, ale go obecnie nie omawiam, bo dopiero jest zaczęty.

W ogólności powiedzieć można o wszystkich artykułach *Ekonomisty*, że się w nich przebija nieklamana życzliwość dla władz. Jest gdzieś tam ogólna i rzeczowa krytyka, ale żadnej nie widać chęci zwalczania tych władz i podkopywania ich *à outrance*. Owszem, znać skłonność do odkrywania i podnoszenia wszelkiej dodatniej ich działalności. Takiej krytyki potrzebowaliśmy. Znać także we wszystkich artykułach coś z tego, co o pracy p. Rutowskiego powiedziałem: przewiewa w nich jakiś duch życia i czynu, miłość dla kraju czynna, idąca wprost do jakiegoś praktycznego rezultatu, który jasno ma przed oczyma; każdy artykuł stawia jakieś konkretne i umotywowane zadanie, do którego czy władzę, czy ogół kraju nawołuje.

Cena przedpłaty tego wydawnictwa na pozór wysoka, 18 złr. rocznie; gdy się jednak weźmie na uwagę, że jestto pismo naukowe i specjalne, a przytem, że oprócz zeszytu miesięcznego, dostaje się za tę cenę co tydzień dodatkowe pismo: *Tygodnik Ekonomiczny*, zawierający krótkie artykuły z dziedziny ekonomii, korespondencye, przegląd giełdowy, ekonomiczną kronikę, sprawozdania targowe i t. p. — gdy się to weźmie na uwagę, mówię, to cena wyda się bardzo umiarkowaną.

Co się tyczy zewnętrznej formy, radzilibyśmy Redakcyi, żeby wymagała od drukarni świeższych czcionek, a od introligatorni lepszego zbroszurowania (a nie tylko sklejenia) zeszytów. Ale co ważniejsza, to zupełny brak spisu artykułów, który bardzo utrudnia rozglądnięcie się w piśmie. Chyba przypadkiem w tym pierwszym Nrze spis został opuszczony.

Wreszcie pozwolimy sobie wyrazić życzenie, w interesie tej, tak poważnej publikacji, żeby cyfry statystyczne, jakie wypadnie często przytaczać, były zawsze poparte zacytowaniem źródła, i to nie ogólnikowem, ale dokładnem, tak, żeby je czytelnik mógł łatwo sprawdzać. Nie jestto przymówka do niniejszego Nru *Ekonomisty*, bo kiedy p. Rutowski przytacza cyfry, to wszyscy wiemy, że posiada do tego wszel-

kie dane, i że na jego dokładności polegać można: kiedy p. Szczepanowski ocenia gospodarkę finansową ministra Dunajewskiego, to widoczna, że cyfry czerpie z urzędowych budżetów i zamknięć rachunków. Ale wyrażam to życzenie ogólnie i na przyszłość, bo może sobie sumienni redaktorowie ani nie wystawiają, jak dalece rozszerzyła się w kraju nieufność do cyfr statystycznych, z winy kilku artykułów czy broszur, lekkomyślnie napisanych. Dla powodzenia zaś takiego pisma, jak *Ekonomista*, nic ważniejszego, jak żeby sobie wyrobił w kraju tę reputację, że każda cyfra w nim podana jest powagą, że można się spierać o jego wnioski, ale nie można powątpiewać o faktach przezeń przytoczonych.

Kończymy życzeniem, żeby ciąg dalszy tego wydawnictwa był takim, jak pierwszy numer, i żeby najszersze koła naszej publiczności tak się zainteresowały tem pismem, jak ono na to zasługuje.

Ks. M. Morawski.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła

Encyklika o obowiązkach chrześcijan. — Skutki laicyzacyi szkół francuskich. — Mnożące się zbrodnie. — Wyznania francuskich liberalów. — Seminarzyści w koszarach. — Parlamentarne zwycięstwa katolików w Monachium i w Berlinie. — Socyalny program Centrum, a reskrypty cesarza Wilhehna. — Węgierski minister o święceniu niedziel.

ENCYKLIKA. Liczny szereg encyklik, w których Leon XIII od pierwszych dni swego panowania zwracał się, to do całego chrześcijańskiego świata, to w szczególności do pewnych narodów, jak Francyi i Hiszpanii, teoretyczne nauki, praktyczne wskazówki w odezwach tych zawarte, znalazły uzupełnienie, a raczej — jak dobrze wyrażono się — streszczone i w jeden jakby krótki katechizm ujęte zostały w najnowszej papieskiej encyklice *Sapientiae christianae*: „O najważniejszych obowiązkach chrześcijańskich obywateli“. Na końcu tej encykliki upomina Papież biskupów z szczególnym naciskiem, aby dyecezyan swych obznajomili z jej treścią; najlepszy dowód, jaką wagę sam Ojciec św. przykładą do zasad w tej właśnie encyklice wyłożonych, jak pragnie, aby wszyscy katolicy je sobie przypomnieli i niemi się kierowali równie w życiu publicznem, jak w domowem. Istotnie Papież zastanawia się tu nie nad jedną jakąś poszczególną kwestyą, nie jedno, do pewnego kraju, do

pewnego koła ludzi, do pewnych okoliczności odnoszące się roztrząsa zagadnienie, lecz schodząc do samego jądra rzeczy, wszystkie potrzeby ludzkości, wszystkie grożące jej niebezpieczeństwa razem obejmując, pyta: „Co uczynić należy, aby społeczeństwo — jak się tego z dniem każdym coraz gwałtowniejsza konieczność okazuje — powróciło do chrześcijańskich zasad, i wedle świętych tych zasad unormowało swe życie, zwyczaje i obyczaje?”

Przedewszystkiem — odpowiada Leon XIII — musi społeczeństwo świeckie poznać jasno, jaki węzeł łączy je z Kościołem; przedewszystkiem zdać sobie należy sprawę, w jakim stosunku stoją sprawy Boże do spraw ziemskich, religia do polityki. Jak każdy człowiek, tak i całe społeczeństwo nie jest samo sobie ostatecznym celem, lecz celem społeczeństwa jest dopomagać człowiekowi do dojścia do doskonałości, do osiągnięcia kresu, naznaczonego mu przez Boga. Jeśli więc jakie państwo we wszystkich publicznych sprawach o Bogu zapomina, jeśli o prawa moralne się nie troszczy, natenczas zadania swego nie spełnia, i z zewnętrznego tylko pozoru, nie z rzeczy samej, zasługuje na nazwę społeczeństwa. Brutalna siła do zachowania ładu, do utrzymania w karbach burzących się żywiołów, sama wystarczyć nie może; jeśli które, to nasze stulecie, najwybitniejsze prawdy tej złożyło dowody, okazało historią swoją, jaka rola przypada w dziejach ludzkości wierze i Kościołowi, jak smutne to dzieje, gdy wiara ich nie oświeca, a Kościół nie odgrywa należnej sobie roli. Pierwszym też obowiązkiem katolika słuchać Kościoła, uznając Boże jego posłannictwo, i wedle sił w spełnieniu tego posłannictwa mu dopomagać. Dwie ojczyzny ma każdy chrześcijanin: ziemską i niebieską; jeśli dla pierwszej powinien być gotów krew swą przelać i życie w razie potrzeby położyć, to tem bardziej powinien umiłować i poświęcić wszystko dla ojczyzny niebieskiej, którą tutaj na ziemi Kościół przedstawia. Nadprzyrodzona miłość Kościoła, przyrodzona miłość ojczyzny, to dwie siostrzyce, mające tego samego twórcę i ojca: Boga; a przeto jedna drugiej nietylko nie wyklucza, lecz owszem wzajemnie ją potęguje.

Tem smutniejsza, że złość ludzka nieraz walczyć ze sobą każe dwom tym ojczyznom chrześcijanina, że państwo wydaje rozporządzenia sprzeczne z rozkazami Kościoła. W bolesnym takim przypadku jasnym jest obowiązek chrześcijanina: więcej słuchać musi Boga, niż ludzi; nie wolno mu nigdy i pod żadnym warunkiem zdeptać prawa Boże, aby prawom ludzkim być posłusznym. Chrześcijanin, odmawiający posłuszeństwa prawom, z prawami Bożemi walczącym, nie dopuszcza się niekarności lub rokoszu, bo nie przestępuje prawa, ale samowolny rozkaz, który niesłusznie pod nazwę prawa się podszywa. Bo i czemuż jest prawo? Rozporządzeniem, wydanem zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, dla ogólnego dobra, przez władzę prawowitą. A czyż może być mowa o zasadach, przez zdrowy rozsądek podyktowanych, gdzie prawda i prawo Boże jest zdeptane: o władzy prawowitej, która ze źródłem wszelkiej władzy, samym Bogiem walczy; — czyż może komu wyjść na prawdziwy pożytek to, co sprzeciwia się najwyższemu, a niezmiennemu dobru, co ludzi od miłości Bożej oddala? To też katolicy, jak z jednej strony rozumieją dobrze, że słuchać im należy władców ziemskich, ponieważ, choćby skądinąd nie-najodpowiedniej urząd swój sprawowali, widzą w nich jakby odbłask majestatu Bożego, tak z drugiej strony opierać się muszą prawom, przeciw wierze do walki wyprowadzonym, i to nie tylko w interesie Kościoła, ale niemniej w dobrze zrozumianym interesie samego państwa.

Do boju ze złem: z ludźmi, dobijającymi się władzy i urzędów, aby dotkliwiej móżdż Kościołowi szkodzić i wszelki wpływ mu odebrać, z ludźmi, pragnącymi zastąpić nadprzyrodzone, Boże objawienie nauką, podyktowaną przez zepsutą naturę, — stanąć winien chrześcijanin uzbrojony w dokładną znajomość swej wiary i wszystkiego, co z nią stoi w związku. Zrozumiawszy należycie i żywszy się niejako z zasadami wiary, będzie on mógł nie tylko sam siebie przeciw napaściom przeciwników obronić, lecz nadto obronić potrafi swych bliźnich, pochodnię prawdy do serca ich wniesie, oskarżenia, miotane na Kościół, zwycięsko odepchnie. Nieznajomość lub niedokładna znajomość

wiary, to wróg jej najniebezpieczniejszy: niech tylko promień prawdy Bożej przeniknie do duszy od uprzedzeń wolnej, a ugnie kolana i Bogu chwałę odda. Ale aby wiara do serc się dostała, głosić ją należy; a od tego obowiązku, od tego współdziałania w nawróceniu świata, żaden chrześcijanin nie jest wolnym; każdy powinien i może szerzyć katolicką wiarę słowem, a bardziej jeszcze przykładem.

Jeżeli tym obowiązkom chcemy rzeczywiście zadość uczynić, to iść powinniśmy do walki nie na ochotnika, w rozsypce, bez wspólnego planu i myśli, ale wszyscy w jednym szeregu, z jednym hasłem, zdążając jako „wojsko uporządkowane“ zgodnie do jednego celu. Zupełna ta jedność nauki, zupełne we wszystkim posłuszeństwo temu, którego Chrystus widomym zarządcą Kościoła postanowił, a więc rzymskiemu Papieżowi, jest charakterystyczną cechą, po której najłatwiej poznać katolików. Prawdziwi katolicy słuchają Papieża nie wtedy tylko, gdy uroczyście jakiś dogmat wiary ogłasza, ale idą za wszystkimi jego naukami i wskazówkami, wiedząc, że On, obietnicą i opieką Chrystusową wsparty, dobrym jest nauczycielem, wytrawnym w wędrówce tego życia przewodnikiem.

Jasne to musi być każdemu, kto wniknie głębiej w samą istotę Kościoła. Nie jest on przecież przypadkowem połączeniem się chrześcijan, lecz społeczeństwem od Boga założonem i utworzonem, aby dusze i narody wedle woli Bożej kształcił i prowadził do celu, od Boga im przeznaczonego. Kierownicy państw mają wolność zupełną w swoim zakresie; Kościół mieć musi również zupełną wolność w swoim wyższym zakresie, a więc w zarządzie duszami, bo Chrystus nie cesarzowi, ale Piotrowi wręczył klucze od królestwa niebieskiego. Już z tego oddzielenia dwóch tych władz wynika, że Kościół do kłótni stronnictw mięszać się niema ani chęci, ani powodu, że nie myśli orzekać, jaka forma rządu jest najlepszą i najodpowiedniejszą dla narodów chrześcijańskich, i dlatego żadnego rodzaju rządu nie potępia, byle tenże szanował wiarę i obyczaje. Różne polityczne stronnictwa w każdym państwie są i być muszą; każde z nich mniemać może, i zapewne mniema, że

ojczyzna byłaby najszcześniejszą, gdyby kierowała się wytkniętymi przez nie zasadami. W tem niema nic zdrożnego; ale byłoby zdrożnem wciągać religię w wir tych bojów, a może i prawa religii św. w bojach tych na szwank narażać. Gdyby wszyscy katolicy, broniąc wiary — jak to jest ich obowiązkiem — wspólnie zawsze i zgodnie byli jej bronili, gdyby wszyscy, pamiętając, że jednym są ciałem z jedną wspólną głową, nigdy nie dali powodu do wzajemnych rozterek i waśni, — nie płakalibyśmy dziś nad tylu obelgami, zadanemi Chrystusowej oblubienicy; nieprzyjaciele Kościoła w taką siłęby się nie wzmogli, nie występowaliby z taką niczem nieokielznaną zuchwałością.

Biorący udział w sprawach publicznych katolicy, dwóch jeszcze, prócz niejedności, powinni się wystrzegać błędów. Pierwszy z tych błędów ukrywa się pod pozorem roztropności, niechcącej wrzekomo drażnić ludzi, stojących u władzy, a właściwie jest tchórzostwem, które lęka się zmierzyć oko w oko z niesprawiedliwością i bezbożnością. Mędrkowie ci zbyt roztropni, wyznają wiarę katolicką, ale jednocześnie chcieliby, aby Kościół fałszywym naukom i zdaniom się w niczem nie sprzeciwiał; ubolewają głośno nad upadkiem wiary i moralności, ale o środkach zaradczych nie pomyślą; owszem — obawiają się użyć jakiegobądź lekarstwa, aby ich kto przypadkiem nie oskarżył o niewyrozumiałość dla innych opinij, o fanatyzm. Nie Boża to, ale cielesna mądrość; złego nie usuwa, lecz raczej do tem strasniejszego jego wylewu przyczynia się.

W inny, ale równie w bardzo niebezpieczny błąd wpadają ci, którzy dając się unieść niewczesnej i nierozumnej gorliwości, porywają się, acz zupełnie niepowołani, do rządzenia Kościołem; chcieliby nim wedle własnego widzimisię kierować i reformować, a przeciw każdemu rozporządzeniu, które nie odpowiada ułożonemu przez nich samowolnie programowi, głośno sarkają. Prawdziwi a dobrzy chrześcijanie innej trzymają się drogi: idą mężnie do walki, jak na żołnierzy Chrystusowych przystało, ale idą, trzymając się ściśle i chętnie rozkazów, a nawet i życzeń wodzów od Boga danych: biskupów, a na pierwszym miejscu: papieża. Pewne nawet możliwe

błędy, dostrzeżone w postępowaniu przełożonych duchownych, nie powinny temu posłuszeństwu żadnej ujemy przynosić; bo nie człowiek, ale sam Bóg za pośrednictwem człowieka daje nam swe rozkazy.

Dalszym, a bardzo ważnym obowiązkiem każdego chrześcijanina, jest miłość bliźnich, fundament cnót chrześcijańskich, „węzeł doskonałości“, jak ją Apostoł nazywa, bo do miłości Bożej drogę toruje, wszelkich wielkich a szlachetnych przedsięwzięć jest matką i źródłem.

Na rodzicach chrześcijańskich ciąży inny jeszcze, prócz wymienionych, a nader ważny obowiązek: wprowadzania wszystkich tych zasad i cnót w swe domy, kształcenia wedle nich swych synów i córek. Jakie rodziny, takie państwo; los królestw i cesarstw ostatecznie między domowemi ścianami się rozstrzyga. Dlatego to ci, którzy społeczeństwu wszelkie cechy chrześcijańskie zamierzają odjąć i zupełnie zpoganićby je pragnęli, usiłują na pierwszym miejscu wprowadzić zepsucie i poganizm do przybytków rodzinnych. Dla dopięcia tego celu nie wahają się odbierać rodzicom najświętszego prawa wychowywania swych dzieci; zmuszają do posyłania dzieci do szkół bezbożnych, podających truciznę niewiary młodocianym umysłom. Jawny to gwałt, któremu rodzice chrześcijańscy z całych swych sił, wzywając na pomoc wszelkich możliwych środków, opierać się winni, domagając się należytego sobie wpływu na wychowanie swych dzieci, niczem nie zrażając się w usiłowaniach o pozyskanie szkół prawdziwie chrześcijańskich. Godni w tym względzie są podziwu i naśladowania katolicy różnych narodowości, którzy z wielkim nakładem zakładają, z większą jeszcze wytrwałością utrzymują chrześcijańskie szkoły. Piękna to i dobra rzecz, ale rzeczą najważniejszą nauki i przykłady, otrzymywane w domu rodzicielskim; z domu, w którym dziecko uczy się cnót chrześcijańskich, wychodzą najlepsi, ojczyźnie i Kościołowi chlubę przynoszący obywatele.

Oto w streszczeniu główne zarysy wspaniałej encykliki *Sapientiae*, w której Papież — jak pięknie a prawdziwie wy-

razila się *Civiltà Cattolica* w dłuższej rozprawie dokumentowi temu poświęconej — skreślił niejako praktyczny kodeks, obowiązujący chrześcijan i w prywatnem i w publicznem ich życiu, ogłosił prawa Boga a obowiązki człowieka; wskazał źródło prawdziwej wolności w zasadzie, że bardziej trzeba słuchać Boga, niż ludzi. Społeczeństwo, nie uznające tej zasady, popaść musi z natury rzeczy pod panowanie gwałtu, tyranii, niewoli... Podobnie odezwały się i zrozumiały encyklikę, podnosząc wysoką jej filozoficzną wartość i społeczną doniosłość, rosyjski *Nord*, protestancki *Journal de Genève*, liberalny *Journal des Débats*. „W sferach politycznych i dyplomatycznych, — donosi dobrze zazwyczaj poinformowany rzymski korespondent wiedeńskiej *Politische Correspondenz* — we wszystkich kołach uprzedzeniem się nie krępujących, wywarła encyklika wyborne wrażenie. Cała europejska prasa, wyjąwszy kilku paryskich i rzymskich radykalnych dzienników, oddała jednomyślnie hołd należny naukom. w encyklice zawartym“.

SKUTKI
LAICYZACJI
SZKÓŁ
FRANCUSKICH

Bolesną ale wymowną ilustracją do podniesionej przez Papieża z takim naciskiem potrzeby szkół chrześcijańskich, jest z dnia na dzień w czarniejszych kolorach okazujący się obraz młodego, w zlaicyzowanej szkole francuskiej wychowanego pokolenia. Mgr. Perraud, w wygłoszonej niedawno temu mowie przed Akademią francuską, skonstatował, że w r. 1886 stanęło przed trybunałem 23.000 dzieci; roku następnego cyfra ta wzrosła do 28.000. W niektórych okolicach małoletni przestępcy stanowią połowę ogólnej cyfry przestępców. Stosunkowo jeszcze może w bardziej przerażającej proporcji mnożą się samobójstwa między młodzieżą i dziećmi. Tak w r. 1875, 1876 i 1877, a zatem w czasie, w którym jeszcze udzielano nauki religii w szkołach publicznych, miało miejsce 141 samobójstw dzieci, liczących mniej niż lat szesnaście, czyli rocznie około 47 samobójstw. W r. 1885, 1886 i 1887, a zatem w peryodzie, w którym mogły się już okazać pierwsze owoce nieszczęsnego prawa szkolnego z r. 1882, liczba samobójstw dzieci w tymże samym wieku wzrosła do

200, czyli rocznie około 66. Ciekawym a znaczącym szczegółem jest, że liczba samobójstw, popełnionych przez dziewczyny, mniej narażone na zgubny wpływ nowych praw, i dla których zdołano założyć więcej szkół „wolnych“, pozostała niezmienna w obu peryodach (53); natomiast chłopców zabiło się w pierwszym peryodzie 88, w drugim 147. Samobójstw, dokonanych przez młodzież obojej płci od 16 do 21 roku życia, liczono w pierwszym z wymienionych peryodów 566, a więc rocznie około 188; w drugim 1018, a więc rocznie około 339. Prawda, że samobójstwo i w szeregach dorosłych zabrało liczniejszą ofiarę; wszakże, gdy ogólna liczba tych samobójstw wzrosła o 41·24%, to liczba samobójstw, popełnionych przez młodzież, wzrosła o 72·27%.

Jaka przyczyna tego przerażającego wzrostu samobójstw, tych mnożących się zbrodni, popełnianych zazwyczaj, jak stwierdzają urzędowe dokumenty, z przebiegłością i zimną krwią, z dzikością, a nieraz z fanfaronadą, która w dzieciach zwłaszcza zadziwia i przeraża? ¹. Na pytanie to odpowiada w części umieszczone w urzędowym „Biuletynie paryskiej rady miejskiej“ sprawozdanie inspektorów, którym polecono zwiedzić fabryki, położone w okolicach Paryża: „Dostrzegliśmy ze smutkiem — czytamy w tem sprawozdaniu — zupełny brak moralnego wykształcenia u dzieci. Uczęszczały one wprawdzie w szkołach, z których wyszły, na naukę „moralności“, ale nauka ta najmniejszego śladu po sobie nie pozostawiła. Zaledwie kilkoro dzieci, i to bardzo niedostatecznie, odpowiedziało na pytania, odnoszące się do obowiązków względem rodziny, społeczeństwa, ojczyzny. Brak ten moralnego wykształcenia — wyznać to należy z przykrością — sprawia, że dzieci tracą wszelkie pojęcie o uszanowaniu starszych, o obowiązku...“ — „Czy nie czasby już powstrzymać się na tej drodze do przepaści — pyta książę de Broglie w mowie, która tem większe zrobiła wrażenie, że opierała się niemal wyłącznie na urzędowych dokumentach — czy nie czasby przywró-

¹ Por. „Sprawy Kościoła“ z grudnia 1889. Str. 448 i nast.

cić w szkołach religię, której wykluczenie tak straszne wywołuje skutki, a niebawem z wszelką pewnością wywoła jeszcze straszniejsze?" Zapytanie to odbiło się głośnem echem po całej Francyi i wywołało mnóstwo różnych oopowiedzi; ale i ci nawet, którzy, jak urzędowy *Temps*, zmuszeni są stawać w obrobie dzisiejszego systemu szkolnego, wyznają, że zbyt gorliwi zwolennicy szkół zlaicyzowanych, wyciągnąć mogą dla siebie z mowy księcia de Broglie niejedną korzystną naukę.

„Radykali — czytamy w wymienionym dzienniku — rzucili się do reformy szkolnej, i przeprowadzili ją poza wszelkie możliwe granice, nie dla i w imię wolności, ale jedynie w zamiarze zrujnowania wychowania katolickiego, aby dojść w ten sposób do zniszczenia Kościoła. Naiwność złączyła się tu z gwałtownością; katolicy ponieśli niejedną przykrość, ale ostatecznie, wbrew wszystkim, tryumfują na całej linii. W nowicyacie „Braci szkół chrześcijańskich“ znajdowało się w r. 1884 członków 1360, dziś znajduje się 2282, i co niemniej uwagi godnem, najliczniejszy stosunkowo zastęp pochodzi z Paryża, głównego siedliska antyreligijnego ruchu. *Et nunc erudimini*, powiedziebby należało książętom naszej demokracji, obradującym w miejskim ratuszu. Inne cyfry niemniej są pouczające. W roku ubiegłym wypędzono „Braci“ z 56 szkół publicznych; w tymże samym roku „Bracia“ otworzyli 111 szkół prywatnych, tak, że miasto stracić, pozyskała 4577 nowych uczniów. Twórcy praw z r. 1875 spodziewali się, że nie pozwalając nauczać nikomu, kto się nie będzie mógł wykazać uniwersyteckim dyplomem, zadadzą stanowczo cios kongreganistycznym szkołom. Żle się biedacy obrachowali z elastycznością i potęgą religijnego uczucia. W r. 1875 ogólna cyfra nauczycieli kongreganistycznych (zakonnych) we Francyi wynosiła 51,731; w r. 1887 cyfra tychże nauczycieli, rozumie się, we wszystkie już żądane dyplomy opatrzonych, doszła do 52,766... Z faktów i cyfr, podanych przez księcia de Broglie, wypływa nadto oczywista konieczność zakończenia, i to jaknajspieszniej, walki między, słusznie skądinąd wprowadzoną przez nas w życie, reformą szkolną, a religijnemi uczuciami ludności. Niczem rodziny tak bardzo nie zrażają się do szkoły publicznej, jak nadaniem jej, zupełnie niepotrzebnie, urzędowem piętnem niereligijności. Jedyna to przyczyna powodzenia szkół kongreganistycznych w niektórych okolicach, jedyna przyczyna interdyktu, ciężącego na szkołach publicznych... Rzucono myśl usunięcia kapelanów z liceów; w dniu, w którym niedorzeczny ten projekt przemieni się w prawo, zakłady

państwowe stracą niechybnie tysiące i tysiące uczniów na korzyść prywatnych szkół religijnych. Dzieje się to już przecież w szkołach ludowych i chyba ślepy tego nie przewiduje. Z drugiej strony wątpić nie można, że nauczycielom bardzo trudno, a mówiąc bez ogródek, niepodobna udzielać swym uczniom nauki moralności, nie opierającej się na zasadach religijnych. Nietylko nie wiedzą, jak wyłożyć i czem uzasadnić życie moralne bez Boga, lecz nadto dysertacye te ich czy rady, żadnym wyższym i do serca przemawiającym pierwiastkiem nie ożywione, stać się muszą oschłemi, a tem samem tracą wszelką skuteczność. Paryska rada miejska wyraziła życzenie, aby w szkołach, od siebie zależnych, wyrugować zupełnie naukę moralności, ponieważ z moralnością łączyła się zawsze pewna domieszka religii. Bezsens to, ale jakkolwiek logiczny. Ztąd nie trudno zrozumieć, że jedynym środkiem dla ożywienia moralnego wychowania w szkole być może rozwinięcie uczucia religijnego w duszach nauczycielów i uczniów... Nie chodzi tu, rozumie się, o odjęcie szkole cechy wyznaniowej neutralności; szkoła publiczna, wbrew wszelkim twierdzeniom P. de Broglie, raz na zawsze przestała być wyznaniową. Wystarczyłoby, zdaniem naszym i zdaniem bardzo wielu ludzi rozumnych i roztropnych, dozwolić proboszczowi, pastorowi lub rabinowi wstępu do szkoły w godzinach pozawykładowych, aby mogli z wszelką swobodą udzielać nauki religii i moralności tym uczniom, których rodziny tegoby sobie życzyły. Wychowanie publiczne, bądź co bądź, bez nauki religii obejść się nie może...“

Katolicki *Monde*, przytoczywszy ten bądź co bądź bardzo ciekawy i charakterystyczny artykuł urzędowego organu, wyznaje, że długo własnym oczom wierzyć nie chciał, i do końca, porównując wyrażone tu zasady z praktycznem ich zastosowaniem, a raczej zupełnem niezastosowaniem, nie wie, co sądzić; lęka się mistyfikacyi, pyta, co ta teoretyczna, nie wiedzieć na seryo, na próbę, czy na żarty przedsięwzięta zmiana frontu, miałaby znaczyć? Istotnie trudno sobie tego pytania nie zadać, widząc, jak rząd dzisiejszy robi, co może, aby wiara w sercach wygasła, i zbawczego swego wpływu nie mogła wywieierać; prześladuje księży za urojone przewinienia, stara się uniemożliwić powołania do stanu kapłańskiego.

SEMINARZYŚCI
W KOŚCZARACH

Uchwalone 15 lipca roku zeszłego prawo wojskowe, które z dniem 15 stycznia b. r. weszło w użycie, strasznym jest ciosem dla Kościoła katolickiego we Francyi, bo grozi w najbliższym czasie zupełnem wyludnieniem seminaryów; właściwy to zkaład cel, dla którego ukuto cały szereg w wysokim stopniu niepraktycznych, przez najwyższe powagi wojskowe bez miłosierdzia skrytykowanych ustaw i rozporządzeń. Stan kapłański nie zwalnia odtąd nikogo od czynnej służby wojskowej. Minister ma prawo każdego księdza, zaciągniętego w szeregi, a więc i proboszcza, wysłać dwa razy na rok na 28 dniowe manewry, jeśli ksiądz ów nie przekroczył jeszcze lat trzydzięsi, a raz na rok na piętnastodniowe manewry księży liczących od 30 do 36 roku życia. Księżom „zajętym służbą parafialną“ może minister udzielić dyspenzy od służby czynnej; prawo nie określa bliżej, kto to jest, a kto nie jest „zajętym służbą parafialną“, zostawiając w tym względzie zupełną swobodę ministrowi, któremu zresztą wolno nie tylko wikarym, ale proboszczom wszelkiego zwolnienia odmówić. Profesorowie w konwiktach lub seminaryach, kapelani klasztorów, szpitalów itd., nie mają prawa nawet do łaski ministra się uciekać; w temże samem położeniu znajdują się wszyscy zakonnicy, należący równie do zgromadzeń uznanych, jak i nie uznanych przez państwo. Dla misyonarzów niema żadnego wyjątku; jeśli misyonarz, pracujący n. p. w Chinach lub w środkowej Afryce, nie stawia się na wezwanie, ściąga na siebie karę więzienia lub dożywotniego wygnania, a jego przełożony zakonny lub biskup, narażony jest na dwuletnie więzienie i grzywnę w wysokości 2000 fr. Zakonnicy, należący do zakonu uznanego przez państwo, a poświęcający się wychowaniu dzieci, mogą po roku czynnej służby otrzymać urlop, ale pod warunkiem, że zobowiążą się uczyć przez lat dziesięć w subwencyonowanych przez rząd szkołach francuskich na Wschodzie lub w Afryce, z wyjątkiem Algieru. Oryginalny to przywilej; aby jednak nie przyszło komu na myśl z niego korzystać, nie uwolniono uprzywilejowanych w ten sposób zakonników od obowiązkowych manewrów: wolno im np.

uczyć w Madagaskarze, byle dwa razy na rok na przeciąg dni 28 powrócili do Francji, przebrali się tu w uniform żołnierski, oddychali zgnilą atmosferą koszarową... Trzeba cudu, aby kapłańskie lub zakonne powołanie wszystkie te przeszkody zwyciężyło, nie utonęło w morzu zepsucia, wyszło bez szwanku z koszar, których zwyczaj i obyczaje — jak to z taką wykwinłą ironią okazał biskup Freppel na jednym z dawniejszych posiedzeń parlamentu — nie są bezwątpienia klasztorne. Ci co uchwalili bezbożne te prawa, na pierwszym miejscu protestant Freycinet, wiedzą o tem wybornie, i właśnie dlatego je uchwalili.

PARLAMENTARNE
ZWYCIĘSTWA
KATOLIKÓW
W MONACHIUM
I W BERLINIE

Z energią przez katolików bawarskich podjęta, z niczem nie zrażającą się wytrwałością toczona walka o uwolnienie Kościoła z więzów królewskiego *placetum*, o uznanie starokatolików przez państwo za odrębną sektę i powrót Redemptorystów do Bawarii, doprowadziła — co rzecz nie mała — do wszechstronnego wyjaśnienia spornych, a nieumyślnie przez rząd Lutza zaciemnianych kwestyj, i do częściowego przynajmniej zwycięstwa. Izba wyższa, wbrew uchwale parlamentu, oświadczyła się za pośrednictwem sprawozdawcy dr. von Neumeyer za utrzymaniem *placetu*, a raczej nie wiedząc, jak wyjść z trudnego położenia i nikomu zbyt silnie się nie narazić, wypowiedziała, że odnośnego wniosku, jako nieodpowiednio zreagowanego, nie może wziąć pod obrady. Do uchwały tej przyczynił się nie mało zastępujący chorego Lutza, minister von Crailsheim, protestant; przyznał on łaskawie, że Kościół w dziedzinie wiary i dogmatu nie potrzebuje się na nikogo oglądać, ale jeżeli Kościół — dodał — chce, aby państwo w przeprowadzeniu jakiejś kwestyi użyczyło mu swego poparcia, natenczas musi zapytać, co państwo o kwestyi tej sądzi, i czy przypadkiem, odnośnie do niej, nie jest odmiennego zdania? Również wysuwając naprzód formalne i taktyczne względy, nie załatwiono ostatecznie kwestyi „starokatolicyzmu“, pomimo że następca tronu, książę Ludwik, a za nim i baron von Crailsheim domagali się bardzo rozumnie.

aby położyć raz koniec tej kompromitującej Bawaryę śmieszności, i nie traktować jako katolików tych, których nikt na świecie, a w gruncie i oni sami siebie za katolików nie uważają. Co do powrotu Redemptorystów, to ciekawe rozprawy obracały się głównie około pytania, czy należy, czy nie należy uważać ich za zakon z Jezuitami spokrewniony? Prezydent protestanckiego konsystorza, dr. Stählin, odpowiedział twierdząco na to pytanie, ponieważ — jak dowodził — równie Redemptoryści, jak i Jezuita składają ślub posłuszeństwa. W takim razie — odparł protestant, minister von Crailsheim — wszystkie zakony są ze sobą spokrewnione, bo niema ani jednego bez ślubu posłuszeństwa, jak łatwo się o tem przekonać z dzieła jednego z największych nieprzyjaciół zakonów, protestanta Hinschiusa. Ostatecznie rząd obiecał ująć tę sprawę w swe ręce i postarać się u rządu związkowego o wyjęcie Redemptorystów z liczby zakonów, których pobyt w granicach cesarstwa grozi jego całości i bezpieczeństwu.

Arcyoryginalnego losu doznał wniosek Huenego, domagający się uwolnienia teologów wszystkich wyznań od służby wojskowej. Kilku pastorów, chcących pozyskać sobie sławę gorących patriotów, zaprotestowało przeciw zastosowaniu tego uwolnienia do teologów protestanckich, i potrafiło narobić tyle wrzawy i hałasu, że odnośny wniosek przepadł 121 przeciw 89 głosom. Natomiast Kleist-Retzow postawił podobny wniosek, ale ograniczony do teologów katolickich, i wniosek ten przeszedł znaczną większością. Obecnie zatem teolodzy katolicy, ale wyłącznie tylko katolicy, nie są obowiązani do stawania w szeregu przed siódmym rokiem służby wojskowej; jeśli zaś do tego czasu otrzymają święcenia subdyakonów, zostają raz na zawsze z armii wykreśleni. Parlament zniósł również na wniosek Windthorsta, pozostałe jeszcze z czasów kulturkampfu, przeciw katolickiemu duchowieństwu skierowane prawo banicyjne; nie zgodził się zaś na dalsze żądanie przywódcy Centrum, co do równouprawnienia wszystkich wyznań w krajach zostających pod protektorem niemieckim.

SOCYALNY
PROGRAM
CENTRUM, A RE-
SKRYPT CESARZA
WILHELMA

Najważniejszym jednak, nieobliczalnym dziś jeszcze co do dalszych swych skutków tryumfem, odniesionym przez Centrum, to słynne reskrypty i przemowy, w których cesarz zajął na polu socyalnem to samo stanowisko, na którym dotąd stali, i którego, wbrew kanclerzowi i całemu panującemu wszechwładnie aż do ostatnich tygodni systemowi, tak wytrwali bronili niemieccy katolicy. Cesarz Wilhelm, „cesarz robotników“ — jak go dziś nazywają — powtórzył tylko zasady, wyrażone jeszcze w r. 1877, we wniosku wniesionym w imieniu Centrum przez hr. Galen; zasady wyłożone w jesieni 1888 r. na katolickim wiecu fryburskim i w osobnym obszernym memoryale przez profesora Decurtins; zasady głośno pochwalone przez Papieża i wielokroć w ostatnich jeszcze tygodniach głoszone i omawiane przez najznakomitszych katolików niemieckich, a z szczególnym przyeiskiem przez Windthorsta. W reskrypcie do kanclerza zalecił cesarz zwołać międzynarodową konferencyę, dla wspólnego obmyślenia niezbędnych, a głęboko sięgających reform na polu społecznem; w reskrypcie do dopiero co zamianowanego ministra handlu i przemysłu, von Berlepsch skreśla w paru rysach, jakie i w jakim kierunku iść mają te reformy. Przeniknięte być one muszą — mówiąc w ogóle — duchem chrześcijańskiego prawa moralnego; w szczególności zaś uregulować winny kwestyę zarobku i pracy kobiet i dzieci, uwolnić robotników od jarzma wyborezych agitacyj, ograniczyć czas pracy, zapewnić niedzielny odpoczynek. Te same punkta wytknął cesarz w przemowie wygłoszonej 14 lutego przy uroczystem otwarciu Rady stanu, zaznaczając zarazem bardzo roztropnie, że same, choć najlepsze prawa, i wszelkie środki, jakich państwo użyć jest w stanie, kwestyi socyalnej jeszcze nie rozwiążą, jeśli w pomoc im nie przyjdą: Kościół, szkoła, z serca płynąca miłość bliźniego i „błogosławieństwo Boże, bez którego wszelkie ludzkie usiłowania nigdy i nigdzie owocu nie przyniosą“.

W obec tego programu będącego tak stanowczym zwrotem w kwestyi socyalnej od materyalnej siły, która ostate-

cznie do przegranej przyznać się musiała, ku prawu i ku wyższej, moralnej, religijnej broni, tem większego nabierają znaczenia: ogłoszony na kilka dni przed okazaniem się cesarskich reskryptów, manifest Centrum do katolickich wyborców, i programowa, wyjaśniająca ten manifest, a również przed okazaniem się reskryptów wypowiedziana mowa Windthorsta. W manifestcie czytamy dosłownie:

Jako najskuteczniejszej broni we walce z demokracją socyjalną użyłoby należało działalności Kościoła i jego organów; środek ten przyniósłby o wiele lepsze skutki, niż wszystkie prawa wyjątkowe, ponieważ wzmocniłby ducha chrześcijańskiego i w pracodawcy i w robotniku.

Czuwając nad ścisłym zachowaniem federalistycznej zasady w cesarstwie niemieckiem, z radością przyczyniać się będziemy do wszystkich środków, mających na celu polepszenie doli warstw pracujących.

Nie zażyjemy spokoju, ni odpoczynku, dopóki po tylekroć zawotowane prawa protekcyjne nie zostaną ogłoszone; w szczególności prawo o święceniu i odpoczynku niedzielnym, i prawo ograniczające pracę kobiet i dzieci.

W toczącej się o tak ważne sprawy walce między patronami a robotnikami działać będziemy rozjemczo, popierając każdy kompromis, mogący zadowolnić interesa obu stron.

Jak poprzednio, tak i nadal pracować będziemy nad podniesieniem drobnych rzemieślników i będziemy się starać, wedle możliwości, zadość uczynić słusznym ich skargom.

Oдноśne oświadczenia Windthorsta brzmią:

Cheąc zwalczyć socyalizm, zreformować należy obecny system szkolny: należy wykluczyć zgubne, fałszywe nauki równie z uniwersytetów, jak i ze szkół elementarnych; należy przywrócić religii utracone, lub silniej zapewnić jej zajmowane dotąd stanowisko. Pragniemy walczyć z socyalistyczną agitacją, ale walczyć perswazją, gorliwością, dobrym przykładem. W tym celu wróćcież nakoniec wolność naszemu Kościołowi, wróćcież nam środki do rozwinięcia zbawiennej działalności, wróćcie nam zakony... Idźmy do urn pomni naszego hasła: Z Bogiem, za prawdę, wolność i prawo!

WĘGIEŃSKI
MINISTER
O ŚWIĘCENIU
NIEDZIELI

Czy porównując ze sobą reskrypty i oświadczenia cesarskie z tymi manifestami i oświadczeniami, nie odnosi się wrażenia, że cesarz przyjął w zupełności socyalny program niemieckich katolików, i z całą energią i przysługującą sobie potęgą, w życie zamierzył go wprowadzić? Wielki to w każdym razie zwrot do zdrowszych pojęć, wielka klęska liberalizmowi zadana, wielki już i dziś tryumf dla katolickich pracowników, którzy przez Papieża i episkopat wspierani i zachęceni, do zwrotu tego w Niemczech drogę utorowali, a w Austrii i we Francyi, o innych krajach już nie mówiąc, wytrwale ją torują. A nie mało niestety! przeciwników liczy zdrowa, chrześcijańska reforma społeczna jak we Francyi, tak i w Austro-Węgrzech. W połowie stycznia podniósł węgierski minister handlu Baross w sejmie peszteńskim zarzut, że niedziele i święta tamują rozwój interesów i przeszkadzają w pracy; nie zawahał się nawet oświadczyć bez ogródek: „Co się tyczy niedzielnego spoczynku, to osobiście bynajmniej z nim nie sympatyzuję; ...nie tak może niższym warstwom ludności nie ciąży, jak zbyt wielka liczba świąt i niedziel“. O przykazania Boże węgierski wolnomularz naturalnie się nie troszczy; ale ciekawa rzecz, czy obecnie po reskryptach niemieckiego cesarza, odważyłby się wystąpić równie odważnie ze swem zdaniem, czy szczerze i z całego serca zbytniej otwartości nie żałuje?

Ks. Jan Badeni.

Memoryał szwajcarski

o międzynarodowym ustawodawstwie socyalnem.

W chwili, kiedy świeże dwa Reskrypty cesarza niemieckiego tak żywo zajmują opinię świata, wypada nam zwrócić uwagę, jak i ten nowy obrót kwestyi socyalnej z katolickiej inicjatywy pochodzi. Jestto tylko nowy objaw tego, na co od pół wieku patrzymy: że i działalność i nauka socyalna, w najlepszym tego słowa znaczeniu, noszą wciąż znamię katolicyzmu. Nie tylko projekty reform wypowiedziane w cesarskich manifestach, są najwyraźnijszem przyjęciem programu socyalnego, którego od wielu lat broniło Centrum katolickie w Niemczech — jak to wykazał ks. Badeni w poprzednim artykule (Sprawy Kościoła), — ale też myśl międzynarodowego przeprowadzenia tych reform podniesioną najprzód była, jak wiadomo, i już przygotowaną przez Szwajcaryą. Otóż w radzie związkowej szwajcarskiej przeprowadził ten projekt znakomity jej członek i wybitny pisarz katolicki, p. Decurtins. Jemu też poleciła najwyższa rada związkowa wypracowanie memoriału, któryby służył za podstawę do rozpraw międzynarodowej konferencji, zapowiedzianej na przyszłą wiosnę w Bernie. Myślano z razu, że ta konferencya ustąpi miejsca berlińskiej, ale według najświeższych wieści, ona się swoją drogą odbędzie, i posłuży jako przygotowanie terenu przez socyologów do obrad bardziej politycznych, które w Berlinie nastąpią. Memoriał więc p. Decurtins nie nie traci z swej aktualności, a tem mniej z doniosłości przedmiotowej, na którą chcemy zwrócić uwagę naszych czytelników.

Jestto zasadnicze, naukowe i oraz etyczne, omówienie potrzebnych, a możliwych międzynarodowych określeń prawnych względem niedzielnego spoczynku, względem długości

dziennej pracy (*Normalstag*). W konkluzji p. Decurtins stawia następujące postulata:

- 1) oznaczenie minimalnej granicy wieku dla pracy dzieci w fabrykach i kopalniach,
- 2) zakaz pracy nocnej dla kobiet nieletnich,
- 3) zakaz zupełny pracy dla kobiet przy pewnych szkodliwych zdrowiu i niebezpiecznych fabrykacyach,
- 4) zakaz pracy w niedziele,
- 5) oznaczenie maksymalnej ilości godzin w dniu pracy dla niepełnoletnich.

Ale choć wyrywki z tego memoriału przytoczyć musimy dosłownie. I tak, omówiwszy zgubne następstwa fizyczne, jakie sprowadza na dzieci przedwczesna praca po fabrykach, tak dalej skreśla p. Décurtins opłakany wpływ tej pracy na ich rozwój moralny:

Dziecię wydarte przedwcześnie z łona rodziny i do maszyny przykute, traci nieocenione szczęście, jakiego się doznaje tylko u rodzinnego ogniska, a natomiast rozwija się w niem przedwczesny i niezdrowy duch niepodległości, będący źródłem wielu błędów. W towarzystwie dorosłych, bez umoralniającego kierownictwa, młodociany robotnik, osłabiony i wyczerpany nadmierną pracą, chciwy podniecających uciech, staje się z łatwością ofiarą pokusy. Niskie żądze, brak szacunku względem rodziców, szorstki sposób obejścia się, są charakterystycznymi następstwami przedwczesnej pracy, pozbawiającej dziecię czujnego oka matki i opiekuńczej ręki ojca, aby je rzucić, jako obce, w pośród obcych.

Podczas rozprawy o federalnem prawodawstwie, o pracy w fabrykach, profesor Salomon Vögelin, który nie był z pewnością ani pesymistą ani przesadnym, i „który w przeciągu lat ośm kierował wykształceniem religijnem gminy, liczącej mnóstwo dzieci, pracujących w fabrykach“, profesor Vögelin, mówiny, po rozdzierającym opisie nędzy, wynikłej z pracy dzieci w fabryce, scharakteryzował w następujących słowach wpływ tej pracy na moralność dziecka: „Skoro się wie, ile dzieci, zredukowanych do poziomu maszyny przez smutny proces swego rozwoju, upada coraz niżej nie tylko umysłowo i fizycznie, ale i moralnie, wówczas trudno jest nie mieć współczucia dla dziatwy, pochodzącej z warstwy społecznej, która sama sobie w tej mierze poradzić nie zdoła“. Pewien kapłan katolicki, który dzięki swemu

powołaniu musiał pozostawać w ciągłym zetknięciu z wyrobnikami fabryk, dochodzi do tego samego wniosku, gdy w liście omawiającym los pracy w stanie Connecticut, pisze: „Dzieci, rozstrojone fizycznie i wycieńczone pracą w fabrykach, nie mogą w późniejszych latach życia odpowiedzieć stanowisku w społeczeństwie zajmowanemu; wegetują więc nędznie i zniżają się do stanu maszyny, niczego więcej już nie pragnąc“.

Taka jednomyślność w zdaniach, opartych na długich spostrzeżeniach i wypowiedzianych przez dwóch ludzi, zapatrujących się na świat i życie z innego punktu widzenia, wyświeśla z wielką wiarygodnością oplakane moralne następstwa pracy dziecięcej.

Słusznie Le Play, bystry i przenikliwy badacz rozwoju nowożytnej ekonomii, twierdzi, że przywrócenie dobrych obyczajów w rodzinie jest podstawą polepszenia bytu klas robotniczych. W mowie, wygłoszonej w Manchesterze, lord Ashley, wielki obrońca prawodawstwa, opiekującego się losem robotników w Anglii, wskazuje jeszcze bardziej stanowczo, iż odrodzenie rodziny jest celem opiekuńczego nad robotnikami prawodawstwa.

Nic jednak we współczesnem życiu robotników nie przyczyniło się tak do zupełnego rozstroju w rodzinie, tej zasadniczej komórce całego społecznego organizmu, w której tkwi związek materialnego dobrobytu i moralnej wartości społeczeństwa, — jak praca kobiety w fabryce. Wszyscy ludzie inteligentni jednego są dzisiaj pod tym względem zdania. Przez oderwanie matki z łona rodziny, ta ostatnia pozbawia się swego środkowego punktu, traci swą najbliższą podporę, i dąży ku nieuchybniemu rozprzężeniu. Roscher w swych „Poglądach na ekonomię polityczną“ (*Ansichten der Volkswirtschaft*) w następujący wyraża się sposób: „Najbardziej ujemną stronę obecnego panowania fabryk i machin stanowi rozluźnienie rodzinnego życia, nieuchronnie zeń wypływające“. Ten pogląd znakomitego ekonomisty może być słusznie uważanym za wynik wszystkich spostrzeżeń co do pracy kobiet w fabrykach.

Ciało kobiety daleko mniej jest zdolne do zniesienia wyczerpującej pracy fabrycznej, niż ciało mężczyzny; w wielu też wypadkach praca ta niszczy jej organizm. „Praca kobiet w fabrykach, — mówi doktor Schuler, inspektor fabryk w Szwajcaryi, — jest uważaną przez każdego higienistę za zło, wynikające z ustroju naszych współczesnych warunków. Miejsce kobiety jest przy domowem ognisku. Nadto liczne przyczyny sprawiają, iż kobieta o wiele łatwiej podlega niezdrowym wpływom fabryk. Śmiertelność wśród robotnic jest podług do-

świadczeń w Szwajcaryi dokonanych, o 27⁰/₁₀ większą, niż wśród mężczyzn, a przeciętna ilość dni, w których kobieta z powodu choroby nie zdolną jest do pracy, jest o półtora razy większą. Ten stosunek przedstawia się jeszcze smutniej dla płci żeńskiej w latach młodocianych“.

Wyraźniej jeszcze, niż śmiertelność wśród robotnic, świadczy o okropnych skutkach pracy fabrycznej ogromna śmiertelność wśród dzieci robotnic, przybierająca nieproporcjonalne prawie rozmiary w porównaniu z ilością dzieci, umierających w innych warstwach społeczeństwa. Kiedy w Norwegii na 10.000 niemowląt płci obojej umiera 1063 w pierwszym roku życia, to podług „Badań warunków społecznych w przemysłowych powiatach północnych Czech“ Singer'a — liczono na 10.000 nowonarodzonych przed ukończeniem pierwszego roku w:

Hohenelbe	3026	wypadków śmierci.
Cablou'u	3104	„ „
Braunau	3236	„ „
Tratenau	3475	„ „
Reichenbergu około . .	3805	„ „
.Friedlandzie	4130	„ „

Najwyższy stopień śmiertelności z pracy — mówi F. R. Osterlen w swym podręczniku higienicznym — dosięga zwykle dzieci, a na 1000 osób w klasie robotniczej, liczba osób, dochodzących 60 lub 80 roku życia, jest trzy lub pięć razy mniejszą, niż w klasach zamożniejszych. W Manchesterze naprzykład przed kilku laty na 21.000 dzieci zmarło 20.700 przed ukończeniem lat pięciu, w Lille 46 na 48 t. j. 95%, a z 25 dzieci jedno tylko dożyło do lat pięciu. Średnia śmiertelność wśród dzieci — podług doktora Ottono Pringsheima — wynosiła między rokiem 1880 a 1885 18·88%, w mieście zaś przemysłowem Manchesterze 21%, w Eindhoven 30%, a w Gondzie 33%. Autor ten przypisuje znaczną liczbę wypadków śmierci u dzieci ciężkiej pracy kobiet i rozprzężeniu rodzinnego życia. Ciekawem jest zestawienie cyfry śmiertelności wśród dzieci robotników z ilością, dotyczącą dzieci klas innych, którego dopełnił Dr. Wolf w swoich „Badaniach nad śmiertelnością dzieci w Erfurcie“.

Wypadki śmierci na 1000 dzieci w latach 1848—1869:

Wiek (lata)	Dzieci nieprawne	Klasa robotników	Klasa średnia	Klasa wyższa	Liczba przeciętna
0—1	332	305	173	89	244
1—2	55	115	55	19	76
3—5	42	136	65	26	87
6—10	21	68	38	13	45
11—14	3	25	11	8	15

W pracy, przedstawionej Akademii medycznej przez francuskiego lekarza, p. Dervilliers, mieści się wskazówka, że gdy w klasach zamożnych umierało 10% dzieci, śmiertelność wśród dzieci tkaczy doszła do 35%.

W kilku niezdrowych gałęziach przemysłu ilość dzieci umierających przed ukończeniem pierwszego roku jest ogromną. Umiera więc — podług Hirta — przeciętnie 65% dzieci robotników, używających rtęci do swoich wyrobów. „Nie ulega wątpliwości — mówi ten lekarz — i, za pomocą doświadczeń na zwierzętach zostało dowiedzionem, że trucizna (rtęć, arsenik, ołów), unosząc się w atomach w atmosferze miejsca, do pracy przeznaczonego, przenika nie tylko do organizmu matki, ale także do nieurodzonego jeszcze płodu, i niezwłocznie go zatrąwa; znaleziono bowiem truciznę, a przedewszystkiem rtęć, której użyto do otrucia zwierząt brzemiennych, w organach płodu jeszcze nieurodzonego. Zarodek ulega więc chorobie i śmierci jeszcze w łonie macierzyńskim, albo też żyje wycieńczony i słaby“.

Westergaard, profesor uniwersytetu w Kopenhadze, tak się wyraża: „Zabójcze skutki rtęci w fabrykacji zwierciadeł występują tem gwałtowniej, że po większej części kobiety trudnią się tą gałęzią przemysłu. Można przyjąć za pewnik, że rtęć usposabia do poronień, i że jeżeli dziecię urodzi się żywem, pozostaje ono słabem i źle rozwiniętem, z czego wynika bardzo znaczna między dziećmi śmiertelność. Żadne prawodawstwo nie powinno tego cierpieć, aby kobiety pracowały w gałęziach przemysłu, odznaczających się warunkami, usposabiającymi do poronień. Jeżeli nawet w ogólności zostawi się robotnikowi swobodę co do narażania się na zabójcze wpływy, nie należy jednak bezwarunkowo pozwalać na tak wyraźne dzieciobójstwo“.

Zdaniem naszym nie byłoby wcale przesadą, gdyby zniesiono ogólnie pracę kobiet w fabrykach, służącą do przygotowania materiałów niezdrowych i trujących.

Przedewszystkiem fakta wykazały niezbędnosc otoczenia kobiet brzemiennych opieką prawa. Prawodawstwa szwajcarskie i austriackie uwzględniły tę niezbędną potrzebę; wyniki ztąd otrzymane są najlepszem tych prób uzasadnieniem. Dr. Schuler, inspektor fabryk, którego niejednokrotnie wymienimy, tak przedstawia dobroczynne skutki tej zmiany: „Przed wykonaniem rozporządzeń, wykluczających pracę matek w przeciągu sześciu tygodni po ich rozwiązaniu, choroby były u nas o wiele częstsze; obecnie jest nieco lepiej, a liczba ich jeszcze rychlejby się zmniejszyła, gdyby czas przeznaczony na rekonwalescencyę był jeszcze dłuższym; trudno bowiem przypuścić, aby po upływie sześciu tygodni normalna siła oporu przeciw wpływom mechanicznym, oznaczonym powyżej, mogła być odzyskana.

„Jak ważnem jest dla dziecka dłuższe oszczędzanie matki, może to ocenić ten tylko, kto zna dokładnie życie ubogiej fabrycznej ludności. Tam, gdzie ten wyjątek dla matek nie istnieje, gdzie matka śpieszy z powrotem do zwykłej swej pracy, dziecię już w drugim tygodniu życia pozostaje na opiece piastunki, która nie troszcząc się wcale o czystość, więzi je w mieszkaniu źle przewietrzanem w jak najwyższej temperaturze, żywiąc je mlekiem, które, dzięki przebytych manipulacyom, wykracza przeciw wszelkim wymaganiom higieny. Nie ma tu mowy o karmieniu dziecięcia przez matkę, zostaje ono bowiem raniutko, niekiedy nawet podczas jej snu, wyniesionem z domu, by doń powrócić wieczorem. Przeciwnie, gdyby matka, dla której fabryka jest zamkniętą, szukała zajęcia poza domem, nawet w pracach rolnych, potrafi ona zawsze, choćby dla oszczędzenia kosztów, pielęgnować sama swe dziecię; jeżeli zaś pracuje w domu, to tem lepiej dla jej niemowlęcia.

„W taki to sposób otrzymano ten pocieszający wynik, że w moim kraju, gdzie niegdyś śmiertelność wśród dzieci — z wyjątkiem zmarłych jeszcze przed urodzeniem — dochodziła przeciętnie do 29⁰/₀, a nawet do 30⁰/₀, po wykluczeniu matek z fabryki doszła wkrótce do 5⁰/₀, i odpowiada już od lat wielu średniej ilości wypadków śmierci w Szwajcaryi, chociaż przedtem największymi odznaczała się cyframi. Wynikło ztąd także, że śmiertelność pomiędzy dziećmi robotników fabrycznych była w pierwszych miesiącach mniejszą, niż wśród dziatwy rzemieślników i rolników, ale następnie, gdy matki przestały niemi się opiekować, śmiertelność dosięgła cyfr wyższych wśród tych dzieci, niż wśród

reszty ludności. To samo zmniejszenie się śmiertelności wśród dzieci zauważano w Mulhouse, gdzie wzorowa i znana powszechnie troskliwość o matki nowonarodzonych zasługuje na ogólne naśladownictwo. Troskliwość ta może tylko przez pewien przeciąg czasu pozwolić na uwolnienie matki od pracy, tak pożyteczne dla niej i dla dziecka, ponieważ inaczej nędza i głód zmusiłyby ją przedwcześnie wrócić do fabryki. Lecz tam, gdzie można rachować na pewną zapomogę z kas ratunkowych, nietrudno jest rozciągnąć okres wykluczenia od pracy do sześciu lub ośmiu tygodni. Wynika ztąd, że termin przezemnie oznaczony, a wynoszący 4 do 6 tygodni, uważam za minimum tego, co powinno być wymaganiem; sądząc nawet, że możnaby słusznie mówić o odpoczynku, trwającym od 6 do 8 tygodni“.

Dobroczynne następstwa, otrzymane z należytych rozporządzeń co do opieki nad matkami niemowląt, zostały uznane przez wszystkich w ogóle lekarzy, a na 58 zjeździe niemieckich lekarzy i przyrodników przyjęto następujące propozycje dra Köttnitz'a:

- 1) Kobiety brzemiennie powinny być wyłączonemi od pracy w fabrykach.
- 2) Matki nowonarodzonych nie powinny brać udziału w pracy fabrycznej przed upływem 4 do 6 tygodni od ich rozwiązania.
- 3) Dla matek, pracujących w fabrykach i mających w domu drobną działkę, należy zażądać kilkogodzinnej przerwy w południe i wczesniejszego ukończenia pracy wieczorem.

W innych, o rozleglejszym wpływie sferach, myśl, iż prawodawca powinien bronić żonę robotnika i jego dziecię przeciw wycieńczeniu pracą, niebezpiecznemu dla zdrowia i życia, także wydała owoce. W propozycjach, wkraczających w zakres polityki społecznej i wyszłych z rozmaitych kół niemieckich Reichstagu, przejawia się pragnienie legalnego określenia długości odpoczynku dla matek niemowląt.

Rozporządzenie prawa szwajcarskiego, zapewniające żonom robotników 1½ godziny odpoczynku w ciągu dnia całego, okazało się także zbawiennem. Dzięki jemu, robotnica otrzymała choć trochę czasu na przygotowanie posiłku dla całej rodziny. Ma to ogromną wagę dla utrzymania rodzinnego życia. Jeżeli matce odbierze się możność zarządzania samej pokarmów, jakże można żądać, aby jej dorastająca córka nabyła choćby najelementarniejszych w tym względzie wiadomości i wprawy. Skoro więc ognisko domowe cierpi z powodu braku zręcznego i doświadczonego kierunku, czyż możemy się dziwić, gdy cała rodzina urządza sobie posiłek zimny, obłany wódką lub piwem

w najbliższym od fabryki szynku, i gdy w taki sposób i dobrobyt rodziny i moralna wzniosłość rodzinnego życia staje się wątpliwą. Słusznie więc na zebraniach pań, opiekujących się losem robotnic, podnoszą ten fakt, że robotnice, pozostając przy warsztacie od 12 do 15 godzin i mając w ciągu dnia całego jedną tylko godzinę wypoczynku, nie mogą przebyć znacznej przestrzeni, oddzielającej je od mieszkania, i wrócić do fabryki; muszą więc posilić się w mleczarni lub winiarni, płacąc bardzo drogo za sfałszowane napoje, jak np. wino, — a jakież to wino? Jakże można żyć w takich warunkach, z tak niezdrowem pożywieniem i tak skromną zapłatą?

Praca nocna wywiera na organizm ludzki wpływ bardzo szkodliwy. Noc jest przeznaczoną na spoczynek; tego wymaga naturalny porządek rzeczy. Sztuczne oświetlenie nigdy światła dziennego zastąpić nie zdoła. Można twierdzić — mówi G. Bunge — że wszystkie ruchy, odbywające się na powierzchni ziemi, z wyjątkiem przypływu i odpływu morza, zależnego od obrotu ziemi około swej osi, pochodzą z jednego źródła tj. z promieniowania światła i ciepła słonecznego. Jeżeli człowiek zmuszonym jest do pracy nocnej, to cały organizm musi na tem ucierpieć, mięśnie się naprężają, nerwy tracą swoją elastyczność. Posiadamy liczne świadectwa higienistów, popierające to twierdzenie i potępiające pracę nocną, w tych bowiem kompetentnych sferach zupełna pod tym względem panuje jednomyślność. „Brak słonecznego światła — mówi dr. Kurbon, — tego niezbędnego bodźca do każdej organicznej czynności, wywiera zawsze na tych, co mu ulegają, wpływ jak najgorszy“. Dr. Strange uwydatnia jeszcze dobitniej ważność światła dla zdrowia ludzkiego. „Światło pomaga przetworzeniu się pokarmów w krew i wzmacnia włókna świeżo powstałe. Działa ono również podniecająco na organa wzrokowe, wywołując podwójną czynność niektórych mózgowych naczyń“. „Pozbawione światła rośliny więdną — mówi dr. Paepe, — to samo dzieje się ze zwierzętami i ludźmi“. Dlatego też powiedzmy nawiasem, że podatek od drzwi i okien, dążący do ograniczenia ilości światła, przenikającego do naszych mieszkań i warsztatów, jest prawdziwym podatkiem od krwi i życia“.

Lecz to nie wszystko. W nocy cała działalność naszego organizmu powolniej się odbywa, krążenie krwi, oddychanie, wydzielanie się wilgoci z naszego ciała, znacznie są powolniejszymi. Cała przyroda dąży do spoczynku. Zwierzęta, z wyjątkiem nielicznych gatunków, spoczywają w nocy. Jestto zatem niezaprzeczonem prawem przyrody, którego człowiek bezkarnie gwałcić nie może. Dlatego też praca nocna

powinna być wzbronioną, lub dozwoloną tylko wyjątkowo, jeżeli niepodobna tego uniknąć. „Praca nocna, kolejno odbywana, a jednak przynosząca daleko większy uszczerbek dla zdrowia, niż trudy dzienne, w których robotnicy wcale się nie zmieniają, powinna być wyjątkowo tylko dozwoloną w pewnych rodzajach wyrobów“. Tak się wyraża dr. Erismann.

Lecz jeżeli praca nocna jest zabójczą dla organizmu ludzkiego w ogólności, tem szkodliwszą jest ona dla organizmu kobiecego, posiadającego daleko mniejszą siłę oporu, i wrażliwszego na rozmaite choroby, niż organizm męczyzny. Praca nocna kobiet powinna być bezwarunkowo wzbronioną.

To wymaganie opiera się też na bardzo ważnych przyczynach moralnej natury. Sprawozdania inspektorów fabrycznych w Anglii podnoszą słusznie smutne następstwa pracy nocnej dla obyczajów i charakteru, kładąc nacisk na to, iż szkodliwy wpływ ten szczególnie kobiet dotyczy. Ścisłe czuwanie nad robotnikami jest daleko trudniejszym w nocy, niż we dnie, a nadto w nocy pociąg do złego jest tem silniejszym, im słabszą jest energia fizyczna i moralna. Szczególniej na młode robotnice praca nocna bardzo smutny wpływ wywiera. „Skutki pracy nocnej — mówi pewna osoba, czyniąca skrupulatne i uważne spostrzeżenia nad życiem belgijskich robotników — stanowi niebezpieczeństwo zapomnienia o najświętszych obowiązkach sumienia. Powrót do domu w nocy naraża młodzież na wszelkie wybryki, a rodzinę na wszelkie troski i zmartwienia“.

Zresztą ekonomiczna korzyść pracy nocnej, dla której się przekracza pewne maximum godzin pracy i pogwałca przyrodzone jej warunki, jest bardzo wątpliwą. Wyniki pracy nocnej, jak pod względem ilości, tak pod względem jakości, są daleko mniejszymi, niż dziennego trudu, pomijając już powiększoną przez to ilość jadła i zamieszanie, wywoływane w rodzinie robotnika przez nocne przyjście i wyjście. Przypuściwszy nawet, że robotnik może spocząć we dnie, sen ten nigdy nie zdoła się zrównoważyć z pokrzepiającym nocnym spoczynkiem, przez naturę wymaganym. Zaczem robotnik jeszcze zmęczony i znerwowany wraca do swej maszyny; naturalnie brakuje mu wówczas elastyczności ciała i umysłu, niezbędnej do wszelkiej pożytecznej pracy. Lecz najbardziej przeciwną prawom przyrody i najbardziej szkodliwą jest nocna praca mężatki i matki. Jeżeli w dzień miejsce jej jest w domu, a jej nieobecność wywiera wpływ ujemny na rodzinne życie, cóż się z niem stanie, co się stanie z dziećmi, gdy małżonka i matka jest nawet w nocy przykutą do maszyny? Jak może wówczas rozwinąć się

i istnieć przywiązanie dzieci do matki, ten zasadniczy warunek rodzinnego życia i uczuć, „który winniśmy — jak mówi Wołowski — wytwarzać we wszystkim i rozpościerać tak daleko, jak tylko możemy“? Zło ztąd wynikłe, jest zanadto krzyczącem i gwałcącym wszystko, czego wymaga natura i moralność, zanadto oburzającym, aby można było choć na chwilę powątpiewać, iż państwo w to wmieszać się powinno.

Teraz słówko o oplakanych następstwach pracy kobiet zamężnych w fabrykach, tj. o zniweczeniu rodzinnego życia, jakie ztąd wynika. Matka rodziny, w fabryce zajęta, nie może żyć dla męża i dzieci. Jej wpływ umoralniający najzupełniej pozostaje straconym. Jakże też mogłoby być inaczej, gdy kobieta jest zniżoną do poziomu zyskowego narzędzia? Dzieci tracą uczucie przywiązania i szacunku, będące podwaliną władzy rodzicielskiej i rodzinnego życia. Tam, gdzie oko matki nie czuwa nad dziećmi, braknie głównego czynnika dobrego wychowania. Dzieci, od lat najmłodszych pozostawione same sobie, przyzwyczajają się uważać ulicę za swe właściwe mieszkanie, w porównaniu z którym samotne ściany rodzicielskiego domu wydają się im więzieniem. Pobyt na ulicy, nie zdolny do rozwijania szacunku i uczuć rodzinnych, jest prawdziwą szkołą szorstkości i zepsucia i rozsądnikiem zloczyńców.

Brak pewnego domowego komfortu, który tylko kobieta może utworzyć i utrzymać, przyczynia się z wielu względów do tego, że głowa rodziny odwiedza karczmę, aby znaleźć w tem nieszczęsnem miejscu to, czego mu ognisko domowe dostarczyć nie zdoła, tj. wygodę i wesołość. Rodzina traci przez to najgłówniejszy czynnik siły moralnej i domowego szczęścia. Przez to ginie też znaczna część materialnego zysku, zdobytego ciężką pracą rodziców, a który powinienby się stać ekonomiczną podstawą i rękojmią pomyślności rodziny. Ostatnim wyrazem tego stopniowego upadku jest ruina.

W jakże wątpliwem świetle staje w obec tego ostatniego względu główny argument, przeciwstawiany zawsze myśli ograniczenia pracy kobiet w fabrykach. „Ponieważ mężczyzna nie może zaspokoić potrzeb rodzinnych — mówią niektórzy — potrzeba więc, aby kobieta także zysk pewien przyniosła“.

Rzeczywista wartość zarobku, jaki matka rodziny zdobywa w fabryce, częstokroć bywa przesadzany, gdy przeciwnie praca jej w domu nie jest ocenioną należycie. Ileż to wydatków zdoła ona uniknąć dzięki swej skrzętności, ileż niewygód potrafi ona osłodzić mężowi i rodzinie swoją serdeczną pieczołowitością. Własny ekonomiczny interes robo-

tnika wymaga, aby jego żona tylko wyjątkowo do fabryki mogła być przyjęta.

Uderzający przykład dobra, ztąd wynikającego, przedstawiają doświadczenia, dokonane pod względem zniesienia pracy kobiecej w kopalniach angielskich. Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia tutaj odnośnych szczegółów, zaczerpniętych ze sprawozdania z badań, przez parlament dokonanych.

„Kiedy pracowałam w kopalni węgla, — mówiła żona pewnego górnika i matka pięciorga dzieci, — zarabiałam siedm szelingów (3 zlr.). Z sumy tej musiałam zapłacić szelunga i 9 pensów piastunce, pielęgnującej moje dzieci. Jeden szeling wychodził na pranie, nie rachując innych drobniejszych wydatków na naprawianie sukien i bielizny. W domu brakło najzupełniej jakiegobądź opieki: starsze dzieci niszczyły sprzęty, a wysłane do szkoły nie szły wcale, lecz bawiły się i włóczyły, obca zaś dziatwa dokuczała im ciągle i darła ich ubranie. Wieczorem, wróciwszy do domu, miałam wszystko do zrobienia; wyczerpana zaś całodzienną pracą, nie miałam na to ani sił, ani odwagi. Nie rozniecałam ognia, nie gotowałam jadła; w domu nie było ani kropli wody, mieszkanie było brudnem, a mąż nie miał czem się posilić, aby zaczerpnąć nowych sił do pracy. Obecnie wszystko idzie lepiej, i nigdybym się już nie zdecydowała powrócić do kopalni“.

Opowiadanie tej kobiety jest rysem charakteryzującym tysiące podobnych wypadków. Maluje ono wyraźnie, jak duch porządku i oszczędności wraca wraz z matką do rodzinnego ogniska. Sami nawet robotnicy uznali ważność obecności kobiety w domu, dla dobrego kierunku gospodarstwa; w Belgii właśnie najinteligentniejsi przedstawiciele klasy robotniczej domagają się wykluczenia kobiet z fabryk, nie tyle z powodu konkurencyi, jaką one przeciwstawiają mężczyznom, jak raczej dla moralnej i materyjalnej korzyści, jaką obecność matki w domu przynosi rodzinie wyrobnika.

Passi, spostrzegacz niezaprzeczenie bezstronny, porównując budżet gospodarczy dwóch rodzin, z których jedna wysyła kobietę do pracy w fabryce, w drugiej zaś żona robotnika rozwija działalność swą w domu, doszedł do następujących wyników: „Dwie rodziny podobne do siebie pod względem pracy, zarobku, mieszkania, ilości i wieku dzieci, różniły się tem tylko, iż w jednej z nich żona robotnika zostawała w domu i nie zarabiała, w drugiej zaś pracowała poza domem, dodając 1·50 lub 2·00 fr. własnego zarobku do 3·50 lub 4·00 franków, pracą męża zdobytych. Otóż w ostatniej z tych rodzin panowała nędza, mieszkanie było brudne, dzieci chodziły boso

i w łachmanach. U pierwszej zaś z nich, przebił się jeżeli nie dostatek, to przynajmniej pozór dobrobytu: pokój był czysty, łóżka usłane, dzieci zaopatrzone w pończochy i trzewiki, pożywienie dobrze przyrządzone, a wraz z tem: zdrowie, spokój i wesołość. Zkąd pochodzi ta różnica? Poprostu złąd, że zarobek, zdobyty poza domem przez matkę rodziny, nie wynagradza strat, wynikających z jej nieobecności“.

Im wątpliwsza, po gruntownem ocenieniu okoliczności, wydaje się wartość materialna pracy mężatki, tem większą jest stratą moralną, jaką się poświęca temu złudzeniu. Jeżeli najnowsze społeczne prawodawstwo wprowadza obowiązkowe ubezpieczenie dla zapewnienia materialnego bytu robotnicy, dlaczego miałyby się ono wahać z ocaleniem moralnego istnienia rodziny robotnika zapomocą jedyne go w tej mierze środka, tj. ograniczenia pracy kobiecej? Słusznie uważają kobietę za zachowawczy żywioł społeczeństwa. Lecz jeżeli kobieta, wyrwana z gruntu, w którym siła jej zaczerpnęła soki i zapuściła korzenie, rzuci się w wir tegocześnie go życia klasy robotniczej, to jak ona sama, tak też jej rodzina stanie się pastwą niszczących żywiołów. Bojęmy nad wnioskami, jakie Bebel w swem dziele: „Kobieta“ wyciąga z warunków fabrycznych, lecz dopóki państwo znosi spokojnie oplakany stan rzeczy, odmalowany przez tego pisarza, dopóty dźwiga na sobie odpowiedzialność za smutne tego stanu wyniki, i za co raz większe niebezpieczeństwo, wypływające ze współczesnych fabrycznych warunków dla bytu rodzin, a przez to dla istnienia państwa.

Gdybyśmy mieli międzynarodową opiekę nad robotnikami, wówczas ta kwestya całkiem inny wzięłaby obrót. Dla fabrykanta, nie mogącego zmusić do pracy nocnej, ani też używać dowolnie kobiet i dzieci, i zmuszonego odprawiać swych robotników po jedenastu godzinach trudu, szybki wzrost produkcyi o wiele jest trudniejszym, ma ostateczne granice, których nie zna jego współzawodnik, żyjący pod słońcem swobody. Zatem w równych, a przynajmniej w podobnych warunkach pod względem używania robotników, znalazłby się środek osiągnięcia równiejszej produkcyi, nawet w chwilach większego popytu, i zmniejszenia przez to znacznie niebezpieczeństwa bankructwa. Międzynarodowy układ opieki nad robotnikami przytłumiłby zdaniem wszystkich ekonomistów anarchię, panującą w przemyśle i podcinającą bądź tę, bądź inną jego gałąź.

Nie możemy się dziwić, jeżeli przemysłowcy i fabrykanci utrwalonej sławy domagają się legalnych międzynarodowych przepisów, i jeżeli ekonomiści i prawnicy wszystkich stronnictw popierają to żądanie.

„W sferach przemysłowych, — mówił Miguel w r. 1882 w Stowarzyszeniu polityczno-społecznem, — słyszę bardzo często następujący zarzut: Jak możecie zapomocą układu, dotyczącego naszego robotniczego ruchu i tylko Niemcy obejmującego, uczynić dla nas niemożliwym utrzymanie konkurencyi z Anglią?“ W rocznem sprawozdaniu Izby handlowej w Solingen za rok 1885, mieszczą się te słowa: „Fabrykanci belgijscy cieszą się bardzo korzystnymi warunkami pracy; w wielu fabrykach robotnicy pracują dniem i nocą, posilają się nawet wśród pracy, a udział w nim kobiet i dzieci jest nieograniczonym. Bezwątpienia, położenie robotników jest bardzo nędznem, lecz te warunki pracy wyrządzają ogromny uszczerbek przemysłowi niemieckiemu“.

W rozprawach niemieckiego polityczno-społecznego towarzystwa kilku przedstawicieli przemysłu, jak np. Ludwik Simons z Elberfeldu i Bueck, sekretarz generalny syndykatu fabrykantów prowincyj nadreńskich i Westfalii, odzywali się niejednokrotnie z powodu roztrząsania kwestyi opieki międzynarodowej nad robotnikami, wyrażając najzupełniejsze uznanie dla prób dokonanych w kwestyi międzynarodowego układu opieki nad klasą robotniczą. Liczne zgromadzenie wybitniejszych przemysłowców z północnej Francyi, zebranych w Lille, zażądało niedawno uregulowania pracy kobiet i dzieci, zapewnienia wypoczynku w niedzielę, i oznaczenia normalnej ilości godzin pracy na drodze międzynarodowego układu. Pomiędzy niemieckimi ekonomistami, którzy poparli myśl międzynarodowego układu opieki nad robotnikami, przytoczymy tylko Stein'a, A. Wagner'a, Schoenberg'a, Lexis'a Lohmann'a, pełnomocnika ministryum dla handlu i przemysłu. Oto jak ten głęboki znawca praw robotniczych w Europie, wyraża się w swem dziele p. t. „Ustawodawstwo przemysłowe w państwach kontynentalnych Europy“:

„Bez względu na to, o ile prawa fabryczne rozmaitych mocarstw różnią się obecnie jedne od drugich skutkiem narodowych odrębności i warunków historycznych, możemy jednak przewidzieć w nich z pewnością stopniowe zrównoważenie. Wraz z postępem przemysłu niebezpieczeństwa doń przywiązane wywrą powoli swój wpływ zupełny tam nawet, gdzie dla tej lub owej przyczyny wpływ ten dotąd jeszcze się nie przejawiał. Nawet ludy, niechzące uznać w swoim prawodawstwie wymagań ludzkości, przekonają się z doświadczenia, że obecne korzyści, wynikające dla ich przemysłu z nieograniczonego wyzyskiwania pracy, otrzymują się tylko z uszczerbkiem dla przyszłości. Prawo samozachowawcze zmusi nareszcie te ludy do udoskonalenia fabrycznego prawodawstwa odpowiednio do stanu ich przemysłu. Z po-

wodu coraz bardziej wzrastającej spójni i wzajemnej zależności ludów, obeznanych z dziedziną ekonomii politycznej, jak również z powodu wielkiej wagi ustaw fabrycznych dla rozwoju większych gałęzi przemysłu, które dostarczają swych wyrobów międzynarodowemu targowisku, niepodobna, aby uzupełnienie fabrycznego prawodawstwa nie stało się przedmiotem międzynarodowych układów, i aby w tej dziedzinie prawo międzynarodowe nie miało się rozwinąć. To też przedstawiciele pewnych gałęzi przemysłu utworzyli już postulat, że w chwili zawarcia nowych handlowych traktatów różnica warunków produkcji, wynikająca z różnicy ustaw fabrycznych, powinna także zostać uwzględnioną.

W znakomitej mowie, wypowiedzianej w belgijskiej komisji pracy, profesor H. Denis twierdził, że trwałe polepszenie bytu klas robotniczych bez międzynarodowej instytucji opieki nad robotnikami jest najzupełniej niemożliwym:

„Pocieszającym jest faktem, że w świecie prawniczym myśl ta również została przyjęta, fakt ten zaś tem większego nabiera znaczenia, że dotychczas wydział prawny dostarczał zwykle najgorliwszych szermierzy o zasadę manchesterskiej wolności. Dzisiaj nauka prawa zdaje się odrzucać myśl, iż umowa, dotycząca pracy w wielkich gałęziach przemysłu, zostaje zawartą na podstawie jednakich i równorzędnych legalnych warunków, tak po stronie fabrykanta, jak i robotnika.

„Prawo musi wyrokować na podstawie rzeczywistych, nie zaś urojonych okoliczności. Niepodobna, mówiąc o obecnej umowie pracy, wychodzić z zasady, że i robotnik i chlebobawca, znajdują się przy jej zawarciu w takim samym położeniu, gdyż wniosek ten byłby fałszywym. Robotnikom, pracującym w rozleglejszych gałęziach przemysłu, braknie najczęściej tej rzeczywistej niezależności, któraby im pozwoliła podporządkować swą pracę wymaganiom swego zdrowia i utrzymaniu dobrobytu swych rodzin. Umową pracy w wielkim przemyśle są regulamina fabryczne, określenie zaś tych regulaminów tyle zależy od woli szukającego zarobku, ile taksa przewozowa na kolejach żelaznych zależy od woli kupującego bilet. Twierdzić, iż w tym względzie z obu stron równa panuje swoboda, jestto żartować z rzeczywistości.

„Sprawozdawca powiedział nam na zakończenie, że powinniśmy najprzód starać się zyskać w jednym narodzie to, co może być otrzymanem, następnie zaś domagać się zawarcia międzynarodowych traktatów. Lecz ten postulat robi na mnie wrażenie błędnego koła. Pragniemy międzynarodowego przemysłowego prawodawstwa, ponieważ widzimy, że w obrębie jednej narodowości sprawa ta nie postępuje

wcale. Jeżelibyśmy zdołali otrzymać zapomocą przemysłowego prawodawstwa w obrębie jednego państwa to, czego żądamy, nie chodziłoby nam wówczas wcale o prawodawstwo międzynarodowe“.

Przytoczywszy tak poważne zdanie, zbytecznem jest szukać innych argumentów na poparcie naszego twierdzenia. Pozostaje więc tylko pytanie: jak myśl ta urzeczywistnioną być może?

Kto chce celu, chce i środków — mówi przysłowie. — Nigdyśmy z pewnością nie wystawiali sobie, żeby z międzynarodowych układów wynikać mogła jakaś całość przemysłowego międzynarodowego prawodawstwa, lub żeby takowa wejść mogła ryczałtem w „prawo narodów“. Nie w ten sposób rzecz rozumiemy. Lecz jeżeli można było do skutku doprowadzić międzynarodowe układy względem poczt, telegrafów, przepisów kolejowych, własności naukowej i literackiej, dla czego nie możnaby tego dokonać tam, gdzie, jakśmy wykazali, zadaniem międzynarodowego prawodawstwa byłoby czuwanie nad interesami ogółu, o wiele ważniejszymi i wznioślejszymi. Wszak opinia publiczna zwalcza już od lat dziesięciu rozmaite zarzuty, przeciwstawiane urzeczywistnieniu tej myśli.

Wymagania te nie są tak przesadzonemi, aby wszystkie państwa europejskie nie mogły się przychylić do życzenia, iżby je przynajmniej zechciano roztrząsnąć na konferencji delegatów.

Kilka szczegółów o Towiańskim.

Otrzymałiśmy z łaski córki Jenerała Skrzyneckiego ciekawe szczegóły do historyi Towiańskiego i jego otoczenia. Pismo WP. Jadwigi Skrzyneckiej podajemy dosłownie.

Redakcyja.

Od czasu do czasu pojawiają się na horyzoncie społeczeństwa ludzie z różnemi tendencjami; jedni pracują z poświęceniem mienia i życia dla dobra ludzkości, mają cel wzniosły, do którego dążą szlachetnemi drogami, drudzy zaś postępują krętymi ścieżkami, starając się ukryć swe zamiary płaszczykiem miłości ojczyzny albo religii.

Po insurekcji i wojnie 1831 r., wielu prawych synów ojczyzny schroniło się na ziemie obce, by dla nieszczęśliwej matki pracować

w cichości ducha, by rozmyślać nad środkami skruszenia pętów niewoli. Baczny nieprzyjaciół, nieufny w pokonanie siłą brutalną narodu polskiego, nie przestał pracować, używając za narzędzie ludzi nizekzemnych, którzy starali się obalamucić wpływowe osobistości emigracyjne. Do liczby takich należał Andrzej Towiański. Zjawia się on w chwili, gdy naród nasz, rozbity fizycznie, silny jednak moralnie, ponieważ miłość ojczyzny i religia, te jedyne podstawy potęgi narodu, nie wygasły.

Towiański okiem znawcy osądził wpływy emigrantów: nie chodziło mu bowiem o chwilowe odwrócenie się od sprawy ojczyzny, starał się w daleką przyszłość zniechęcić całe pokolenie ku sprawie narodu. Wiedział mistrz, kim był Mickiewicz, znał wpływ jego pieśni, zwrócił się więc najpierw ku niemu. Nieszczęśliwy wypadek posłużył Towiańskiemu do zupełnego opanowania wieszcz. Żona Adama, Celina, od dłuższego czasu znajdowała się w domu obłąkanych; lekarze już zwątpili o jej wyleczeniu, Andrzej ją uzdrowił, i to mu zyskało zaufanie wieszcz.

W liście do ojca swojego pisze Mickiewicz, starając się go pozyskać dla cyklu Towiańczyków: „Z wyjątkiem sonetów, balad i drobniejszych pism, świadczą wszystkie, żem przeczuwał mistrza“. Odwołuje się na ustęp w „Dziadach“, który jak najwyraźniej świadczy, iż Towiański jest tym mężem, który pierwszy w pośród obcych ludzi pozdrowi go „w Imię Pańskie“. Rzeczywiście Andrzej wytłómaczył wieszczowi owo zagadkowe miejsce w „Dziadach“.

Nie potrzebuję wspominać o nieszczęściu, jakie sprowadził Towiański na wieszczę: nie tylko zaszkodził mu materyalnie, gdyż utracił posadę profesora literatury słowiańskiej w Collège de France w r. 1844, lecz także zabił go moralnie, ponieważ od tego czasu muza jego zamilkła na zawsze.

W liście do swojego ojca pisze Cyprian Norwid o Mickiewiczu (Rzym 15 kwietnia) 1848 r.:

„Mickiewicz przybył tu, i pragnął szczerze (jak sądzę) ukorzyć się przed Naczelnikiem chrześcijaństwa wieku tego i narodów. Trudno zapewne opisać, jak się tu znalazł, jaką formę względem Kościoła i Polaków ten wielki poeta raczył przyjąć, dość że (smutno mi wyrzec) znalazłem go, albo nałogowo tak jak ugrzęzłym w tym kierunku radykalizmu mistycznego, że się wydobyć zeń nie może, albo „najpoetyczniejszym oszukańcem, jakiego przykładu dotąd niema! Ten człowiek jest straszny dla Polski! W organizacyi jego pękła, jak sądzę, ta sprężyna, która jest zarazem wędzidłem. Dobre i złe się mienia w subtelności mistycznych formuł jego, na niczem się

„osadzić nie można w stosunkach z nim, i chyba niewolnikiem jego „zostać trzeba. Tak też wielu zrobiło. A kiedy na publicznem zawią- „zującego się tu legionu posiedzeniu, porwał się z miejsca i nareszcie „Towiańskiego książkę wziął do ręki, byłem przymuszony mu zaprze- „czyć, a nazajutrz najwyraźniej przedstawić wszystko, co przeciwko „kierunkowi przez niego propagowanemu mam na sercu. Nie umiem „opowiedzieć, jak mnie to wiele kosztowało. Widzieć się przymuszo- „nym tak wielkiej sławie narodowej i siwym włosom, słowa prawdy, „gorzkie słowa powiedzieć!“

W liście do mojej matki pisze Norwid :

„O Mickiewiczu jest wiadomość (niepodlegająca wątpliwości), że „uradowany jest niezmiernie z nowego zamężcia matki swojej, która „dawno umarła; o tej nowinie mistrz mu raczył udzielić wiadomo- „ści. Podobno jestto panna Jundziłł; dusze bowiem przechodzą „z pochwy w pochwę i mogą sobie wychodzić za mąż, kiedy im się „zdarzy sposobność“.

Jak ogromny wpływ miał Towiański na Mickiewicza, świadczy powyższa okoliczność, iż nawet w geniuszu taki obłęd metempsychozy do tego posunął się stopnia. Pod sztandarem Mickiewicza szerzy dalej Towiański swoje błędne nauki. Seweryn Goszczyński, poeta-żołnierz, oba- łamucony przez mistyka po r. 1841, stracił swego ducha poetyckiego. Choroba ta dotknęła także i Słowackiego; lecz skutek polemiki, jaką toczył z Adamem, nie dał się zupełnie uwieść tej fałszywej teorii, pro- tegowanej tak gorąco przez Mickiewicza. Towiański pewnym był wy- granej; sądził bowiem, iż nikt się nie oprze jego nauce, skoro usidlili pierwszych geniuszów literatury. Zwrócił się on teraz do ludzi czynu. Jak wiadomo, dom moich rodziców był środkiem ciężkości zgromadzeń znakomitości emigracyjnych. Wiedział o tem Towiański; postanowił ta- kże obalamucić i mojego ojca. Byłam jeszcze podlotkiem, gdy poraz pierwszy ujrzała mniemanego mistrza Towiańskiego. Wydawał mi się dość ordynarny, pewny siebie i zuchwałego usposobienia. Kapotę długą, ciemno szafirową nosił na sobie i czapkę litewskiego kroju, a wspierał się na monumentalnej lasce. Nie widywałam go, tylko w przełocie mo- głam się mu przypatrzeć, gdyż mistrz miał wstęp wzbroniony do sa- lonu mojej matki. Pamiętam, jak raz ojciec przyszedł opowiedzieć ma- mie, iż dopiero co wyszedł od niego Towiański i z wielkiem nama- szczeniem udzielił ojcu, że miał objawienie, iż tego samego dnia wie- czór będzie miał rozmowę z św. Kazimierzem, i że dlatego ojca już dziś nie odwiedzi, bo się musi duchowo przysposobić do tej pogadanki z patronem Polski. Moja matka, która uważała Towiańskiego zawsze

za oszusta i cierpieć go nie mogła, uśmieła się serdecznie z tego opowiadania. Tego samego wieczora rodzice wzięli łożę, a że to było przedstawienie wielkiej opery, więc i mnie postanowili wziąć z sobą. Ledwośmy usiedli, gdy mama, rzuciwszy okiem na krzesła, poznała w nich mistrza, siedzącego z swoją żoną, i obróciwszy się do ojca z tryumfem, rzekła: Patrz, jak Towiański przygotowuje się do rozmowy z św. Kazimierzem! Na drugi dzień ojciec surowo skarcił mistrza, który się tem tłumaczył, iż muzyka podnosi ducha, nie więc dziwnego, że chciał należycie nastroić swój umysł. Gdy się moja matka o tem dowiedziała, zapytała: „Czy i balet także podnosi ducha? bo zauważyłam, że Towiański bardzo nim był zajęty“. Towiański nie mógł znieść tego, że nigdy swą osobą nie zdołał zająć mojej matki. Dążył do tego usilnie i raz jeszcze chciał próbę przedsięwziąć. Kazał więc prosić mamy, aby choć raz jeszcze dozwoliła mu przyjść do siebie. Po wielu naleganiach matka moja przystała. Lecz jakież było jej zadziwienie, jak zobaczyła Towiańskiego, przekształconego na salonowego eleganta. Frak zastąpił odwieczną kapotę, a głasowane rękawiczki ledwie się mieściły na potężnych rękach mistrza. Sądził on, że tym strojem rozbroi moją matkę i usunie wszelkie uprzedzenia; zaczął więc odgrywać naprzód ułożoną rolę. Lecz matka moja z właściwą sobie energią, która ją nigdy w ważniejszych chwilach życia nie odstępowała, wypowiedziałwszy mu prawdę, której mistrz pokornie wysłuchał, na zawsze go pożegnała. Na mnie próba się mu nie udała. Spotkawszy mnie raz w pokoju ojca, zastąpił mi drogę i rozpoczął jakąś perorę, zastosowaną do mojego wieku. Lecz rozplakawszy się głośno, uciekłam — i więcej prób ze mną nie przedsiębrał.

Przez cały czas emigracyi mieliśmy z sobą dwie panny służące; jedna p. Tokarska, która wychowała moją matkę, druga p. Ciepeliowska, wyprawna panna mamy. Nie omieszkał Towiański i ich bałamucić, lecz to złe spłynęło po nich, nie zostawiając śladu. Były one z tych istot, które tylko umiały wierzyć, kochać i poświęcać się. Typ im podobnych już podobno zaginął. To są epizody z życia Towiańskiego, które tu wiernie podałam. Teraz przytoczę jeszcze list tak cenionego przyjaciela moich rodziców, Cypryana Norwida o Towiańszczyźnie:

„Moralność w Towiańszczyźnie jest okropnie pojęta; pryncypium „władzy w chrześcijaństwie, przez Chrystusa Pana otrzymane i wykażane najwyraźniej, chcą niejako raz jeszcze, ale nie cierpliwością, nie ofiarą, nie wreszcie miłością dobyć, lecz zagładą wszelkich uczuć ludzkości. Zburzenie biorą za ofiarę, a to wielka różnica! — i okropność biorą za energię, a to wielka różnica! — i wol-

„ność wyznań tak pojmują, iż w końcu z tego ich pojęcia roz-
 „wolnienie raczej obyczajowe i rozwiązanie Kościołaby nastąpiło.
 „Wiadomo przecież, iż wolność wyznań może być względna (re-
 „lativa), że ktoś przecież musi tolerować tj. znosić i cierpieć, że
 „to, jeżeli przywilejem, to przywilejem jak tylko można najbardziej
 „chrześcijańskim, przywilejem cierpienia! — że gdzie nikt niema
 „przywileju znoszenia, cierpienia, tolerowania, tam wszy-
 „scy muszą być nieznosić, niecierpliw, nietoleranci! —
 „i takimi też oni! Podobnież w pojęciu własności są na pochyło-
 „ści komunizmu politycznego t. j. pansławizmu. Dla
 „nich jakby nie było jeszcze ojczyzn. Naród biorą za plemię.
 „Z tego pojęcia można wrócić do hord barbarzyńskich, ale
 „nie do narodowości chrześcijańskich, tych to różnobar-
 „wnych tęcz na globie pędzłem Opatrzności zakreślonych — bo

„Od narodu do plemienia,
 „Jak od kwiatu do korzenia“.

Ruska-Wieś pod Rzeszowem 27 grudnia 1889.

Jadwiga Skrzyńska.



SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

	Stronnica.
PRAWDA O KWESTYI RZYMSKIEJ. Przez <i>Ks. Jana Ba-</i> <i>deniego T. J.</i>	2
ODYSSEA Z ROKU 1889	68
KATOLICKIE UROCZYSTOŚCI ZAATLANTYCKIE. Przez <i>M.</i> .	88

Artykuły naukowe i literackie.

UBIORY PROFESORÓW I UCZNIÓW W UNIWERSYTECIE JA- GIELLOŃSKIM W ZWIĄZKU Z WSPÓŁCZESNYMI ZWY- czajami (1364—1889). Przez <i>Dra A. Karłowicza</i> (dok.)	24, 212, 362
SKORUPA ZIEMI. Przez <i>Maurycego Rudzkiego</i>	44
SPOŁECZEŃSTWO W OBEC ROZUMU I WIARY. Przez <i>J.E.</i> <i>Ks. Arcybiskupa Z. S. Felińskiego (c. d.)</i> . . .	78
ARYOWIE I ICH SIEDZIBY. Przez <i>Ks. W. Zaborskiego T. J.</i>	153
PIERWSZA KONSTITUCYA AUSTRYACKA, jej geneza i ocena. Przez <i>Dra St. Starzyńskiego</i>	179, 328
ZADANIE APOLOGETYKI W NASZYCH CZASACH. Przez <i>Ks.</i> <i>A. Langerę T. J.</i>	196, 375
WSPOMNIENIA Z AMERYKAŃSKIEJ WOJNY DOMOWEJ. Przez <i>M.</i>	228

WŁODZIMIERZ SOŁOWIEW. Przez <i>Ks. Maryana Morawskiego T. J.</i>	305
POŁOŻENIE PRAWNE CHRZEŚCIJAN W PAŃSTWIE RZYMSKIM w trzech pierwszych wiekach. Przez <i>Ks. Bilczewskiego</i>	346
OJCZE NASZ. Dramat w jednym akcie Franciszka Coppée. Przetłóżył z francuskiego <i>K. W. T. J.</i>	387

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

DZIENNIK SPRAW DOMU ZAKONNEGO OO. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie od r. 1609 do 1619 włącznie. Przez <i>Ks. Jana Wielewickiego T. J.</i>	109
WSPOMNIENIA O POLSKIEJ PIELGRZYMCE DO RZYMU w r. 1888 na jubileusz J. Św. Leona XIII. Papieża. Napisał <i>Ks. Dr. Wincenty Smoczyński (Ks. J. B. T. J.)</i>	112
ROZMYŚLANIA O TAJEMNICACH ŻYCIA NAJSW. PANNY. — KILKA UWAG O ROZPOZNAWANIU W NAS DUCHA BOŻEGO, SZATAŃSKIEGO I LUDZKIEGO. Napisał <i>Ks. Józef Sowiński. (Ks. J. B. T. J.)</i>	114
HISTORIA NOWOŻYTNA. Tom I. do 1648 roku, z 64 rysunkami w tekście, mapą historyczną i 11 tablicami genealogicznymi. Przez <i>Tadeusza Korzóna</i>	244
POŁĄCZENIE RUSI CZERWONEJ Z POLSKĄ PRZEZ KAZIMIERZA WIELKIEGO. Napisał <i>Kazimierz J. Gorzycki (Aleksander Czuczynski)</i>	250
BAŚŃ NAD BAŚNIAMI. Napisał <i>Wojciech Dzieduszycki (Czesław Pieniążek)</i>	255
JAK MÓWIĆ PO POLSKU, czyli gramatyka polska w zarysie popularnym. Przez <i>Antoniego Gustawa Bema (Ks. H. Pydynkowski T. J.)</i>	406
POLSKA W OBRAZACH. Wydał <i>Adam Kaczurba (Ks. M. Morawski T. J.)</i>	410
ŻYWIOT SIOSTRY MAŁGORZATY od Przenajśw. Sakramentu. Przez <i>Ludwika de Cissey</i>	411
BIBLIOTEKA PISARZÓW POLSKICH. (Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie). Mikołaja Reja z Nagłowic: Żywot Józefa z pokolenia żydowskiego (1543). Wydał <i>Roman Zawiliński</i> . — ALGORITMUS, to jest nauka liczby, polską rzeczą wydana, przez księdza Tomasza Kłosa (1538). Wydał <i>Dr. Maryan A. Baramiecki</i>	413
HOLANDYA. Przez <i>Stanisława Bełzę</i>	413

Z piśmiennictwa zagranicznego:

<i>Joseph Wilpert. PRINCIPIENFRAGEN DER CHRISTLICHEN ARCHÄOLOGIE, mit besonderer Berücksichtigung der Forschungen von Schultze, Hasenclever u. Achelis (Ks. Bilczewski)</i>	115
---	-----

COMMENTARIUS IN LIBROS JUDICUM•ET RUTH. <i>Humelauer S. J.</i> (<i>Ks. Augustyn Arndt T. J.</i>)	118
LA VIE ET LES MOEURS À LA PLATA. Par <i>Emile Daireaux</i>	120
Z PRASY PRAWOSŁAWNO-ROSYJSKIEJ (<i>A. Szarłowski</i>)	261
LIBER DIURNUS (<i>Ks. Dr. Chotkowski</i>)	276
RZUT OKA NA NAJNOWSZĄ NIEMIECKĄ LITERATURĘ 1888—1889 (<i>Ks. Augustyn Arndt T. J.</i>)	414
L'ÉDUCATION ATHÉNIENNE au V. et au IV. siècle av. J. Chr. Par <i>Paul Girard</i>	417
DIE FALSCHIE GENERAL-KONCESSION KONSTANTINS DES GROSSEN (sogen. Konstantinische Schenkung). Von <i>Dr. Wilhelm</i> <i>Martens</i> (<i>Ks. Dr. Fijałek</i>)	420
DIE UNIVERSITÄTEN ENGLANDS im XVI. Jahrhundert. Von <i>Zimmermann S. J.</i> (<i>Ks. Augustyn Arndt T. J.</i>)	423
MANNA QUOTIDIANUM SACERDOTUM, etc. Edidit <i>Dr. Jacobus</i> <i>Schmitt</i>	424

Z pism czasowych.

DWA NOWE PISMA KATOLICKIE W GALICYI	282
EKONOMISTA POLSKI. Nr. 1. (<i>Ks. M. Morawski T. J.</i>)	425
Rozmaitości	123, 283

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Konfiskata funduszków pobożnych we Wło- szech. — Program francuskich prześladowców. — Księża w koszarach. — Wzrost i wpływ religijnych uczuć. — Nowohusytyzm czeski. — Rozprawy husyckie w sejmie pragskim. — List pasterski kardynała Schoenborna. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	127
MIĘDZYNARODOWY KONGRES KATOLICKI NAUKOWY	141
SOJUSZ POLSKIEJ PRASY PRZECIW TEATRALNEMU BAŁWOCHWAŁ- STWU	147
OSTATNIE WIADOMOŚCI O MISYACH W AFRYCE RÓWNIKOWEJ	150
FRYNE W ELEUSIS	152

LUTY.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Konfiskata funduszków pobożnych przed senatem włoskim. — Jednomyślny wyrok prasy euro- pejskiej. — Petycyje włoskiej ludności. — Papieska allo- kucya. — Prześladowanie duchowieństwa we Francyi. — „Złaicyzowane“ szkoły i szpitale. — Rozwój Kościoła w Holandyi. — Nominacya biskupów dla ziem pol- skich. — Wstępny artykuł „Czasu“ z 5 stycznia b. r. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	284
--	-----

NOWY FONOGRAM EDISONA. Przez <i>A. M. Kaweckiego</i>	Stronnica. 297
WARYANT „ODYSSEI Z R. 1889“	300
Z POWODU ŚMIERCI DOELLINGERA	302

MARZEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Encyklika o obowiązkach chrześcijan. — Skutki laicyzacji szkół francuskich. — Mnożące się zbrodnie. — Wyznania francuskich liberalów. — Semi- narzyści w koszarach. — Parlamentarne zwycięstwa katolików w Monachium i w Berlinie. — Socjalny pro- gram Centrum a reskrypty cesarza Wilhelma. — Wę- gierski minister o święceniu niedziel. Przez <i>Ks. Jana</i> <i>Badeniego T. J.</i>	430
MEMORIAŁ SZWAJCARSKI O MIĘDZYNARODOWYM USTAWODAW- STWIE SOCYALNEM	446
KILKA SZCZEGÓŁÓW O TOWIAŃSKIM. List <i>P. Jadwigi Skrzynckiej</i>	460

